Wydanie Narodowe Dzieł
Adama Mickiewicza

Listy Redakcji

T. 7: Prze – Ut



Amorów „fin de siècle”

czyli

Hajota i Zacharyasz

(Ballada)

Już w gruzach legły plany Hajoty sypka
W sercu jej rośnie panika.
Do Zacharyasza wciąż wiele środków ma dwa uchody,
Ale Zacharyasz — uciągł Chińczyka.

—

Dla niego wzięła nawet wódki
A dzisiaj szaty ma wdowie;
On — zamknął kufer na wszystkie kłódki,
Jutro już będzie w Krakowie.

—

O wschodzie słońca, płaci w hotelu
Żegna kelnerów, szwajcara,
Na jednokonkę wsiadł bez słów wielu;
Gwizd — i uniosła go para!

—

Len i Hajocie, przemiła wróżka
Na czas odzywa się w Tonie;
I ona także żywo się z Tórką
I jedzie – w drugim wagonie.

Zacharjasz, ufny, że kusicielka
Już nie odzyska swej straty;
Na stacji, kupił sobie serdelka
I pełną szklankę herbaty.

W tem się konduktor zjawia w przedziale
Mówiąc, że jakaś niewiasta,
Młoda, no ładna, niczego wcale,
Chce tu wsiąść także – i basta.

Jest to Hajota –. Hajota nasza!
Cicha na pozór jak jagnię;
Siada skromniutko ~~milcząca~~ wprost Zacharjasza
I tylko – jechać z nim pragnie.

„Janku mój!! wróćmy – ku wspólnej nawie.
My nie drżymy rozbicia!"
„Tylko rzecz" suknię na sobie sprawię,
„I ostry na sobie okrycia –
„

„Niechaj nie będzie tajnem w końcu,
„Że luba twa, gdy cię [illegible]
„[illegible] na raz jeno przyjaciół [illegible]
„Chętnemi witka oczyma!"

—

Zacharyasz ~~cenną tabą~~ innie cenną szczodrotę
Gdy słyszy te obietnice ~~Więc wzrok jej wiodąc nie~~ lada;
Zaraz za rękę bierze Hajotę
I wzrokiem pożera jej lice ~~Zaraz się do niej przy~~siada.

—

Hajota drobnej rączki nie broni,
Na licach ciche się mieni;
Wzdycha z litości, łzy cicho roni
Szczęścia szuka w kamieni.

—

Wreszcie znalazła, choć lęk ją spiera,
Porwała własną drążkę;
Chwyta bezbronną dłoń Zacharyasza
~~W rękę mu~~ Na palec tłustego ~~wcisnął~~ ~~Słubną~~ obrączkę!

—

„Przypatrz się Janku, przypatrz kogo zgubisz!
„Jam jest zbytnica i jędza,
„Za chwilę będziesz ze mną po ślubie,

„Bo zamordowali jej Księdza."

—

„Już wiedzą w mieście, że powód wstrętny
„Skandalu się nie da zmienić,
„Choć Otryk ~~wdowie~~ że wdowie zmyje, ci głowy,
„Musisz się z nią ożenić!"

—

Zachwycon zdobywca — co skandalicznej męże
Wąs mu się tylko najeżył;
~~Już~~ im w Gramicy księdzu związał ręce,
A on — wciąż jeszcze nie wierzył.

—

Dziś złość dla niej — koniec nie wielka
Hołota górą tkwi stoi;
A z pod małego jej pantofelka
On — nawet wyjść się boi!

—

Konice

Krakowo dnia, 3go Maja 1897

Ballada na nową nutę

.... Był stary król, miał młodą żonę,
I paź był złotowłosy....
„~~Znamy~~ „Dość! dość, już wiemy" „nudne"
Zewsząd odezwą się głosy.

~~Na inną zaś~~
„Z innego zacznę nam tonu,
Bo dzisiaj, moderńskiej zdrady
Na tronie i nie u tronu
Odmienne mamy przykłady."

Ha! skoro moda jest nowa
I barda osa zwycięża.
Więc:
.... Była stara królowa
I miała młodego księcia.

I była piękna paziczka
Grywała na fortepianie;
Jak lekki róży jej liczka,
A wcięta, jak osa w stanie.

Kiedy ją ujrzał król blady,
Cenne jej posłał kolczyki.

Wśród dam zazdrosnych gromady
Zgorszenia powstały krzyki.

Królowa łka w niebogłosy
Na wadę tak oczywistą:
Farbuje na świeżo włosy,
Z nowym uwada dentystą.

Lecz choć się wzięto do dzieła
To nie pomogło ni troszkę.
Nim druga doba minęła
Panienka ma... nową broszkę.

Nie! tego nadto zaiste!
Królowa sięga do dzwonka
Za drzwi wyrzuca dentystę
I każe wezwać szadzonka.

Ha!" woła „ty krzywdzicielu!
„Zdrady twej ścierpieć nie mogę.!"!
A król się usiadł w fotelu
Założył nogę na nogę

I rzekł: „Masz słuszność" w zasadzie.
„Lecz darmy, kornemu słudze,
„W powabów twojego listopadzie
„Z zimna... ~~piekła~~ zmartwienie się nudzę!

—

Miłostka – kończmy raczej...
" Ty, pani, zajrz do metryki,
" A zważ, że mi przebaczysz
" Tę... broszkę i te... kolczyki.

–

" Nie psujmy sobie humoru,
" ~~To mój~~ Niech cię ma rada nie drażni:
" Panienkę zrób damą dworu
" Znalazł... żyj z nią w przyjaźni!

–

" Po co nam sceny i waśnie?
" To wszystko życia koleje.
" Świat – rozsądkowi przyklaśnie,
" Niewczesną zazdrość... wyśmieje."

–

Zamilkł – i wyszedł z komnaty.
Królowa drżąca w rozpaczy:
Inaczej było przed laty!
Pod każdym względem inaczej!

–

Bo kiedy stary królowie
Miewali młode małżonki,

Poezyę były pacholęce,
Otrzymałem miłosne wianki.

—

A zemsty pomnej ciosy,
Krzyżowały zamku krużganki,
I zmiął przez złotowłosy
Całując różę Kochanki.

—

Lecz ~~tam~~ dziś, gdzie stara królowa,
A przy niej siedzi Król młody,
Żadna nie spadnie tam głowa.
Rzecz pójdzie, w duchu... ugody.

—

Hajota

Barkarola

I po cóż my się spotkali
Pośród mórz?
Na życia kapryśnej fali
Które się łodzi chyboce
Nas bliżej bo mowa dalej
Rozwiodą w mowie brzeg
A nam spotkać ślepi
Z dna.

Jedna o drugą uderza
Jedna o drugą
Siłą wrogiego przymierza
Wśród tłumu piasku
Żadna do brzegu nie zmierza
A obie ... się ...
Bo ... tę morską ostoi
Bez dna.

—

Coś mi przepowiada w duszy
Coś mi przepowiada po duszy
Jakby cień..
I porwie się tego ciemno
Bo wspomnienia co kołyszą
Tęskniąc dzień!..

byłś to Ty był!
Czy ~~to Ty jesteś~~ tym cieniem
~~Czy to Ty~~?
Czy to Ty jesteś tym cieniem
~~Luby mój~~?.. O mów;
Ty coś jest mym marzeniem
I pieśnią życia czyśmieniem
Bez słów?

Czemu gdy patrzę w twe oczy
Czemu gdy patrzę w twe oczy
Luby mój

Bo, jeśliś tylko ziarno siał
To choć nie na twej wzrosło glebie
Wiatr je na inny zagon zwiał
I kwiat gdzie zakwitł... nie dla ciebie.

—

Bo jeśliś coś budował rzesze
Nie to że wieczny wznieść gmach
Przyniósł z tych zwalisk cegłę bierze
Na trwały głów bezdomnych dach.

—

Warszawa, dn. 10 Lutego 1907 r.

…unek

…derskiej w/m.

…rkiz Rb. 150 —

…opasami " 10 —

Rb. 160 —

…Rayam

Czarny wzrostem podniósł wzrok zdumiony
Lecz spokojny. Nie! On w każdą chwilę
Do zaczepki gotów i obrony
Tak go słońce mądry nauczyło

Nie daj spojrzeć ucha ani oka
Tyś od dziecka sprzedał mu radę:
Bo śmierć na każdym czyhać będzie [illegible]
Gdzie się nowa spotkać możesz zdradę.

Niechaj zawsze nóż w twej dłoni błyska
I zakuta strzała [illegible] w kołczanie
Gdy wróg przyjdzie z daleka, czy z bliska
Co znienacka niechaj nań się zaskarne —

Więc się podniósł młodzian w [illegible] tęskni
~~Ale~~ Niezrozumiany, jak poszedł spojrzany
Pod wygnył, w czołem [illegible]
Gdzie ten świadek co go wstrzymał
Co swojego łona zbrojny podnosi do głowy,
~~Śmiech się~~
Lecz cóż widzi — kobietę — o wstydzie!
Na kobiety on zdał się inna
On co śmiało z łona wzgardy idzie
I [illegible] [illegible] [illegible] —

Pogardliwie śmiało [illegible] [illegible]
Chcąc wygrywać [illegible] i [illegible]
Ale cichutko jabłka [illegible] [illegible]
Moc [illegible] [illegible] je [illegible].

I gdy gniewny ~~[illegible]~~ bożą
Jak smok ostry śmiech przeszywa ciszę

I gdy gniewny z fali się odrywa
~~[illegible]~~ rozrywa
Niewidzialnych kantatorów muzyka
Wtrąca gdzieniegdzie, dźwięk niezwykłe..

—

~~Każde~~
Co za dziwy! każdy pień klekoce
I ~~Gdy na~~
Gdy się zbiorą na tany ochocze
Jak ~~to~~ ~~ta~~ [illegible] mojego wędrowca
Kiedy ~~ta~~ młodzież na tany ochoczą
Skacze potem przy blasku księżyca!
Ej!.. czy lubię [illegible] mocne dziewki
Tęskni mi jak do miłej jak do dnia..
Tydzień w drodze... przez [illegible]
~~Wspak..~~
~~Rosa~~ Splotł ramiona na piersiach i stoi?..
—

Co! i piękna w jego ojczyźnie
Na tych brzegach obcego plemienia?
Kobieta dziwna... z niej słowo po słowie
Wpół mu pada i w ogień ją zmie-
nia
Młodzian usta odchylił gorące
~~Kiedy~~ [illegible] się sypną skoczą a kiej płoną
Gdy ją dosięgł — objął w tańcu dziewczynę
Na tangowni [illegible] [illegible]

Do Helenki B —

Lata motylek z kwiatka na kwiatek
To raz na róży spoczywa
Tam go znów mały zachwyca bratek
Lub biała lilja zadziwia

Lecz wszędzie krótko o krótko bawi
Wszystko przyjemne na chwilę
Znów inny kwiatek do się go wabi
Znów z nim się zabawi niele

Helenko droga nic nie chcę mówić
Lecz mi się zdaje mój Boże
Że jeśli mam Ci prawdę wymówić
Tyś doń podobna jest może. —

Dobre masz serce aleś niestała
Zmieniasz się co parę chwilek
O proszę byś się nie rozgniewała
Jeśli Ci powiem żeś jest motylek —

Powinszowanie dla Pani Gaćrin

Gdy upragniona chwila nastała
Której oddawna pragnęłam szczerze
Idę z drugiemi, idę nieśmiała
Wdzięczność Ci Pani niosąc w ofierze

Bo za te trudy, za te starania
Które ponosisz dla nas łaskawie
Za Twą opiekę co nas ochrania
Abyśmy złego nie znały prawie

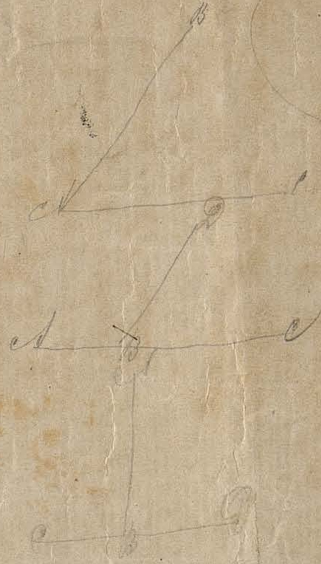
Za ukształcenie serca naszego
Za rad zbawiennych dobrych dawanie
Którażby z nas będzie zdolna do tego
Aby Ci godnie odpłacić za nie

Chcej nam nie brak dobroci o Boże
Siły, i mocy w dobrem wytrwania
Abyśmy Pani choć później może
Nagrodzić mogły Twoje starania

Hela Boguska

Helena

Helena Boguska



Tęsknota

Co mi się dzieje. Wiedzieć nie mogę
Jakaś tęsknota dziwna mną włada
Jak by przeczucie jakieś złowrogie
Umysł i serce ciągle napada
Lecz złem powiedział wiem ~~czegom smutny~~ co obarczony
I ~~za czem tęsknię~~ smutkiem na duszę ; i czego płaczę
Ten świat ~~jest dla~~ mnie do szczęścia nie nie wystarcza
Zawsze o innym lepszym marzę
Tęsknię za niebem za tą krainą
Gdzie ~~same szczęście~~ nie ma nędzy co serce wzrusza zaś serca zmartwienia
Gdzie uśmiechy a łzy nie płyną
Tam się wydziera ma biedna dusza
I wzrok mój smutny łzami zalany
Zwracam na srodze piękne obłoki
Po za któremi ten świat nieznany
Rozległy szczęściem swoim szeroki.
W własnej mej tylko potędze mocy złożona
Błogość [illegible] Wszak ta kraina
Dla Dobrych ludzi jest przeznaczona
~~W nagrodę cnoty [illegible]~~
Bo Bóg o takich nie zapomina

~~Niech więc to [illegible]~~ko

Więc niechaj cnoty odda ci dozgonne cnoty
Wytrwale znoszę wszystkie cierpienia
Które mnie zapewnią mnie nie omylnie
Nagrody dawnego uspokojenia

A gdy po długich ciężkich nawałach
Ucichną się w sercu porywie w [illegible]
Kiedy odporną po życia ~~trudach~~
Ale odporną brew lepszym świecie

I ~~będą~~ mieszkać w owej Krainie
Z której to szczęście jak promień złoty
Do ~~[illegible]~~ ~~ożywczo serca~~ ożywczo wpłynie
~~wygnał~~ z ~~[illegible]~~ [illegible] ciebie tęsknoty

Do Henryka Siemiradzkiego,

Na sznurek życia, czas niby perełki
Nawleka chwile, złote, czarne, szare
W twem życiu, Mistrzu, zasób pierwszych wielki,
W mojem dość czarnych, a szarych - nad miarę.

—

Lecz za to lepiej niż wybrańcy losu
Umiem ocenić każdy promień tęczy,
Wrażenia u mnie nie tracą odgłosu,
Co raz mi w duszę wpadnie - zawsze dźwięczy.

—

A w księżycowe noce tajemnicze
Myśl jak w klejnoty we wspomnienia zdobię;
Do takich wspomnień pozwól, niech zaliczę
Ten dzień uroczysty, co zawdzięczam Tobie.

—

Za te urocze, te świetlane chwile,
Za ten przyjazny uścisk Twojej ręki
Wyrazić wdzięczność napróżno się silę,
Zamknę ją w sercu i w tem słowie: dzięki!

Szczawnica 24 sierpnia
1880 r.

Majóta



Dwie próby.

przez Flajotę.

Va, spytacie – kto przecie?
Lecz wybaczcie poecie
Że nazwiskiem was jego nie darzy,
Co konieczne w paszporcie
Lub w światowym komforcie
Z tem poezyi nie bywa do twarzy.
Gdy się powie: on, ona
Prezentacya skończona,
A gdy jeszcze dodamy, że młodzi
To już wnet czytelnika
Powiadomi praktyka,
Że niechybnie o miłość tam chodzi.
Och! ta miłość skrzydlata!
Gdzież bo ona nie wlata!
Gdzież jest człowiek, co dotrwa jej siłę!
Coby chociaż w marzeniu
Przy tym świętym płomieniu
Nie roztajał, nie zabłysł na chwilę.
Więc niech nikt się nie śmieje,
Że miłosne mu dzieje
Prawię, i że rozpocznę od balu,

Bo tam w licach młodziana,
Zaszła ważna odmiana,
A sprawiły ją usta z korala,
I twarzyczka urocza
W ciemnych splotach warkocza,
Gdy ją ujrzał, to zbłaźniał jak dziecię.
Ach bo była tak ładna!
Jak na balu tym żadna,
A dla niego, jak żadna na świecie.
I nie śmiało stał z boku
Lecz snać tego uroku
Nie on jeden ofiarą się stawa stanie;
Bo przez roje młodzieży
Wzrok dziewczyny doń bieży
A w nim świeci miłości zaranie.
Ychoć mężczyzn tam tyle,
Ona jemu w kadrylu
Do mazurki podaje dłoń białą;
Nim bal drugi się zacznie,
Już tych dwoje niebacznie,
Miłość sobie wzajemną wyznało.
Toż to zwykły początek,
Z niego dalszy się wątek
Snuje, wiodąc do stopni ołtarza;
Albo nić ta szczęśliwa
Niewysnuta się zrywa
I niestety! to częściej się zdarza.



Mija kilka miesięcy
~~Młodzian~~ On ją coraz goręcej
Kocha, dziecięco odpłaca mu szczerze.
Niema żadnej przeszkody
Czemuż tedy pan młody
Swej najmilszej za żonę nie bierze!
Czemu często się zdarzy
Że mu uśmiech na twarzy
Znika nagle, zasępia się czoło?
Ona na to nie zważa,
Bo ją smutek przeraża,
Nie zna smutku, jest zawsze wesołą.
O chichotka to pusta!
Ot dla wszystkich swe usta
Jednakowym ozdabia uśmiechem;
Choć jednemu oddana,
Na każdego młodziana
Miło patrzy! wszak nie jest to grzechem!
Lecz innego on zdania;
Stąd mu tak przystania
Obraz szczęścia, i studzi w zapale.
Myśli bowiem: O! płocha,
Wiem że teraz mnie kocha,
Lecz czy kochać potrafi mnie stale?
Raz doświadczyć ja muszę
Choćbym straszne katusze

Przetrwać — chętnie się na nie narażę,
Może rok cały odjadę,
A czy wierność czy zdradę
Zyskam? czas to gdy wrócę pokaże.
I wnet zamiar w czyn zmienia
Postłumiwszy westchnienia
Do kochanki: „O luba — wyrzecze
„Ja cię żegnać przychodzę,
„Jutro będę już w drodze
„A rok może się podróż przewlecze."
Posmutniała dziewica
Zbladły piękne jej lica
„Jedziesz" rzekła z serdeczną [illegible]
„O! to bardzo myśl zdrożna
„Mnie tak martwić nie można
„Ja w tęsknocie nie wytrwam pół roku.
„Będziesz potem żałować,
„Gdy ci przyjdzie mnie chować
„W trumnę zmarłą z miłości ku tobie
„O! ty się upamiętasz!
„Nie? Więc dobrze! Na cmentarz
„Idź, gdy wrócisz, powitasz mnie w grobie!"
Znów go prosi i szlocha.
Jak tu wątpić że kocha!
To też młodzian sam nie wie co pocznie.
Serce ~~szepce~~ mówi: Rzuć próby
Niech dozgonne cię śluby
Z tą pieszczotką połączą bezzwłocznie!

Lecz rozsądek mu każe
Wytrwać w dawnym zamiarze
Więc się krzepi odwagę i wolą
„Cóż to długo tej biedy!
„Za rok wrócę a wtedy
„Nic nas luba rozłączyć nie zdoła
„Zostań wierną mi tylko
„Krótką cierpień tych chwilkę
„Wieczne szczęście zyskamy w odwecie"
Tak ją żegnał od serca
Ten nasz uczny probierca
Pojechał gdzieś daleko po świecie.
Dziewczę w gorzkich łzach tonie
Załamuje swe dłonie
Cóż, czy rok będzie łatwo płakać bez przerwy?
Ot już [tydzień] rozśmiać się może
Nie wesoło, broń Boże!
Tylko tak, . . by podziałać na nerwy.
Przeszło kilka miesięcy
Śmiechu coraz to więcej
Ale pewno za tobą tkwi w duchu
Na bal prosi gdzieś grzecznie
Ha, być trzeba koniecznie
Tańcować . . tak tylko dla ruchu..........
Resztę czas się tem skraca. . . . .
Rok przeminął . . . on wraca
Ufny w miłość swojego anioła
Nie chcąc zwlekać spotkania
Dąży do jej mieszkania

A tam trzeba iść koło kościoła.
Patrzy — karet tak wiele
Pewnie jakie wesele —
Rzecz zwyczajna, wrażenia nie czyni.
Czemuż wolniej więc kroku
Niepokój ma w oku
I wstępuje w podwoje świątyni?
Za kolumną się chroni
Rękę podniósł do skroni
Wzrok tkwi w stronę głównego ołtarza
Gną się pod nim kolana
Lica bledną jak ściana
Cóż za widok go straszny przeraża?
Wraca ciżba godowa
Wśród niej niby królowa
Pomarańczy nad czołem ma kwiecie,
Takiż bukiet u łona,
Mamże mówić, kto ona!
On, ją poznał, wy pewno zgadniecie.
Wyszli... kościół już pusty
Młodzian blady jak chusty
Na posadzkę bez siły upada.
Przeklinając Szekspira
Woła głosem satyra
„O kobieto! twe imię jest zdrada!
. . . .
Upłynęło lat parę
On kochanki miewiarę

I swą miłość wspomina minioną.
Dziwną gorycz w nim budzi
Wieść słyszana od ludzi
Że ta płocha, tak dobrą jest żoną.
Biedny! za te zawody
Czy nie ~~[illegible]~~ znajdzie nagrody
Czy ze szczęścia pożegnał się błyskiem?
Wcześnie zniknęła już wiosna;
Prawda! ale miłosna
Recydywa, jest częstem zjawiskiem
Może Eros różowy
Romans ześle mu nowy
Może znów się nawiąże nić złota,
Miałby serce z kamienia
Gdyby na nim wrażenia
Nie zrobiła już żadna istota
Ach ta zwłaszcza jedyna
Jasnowłosa dziewczyna
Którą poznał tak właśnie na dobie
Kiedy serce zranione
Zdjęło kiru zasłonę
I już w lekkiej chodziło żałobie.
Tamta! była wesoła!
U białego jej czoła
Myśl zawisła poważna marząca
Odmienne ma lice;
Ale mimo różnicę
On pokochał ją w ciągu miesiąca!

Lecz do wyznać mi skory
Nawet uczuć pozory
Chce skryć, pomny na dzieje przeszłości
A to trudno niebêty!
Bo jak wiecie — kobiety
Przenikliwe są bardzo w miłości.
Młodzian żalu się trzyma
Ale w zamian otrzyma
Czasem szyzwa i dyskrecyą przymierze.
Dziewcze spojrzeń wymowę
Znać odczumieć gotowe
Spowiedź dać ciało i szczerze.
On to widzi więc czemu
Milczy wciąż jej dawnemu
Czemu „Kocham" nie powie raz przecie
Zamyślony i blady
Czy znów lęka się zdrady?
Zdrady po tej!... o nigdy na świecie!
Raczej sobie nie wierzy
Czy miłości kwiat świeży
W sercu jego na nowo zasnuje
Może tylko się łudzi
Może czas go obudzi
Ze snu tego, i uczucie ~~onego~~ rozkuruje.
Ach bo myśli — ja przecie
Raz już jednej kobiecie
Serce moje oddałem i duszę

Teraz kocham znów inną
Taką śliczną, niewinną!
Toż doświadczyć się to przody sam muszę.
Ufam mojej rozwadze
Że się przed nią nie zdradzę
Z zawczesnem wyznaniem nie zmącę
Jej spokoju, aż ściemna
W moją stałość uwierzy
A pewności nabierze przewodzące
Jeśli wrócę z poroka
Wciąż podpatrywam z boka
Jakim teraz mam duszę olśnioną
W lichej drobne jej rączki
W ślubne skuję obrączki
O! bo wiem że mi zechce być żoną!"
I odjechał – ni słowa
Oprócz „Pani! bądź zdrowa
Niewyrzekł się na długie rozstanie.
Ach dlaczego o Boże
Dziewczę przeczuć nie może
Że chłopięcego – to tylko udanie.
Smutna – główkę zwiesiła
Szepcąc „jam się łudziła!
„On mnie nigdy nie kochał ni trocha"
Mija miesiąc a ona
Wciąż tą myślą strapiona
W miłości jego niewiary… o kocha!

Ej młodzieńcze! czy tobie
Nic przeczucie w tej dobie
Tajemniczym nie szepcze nakazem:
Abyś skrócił czas próby
I powracał do lubej
Bo znów późno być może tym razem.
Kto wie! Lecz on wytrwały
Rok doświadczał się cały
Za to potem ni chwili nie zwleka,
W rodzinne swe strony
Zakochany stęskniony
Wraca, ~~gdzie~~ może [?] szczęście go czeka.
Tą nadzieją bogaty
Spieszy znów jak przed laty
Spędzić smutek z kochanki swej czoła.
W wspólnem odżyć wesela.
~~Lecz~~ by stanąć u celu
Znów iść musi tuż obok kościoła
Spojrzał w chłodną głąb nawy
Jakiś blask go jaskrawy
Lecz ponury, uderza na chwilę nie mile
Nagłą myśl mu przychodzi
Że pomodlić się godzi
~~I wstępuje w dom Boży~~ [?] powrotu do domu choć na chwilę.
Cóż to! pogrzeb! dla Boga
Chce się cofnąć od proga



Smutnem jakimś przeczuciem zmrożony,
Ach, bo trzebaż mu było!
Dziś się spotkać z mogiłą
Żałobne usłyszeć tu dzwony.
Niespojrzawszy naokoło
Ku drzwiom zwraca swe kroki
Wtem go wstrzymał głos jakiejś imości
Co sąsiadce wpół cicho
Szepce: „Zda się na licho
Kochać, ona umarła z miłości!"
Któż to? Młoda czy stara
Ta uczucia ofiara
Coś go ciągnie, by przyjrzał się z bliska
Zkąd mu takie żądanie
Pojąć nie jest sam w stanie
Lecz się wraca, i przez tłum przeciska.
Patrzy, pośród zieleni,
Świec drżących płomieni
Jakaś trumna drewniana się bieli
Mirtu na niej korona
Z podeń sąbek welona
Na śmiertelnej się zwiesza pościeli.
Młodzian podszedł tak blisko
Że już może nazwisko
Jej wyczytać, na srebrnej tablicy

Przeboj! !
~~Bo~~ to: wznosi się, chwieje! ......
Biedny! jego nadzieje!
~~[illegible]~~ tonieje
W grób się z Toią wraz z trumną
~~Za trumną upada przytłumiony~~.

Wszyscy patrzą... on pada

Twarz zastygła mu blada,

Ale serce, czy jeszcze kołace?

Ona! zmartwiałe głazem
~~umarł ich nie mami~~
I nad obojgiem razem
~~Wyż nad drogimi trupami~~
Kapłan rzekł ~~Odpowiadano~~ „requiescat in pace."

Koniec.

18

Biegnieś, tak Pani; jakbyś stopy twoje
Zmęczone wskrzydła, ja i nie dostoję.
~~Daj mi wolność~~
~~Być samym dzieckiem, jak kiedyś przedlaty.~~

Dzięki; dzięki wam żałosne drzewa
Że mi więzienne zasłaniacie mury,
Że tej radości, co mi po duszy śpiewa
Akord wesoło zmienia na mój ponury.
Chcę być szczęśliwą. Cóż mi teraz bratnie?
Tłum mi wolnego nie tamują ściany
A wzrok dzikmony, co przestrzeni łaknie
Biegnie przed siebie, morzem nie wstrzymany;
Tam, gdzie gór pasmo nikłe wstęgą siną
Mojego państwa brzegi się wydłużają
A owe chmury, co nademną płyną
Szukają Francji po za ~~oceanem~~ morskie łonie
O szybkie chmury! ~~[illegible]~~ z wiatkiem żeglujące

8 Wy mi pozdrówcie kraj mój ukocha
Wy mu powiedzcie, że za mną go…
Niestać Królowej co dźwiga kajdany.
Ach bo wy jedne w tym kraju niebie…
Niepodległe wolne od jarzma Elżbieta
Kennedy. 10

Najdroższy Tato!

Dziś duszy jak wszystkie żarliwej gorącej
Wzruszona me modły wznosiłam
I z całą szczerością mej duszy dziecięcej
O szczęście Twe Tato prosiłam

X ✠

~~I teraz z życzeniami przychodzę do ciebie~~
~~Od [illegible] gdy pierwszy raz uczucia wyrażałam~~
~~[illegible]~~
~~Od [illegible] gdy pierwszy raz uczucia wyrażałam~~
~~[illegible] twe [illegible] przepowiadać~~
~~[illegible] przez Boży od ciebie [illegible]~~
~~B dziś [illegible]~~

I teraz z życzeniami przychodzę nieśmiało
Życzenia me złożyć Ci szczerze
By dary Ci przynieść jam jeszcze za mała
Przyjm Tato me serce w ofierze

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

Bóg po

u Wieżo prosto z [illegible] [illegible] Tato

Niech życie ci błogo upłynie

Ju Bogu pobożnie ~~[illegible]~~ [illegible]

I Będę Twem [illegible] [illegible]

La fleur du souvenir
ou
„Ne m'oubliez pas.

Traduction d'Hélène-Jeanne. poésie d'E... ly

Elle me donna une fleur,
Une fleur bleue, comme les cieux
Le jour, ou toute en pleurs,
Elle me disait adieu.
Et ajoutait encore
„Reviens vite! ô mon coeur!
„Je t'attends, et alors
„Tu me rendras cette fleur.

„Tu comparais maintes fois
„Mes yeux, à ses pétales
„Quand mon regard se noye
„Dans les songes idéals.
„Tu m'as pris, ô! douleur!
„Mon beau rêve de joie
„Prends donc maintenant cette fleur.
„Et pensez, pensez à moi

„Si la vie trop amère
„Te rend le coeur navrant,
„Quittes les montagnes, les mers,
„Et reviens dans ces champs.
„Tu me trouveras fidèle,
„Devouée, comme maintenant

„Mon amour éternel
Est plus vaste que l'océan.

Et si... si par hasard
Je venais de mourir!
Si tu retourne trop tard!
Oh! écoute mon désir!
Va chéri au cimetière
Va là bas sans gémir
Et dépose sur ma pierre
Cette petite fleur du souvenir.

Je partis... le sort fatal
M'amena des jours sombres.
Tous mes beaux idéals
S'envolèrent comme une ombre.
Il me resta cependant,
Une pauvre, petite fleur pâle.
Souvenir de mon printemps,
Et de mes idéals.

Mon âme dans son triste cours
Se remplissait du fiel,
Et j'avançai toujours.
J'avais foi en Elle.
Ses yeux bleus me servirent
Du guide dans les détours
Je voyais leur clarté
Et j'avançai toujours

Fragment

z poematu dramatycznego p.t. „Zaświatowi"

Odejdź odemnie w widomej postaci,
Odejdź tem wszystkiem co jest z tego świata,
Niechaj cię słuch mój, niech cię wzrok mój straci
I niech mnie ramię twoje nie oplata.

–

Zapomnij o mnie ziemskiem pragnieniem
Tem co się świeci, co lśni, co pieści;
Tem co w swem trwaniu - trwania tylko cieniem
I co jest treścią doczesnej beztreści.

–

Nie łącz się ze mną w tej powszedniej walce
Co zwie złota marną jutra troską

I w której – rządzi życia stwórce
Trwonimy naszą ojcowiznę boską.

—

Pozwól mi zdobyć to księcie ogromne
O! ty, mój bliski taki – a daleki
By, gdy się Bogu o Ciebie upomnę
Mógł mi cię oddać w błękitach – na wieki!

—

Gdym cię zaczęła wielbić skrycie
Zdawało mi się,
Że mi „Kaprysem" czy będziesz w życie
Mój ty — „Kaprysie"!

—

Lecz się inaczej pokazało;
I wyznać muszę,
Żeś dla mnie „Rabskim", boś mi całą
Zrabowała duszę.

I oto kipie… wbrew fizyce
Ta lekka woda!
A może to są… tajemnice
Pierwszego kwitnia?



Janowi Matejce
w hołdzie.

Daleką rozpacz od tych, w których gorzą
Ciężar niejasności najsroższe cierpienia
Jeśli żal ich skrzydły swemi chłodzą
Anioł nadziei i anioł wspomnienia.

—

I nam te duchy osładzają mękę:
Pierwszy przyszłości rozświeca nam mroki,
A drugi, Ciebie, Mistrzu, wziął za rękę
I w przeszłość naszą wiedzie Twoje kroki.

—

Błogosławiona podróż, która daje
Nam arcydzieła, nieśmiertelność tobie,
Polska w niej _żyje_ a nie _zmartwychwstaje_
Bo ona nigdy nie spoczęła w grobie.

Ty tylko Mistrzu stanąłeś na straży
Ogniska naszej narodowej chwały,
I wzorem wielkich, zgasłych już pieśniarzy
Piastujesz nasze święte ideały.

I gdy zwątpienie czoła nam zamroczy
Kiedy jęk z piersi wyrwie się rozdarty
Geniusz Twój wtedy stawia nam przed oczy
Historyi naszej najwspanialsze karty.

I mówi: „Spojrzyj jakżeś był bogaty
O, mój narodzie, dziś nędzarzem zwany

Zostały tobie przodków świetne szaty,
Byś niemi okrył Łazarzowe rany,

—

W tych szatach drzemy, idź drogą krzyżową
Krwi w tobie więcej niż jej wytoczyłeś
Starczy jej, kiedy błyśnie nad twą głową
Dzień wyzwolenia, byś był tem, czem byłeś!

—

Anielskie słowa! i głos ten niebieski
One w proroków stawiają Cię rzędzie
Niemi przemówił do nas Twój „Sobieski"
I za to, Mistrzu, cześć niech Tobie będzie.

—

Hajota.

Kraków 21go Lipca 1883 r.

25

Janowi Zacharyasiewiczowi.

Myśl - to jest motyl - a wyraz to szpilka,
Co skrzydlatego utrwala wietrznika;
Lecz jakże często, gdy chwycim motylka
Świetność barw jego pod ~~palcami~~ dotknięciem znika,

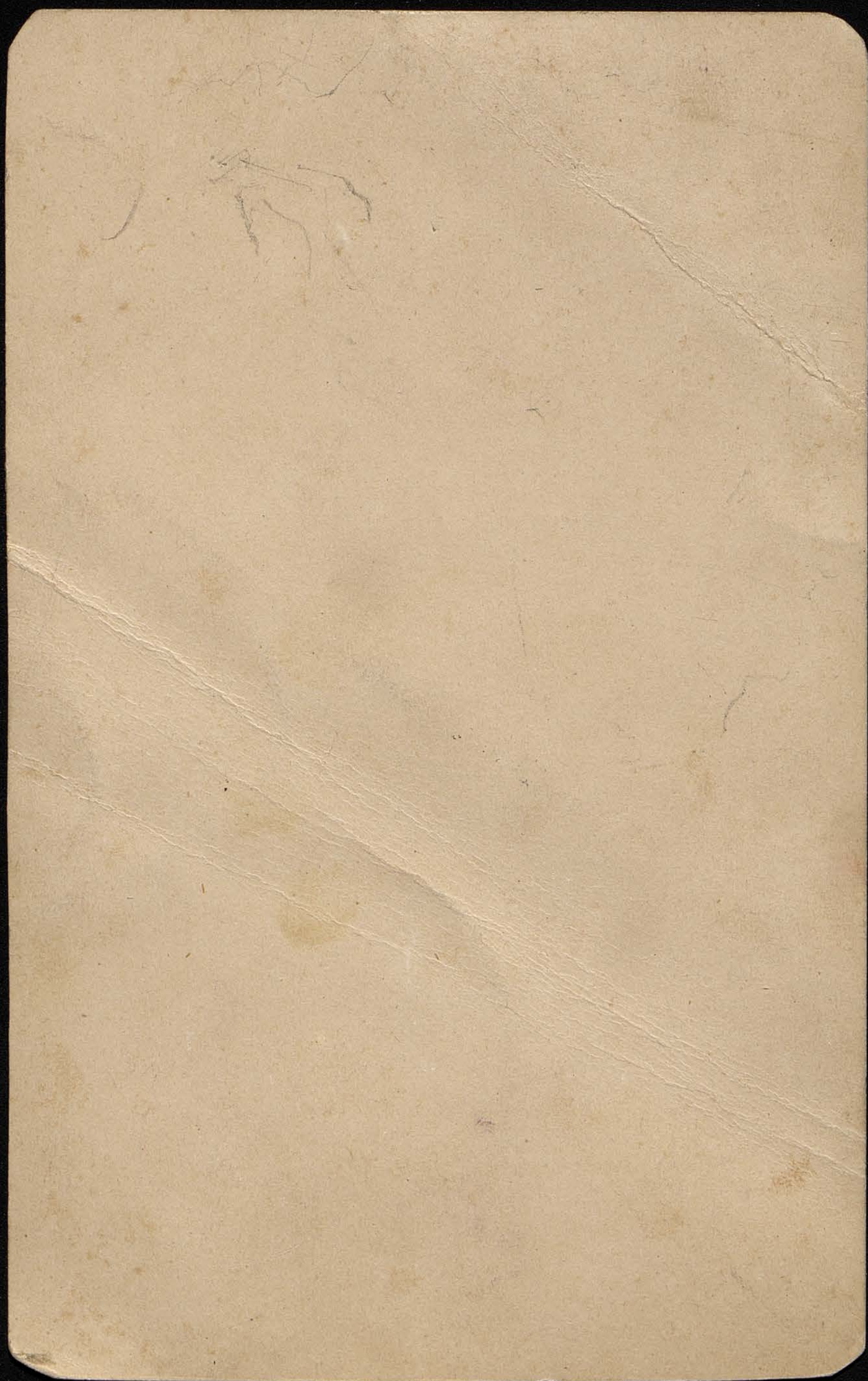
I nad tą kartą - racz Jubilacie,
Tłum moich myśli buja jak motyle,
Każda w godowej chce wystąpić szacie
Na dzień - świąteczną pragną uczcić chwilę.

A ja - modniarka tej kapryśnej rzeszy,
Co jej przyczynię strój z tęczowej przędzy,
Widzę, jak bardzo porównaniem grzeszy
I wnet go sama odepnę co prędzej!

Nieodłącznej pracy gdy sprostać nie mogę
Nad tylko dobrych zostawiając chęci;
Niech myśli moje same znajdą drogę
Do Twojej duszy i Twojej pamięci.

Hajota

16 Maja 1885.

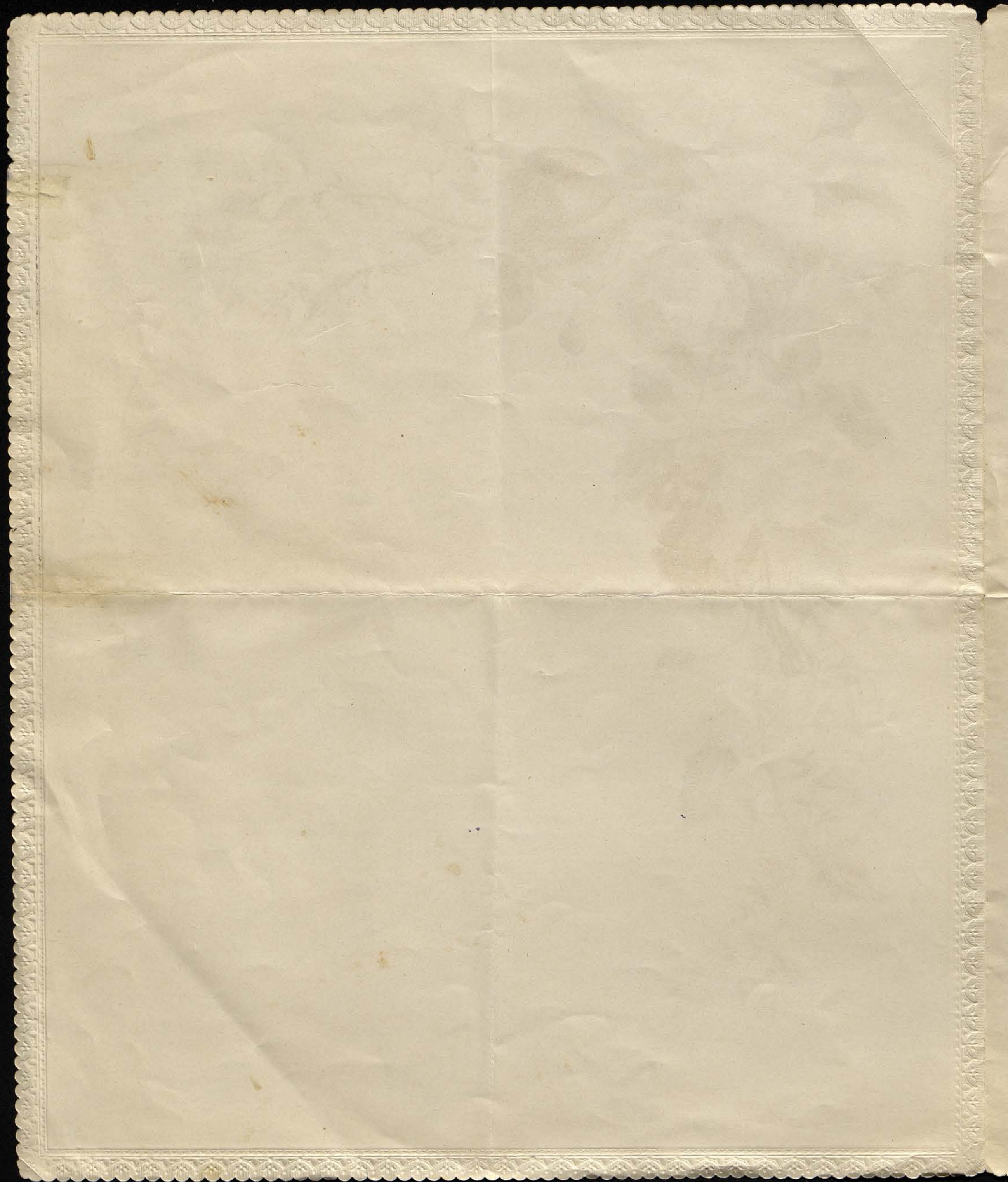


26

Janowi Zacharyasiewiczowi
w
Dniu Imienin

Przezacny Mężu! Oto kołem
Stajem w życzących Ci dziś chórze.
Już wawrzyn sławy masz nad czołem
Więc Ci przynosim: uczuć róże.

I tej je Twojej święcim chwale
Przy której, inne chwały bledną:
Wszystkieś nas wielbił tak wytrwale,
Żeś nie miał czasu - wielbić jedną:



Zaiste! zaszczyt Ci to czyni,
Żeś wśród nas – pełen wiar zapału,
Nie szukał żony, gospodyni
Tylko – Kapłanek Ideału.

–

Że nie zwiazało się Twe serce
W małżeńskim – wnet stygnącym wzątku
Lecz, nieustannie, po iskierce
Płonie dla każdej – bez wyjątku.

–

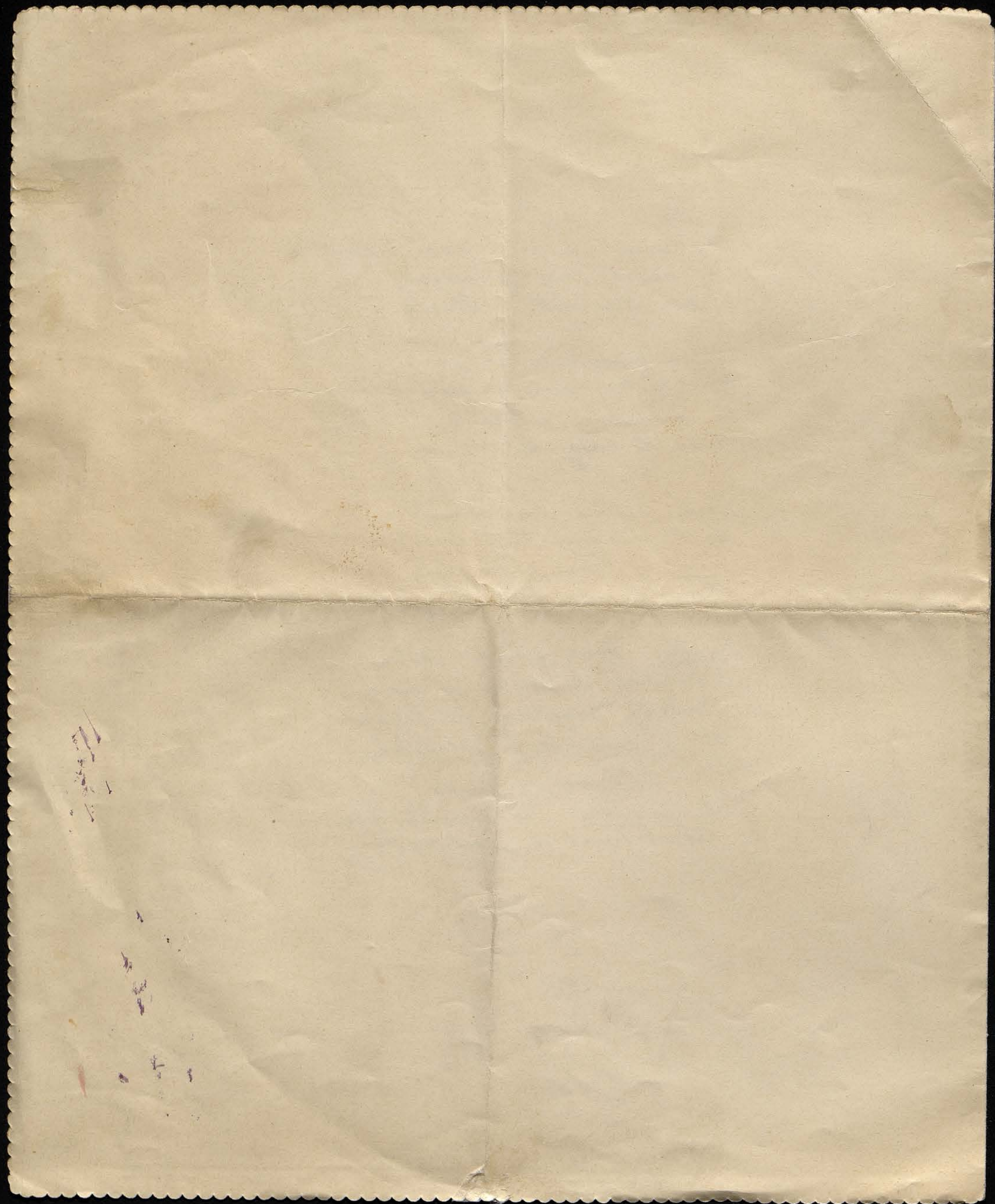
Za to, nagroda Twa niemała:
Czy to tłumaczyć długo trzeba?
Jedna – by Tobie piekło dała,
Wszystkie – przychylić chcą Ci nieba.

–

Ta jedna – oprócz swarów, krzyku,
W dodatku (co już nie jej wina)
Miałaby zmarszczek dziś bez liku
No – i podbródków półtuzina.

–

A wszystkie – zawsze młode, świeże,
Gotowe śmiać się i żartować



Już wyleczon już tak czuły,
Arabeski tworzę nibody!
Kiedyż żyłeś? czy to sen i we
Niespokojnie te szarady?

—

Ach ~~te zalotka, ach te chwasty!~~
Jak ~~to poetom Heinem~~
O
O tym zalotku, o tym chwastku
po Hamsunowsku rym się snuje
Tych wierszy protoplaście
Dusza pewno się raduje
Że wychował takie dzieci
Które jego idąc śladem
Depcą kwiaty, zmorą co i miesiąc
I płoną w swoim jadem.

—

Dość! pokój mi te zaczy
Z których lecz się ci ... się
Męczenniku ryj ...!
Pojedziesz za me ... do nieba

—

Lecz co widzę... znam ah dzieje

Lecz co wrócę — znam ich drogi
Tych,
Chłód bolesny od nich wieje
~~Na dnie... w sercu [illegible]~~ [illegible]

Lecz co wrócę... znam ~~[illegible]~~ drogę
Znam je nawet drogę blisko
Chłód bolesny od nich wieje..
Jednak w sercu mam ich siedlisko

Miałeś wszystko co ~~[illegible]~~ marzenie
W życiu los słońcem łaskawa
Czemuś pełnyłeś na pewności
Co ich wiernie drogą prowadzą.

Czemuś chwytał w życiu zamęcie
Na co kradnie, lecz ciekawie
Czemuś o [illegible] na [illegible]
Świat co [illegible] ci [illegible] [illegible]

Ale zawsze "jedne słowo
Mech się mrużą [illegible]
~~Z [illegible] potem [illegible]~~ [illegible]
I nich ta kocham że się [illegible]
Chłopczyk [illegible] [illegible].

Tak tyś chory

~~Gorsze [illegible] od~~

Tak tyś chory, i daleki
Świat twój wyzdrowienia dobry
Bo chciej wiary, twoje leki
Gorsze prawie od choroby.

—

Niech moje dni [illegible] [illegible] bardzo [illegible]
Lecz mnie te niezbędne [illegible] ozdoby
Oprawić [illegible] na promie [illegible] profesora
o ~~cierpliwości~~ przyjaźni dla Heleny. – uroczyście dla Hajoty.

Wachlarz biegnie się na bale
Rozgadki na życie
[illegible] kamelia to każdym szale
Chodzą znajomości

~~Szkoda tylko~~,
Czarne to są amulety
dla ciała i duszy
Szkoda tylko że los [illegible]
Tak je [illegible] kruszy.

30

Niemowlątko.

Otworzyło na świat słabe
Oczyny
Niemowlątko, jak śnieg białe
Bez winy.
I jakoby wpół na jawie
Wpół we śnie,
Po raz pierwszy zakwiliło
Boleśnie.

Anioł Boży płacz usłyszał
Dziecięcia
I do nieba mu go przyszła
Myśl wzięcia.
To biedactwo — nikt — nie ze swej
Tu woli
Przyszło, a już coś go dręczy
Coś boli:
Niechże zatem ~~z bytu~~ z doczesnego
Istnienia,
Nic nie zazna, prócz tej chwilki

Cierpienia.

A do szczęścia już nie więcej
Nie trzeba
Bo mu ona będzie kluczem
Do nieba! –

Wszak aniołek nad kołyskę
Wraz zlata
I zabiera duszę dziecka
Ze świata.
I do tronu Najwyższego
Ją wznosi
O przyjęcie jej w anielski
Chór prosi.

A Bóg rzecze: Słuszne stawiasz
Powody;
Łza niewinna, warta wiecznej
Nagrody.

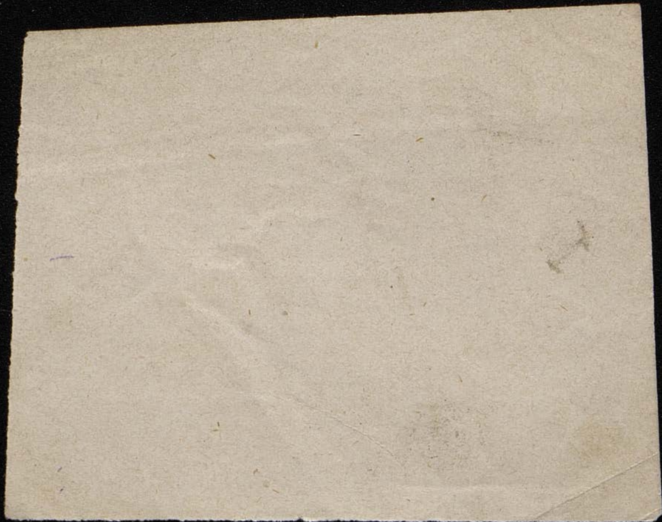
Hajótce.

O zostań przy mnie! chwilki czas krótki;
Mnie często życia, ciele przytłoczy.
Skończą się walki, skończą się smutki
Niech Boża ręka zamknie mi oczy.

O zostań przy mnie, Ty drzewo bratnie
Przy Tobie pierś ma wolniej oddycha,
Niechże to będzie kropla ostatnia,
Którą mam wypić z życia kielicha.

O zostań przy mnie. Niech mnie Twe ramię
Od zawistnego odgrodzi świata —
Wszystko mnie dręczy, wszystko mnie kłamie
Jako Tobie tylko nie widzę kata!

O zostań przy mnie… lecz — Co to znaczy
~~o nas~~ Naprawdę dokoła wokół oczyma:
Ciemno i głucho… nic, prócz rozpaczy
Byłam szalona — Ciebie — już nie ma!





Pięknie to było gdy żyli rycerze
Bohaterowie średniowiecznych dziejów
Co pierś okuwszy w stalowe pancerze
Czas swój trawili wśród walk i turniejów.
Co choć Marsowi służąc i Bellonie
Pod rząd Wenery chylili swe czoła;
A w rękawice odziane ich dłonie
Łukiem Kupida nie gardziły zgoła.
Zaledwie młodzian bój stoczywszy w szrankach
Zdołał ochłodzić urnojone lico
Spieszył tam żywo, kędy na krużgankach
Nadobnem kołem siedziały dziewice.
Za skinieniem jakiej rączki białej
Na rozkaz jakich powłóczystych oczu
Gotów był skoczyć na szczyt stromej skały
Lub w wód głębokich skąpać się przezroczu.
Z odwagą życie kładł nieraz na szalę
By pięknej damy wypełnić kaprysy
I po chusteczkę rzuconą niedbale
Lub rękawiczkę, szedł między tygrysy.
Gdzież dzisiaj znaleźć takich typów ślady,

Z takich czynów?. Zniknęły bezpowrotnie
A wymuskany salonowiec blady
Już na ich wzmiankę chowa się sromotnie.
Na równi mieni z pracą Herkulesa
Zabawiać damy. Usiadłszy z daleka
Jakieś zwietrzałe prawi im frazesa
A po kolacyi co żywo ucieka.
Nawet ci, którzy nie zeszli w całości
Z opustoszałych galanteryi torów
Co w modnym świecie słyną z uprzejmości,
Jakżeż dalecy od swych pierwowzorów!
– Naprzykład jeden. – Głosi o nim fama
Wielkie pochwały. Psują go kobiety!
A przecież pomnę, dnie gdy pewna dama
Raz go o pewne prosiła bilety,
Takie z tą rzeczą robił korowody,
Jakgdyby pełniąc to drobne zadanie
Potrzeba było zwiedzić antypody
Lub po lodowym błądzić oceanie.
I choć tej prośby nie wypełnił wcale,
Wzamian za inne, równie wielkie czyny
Sądził się w prawie zażądać zuchwale,
Wierszy od damy na swe imieniny!

Czyż młodzianowi z rycerskiej epoki,
Chęć by się taka zrodziła w umyśle?
A przecież miał to, za honor wysoki,
~~By~~ Damy pragnienia wykonywać ściśle.
Często by kwiat jej przynieść ku zabawie
Błądził dnie całe wśród urwistych brzegów
I był szczęśliwym gdy ona łaskawie
Raczyła przyjąć owoc tych zabiegów.
Choć jej takich przysług oddał siła
Chociaż był zawsze do poświęceń skory
Ledwo śmiał błagać, by mu pozwoliła
W imię tych czynów, nosić swe kolory.
A dziś! o zgrozo! o zepsuty świecie!
Toż to już prawem zda się być przyjętem
Że gdy kto grzeczność wyświadczy kobiecie.
Pragnie ją zaraz odebrać z procentem.
I to ja. która gorzej taka zmiana
Miałażbym jeszcze składać jej dowody
Miałażbym z racyi imienin młodziana
Wbrew swym poglądom szumne pisać ody!
Zaprawdę dawniej, gdy wojownik każdy

Chciał pieśnią własne uświetnić zalety
To mu[4.] śpiewały[3] o[1] nich wdzięczne[2] bardy
Lub trubadury, lecz nigdy kobiety!
Wybacz więc przeto, że mimo chęć szczera
By krasomówczą błysnąć erudycyą
Nawiąż twe czyny, głos mi już zamiera
I wolę milczeć, niż zerwać z tradycyą.
Radę ci tylko dam z tym nowym rokiem,
Żeń się młodzieńcze. a wtedy być może
Że twych domowych cnót tknięta widokiem
Na twą pochwałę, wiersz jaki ułożę.

Helena Janina
Boguska

Warszawa 20 Luty 1877 r.

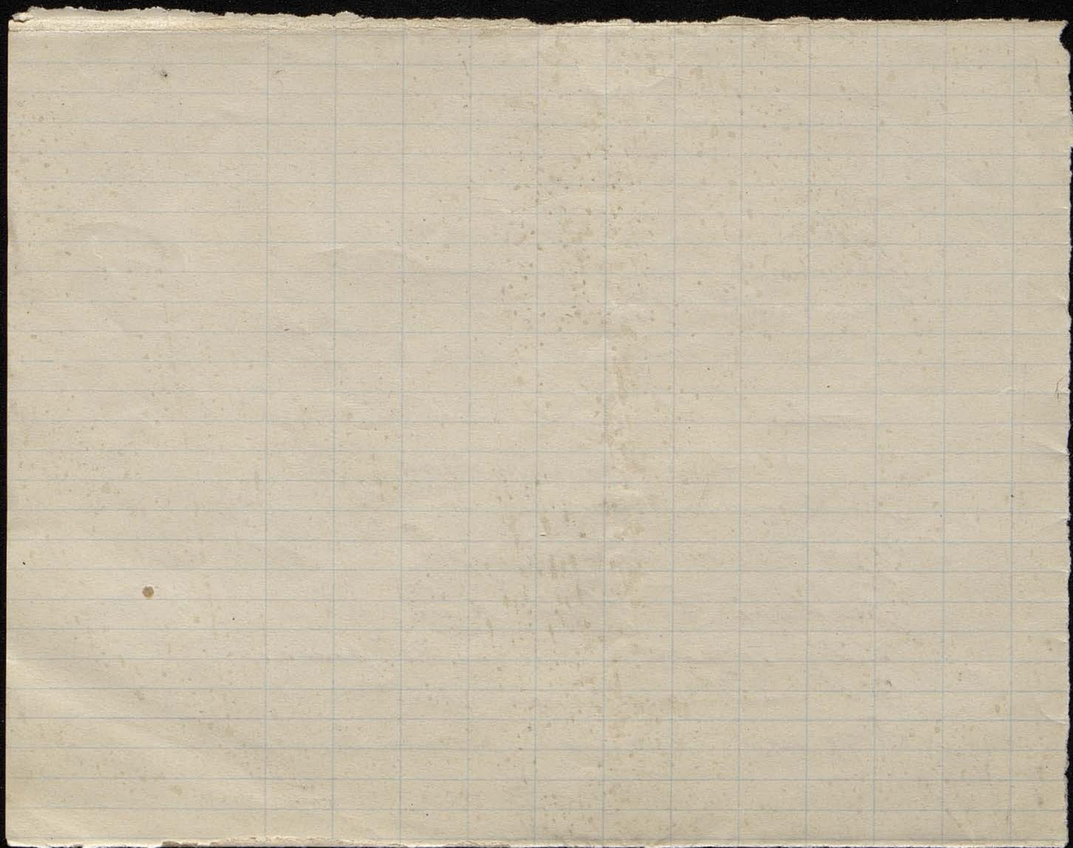
Helena Janina
Boguska
Helena Janin

~~Jest taka chwila, jest taki dzień~~
~~Gdy~~

Przychodzi taka chwila, dzień,
Gdy wszystko w duszy nagle ginie
~~Aż do ostatniej~~ najpiękniejszej przygasa świeca,
I dusza ... zmienia się w pustynię.

Przychodzi taka chwila, dzień
Gdy z podstaw życia gmach się sypie
I rwie się w strzępy serca cień
Tańczy się ... na własnej stypie!

Przychodzi taka chwila, dzień
Kiedy wszystkim wszystko przeczy
Gdy granitowy wieniec rzeźni
Staje się kwiatem ostrowieczy.



Rozmowa z ptaszkiem

Powiedz mi mój ptaszku szaropióry
Czyś szczęśliwy gdy się pluszczesz w wodzie
Lub gdy wzlatasz wysoko do góry
Spiewasz sobie bujając w swobodzie

Albo kiedy w gniazdeczku zielonem
Zawieszonem wysoko od ziemi
Niesiesz pokarm pisklętom spragnionem
I tulisz je pod skrzydełki twemi

Ja szczęsliwy o bardzo się myli
Kto tak ~~myś~~ sądzi, każdy dzień mi wiekiem
I tak często w serduszku mi kwili
O dla czegóż nie jestem człowiekiem.

Ej ptaszyno niebaczna ptaszyno
To ty mniemasz że ludzie szczęsliwi
Że łzy gorzkie im z oczu nie płyną
Że ich cieszą przyjaciele tkliwi

Och nie! mylisz się mój ptaszku drogi
Życie ludzkie jedno nieszczęść pasmo
I rozszarpie serce los ten srogi
I źrenice od płaczu przygasną

Ciesz się ptaszku że bez trosk boleści
Płynie życie, kochaj kwiatki białe
Kochaj wietrzyk co twe piórka pieści
Kochaj słońce gniazdeczko twe małe

Ptaszek słuchał siedząc zadumany
Na gniazdeczku pod zielonym ćwaszkiem
I zaśpiewał on Panu nad Pany
Pieśń dziękczynną że go stworzył ptaszkiem

Bańki mydlanne

Raz mały chłopczyna ~~w mowie pieczyna~~
~~Wziął słomkę~~ i ~~mydełko~~ ~~w miseczkę~~
~~I patrzył uważ~~
Co mówić pieczyna
Wziął ~~mydełka~~ słomkę i mydełka w miseczkę
I patrzył z zajęciem jak bańki mydlane
Płynęły w powietrzu jasniutkie świetlane
~~Lecz~~ tylko jaśniały chwileczkę

O piękne wy złote marzenia młodości
Tak ślicznie snujące nić swej przyszłości
Jak zieście do baniek podobne

Jak one w powietrzu warkoczami przeczesane
I takie radosne i takie świetlane
Lecz tylko na chwilę tak zdobne

Jak bańki mydlane tak złote marzenia
Spełznąwszy na niczem zostawią wspomnienia
Którymi się potem czeka pieśni
Lecz ach, jeżli nie marzy
To widno na twarzy
Że marzeń tam niema bo nadto boleści

Kagotka

Biedna sierota jam odrzucona
Przez wszystkich ludzi od nich wzgardzona
Nie dla mnie litości co jest tak słodka
Wszyscy mną gardzą bom ja Kagotka

Czemuż mój Boże tak mnie stworzyłeś
Z wszystkich praw ludzkich wydziedziczyłeś
Chociażem piękna mam kibić wiotką
Wszyscy mną gardzą bom jest Kagotka

Nigdy mnie nigdy nikt nie pozdrowi
Nigdy dobrego słowa nie powie
Każdy umyka kiedy mnie spotka
Dla tego tylko żem ja Kagotka

Lecz w oczach Stwórcy Wszechmogącego
Wszyscyśmy dziećmi ojca jednego
I mnie gdym dobra nagroda spotka
Bo Bóg nie zważa czem jest Zagrodka

Z radości śmierci mej oczekuję
I świata tego nic nie żałuję
Umierać dla mnie jest to rzecz słodka
Bo w niebie wszystkim równa
Zagrodka

Smutno płynie moje życie

Smutno płynie moje życie
Uciech lat dziecinnych nie znam
Darem łzy połykam skrycie
Bo siostrzyczki brata niemam
Sama jestem sama jedna
Serce głośniej mi kołata
Kiedy myślę jestem biedna
Jam bez siostrzyczem bez brata
Nie znam uciech lat dziecinnych
Ale myśle że radosne ~~niezznam~~
Nieznam zabaw ich niewinnych
Nie żałuję życia wiosne

Sorrentiniada.

Fale.

~~[illegible]~~ [illegible] milczą w ciemnej [illegible]
Przed nami morze [illegible] [illegible] [illegible];
~~Cisza~~ Pora południa [illegible] [illegible] [illegible]
Po [illegible] [illegible], [illegible] [illegible].

~~[illegible]~~ [illegible] się ~~[illegible]~~ brzegu [illegible] i [illegible]
Oliwne drzewa wznoszą je w niebo blade.
~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible], kredowa skała błyska
A tam, na piasku śpi [illegible] [illegible] [illegible].

Był [illegible]... [illegible] [illegible] [illegible]
Rozwłókł po niem aż pod ~~[illegible]~~ obłoczne stropy;
A tylko chodzą cicho [illegible] niestrudzone
Fale... wiecznego Ahaswera stopy.

Chodzą bez przerwy, posępne, bez mowy
A kiedy [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Patrz na te fale.. patrz jak zrywają zgubiony
Jak kwitną pianą... i srebrnym pyłem gasną..

—

A w ślad za niemi nowe szeregi suną..
~~Dziwną melodią tajemniczą~~ przytłumioną, słyszę..
Iskra z nich bucha seledynową łuną
I kąsa skałę i czarny piasek liże

—

Zda się że czują złą nienawistną srogą
~~Zda się że mają~~
Jak klątwę bytu ~~życia~~ ciągną poprzez wieki
I zda się ~~mają~~ czują.. że same zostać mogą.
Gdy wszystko zniknie i gdy na zbawienie
ziemi.

—

Patrz na te fale... o patrz na ich kaskadę!
Patrz jak pijane tańczą w ich dzikiej pracy..
Tak czasem dusza o cudzy brzeg bije dumą.
I cofa się i znów odparta wraca.

—

Pamiętasz?

Nadchodzi już wieczorna życia pora...
A pomnisz Ty naszej młodości święto?
Ten dziwny czas.. bez jutra i bez wczoraj?
Pamiętasz Ty? pamiętasz Ty – Sorrento?

—

Pamiętasz Ty – te długie, ciche noce
Pamiętasz Ty – tę jesień za Alpami?..
Jak tam dmie wicher, i morze jak łomoce
A ludzie śpią – a my – czuwamy sami?

—

I wstaje blask poczęty z dusz rozkwitu
I stroi w nimb doczesne, znojne czoła;
W nadziemski lot ubiera skrzydła bytu
I woła „żyj!“ i „kochaj! kochaj“ woła.

—

Pamiętasz Ty – to błogie szczęście chwili –
I teraźniejszość w wieczności się zaklęła?
Pamiętasz Ty – jako myśmy ją przeżyli?
Pamiętasz Ty? – pamiętasz Ty – Sorrento?

———

Sorrento.

W nocy z 3go na 4ty Listopada 1908.

40

Stefanowi S. Rogozińskiemu

Na obcej ziemi, dzielny mój rodaku
Słów ci tych kilka w dniu dzisiejszym piszę
Żeś dalej światło po wytkniętym szlaku
Podźwignął czynem budząc martwą ciszę
W której spowity drzemie motłoch szary.
Tyś ponad niego wyrósł myślą szczerą
I pieśnię wedle Lidyanowej miary
Bo samolubne sądy ją nie kroczą.

U mety życia Tyś nie siadł jak wielu
Strawę powszednią przeżuwać bezmyślnie
Wiedza i prawda hasłem Twego celu
A Twój spoczynek tam gdzie zdrój ich tryśnie
Wśród niebezpieczeństwa, burz, zwątpień, nadziei

Tajnie przyrody kradniesz z ziemi Tama
I ku Afryce, ku twej Galatei
Obracasz tęskne oczy Pygmalijona.

Niech Ci ożyje! dłoń jej hebanowa
Niechaj cię przyjmie wszystkimi kochanki.
Usta niech szepną szamowe słowa
Co Ci jej skarbców otworzą krużganki:
Niech dzień twój każdy nowa zdobycz znaczy
I z każdej piędzi czarnej krainy
Niechaj się ścielą pod twój krok kołaczy
Owoc dla nas — dla ciebie wawrzyny.

Hajota

Paryż 2go Września 1886 r.

41

~~Tak~~ Kochać namiętnie — można nie
~~raz~~ nie dwa razy nawet, z tą samą siłą
z całem upojeniem — ale wierzyć w swój
ideał można raz tylko! Biedny kto
musiał raz przestać wierzyć, ale stokroć
biedniejszy — kto nigdy nie wierzył
nie umiał —

Wzoli brzmieniu walca namiętne tony
~~Ciągle dokoła~~ ... twój żadny czas.
~~Wpatrz dziewczyny~~...
Ocknij się dziewczyno! — okrzyk spóźniony!
~~Ona~~ On już ją porwał i z nią szalony
Gnie w natłoku tańczących par.

Zatkli nić z oczu.... duch

Pani!

Znajomość nasza krótka — a rozstanie
Kto wie w jak długie przeciągnie się lata?
Niech więc na piśmie ma pamięć zostanie
Boć przecie pismo — mówią — nie ulata!
Papier, atrament, to wierniejsze stróże
Wspomnień i uczuć, niż ich rodzic: serce,
~~A którem~~ Bo w niem, prąd życia, bardzo szybko mierze
Zatrze, co słabe, zagasić co w iskierce.
Ja — pragnąc, by nasz stosunek chwilowy
Przetrwał w Jej myśli, jak w mojej trwać będzie,
Tę białą kartkę i płyn fijołkowy
~~Wzywam~~ Na pomoc sobie, przyzywam w tym względzie.
Gdy — wziąwszy książkę, by przejrzeć, co kryje
W tem miejscu ~~kartkę~~ [illegible]
I powiesz sobie, a to pismo czyje?
Spojrzyj na podpis i wspomnij

Hajole

1. 8go Marca 1879.

Warszawa

Wycieczka na Polanicę. —

poemat sokolsko-liryczno-komiczny

przez Hajótę

Wycieczka na Polanicę.

poemat bohatersko-liryczno-komiczny.

Dedykowany przez autorkę towarzyszom podróży.

Wy wszyscy co Szczawnickie zwiedzaliście wody,
Co macie serca czułe na bliźnich przygody,
Coście sami ochotnie nadkręcali karki,
Wchodząc na szczyt Kiczery, Jarmuty, Bryjarki
Słuchajcie mojej pieśni; w niej ja wam ogłoszę,
Jakie to są wycieczek po górach rozkosze,
Jaka obfitość wrażeń rozmaitej treści
Jak tam łatwo o temat do tkliwej powieści
Do wzruszającej ody, wzniosłego dramatu,
Jak się to patrząc z góry imponuje światu
Jak... lecz dość — sądźcie sami, czyli nie mam racji
Twierdząc, że nigdzie tyle nie znaleźć sensacji,
Że rzadko coś tak cieszy, odurza, zachwyca,
Jak wycieczka na górę zwaną Polanica

+

+ +

W porze, o której słońce podróżą znużone
Po błękitach ku zachodnią dąży zwolna stronę:
Na szczawnickim deptaku, formując półkole.
Zaopatrzeni w laski, szale, parasole,
Stali wycieczkowicze: komplet ich był taki:
Właściciel dóbr Moszyński, sędzia Mazaraki,
I doktór Sciborowski, który tem tu słynie,
Że choć, jak dzielny żołnierz stary medycynie,
Choć sobie za patrona wziął Hippokratesa
I na polu poezji odnosi sukcesa:
Chociaż człowiek towarzystko naukowych wielu,
Deklamuje z pamięci „Kościół na Wawelu"
A gdy go doczytania napadnie chęć szczera
W jednej ręce ma Vogta a w drugiej Szylera.
Na nim kończył się męczyzn kontyngens niewielki;
Płeć piękna miała tylko dwie przedstawicielki:
Pannę Zofiję Bagniewską, znaną mi ze sprytu,
Z pisania długich listów no... i z apetytu.
I wreszcie autorkę tej oto! epopei,
Osobę pełną wielkich na przyszłość nadziei
Obdarzoną niezmiernym poetycznym darem,
Równie potężną chrypką i silnym katarem
Dla te trzy choroby budzaczka się leczy,
Które że są dotkliwe - nikt z was nie zaprzeczy.
A więc ją pożałujcie — a teraz do rzeczy!

Ruszają tedy z miejsca – a doktór na przedzie
Jak dowódca wyprawy, cały hufiec wiedzie
W dół po ostrych kamieniach. – Podbiwszy już nogi,
Schodzą tam, gdzie rozstajne krzyżują się drogi.
Pytanie, którą wybrać? Dysputują żwawo,
Jeden radzi na lewo, a drugi na prawo.
I nie dla czczych powodów powstaje ta sprzeczka,
Wie bowiem całe grono, że tam gdzieś jest rzeczka,
Którą przebywać trzeba – a nad nią rzucony,
Ma być mostek – lecz z której znajduje się strony,
O tem nikt dość dokładnych nie ma wiadomości,
A każdy sobie prawo do wskazówek rości.
Wreszcie decyzję daje doktór Ściborowski
Jego głos wszystkie inne przezwycięża wnioski.
Kierują się na prawo. Tam panna Hajota,
Daje dowód zręczności w przeskoczeniu płota.
I ~~ku~~ na wieczne ~~pamiątce~~ wspomnienie, chociaż nieproszona,
Pozostawia na kołku kawałek welona. –
Wszystkim dodaje ducha tak piękny początek,
Przesadzają płot raźnie, lecz już bez pamiątek,
I po stosach kamieni, w skupionej gromadce,
Utykając co chwila, zdążają ku kładce.
~~Tutaj~~ znowu – nowe zręczności i odwagi cuda.
Boć wierzajcie, nie łatwo się to komu uda,
Przejść bez szwanku po deszce, wązkiej, chybotliwej,
Z której gdyby kto zleciał, już by nie wstał żywy.

Uniosłaby go woda, zmiażdżyły kamienie,
Sama ta myśl w najśmielszych wzbudza przerażenie.
Nie cofają się jednak nasi wędrowniczy
I stają wnet szczęśliwie u stóp Połaniczy.
Tu dopiero właściwie początek podróży.
Podnieśli głowy zatorą i wzrok im się chmurzy.
Razem, jak na komendę wzdychają głęboko
I razem wykrzykują „Och! jak to wysoko!”
Atrimusz ich odbiega. Widząc, co się święci
Doktór i pan Moszyński galanteryą tknięci
Podają ręce damom, które z dobrą wolą
Przyjmują pomoc — Sędzia defiluje solo
A kontent, że swobodny wpada w humor złoty
Różne współtowarzyszom płata wdrodze psoty
I wyprzedzając wszystkich w leszczyny gęstwinie
Nagle jakby meteor z przed oczu im ginie.
Wtedy, panna Hajóta rzecze do doktora:
„Nie dajmy się prześcignąć, Chociaż jestem chora
„Potrafię, gdy potrzeba, biegać znakomicie
„Pójdźmy prędzej, musiemy być pierwsi na szczycie
Doktór nie jest od tego — Jakoż już za chwilę
Tamtę parę daleko zostawiają w tyle
Pną się chyżo pod górę i bez przygód wielu
Byliby może jakoś dotarli do celu,
Gdyby nie romantyczny gust panny Hajóty
Która niedosyć mając skakania przez płoty,
Zapragnęła w kolerate zapuścić się krzaki.
Próżno refleksye zdala śle pan Maszarski,

Próżno wstrzymuje doktór – nic to nie pomaga,
W miarę stawianych przeszkód rośnie jej odwaga,
Rwie się – i doznaje losu Absalona –
Zaczepiając o gałąź resztkami welona,
Doktór, który się takiej ulitował męce,
Oswobadza ją sobie podrapawszy ręce.
Wreszcie dosięgli szczytu – i tam pomęczeni
Zasiadają na trawie pod kopcem z kamieni.
Hajocie tchu nie staje – doktór ledwo dyszy
Z tryumfem jednak patrzą na swych towarzyszy
Którzy jeszcze się wloką, spoceni jak myszy.
W końcu doszli – przez kwadrans nic nie mówią zgoła.
Tylko sapią, chustkami pot ścierając z czoła
A przybrawszy wygodne wielce pozytury,
Zaczynają się poić widokami natury.
Hajota, która jeszcze ma i tę zaletę
Że z daleka nie widzi – rychtuje lornetę
Wszyscy patrzą. – Tu Muzo! pomóż jeśli łaska
I mojego krnąbrnego racz podkuć Pegaska,
By ~~[illegible]~~ wywrócił kota, bo przy tym opisie
Kurs galopem na Parnas wyjechać żąda mi się.
Wprost nas widnieją Tatry – na czele Łomnica,
W białawych chmurek wianku, jak oblubienica
Za nią Baranich rogów sterczy szczyt wygięty
Na stokach połyskuję śniegu dyamenty

A w głębi Babią górą grzbiet wypuszcza się.
Bliżej, co prawo uroczo stoją pionowy,
Blaskiem zachodzącego słońca zróżowione,
Posępne ciemną, jodeł – skałami zebrane.
U stóp ich lśni Dunajca szmaragdowa wstęga
Na lewo, het, węgierskich ziem oko dosięga
A dalej... no już nie wiem co tam widać dalej,
Powracam do wycieczki. Kiedyśmy tak stali
Wielbiąc w niemym zachwycie przyrody powaby,
Krzyk się jakiś rozlega, broniący mnie od żaby"
I nagle panna Zofija zrywa się z kamienia
Pędzi przed siebie, cała drżąca z przerażenia
A żaba, która taką wzbudziła obawę
W drugą stronę, wyskakała skacze przez murawę.
Intermezzo to, niby łyk wody krynicznej
Ostudza towarzystwa zapał poetyczny.
Hajota siedzi sumie pokrzywdzony srodze,
Bo właśnie już natchnieniu rozpuściła wodze,
A przez szkła swej lornetki śląc wzrok gdzieś za światy
Snuła w myśli przecudne górskie poematy
Nawet rymów gotowych miała kilkanaście.
Były tam: chmury, góry, błękity, przepaście,
Cóż, kiedy panny Zofii trwożne wykrzykniki
Tak jej z kretesem wszystkie poplątały szyki,
Że utraciwszy wątek idealnej przędzy,
Musiała zstąpić z wyżyn na ten padół nędzy.
Tymczasem się ściemniło. Myślą o powrocie.
Doktór mój grzecznie ramię podaje Hajocie

Pan Moszyński i panna Zofija idą w parze.
Sędzia, stały solista tworzy przednie straże,
Pełen wiary animuszu, dowcipu i werwy.
Tu: słuchanie! jeżeli słabe macie nerwy
Weźcie chustki od nosa i krople trzeźwiące
Przygotujcie, bo strunę tragiczną potrącę!
Polanico! zdradliwa, jak każda mieszczka,
Czemuż grzbiet twój tak ślisko murawa porasta
Że ktokolwiek zeń schodził, bez wyjątku prawie
Musiał ci składać hołdy w zbyt korny postawie!
I na nas ta okrutna kolej przyszła. – Zaczem,
Pan sędzia się najpierwszy ułatwił z harcerem
Wywróciwszy koziołków z jakie dwa tuziny,
Którym kres wreszcie kładą zarosła leszczyny
Za nim doktór z Hajotą, już o swojej mocy
Nie mogąc się utrzymać, pędzą, jakby z procy
A druga, tworząca ariergardę parka,
Darmo się też zachować równowagę stara.
Jakiś czas, „och! ach!" tylko słychać coraz naokoło.
Sędzia, mimo dawniejszej utraconej buty
Pod wybawczym leszczyny krzakiem odpoczywa.
Wnet mu doktór z Hajotą w sąsiedztwo przybywa
Siedli.. lecz nim odetchnęli, lękiem zaskoczeni w płucach,
Znowu krzyk przeraźliwy z miejsca ich wyrzuca.
Patrzą w górę! to sama panna Zofija leci!
Ręce odkrzyżowane – w oczach odrpacz świeci:
Wiatr jej zerwał kapelusz i warkoczem miota!
Na ten widok zmartwieli doktór i Hajota

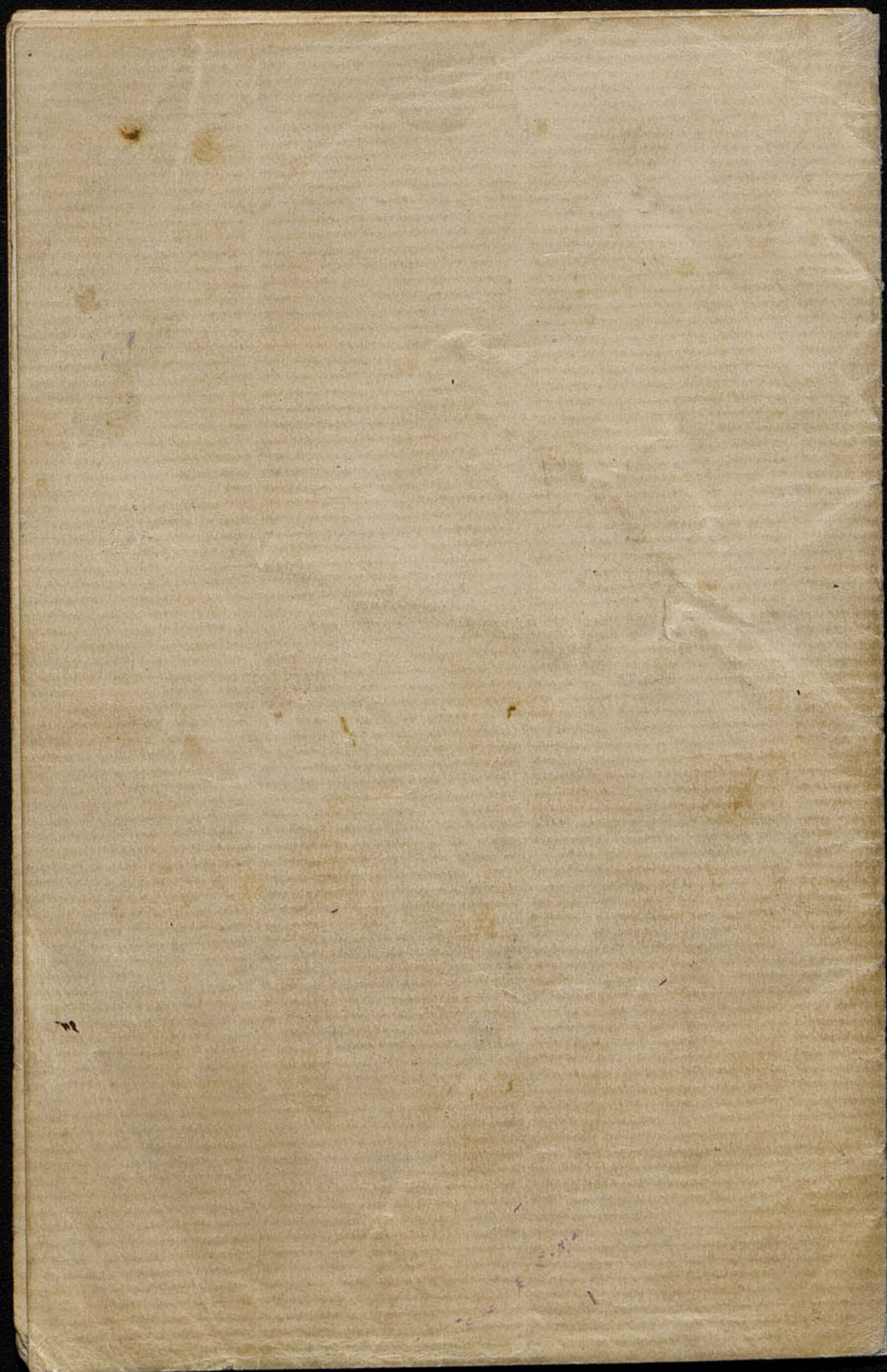
Idzie tylko, rycerza godzien nosić miano
Bieży z pomocą – klęka na jedno kolano,
Z własnej osoby tworząc bezpieczeństwa tamę
By uchronić od szwanku rozpędzoną damę.
Ale drogo okupił bohaterstwo swoje.
Karambol był zbyt silny! upadli oboje,
Jeszcze się nie podnieśli, aż tu postać nowa,
Toczy się z góry, niby kula bilardowa
A tak szybko, że zrazu nikt poznać nie może,
Czy to człowiek, na obraz, podobieństwo Boże
Stworzony, czyli jaka fantastyczna maszkara,
Co po górach na postrach ocznu ludzkim hasa.
Gdy tak każdy z osobna nad tem medytuje,
Znak jakiś owa postać w biegu zaznaczuje,
I poznajem w niej panny Zofii towarzysza!
A jak przedtem głęboka panowała cisza,
Tak teraz drga powietrze homerycznym śmiechem
Wprawdzie z bliźnich upadku żartować jest grzechem,
Ale że pan Moszyński ostał zdrowo i cało,
Więc się też towarzystwo coraz głośniej śmiało.
A on sam – również wesół, znów pod górę rusza,
Szukać zgubionego w drodze kapelusza.
~~Szczęśliwie~~ Znajduje go – i drogę powraca tę samą,
Tylko że w sposób ludzki, by za swoją damą.
Wśród całego grona siesty indagacyi:
Zkąd przyszło nigdy mimo, aż do separacyi?
Czemu, miast społem znosić los niewinny
Pospadali oddzielnie, w dwie przeciwne strony!
Otóż się tłumaczę – jako dla pociechy

Zachciało im się zbierać po drodze orzechy.
Jak uwolnionych ręce z wzajemnej uwięzi,
Jęli twardych owoców szukać wśród gałęzi,
Jak je zrywali, jedli, gryźli etcetera..
Sędziowie, widząc z twarzy, że ich spowiedź szczera,
Zaprzestają badania – i do dalszej drogi
Prostują zesztywniałe i zbolałe nogi.
Góra stąd już mniej stroma – idą całkiem śmielej,
Opowiadając sobie wzajem, co widzieli.
Doktór cytuje jakieś ustępy z Szylera,
Hajota poetycznych wyrażeń dobiera,
By opisać swój zachwyt nad zachodem słońca.
Byłoby tych szumnych frazesów bez końca,
Gdyby się nie potknęła – i szczęściem bez szwanku
Nie ugrzęzła po szyję, w świeżem, wonnem sianku.
Jest to zręczność iż jakoś całkiem opuściła,
Sonia, która pierwsza na wierzchołku była,
Teraz w tyle zostaje – raz w raz się potyka
A chcąc w oczach doktora swego przewodnika
Oczyścić się z zarzutu wielkiej niezgrabności
Wspomina o swych nóżek niezwykłej małości
Tłumacząc nader uczenie – iż z tego powodu,
Nie może od zwyczajnego uwolnić się chodu.
Gdy się to dzieje – Sędzia w błoto wpadł do kostek,
Lecz za to pierwszy przebył niebezpieczny mostek.

Tu – nastąpił epizod wzruszającej treści:
Który stanowi razem finał opowieści.
Pannę Zofiję, ogarnia nagle lęk niewieści
Na widok kładki – która w ciemnej po-mroce,
Niby wąż, długi, czarny, zlekka się chyboce!
Przerażona dziewica woła, że przekłada
Przyjść w bród rzekę, i drżąca wpoprzek mostka siada.
Tuni obchodzić muszą tę żywą przeszkodę
To mało co przytem nie wpadają w wodę.
Pan Moszyński nad swoją lituje się panną
Lecz jej pomódz nie mogąc zostawia ją samą
A ona wreszcie — kogóż nie zwycięży bieda!
Przerzuca się — w sposób, który opisać się nie da!
Powiem tylko, że krzyk był, że tremoły łezki;
Że widzów zleda ogarnął śmiech i podziw wielki;
Że... dosyć – tu się kończy pieśni mej osnowa,
Przygód więcej nie było. Maro! bądź im zdrowa.

Finis

Szczawnica. 14go Września 1879 r.



Za męki dni minionych
Za ciężkich krzywd piołuny,
Za ból snów niezwierzonych
Stargane serca struny

Za wszystko co odejmie
Wziął bezlitośny świat
Za to, że tak nikczemnie
Mej duszy deptał kwiat

Żem sama jest wśród ludzi
W tej życia Tebaidzie
Dziś miłość twa się budzi
Twa miłość ku mnie idzie.

W przyszłości modrym bezkresie
Ja się zgubić boję;
Twa miłość — co mi niesie?
Grom nowy czy ostoję?

O! stań nade mną cicha.
Gwiazdeczką bądź pogody!
Daj pić z twego kielicha
Spokoju złote miody.

Ó! stań nadziemna tkliwa
Stań wierna i ofiarna,
Na przyszłe szczęścia żniwa
Nadziei zasiej ziarna.

Me serce, jak ptak z nieba
Na ziemi ~~[illegible]~~ leży w męce
Je brać ostrożnie trzeba
W łagodne, miękkie ręce.
Ten skarb sponiewierany
Wprowadzić znów w świątynię
Zabliźnić jego rany,
Bo z nieszczęśliwych — zginie!

A może.. Bóg dozwoli
Zostawić po za sobą
To co jest mojej doli
Katuszą i żałobą

Rozpocząć nowe życie
Pod takiem nowem niebem
I w nowych sił rozkwicie
Dzielić się szczęścia chlebem..

. . . .

Pamiętaj, że przysięga
To wielkie, ważne słowo,
Że ono w niebo sięga
I moc ma zagrobową.

Żem na niej, jak na wstędze
Mą zawiesiła duszę,
Gdy złamiesz tę przysięgę
To zginę,… zginąć muszę.

. . . .

10 Grudnia 1907.

Ostatnia nuta.

Przyjaciele! wy najszczersi!
Często wyście mnie pytali
Jakie serce noszę w piersi
Z lawy, z lodu, czy ze stali?

—

Długom kryła, dziś nie taję
Raz przed wami się wyżalę,
O najmilsi, mnie się zdaje
Że ja serca nie mam wcale.

—

Było kiedyś... jakiś szczątek
Został po niem w pustem łonie,
Na ołtarzu mych pamiątek
Jak samotna lampa płonie.

—

Taki ogień bladym bywa,
Jego blaski nic nie grzeją,
Bo brakuje mu paliwa,
Które zowie się nadzieją...

Hajota.

[illegible] szeptem..

Gdy nad twym progiem wilk złej doli
I wyje, wyje wiatr!

Zamknęła ona mi wszystkie drogi
Jedno nas ocalenie: Bóg!
Bo wilk złej doli nad progiem
I wyje, wyje wiatr!

Warszawa, dn. 3 listopada 1911 r.

Zwrotki

Pomarzych skrzydeł srebrnych szelestem
Czas zwinął życia toń -
Na biedzie królów ci jest jeden
Lecz wiara - wybiegu w skroń!

—

~~Mój~~ Kwiatu swego zwarzył płatki
Codziennej troski mróz
Pierzchły uśmiechów snów ostatki
Jak stado trwożnych kóz.

...nk... Pani...!

...). zacznie wychodzić staraniem „Warszawskiej
... tygodnik literacki, artystyczny i społeczny p. n.
... w znaczniejszej części literaturze pięknej oraz
...ze wszystkich dziedzin sztuki, literatury, nauki
... uwzględnieniem również prawdziwie zasługują-
... życia potocznego.
...zie szczerze postępowy, oparty na umiłowaniu
...łączeniem szowinizmu, przysłaniającego ogólno-

53a

I każdy tkliwszy poszept duszy
Każdy
Okropnie wycie to zagłuszy
Rozszarpią swoje kły

?

W chwast zmienia [illegible] plon

On winien, tylko on.

aczone dla szerokiego ogółu przeciętnych czy-
li bieżącej popularne, będzie omawiać wszystkie
jasno i zwięźle, kierując się zawsze szczerze
dzie z pominięciem, stanowczo, wszelkich wzglę-

ej ograniczeń co do popularności nie stawiamy,
omie myślowym i artystycznym, będzie dla nas

nych zamierzeń, mamy zaszczyt zwrócić się do
prośbą o współpracownictwo w naszem piśmie
wiadomienie o decyzji, co znacznie ułatwi nam
ników i przyczyni się do rychlejszego wydania

wiedzi, pozostajemy z głębokim

54

Kto tobie ptaku
Wskaże wolny mój
Na niebios szlaku
Pławie stój.
Kto ci zabrania
Lotnych piór
Umaczać w toni
Srebrnych chmur
Kto ci rozkaże
pośród drzew
~~Śpiewać~~, lub
~~Lub zamilknąć~~ w gwarze
W wiosennym gwarze
Słonnie spięto
Lub kto cię
Abyś piał
Gdy cię miłości
Minie szał

Kto się w takich miejscach
Zbiera plon
Aż jeden tylko,
Jednym zgon.
Kto to bić

II.

Gdzie tutaj serce
Wolne me
Znajdą wędrowce
Skarby swe.
Kto z twą nadzieją
Wygra bój
Kto twej niewoli
Zamknie zdrój.
Kto twoje więzy
Wskaże kres

Kto ci odbiera
Rosę łez?
Kto ci przeszkodzi
Pragnąc śnić
Rwane ocz[illegible]
Może śnić
Kto był [illegible]
Będzie [illegible]
Ach! nad [illegible]
Ś[illegible] głos.

III.

Kto tobie ducha
Wolny mój
W wieczystych [illegible]
Pozwo[illegible]
Kto tobi[illegible]

Gdy leć!
Na twoją swobodę
Znajdzie się?
~~Kto~~ By wdowa
Oddać ci się
Kto ci zabroni
Pakowa mieć!
Kto twych gwiazd
Wstrzyma lot
Śmiertelnej dłoni
Pocisk — o!

O! kwiatki wiersza moc. Dzieci wyprosiła
Dając im życie. lecz z raju ich wygnania
I ~~trudno [illegible]~~ naprawić na ugadana
Któż im ojciec by nie znalazł do ich brania.

Drapieżny Szczur!

Więc i ja z tobą przyczołgam i Korbowo [illegible]
Lew! i nadzieję że znajdę więcej jeszcze
Że na tej drodze co się przewinęła ścieżka
Wszystkie mi miejsce: z mową i [illegible]

Ten cudzy Kwiat.

Pomiędzy ludźmi szukałam tylko braci
By po bratersku podzielić wszystko z nimi
I ~~[illegible]~~ widziałam, a dobre słowo się [illegible]
Choć że i tam są zadumy nam matki ziemi

Wrość mnie anioł.

Drabacka,
Lubecińska
Dorotyna.
Żmichowska
Hnicka
Konopnicka
Hajota
Maryja Elżbieta
Bartusiówna.
Michalina Sielińska
Zeligo
Duchińska

Jakaś ty wiotka i jaka szczęśliwa
Masz skarby od ~~XXX~~

~~XXXXXXXXXX~~

Mieliśmy sobie zawsze tyle
Do powiedzenia!
A słowa wplatały się pocałunki
Z westchnieniami!
Pełne szczęścia, bardzo rzadko
Byliśmy sami
I wtedy zawsze jakby na złość
Ktoś skrzypnął drzwi
~~Pamiętam~~ Bóstwo kochanków nigdy dla nas
Było zagniewane
Nieraz w połowie słowa Kocham
Nam przerwane.
A już najczęściej mamą [illegible]

Był już wiek stary
Ojczyzny przez [illegible] wyczerpnięt
Nie do nikt więcej
Ma niezbity [illegible] [illegible] [illegible]
I Kościelnictwo
Od [illegible] [illegible] [illegible]
Mnie od studentów!
Jednak — pamiętnie się skarżył,
Te ciężkie próby
I oh! tak kiedy jak nas tężny
dożywotnie śluby.
Ba [illegible] [illegible] [illegible]
Ojczyzna [illegible]
Nikt nam [illegible] [illegible] [illegible]
Już nie [illegible]
Tylko... nam [illegible] ~~a [illegible]~~ ze swem życiem

82/5
160

Czas wszystko zmienia
Dziś... nie mamy dziś nic sobie
Do zobaczenia.
Hajoka

Kochaliśmy się! o któż nie wie
Co znaczy miłość, rajskie słowo
Gdy na zielonem życia drzewie
Zakwitnie wdzią purpurową!

Zmarnowane życia chwile
Gdzieście są pogody?
Gdzież te czasy, kiedy przy mnie
Szedł ~~ten~~ mój anioł biady?
Zstąpił do mnie wprost z błękitów —
Czyż się dziwić trzeba
Że mi z sobą anioł na ziemię
Kawałeczek nieba!
I rzekł do mnie: (ach! cóż wspomnieć
Dasz ach przenutka
Dźwięczna niż w niej jego słowa
Jako rajska muzyka)
I rzekł do mnie: Pójdę z tobą
Wszędzie pójdę wiernie
Nie dbam o czas [illegible]
W niebo czy też w ciernie.

Kiedy wszystko cię zawiedzie
Przyjdą dni [illegible]
Szukaj wówczas mojej dłoni
A znajdziesz je zawodne."
Dam ci wszystko, co [illegible]
Nie żądam zapłaty
Pomnij tylko byś szanował
E.
Białość mojej szaty."
I dotrzymał co obiecał
Anioł mój jedyny
I
~~[illegible]~~ Wolny [illegible], [illegible]
Cierpiał za me winy
Lecz nie odgadł że wpaść mogę
W taką otchłań ciemną
Kiedy jemu sam Bóg wzbrania
Aby nie szedł ze mną

I dla tego tak rozpacznie
Patrzę dziś dokoła
Bo [illegible] [illegible] [illegible]
Mojego anioła!

Gdy [illegible] ~~z obrazu~~ obrazu się [illegible] [illegible]
W białych strojach nie [illegible] [illegible]
I złotej miłości i [illegible] [illegible]
Kto [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] [illegible] [illegible] i co [illegible] [illegible]
Zakwitnie [illegible] [illegible] [illegible]
I [illegible] się zbudzą: i gdzie między [illegible]
Rozenki [illegible] [illegible] [illegible].
~~Wieczorem pójdzie~~ by [illegible] ze stali
~~Wyrzuca~~ i Wykrzyknie
I [illegible] tam co [illegible] co [illegible] [illegible]
Wykrzyknie . i [illegible]

Gdyś raz pierwszy przed laty, stanął na mej drodze
Patrząc na mnie takiemi smutnemi oczyma
Rzekłeś, „jak cień przychodzę i jak cień odchodzę
Czy nie dbając że jestem, wspomnisz o mnie niema.
Przez przestrzeń co nas dzieli ~~smutną~~ tęskny i bolały
Rzuciłem tobie z serca tajemnicze słowo
Odpowiedź nań nie przyszła. usta twe milczały
Bóg i moje samotny rozpacze.. gdzie zdołam.
Jam wtedy by cię wstrzymać nie wyciągłam ręki
~~Tylko z~~ Okryta dawnych wspomnień, bolesną radością
I wsłuchałam się tęsknie w cichutkiej piosenki.
Serce zostało przy mnie. myśl poszła za tobą
I tak biegną się zdala ścieżki nasze ciche
Czasem z jednej na drugą przebiegło wzruszenie
I piosnka się urwała jak ptaszę z mogiły
I blask jakiś przeboleny padał na ich cienie

Aż z tych westchnień i tych piosnek. Blaskiem
Dla przynależności [illegible] tajemnica
Co
[illegible] jeszcze nie wiązały przed i duchem dzieci..
Dobrze nam było, prawda, z tym bijącym tęsknicą
Bajecznie,
Któż może zgadnąć że byłe zachwycenia tęsknicą
I obie nam Boże pełnie na jedne fale..
~~I znowu radość słowa — [illegible] i przez~~ obu
~~I słowa, tajemnice~~
Radość, lecz już i ich dwoje tajemnice stały
Pomnisz tę podróż...
U początku już wiedział jej kres i nadal
~~I w tej~~ burze mogło być inaczej...
Ot ~~dziś~~ nikt nie [illegible] ani raz na więcej
Czasem drużki nikt nie mówi [illegible] swojej
Którym przyzwie z swoją [illegible] radzi

2

Czemu dziewczęta nie umieją marzyć, z których powstają tęcze
Że je pokochają — sami nie są szczęśliwi
Nie! miłość je stworzyła i tę jej nie wróż
Że nie zawsze dobrymi, ale zawsze wierny
~~Wierzy~~ chociaż na chwilę... taką była moja
I..... Tam była szczęśliwa przez tę krótką chwilę
Póki mnie brzozowe łzy ze snu nie obudziła
Y

Mieliśmy i po naszym niebie
Przebiegło kilka świetlnych ~~złotych~~ meteorów
I było kilka kwiatów

wierzyć chociaż na chwilę — zapaleniu
Z miłości [illegible] [illegible] się
Kiedy byłam tą [illegible] [illegible]
[illegible] dziewczyny także podłości
[illegible]

Lecz słońce — dziś znowu [illegible]
A ja stoję znów [illegible] okryta żałobą
I patrzę jak się zrywa lot twego [illegible]
I serce gwałt zadaje by nie [illegible]
Nie lękaj się! Nie wrócą nocne listopady
I smutnych [illegible] nie [illegible] wypłakać
Lecz wiedz, że słońce tobie [illegible]
I że jak cień przypadłszy odszedł jak [illegible]
I [illegible] nam [illegible] [illegible]
~~[illegible]~~ Dobędzie i
I stłumi ~~[illegible]~~ [illegible]
Aż [illegible] na niebie [illegible].

Nemezys.

Boska Sprawiedliwości! cień twe czoło mroczy
I kłamią wskroś co się w uśmiech stroją
Są zbrodnie,

Nemezys.

W wieczór chłodny posępny ze zmierzchem ogrodzie
Wsparta ręką o chłodny kamień balustrady
Stała kobieta.

Wszystko gdy zasnę odzyskam z powrotem
Tak jasne, płomienne, świeże.
Zobaczę, usłyszę, zrozumię - wiem o tem
Lecz czyli raz jeszcze - umrę?

Hajóka

Krakowiaczek II

Pędzi szybciej niż ptaki
Pędzą fale strumienie
Dary niebios i pracy
Niby rabuś porywa.
~~Niesie~~ I w dal z siłą olbrzyma
Niesie drzewa i ludzi
Nic jej w biegu nie wstrzyma
Żaden czar nie ostudzi
Oj ty falo złodziejko,
Cóż ci z uciechy [illegible]
Tam gdzie przedtem [illegible]
[illegible] nie [illegible].
Wpadłaś bydłu na pole,
Wpadłaś ludziom na rolę
Bierzesz wszystko co nasze.
Ach że nam niedolę.

Może promyk nocy nie skrywa
Obojętne oko;
Bo co śpiewam to wykwita
Odżał w sercu głęboko
Nie krzyczę
Moja pierwsza — to dziecina
Moje jedynie miła
A największa ej w tem winna
Że mię urodziła.
~~Nie krzyczę swarliwie srogo~~
Jeśli ~~nawiattes~~ [ino] ~~o~~spełniła
Rozkładny niemowlęce
To nie po to by zwiła
Niańczyły je ręce,
Dziś zrodzona — bez poczęta
Dawno już przed laty.

Wszystkie wiosny mej pamiątka
Najświetniejsze książki.
Była ze mną, kiedy we mnie
Któż wie, skąd się wzięła
Rozbuje jej się nadziemnie
Była mym pragnęła.
~~Nadziemnie~~
I budziłam jej słowem woli
Każdem mym westchnieniem
Była tem co cieszy, boli
Nadzieją, marzeniem
Była łzą, miłością tęsknotą, śmiechem.
Rozkoszą i męką
Aż się ~~stała~~ wszystkiego już dziś echem
I więc się poręką.

28/4
———
2 94

Co począć?

Jeśli w piersiach masz ten ogień świętego
Co raz rozniecony nic nadziei nie zgaśnie,
I blask swój rzuca na czystszego nieba
I rzeczywistość ~~naszą~~ w czarodziejskie baśnie
Szczęścia i marzeń stroi jak w obrazki;
Jeśli „kocham” szepnęły twe usta,
Jeśli ci Bóg dał te najwyższe łaski
Że nicość, tylko serce igraszka jedna [?]
Zdaje się tobie ~~jak bóstwo twej~~ w swoty [?] aniołi doli;
I w imię swoje, jak bóstwo krzywdzi
Do wszelkich ofiar i cierpień niewoli
Wtedy, kobieto, ty nie schylaj czoła
Bo masz w ramion coś i ~~[illegible]~~ [illegible]
anioła.

Lecz jeśli salką miłości drgające
Serce podźwignie (niezwykłej) skale
Lecz jeśli w kałuży miłości stargane
Serce podźwignie na mniejszej skale
Lecz jeśli w bryły miłości stargane
Serce podźwignie na ... kamieni
A kamień tylko rozkochany w mym sercu
I moje razy w mym krwawym ...
A serca nie zmiękczysz jeśli w chodzisz ...
Czyjaś dłoń
~~Szczęście bez miłości bogu szczęście przynosi~~
~~I bryłami na nią I szatana błotem~~
Miłość jej drżąca i zbrojna w mądrości
Z kryształowego szczęścia przedstawia
I szatan błotem obrzuca ją bezbożnie,

Jeśli się twojej mądrości gardzą
ludzie
Jeśli się twojej miłości gardzą
Nie oddasz wszystkie
Jeśli mądrość się twoją gardzą
~~Ten~~ Gdy ten co ponad mądrość
Jeśli ten który się mądro gardzą
Ponad, zabawką sobie i my wszyscy
~~Jeśli~~ Jeśli dłonie jego ją odtrącą
A ty zobaczysz, że w życiu pustym
Zmarnowany pracę, wygodził się nawet
I g Jeśli Ty twego i ten podczycenia
~~Kryzon~~
~~Pójdę na marne i jeśli mimo~~

~~Na zbawić~~
Jak łódki, ~~ktoś~~ na burzliwe fale
~~Ten~~ ~~Dla~~ twojego łódka ocalenia
Pójdę na marne, i jeśli mimo
Nie zbawisz tego co ci ...ł odtrącił naprawdę

Z Heinego

Henkel.

52.

Dziewczę z koralowemi usty
Z oczkiem jasnem jak wód tonie
Ty dzieciątko luby, pusty
Myślą wciąż ja ciebie gonię.
Długi wieczór dziś zimowy
~~Mógł~~ Chciałbym rad siedzieć we dwoje
Inneby rozmowy i rozmowy
Napełniłby pokoje
Jakże pieścić bym ustami
Twoją drobną białą rączkę
I oblewał bym jej łzami
Twoją drobną białą rączkę.

Z Groty Kain.

Obaje byli zakochani
Aż do niemożności
On jej przy gościach mówił „Pani”
A ona tyż bez gości:

—

Było to miłość co się zowie
Najświętszej daty
Jemu się przecz nic podzięce
Jej mąż bogaty.

+

A że pieniędzy nie miał luby
Ni stroju kochanki
Więc o wstąpieniu w święte śluby
Nie było rozmianki

Nie szkodzi... życie nie jest rajem!
I młodą parę
Zdjęta wszystko szczęśliwa człowieczość
Z niebie opieką.

—

Ale zniesiony w roli bohatera
Rzekł: zdziwiony i srodze
„Kocham cię" na co mnie odpowie
„Za mąż wychodzę."

—

O mój aniele, jak to boli!
Miłość z patosem
Lecz wiedz, nie dla każdego
Urwał z mym sercem!

—

Nadto Cię Kocham

Gdybyś rozumiał jak to boli
Gdy się nikogo nie ma, nie
Koło najbliższem wyglądam
[illegible] się.

Nadto Cię kocham i dla ciebie
~~Tylko~~ Czynię to głównie;
~~Że moja miłość~~ i
Nadto Cię kocham; lecz w zgodzie
To mój cel główny
Nadto Cię kocham i dla ciebie
Czynię to głównie
Że miłość mą w sercu grzebię
I.. w [illegible].

A ona rzekła: jakie cenię
~~Twój hart~~ Męstwo twoje, ~~mój~~, miły
I mnie to wielkie poświęcenie
Dodaje siły.

Weźmie na rękę krwawe rany
Ach! cóż to znaczy
Sercem mi zaczął dodawać więcej
Gdybyż choć raz jedyny
W tej drugiej życie męce
~~Oddałbym~~ Mój los dla tej dziewczyny
Malczyce twoje ręce!

Na [illegible] [illegible] naszej góry:
W majową [illegible] niedzielę
Wdzięczna dziatka stąd
Że [illegible] dumna wiele
Pochylmy ojców czoła
Pomścimy po narodzie
By zapamiętali [illegible]
[illegible] tych nadziei.

M.: B.

Ej ty kwiecie ślicznej [illegible]
D. Co za dziwne występowanie
Ludzi z samych
~~[illegible]~~ Koła piekielnej [illegible] [illegible] a stworzona
Kiedy w raz śniegiem księżyca [illegible]
I tylko z dala smutnie zadumane
Nadzieja że nam cichy kwiat rozdana
Nie nam się w ciem [illegible] potrzebi
Zawiodła nie nam zawiodła przeznaczenie;
Smugą my ciemną, smugą [illegible]
Był na nas [illegible] gwiazd zawiść
A oto słońce co nad nami świeci
Uderza światła lecz ciepła nie daje

I choć potrzebna się może [illegible]
Mówiąc: dla nas wielkie [illegible] że

Nie tak niezłomne są te nasze serca
I nie tak czyste te nasze lilije

T.K. Cicho oddychać

Cicho oddychać

Tak, kochanego nocą

jak anioł [illegible] nocy czuwał;
Tak często Twoich wspomnień [illegible]

Milczącej drogi ścieżek kochanych [illegible]

A ono samo jeno się wyłoniło z dali;

~~A On~~ [illegible] [illegible] w [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]

Patrzę nieustannie na wielkiego okna
~~Czyje sobie swoje~~ uczynki a gwiazdy same
Czuję noce [illegible] i kochające same
Rana to [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]
Nie tego [illegible] nie [illegible] to [illegible] 5/IX

Ten [illegible], [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
Pokaż [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] ne — i [illegible] [illegible] [illegible]
[illegible] było tak lekko, że nie dało [illegible]

—

Tylko dwa słowa na [illegible] [illegible]
Rozpoczęta [illegible] prace pokajanną
Codzień się [illegible] z [illegible] i [illegible]
Gdy [illegible] [illegible] jakby [illegible] [illegible]

—

Kropelka po kropelce [illegible] [illegible] [illegible]
I [illegible] ślad [illegible] [illegible] [illegible]
Nikt pewnie o tem nie wie, że się [illegible] [illegible]
Lecz go nie dopytasz — wszak to tajemnica

—

Często słowie . . . . . .
[illegible]

Pamięci A. E. Odyńca.

Zamknąłeś oczy sędziwy poeto,
Który nad krajem jako jego dziecko
Zawiodłeś tudzież mistrz i wieszcz!
Bo wśród [illegible] i [illegible] pleśni,
Ach! a nam dziś zostaje tem boleśniej
Podmosty
Bo wszak z tobą kiedy się [illegible]
Bo dziś już mało kto śpiewa... słucha!

—

Bankowi karta twa zapisana
Co [illegible] [illegible] do [illegible] w [illegible]
Dziękujmy się [illegible] [illegible] twe zasługi
Jesteś odrodzeń, [illegible] dzieł Bogdana
I wiesz tylko, [illegible] wspomniano
Z krakowskiego wzniesł [illegible] tkana
Podziękować [illegible] nam [illegible] [illegible] Bogdana
Na obcej ziemi [illegible] gdzie [illegible].
Takoż to jego dola niespokojna:
Żegnaj nie wcale; nie jako zabawy.

—

Nie nam już nowa droga, [illegible]!

Czemu kiej ku was - ojców pam[illegible]
Niż nam zaludniał [illegible] [illegible]!
Alboż nas powodzie i [illegible] [illegible]
Innych [illegible], innych [illegible] dzieci
Byt na nas [illegible] [illegible] zamiast
A [illegible] [illegible] w nad nami [illegible]
Nędzna i uraza, [illegible] [illegible] dziś.

Z swoi posłuszne [illegible] [illegible]
Młodzi i dla nas [illegible] [illegible]
~~Niech ta [illegible] krzywdy [illegible], dusze;~~
Przez te krzywdy w [illegible] i dusze
Niewiado gdzieś pochodzą ku górze.
Ach! wszyscy [illegible] i skalalnie [illegible]
I krwawe [illegible] i czysto [illegible]

Gdy gdy się o nas zapytują drabi
Ni [illegible] nam ku nas podległania [illegible]

Póź gdy cię o nas pytać będą duchy
Ale nie ty na nas potępienia słowem
Stare Wydziedziczy serca [illegible] dzieły
Boś ty wiem jakie mają w nim podwaliny
I jakże dźwigać trudno nie lżejszy
I jak w tem więcej niewiasta nie równy
Ty zostań z nami dzięki przez [illegible]
Potem gdy cię o nas pytać będą duchy
Ty nas nie potępiaj za myśli i czyny
Za dobre serce i za zło bez duchy
Bo ty wiesz jakie słabe są podwaliny
I jakże na ziemi cwiczyły lamentuy
I jak w tem więcej niewiasta nie równy

—

Bądź nam obrońcą, ty król pobożliwy
I król łagodny

Bądź nam obrońcą, ty wszechmiłosny
I tak Tadeuszu; na pomoc niebie
Wskaż nam słońce na ziemi swobody
A dobrym gwiazdki nam w tobie niej
I także
Jak niegdyś Adam płakał tułacz w niebie
I odszedł z ~~tego~~ całego jakby wściekły,
A jak go z bezd pojęt nie pojęta
Tak nam nikt ~~teraz nie~~ nie kwiat za nim rozbudzi: gdzie?

Y Próżno by nawet szukać! –
~~I nie zostało~~ nawet śladu
Że przeszło: myśla bowiem był
Zagasły tylko drogi słoneczne.
Chętnie rozwiała się kto był.

Ach przy biesiadzie wszystkim żyć

Dźwięczny głos

Przy oknie siedział gość milczący
Ku piersiom chylił bladą skroń;
Z rąk do rąk puhar więźni krążący
Omijał zaciśniętą jego dłoń

—

Może dla tego, że mi z razu
O swoją kiedyś mi wzniósł skargę
Tylko ból dźwięczny, bez wyrazu
Do bladych jego przylgnął warg

—

Śmiechu i wrzawy pełno w sali
Każdy w tym chórze głos swój ma
Ten się natchnioną piosnką chwali
A inny chwalą brzękiem szkła.

—

Wtem wstał gość z twarzą zadumaną

[illegible] [illegible].

Ten wolny, co [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Potrzebny [illegible] w [illegible] [illegible]

Ten wolny, [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

Potrzebny [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible]; a [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible], ni [illegible] [illegible].

[illegible] I

I. Ah ona [illegible] w [illegible] [illegible]

[illegible] za [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] nie [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible] jakby [illegible] [illegible].

Po odczycie

Jerzemu Brandesowi:

Chłopczyku, wędrowny ty ~~ptaszku~~
Francuska nasze wkłada przemowę
Czy, słońce, słabostki znam nasze
I szarą głupotę podawał!

—

Ach! śmieszni bo ludzie są ninie
Błazeństwem ~~powoli~~ się ~~zdobyli~~ znaczyli się zdobyli
~~Drugie~~ drwy ich słowa czarnobrei w zimnie
A tylko spokoju nie chcieli.

A wszystkie te nam zalety
W swe gniazdem się czepną podobnie
~~Mniemać rad na rad dźwiękowany~~
Gdy słowem ewlegnie się koje

Dalej — strony i 6

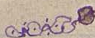
Pałac bogi i skrzyny 28
Pałac – bogi 6
1,68

Pijanotki zmarłego i skrzyny i blumy
~~Pałacz~~ w aktorach, cygankach w chodzi:
Znasz rzyk trzymaj cudzą się
Tak zjawia się u nas powoli:
Przykładów takich wszędzie
Nie dla jednego ni dla pieca
Rada tam często dziwny gość.
Sam nie wie poco po coś wołano
Gdy mu znowu dadzą znak
Odchodzi z wolny zadumany...
I nikt nie wie – że go brak!

Z Grotyków.

Co ci się chłopcze marzy

Że smutkiem ci do twarzy
Dla tego smućże się..
Co ci się chłopcze marzy!
Ja sobie i tobie dziwię.
Że smutkiem ci do twarzy
Dla tego smućże się.
Ach! przy biesiadzie wielkiej życia
Przykładów takich bywa dość
Nie dla jedzenia, ni dla picia
Siada tam często dziwny gość



~~Mam piosenkę [illegible]~~ [illegible]

Z lasu to [illegible] [illegible]

~~[illegible]~~ [illegible] [illegible];

[illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible]

Ale jam po [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

Tam [illegible] [illegible] [illegible] —

~~Było~~

Kiedyś to mi, po [illegible]

W bok [illegible] [illegible]

Wszystko jakby [illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] [illegible]

[illegible] [illegible] nóżki…

Kołyska.

Na strychu u nas stoi
Sprzęt nieokazały
Niegdyś rodzice moi
Widzieli w nim swe skarby
~~Ja się tam czasem wkradam~~
Mnie coś do niej nęci:
Jak gdyby czas wspomnienia
Pozostał mi w pamięci
Z epoki przedistnienia.
~~Często się tam wkradam~~
A teraz gdy mnie tęsknota
Napadnie nie wiem za czem
Na strych idę cichaczem.
I tam pośród rupieci.

Czasem gdy nie wiem co robić

Na skrzydłach się [illegible]

Gdy patrzę [illegible]
[illegible] i [illegible]
A [illegible]
[illegible] iż [illegible].
Wiosna – [illegible] iż [illegible] –
Udaje pod jego obłokiem [illegible]
[illegible] jakoś widzę
Płonące malutkie.
I gwiazdki drżą świecące
Lecące na [illegible]....
[illegible] nie pojęte
Zapewne moje serce –

Idą mi się
Mej matki postać biedna

Piosnki co mi śpiewała
I wszystkie jej ~~marzenia~~ sny złote
W pamięci się unoszą
I każdy jej pieszczote
Idą się me [illegible] [illegible]
W I wszystkie jej sny złote
W pamiątku.
Gdybyś chociaż czuć mogła
O matko moja miła
Dzięko twego [illegible]
Coś dla mnie zrobiła!
Gdybyś chociaż raz co życia

Do [illegible] co po dzieciu

Czyś ty kiedy

Może być takie poświęcenie

Ten, który nie wie co to ::

Ten który nie wie, co to ~~kiedy~~ gdy wszystkich ~~[illegible]~~ otrzymuje

Widzieć gdzie w gębie łaskaw w uczuciu gorz-kim

Szyście ramiona i bladzie, niczym jak szalony

Kaleczy się Ofelja w swym szaleństwie

Nie słyszy w [illegible] wśród ~~[illegible]~~ zaklętym

Gwiazdy na kapeluszu jak na tamburynie

Ten w kim nie zdąży na zawsze serce kochające

Którego całem szczęściem za jednem imieniem

Nie jest, przyjść radosna gdzie nasłonecznie

Na wole drugim ciele, radośnie wiernym słowom ciężkim

I coś tak w swoje duszy radośnie wstępujące

Wszystko co temu dany

Ten kto nie wie, co znaczy to
Kiedy prawda wieczny z nadzieją błędnego
Zerwać się nagle boso
Kto nie wie co to znaczy, skazany [illegible] w lesie
Kiedy prawda wieczny z ułudnych zasad błędnie
Zerwać się nagle boso, jak stworzone dziecię
Chodzić, płakać i ~~[illegible]~~ się, [illegible] każdego
~~[illegible] się [illegible]~~ przed niedokończonej zagadki co ~~[illegible]~~ [illegible]
I nad [illegible] bolesny
~~Nad niezbadanym~~ nim takie bezwiednie,

Niechaj ten sobie bazgrze i kreśli w woli
Niech rzesza tradycji rymów brzęcząca [illegible]
Niech się nad ambicją [illegible] niewoli
~~[illegible] w tym [illegible]~~ nigdy o niczym będzie ona podstawą
~~Utrzymywać~~ Nad olsyi, strofeów władzą swojej aureoli:
Mnie były wielkim [illegible] — bez nigdy pod[illegible]

Piosenka Migracy

Italio, o królowo piękna i bogata,
Jakże ciebie zbudzili ci z całego świata
Napływający ze znanym obyczajem owcy
Jeden wśród za drugimi ścieżkami [illegible]
Fabrykanci, dyletanci, tak wam artyści
[illegible] mylordowie, gładzący [illegible]
I pewno byrony, spod zbłakłych sztandarów
Wszyscy dziś cię depcą, o matko Cezarów!
Idą i mierzą [illegible], kolumny, ~~kostki~~ arkady,
Jeden wzdycha do słoty, drugi do arkady,
Co krok to [illegible], to [illegible]
Oczy utkwione w niebo, [illegible] [illegible]
Łzy pierwsze [illegible] [illegible] [illegible]
Aż tę i pokłonowanie [illegible] twe pamiątki.
Jeden ten i sonetę, do [illegible] przykład [illegible]

Szukając ~~[illegible]~~ w czem to leży złoto twojej [illegible];
Którędy [illegible];! przeczucia bada
Czy nie się odemnie lub rozważając [illegible].

O mój chłopcze! krótka chwila szału
Lecz bardzo dłuższem jest życie wspomnienie
I mój chłopcze! Zbola chwila szału
Mam [illegible] przez życie wspomnienia
Jak odpokutowałem... lecz ucieka po trochu
Słabym już wspomnieniem na tle szarem błędu.
Dane się nam jako dwa motyle
Spotkały w biegu i los je rozdzielał.
~~[illegible] jeśli znasz [illegible] nie przez chwilę~~
Niechaj, kochanka obraz na chwilę
Lecz czy na zawsze zyskam — Przyjaciela?

Czy jam zadowolony? kiedy usiądę zmęczony
i schylony czy ten koniec obrazu [illegible]?
Twój wiek, aleś się czytać, być nie dość być dopadły
Nasz musi się rachować; wodzić naszych dusz, ~~wodzić~~ twoje dzieci
Zwaliło się na nas gmach ten, który ty wystawił
Dzieci i ma podkopywać; ty ......
Synu; Co niecierpliwie czekać się musiało
Przez dwadzieścia lat drogich zakazań

3/6
1.92

Oto, gdy mi moc zapisaną kartę
Czemu [illegible] spokojnie widzę: wszystko jedno.
Gdy kiedy i [illegible] zapisana kartę
Czemu spokojnie widzę: wszystko je
Gdy nad pisaną kartą i [illegible] kartę
Mój spokojnie: widzę wszystko jedno.
Y ~~pogardliwiem~~ to słowo przeczuto:
Ranne wspomnienia... [illegible]

Chcesz wiedzieć kiedy się może na pewno
~~pozbyć, [illegible] pod [illegible] życia~~
Żeś już nie ogień i nie lód lecz [illegible]
Chcesz
Wiesz, kiedy możesz ~~[illegible]~~ na pewno?
I wrażej serca, co ci [illegible]
Żeś już nie ogień i nie lód - lecz dziecko.
I jej to [illegible] stanie co już nie zawsze?

~~Oto gdy taką spostrzeżesz [illegible]~~ Cieszę.
Że [illegible] kiedy
Oto gdy serce to ~~już~~ ból tak przebaczy,
Że ~~już~~ nie - roztkliwia się ani nie żąda
I nie przeklina i nie ~~[illegible]~~ zgorzknia
Ach! - ni kocha i nie nienawidzi!

—

~~Gdy [illegible] co przeciwne~~

Siedział przy

Przy oknie siedział

Przy oknie pono siedział milczący

~~I pióro wołało~~

Przywarnie siedział pono milczący
Z gracją [illegible] nie [illegible]
~~Aleks i pocztą [illegible]~~

Z rąk do rąk puchar wina krążący
Zawsze omijał jego dłoń.
Mój [illegible] tego, że mu raz
W swojej kolej nie [illegible] [illegible]
~~Za to~~ Tylko raz chciwy, bez wyrazu
Przylgnął do jego bladych warg.
Śmiechem i [illegible] buchła
~~Śmiechem [illegible]~~ [illegible] sala

Temu jest winno [illegible] rozpala
Pan

Smutkiem i wzruszaną bucha sala
~~Każdy~~ w tym chórze głos swój ma
Jeden ~~Ten~~ spiowanky
Ow klaszącego brzękiem szkła.
Smutkiem i wzruszony sala drżys
Każdy w tym chórze głosik swój ma
Jeden śpiewanką się pochwali
Inny klaskiwaniem brzękiem szkła

33333

Ktoś gość od stołu powstał z cicha
Ktoś ~~stół~~ gość z bara zadumany
I odszedł z cicha, jakby w śnie..
A jak go szedł był nie ~~p~~zykany
~~Szklanica~~ ~~z nim~~

L.

Z Erotyków.

Jest gra. Nikomu od Adama
Uczyć się jej nie trzeba
Nauka ta, przychodzi sama
Z piekła... a może z nieba.

—

Grają w nią chłopcy i dziewczęta
A często nawet starcy,
Ha! Nie dziwo:- któż bo z nich pamięta
Że im z tem nie do twarzy.

—

Partya czwórkowa krótką bywa
(Wielka to jej zaleta)
Zawsze w połowie ją przerywa
Mężczyzna lub kobieta

—

Lecz gdy chcę przyjrzeć się bliżej a sercu
Co się też często zdarza
Sama się ona zamkniętym torem
Kończy u stóp ołtarza.

—

~~A osobliwy jest w tym względzie~~

~~Niezwykła ta~~
Hazard – ~~wojna każdy~~ tak i każdy gry zdziecinny
Dziwny ma jest postaci
Bo się przegrana jednej strony
Ale druga nie bogaci

—

~~Ale nawzajem gdy los sprzyja~~
Ale nawzajem
Wzajem – wygrana nie jest klęską

[illegible], [illegible] nie jest łatwą
dla przeciwnika w pracy
A miłość i radości więcej [illegible]
w sercu
więcej [illegible] nie jest łatwą
tego, co było kiedyś własną zabawą
I miłość z radością [illegible]

~

Co do mnie,
Co

Co do mnie...
Kochany tej zabawki

Najmilszej tej z zabawek

Dziwnych [illegible] rzeczy.

—

Zawsze uważam jedno tylko
Najmilszą by z zabawek
Nie to rzecz [illegible], że!
Wiem mi nic [illegible]
Że jedna strona [illegible]... [illegible]
A druga... [illegible] !

Dzieci Oceanu ~~Pisek, 30~~ III

(poemat nastrojowy)

Było to jutro... Gliceryus i Hilgisbonda siedzieli na samym środku Oceanu Spokojnego... Spienione fale obmywały im stopy, a głowy ich pławiły się w złotej wilgoci słońca... Mówili do siebie milcząc... On słuchał jej wzroku... ona upajała się w jego głos dźwięczny jak śnieżnica na [illegible] kukanie... Cisza panowała tako ogłuszająca, że słychać było można spoczywające na ~~dni~~ mor-skiem bezdennem dnie morskiem, co wczasym niebu pogrzebane światy...
Mistyczne lilije tańczyły nad niemi dziką sarabandę a płomienna ich biel miała w sobie smutek prze-raźliwej czarności pełen... Mamiła ich wi-dowady ~~jak~~ mgły przygwiaździone ~~niebieskiej~~ gwiazd po-jęczyną do płaczących wyżyn...
Czuli wtedy tak okrutnie, że krew ściąła się w ich żyłach upiekielną lawą... Gorące śniegi [illegible] piętra topniały w alabaster...

Ręce ich splatały się tem silniejszym uściskiem
im bardziej oddalały się od siebie...
A czas cofał się nieubłaganie tędy naprzód...
w przeszłość...
Gliceryusz wciąż milczący rzekł:
— Moja ty - niczyja - najmniejsza ..... Znasz mądości
najwyższą głupoty?... Wszystko to nic...
A oczy zapłonęły się straszliwie, i cała zeschły-
miemem dłonią odtrąciła niedościgłe:
— Tyś mi ... żaden... Poskromiłem sługą ...
kamy zastęp... Tak... to nic...
I przesiedział tak — aż do wieczory

340
32
10
382.

A zorza

A po jego twarzy, dobrocią
ciche łzy płynęły... płynęły...

136.-
10 -

121
10
20
50
191 482
56

322-
20-
76.-
40
396

82

400

Kobieta naszego rodzaju.

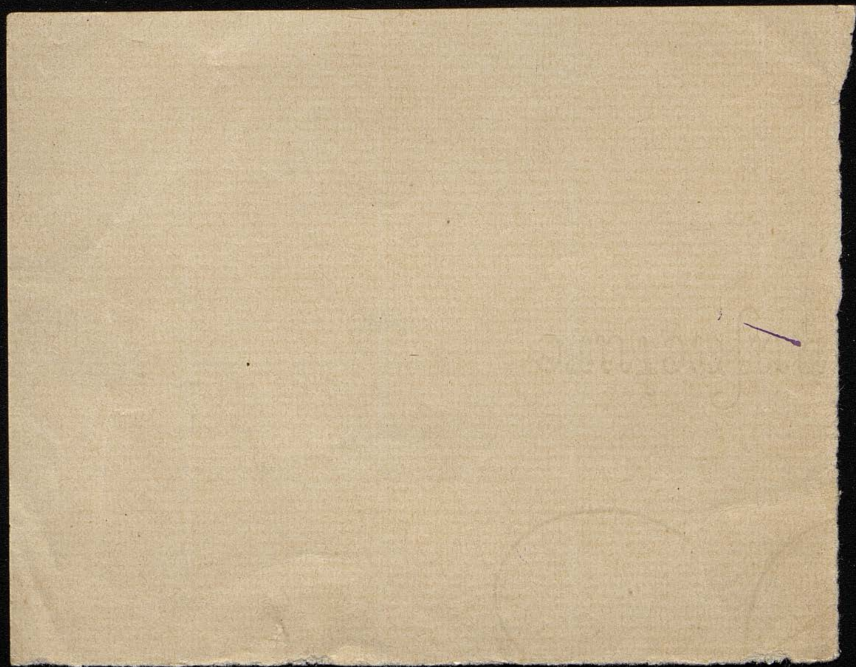
Panna Zofja, chemiczka doświadczona już na polu [illegible] zwycięsko skrapia się obficie bardzo mocnemi perfumami.

Przyjaciółka jej, kichając:

— Na miłość boską, Zosiu! Pachniesz jak całe laboratorjum. Na cóż się tak wyperfumowałaś?

Panna Zofja z filuternym uśmiechem:

— Alboż nie wiesz, że ma przyjść pan Leon. Mężczyznom musimy zawrócić coś, jeżeli nie w głowie, to przynajmniej... w nosie!



Przepisy w stylu „moderne" dla narzeczonych

Odwiedzając narzeczoną u wód można przyjść do niej prosto z wagonu nieogolonym ~~z~~ i z zachowaniem podróżnego pyłu i przywitać ją według uznania.

Następnie – jeżeli godzina jest ranna można ją uwiadomić, że wypiło by się chętnie kawy z szynką, jajami na miękko bułeczką i masłem.

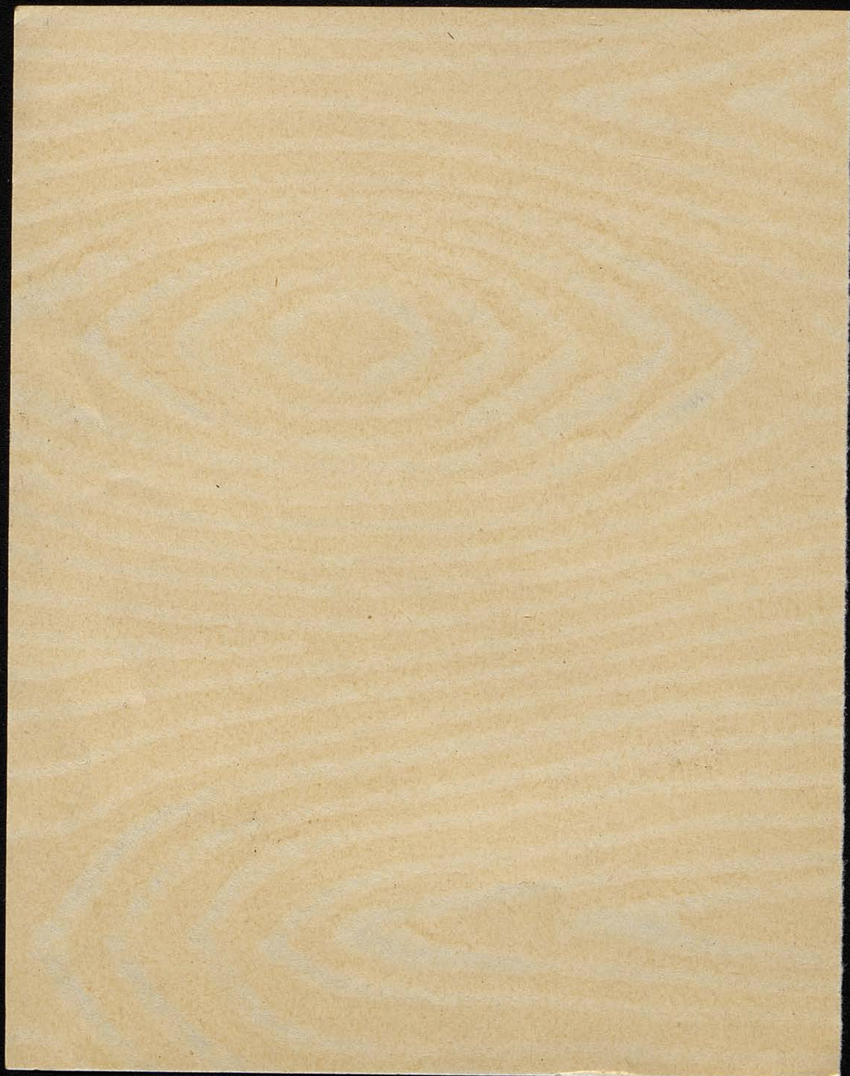
Podczas gdy narzeczona krzątać się będzie około przysposobienia wyżej wzmiankowanego pośiłku, można opowiadać jej

o ostatnim zmęczeniu, niedogodnego położenia lub dźwiękach w domu przykrościach i kłopotach; wystrzegając się przytem zapytania o jej własne zdrowie, przebieg kuracji i tym podobne drobnostki, jest to bowiem zupełnie „mydlarskie"; nie [illegible] w stylu.
Po spożyciu śniadania należy pójść do przygotowanego dla siebie pokoju (narzeczona [illegible] go naprzód zabawą samotności) rozgościć się i przebrać, bez pośpiechu, tak, żeby trwać to mogło do pory obiadowej.
Przy obiedzie siada się obok narzeczonej, przyczem wszelka rozmowa jest całkowicie zbyteczna.
Po obiedzie udaje się do jej pokoju na czarną kawę i papierosa, przyczem w postawie wygodnej leżącej układa się na [illegible] [illegible], podczas gdy narzeczona mówi [illegible] co

położeniu na kozetce i napawaniu się ze
zadowoleniem dyskretnie tonowanego śpiewa-
nia.
Po przebudzeniu wychodzi się z nauczycielką
na spacer, jednym słowem do swego
usposobienia, przechadzając się już w miejsca
zaciszne, lub jeśli się pragnie spokoju,
lub w tłum, jeśli nam gwar dogadza.
Gdyby nauczycielka wyraziła chęć pójścia
wieczorem do teatru, na bal, lub w ja-
kąś inną rozrywkę, nie przypadającą nam
do gustu w danej chwili, wyperswadowywa
się jej to krótko, i uzasadniało; jeśli zaś
chce się być w tym wypadku wyjątkowo ta-
ktownym i subtelnym można obie-
cać bez wynalezienia jakiegoś pro
odpowiedniego powodu odmowy —
Po kolacji należy wcześnie udać się
do swego pokoju na spoczynek.
Nazajutrz wypada spać jak najdłużej, aby

zostawia naszej swobodzie. Oprócz prze-
pisanej kuracji (picie wód, kąpiele) jedyną
rzeczą wyjść samemu do kawiarni; a jeśli
przedłuży się koło zakładu odzyskanego
i nie ma się co z czasem robić, można
tam wstąpić i wybrać podług swoich
ulubionych kawałków; następnie zaś
usiąść na werandzie i zamówić co zecho-
ciało podług swego upodobania.
Obiad jako wyżej.
Przez dzień można siedzieć w pokoju
kawiarnianym i czytać książkę lub dzienniki.
Gdyby zdarzało się panu znajomych i ko-
legów należy skrupulatnie obmyśleć sposób
spędzenia z nimi wieczoru:
Wskazane jest nieraz, aby pokazywanie się
pensjonariusza znajdowało się jako dobra
przyjaciółka lub dobra znajoma naszej-
czej; wskazuje się wtedy chmielniacki

i cnotliwy sposób na samotność".
Ponieważ przez dwa dni wyprzątało się pieczenie i wszystko (jednak spiąc i nie nie mówiąc) mówiło o bogactwie należało stać się nadzwyczaj ostrożnym, przyjemnym i dowcipnym.
Po domu uwijać nie trzeba o trzeciej – absolutnie wracać nie należy.
Na trzeci dzień wskazanem jest spać do samego obiadu, a nawet dłużej –



Pert

Psy na Wojnie.

Od najdawniejszych czasów pies, ten najwierniejszy przyjaciel człowieka towarzyszył mu nietylko w zakresie domowych, pokojowych potrzeb, ale i na wojnie. W starożytności przypisywano mu nawet czynny udział w walkach; ~~później~~ w wiekach średnich rola jego ograniczyła się na usługach ostrzegawczych i posyłkowych, zawsze jednak dzięki rozsądnie odpowiedniemu wyborowi i tresurze usługi te były bardzo pożyteczne.

Wiek dziewiętnasty zlekceważył tę cenną siłę. Wprawdzie w 1836 podczas zdobywania Algieru kapitan Blanquini, aby uchronić się przed napadami Kabylów, zorganizował z miejscowych psów wartę, która co noc pełniła służbę ~~na w~~ ostrzegawczą na widetach.

Był to jednakże wypadek odosobniony i francuskie ministerjum wojny nie wyciągnęło z niego odpowiednich wniosków. Owszem, tresowano psy policyjne i w celach osobistej obrony, ale zarówno we Francji, jako w Belgji, jak nawet w tak wysoce praktycznej Anglji, był to raczej rodzaj sportu, nie mającego w wydatkach państwowych żadnej stałej rubryki.

Natomiast Niemcy patrzące na wszystko z punktu widzenia militaryzmu zorjentowały się szybko jak poważnym atutem w tej wielkiej wojnie do której przygotowywały się tak długo i tak mistrzowsko może być psia służba. Toteż cichaczem, pod pozorem licznych sportowych organizacyj rozpoczęto tresurę psów wojennych na wielką skalę tak dalece, że gdy wybuchła wielka wojna 1914 r. psia armja została zmobilizowana na równi z wszystkiemi innemi środkami i siłami wojennemi. I sprawdziło się wtedy to mądre zdanie generała Grolma, który w 1879 r. powiedział:

„Faktem jest historycznie stwierdzonym, że ~~[illegible]~~

narody
decydują się wprowadzić w swe urządzenia wojenno-wojskowe
innowacje przeobrażające sposoby prowadzenia wojny dopiero wtedy,
kiedy same padną ich ofiarą na polu walki"
Ileż to razy dzielni, bohaterscy żołnierze francuscy musieli się
dziwić bezwiednie bo psy nieprzyjacielskie ostrzegły o ich najbardziej
kunsztownem podchodzeniu niemiecki posterunek. Ile razy pomimo
zniszczenia linji telefonicznych przez artylerję, przecięcia wszelkich, jak
się zdawało, środków komunikacji, wojska niemieckie są w porę po-
wiadomione o wszystkiem co potrzeba dzięki psom łącznikowym.
Dopiero jeden z takich czworonożnych kurjerów nowicjusz jakiś zabłą-
kawszy się na linję francuskie rozwiązał tę zagadkę.
I wtedy na gwałt ~~wyrzucono~~ zakrzątnięto się dokoła tej zaniedbanej placówki.
Ministerjum wojny wyznaczyło fundusze – bardzo skromne – zwrócono
się do różnych stowarzyszeń urządzających przed wojną wystawy psie i
zażądano ich pomocy. Na szczęście znalazł się w wojskowej kancelarji
generała Lyautey, ówczesnego ministra wojny pewien oficer, zapalony miło-
śnik psów, który odbywając kampanję na Madagaskarze posługiwał się
tam psami, i wydoskonalił się w ich tresurze, i jemu to powierzono naczel-
ny kierunek „Psiej Służby wojskowej." Otoczony liczną kohortą składającą
amatorów i zawodowców pasterzy, dojeżdżaczy, gajowych oddał się do
dzieła tak gorliwie, że już po upływie kilku miesięcy zorganizowane przez
niego psiarnie mogły dostarczyć armji wyspecjalizowanych w takim
czy innym zakresie okazów.
Najpodatniejszym do wojennej tresury jest pies pasterski tak zwany u
nas owczarski jak również druga odmiana tej rasy wolarz (bouvier),
przydatnemi też są bardzo dobermann-pinczery, pudle, a i pospolite podwó-
rzowe kundle czujnością swoją potrafią oddać nieocenione usługi.
Dość powiedzieć że niektóre z nich odpowiednio wytresowane ostrzegały o
wszelkim podejrzanym szmerze w odległości od osiemdziesięciu metrów
do dwustu! Oczywiście w takich warunkach łatwo zorganizować alarm
i zgotować skradającemu się nieprzyjacielowi zasłużone przyjęcie.

Niemniej ważną w wojennych operacyach jest rola psów łącznikowych. Odznaczają się one nieustraszoną swoją odwagą; pędzą śmiało wśród pękających na wszystkie strony granatów, nawet zranione często starają się spełnić swoją powinność, jako świadczą o tem zapiski urzędowe ~~podające zdarzenia~~ z całości wielkiej wojny i czyny tych czworonożnych bohaterów.

Warto przytoczyć z nich kilka:

Pies Duno, wyrzucony w powietrze przez wstrząśnienie spowodowane ~~wybuchem~~ obusa wielkiego Kalibru, podniósł się nieuszkodzony i otrząsnąwszy się podążył w dalszą drogę.

Suka Pastou ocaliła całą kompanię, zaskoczoną przez przeważające siły nieprzyjacielskie. Trzech kuryerów usiłujących przedostać się do kompanii odciętej z wezwaniem o pomoc padło trupem pod ogniem granatów. ~~Suka~~ Wtedy wysłano sukę Pastou. Dwukrotnie zranione przebiegło co 10 minut przestrzeń czterech kilometrów zasypywaną potężnym gradem wybuchowych kul, i zwróciło przynosząc wiadomość, że posiłki nadciągają.

Suka Sułtanka podczas gwałtownego bombardowania dwóch ważnych punktów pięć razy odbyła drogę pomiędzy niemi tam i z powrotem niosąc wielkiej doniosłości komunikaty.

Ileż to usług cywilizacyi wyświadczyły te szlachetne czworonogi, same często padając ofiarą swych obowiązków spełnianych ochotnie, gorliwie i wprost ze zdumiewającem odczuciem wyższej nawet od powinności.

Tu nasuwa się pytanie jaka ich wzamian za to spotykała nagroda?

Oczywiście bardzo skromna. Jakiś przysmak dodatkowy, pogładzenie pańską ręką, pieszczotliwe słowo — więcej nie.

Nie zawsze jednak.

Pewnego razu, prezydent Rzeczypospolitej odbywając przegląd wojsk w Alzacyi zwrócił uwagę na psa, kroczącego wesoło na czele batalionu strzelców alpejskich w którym służył. Ten pies imieniem Pyram try-

Wreszcie zdarzenie naprzód nieprzyjaciela wywęszył go na nie-
prawdopodobną odległość. Wtedy porucznik kazał go sobie przyprowadzić, ze-
zdjął gwiazdy wyróżniony pierwszej klasy i własnoręcznie przypiął je do
obroży Pyrama.

Innym razem zaś podczas obchodu rocznicy Niepodległości Belgii tłu-
my widzów oglądały w Parku Królewskim defiladę kilku plutonów psów
łącznikowych, wartowniczych i patrolujących, pod sztandarem Towarzystwa
Psów Wojennych, ofiarowanym „Psiej Służbie Wojennej" przez grupę przedstawi-
cieli stowarzyszeń [illegible] obrony i hodowli psów. Na czele dywizji Marokań-
skiej, która pierwsza weszła do oswobodzonego Metzu postępowały psy łącznikowe
we i wartownicze tej chwalebnej falangi bohaterów. Porywami frenetycz-
nemi oklaskami przyjmowali czworonożnych obrońców Francji i w niejed-
nem oku zabłysła łza na ich widok.

A u nas? Czy wśród nieliczonych kredytów wojennych znalazło się
już pozycja na utrzymanie i tresurę „Psiej Służby". Jeżeli jej jeszcze nie-
ma, to bezwarunkowo zaleca się powinna, bo według opinji takich powag
wojskowych jako ~~[illegible]~~ Foch, Gouraud, Mangin, nie można zanie-
dbywać niczego co w ~~[illegible]~~ wojnie przydać się może dowództwu.

H.

Monteiro Lobato.

Zemsta „Peroby.” (1)

Miasto to to nie muriny. A przecież to monjolo (jest rodzaj pierwotnego młyna, w którym się miele kukurydzę) ~~[illegible]~~ ~~[illegible] [illegible] przedmiotem gawęd w okolicy~~

jest nadzwyczaj popularnym i cennym [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible], w [illegible] [illegible] [illegible], a [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. Tej Przypadkowo ~~[illegible]~~ Bohaterem „przypadkowy” [illegible] jest ~~[illegible]~~ [illegible] z [illegible] [illegible], który nie może znaleźć dla siebie odpowiedniego [illegible] w [illegible], [illegible] w [illegible] [illegible], przypadkowo [illegible] w [illegible] [illegible] Zdolności Zetybety ~~[illegible]~~. [illegible] [illegible] ~~[illegible]~~ [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]

(1.) „Peroba” gatunek drzewa tak zwanego Brazylijskiego, wydającego silny barwnik, czerwony, [illegible] zwany także fernambukiem, i mający szerokie zastosowanie w farbiarstwie. Rozpuszcza się tylko w wodzie i alkoholu. (przyp. [illegible])

(2) Pako, zwierzę z rodziny wielbłądowatych (inaczej lama) (nie [illegible] od owcy) daje się łatwo oswajać, dostarcza mleka, mięsa, a jego wełna służy do wyrobu tkanin zwanych alpaco po polsku alpaga.

(przyp. [illegible])

81 9

Dear Sir, Notwithstanding the

Dear Sir, Lately I have read Mr. Hichens novel „After the Verdict," and I would
the very much to translate it. There fore
I adress myself to you ~~ask yours~~ ~~if~~ you ~~I~~ could kindly get
me the permission from Mr. Hichen
on the same conditions as last year it was with the play
with the ~~Decemb~~ December Love." that is
Three ~~pounds~~ for the payment
of Three pounds (£3)..
Awaiting

Robert Hichens.

Po Wyroku

Powieść w trzech częściach.

Część Pierwsza.

Wyrok.

Przekład z upoważnienia Autora
przez H. J. P.

Robert Hichens.

Po Wyroku.

Powieść

~~Powieść w trzech częściach.~~

Tom I.

~~Przekład~~ (Przełożyła) z upoważnienia Autora

~~pani~~ H. J. P. (Hajota)

Tom pierwszy.

Część Pierwsza.

Wyrok.

I.

Był to ciepły, jasny poranek majowy i Londyn wyglądał wesoło, niemal promiennie. Ulice były pełne kobiet kupujących i kobiet, które patrzyły do wnętrza sklepów, pragnąc, a nie śmiejąc kupować. W City zaczęła się już robota dzienna i magnaci finansowi wysiadali z samochodów przed swoimi biurami lub otwierali listy, jakie im pierwsza poczta przyniosła, rozmawiając ze swoimi urzędnikami i sekretarzami. Po całem mieście brzęczały telefony, ludzie spieszyli do swoich

zięć. W Klubie Królewskim tennisowe pola pełne były grających i wielu zapaleńców ćwiczyło się w oczekiwaniu turnieju w Wimbletonie. Rozpaplane niańki popychały w parkach wózki z dziećmi. Małe chłopcy i dziewczynki grały w piłkę w Ogrodach Kensington lub puszczały okręciki po stawach. Po wyżwirowanych jezdniach Hyde Parku tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci używały zdrowej, porannej przejażdżki.

Tylne okna niektórych domów dzielnicy Knightsbridge wychodzą na Hyde Park i w ten majowy poranek w jednym z tych domów sześćdziesięcioletnia kobieta siedziała przy otwartem oknie i spoglądała na snujące się w dole życie.

Była średniego wzrostu. Włosy miała jeszcze ciemne, choć tu i owdzie przyprószone siwizną. Nie była piękną; wiele znajomych jej osób utrzymywało, że ma twarz poprostu nieładną. Tak jednak nie było. Nos był prosty i cienki. Usta szlachetnie zarysowane. Oczy aczkolwiek małe i niezwykle daleko od siebie osadzone były bardzo błyszczące i pełne inteligencji o delikatnie nakreślonych brwiach. Ale, pomimo to, ogólny typ twarzy, zaszerokie policzki miały w sobie coś mongolskiego.

A jednak ani kropla mongolskiej krwi nie płynęła w żyłach pani Baratrie. Matka jej była Kornwalijką, ojciec londyńczykiem, synem szanowanego powszechnie bankiera, i również znanym bankierem. Zaślubiła Johna Baratrie, malarza krajobrazistę, członka Królewskiej Akademji, a teraz była po nim wdową i matką jedynaka liczącego teraz trzydzieści trzy lat.

Lionel Baratrie ~~takiem~~ tak mu było na imię.

Pani Baratrie patrząc tego ranka przez okno zastanawiała się

Ile z tych szczęśliwych osób spacerujących w tej chwili po parku miało to imię, imię jej syna na ustach.
Dla niej, każdy na kogo spojrzała wydawał się szczęśliwym. Na przykład ten młody oficer dosiadający tak sprężyście i zręcznie ~~kasztanowatego~~ gniadego wierzchowca z białą gwiazdką na czole. Ten z pewnością nie zazna żadnego zmartwienia. Wojna była skończona i on żył. Prawdopodobnie nie będzie już uczestniczył w żadnej wojnie. Miał młodość, zdrowie i dobre imię.
Dobre imię!
Usta jej wyszeptały jakby mimowolnie te dwa wyrazy.
Ileż dzieci używało w tej chwili takiej jazdy! Oto ilu galopujących wyrostków, ile eleganckich młodych kobiet, tak sprawnie powodujących wierzchowcami, a ilu się tu przechadzało ludzi starszych, weteranów, polityków, wojskowych, pracowników, handlowców, wycofanych już z życia w lity, jak oni wszyscy wyglądali pogodnie, oddychając słonecznem, wiosennem powietrzem. Szczęście, szczęście wszędzie.
— A mój chłopiec siedzi w tej chwili w sali sądowej na ławie oskarżonych pod zarzutem morderstwa. — pomyślała pani Baratrie.
Była kobietą zdrowego, trzeźwego umysłu. Znała życie i zastanawiała się nad niem. Nieraz, gdy wszystko układało jej się pomyślnie rozmyślała o różnych okrucieństwach losu, o jego straszliwych powikłaniach i wyobrażała sobie, że sama znalazła się w jednem z takich powikłań. A jednak teraz po tygodniach, miesiącach nawet doświadczenia i umysło-

wej pracy powtarzała sobie.
— To nie do uwierzenia.
To nie do uwierzenia, żeby ona, z pomiędzy wszystkich matek w Londynie wybraną została, żeby przeżywać to, co ona w tej chwili przeżywa! Niedomówienia, żeby jej jedynak, którego tak namiętnie kochała, tak dobrze, najwięcej znała, siedział w tej chwili na ławie ~~oskarż~~ podsądnych oskarżony o morderstwo!
Ownet uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie poznała życia naprawdę, że jej się to tylko zdawało. Patrzyła zdaleka na jego tragedję i wyobrażała sobie, że je rozumie. A to było tylko złudzeniem.
Teraz dopiero, ~~siedz~~ w ten słoneczny, majowy dzień siedząc w fotelu przy oknie, pojęła, że to jest najstraszliwszy dzień jej życia. Miała teraz sześćdziesiąt lat. Gdyby miała żyć jeszcze czterdzieści lat, nie przeżyje już drugiego takiego dnia trwogi i niepewności. Doznawała takiego uczucia, jakgdyby jakieś krwiożercze zęby szarpały jej ciało. Bo wyrok na Lionela spodziewany był dzisiaj. Nim noc zapadnie wiadomem się stanie czy ten, ~~którego~~ który był jej dzieckiem zawiśnie na stryczku kata czy nie. Teraz nie wie tego jeszcze. Czy będzie spała tej nocy?
I myślała o tem ilu z tych nieszczęśliwych ludzi w [illegible] rozmawia teraz o Lionelu, o jego charakterze, życiu, o jego stosunku ze znaną panią Sabine, o jego domniemanych losie. Z pewnością bardzo wielu. Bo proces trwał kilka dni i obudził powszechne zajęcie. Cokolwiek się stanie, czy Lionela powiesi kat, czy mu wrócą wolność, imię jego pozostanie na zawsze

znanym temu Potworowi, który się nazywa Publicznością i będzie zawsze zespolonym ze śmiercią. Gdziekolwiek się zjawi, będą go zawsze wskazywać jako tego, „którego sądzono za zabójstwo pani Sabiny".
I tu na chwilę pani Beatrice odważyła się pomyśleć o Lionelu jako o człowieku uwolnionym. Ale, czy nawet ten upragniony, wymodlony fakt nie będzie tragedją. Zastanowiła się głęboko nad swoim synem, jego charakterem, jego temperamentem, jego filozofją życia. Uwolniony co uczyni?
Były dwie rzeczy, które człowiek po wypuszczeniu na wolność z ławy oskarżonych mógł uczynić. Mógł mieć odwagę podjęcia życia na nowo tak, jakgdyby się nic nie stało, pozostania pośród ludzi, którzy go znali i tych niezliczonych ludzi, którzy o nim słyszeli, mógł bywać znowu w towarzystwach, w klubach, oddawać się dawnym zajęciom, lub mógł nie mieć tej odwagi. W tym ostatnim wypadku mógł, chociaż uniewinniony, zerwać ze wszystkiem, zmienić nazwisko, mógł udać się gdzieś, gdzieby nie miał przyjaciół, znajomych i zacząć nowe życie, jak ktoś zupełnie inny.
Jeżeli uwolnią Lionela, co on wybierze? Czy to publiczne uznanie jego niewinności przez sąd przysięgłych umożliwi mu dźwiganie tego straszliwego ciężaru zniesławienia, aż do końca życia? Lub może uzna się za pobitego przez los i zniknie z horyzontu, pogrąży się w cień?
Pani Beatrice nie wiedziała tego. Ale ta — była jeszcze Vivian.
Myśląc o niej pani Beatrice czuła, że stąpa po pewniejszym gruncie. To było dziwne. Ale, czy prawie wszystko w życiu nie było dziwne?
Vivian była tak jasno określoną w swej promiennej, silnej młodości. Trudno było wątpić, myśląc o niej. A przytem jej ~~zachowanie~~ się

przebieg cały tej okropnej sprawy było nadzwyczajne. Zdumiewało wszystkich, nawet panią Baratrie, która wierzyła w siłę charakteru Vivian i jej moralną odwagę. Pewien znakomity sportowiec, mówiąc o Vivian wyraził się raz: „Ta dziewczyna ma turniejowy temperament." Vivian dała dowód turniejowego temperamentu w całej tej tragicznej historji Lionela. Zachowywała się po prostu wspaniale aż i w tej ostatniej chwili. Wszak poprzedniego dnia powiedziała do pani Baratrie.
– Dlaczego miałabym zmieniać życie? Lionel jest niewinny. Wiem o tem. Wierzę w sprawiedliwość Bożą. Wierzę, że Lionel będzie uniewinniony. Poszłabym na salę sądową, ale prosił mnie, żebym tego nie czyniła. Pójdę więc do Królewskiego Klubu jak zwykle, będę się przygotowywać do Wimbledon i spotkam wszystkich moich przyjaciół. Ja zaręczyłam się z mordercą lecz z człowiekiem niewinnym. Nie wstydzę się Lionela, że go ta okropność spotkała. Pójdę do Klubu i będę grać, żeby wygrać!
I pani Baratrie była pewną, że Vivian była w tej chwili w Królewskim Klubie i grała, żeby wygrać. Vivian była nadzwyczajną. Co o tem Klubie powiedzą. Co powie Jim Gordon? Z pewnością nie uwierzy, żeby Vivian mogła grać w takim dniu, kochając Lionela. Pomyśli, że ~~gdyby nawet~~ otwiera się przed nim szansa, gdyby nawet Lionel był uniewinniony. Jim Gordon nie był złym człowiekiem. Wielu ludzi nazwie go z pewnością bardzo dobrym człowiekiem. Ale ludzka natura jest ludzką naturą. Więc Jim ~~musi~~ w tej najskrytszej głębi swej duszy, gdzie króluje tylko naga prawda, musi mieć nadzieję, że Lionel nie wydobędzie się już nigdy na wolność. Bo Lionel za-

brał Vivian żoną. Gordon i ona nie byli nigdy zaręczeni. Ale gdyby Lionel nie był jej wszedł w życie, była by poszła za Jima. Pani Baratrie była tego pewna. Więc Lionel musi ją zabrać.

Słońce świeciło coraz mocniej. Upał wzrastał. Lato było w po-wietrzu. Gorąco na sali sądowej, natłoczonej publicznością musiało być wielkie. Pani Baratrie wyobrażała to sobie i wzdrygnęła się. Znagle opanowała ją rozpacz. Drżąc na całem ciele wychyliła się z okna i spojrzała w dół.

Pokój, w którym się znajdowała, ~~był jej~~ jej własny salonik, na trzecim piętrze. Patrząc w dół zobaczyła brunatną ziemię i trawę. Wczoraj padał obfity deszcz. Spadające ciało zrobi niewątpliwie wgłębienie w tej ziemi spulchnionej, ale pomimo to ~~być~~ wszystko się skończy dla tego, kto spadnie.

Było to pokusa, straszliwa pokusa.

A fakt ten, zdawał się dowodzić, że pani Baratrie miała tchórzliwe serce. A przecież trzymała się dzielnie do tej chwili: wszyscy co ją znali byli tego zdania. Ale okazywała tej wyjątkowej miary wyzywającej swobody Vivian. Ale pani Baratrie miała sześćdziesiąt lat, a Vivian dwadzieścia trzy i nadzwyczajne zdrowie. Pani Baratrie nie mogła w ten młodzieńczy sposób dźwigać podobnego ciężaru. Ale dźwigała go wytrwale. Lionel nie miał powodu wstydzić się za swoją matkę.

Mimo to jednak, mimo nie dowierzał jej: Bo powiedział jej, że gdyby ją zobaczył na sali sądowej, nerwy odmówiłyby mu posłuszeństwa. Prosił więc, żeby nie była obecną na sprawie.

Ale tego samego żądał od Vivian. W jej odwagę nie mógł z pewnością

wątpię. Mnie miał inną po temu przyczynę. Kochał Vivian za tę potęgę tajemnie płomiennej natury. Jest coś dziwnie uspokajającego w siedzeniu na łonie ostawionych. Lionel był nadzwyczaj wrażliwym. Mnie nie mogło ująć, żeby ta, którą kochał, widziała go, skulonego jak w klatce wśród bezczelnie wolnych tłumów. Pamięć tego mogła jej pozostać za całe życie, ohydna pamięć, gdyby to było takim wyrosła. Nie zwątpił o Vivian, ale mnie zwątpił o matce. Pomyślał, że może ugnie się, zrobi scenę, zrobi coś tragicznego lub szalonego, pokaże na swe macierzyństwo bez tej delikatnej osłony, którą nawet wobec syna nosić powinna. Mnie odkrył ten słaby punkt w jej charakterze, ten słaby punkt, który teraz ujawnił się jej gdy patrzyła w dół na zaskoczoną ziemię.

Życie, które mogło by być tak szczęśliwem mogłoby być również tak okropnem! Czarna zmora czai się zawsze na dnie złotego snu. I nikt nigdy nie wie jak długo ~~radość~~, lub spokój, lub nawet zwykłe bezpieczeństwo trwać będzie.

W tej chwili pani Basełtrie uczuła, że ją ogarnia nieprawdziwa pokusa. W ciągu sześćdziesięciu lat swego życia, nie była wolną od pokus, ale nigdy ~~nie~~ nie doznała czegoś podobnego. Miała wrażenie, że jakiś nakazujący głos szepce jej do ucha: „Skocz! Skocz! a w niespełna minutę będziesz po za tem wszystkiem, wyswobodzona na zawsze, bezpieczna!"

~~Zo~~stała i odstąpiła od okna, obracając się do niego plecami. Rozejrzała się po pokoju, w którym ostatniemi czasy, przeżyła tyle straszliwych godzin. Na półkach z jasnego drzewa

leżały jej ulubione książki. Na ścianach wisiało kilka dobrych akwarel. Duże, inkrustowane włoskie biurko, zarzucone było listami i papierami. Na podłodze leżał ciemny, bardzo stary wschodni dywan. W porcelanowych, biało błękitnych wazonach uśmiechały się pęki róż. Jakiś niedokończony haft leżał na poręczy ciemno pąsowej sofy.

Pani Baratrie stała i patrzyła na te wszystkie rzeczy, które teraz wywoływały w niej okrutne wspomnienia.

W tym pokoju dowiedziała się o aresztowaniu Lionela pod zarzutem zamordowania pani Sabine. Od tej chwili pokój i wszystko w nim ściśle zespoliło się z jej Kalwarją.

Stała chwilę nieruchomo, mocując się wewnętrznie z ciągnącą ją w dół siłą. Pomyślała o Lionelu, o Vivian. Jaką zgrozą napełniłoby to Vivian! A jednocześnie jaką pogardą. Bo dla Vivian samobójstwo w jakichkolwiek okolicznościach, oznaczało by słabość, jeżeli nie obłęd. Ale było tu coś, o czem nie wiedziała Vivian, o czem nie wiedział Lionel, o czem nie wiedział nikt. Sama tylko pani Baratrie wiedziała, że miała straszliwy powód do odebrania sobie życia.

Ale jeżeli to uczyni, jeżeli wyskoczy oknem Lionel niewątpliwie podejrzewany będzie tą tajemnicą, o której nigdy nie napomknęła. Którą zabierze ona teraz na tamten świat, jeżeli nie w nicość, w jaką niewiele mężczyzn, a jeszcze mniej kobiet wierzy. A jakiem to okrucieństwem będzie przesłonić Lionela tem podejrzeniem. To podejrzenie i jej ohydna śmierć zatruję mu życie, jeżeli dozwolonem mu będzie żyć!

Trucizna! Pani Sabine.

Pani Baratrie zadrżała lekko i wróciła do okna. W tej chwili coś się w niej załamało, coś co tkwi normalnej, ludzkiej istocie.

Podoste Podeszła zwolna do okna i wychyliła się. Longła patrzeć w dół. Jak głębokiem będzie wgłębienie, jakie jej ciało w tym kawałku ziemi wyżłobi?
– Z pewnością będzie mi to wybaczone – pomyślała pani Borobrio. A jeżeli nie, no! to trudno. Ta moc, która mnie tam popycha silniejsza jest odemnie. Nie mogę jej się oprzeć! To ona to uczyni, nie ja.
I wychyliła się jeszcze bardziej. W tej chwili wydało się jej, jak gdyby już była poza światem. Ogarnął ją jakiś osobliwy zanik świadomości. Wiedziała wciąż jeszcze, że jest matką. Wiedziała, że jej syn siedzi na ławie oskarżonych. Wiedziała, że kocha Wiwian, i że Wiwian go kocha. Ale były to dla niej jakby oderwane pojęcia. Wszystko co się dzieje tu, na tej ziemi nie miało wielkiego znaczenia. Wszystko istotnie ważne było po za tem.
Obu rękoma chwyciła parapet okna, gotując się do skoku.
I w tej samej chwili usłyszała coś, jakby lekkie, dalekie stukanie. Ale to wystarczyło, by ją przywołać do przytomności. Przypomniała sobie, że wchodząc tu zamknęła drzwi na klucz, by jej zabezpieczyć swoją samotność.
Cofnęła się od okna i zdjęła ręce z parapetu. Zrozumiała, że coś jej udaremniono i ogarnęło ją uczucie wielkiego rozdrażnienia. Ale jednocześnie powróciła jej świadomość życia, ziemskiego, okrutnego życia.
Stała chwilę w milczeniu, poczem przeszła wolna pokój i otworzyła drzwi.
Chudy, w średnim wieku mężczyzna o dobrych szarych oczach, o sp[...] czastym nosie i gładko przyczesanych ciemnych ~~włosach~~ ~~stanął~~

przed nią pomięszany i niepewny. Był to Kingston, kamer-
dyner pani Barratie.
– O co, chodzi? Powiedziałam, żeby mi nie przeszkadzano.
– Wiem, proszę pani. Przepraszam. W takiej chwili – –
Szare jego oczy utkwiły w niej podejrzliwie. Uczuła się jakby
złapaną na gorącym uczynku.
– Proszę pani, pan Archie Denys przyszedł z listem od panny
Denys i prosi, żeby go pani przyjęła. Powiedział, że panna De-
nys koniecznie o to prosi. Nalegał, a ponieważ przychodził od
panny Denys, więc nie chciałem – –
– Tak, tak.
Przez chwilę pani Barratie nie rzekła ani słowa. Oczy jej spo-
częły znowu na otwartem oknie. Czy Kingston odgadł? Czy też
podejrzewał? Pokusa opuściła ją i jak sądziła mniemała
nie wróci już nigdy. Opanowało ją fatalistyczne przeświadcze-
nie; że rozmyślnie wstrzymano ją od tego, co zamierzała uczynić.
Kingston zjawił się w krytycznej chwili. To znaczyło, że sądzo-
nem jej jest, żeby żyła. Bardzo dobrze.
– Zejdę do pana Denysa – rzekła – Gdzie on jest?
– W salonie, proszę pani.
Spojrzała raz jeszcze na okno i wyszła z pokoju.
W salonie na pierwszem piętrze zastała młodego brata Vivian
czekającego na nią z listem w ręku.
Archie Denys miał dwadzieścia lat, bladą, czystą cerę, wielkie
złotawo brunatne oczy i nadzwyczaj gęste czarne włosy
zczesane w tył głowy z niskiego czoła. Był smukły, wysoki,
dobrze zbudowany i wydawał się pełnym nerwowej energji

i żywej inteligencji – zazwyczaj był to wesoły chłopiec rozmiłowany w grach, tańcu i sportach. Ale dziś miał wyraz twarzy sztywny, prawie wrogi, choć widocznie silił się wyglądać naturalnie.
– Dzień dobry, Archie – rzekła pani Baratrie – siadaj, proszę.
– O, ja tylko na chwilę. Vivian chciała koniecznie, żebym to wręczył pani osobiście. Powiedziała, że służba może zapomnieć w takim dniu... Musiałem jej przynieść.
Podał pani Baratrie list. Potem dodał pospiesznie, patrząc na dywan:
– Vivian gra w tennisa w Klubie Królewskim, z Jimem Gardonem panią Littlethwaite i Kennisonem, kolonijskim czempionem. Wrócił właśnie i po raz pierwszy gra dzisiaj.
– Tak?
– Zapewne te rzeczy nie obchodzą pani... w dzisiejszym zdarzeniu.
– Przygotowuje się do Wimbledonu?
– Właśnie.
Oczy pani Baratrie spotkały się na chwilę ze spojrzeniem młodzieńca i matka Lionela odgadła jego uczucia. Archie uwielbiał siostrę i pysznił się nią. Jej zręczność i umiejętność w grze imponowała mu. A teraz, gdy była jedną z najlepszych graczek w tennisa w Anglji i zdobyła kilka nagród na Rivierze, kiedy tennisowi eksperci rozpisywali się o niej w wielkich dziennikach jako o domniemanej tryumfatorce w Wimbledonie jej rosnący ~~sława~~ rozgłos ~~(~~ tępajała go po prostu. Wybyła nazwisko Denysów stało się A Lionel Baratrie! Jaką krzywdę wyrządził on temu nazwisku.
– Biedny chłopiec! Cóż by on dał, żeby Vivian nie była nigdy spotkała Lionela – pomyślała pani Baratrie.
Archie potajemnie wzięła się się na skandaliczną historję, w

którą jego ukochana siostra została wplątana. Wyczuła to w sztywności prawie wrogiem zachowaniu się młodzieńca, wyczytała w jego oczach, usłyszała w jego powściągliwym głosie.

– Przeczytam list Vivian – rzekła.

– Proszę bardzo – odpowiedział Archie i przygryzł usta.

Pani Beatrice usiadła, otworzyła list i przeczytała co następuje,

„Najdroższa Mamo, Archie to Mamie odda. Piszę tylko dla tego, by powiedzieć, że przyjdę po południu. Musimy być razem w ostatniej chwili. Wiem, że dzieje się coś okropnego. Ale ja mam wrażenie, że już wiem. Jak Mamie mówiłam wierzę w sprawiedliwość Bożą. Czasem może się ociągać z przyjściem ale teraz jestem prawie pewna że się pospieszy. Tej nocy klęczałam długo, przyciskając ręce do zamkniętych oczu. I modliłam się o jedno tylko. Powiedz mi, powiedz mi, co będzie jutro. Wtedy ujrzałam jasne, żółte światło wydobywające się z ciemności. Było to jakby blask słońca, jakiego nie widujemy w Anglji. Poczułam, że wszystko będzie dobrze. Ale oczywiście przybędę, żeby być z Mamą do końca. Proszę się nie trwożyć, nie wątpić. Zrobię to, co zamierzałam zrobić. Nie idę do klubu. Ludzie powiedzą, że jestem bez serca. Ale oni nie wiedzą. Nie prawdaż, Mateczko? Moje serce jest z Tobą i z Lionelem. Archie to Mamie doręczy. Drogi Archie. On tego nie rozumie. Mama wie jaki on dzielny. I kocha mnie całą duszą. Jeżeli będzie niecierpliwy on, niech mu to Mama wybaczy."

„Vivian".

Pani Beatrice skończywszy czytanie podniosła ~~oczy~~ oczy na młodzieńca. Stał przed nią, sztywny, przygryzając nerwowo usta i zaciskając dłonie. ~~Wsz~~ Wszystko dzisiaj wydawało jej się nadzwyczajnem lub nienaturalnem. Wszak przed kilku minutami, omal nie popełniła samobójstwa. Był to nagły, straszliwy poryw. Kamerdyner – jakieś szczególne zrządzenie losu czy Boga – przeszkodził jej w tem, a teraz siedziała tu w

salonie, myśląc o cierpieniu tego chłopca, rozumiejąc, a nawet sympatyzując z jego dumnym bólem. Co więcej ma dla niej jeszcze ten dzień z niespodziewanych, niespodziewanych lub straszliwych?
— Książki, na chwilę, Archie — rzekła.
— Dobrze, jeśli pani sobie życzy.
I usiadł znowu niedaleko od niej.
— Wiem, co czujesz w tej chwili — rzekła pani Beatrice.
Archie zarumienił się po same korzenie włosów.
— Ale... nie czuję nic osobliwego — odparł prawie jąkając się.
— Ja zaś czuję, Archie — rzekła pani Beatrice — To dla mnie trudny dzień do przeżycia.
Mówiła spokojnie, bez śladu litości nad samą sobą.
— Och, pani, wiem. Niech pani nie myśli, że nie rozumiem. Współczuję pani całem sercem. Każdy by współczuł i ja także.
Potrząsnęła głową
— Nie, Archie. To nieprawda. Współczujesz Vivian i samemu sobie, i ja to rozumiem. Ta straszliwa rzecz rozciągnęła się jak sieć — obca ręka uczyniła szeroki gest — i Vivian i ty jesteście winą ~~[illegible]~~ przeklęci. Ile jest okrutne; to jest straszliwe dla ciebie. Ale pomyśl o Vivian. Zapominałam o niej niedawno.
— Zapominała pani — rzekł, gdy umilkła — Jak to pani rozumie?
— Zapomniałam o niej gdy się zbliżyłam do okna.
— Nie rozumiem...
— Mniejsza z tem. Ale teraz myślę o Vivian. Jest zdenerwowana.
— Zdaje mi się, że jest trochę zanadto zdenerwowana — mruknął Archie i zmyślał uśmiech.
— Dlaczego?
— Nie powinna się była pokazywać w klubie. Powiedziałem jej to.

Usiłowałem odwieść ją od tego zamiaru; ale nie posłuchała mnie.
— Sądzę, że zrobiła dobrze, zważywszy na jej uczucia —
Archie nic nie odrzekł. Jego chłopięca twarz wyglądała prawie [illegible] Zaciskał wciąż silnie dłonie złożone na kolanach.
— Czegóż by się Vivian miała wstydzić? — spytała pani Beatrice.
— Vi! Och! oczywiście niczego — rzekł Archie szorstko.
— Więc dlaczego miała by wprowadzać jakieś zmiany w trybie swego życia?
— Bo... bo... nie uważałem żeby to była chwila odpowiednia do... Bóg wie, co Jim Gordon i cała tenisowa klika z tego zrobią.
— Jim Gordon... ach! tak — rzekła pani Beatrice z nagłym odcieniem goryczy — Ty bardzo jesteś przywiązany do Jima Gordona, nieprawdaż?
— Nie powiem, żebym był przywiązany. Uważam go za bardzo dzielnego człowieka i interesuję się jego grą. Nauczyłem się dużo od niego.
— Lawn-tennis to jeszcze nie wszystko.
— Zapewne. Ale Jim jest nie tylko znakomitym graczem. Jest, jak [illegible] rzekłem, bardzo dzielnym człowiekiem.
— Archie... Czy ty nienawidzisz Leonela?
Archie wzdrygnął się gwałtownie.
— Och! proszę pani! Jakżebym mógł...
— Mógłbyś. A to byłoby bardzo naturalnem.
— Nie. Przysięgam, że pani się myli... Tylko...
— Tylko co?

Szp. 7

— Cierpię nad tem, że Vi wplątana jest w to wszystko. O Boże! To takie [illegible]. Moja siostra... biedna Vi! To mnie poprostu do rozpaczy doprowadza.
Wstał. Oczy jego napełniły się łzami. Gniewnym ruchem uchwycił

pi obebrać!.
— Pani nie ma pojęcia co mówi, widząc jej nazwisko powtarzane co tydzień pod tych drzewców? — Jakim prawem ludzie mają wiedzieć o mojej siostrze i Lionelu? Co to ma wspólnego ze sprawą — Co to ma wspólnego z panią Sabiną i Lionelem? Ha! gdybym mógł gdzie dopaść tych psów reporterów!..
Zaklnął się i zacisnął pięści. Widocznem było, że bliskim jest utraty panowania nad sobą. Pani Karatrie przypomniała sobie niedawną chwilę w pokoju na górze. Ona! Archie! A jak Lionel znosił tę hydę dzisiaj!.. Przymknęła oczy i zobaczyła Lionela na ławie oskarżonych.
— Nie mają żadnej litości, żadnego poczucia przyzwoitości. Wywłóczą wszystko na jaw!.. Gotowi...
— Archie, jeśli Lionel jest niewinny to przecież to nie jego wina —
— Nie. Nigdy tego nie mówiłem.
— Jeśli go skażą zniknie. Nie wejdzie ci już nigdy w drogę.
— Nie przypuszcza pani chyba żebym pragnął, aby go skazali? — wykrzyknął Archie namiętnie.
— Nie. Ale jeśli go uwolnią. To cię dręczy, nieprawdaż?
Archie popatrzył na panią Karatrie, potem przystąpił do niej i nagle położył dłoń na jej ręku.
— Och! pani Karatrie, cokolwiek się stanie Vi nie może wyjść za Lionela. Pani to wie. Wiem, że on jest synem pani i może jestem brutalem, mówiąc w ten sposób. Ale nie mogę się powstrzymać. Na miłość boską niech pani nie dopuści do tego małżeństwa! Ja pragnę żeby Lionela uwolnili. Przysięgam. Ale Lionel nie powinien się żenić z Vi.
— Lionel prawdopodobnie nie ożeni się nigdy z nikim — rzekła

pani Beatrice cichym, suchym głosem

Archie puścił jej rękę.

— Przepraszam panią — rzekł — Wiem — wiem, że cię powinienem —
umilkł na chwilę — Ale to takie okropne dzisiaj.

— Tak — rzekła pani Beatrice — To nadto okropne dla nas wszystkich.

Nastąpiła chwila milczenia. Archie wyszedł.

Pani Beatrice spojrzała na trzymany w ręku list Vivian. Oczy jej padły na te słowa:

„Wierzę w sprawiedliwość Bożą.”

II.

Henryk Denys, ojciec Vivian i Archie'go był bogatym bankierem. Aczkolwiek sam bardzo normalny i trochę starej daty we własnym sposobie życia ~~był~~ zostawiał drugim wszelką swobodę postępowania, choćby to był nawet jego dzieci. Jedną z jego teorji było, że młodzieży nie należy krępować. „Niech się rozwijają ~~wedle~~ w kierunku, jaki im będzie naturalnym”. Jeżeli chłopiec okazywał by skłonności naukowe, ~~niech~~ posłać go do Oksfordu lub Cambridge. Jeżeli przeciwnie zdradzał by instynkta handlowe, więc zaraz po skończeniu szkół niech wstępuje do banku. Jeżeli by go pociągały sztuki piękne, malarstwo, muzyka, niech się kształci na artystę. A jeżeli w naturze jego tkwić będzie zamiłowanie do sportów. Otóż to! Jedyny jego syn Archie wcześnie objawił zapał w tym kierunku, tak samo jak jego jedyna siostra. Nie chciał wstąpić do Uniwersytetu i ojciec wziął go do swego banku i wtajemniczał go w podstawowe sprawy tego zawodu. Archie okazał się bardzo zdolnym i bystrym i było do przewidzenia, że później przyjdzie się jako wspólnik w firmie. Ale tymczasem rozwinęła się w nim nadzwyczajna zdatność do lawn-tennisa i jego

wypominały ojciec zostawiał mu dostatecznie czasu dla doskonalenia się w tej rozrywce, która dla Archie'go była bardzo poważnem i doniosłem zajęciem.
A potem przyszła epoka turniejów i siostra jego, Vivian, zasłynęła w niej jako pierwszorzędna tennisowa gwiazda, a na ukoronowaniu tego wszystkiego stał się ten straszliwy proces Lionela o morderstwo.
Wyszedłszy od pani Baratrie Archie stał przez chwilę w słońcu patrząc na śmiejący się tłumy po Knightbridge. Był zmostyłowany i prawie blizki rozpaczy z powodu tego wybuchu, w salonie pani Baratrie. Co by, na Boga Jim Gordon pomyślał, gdyby legł tego świadkiem. Cóż, on, Archie poprostu stracił głowę. Wrzeszczał, przysięgał się, niemal płakał wobec kobiety. To było nie do uwierzenia. A jednak się stało. Nie dość na tem. Wszak wystosował tę ~~rozpacz~~ rozpaczliwą prośbę z powodu Lionela do jego matki; i to w ten dzisiejszy dzień, kiedy nikt nie mógł jeszcze wiedzieć, czy Lionel nie będzie skazanym na powieszenie!. Zrobił to wszystko po ćwiczeniu się jako gracz turniejowy, po wszystkich co ~~na Jim Gordon~~ przestrogach, jakich mu Jim Gordon udzielił. „Nie gorączkuj się nigdy.” „Nie okazuj nigdy wrażenia na tennisie!” „Graj i wolno nagle.” „Nie daj nikomu poznać po sobie, że jesteś zmęczony, lub rozdrażniony.” „Strać panowanie nad nerwami, a stracisz grę, choćbyś nawet miał mniejszego przeciwnika.” „Nigdy nie zwracaj uwagi na to, co myśli galerya, ale skupiaj całą uwagę na grze.” „Nie ulegaj wrażeniom.” „Człowiek który nie potrafi być dżentelmenem w pomocy, nie jest nigdy

dżentelmenem" „Nigdy nie unoś się, jeśli przegrasz matchu, przez zły aut."
Co by pomyślał Jim gdyby go widział w salonie pani Barotrie przed pięciu minutami? Archie doznawał takiego uczucia, że bardzo by się chciał schować pod ziemię. Nie widział w jaki sposób mógłby wymazać ze swojej pamięci tę chwilę uniesienia i zdenerwowania. Jedyną rzeczą, jaka mu się nasunęła na myśl było pojechać do Królewskiego Klubu. Jeżeli Vivian mogła się tam pokazać dzisiaj to i on może. Nie czuł się zdolnym do jakiegokolwiek moralnego wysiłku do ukrycia twarzy pod maską obojętności. Ale uczyni to jako karę za to, co się stało u pani Barotrie.
~~Jadąc~~ Wsiadł więc w taksówkę i jadąc myślał jaka to szczególna kobieta ta pani Barotrie. Nie mógł jej wyrozumieć. Miała w oczach coś, czego przestraszyło, gdy mówiła, że zapomniała o Vivian, idąc do okna. Było to coś niemal złowrogiego, czego się zląkł. Oczywiście nie fizycznie, ale w subtelniejszy sposób.
Wjeżdżając do Klubu spotkał podążającą tam spacerowym krokiem panią Vernon Charlesworth, wielką szampionkę. Ta nie zdradzała nigdy wzruszenia. Jej charakterystyczna, trochę smutna twarz była zawsze -spokojna- Archie widział ją wygrywającą jakiś wielki mecz tylko dzięki przytomności umysłu i silnej woli bez śladu uśmiechu na ustach. Widział ją jak przegrała wspaniale raz w Wimbledon przed wyborową publicznością. Tego dnia uśmiechnęła się, winszując swej zwycięskiej przeciwniczce. Co za kobieta! Dostrzegła go w taksówce i ukłoniła mu się. Archie wysiadł prędko i podszedł do niej z powitaniem.
— Idzie pan grać? zapytała.
— Nie. Ale moja siostra tu jest.
— Tak?

Powiedziała to spokojnie, bez śladu zdziwienia. Archie doznał pewnej ulgi. Mimo i mi —
Wmieszał się w tłum, ale wydało mu się, że wszyscy patrzą na niego ciekawie. Wszyscy go tu znali, jeśli nie osobiście to z widzenia. Podniósł więc głowę wysoko i zaczął szukać Vivian. Znalazł ją wreszcie tuż przy samej, wysokiej siatce okalającej całą ogromną tennisową przestrzeń. Grała z Jimem Gordonem przeciwko pani Littlethwaite i Kennisonowi, młodemu Kalifornijczykowi, który świeżo przybył do Anglji.
Pani Littlethwaite była w pojęciu Archie go najlepszą graczką na całą Wielką Brytanję. Wysoka, bardzo szczupła, o bladej, energicznej twarzy, dużych, błękitnych zawsze utkwionych w piłce oczach i gęstwinie pięknych, złocistych włosów zdumiewała swą nigdy nie zachwianą pewnością i wytrwałością.
Partnerem jej w danej chwili był Kalifornijczyk, nadzwyczaj wysoki, smagły młodzieniec mający w swych elastycznych ruchach coś kociego. Był to inteligentny gracz, pilnie badający psychologję oponenta, dobrze dostosowany do Jima Gordona, który miał mniej młodzieńczej szybkości, ale dorównywał Kalifornijczykowi w niezmordowanej sile i nieustępliwej odwadze.
On również był bardzo wysoki, o regularnych, smagło wyrzeźbionych rysach, sarkastycznej linji ust i szarych, arogancko spoglądających oczach. Czoło miał niskie, ciemne, falujące włosy przedzielone pośrodku głowy i przyprószone na skroniach przedwczesną siwizną. Był w całem znaczeniu tego słowa pięknym mężczyzną, w którym umysłowa siła kojarzyła się ściśle z fizyczną

zgrzmościa i wyrobieniem, co razem uczyniło go bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem. Miał koło trzydziestu lat skończonych i był przynajmniej o dz sześć lat starszym od Kennisa.

W chwili gdy Archie zajął miejsce wśród widzów pani Littlethwaite i Kennis grali, Gordon stał przy siatce a Vivian Denys serwowała.

Archie spojrzał na nią z pewną trwogą, ale niepotrzebnie się obawiał. Cokolwiek bądź czuła tego dnia, twarz jej była zupełnie obojętną. Serwowała bez żadnego błędu. Ta jej nadzwyczajna sprawność i przytomność umysłu w taki dzień wydawała się jej bratu prawie niepojętą. Czy Vi była ze stali? Lub czy naprawdę kochała Lionela? Czy podobna, żeby naprawdę kochająca kobieta mogła tak spokojnie i z takiem panowaniem nad sobą ukazywać się światu, gdy jej ukochany siedział w ławie oskarżonych i oczekiwał wyroku mającego mu przynieść życie i wolność lub hańbę i śmierć? Może Vi postanowiła zerwać z Lionelem i trzymała to w tajemnicy przez poczucie rycerskości? Jeżeli Lionel będzie skazanym i poniesie karę główną Vi może tajemnicę tę zachować na zawsze. Będzie miała drogę wolną i zapomną kiedyś zostanie żoną. A jeżeli Lionel będzie uniewinnionym, wtedy oczywiście tajemnica ta musi wyjść na jaw. Może ile niewiernych także musiało się spotkać z takiem wzruszaniem. Lub Vi ~~kocha~~ kochała Lionela tak głęboko, iż obecnie wszystkiemi przestawała mu wierną, a jednak grała w tenisa, tę grę która wymaga zupełnego skupienia myśli i swobody, zgrzmocząc w ten dzień kiedy ważyły się losy jego życia lub śmierci?

Nastąpiła chwilowa przerwa. Vivian wykrała swoje serwowanie. Nie patrząc ani na prawo, ani na lewo ona i Jim przeszli na drugą stronę i czekali na przyjęcie serwowania Hemmisa.

Vivian Denys wyglądała ~~młodziej~~ niż na swoje dwadzieścia trzy lat. Miała jaśniejsze włosy niż brat, o ciepłym, brunatnym odcieniu, obcięte ją krótko z przedziałkiem pośrodku małej, energicznej główki. Jej gładkie czoło było niskie. Oczy były ciemne, duże i spokojne. Nos krótki i prosty, podbródek okrągły i silnie zarysowany, usta drobne, o lekko podniesionych ku górze kącikach. Cerę miała barwy dzikiej róży, dość często zdarzającej się w Anglji. Ciało miała bardzo szczupłe, wąska w biodrach, prawie chłopięcą. Była nadzwyczaj zgrabną i zwinną.

Gra teraz stała się intensywniejszą i bardziej skupioną. Pani ~~Lot~~ Littlethwaite wpatrywała się z natężeniem w pole oponentów, podczas gdy Kalifornijczyk, ~~postępując~~ prężąc się w całej swej wysokości z głową odrzuconą w tył i z otwartemi ustami, przez które widać było jego mocne, białe zęby serwował zapalczywie.

Twarz Jima Gordona stężała jak żelazo, a jego zwykły, arogancki wyraz miał w sobie coś z powściągliwej dzikości. Archie ilekroć patrzył na niego, wydawał się wcieleniem męzkiej, skupionej siły, całkowicie obojętnej na widzów, niedbającej o krytykę, duszą i ciałem oddanej tylko grze i pochłoniętej żądzą wygranej.

A Vi.? Twarz jej była także skupioną, prawie surową. Ale wydawała się jeszcze spokojniejszą niż Jim. I Archie, gdy z kolei spojrzał na nią, pomyślał, że siostra była dla niego większą tajemnicą niż Jim, mimo że Jim umiał tak nadzwyczajnie ~~panować~~

panować nad sobą i posiadać tak powszechnie Angielską pogodę dla wszelkich wewnętrznych wrażliwości.
— Ti Denys jest zdumiewający — wymówił szeptem jakiś kobiecy głos tuż przy Archie'm.
Archie drgnął i spojrzał bystro na lewo. Czy usłyszy to czego się lękał od chwili gdy wszedł do Klubu?
— Grać w ogóle dzisiaj i potrafić tak grać — szeptał dalej głos.
Archie rozpoznał mówiącą, pulchną, drobną bardzo szykowną kobietkę w binoklach, panią Lorrimer. Pani ta miała dom z ogrodem w Regents Park i czasami urządzała nadzwyczajne, prywatne turnieje na cele dobroczynne. Mówiła do wysokiego młodzieńca w flanelowym garniturze o jastrzębiej twarzy i bystrych, ciemnych oczach utkwionych teraz w grających.
— Patrz pan na ten rzut — dodała pani Lorrimer, gdy Vivian nadzwyczajnym skokiem dopadła piłki pani Littlethwaite i umiejętnie wzięła ją.
Dały się słyszeć oklaski wśród widzów.
— ~~Zachwycająca~~ Dzielna dziewczyna — rzekł młodzieniec.
— Wiem. Ale żeby być tak dzielną dzisiaj.
— To mnie właśnie zachwyca.
— Zapewne. Ale czy by to pana tak zachwycało, gdybyś był nim?
— Dzięki Bogu, nie jestem nim.
— Mówią, że jest z nim stanowczo zaręczona.
W tej chwili zrobił się ruch. Vivian i Gordon wygrali grę przeciw serwowaniu Kalifornijczyka. Przyszła kolej na Gordona. Dennis cofnął się. Wyglądał nieubłaganie jak młody gladjator, ale zębami przygryzał dolną wargę i uderzał rakietą o dłoń lewej ręki.
— On jest przyzwyczajony do przegrywania, gdy serwuje — rzekł ktoś

– Odbiję to sobie w Wimbledon – zawołał inny głos.
– Ciekawym czy panna Denys będzie grać w Wimbledon – podjął pierwszy.
– Zapewne nie pokaże się tam, jeżeli on będzie skarany – szepnęła pani Lorrimer.
Archie odetchnął i przełknął ślinę. Zagłębił ręce w kieszeniach pomiętej marynarki. Skóra mu drżała na całem ciele. Gordon przechodził właśnie na lewo, a Vivian zbliżała się do siatki.
– Och! – ty tutaj – rzekła, gdy Archie ukłonił jej się kapeluszem – Wielka gra, prawda?
– Tak. Wielka – odpowiedział silące się na swobodę.
Pani Lorrimer zaróżowiła się zlekka i odwróciła głowę. Jej towarzysz spojrzał swoimi jastrzębiemi oczyma na Archiego i ukłonił mu się. Przyjechał z Harvard na lato do Anglji. Był to doskonały gracz i dobry ukłopiec. Ale, och, jak go Archie nienawidził w tej chwili.
– Ciekawym co on myśli o Vi – rzekł w duchu – Czy jaka amerykańska panna zrobiłaby to co robi Vi, gdyby się znalazła w podobnych warunkach?
I przypomniał sobie amerykańskie dzienniki, które jak widział poświęcały całe szpalty procesowi Lionela i jego narzeczeństwie z Vi. I zrobiło mu się gorąco.
Archie widywał Jima Gordona grającego na wielu turniejach, widywał go wygrywającego i przegrywającego wobec tłumów, ale – nie to było tylko złudzenie – wydało mu się, że, chociaż to był tylko przygotowawczy mecz, Jim z większem natężeniem, niż zwykle starał się wygrać, jak gdyby chodziło o tytuł czampiona. Jim nie był dziś normalnym. Było coś wyjątkowego w jego spojrzeniu, a nawet w grze zachowaniu się. Było to tak, jakgdyby maska obojętności obsunę-

Ta się trochę, ukazując ukrytą pod nią starannie wyrazistą twarz. Czyżby Jim miał jeszcze nadzieję-? Czyżby przypuszczał, że jeszcze nie wszystko stracone dla niego? Przecież Jim musiał pragnąć skazania Lionela, tylko że kochał Vivian do tego stopnia, żeby stać się zupełnie nieegoistycznym. Ale Jim nie należał do mężczyzn, którzy potrafią być w ten sposób nieegoistyczni, jeżeli kobieta wchodzi w grę. I Archie wolał go takim. Jim pożądał Vivian i Archie był niemal pewnym, że nigdy nie przełożyłby on szczęścia Vivian z innym mężczyzną ponad zaspokojeniem własnego pożądania. Jim był z natury bezlitosnym i byłby takim nawet w miłości. Wolałby raczej widzieć Vivian zstępującą w dolinę ~~śmier~~ cieniów śmierci i wynurzającą się z niej w jego objęciach niż ujrzeć ją bezgranicznie szczęśliwą z innym mężczyzną. Ten widok doprowadziłby go po prostu do szału, chyba, że sam dałby jej to szczęście. Takim był Jim. A teraz, w tej chwili, gdy się rozgrywały losy jego rywala, musiał być całkowicie pochłonięty myślą o ostatecznym wyniku; popełniał bowiem błąd po błędzie i pomimo nadzwyczajnych wysiłków Vivian położył grę.

× × ×

Partya była skończona. Widzowie się rozeszli. Gordon odzyskał już panowanie nad sobą i stał spokojnie przy siatce, rozmawiając z kimś znajomym. Pani Littlethwaite, energiczna i lekko rozpromieniona swym triumfem zbliżyła się do Vivian.

— Jim nie był dziś sobą — rzekła, jakby usprawiedliwiając się ze swego zwycięstwa — ale ty, Vi, przeszłaś samą siebie

I jej błękitne oczy utkwiły w niej badawczo.

Archie zbliżył się do nich i poszli wszyscy ~~do~~ w stronę Klubu, witając znajomych po drodze. Vivian była zupełnie spokojna i zrównoważona znalazła jednak chwilę, aby zapytać brata po cichu:

— Oddałeś mój list, Archie?

– Tak.
– To dobrze. Czy długo tam będziesz?
– Tylko kilka minut.
– Widziałeś naszą pierwszą partję?
– Nie, nie widziałem.
– Pobili nas, ale walczyliśmy dzielnie. Nieprawdaż, Jimie! Dodał, zwracając się do Gordona, który szedł obok.
– Tak. Przykro mi, że w końcu popsułem wszystko.
– O! nie przejmuj się tem. Nie zrobisz tego w Wimbledonie.
– Kto wie? W tem tkwi urok gry, że niczego nie można być pewnym do ostatniej chwili. Chyba, że się ma jakiś specjalny urok w tym kierunku. Jenny Lettlethwaitte go posiada, ale ja przekonałem się dzisiaj, że go nie mam.
Doszli do klubowego budynku i stanęli na wyżwirowanym podjeździe.
Jim popatrzył na Vivian i zawahał się chwilę.
– No, muszę iść. Zobaczymy się zapewne niedługo?
– Oczywiście. Do widzenia, Jim.
Wyciągnęła do niego ~~rękę~~ dłoń, a on ujął ją muskularną, smagłą ręką o długich, mocnych palcach.
– Do widzenia, Vivian.
– Dlaczegóż to Vivian tak nagle?
– Wiesz, Vi.
Uścisnął silnie jej rękę i spojrzał jakby mimowoli na Archiego. Ten odwrócił głowę, a wtedy Jim rzekł:
– Życzę ci wszystkiego, czego sobie życzysz dla siebie i dla niego. Zdaje mi się, że wszystko się dobrze składa. Rzeczywiście jest to okropne oczekiwanie. Ale, na honor, ty potrafisz grać!
Wyprostował się i cofnął rękę.
– Do zobaczyska, Archie!

VII -

Gdy Jim odszedł Vivian rzekł:
— ~~Bra~~ Poczekasz tu na mnie, Archie, najwyżej pięć minut. Może zawołasz przez ten czas taksówkę?
— Dobrze.
Odpowiedział niby swobodnie, ale głos jego był lekko ochrypły, a w spojrzeniu malował się jakby niemy wyrzut.
Ona zrozumiała go i rzekła.
— Nie mogłam postąpić inaczej dzisiaj.
— Jakto?
— Żeby nie grać dziś co także dzień! Wiesz, co mam na myśli:
Odeszła szybko, a gdy wróciła przebrana już z białej tenisowej sukni w spacerowy kostium, w kapeluszu i w rękawiczkach, Archie już czekał. Wyszli oboje z bratem. W tej samej chwili lord i lady Dartree, wielcy zwolennicy tennisa wyszli z klubu z panią Littlethwaite, którą mieli odwieźć do domu na Kensington swoim motorem. Zobaczywszy Vivian zbliżyli się doń.
Lady Dartree była ~~z zapalona~~ zapaloną sportsmenką; jej mąż już nie grywał, ale znał się znakomicie na wszystkiem co się tyczyło gry i podejmował zawsze wszystkich championów w swym gościnnym domu Heath House Hampstead, gdzie posiadał cztery pierwszorzędne boiska. Uważał Vivian Denys jako pierwszorzędną gwiazdę wśród Angielek i otwarcie jej swój zachwyt objawiał. Ona i jej brat byli zawsze jak najserdeczniej witani w Heath-House.
— Opowiadałem mojej żonie o dzisiejszej partji, której się przyglądałem — rzekł.
— Była nadzwyczaj zajmująca, nieprawdaż?
— Szkoda, że Gordon spasował w końcu. To nie był jego dzień.

szczególny, prawie badawczy wyraz majaczył w jego wypukłych lekko przekrwionych, błękitnych oczach.
— Nie pozwalaj panu Gordonowi, żeby się ~~czasem~~ zaniedbywał. Pani i on będziecie wkrótce najlepszym sposobem jaki też znamy, w podwójnych partjach.
Zniżył nieco głos, może żeby pani Littlethwaite nie usłyszała jego ostatnich słów.
— Niech pani go przypilnowywa.
Ustąpił miejsca równie uroczej kobiecie, którą nazywano „białą orchideą", która grając nigdy się nie zadyszała i nigdy nie traciła cudownej, mlecznej białości swej cery.
— Jenny powiada, że byłaś nadzwyczajna dzisiaj — rzekła, patrząc na swoich przyjaciół sennemi oczyma. — Twoja sprawność wyratuje cię z każdej sytuacji. Szczęśliwa istota!
— W czem to jestem taka szczęśliwa? zapytała Vivien spokojnym wmilkły gorącym ~~pobu~~ poruszonym głosem.
— Bo masz prawdziwie turniejowy temperament. Ci, co go mają są zawsze zwycięzcami w życiu. Pozwól sobie powinszować tego twoją drogą.
Powiedziała to w sposób znaczący.
Teraz pani Littlethwaite zbliżyła się do drzwiczek zwyciężczyni, ścisnęła rękę serdecznie. ~~Nagle~~ Węzeł wzajemnej sympatji stanął między obiema kobietami. Obie ~~miały ten~~ uwielbiały odwagę. Obie miały ten sam rodzaj odwagi i czuły ją w sobie wzajemnie.
— Droga Vi! Twoi koledzy i koleżanki są z tobą dzisiaj. Niech ci Bóg błogosławi!
— Dziękuję, Jenny.
Samochód ruszył. Zapomniano o Archiem. Uwaga wszystkich była

się w jego siostrę. Ale on nieobrzeszał się na to, jak poniedam:
bo czuł, że ołanuała ją prawdziwa sympatja.
– Wiedz cynicy mówią w oczy, ale dużo jest dobrych ludzi na świecie – rzekł po chwili.
Vivian siedziała zagłębiona w siedzeniu. Mógł widzieć tylko jej wyrazisty, ale delikatny profil i zaróżowiony policzek.
– Prawda? dodał.
– Tak.
Po chwili milczenia Archie odezwał się znowu:
– Zdaje mi się, że jest coś wielkiego w sportach. Lawn-tennis naprzykład. Jakże by nam go było brak, gdybyśmy nie należeli; należeli naprawdę do tennisowej drużyny. Wszyscy tam sobie współczują w jakiś specjalny sposób. To jest coś, jakby jakaś wielka sztuka. Powiem ci, prawdę Vi, że miałem ci za złe, żeś się pokazała dziś w klubie. Ale może miałaś słuszność.
– Miałam słuszność.
– Nawet Jim zdawał się to rozumieć!
– Nie uczyniłam tego dla Jima ale dla Lionela i dla siebie.
Archie uczuł, jakgdyby go oblano zimną wodą.
– Ale czy Lionel to rozumie? Lionel – rzekł.
– Dlaczego nie?
– Hm, nie wiem, ale gdybym się znajdował w położeniu Lionela –
– Lionel rozumie. I Jim zrozumiał.
– Jim nie jest Lionelem.
– Obaj są mężczyznami, prawdziwemi mężczyznami. A pomiędzy takiemi ludźmi, jest dużo wspólnego, pomimo wielu różnic. Wiem, co się w tobie działo dzisiaj, drogi chłopcze. Wiem, żeś się zżymał na mnie, żem grała publicznie. Ale – tu zwróciła się twarzą ku nimo Archie zobaczył jej oczy błyszczące i lekką mgłę przesłaniające – ale

to co zrobiłam było zaświadczeniem mojej pewności co do niewinności Lionela. Wszyscy teraz wiedzą, że kocham Lionela. Jakże bym mogła pokazać się im na oczy, gdybym uwierzyła, że on jest winnym. A prócz tego jest jeszcze coś. Musiałam zrobić dzisiaj coś takiego, co by mnie zmusiło do skupienia myśli. Wiem, że Lionel jest niewinny. Ale jest wtem coś, czego nie wiem i nie dowiem się aż do wieczora, czy go uniewinnią czy skażą. Niewinni ludzie bywali skazywani. Tracono ich nawet. Co było już może się zmienić poprawić! Skąd że ja mogę wiedzieć!?

– A ja myślałem – –

– Och, Archie, mama zajmie Kobiety, która nie była by zmuszona grać kiedy komedji.

– Więc ty – –

Urwał. Nie śmiał skończyć zdania.

– Może ja grałam komedję. Sama nie wiem teraz. Wczoraj wszystko wydawało mi się jakoś inaczej. Nawet dziś rano, gdy przyszłam do babki, myślałam, że jestem pewna. Albo usiłowałam wmówić w siebie tę pewność. Och! Archie! Większość ludzi oszukuje samych siebie czasem, zwłaszcza gdy są przyparci do muru. Czy tego nie rozumiesz?

– Rozumiem, Vi.

– Ale teraz czuję, że niewiem, nie mogę wiedzieć.

– Biedna moja Vi!

– Nie litój się nademną. Pragnę, żeby mnie wszyscy nie kochali, ale nie chcę żadnej litości. Ta gra zrobiła mi dużo dobrze na jakiś czas.

– Jak mogłaś tak grać, jak grałaś?

– Nie wiem. Ale miałam wrażenie, że gram dla swego zbawienia.

– A Jim?

– Jim? powtórzyła innym głosem, jakgdyby się nagle ocknąwszy.
– Dlaczego on grał?
– Skądże ja mogę wiedzieć!?
– Żal mi Jima – rzekł smutnie.
Vivian milczała przez chwilę. Potem zwróciła się do brata.
– Zostaliśmy pobici – rzekła – Ciekawam – ciekawam, czy to ma jakieś znaczenie. Jim i ja zostaliśmy pobici.
– Tak. Spasował w końcu. Może, może pod pewnymi względami kobiety są silniejsze niż my.
Te słowa zdawały się nasuwać jakąś myśl jego siostrze.
– Jak się ma ona? – zapytała.
– Kto? Pani Baratrie?
– Tak. Dla niej to może gorsze jeszcze niż dla mnie.
– Była spokojna. Tylko raz, wyglądało tak dziwnie...
– Dziwnie? Co chcesz przez to powiedzieć?
– Powiedziała coś, czego nie mogłem zrozumieć!
– Cóż to było takiego?
– Coś, że zapomniała o tobie..
– Zapomniała o mnie?
– Tak. Powiedziała: „Zapominałam o Vivian, gdy szłam do okna" czy coś w tym rodzaju. Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć słów.
– Do okna! Nie rozumiem.
– Ani ja. Nie mam pojęcia, co chciała przez to powiedzieć. Ale gdy to rzekła oczy jej wyglądały tak dziwnie, prawie okropnie. Zrobiło mi się zimno. Ale potem była już zupełnie spokojna.
– Pojadę do niej zaraz po lunchu – rzekła Vivian – Zostanę z nią aż do końca.
– A kiedy spodziewasz się że--
– Po czwartej, przypuszczam. Ale to zależy.. Przysięgli czasem

narażają się długo
– Mogą się różnić w zdaniach.
Usta Vivian zadrżały nagle.
– Nie przyszło mi to na myśl. Och! to było by zbyt okropne.
Archie przysunął się do niej i ujął jej rękę.
– Nie przypuszczam, żeby się różnili w zdaniach – rzekł niemal z gniewem.
W tej chwili, pomimo jasnego słońca i wesołego, ulicznego gwaru doznał wrażenia, że mu się to wszystko śni i że powinien otrząsnąć się z czegoś, z czemś walczyć. Ale jakże walczyć z próżnią, uchwycić nieuchwytne za gardło?
– Niepewność – to jest najstraszniejsze. Jeśli nie dojdą do porozumienia, jeśli to się odwlecze.. nie wiem jak ja to przetrzymam. A Lionel? Co Lionel powie?
Na chwilę ogarnęła ją rozpacz. Twarz jej się zmieniła. Pochwyciła rękę Archie'go i ścisnęła ją aż do bólu. Archie nigdy jej takiej nie widział. Było to ujawnieniem jej prawdziwych uczuć i zniszczyło wszelką nadzieję, jaką miał dotychczas żywił, – nadzieję wbrew nadziei – odnośnie do jego przyjaciela Jima. Ta rozpacz co u kobiety tak silnego charakteru jak jego siostra to była miłość, miłość której on jeszcze jako zbyt młody nie rozumiał w pełni. Vivian oddała całe serce temu Lionelowi; to było rzeczą pewną. Nawet gdyby Lionel był skazany, nawet gdyby go stracono i gdyby zniknął na zawsze z ich życia, Jim nic na tem nie zyskał on, Archie o tyle wyżej stawiał Jima nad Lionela!
– Uspokój się, Vi! Błagam cię uspokój się! – rzekł, czując się tak samo przestraszonym, jak na chwilę w salonie pani Karatrie – Wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci, że wszystko będzie dobrze.

— Tego nie wiem. Nikt nie wie.
Mówiąc to wyrwała mu rękę gwałtownie i wyjrzała przez okno.
Przejeżdżali właśnie koło sklepu z dziennikami, gdzie plakaty w drew-
nianych ramach wisiały na trotuarze przed wchodowemi drzwiami.
Vivian zdążyła przeczytać: „~~Ost~~ Ostatnie wiadomości. Proces o mor-
~~derstwo~~ zamordowanie wdowy Sabiny. Wielka mowa obrońcy.”
— Ach! wykrzyknęła mimowoli.
— Co takiego?
Nie odpowiedziała.
— Coś zobaczyła, Vi?
Zwróciła się ku bratu.
— Obrońca Lionela Sir Meredith Hall wypowiedział mowę... Piszą,
że to była wielka mowa.
— Może zatrzymam szofera i kupię dziennik.
— Nie, nie, daj pokój. Nie chcę nic czytać, nic wiedzieć, tylko wy-
rok. Jest mowa oskarżyciela i reasumowanie wszystkiego. Och! gdyby-
m mogła zajrzeć teraz do duszy Sędziego. On już wie co ma myśleć o Lio-
nelu. Postanowił już na złe lub na dobre. Trzyma w ręku przyszłość
dwojga ludzi. Och! jakaż to straszna rzecz być Sędzią!
— Jesteśmy już na Bond Street, Vi. Uspokój się. Mama się może prze-
straszy, jeżeli ~~nie~~ zobaczy--
— Nie zobaczy. Nikt nie zobaczy.
Pani Denys czekała w salonie na swoje dzieci. Spóźnili się trochę na
lunch i pani Denys stała przy otwartem oknie z którego zobaczyła
właśnie podjeżdżający samochód. Była kobietą w średnim wieku, jakich
wiele spotyka się w Anglji. Przeciętnie wykształcona, przeciętnie in-
teligentna, nie odznaczająca się ani wyjątkową urodą, ani wyjąt-
kowym dowcipem, była jednak prawie przez wszystkich lubiana
a przez wielu kochana. Była bowiem szczerą, serdeczną, bardzo dobrą

wykształconą i wolną od wszelkiego snobizmu. Otaczała ją szczególna atmosfera pogody i spokojnego zadowolenia, wynikająca z jej głębokiej, religijnej wiary.
Pani Denys „znała się z Panem Bogiem", jak to sama mówiła bez śladu bluźnierstwa lub arogancji. Wierzyła szczerze, wierzyła radośnie, że była zdolna wejść w porozumienie z Bogiem. Bo Bóg nie był dla niej jakąś daleką potęgą, lub jakąś nieugiętą wolą, lub przerażającą tajemnicą, lecz po prostu drogim, kochającym i zaufanym przyjacielem.
Chodziła zazwyczaj do modlić się do Katedry Świętego Pawła. Była średniego wzrostu, twarz miała owalną, gładką, świeżą, siwiejące włosy i usta jak ~~u~~ u dziecka dobre, różowe, niewinne.
— Jesteś, maleńka — rzekła Vivian, wchodząc do salonu z pogodną twarzą. Czyśmy się spóźnili?
— Chwilkę tylko. Miałaś dobrą partię?
— Znakomitą!
— Gdzie jest Archie?
— Poszedł umyć ręce. Chciałabym pojechać na Knightbridge natychmiast po lunchu i zostać tam do końca. Mogę tam być potrzebna.
— Myślałam dziś dużo o Lionelu i jego matce — rzekła pani Denys, swym spokojnym, łagodnym głosem. — A po lunchu pójdę na nabożeństwo do Świętego Pawła pomodlić się za nich oboje i za ciebie.
— Moja najdroższa maleńka! Jakżebym chciała mieć twoją wiarę. Byłaś tak tak nadzwyczajna w tej całej sprawie! — rzekła Vivian, schodząc z matką na dół.
I to była prawda. Pani Denys cierpiała głęboko nad skandalem, w który został wplątany narzeczony jej córki. Była jedną z tych kobiet, które nie potrzebują unosić szat, żeby nie dotknąć błota życia. ~~Są one~~

~~jakby stworzona była jedną z tych kobiet~~. Są one jakby stworzone do przejścia przez życie z dala od tego co brudne i niskie. Pani Denys z natury lubiła wszystko co dobre i czyste, nie cierpiała skandalów i plotek. Nie czytała nigdy o żadnych okropnościach w dziennikach, nie otwierała nigdy drastycznej książki, chciałaby o niej jak najmniej mówiono, nie zaciekawiały jej brzydkie tajemnice tych, którzy się z nimi stykają. Widziała to co dobre i nie chciała wiedzieć złego. Było to więc dla niej rzeczą straszliwą ta tragedja, w której zamieszane zostało szczęście imię i szczęście jej córki. Błoto życia jak cuchnąca fala dosięgło drzwi jej domu, wtargnęło nawet do wnętrza. A ona zniosła to spokojnie, z wielką godnością i, co najdziwniejsze, z niezmąconą pogodą. Nie powiedziała nigdy jednego słowa przeciw Lionelowi. Nie narzekała nigdy na los. Przyjęła ten cios z pełną prostoty odwagą, dzięki swej głęboko zakorzenionej wierze. Nawet teraz, w ten dzień krytyczny, kiedy wyrok miał zapaść, nie okazywała wzruszenia ni obawy, była taka jak zwykle.

Archie wszedł do jadalni, gdy już matka i Vivian siedziały przy stole. Pan Denys był w Banku. Nie jadał nigdy lunchu w domu wyjąwszy soboty, niedziele, albo podczas wakacji. Archie był nadzwyczaj przywiązany do matki i uwielbiał ją skrycie chociaż czasem drażniła go. Właściwie drażniła go właśnie. Był sam tak zdenerwowany, tak niespokojny, że jej pozorny spokój, gniewił go jeszcze bardziej. Było w nim coś, co dopominało się o podobny stan podniecenia u innych. Gdy dojeżdżali do domu upominał siostrę, żeby nie okazywała w obec matki drżących jej nerwów. A teraz z właściwą młodzieniaszkom przekorą pragnął, żeby matka cierpiała także i żeby on to mógł widzieć. Więc gdy zaczęła wypytywać o szczegóły

gry odpowiadał krótko i niechętnie. Cóż tennis nawet znaczył w taki dzień jak dzisiejszy? Jak matka mogła przypuszczać, że on myśli o takich rzeczach, kiedy się ważą losy Vi i Lionela?
Matka i nie przypuszczała tego, ale bywają chwile, kiedy milczenie jest poprostu nie do zniesienia. Więc pani Denys, wybierając ulubiony przedtem temat siliła się na prowadzenie rozmowy, aż Vivian wzruszona tym jej wysiłkiem przyszła jej z pomocą i zdała jej szczegółową sprawę z rozegranego dzisiaj meczu.
— Ale szczęście nam nie służyło. Byliśmy pobici w obu partjach — zakończyła i po raz pierwszy głos jej zadźwięczał jakoś smutnie i znacząco.
— Nie można zawsze wygrywać — rzekła pani Denys pogodnie.
— Nie. Ale właśnie dzisiaj... myślałam, miałam nadzieję, że wygramy.
— To była wina Jima nie twoja — rzekł Archie.
— Jakże się to stało? — zapytała pani Denys, patrząc na córkę.
— Nie był sobą pod koniec partji meczu.
— A! — rzekła pani Denys.
I po chwili dodała:
— Zdaje mi się, że Jim nie bardzo się uzewnętrznia.
— Myślę! — przerwał Archie.
— Zanadto wszystko w sobie kryje.
— Każdy mężczyzna takim być powinien — wykrzyknął Archie, występując gorąco w obronie przyjaciela — [illegible] mężczyzna wart jest, żeby nie paplał w koło.
— A ja sądzę, że tacy mężczyźni cierpią więcej, jeśli tak wszystko w sobie tłumią — rzekła pani Denys, która pomimo swej łagodności miała na wielu punktach bardzo stanowcze przekonania. — A czasem to się źle kończy.
— Ale! zawołał Archie — co mama przez to rozumie.
Vivian patrzyła pilnie na matkę; widocznie dzieliła ciekawość

brata i czekała jak on na odpowiedź.

– Według mnie, silne natury potrzebują jakiegoś wyjścia – powiedziała pani Denys. – Potrzebują mieć kogoś komu by się mogły ~~[illegible]~~ we wszystkich dziedzinach życia. Jeżeli nie zawierzają przyjaciołom i nie mają ~~[illegible]~~ religji są na złej drodze. Często myślę, że chciałabym móc uczynić coś dla Jima.

Przy tych słowach ponieważ lunch był skończony pani Denys wstała od stołu.

– Idziesz dziś do banku, Archie? zapytała, wychodząc z jadalni.

– Tak, mamo.

Gdy się drzwi za nią zamknęły Archie chwycił siostrę za rękę.

– Vi, czy ja nie będę ci na co potrzebnym?

– Nie, drogi chłopcze.

– Pojedziesz do – – ?

– Tak.

– Może bym po ciebie przyjechał gdy... się już dowiemy.

Vivian nie odpowiedziała zaraz. Archie odgadł, że przebiega myślą tak krańcowo różne możliwości tego dnia. Jeżeli Lionel będzie uwolniony udadzą się prosto na Knightsbridge, jeżeli go skażą zabiorą ~~odprowadzą~~ do ciemnej celi, z której dopiero wyprowadzi go kat.

– Nie, Archie, wolę żebyś nie przyjeżdżał. Jeżeli Lionel nie będzie uwolniony pozostanę na noc z jego matką. Mogę jej być potrzebną. A po tem coś mi o niej powiedział ojciec, że nie powinno się jej zostawiać samej.

– Po tem czem ci o niej powiedział?

– Tak; coś, czego nie zrozumiałam, ale co mi tem bardziej nakazuje nie odstępować jej. Do widzenia, drogi chłopcze.

– Oh! Vi; gdy się znowu zobaczę będziemy już wiedzieli.

– Tak, będziemy wiedzieli.

– Ale to oczekiwanie jest straszne.

– Skończyły się już bardzo prędko.
Pochylił się i pocałował ją z wyrazem zawstydzenia.
– Myślą będę wciąż z tobą droga Vi.
– Wiem o tem i drżałaś.

IV.

W pół godziny potem, Vivian dojeżdżała do domu pani Beatrice na Knightsbridge. Miała ze sobą walizeczkę zawierającą potrzebne na noc przybory, na wypadek, gdyby została – czy okażą się potrzebne? Zadawała sobie to pytanie wysiadając z taksówki. Szofer wyniósł za nią walizkę i postawił przy drzwiach, które wnet otworzyły się i ukazały się w nich starszawa twarz i szczupła postać Kingstona.
– Dzień dobry, Kingstonie. ~~Przywoz~~ Przywiozłam to na wypadek, gdybym miała zostać na noc.
Pochylił się i podniósł walizkę. Kingston był wysokim, szczupłym i przygarbionym człowiekiem, a teraz pozostawał od wielu lat w służbie u pani Beatrice, a teraz cierpiał dotkliwie z powodu skandalu, jaki zaciążył na „naszym domu" jak nazywał zawsze wśród służących numer 36 na Knightsbridge. Było to czemś strasznem dla mego widzieć „nasz dom" wymieniany w dziennikach, wiedzieć, że jest przedmiotem pogadanek i rozpraw we wszystkich barach w sąsiedztwie. Czuł, że jeżeli biedny pan Lionel będzie skazany, to go to zmiażdży. Będzie musiał szukać służby gdzieś daleko poza Londynem. Jego zraniona duma i zbolałe uczucia malowały się tak wyraźnie na jego biednej, bladej twarzy, że małych, wodnistych oczach, że Vivian pożałowała go.
– Gdzie mam zanieść tę walizkę, proszę panienki?
– Proszę ją postawić gdzieś w hallu. Zapewne nie będzie potrzebna. Przy-

16

wróżkom ją tylko na wypadek, gdybym miała jeneruować takiej. Jak się ma pani?

112

— Zdaje się, że tak jak zawsze teraz.
— Teraz?
— Przed południem, gdym poszedł oznajmić pana Archiego Denysa i gdy mi otworzyła zamknięte na klucz drzwi wyglądała jakoś inaczej niż zawsze.
— Inaczej?
— Tak, panienko. Zjedli mi wolno powiedzieć, jestem bardzo rad, wszyscy my jesteśmy radzi, że panienka przyjechała, żeby być z panią przy ostatku. Grobowy ton, jakim Kingston wymówił te słowa, sprawił przykre wrażenie na Vivian.
— Gdzie zastanę panią? zapytała szybko.
— Zaprowadzę panienkę do salonu i pójdę poszukać pani. Nie wiem gdzie być może.
— Pójdę jej powiedzieć zaraz, że przyjechałam, i niech Kingston się oznajmia kłopocze. Sama trafię do salonu.
Poszła prędko na górę opanowana jakimś nagłym niepokojem. Słowa Archiego o pani Baratrie, a teraz powiedzenie Kingstona rozstrzygnęło nią przykro. Nie każdy ma bezgraniczną odwagę. Czyżby jej nagle zabrakło matce Lionela?
— Jeśli tak, wtedy mi jej wystarczy dla nas dwóch. pomyślała Vivian otwierając drzwi do salonu i widząc, że jest pusty.
Lionel, gdy był jeszcze na wolności nie mieszkał zmałką. Ona tecie tego salonu było wyłącznie jej gustem. Było tu kilka bibliotecznych szaf i kilka obrazów, a wśród nich dwa portrety: jeden Johna Baratrie malowany przez Tildesa a drugi Lionela, jeszcze młodego, a znakomitego już portrecisty Wyn Ramondo.

Vivian wiedziała gdzie ten portret wisi, ale dziś nie spojrzała w
tę stronę. Nie śmiała spojrzeć. Meble w tym wielkim salonie były
wygodne i niezwykle duże. Sofy i fotele były głębokie i jakby
zachęcające do odpoczynku, czytania, zadumy. Stoły były zarzucone
nowościami literackiemi, ilustracjami. W kącie stał duży forte-
pian. Na posadzce nie było dywanu. Tylko przed otwartym komin-
kiem leżał perski koc. Pomarańczowej barwy firanki wisiały w o-
knie. Sufit wyklejony był srebrną tapetą. Biblioteki były z czarnego
drzewa. Meble obite pomarańczową i niebiesko-zieloną materją. Pani
Baratrie przyjmowała tu gości, choć wielu osobom salon ten wy-
dawał się jakimś dziwnym. Ale to tylko na pierwszy rzut oka.
Po pewnym czasie oswajano się z nim, a nawet zaczynano go lu-
bić. Było w nim coś przytulnego, coś nawet rozmarzającego.

Vivian często dawała się pociągać tej atmosferze. Pomimo niezbyt
spokojnych upodobań lubiła czasem poczytać spokojnie. Ale dziś
coś się w niej buntowało przeciw tej jakby kłamliwej atmosferze.
— Nie, nie, nie, — szeptał jej wewnętrzny jakiś urągliwy głos. Życie
nie jest spokojnem. Życie nie ma nic wspólnego z wypoczynkiem, zadumą,
spokojem. Życie jest srogie, brutalne, pełne niespodzianek. Napróżno
chcieć je omamić, napróżno odgradzać się od niego. Życie wedrze się
jak się wdarło tutaj i poszarpie cię zębami i szponami.

Nie usiadła. Chodziła od okna do okna. Dwa z tych okien wychodziło
na Knightsbridge i te były zamknięte, a dwa, na wprost otwar-
te wychodziły na Hyde Park. Wreszcie stanęła przy jednem z nich
i stała dopóki drzwi nie otwarły się i pani Baratrie nie weszła do salonu.

. . . .

Wysoki, staroświecki zegar wydzwonił melodyjnie czwartą godzinę.

Dwie kobiety siedzące w pobliżu otwartego okna spoglądały na siebie.
Siedziały już tak blisko godzinę. Chwilami rozmawiały, chwilami znów zapadały w milczenie, to dziwne milczenie przyjaciółek, biednych, cierpiących kobiet, biednych ludzkich istot udręczonych niepokojem i ukrywających tylko przed sobą wzajemnie swe wzruszenie.
— Posiedzenia sądowe kończą się zwykle o czwartej — pomyślały obie.
— Moja matka... — zaczęła Vivian i urwała.
— Co, kochanie? rzekła pani Beatrice.
— Nie mówiłam mamie, ale moja matka poszła do Świętego Pawła i powiedziała mi, że będzie się modlić za nas troje, za mamę, mnie i Lionela.
Usta pani Beatrice zadrżały. Przez chwilę nie mogła przemówić. Potem rzekła:
— Będę zawsze kochać twoją matkę za to. Chciałabym mieć jej wiarę, ale jej nie mam.
— Matka moja nie ma żadnej trudności w wierzeniu. Wiara jej jest w niej wrodzona. Może cierpieć, ale nigdy nie potrafiłaby tak cierpieć jak ty, mamo.
Pani Beatrice popatrzyła na Vivian jakimś szczególnym wzrokiem.
— Czy ty rzeczywiście wierzysz, wierzyłaś zawsze, byłaś pewna, że Lionel będzie uwolniony?
Vivian przypomniała sobie, co mówiła Archie'mu, gdy jechali z klubu na Bow Street.
— Wyrok pisany — rzekła.
— Tak. I wiem jak jesteś prawdomówna.
Vivian spuściła oczy. Chciała skłamać. Ale zawahała się. Pani Beatrice patrzyła na nią i wielka chwila przełomu była blisko, a jej się wydało, że ktoś domaga się od niej prawdy, bezwzględnej prawdy. Ale kto? Za-

stanowiła się później nad tem i wiedz, że tymi słowa na była obecna w salonie pani Boratric.
— Nie mam teraz tej pewności — rzekła uczenie — Powiedziałam Latschie'mu. Nie chciałam mamie mówić. Ale skoro mama pyta masz być szczera.
— Powinnyśmy być ze sobą szczere — rzekła pani Boratric — Tak szczere jak tylko możemy.
— Tak.
— Vivian, Tyś mi powiedziała. Ja ci także coś powiem. Dziś przedpołudniem gdy Archie przyszedł byłam na górze, wiesz, w moim słoneku...
— Tak.
— Gdyby Archie nie był przyszedł, gdyby mi nie przeszkodzono, to... w tej chwili nie leżałabym tutaj.
— Jakto? Nie rozumiem.
— Chciałam położyć temu koniec, odebrać sobie życie.
— Mamo!
— Tak. Przyszło to na mnie nagle, nieprzeparcie. Rozumiem teraz jak ludzie popełniają samobójstwa.
Vivian położyła dłoń na jej ręku.
— Kingston zastukał do drzwi: Zamknęłam je przedtem na klucz. To stukanie oprzytomniło mnie. Zapomniałam o tobie, o twojej wierności i odwadze. Nie opuściłaś Lionela pomimo wszystkiego, A ja chciałam opuścić jego i ciebie. Wstydzę się tego teraz bardzo.
— Przyrzeknij mi, mamo...
— Cyt! Wiem, że ta pokusa już nie wróci, nawet gdyby Lionel był skazany.
— ~~Kędzie to~~ Kędzie to mama może wiedzieć?
— Nie wiem. Ale czuję to jakoś pewnie.
Nastąpiła chwila milczenia, słychać było tylko cykanie starego zegara.

Poczem Vivian rzekła:
– Dlaczego mama pytała mnie, czy jestem zupełnie pewną?
– Wyczułam, że nią nie jesteś. Pragnęłam się przekonać, czy jesteś ze mną zupełnie szczerą. Gdy się przekonałam, to mi dodało mocy powiedzieć ci, jak bardzo słabą, prawie grzeszną byłam.
– Biedna mamo! Na szczęście Archie przyszedł. Było to tak, jakgdybym się nie wiedząc przysłała go, żeby mamę powstrzymać. Jakież byłoby było okropne, gdyby był przyszedł zapóźno! Powiedział mi coś, ale ja tego nie zrozumiałam.
– Archie! On nic nie wie o niczem.
– Mama powiedziała coś o oknie i o zapomnieniu o mnie. Archie dodał, że oczy mamy przeraziły go wtedy.
Wstała i przeszła się po salonie. Ogarnął ją znowu niepokój.
Po chwili rzekła:
– Dowiemy się teraz wkrótce.
Pani Barbarie spojrzała na zegar z porcelany oczyma
– Prawdopodobnie. Ale –
– Co, mamo?
– W zeszłym tygodniu kazałam zdjąć mój telefon. Nie mogłam już znieść tych ciągłych dzwonków. Myślałam, że oszaleję.
Vivian przystanęła.
– Ale w takim razie jak się dowiemy? Czy tu kto przyjdzie? –
– Jeżeli Lionel będzie uwolniony przyjdzie sam.
Vivian zaczerwieniła się gwałtownie i spojrzała ku drzwiom. I w duchu spytała się ich: „Czy was Lionel otworzy?" Wzrok jej spoczął na meblach, jakby żądając od nich odpowiedzi: „Czy Lionel usiądzie na was znowu?" Ale meble były nieme i mar-
– A jeżeli Lionel będzie skazany? spytała wreszcie, siląc się na-

dać głosowi spokojne brzmienie.
– ~~Zabroniłam~~ Poleciłam Kingstonowi, żeby nie wpuszczał dziennikarzy – żeby nikt ze służby nie wychodził dziś z domu.
– Więc w takim razie – –
– Jeśli to się skończy źle dla mego biedaka, pan Herries – brat Herries – ma tu przybyć.
– Rektor od świętego Gilberta? – rzekła Vivian, jakby zdziwiona.
– Tak. On wie, że nigdy nie bywam w kościele. Ale nie zważa na to. Nikt się nigdy nie dowie, ile dobrego wyświadczył mi Bob Herries w tych ostatnich miesiącach.
– Matka moja bywa czasem u świętego Gilberta.. Ale nie wiedziałam –
– Że mam przyjaciela w duchownym. Mam; Bogu za to dzięki, Vivian, to jest jedyny człowiek, jakiego znam, który spełnia Chrystusowe przykazanie.
– Jakie przykazanie?
– Pomagajcie sobie dźwigać wasze ciężary.
– Czekałam.. – czekamy.. czy przyjdzie.
Pani Beatrice zaczęła drżeć na całem ciele.
– Wszystko będzie lepsze niż to czekanie – wymówiła ochrypłym głosem – To jest jak ciężka operacja bez chloroformu.
Wstała z fotela.
– Sąd przysięgłych przeciągają się czasem bardzo długo po za czternaście godzin – rzekła.
– Tak.. Musimy być cierpli.. zdobyć się na cierpliwość.
– Cierpliwość! Cierpliwość! powtórzyła pani Beatrice – Nienawidzę tego wyrazu.. Najnienawistniejszy wyraz w mowie ludzkiej.
Położyła rękę na ramieniu Vivian i spojrzała jej w oczy badawczo.
– Jesteś szczerą ze mną.. – Powiedziałaś mi, że nie jesteś pewną,

jak się to skończy dla Lionela, iż żaden wewnętrzny głos jej tego nie mówi. A teraz powiedz mi jeszcze coś.

— Co takiego?

— Czy nigdy, choćby na chwilę nie miałaś wątpliwości co do Lionela?

— Wątpliwości?

— Czy nie pomyślałaś kiedy że Lionel był może winnym, że może to on zabił panią Sabinę?

— Nigdy! wykrzyknęła Vivian gwałtownie.

Szybkim ruchem usunęła rękę pani Harolskiej z ramienia, jak gdyby nie mogła znieść jej dotknięcia. Obrażonemi oczyma spojrzała na matkę swego narzeczonego.

— Nie przypuszczałam nigdy, żeby mama mogła mi zadać podobne pytanie. Nigdy!

— Vivian!

— Mama wie — [illegible] tak dobrze nie wie oprócz jednej jeszcze osoby jak ja kocham Lionela. A mama mnie pyta, czy nie przypuszczałam kiedy, że on jest mordercą! Mama, jego matka! Co by mama czuła, gdybym jej zadała podobne pytanie? Czy nie wyrzuciła by mnie ze swego domu?

— Moi Vivian —

Lecz łkanie nie pozwoliło jej dokończyć! Zdenerwowanie jej doszło do najwyższego stopnia. Mówiła dalej gwałtownie:

— Myślałam, że mama rozumie mnie lepiej. Myślałam, że mama mi ufa! Czy mogłabym być taką zdrajczynią względem Lionela i wątpić w niego! Pogardzałabym sama sobą, nienawidziłabym samej siebie gdybym mogła w niego wątpić. Ale ja nigdy w niego nie wątpiłam, nigdy, ani na chwilę.

— Przebacz mi, droga, Przebacz mi, Vivian. Jestem dziś tak wyczerpana sama prawie nie wiem co mówię.

— Ale mama to powiedziała z zastanowieniem. Dlaczego?
— Nie wiem, nie wiem. Jestem strasznie rozdrażniona. Wszyscy co mówią o Lionelu. Podejrzywam każdego, że może myśli tę okropność o Lionelu...
— Ja nie jestem każdym. Jestem tą, która go kocha. I mama wie o tym.
— Dosyć już, dosyć, droga Vivian. Przyrzekam ci, że nigdy już to było. Nie podejrzewam nic co do ciebie nie postanie w moich myślach.
— Jeśli Lionel przyjdzie tu dzisiaj gotowa jestem zaślubić go jutro — rzekła Vivian dumnie — A jeśli nie przyjdzie, i jeśli to jest możliwe zaślubić skazańca, wezmę z nim ślub w celi. Tak wierzę w jego niewinność i tak go kocham.
Zegar wydzwonił kwadrans po czwartej.
— Vivian! rzekła pani Baratrie — Nie gniewajmy się dzisiaj! Przebacz mi! Niech moje szalone słowa nie rozdzielą nas.
— Nie, mamo, nie!
Vivian objęła panią Baratrie i pocałowała ją.
— Rozumiem cię, mamo i wstyd mi mego uniesienia. To twoja miłość dla niego czyni cię podejrzliwą. Och!
+ Vivian Kinglsey odwróciła się. Usłyszała otwieranie drzwi. Wszedł Kingston.
— Kingston! zawołała pani Baratrie przeraźliwym głosem — Co... co się stało?
Kamerdyner podniósł rękę.
— Nic się nie stało, proszę pani. Niech pani zawdzięczy memu słowu uroczystemu słowu, że sprawa pa biednego pana Lionela jeszcze nie skończona.
— Więc... co?
— Pan Hervies jest tu, proszę pani.
Pani Baratrie zbladła śmiertelnie.

– Pan Herries! Ależ on miał przyjść tylko wtedy, jeśli... Och! Vivian!
– Proszę pani!.. proszę pani, rzekł Kingston podnosząc głos – sprawa pana Lionela jeszcze nie skończona, ale pan Herries...
– Wpuść mnie – rzekł stanowczy głos z zewnątrz – Ja to wytłumaczę. Kingston cofnął się na bok i blady, niskiego wzrostu mężczyzna gładko wygolony o ciemnych, twardych włosach i błyszczących, nauczycielskich oczach wszedł do salonu. Miał na sobie ciemne spodnie, wysoko zapiętą czarną kamizelkę, okrągły kołnierzyk i krótką, ciemno popielatą marynarkę z jakiegoś szorstkiego materjału. Rysy miał pospolite, a wyraz twarzy poważny, [illegible], kiedy się uśmiechał lub śmiał. Wtedy wyglądał wesoło, żartobliwie nawet.
– Wyrok jeszcze nie zapadł. Sprawa jeszcze nie skończona – rzekł ujmując rękę pani Beatrice – Przysłałem tu Kingstona, żeby panią uprzedził. Obawiałem się, żeby pani zobaczywszy mnie, nie przeraziła się.
Kingston wyszedł po cichu.
– Wiesz co się stało? rzekła pani Beatrice.
Nie przedstawiła pana Herries pannie Denys. Widocznie zapomniała na razie o jej obecności.
– Przyszedłem powiedzieć, że sprawa nie może być skończona przed siódmą. To wszystko. Myślałem, że pani będzie się niepokoić, oczekując lada chwila wiadomości, ponieważ posiedzenia kończą się zwykle o czwartej. Mowa obrońcy była bardzo długa.
– Skończyła się jeszcze przed południem – rzekła Vivian – Widziałam plakaty przed teatrem.
Pani Beatrice nie zapoznawała jej więc z panem Herries,

Uczuła dreszcz na całem ciele i patrzyła na niego.
– Tak; – odpowiedział pan Herris – ale potem była mowa prokuratora. A gdy wychodziłem z sali przewidywano zarazem właśnie wczasami.
Powinni oświadczyć, że przeciągnie posiedzenie, dopóki się sprawa nie skończy, więc przyszedłem tutaj.
Zwrócił się do pani Beatrice.
– Prosiłbym o przedstawienie mnie tej pani.
Pani Beatrice ocknęła się gwałtownie.
– Och! zapominam dziś o wszystkiem. Panna Denys, pan Herries.
– Jestem narzeczonym Lionela – rzekła Vivian, wyciągając rękę.
– Wiem.
Uścisk dłoni pana Herriesa był ciepły, prawie serdeczny i Vivian uczuła się nieco dziwnie pokrzepioną.
– A teraz wracam tam – rzekł pan Herries do pani Beatrice.
– Przyszedłeś pan tylko po to, żeby nam powiedzieć – –
– To niedaleko – przerwał z uśmiechem. – A teraz, nie spodziewając się pani wyroku wcześniej niż koło siódmej. Jeśli posiedzenie ~~po odłożeniu~~ sędzia odłożył by posiedzenie ~~z powodu późniejszej pory~~, bo i to się może stać, przysięgli mogą się niezgodnie rozdzielić, przysłałbym natychmiast posłańca. A jeśli wyrok zapadnie i będzie niepomyślny, przyjdę sam.
– Czy obrońca mego biedaka powiedział wszystko co było możliwe.
– Jestem tego pewny. Nikt nie mógłby uczynić nic więcej.
Skierował się ku drzwiom i nagle przystanął.
– Co panie będą robić przez te półtrzeciej godziny? zapytał.
– Robić? powtórzyła pani Beatrice.
– Tak.
– Będziemy tu czekać.

– Najlepsza rzecz, jaką można uczynić. Ubierzcie się panie, i idźcie na spacer do parku. ~~Ale~~ Nie wracajcie przed siódmą. Pani gra znakomicie w tennisa, panno Denys?
– Grywam z upodobaniem.
– Nie pani powinna uważać jako znakomita rzecz jest ruch, zarówno dla duszy jak dla ciała. Zresztą, cóż to jest ciało? ~~Po~~ Czasowa sprawa, że musimy o niem myśleć, a ruch więcej pomaga niż wiele innych rzeczy. Ja gram także, ale marnie. Nie mam na to czasu.
Uśmiechnął się.
– Wyprowadzi ją pani – dodał, spoglądając ze współczuciem na panią Beatrice – Zatrzymaj ją na spacerze do siódmej. Niech was obie Bóg błogosławi.
Skoro tylko wyszedł Vivian rzekła do pani Beatrice:
– Włóż kapelusz, mamo, i wyjdźmy.
– Dobrze. Jak ci się podobał pan Herries?
– Bardzo. ~~Nic w nim niema konwencjonalnego.~~ Już go polubiłam i zawsze go lubić będę.
– Niema w nim nic konwencjonalnego.
– Nie, dzięki Bogu. Mamo, proszę się ubierać!
Pani Beatrice wyszła włożyć kapelusz. Vivian, która swojego nie zdejmowała, stanęła przy otwartem oknie. Piękny, wiosenny dzień miał się ku końcowi. Jak straszliwie prędko minęły jego godziny! ~~Teraz~~ Światło pozostanie jeszcze długo, ale upał zmniejszył się znacznie i ~~słońce nie świeciło~~ promienie słońca nie błyszczały już tak jasno.
Vivian uspokoiła się trochę. Bob Herries zrobił jej dobrze. Była rada, że nie współczuł jej słowami. Jak błękitnem i jak niezmiernie głębokiem i spokojnem było niebo! Ach, utonąć w tym błękicie, rozpłynąć się w nim i zniknąć!

Ale miłość jest żelaznym łańcuchem przytłaczającym duszę do ziemi i Vivian czuła na sobie ten łańcuch.
Pani Beatrice wróciła w kapeluszu i w rękawiczkach.
— Jakie to śmieszne — rzekła niepewnym głosem — ale mnie się wydaje czasami złem iść na spacer w taki dzień. Wiem, że tak nie jest, ale — — Pójdź, Vivian. Bob Herries ma zawsze słuszność. Musimy ~~go posłuchać~~ mu być posłuszne. Może ruch mi pomoże. — Och! Vivian ~~nie~~ doznaję poprostu zwykłych, fizycznych mdłości: Doszłam do tego. Pójdź! Pójdź!

x x x

— Myślę, że to już czas wracać — rzekła pani Beatrice — Prawda Vivian?
Stały obie na moście u końca serpentyny, i patrzyły w milczeniu na spokojną wodę. Wieczór rozpostarł się już na niebie.
— Tak, mamo. Może już trzeba wracać.
Ale nie ruszały się z miejsca, patrząc ciągle na wodę.
— Okropnie się boję wracać — rzekła pani Beatrice po pewnem milczeniu — Dziś przekonałam się stanowczo, że jestem tchórzem. Nie widziałam tego przedtem. To straszne dla mnie odkrycie. Chciałabym gdzieś uciec, gdzie mnie nikt nie zna, ukryć się, zatkać uszy, nie już nigdy nie usłyszeć, niczego się nie dowiedzieć! Chciałabym rzucić się w jakiś ciemny kąt, gdzieby mnie nikt nie znalazł, gdzie nikt by mi nie mógł powiedzieć!.. Boję się strasznie, Vivian.
— Ale mama się przemoczy ciągle?
— Tak, tak, oczywiście. Chodźmy.
Odstąpiła od kamiennej balustrady.
— Czy mamy jeszcze czas? Zdążymy do domu na siódmą?

— Tak. Nie potrzebujemy się spieszyć.
Przeszły i skręciły w aleję na lewo, okrążając staw. Osób już było mało. Natrafiły jednak na jakiegoś zgarbionego staruszka. Siedział sam na trawie. Zdjął zniszczony, czarny kapelusz i położył go przy sobie. Czerwonawą ręką objął chude kolana i siedział nieruchomo, patrząc na wodę. W jego wyblakłych oczach malował się wyraz tępego zdziwienia. [illegible] było widać, że siedzi tak dziwiąc się swojej samotności, swojej starości, sobie samemu, losowi, życiu.
— Biedny staruszek — rzekła Vivian, gdy go minęły.
— Nie mogę się nad nim litować! Nie mogę się litować w tej chwili nad nikim, a zwłaszcza nad sobą.
— To minie. Mama nie jest dziś sobą. Ale wkrótce wszystko się może zmienić. I mama spojrzawszy wstecz będzie się może dziwić samej sobie, jak teraz.
— Nie sądzę. Nie sądzę!
Było coś tak szczególnego w głosie pani Beatrice, że Vivian wzdrygnęła się.
— Ale przecież mama nie przypuszcza, że Lionel — —
— Nie, nie, to nie to.
— A jeśli go uwolnią?
— Ten dzień wyrył swoje piętno, i wszystkie te dni, które doprowadziły do tego od — od śmierci pani Sabiny. Nic już tych śladów nie zatrze, nic.
— Nie rozumiem. Czy mama coś przede mną ukrywa?
— Po prostu zmieniłam się. Nie będę już nigdy taka, jaką byłam.
— Ależ, droga — —
— Nie mówmy o tem. Nie mogę o tem mówić.
Przyspieszyła kroku
— Wracajmy do domu. Chcę już raz z tem skończyć. Chcę wiedzieć.

Trzęś się ze strachu, ale musisz wiedzieć. Wszystko jest lepsze niż to. Musimy to przeżyć, a im prędzej, tem lepiej.
- Tak.
- ~~Chodź~~ Chodźmy jak najkrótszą drogą.
- Dobrze.
Gdy zobaczyły wysokie domy Knightsbridge pani Baratrie zaczęła prawie biec. Vivian dotrzymywała jej kroku, idąc z całą, spokojną swobodą.
- Która godzina, Vivian?
Vivian spojrzała na zegarek w bransoletce.
- Za dziesięć minut siódma.
- Za dziesięć minut! Lepiej ci po przechadzce?
- Nie wiem.
- Bob Herries miał jak najlepsze chęci. Ale to się na nic nie zdało.
- Zdaje mi się, że w domu było by znacznie gorzej.
- Mniejsza z tem, gdzie się jest, lub co się robi, czy nie robi. Będziemy w domu na siódmą —
- Wyrok może jeszcze nie zapaść dzisiaj.
- Wiem, że zapadnie — czuję — jestem prawie pewna, że już zapadł. Nie pytaj mnie dlaczego. Nie potrafiłabym odpowiedzieć.
Vivian zamilkła. Wyszły z parku małą, boczną furtką. Na zegarku londyńskim wybiła siódma, gdy stanęły przed domem pani Baratrie.

V.

Pani Baratrie drżącą ręką wydobyła z torebki klucz od zatrzasku i usiłowała włożyć go we drzwi.
- Nie chce wejść... Opiera się — rzekła bezradnie.
- Niech ja spróbuję.
- Nie, nie... On się tak często opiera. Poczekaj chwilkę, kochanie!

To było z coś nie do naprawienia. Litowała się nad nim jak nigdy dotąd. Kochała go z całą zapamiętałością jak nigdy dotąd. I nienawidziła jak nigdy dotąd tych, którzy go oskarżyli, którzy go napiętnowali. A ten prokurator! Mógł być po prostu tylko przedstawicielem tej ślepej sprawiedliwości, starającym się spełnić sumiennie swój obowiązek. Ale nienawidziła go jako człowieka. Po raz pierwszy w życiu zapłonęła pragnieniem zemsty. i uświadomiła sobie namiętności, których istnienia nie podejrzewała nawet dotychczas.

A po pewnym czasie zbudziła się w niej jakby uraza. Nie wiedziała, nie miała pojęcia jak dawno pani Beatrice poszła na górę. Ale teraz wydało jej się, że to już trwa bardzo długo. Uważała się zapomnianą, opuszczoną w swym bólu i gniewie, niepotrzebną. Pierwsza zobaczyła Lionela, ale zaraz oddała go matce. A teraz oni o niej zapomnieli. Ogarnęła ją zazdrość. Na cóż się zdało kochać, być wierną swojej miłości, trwać przy niej wbrew wszystkiemu? — Mogli byli przysłać po mnie. Oddałam go jej. Zeszłam im z drogi. Ale nie myślałam, że zapomną o mnie.

~~Podnios~~ Podniosła głowę ze stołu. Która to już mogła być godzina? W pokoju zaczynało się już ściemniać. Przyłożyła ręce do rozpalonych oczu i policzków. Otarła ostatnie łzy i zaczęła zastanawiać się z goryczą, czy nie powinna wracać do domu. Jeżeli jej nie potrzebują to po co ma zostawać! Widziała już Lionela. To najważniejsze.

Drzwi otworzyły się za nią pocichu. Ach! nareszcie. Odwróciła się ak powoli: Nie chciała okazać pośpiechu, po tak długiem czekaniu. Kingston ~~stał~~ wszedł z butelką wina na tacce i patrzył na nią

wystraszonym wzrokiem.
— Przepraszam, panienkę. Nie wiedziałem, że panienka jest tutaj.
— Wróciłyśmy już od pewnego czasu. Pani Beatrice jest na górze z panem Lionelem.
Kingston upuścił butelkę. Zbiła się i wino popłynęło po ~~po~~ posadzce ciemną strugą.
— Z panem Lionelem! wyjąkał.
— Tak. Czy Kingston nie wiedział? Kto go wpuszczał.
— Nie wiem. Więc to już skończone, panienko?
— Musi być, inaczej jakże by on tu był? Sam siebie zapytaj ~~tam~~ Kingstonie.
— Nie wiem. Pani ~~Karola~~ poleciła nam, żebyśmy nie wychodzili z domu, żebyśmy nie kupowali żadnego dziennika. Więc biedny pan Lionel jest wolny?
— Tak, Kingstonie, tak. Patrz, coś zrobił.
— To niechcący, proszę panienki. Biedny pan Lionel jest wolny. Pójdę ~~pan~~ po szczotkę.
Wyszedł z jadalnego pokoju.
Biedny pan Lionel, biedny pan Lionel! Jakichż dziwnych określeń używa służba. Ale czasem bywają trafne.
Kingston zostawił drzwi otwarte. Vivian siedziała wciąż przy stole coraz bardziej rozgoryczona, nie wiedząc co począć. Nie mogła tu przecież pozostać bez końca. To byłoby upokarzające pozostać, gdy o niej zapomniano. Ale jakże mogła opuścić ten dom, nie zobaczywszy jeszcze Lionela?
Usłyszała kroki w hallu. To musi być Kingston, wracający ze szczotką. Ale kroki minęły drzwi i poszły na schody. Vivian siedziała w dalszym ciągu, patrząc na wino wsiąkające szybko w dywan. Po chwili usłyszała znowu kroki schodzące na dół i Kingston u-

Kazał się w pokoju.
– Proszę państwo na górę. Pójdę teraz po siostrę.
Mówił z twarzą odwróconą i wyszedł szybko.
– Nareszcie przypomnieli sobie o mnie – pomyślała Vivian z goryczą.
Ale wnet zawstydziła się. Egoizm w takim dniu! Myśl o sobie w takiej chwili!
Wstała i poszła szybko na górę.
Pani Beatrice czekała ją na progu.
– Idź do niego, kochanie. Zostawiam was samych. Pragnie być z tobą, ufiesz zrobić więcej dla niego niż ja.
– Dlaczego?
Spojrzała przenikliwie na panią Beatrice pytając milcząco co się stało.
Ale twarz ta nie wiele jej powiedziała. Pani Beatrice odzyskała już panowanie nad sobą. Tylko twarz jej była spokojna, chłodna nawet, tylko trupio blada.
– Czuję, że tak jest – odpowiedziała – Ale nie potrafię wytłumaczyć ci tego. Gdybyś kiedy miała dziecko, zrozumiałabyś.
Umilkła. Zdawało się, że nie ma już nic do powiedzenia, ale nie odchodziła. Drzwi salonu były uchylone. Nie dochodził stamtąd żaden szmer.
– Idę teraz po te telegramy – rzekła pani Beatrice – A potem pójdę do siebie. Vivian, czuję się teraz straszliwie zmęczona. A ty?
– Nie wiem. Sama nie wiem jak się czuję.
Pani Beatrice ujęła ją za rękę.
– Wiesz. Wiwatowano na jego cześć na ulicach.
– Na cześć Lionela?
– Tak. Zebrały się tłumy. Ledwie samochód mógł przejechać. Ludzie biegli przy drzwiczkach. Wszyscy byli po jego stronie... wszyscy za nim.
– Anglicy kochają sprawiedliwość.

— I ty także. od samej góry
— Jestem Angielką.
— Oczywiście. Ale przypomniały mi się twoje słowa: „wierzę w prawdziwość Boga.” Widzisz, że miałaś słuszność. Stało się, jak przepowiedziałaś, co się stanie
Umilkła, ale jeszcze nie odchodziła. Vivian zaczęła się dziwić, czemu stoi, kiedy Lionel tam czeka sam. Było w tem coś dziwnego. Wreszcie rzekła:
— A teraz, trzeba spojrzeć w naszą przyszłość. Trzeba rozpocząć nowe życie.
— Tak.
~~Spojrzała na Vivian i nagle objęła ją~~ — Ty i on.
— Tak.
Pani Baratrie popatrzyła na Vivian jeszcze chwilę, potem objęła ją za szyję jedną ręką jakimś opiekuńczym ruchem.
— Jesteś dzielna — rzekła — Jesteś dzielną. Niech Bóg nad tobą czuwa zawsze
Pochyliła się i pocałowała Vivian. Usta jej były suche i zimne. Potem odwróciła się i zeszła na dół.

VI

Gdy Vivian weszła do salonu Lionel stał w głębi, przy bibliotece z otwartą książką w ręku, którą widocznie przed chwilą wyjął z półki. Vivian odgadła, że nie chciał słyszeć rozmowy na przedzie i próbował na chwilę zapanować myśli czemś, co miał pod ręką. Gdy weszła położył szybko książkę.
Vivian zamknęła drzwi za sobą. I nagle uświadomiła sobie tę przyszłość, o której wspomniała pani Baratrie. Drzwi się zamknęły. Lionel i ona byli sami na wolności. Wydało jej się, że słyszy tę przyszłość niby ciche stąpania w zmroku. Lionel stał nieruchomo i czekał, żeby sama podeszła do niego.
Lionel Baratrie był wysoki, szczupły i miał bardzo niepospolitą powierzchowność. Nie należał do tych ludzi, którzy giną w tłumie. Gdziekolwiek się się znalazł zwracał na siebie ogólną uwagę. Byli tacy, co cuda

żali go za wyjątkowo pięknego mężczyznę, inni zaś byli zdania, że jest coś zbyt odrębnego w jego powierzchowności, żeby go nazwać pięknym. Ale nawet ci przyznawali mu bardzo regularne rysy. Czoło miał niskie, wyjątkowo szerokie. Włosy ciemne i gęste. Nos krótki o zaokrąglonych, często nadymających się nozdrzach. Linja ust wyginała się nieco zmysłowo, nawet namiętnie. Oczy były wielkie, ciemno szare. Brwi wysuwały się nad niemi, tworząc dwa niewielkie wygórowania. Wyraz oczu był niewątpliwie szczególny. Malowała się w nich wielka stanowczość, a zarazem jakiś odcień mistycyzmu, coś wręcz przeciwnego mistycyzmowi.

Głos miał bardzo piękny silny, czysty i dźwięczny. Ręce były krótkie a w ujęciu zdradzały wyjątkową agresywność. Wyglądał na swój ~~lata~~ wiek, to jest na trzydzieści trzy lata. Przed temi wypadkami, które go zaprowadziły na ławę oskarżonych wydawał się znacznie młodszym.

— Lionelu! przemówiła Vivian.

Wpatrzyła się w niego bystro i on patrzył na nią nie rozumiejąc się

— Co, Vi?

— Czy to prawda? Wiwatowali na twoją cześć na ulicy? Biegli za powozem?

— Tak.

— Więc byli za tobą?

— Tak by się zdawało.

— A przysięgli, długo się naradzali?

— Jakieś pół godziny.

— Nie wydawało ci się to wiecznością?

— Tak; ~~długo dłuż~~ to trwało bardzo długo.

— A teraz — już po wszystkiem.

— Teraz już po wszystkiem.

Padli sobie w objęcia. A ją w tej samej chwili ogarnęła ta sama niemal wściekłość ten bardziej nie do zniesienia, że bezsilna.
– Nic tego wynagrodzić nie może, nic, nic.
Objęła mu skronie obu rękoma i całowała go w oczy z niedającą się opisać tkliwością.
– O! Lionelu! Ja tam siedząc sama w jadalnym pokoju płakałam z wściekłości.
– Dlatego, że jest jemu wszystkiem?
– Dlatego, że to wszystko było. Nie przebaczę nigdy, nigdy.
– Komu, Vi?
– Tym wszystkim którzy przekładowali ciebie i nas, życiu, losowi.
Inne jeszcze straszniejsze słowo zadrżało na jej ustach, ale go nie wymówiła.
– A ty, nie czujesz tak samo? zapytała szeptem.
– Nie.
Popatrzyła na niego ze zdumieniem, spotkała jego dziwne oczy.
– Dlaczego nie?
– Na cóż by się to zdało. To się nigdy odstać nie może.
– Ja wiem. I to doprowadza mnie do szaleństwa. A, dziwna rzecz, dopiero od chwili, gdy się dowiedziałam, że jesteś wolny. Do tego czasu, byłam względnie spokojna. Grałam dziś rano w tennisa, w klubie. Uwierzyłbyś temu?
Poruszył głową.
– Gniewasz się o to.
– Wiem dlaczego to zrobiłaś.
Nastąpiła chwila milczenia. Potem Lionel zapytał.
– Z Jimem Gordonem przecież – i Lionelu!
Uczułam, że obejmujące ją ramię zesztywniało.
– Gordon musi być dziś bardzo zgrzeszony.

— Nie, Lionelu.
— Bardzo zgryziony. Czekał na opróżnienie miejsca.
— Jnim jest za szlachetny na to.
— Żaden mężczyzna, który kocha jak Gordon nie zdobędzie się na taką szlachetność. Nie mam mu tego za złe. Gdybym ja był na jego miejscu, życzyłbym jemu, żeby mi się usunął z drogi. Miłość jest strasznie bezlitosna, a Gordon ma bardzo gwałtowną naturę mimo całego panowania nad sobą.
Pocałowawszy ją, pociągnął ją na sofę i usiadł obok niej. ~~Milczeli~~ chwilę.
— Co się z tobą dzieje, Lionelu — zapytała wreszcie — wydajesz się tak spokojnym.
— Bo też jestem zupełnie spokojny.
— Dziwię się, żeś nie zwarjował.
— To minęło. To jest tylko z początku. Gdy się całemi miesiącami miało przed sobą kata, człowiek zatraca ~~p~~ samo poczucie do pewnego stopnia. Zapewne tak jest ze mną w tej chwili. Później może się ocknę.
— Wyszedłeś z sądu sam?
— Nie. ~~Towar~~ Byli przy mnie ci, którzy od początku wierzyli ~~we~~ we mnie. Ale odwiedził mnie tylko jeden.
— Kto taki?
— Archie.
— Archie! powtórzyła Vivian z niedowierzającem niemal zdumieniem.
— Nie widziałem, że jest na sali. Dopiero przy wyjściu, ot ujrzałem go przy sobie. Przeprowadził mnie przez tłum. Nie zapomnę mu tego nigdy.
Łzy zakręciły się w oczach Vivian. Myśl, że brat, którego nienawidziła znała, uczynił to dla niej wzruszyła ją głęboko.
— Kochany chłopiec! rzekła, gdy mogła przemówić. A mi powiedział nic ze pojście, choć nie widziałam go po południu.
— Zapewne sam o tem nie wiedział. Zapewnie był to nagły porywo i jego

strony. Zlatują na nas takie porywy, jakby na skrzydłach, anielskich lub szatańskich. Umiałem to ocenić w Archie'm, bo wiem co czuje dla Gordona i czego życzy Gordonowi.
- Nie teraz, Lionelu.
- Skąd o tem wiesz, Vi?
- Archie rozumie mnie teraz.
- Od kiego kiedy?
- Od dzisiaj.
- Ale Archie jest wielkim przyjacielem Gordona.
- To co uczynił dzisiaj dowodzi, że jest po twojej stronie. Archie jest bardzo szczerym.
Zrobiło jej się przykro, że umysł Lionela jest tak zaprzątnięty. nawet w takiej chwili Jimem i Gordonem. I jedno pytanie, straszliwe pytanie stanęło przed nią. Czy ośmieli się zadać mu je?
- O co mnie chciałaś zapytać? rzekł wyczytawszy pytanie w jej oczach.
- Lionelu, gdy byłeś w więzieniu, gdy nie wiedziałeś, jak się to skończy czy nie przyszło ci kiedy na myśl — —
- Mów dalej. Chcę usłyszeć.
- Czy nie przyszło ci na myśl, że jeśli cię skażą, będę mogła zapomnieć i wyjść za Jima.
- Nie przypuszczałem, abyś mogła zupełnie zapomnieć!
- Ale myślałeś, że pójdę za Jima?
Objął silniej ramieniem jej sprężystą, wiotką kibić ale nic nie rzekł.
- Myślałeś to — wymówiła.
- Czy możesz mnie za to potępić?
- Nie — ale mnie to boli.
- Nie możesz mnie pojąć, co się dzieje w mózgu człowieka, który

przechodzi to, co ja przeszedłem. Żadna wyobraźnia tego nie o-garnie. Ale – tak. Kiedy byłem w więzieniu widziałem cię często w objęciach Gordona po mojem straceniu.

Mówił brutalnie, ale tulił ją mocno do siebie.

– Takie jest życie – ciągnął dalej. Takie doświadczenie, jakie stało się moim udziałem zdziera wszelkie złudzenia. Życie płynie i przynosi jedno, zabiera drugie, pogrąża w niepamięć ludzi, ukochania, namiętności, nienawiści, cierpienia. Tak być musi. Inaczej ludzie wrażliwi nie byli by w stanie przetrwać swoich niedoli. Może kiedyś, jeżeli doczekam starości, zapomnę prawie, że siedziałem na ławie oskarżonych posądzony o morderstwo. Dziś wydaje mi się to mało prawdopodobnem. Ale mam ~~dopiero~~ trzydzieści trzy lat. Mogę żyć jeszcze pięćdziesiąt i myśleć o tem wszystkiem, jak gdyby się to komuś innemu zdarzyło.

Umilkł nagle. Spojrzała na niego i zobaczyła, że twarz jego przybrała wyraz ponury.

– A jednak mylę się – ciągnął dalej – są rzeczy, o których się nie zapomina. Do końca mego życia ludzie będą pamiętać, że jestem tym, którego oskarżono, że zamordował kobietę. Czy uświadomiłaś to sobie dokładnie?

– Tak. I co zamierzasz uczynić?

– Uczynić? – zapytała, jakby nie rozumiejąc.

– Tak, uczynić. Czy zdałaś sobie sprawę z położenia?

– Twojego?

– Mojego i twojego, jeżeli ~~[illegible]~~ zostaniesz moją żoną.

– Tak.

– Jesteś tego pewna, Vivian?

Puścił ją i wstał z sofy. Była zdumiona jego panowaniem nad sobą, jego przytomnością umysłu. Było w nim coś nowego dla niej w niemo-

dziwnej; jakaś intellektualna brutalność, jakaś podejrzliwość jakiej nie spostrzegła w nim przedtem, nim ta wielka katastrofa na niego spadła. I trudno było uwierzyć, że przed paru godzinami ten człowiek siedział jako więzień pomiędzy dwoma strażnikami przed [illegible] i czekał, żeby usłyszeć, czy go powieszą, czy uwolnią. I Vivian, patrząc na niego odczuła jak nigdy dotąd niezbadaną tajemniczość natury ludzkiej.

— Vivian, czy jesteś pewna?

— Tak.

— Widzisz musimy dobrze rozważyć, co nas czeka. Jestem wolny-tak! Jestem w salonie mojej matki – wyrwałem się spod kata – Nikt nie ma prawa dotknąć mnie. Mogę robić co zechcę, zostać tu w Londynie, lub podróżować po świecie. Ale jestem człowiekiem napiętnowanym.

— Jak możesz mówić coś podobnego!

— Jestem jak człowiek, który zażył jakiś narkotyk, czasowo podniecający władze umysłowe. Póki mego życia nie będę nigdy myślał tak jasno i dokładnie. Wiem o tem. Moje ciało jest zmęczone, ale nie mój mózg. Zauważyłaś — czytałaś kiedy w dziennikach sprawozdania z procesów zbrodniarzy?

— Tak, czasem.

— I nie zdziwiło cię, że oskarżony jest zupełnie spokojny, rozgląda się po sali i zachowuje się w ogóle, jak gdyby się to wszystko nie jego tyczyło. Nawet gdy mu ~~czytają~~ ogłaszają wyrok, ~~słuchaj~~ przyjmuje go zupełnie chłodno. Ja to teraz rozumiem. Coś się dzieje z człowiekiem – Coś co go chwilowo stawia ponad życiem. Powiada sobie: „Wszystko jest gdzieś w dole podemną, a ja patrzę na to z góry" Tak było ze mną. Gdym wstał, by wysłuchać wyroku, byłem zupełnie spokojny

skupiony, ale spokojny.

– Zapewne ten stan nie potrwa. Może wszystko się we mnie wstrząśnie, wybuchnie.. Kto to wie. Ale w tej chwili patrzę jasno w przyszłość. Przeżyłem to wszystko. Miałem jeszcze dość siły, żeby to przetrwać z matką. Teraz muszę to przetrwać z tobą. Przecierpiałaś istną Golgotę. Wiem o tem. Nic mogę chwalić ci tego, ani odżałować! Ale czuję to całem mojem jestestwem. I w skutek tego kocham cię znacznie więcej niż przedtem. Czy to jest straszne?

– Straszne! powtórzyła cichym głosem.

– Tak. Jest coś strasznego we wszystkiem, co idzie za daleko. Bo wszystko musi mieć jakiś kres, poza który niebezpiecznie jest przechodzić, poza który nie powinno się przechodzić! Ja przeszedłem ten kres. Moja miłość nie może nigdy być spokojną, przeciętną miłością przeciętnego człowieka. Zdaj sobie dobrze z tego sprawę, Vi.

Umilkł. Ona nie odzywała się również. Zaczął chodzić po salonie, przystawał, wracał, ale nie siadał. Oczy jego podkrążone ciemnemi smugami patrzyły na nią jak z głębi jakichś pieczar.

– Kochałem cię, bardziej niż wiesz, przed tem. Ale po tem coś wyrosło i jaką byłaś po mojem uwięzieniu pokochałem cię stokroć więcej, szaleńczo po prostu. To jest jest może straszne być tak kochaną. Uprzytomnij to sobie.. A prócz tego przy uprzytomnić sobie musisz to, od czego zacząłem. Jestem człowiekiem napiętnowanym. Uwiązano mi u szyi tablicę: „Ten człowiek miał proces o morderstwo." I gdy gdziekolwiek się ruszę każdy może przyjść, przeczytać i gapić się ~~patrzeć~~ na mnie. Wiesz jak ludzie gapią się na tych, których uważają za zbrodniarzy. To nie jest prosta ciekawość. Nie, to jest rodzaj lubowania się w tem.

– Ale wszyscy widzą teraz, że jesteś niewinny!

— Wiedząc, że jesteś niewinny.
— Wiwatowali na twoją cześć; biegli koło powozu.
— To był chwilowy wybuch. Ludzie lubią dawać folgę swoim porywom.
— Och — Lionelu!
— To cię rani, Vi.? Bóg widzi, że nie chcę cię ranić. Ale musisz to wszystko wyrzucić z siebie.
— Mów dalej!
— W przyszłości, gdy to wszystko co się działo dziś zblednie trochę w pamięci ludzkiej, znajdzie się jeszcze wielu takich, mężczyzn i kobiet, którzy gdziekolwiek mnie spotkają, pomyślą sobie: „Tak, uniewinniono go. Ale czy on był rzeczywiście niewinnym. Która patrzy w tej chwili na mordercę?"
Umilkł i nie spuszczał z niej oczu.
— Tak — rzekła — wiem. I myślę, że po części dla tego płakałam, ale dola. Zapewne zdawałam sobie z tego sprawę.
— Tem lepiej! Chcę, żebyś to sobie dobrze uprzytomniła. Najstraszniejszą rzeczą w życiu jest zdać sobie sprawę zapóźno. Nie chcę, żebyś popełniła ten błąd.
— Jestem zupełnie pewna, że zdaję sobie dobrze sprawę ze wszystkiego.
— Jesteś znacznie młodsza odemnie. O dziesięć lat młodsza.
— To nie jest tak wielka różnica pomiędzy mężczyzną a kobietą.
— Może nie. Ale jest, i cała na moją niekorzyść.
Teraz usłyszała wyraźnie oddźwięk goryczy w jego głosie i zrozumiała jak dotkliwie musi cierpieć pod swoym pozornym spokojem i niezwyczajną, umysłową trzeźwością.
— W każdym kierunku wszystko składa się na moją niekorzyść, nie tylko w porównaniu z tobą, ale w porównaniu z każdym in-

nym mężczyzną. Kobieta, która połączy swój los z naszym spełni wielką ofiarę.

– Przestań –

– Nie, nie. Każda kobieta chce być dumną ze swego męża, a zwłaszcza taka kobieta jak ty. Jakże ty możesz być dumną ze mnie?

– Jestem dumną z ciebie. Cierpiałeś okrutnie, chociaż nie zrobiłeś nic złego. Stałeś się męczennikiem i wyszedłeś z tego tego czysty. Cały świat wie teraz, że jesteś niewinny. I zniosłeś to wszystko po męsku. A teraz, teraz mój najdroższy, powinieneś odpocząć.

– Odpocząć! Któż ja będę zdolny odpocząć kiedyś! W każdym razie nie teraz.

Przyłożył rękę do czerwonej plamy szpecącej mu twarz i opuścił ją po chwili.

– Inni mężczyźni są przeciętni i nieznani, albo najsłynniejsi i sławni: Ja należę do specjalnej klasy. W pewien sposób jestem zniesławiony.

– To nieprawda! – zawołała gorąco – Nie zniosę, żebyś mówił takie rzeczy.

Łzy gniewu stanęły jej w oczach.

– Ale tak jest, bo ludzie są tacy.

– Nie dbam o ludzi. Dbam o fakta. Nie powinieneś mówić, że jesteś zniesławiony – dzisiaj!

– Przebacz mi, Vi.

Zerwał się z miejsca, przeszedł się po salonie, lecz wnet powrócił, usiadł przy niej i otoczył ją ramieniem.

– Spróbujmy być szczęśliwi! – szepnęła. – Pozwól nam być szczęśliwymi, po tem wszystkiem. Mówisz o ludziach, o ich gapieniu się na ciebie, ale skoro oboje wiemy, że jesteś niewinny, żeś

tylko cierpiał, bo wstrętny jakiś los tak chciał, czyż to nie dosyć? Czy nie możemy żyć dla siebie i w sobie?

— Więc czy chcesz, żebym uciekł?

— Żebyś uciekł?

— Tak. Żebym stawił czoło przyszłości?

Znowu przyszłość! Zrozumiała, że na nic się zdało chcieć odciągnąć jego myśli od przyszłości.

Odsunęła się trochę od niego i spojrzała nań badawczo.

— Więc zastanawiałeś się — —

— Właśnie. Miałem dość czasu. Zastanawiałem się na oba sposoby. Jak mam stanąć wobec kata, jeśli los zadecyduje przeciwko mnie, lub jak mam stanąć wobec życia, jeśli zadecyduje za mną. Dwa ~~mną~~ rodzaje odwagi. Wiedziałem, że będę potrzebował jednej z nich, ale do dzisiaj nie wiedziałem której. A teraz pytanie, czy zdobędę się na ten rodzaj odwagi, jaka mi będzie potrzebna, żeby stawić czoło przyszłości.

— Jakto?

— Pozostać w Londynie, żyć jak żyłem dawniej, stykać się z ludźmi w klubach lub na tenisie, pracować, jak pracowałem dawniej w City. Czy pomyślałaś o tem wszystkiem, co mam czynić, gdy mnie wypuszczą z więzienia?

— Nie. Myślałam tylko o tem, czy cię uwolnią, czy zobaczę cię jeszcze wolnym człowiekiem.

— Tak, to jest naturalne. Ale teraz musimy się nad tem zastanowić. Moje nazwisko nie przyniesie teraz zaszczytu firmie. Ale moi wspólnicy zdecydowali się na tę grę. Muszę im oddać tę sprawiedliwość. Nie będą próbowali pozbyć się mnie. Wiem o tem. Harry Maynard był jednym z tych, którzy wyszli dziś

ze mną z sali
— Są jednak zacni i wielcy ludzie na świecie.
— Tak, ale nie trzeba przeciągać tej struny. Mógłbym więc postąpić tak jak już powiedziałem, ale że mogę zrobić co innego.
— Co?
— Zerwać z tem wszystkiem, z życiem, jakie prowadziłem zanim wstąpiłem do wojska i potem, kiedy z niego wyszedłem.
— Ale, co będziesz robił w takim razie?
— No, świat jest dosyć szeroki. Mogę opuścić Londyn, porzucić Anglję wogóle i zająć się za czem innem. Oczywiście będzie ~~będzie~~ mi materjalnie ciężej, ale pieniądze to dla mnie rzecz drugorzędna w tej chwili. W każdym razie starczy mi na życie. Są na świecie, ciche samotne ustronie, gdzie człowiek może żyć spokojnie i oszczędnie. Mogę się tam osiedlić i zacząć nowe, spokojne życie, wśród zupełnie nieznanych i nieznających mnie ludzi. Mogę zmienić nawet ko—
— och!
— Czemu tak westchnęłaś, Vi?
— Mów dalej!
— Odziedziczyłem kiedyś małą posiadłość w Północnej Afryce na ~~wybrzeżu~~ brzegu niedaleko od miasteczka zwanego Sidi-Barka. Taki śliczny, biały domek w ogrodzie palmowym tuż nad morzem. Tam nikt nie zajrzy. Nikt wiedzieć nie będzie.
Nikt wiedzieć nie będzie. Gdy Lionel wymówił te ostatnie słowa Vivian doznała wrażenia, jakgdyby to był krzyk wydzierający się z głębi serca tego człowieka, którego kochała, a który mimo to wydawał jej się dziwnym dziwnym w swoim spokoju w swej zdolności zastanawiania się,

ważenia i wyrażania jasno swoich myśli. Ujęła jego rękę w obie dłonie.
– Wiem. Rozumiem – rzekła – Nie odsuwaj mnie. Pozwól mi być we wszystkiem razem z tobą.
– Czy uważasz mnie za tchórza?
– Ach nie! Nie jesteś tchórzem. Ale potrzebujesz spokoju. Wszystko w tobie domaga się spokoju. To jest jedyne lekarstwo dla ciebie.
– Nie, to nie jest jedyne lekarstwo. Może potrzebuję spokoju, na krótko w każdym razie. Ale stokroć więcej potrzebuję miłości. Ale życie całe otaczali mnie ludzie, którzy wątpili we mnie, albo, którzy nie wątpili, ale wierzyli — — mniejsza z tem.
Uczynił jakiś wewnętrzny wysiłek i dodał innym głosem:
– Ale nie powinienem być takim obrzydłym egoistą. Wiem, że jesteś gotowa poślubić mnie — —
– O, tak, tak!
– Ale pomyśl co to znaczy.
– Myślałam.
– Może nie dostatecznie. Życie może być długą historją dla nas obojga. Czy potrafisz znieść długie życie z napiętnowanym człowiekiem?
– Chcę tylko, żeby było długie – z tobą!
– Ale jest jeszcze inna rzecz —
Urwał. Twarz jego powlokła się wyrazem bólu, zawstydzenia niemal.
– Cóż to takiego?
– Nie wiem, jak mam ci powiedzieć.
– Czy to coś bardzo strasznego.
– Tobie się to może takiem wydać!
– I musisz mi to powiedzieć?
– Muszę, jeżeli się mamy pobrać.
– Więc powiedz mi lepiej teraz. Inaczej to mi nie pozwoli zasnąć. Będę ciągle o tem myślała.

— Widzisz, Vi, mnie się zdaje, że taki człowiek jak ja nie powinien mieć dzieci. To byłoby nieuczciwością.
Milczała. Nie poruszyła się. Milczała tak długo, że aż tem przeraził. W pokoju ściemniało się szybko. Gwar Londynu dolatywał przez okna wychodzące na Knightsbridge. Zauważył go teraz w tej ciszy panującej w salonie. I to go do reszty zdenerwowało. Poruszył się gwałtownie.
— Viciu — rzekł, ostro drżącym głosem — Powiedziałem ci, — musiałem ci powiedzieć. A ty milczysz. Dlaczego?
Vivian wysunęła się z jego objęcia i spojrzała mu twarzą w twarz. Nagle to w tej rosnącej ponurości dostrzegł jakiś nowy wyraz jej oczu, wyraz stanowczości i silnego postanowienia.
— Kochany — rzekła — to jest chorobliwe. Jesteś mężczyzną, a mówisz jak człowiek występny.
— Vi! — zawołał i zerwał się z miejsca.
— Dlaczego miałbyś się bać? Dlaczego miałbyś zmieniać naturalno, porządek rzeczy? Jesteś taki sam jak każdy inny człowiek w Londynie, który nigdy nikogo nie skrzywdził. Dlaczego nie miałbyś mieć dzieci! Czego by się one miały wstydzić? Niczego. Nie pozwolę mówić w ten sposób do mnie. Nigdy. Najdroższy, to nic takiego. Przeraziłeś mnie nieco twoim spokojem i tym sposobem w jaki mówiłeś o wszystkiem i dowiodłeś mi, że myślałeś o wszystkiem. Ale pod tą powłoką dusza twoja zraniona krwawi się. Tak, krwawi się. Reakcja się zaczyna. Musi przyjść, nie unikniesz jej. Ale nim cię zupełnie ogarnie muszę ci coś powiedzieć. Pójdę za tobą wszędzie. Wyrzeknę się wszystkiego. Wyrzec się to jest nic dla naprawdę kochającej kobiety. To jest żadna ofiara. Rozkoszuję się tym rodzajem braku egoizmu, jeżeli to wogóle jest brakiem egoizmu! Ten domek nad morzem z dala od świata. Czy nie wiesz,

że byłabym w mimo szczęśliwa z tobą? Ale tylko wtedy, gdybyś ty był szczęśliwy. Lecz, Lindsay, ty nie byłbyś szczęśliwy. Gdybyś próbował gdybyś zapomniał o sobie, że i się stał innym człowiekiem, skończyłoby to by się na tem że byłbyś nieszczęśliwy i wstydziłbyś się przed samym sobą. Pełzałbyś, zamiast chodzić z podniesioną głową. Tobyć nie może: Ty i ja nie jesteśmy stworzeni do takiego życia. Ja się przez ten cały czas nie kryłam. Dziś byłam wśród ludzi, którzy mnie wszyscy znają. A wtedy ani ja, ani tamci nie wiedzieliśmy jeszcze jak się to skończy dla ciebie. Teraz cały świat wie, że jesteś mężczyzną. A teraz mielibyśmy się kryć? Nie. Musimy tu zostać i razem iść dalej. To jest jedyna rzecz, jaką nam należy uczynić, tobie i ja. Jeżeli weźmiesz mnie za żonę, weź mnie z podniesioną głową i niech każą mi opuszczać nasz. Ja do tego nie jestem zdolna. Zmarniałabym, jeżeli bym się na to zdobyła. A jeżeli przyjdą dzieci, powitam je z radością. I ty także. Nie będą miały powodu wstydzić się za swego ojca. Mnie dziś nie chcesz tego jeszcze. Ale gdy się uspokoisz, gdy minie to chwilowe wzruszenie, wiem, że będziesz myślał tak samo jak ja. Wiem, że tak będzie.

Zarzuciła mu ręce na szyję i podała mu usta do pocałunka.

— Ty mój — szepnęła — ale nie w ~~ukryciu~~ ukrywaniu się i wstydzie.

A on uległ. Nagle cały jego spokój, całe to panowanie nad sobą, które go zdumiewało i niemal przerażało go, zniknęło. Było to tak, jak gdyby złamała go, jego, który hardo patrzył w oczy konieczności śmierci, złamała go miłością.

. . . .

Było już zupełnie ciemno, tylko światła uliczne ślizgały się po szybach okien, wychodzących na Knightsbridge. Nikt nie przyszedł spuścić rolet i zasunąć firanek. Po raz pierwszy Kingston

zapominał o swym wieczornym obowiązku. Pani Basatesé musiała mu wydać takie polecenie. Oddała syna kobiecie, która nie potrzebowała dzielić jego losu, ale chciała podzielić go dobrowolnie. Pani Basatnie siedziała teraz sama gdzieś na górze. Usłyszała jego pożegnalne słowa, a potem oddała go tej, która niewątpliwie więcej teraz znaczyła w jego życiu niż ona. Więc przyszłość - dość ciemna jak się zdawało - należała do Vivian. Matka miała przeszłość.
Lionel leżał na sofie w salonie, z głową opartą na poduszce. Burza przeszumiała nad nim, a teraz nastąpiła cisza. A Vivian siedziała przy nim, trzymając jego rękę w obu dłoniach i czuwając nad nim w milczeniu. Odpoczynek! oto co mu było potrzebne. Potrzebował nabrać nowych sił, aby złożywszy jeden ciężar mógł dźwignąć drugi: ciężar przyszłości. A w międzyczasie postanowił wyjechać gdzieś, gdzie by go nie znano i pod przybranem nazwiskiem. Miał w Szkocji przyjaciela, który był kawalerem i który go chętnie udzieli mu gościny. Tam mógł błądzić wśród błot i po wąskim paśmie muna wrzynającym się głęboko w ląd tuż u stóp posiadłości swego przyjaciela, przebyć tak pewien czas zdala od ludzi, z samą naturą. A gdy się pokrzepi i uspokoi powróci i pobiorą się: on i Vivian. Tymczasem ona spędzi lato jak zwykle, pokazując ciekawemu światu pogodne oblicze.
Tak to ułożyli pomiędzy sobą. Tam, daleko biały, afrykański domek nad morzem, może czekać wśród palm swego ogrodu wzniesionych pierzaste korony ku błękitnemu niebu. Nie pojadą oni tam, ani gdzieindziej. Jordanu stawić czoło przyszłości.

—

Część Druga

Walka.

I.

Nazajutrz po turnieju w Wimbledon, Vivian, która grała w nim z ogromnem powodzeniem obudziwszy się po długim, ~~tro~~ krzepiącym śnie pomyślała:
— Co też mam dziś zrobić?
To coś nie było łatwą rzeczą. Miała napisać do Lionela, który od dwóch tygodni, nie dawał znaku życia. Ale nie niepokoiła się tem. To także było ułożone pomiędzy niemi, że będzie pisywał bardzo rzadko. Ona natomiast pisywała często i obszernie, zdając mu sprawę z wszystkich swoich czynności. Ale dziś miała coś ważniejszego na myśli.
Zeszła na śniadanie i zastała matkę siedzącą już przy stole pogodną i świeżą, jak zwykle po rannych modlitwach i rozmyślaniach.
Była sama. Archie spał jeszcze, a pan Denys ubierał się dopiero zaczytawszy się długo w noc nad jakąś bardzo zajmującą książką.
Vivian ucałowawszy matkę się siadła i sięgnęła po jajko.
— Wypoczęłaś, Kochanie? zapytała pani Denys, nalewając jej filiżankę mlecznej kawy.
— Tak, mateczko. Spałam prawie dziewięć godzin.
— Zrobiłam wczoraj coś, o czem nie wspominałam Mateczce. Powiedziałam tylko Archie'mu.
— O! Cóż takiego?
— Anna Lorrimer zaprosiła mnie na turniej w Cathcart House dwudziestego lipca. ~~Przy~~ Powiedziałam jej, że nie mogę nic obiecywać z powodu Lionela. Nie wiem jeszcze dokładnie, kiedy

się odbędzie nasz ślub.
Pani Desys nie okazała żadnego wrażenia, chociaż może je doznała.
— Czy Lionel postanowił już kiedy wraca, kochanko? zapytała, nie czyniąc żadnych uwag nad ostatniemi słowami córki.
— Nie. Zaraz po śniadaniu napiszę do niego i zapytam. Powiedziałam Annie Scrimes, bo chciałam, żeby ludzie zdali sobie dokładnie sprawę z tego jak rzeczy stoją. A Anna powtórzy to każdemu, kto jeszcze nie wie.
— Z pewnością, że powtórzy — rzekła pani Desys, napewno bez sarkazmu.
Jadła w milczeniu jajko na miękko, poczem rzekła:
— Wiem, że po tem, co się stało, będziesz sobie życzyła cichego wesela?
— O! tak Mateczko — odpowiedziała Vivian pogodnie. — Nie zniosłabym żadnych wystawności i pompy.
— Ale, kochanie, weźmiecie ślub w kościele, nieprawdaż?
W głosie jej brzmiało niemal błaganie. Vivian milczała.
— Wiem, że będzie to trochę bardziej publicznem, ale byłoby mi bardzo przykro, gdybyście wzięli ślub cywilny. Ty wiesz, jak ja się zapatruję na te rzeczy. Dla mnie małżeństwo jest zawsze sakramentem.
— Wiem, mateczko. I dla mnie także.
— Nie potrzebujecie brać ślubu w Londynie. Można znaleźć jakiś kościół wiejski, gdzie nikt nas znać nie będzie.
— Nie, mateczko. Jeśli mam brać ślub w kościele, chciałabym, żeby go nam dał pan Herries u świętego Gilberta. ~~Wiem, że się zgodzi~~
Napiszę o tem Lionelowi. Wiem, że się zgodzi.
Zaraz po śniadaniu Vivian poszła na górę do swego salonika znajdującego się przy jej sypialni. Usiadła przy biureczku, na którym stała fotografja Lionela w srebrnych ramkach. Robiona była we

Francji i miała w sobie coś bardzo artystycznego przy uderzającem podobieństwie. Vivian uznawała to, ale nie lubiła tej fotografji i nie byłaby jej pokazała nikomu kto nie znał Lionela. Dlaczego sama nie mogła zdać sobie z tego sprawy.

Teraz, patrzyła na nią chwilę, nim zaczęła pisać i doznała optycznego złudzenia, że widzi u dołu nakreślone dwa wyrazy: „Klaudjusz Ormeley.” Było to nazwisko, jakie Lionel przybrał, wyjeżdżając do Szkocji. Trwało to chwilę, potem zniknęło. Wtedy wstała, przeniosła fotografję na inny stół i z nagłem postanowieniem umoczyła pióro w kałamarzu.

Pisała szybko, energicznie, bez żadnego zawahania się. A gdy skończyła włożyła go do koperty, nie odczytawszy. Tylko, gdy miała nakreślić adres pióro jej zawisło w powietrzu. Wzięła ją pokusa napisać „Lio-~~ttel~~ nel Baratelle”. Było by to zupełnie w zgodzie z treścią listu i tak bardzo tego pragnęła, że siedziała parę minut nim, westchnąwszy, napisała „Klaudjusz Ormeley.” Czuła, że nie miała prawa zdradzać zaufania Lionela i pocieszała się jedynie myślą, że jeżeli ~~stanie~~ jej list odniesie skutek, jeżeli prawda przemówi do niego to już po raz ostatni adresować będzie w ten sposób.

Sama zaniosła ten list na pocztę.

W trzy dni potem otrzymała ~~następny teleg~~ następujący telegram:

„Czy możesz spotkać się z Klaudjuszem Ormeley w Tyford Hotel Broni, ~~Sussex~~ Sussex w nadchodzący Piątek. Stacja jest Tyford. Będę tam cały dzień”

„Ormeley”

Przeczytawszy ten telegram zrozumiała, że list jej doszedł i że miał swój skutek. ~~Ale~~ Ale nie zupełny. Lionel wracał, ale wracał jako Kla-

wujasz Charles Ormsley.

~~Dopiero~~ Odtelegrafowała mu natychmiast że przyjedzie. Nie znała zupełnie tej miejscowości, ale zajrzawszy do przewodnika kolejowego upewniła się że jest kilka dogodnych pociągów, któremi może dojechać do Tyford. Postanowiła pojechać o jedenastej przed południem. Dopiero jednak we czwartek powiedziała o tem matce. Pani Denys zdziwiła się trochę.

— To Lionel nie wraca do Londynu?

Zawahała się chwilę, potem rzekła:

— Wracam, mateczko. Ale, jest rzecz taka, że pojechał do Szkocji nie pod swojem nazwiskiem. Teraz wraca, ale nie zaczął jeszcze używać swojego nazwiska. Zapewne dla tego nie przybył jeszcze do Londynu.

Vivian spostrzegła ze zdziwieniem, że matka jej zaczerwieniła się.

— Spodziewam się, że Lionel zaniecha tego — rzekła z pewnem rozdrażnieniem.

— Nie znoszę niczego co się robi potajemnie. Dodała — Tybyś też w tem brała udział — —

— Pojmuję to, mateczko.

— Wytłumacz więc Lionelowi, że nie możemy być wmięszani w nic, co w najlżejszym stopniu trąci oszustwem. To się nie zgadza z naszemi zasadami, zapatrywaniami i nie możemy ich zmieniać w tym względzie. Prawda jest rzeczą, którą najbardziej cenię.

— Wiem, i najzupełniej zgadzam się z mateczką.

Pani Denys rozpogodziła się natychmiast i ucałowała córkę serdecznie.

— Wiem, ile biedny Lionel wycierpiał. Nie sądź, że mu nie współczuję. To straszne, co mu jeszcze wypadnie przenieść. Tobie też

mu nie potrzebny. A jednak postanowiłaś podzielić go teraz z nim. To mu powinno dodać odwagi.

— Nie chcę żeby Lionel ciągle czerpał ode mnie odwagę — rzekła Vivian z pewnym smutkiem.

— Nie — nie! Ale kobiety mogą bardzo pomagać mężczyznom w kierunku moralnym. Myślę czasem, że to jest nasze główne zadanie. I sądzę, że biedny Lionel czuć się będzie zupełnie inaczej, gdy cię zobaczy.

— Mateczko! rzekła Vivian stanowczym głosem — Ty mi teraz dodałaś odwagi. Jutro przywiozę ze sobą Lionela do Londynu.

Vivian wstała nazajutrz wcześnie. Pragnęła zobaczyć Lionela A jednak lękała się tego. Jakiś cień, cień „Klaudjusza Ormsley" stał pomiędzy niemi i zdawał się chcieć ich rozdzielić. Musi go odpędzić, musi wyrzucić go z ich wspólnej doli na zawsze. A wtedy nic już nie stanie pomiędzy nią a jej ukochanym.

Wyjechała z domu wcześnie, postanowiła bowiem odwiedzić po drodze panią Baratrie. Od dnia uwolnienia Lionela widywały się bardzo rzadko. Po wyjeździe syna do Szkocji pani Baratrie zamknęła się w domu i wiodła życie pustelnicy. To wszystko co ~~cierpiała~~ przeniosła było widocznie nad jej siły. Cierpiała na dotkliwą neuralgję i bezsenność i była naprawdę chora. Vivian wiedziała o tem, ale przykro jej było, że matka Lionela trzyma ją zdala od siebie jak wszystkich innych. Nie uprzedziła jej też teraz, że ją odwiedzi, zamiar ten powzięła już na wychodnem z domu.

— Czy mogę zobaczyć panią Baratrie na chwilę — rzekła do Kingstona, gdy jej drzwi otworzył. Jadę na kolej. Nie zatrzymam jej długo. Jakże się miewa?

Kingston miał wygląd ponury.

— Pani ~~[illegible]~~ bardzo się zmieniła, po tem wszystkiem, proszę panienki.

Zawsze sama. Po nikomu na zdrowie iść nie może. Pójdę oznajmić, że panienka tu jest.

Wyprowadził ją do salonu i wnet powrócił mówiąc, że pani prosi ją na górę do jej buduaru.

Vivian wszedłszy do tego pokoju zastała rolety podniesione, a panią Baratrie stojącą przy otwartem oknie w pełnem świetle.

— Dzień dobry, Vivian — rzekła. Tak wcześnie? Zdziwiłam się, gdy mi cię Kingston oznajmił. Jedziesz gdzie na tennisa?

— Nie, mamo.

Zbliżyła się do pani Baratrie i pocałowała ją. Uderzyła ją zmiana, jaka w niej zaszła, ale nie dała poznać tego po sobie. Pani Baratrie widziana w pełnem świetle wyglądała bardzo staro, znacznie starzej niż na swoje sześćdziesiąt lat. Było w niej coś dziwnie zwiędłego i jakby zamrożonego. Tylko oczy patrzyły bystro, z jakąś niepokojącą czujnością.

— Kingston powiedział mi, że jedziesz na kolej.

— Tak. Jak się mama czuje?

— Tak, jak się mogę czuć. Usiądź, proszę, jeśli masz chwilę czasu.

Wskazała jej miejsce na kanapce i usiadła przy niej, pochylona ku przodowi z chudemi rękoma splecionemi na kolanach.

— Miała mama wiadomości od Lionela? zapytała Vivian, siląc się na swobodę.

— Miałam list dziś rano. Wyjechał z Szkocji, prawie nagle. Pojechał do Sussex.

— Wiem. Jadę do Tyford, żeby się z nim zobaczyć.

— Ach, tak!

— Telegrafował, prosząc, żebym przyjechała. Chcę go przywieźć ze sobą.

Pani Baratrie nic nie rzekła. Patrzyła na Vivian, jakimś

pytającym wzrokiem.
— Czy mama nie sądzi, że już jest czas, aby Lionel wrócił?
— Jakto czas? Co przez to rozumiesz?
— Miał wypocząć i wypoczywał.
— Nie długi to był wypoczynek.
— A mama nie uważa, że powinien był być dłuższym?
— Nie wiem.
— Mnie się zdaje, mamo, że dla Lionela takie przedłużanie może być niebezpiecznem. Myślę również, że powinien już skończyć z Klaudjuszem Ormsby i chcę mu to dziś powiedzieć. Wreszcie mam chyba prawo, skoro mam zostać jego żoną.
— Więc nie zmieniłaś tego postanowienia?
— Chyba po owym dniu, po tej przechadzce, jaką my wtedy odbyły mama nie może tak myśleć.
— Nie wiem doprawdy, co myślałam i co myślę. Ludzie są tak nieobliczalni. W najpewniejszej istocie ludzkiej wszystko się może stać i to nagle. Wiem to po sobie.
Vivian spojrzała na otwarte okno.
— Wiem, co mama ma na myśli.
Usta pani Baratti drgnęły lekko satyrycznym uśmiechem.
— Ale ja się nie zmieniłam. A co się tyczy Lionela, czy mama nie przyznaje mi słuszności?
— Zapewne, że masz słuszność.
— Czy to wszystko co mama do powiedzenia mi ma? rzekła Vivian nagle zmartwiona.
— Mogła bym powiedzieć wiele rzeczy, ale na co by się to zdało. Myślę, że jestem za stara, żeby sądzić, uważać, przewidywać, co może być lepiej, jeżeli wogóle coś może być lepiej. Wiesz — może to

skutek wojny — ale mam wrażenie, że wszyscy ludzie w moim wieku powinni być wyrzuceni na śmietnik. Jakie prawo mamy my radzić coś młodemu pokoleniu? Żadnego. Lionel jest moim synem — kocham go, jak matka mojego pokroju może kochać jedynego syna, jedyne dziecko. Wojna mi go nie zabiła, ale mi go zabrała. O! tak. Zabrała mi go! — powtórzyła z niewysłowioną goryczą.

— Mamie się tylko zdaje — rzekła Vivian zdziwiona i prawie przestraszona.

— My starzy niepowinniśmy walczyć, żeby się utrzymać przy tem co niegdyś wydawało nam się naszem królestwem — ciągnęła dalej pani Beatrice — Jesteśmy jak zrzuceni z tronu monarchowie małych państewek. Nie będę próbowała nawet sądzić za Lionela, ani mu pomagać. Nie dlatego, żebym była twardego serca, ale ponieważ mój mózg mówi mi, że to by się na nic nie zdało. A mój mózg widzi strasznie jasno, Vivian. Muszę słuchać, co on mi mówi, a w ostatnich czasach miał mi dużo do powiedzenia. Ale, czy się nie spóźnisz na pociąg.

— Och! — zawołała Vivian — Zapomniałam!

Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że ma jeszcze dużo czasu. Mimo to wstała, czując, że może zawadzać, że nawet w jakiś dziwnie subtelny niepojęty dla niej sposób oddziaływa źle na panią Beatrice.

— Pójdź lepiej — rzekła.

Pani Beatrice wyplotła ręce i wstała także. Silne światło padało ostro na jej wychudłą, zniszczoną twarz.

— Moje niedołęstwo nie jest twoim udziałem — rzekła — Ty i twoi rówieśnicy należycie do powojennego pokolenia. Jesteś przeznaczona do budowania przyszłości. Ciężkie to bardzo zadanie.

— Jeśli tylko potrafisz dopomóc jednemu człowiekowi do zbudowania

szczęśliwej, zdrowej i szlachetnej przyszłości to ~~zrobię~~ uczynię wszystko, co uczynić mogę.

— Moje dziecko, jesteś niewątpliwie jedną z wybranych. Zarówno moje serce jak mój umysł mi to mówią. Wojna nie wyparzyła ani twojej duszy, ani twego ciała. Jesteś nieskazitelnie zdrowa. Bob Herries mówi to samo o tobie.

— Mojem życzeniem jest, żeby on nam ślub dawał.

Twarz pani Baratrie zmieniła się nagle. Znikł twardy, sarkastyczny wyraz rysów, opromieniło ją tkliwe, serdeczne ciepło. Zbyt bystre oczy zamgliły się łzami.

— Najchętniej to uczynię. Ale nie dam ci ślubu z Klaudjuszem Ormeley.

— Ja też nie pójdę za Klaudjusza ~~Omerley~~. Ormeley.

II.

W tym samym prawie czasie, kiedy Vivian była na Knightsbridge u pani Baratrie „Klaudjusz Ormeley" stał przy oknie maleńkiej kawiarni hotelu Borni w Tyford w hrabstwie Sussex i rozmawiał z jego właścicielką panią Grime. Parę razy przed wojną jako młodzieniaszek przyjeżdżał tu na bicyklu i zjadał lunch lub wypijał szklankę shandy-gaffa (mieszaniny cydru i porteru). Była to po prostu oberża wiejska i choć blisko Londynu i tuż przy stacji, sprawiała wrażenie bardzo cichego ustronia. Nikt tu nie wiedział kim był „Klaudjusz Ormeley" i zgoła nieprawdopodobnem było, żeby natknął się tu na kogoś ktoby znał Lionela Baratrie. ~~Lionel zapamiętał ją jako jedną z tych zajeżdżających tu~~. Przybywszy tu ze Szkocji zastał tę gospodę zupełnie pustą więc postanowił spędzić tu parę dni i rozmówić się ostatecznie z Vivian. List jej spadł na niego jak grom, ale go nie zdziwił. Zrozumiał, że ta epoka biernego płynięcia z prądem musi się skończyć! Kochał, do szaleństwa kochał, kobietę której cały temperament i cha

raktet byłyby przeciwieństwem półśrodków. Znał ją przecież. Więc tak dłużej trwać nie mogło.
Tymczasem stał przy oknie wychodzącem ~~na ogródek~~ i patrzył na kwitnące w nim róże i pachnące groszki. Z podwórza dolatywało krakanie kaczek. Het dalej, na łące za ogródkiem pasły się owce.
Powiedział pani Grime, że spodziewa się przyjazdu jednej pani, która zostanie na ~~krótko~~ lunchu. Co pani Grime może dać na ten lunch?
Z swojej strony ~~zaproponow~~ jest za wyborem tego, na co patrzył: zaproponował nieśmiało kaczki i zielony groszek, ale pani Grime odrzuciła tę propozycję stanowczo. Któż by jadł świeżo zabite kaczki, a o groszku nie może być mowy. Nima go tu wcale. Natomiast mogą być baranie kotlety, kartofle, pudding z ryżu i kompot z brzoskwiń.
Lionel oczywiście zgodził się na to, potem wyszedł na przechadzkę, przeminął łąkę, żółcącą się od kaczeńców i zagłębił się w pachnący kajały do niej laskk. Miał jeszcze przed sobą dwie godziny do pociągu, którym spodziewał się przyjazdu Vivian. Ani się spostrzegł gdy one minęły. Przechadzka go cisza leśna, wonna, rzeźwa, uspakajająca. Dziwną spokojność z nalejące w niej wiele najprzeczniejszych przypuszczeń i postanowień. Ledwo zdążył na stację, by dopaść do pociągu, i w wagonie drugiej klasy ujrzał twarz Vivian, czekającej oczytując „Klaudjusza Ormsley".
— Jakaż ty dobra, Vi, żeś przyjechała — rzekł, pomagając jej wysiąść. — Mam tyle do pomówienia z tobą. O tem wszystkiem sądzę, nie mógł bym pomówić spokojnie w Londynie. Londyn napełnia mnie jeszcze roztargnieniem i... trwogą. O której godzinie musisz wracać?
— Wszak to jest jakiś wczesny pociąg?
— Wszak pora. Wstałam około dziewiątej.
— Zobaczymy. Mamy jeszcze dosyć czasu.
Oboje rozmawiali swobodnie, czuli jednak że zakradł się pomiędzy nich jakiś przymus. Nastrój ten ustąpił trochę podczas lunchu, gdy spożywali

Śniadanie przyrządziła pani Grime, która obsługiwała ich sama, przypatrując się ciekawie tej pięknej pannie tak swobodnej, a jednak tak dystyngowanej i węsząc, czysto kobiecym instynktem jakąś romantyczną intrygę w tem wszystkiem. Po czarnej kawie, wypitej w ogródku na ławce pod dużym krzakiem kwitnących róż wyszli boczną furtką i minąwszy łąkę zagłębili się w lasek. Rosły tu dęby, orzechy i wysokie paprocie. Nagle Lionel przystanął:

— Vi! szepnął miękkim głosem.

Wiedziała o co mu chodzi i gdy jego gorące wargi spoczęły na jej ustach w długim pocałunku, uczuła jak wiotką jest słabą, jak bardzo utęskniona, bo oto wszystko w niej zapragnęło w tej chwili uledz pragnieniom ukochanego człowieka, a raczej temu co mu się zdawało, że pragnie, choć rozumiała jasno, że byłoby to poddaniem bezwiednym spragnionym wargom. Wysunęła się z jego objęć. Rozejrzała się dokoła. Stali na małej polance, na której leżało kilka pni, odartych z kory i gotowych już do porznięcia.

— ~~Siądź~~ Siądźmy tu — rzekła — Daj mi papierosa, Lionelu.

Mówiła żartobliwym tonem i uśmiechała się, patrząc na niego.

Podał jej zapalonego papierosa, sam drugiego zapalił i usiadł się na trawę u jej stóp.

— Jak to dobrze! szepnął z westchnieniem — Zdala od życia, we dwoje.

— Słyszysz jak owady brzęczą? rzekła Vivian łagodnie — Życie jest wszędzie. Nie możemy uciec od niego. Chcieć to uczynić byłoby strasznym błędem. Jesteśmy zrodzeni do życia, żeby w niem brać udział, a nie od niego stronić. Nic nam nie pozostaje innego tylko śmiało ten udział w niem wziąć.

— Masz na myśli Londyn? zapytał.

Odpowiedziała mu innem pytaniem:

— Jak długo byłbyś pozostał w Szkocji, gdyby nie mój list? Bo domyślam się, że to on przyspieszył twój powrót.

— Nie wiem.
— Byłbyś tam mógł zapomnieć o mnie.
— O, nie. Nigdy.
— Byliśmy rozłączeni, a jednak byłbyś potrafił zostać tam do nieskończoności.
— Ale. Bez ciebie, nie.
— Bez Więc cóż byłbyś robił?
— Mówiąc szczerze, nie wiem. Musiałem się wypoczywać i odkładałem z dnia na dzień konieczność — —
— Czego?
— Jakiegoś postanowienia. Ogarnął mnie nieprzeparty duchowy letarg. Przyczyniło się do tego zapewne fizyczne wyczerpanie. Albo ja wiem?
— Leonku, nie możemy tak biernie poddawać się prądowi. Ja przynajmniej nie potrafię. Czułabym się strasznie małą, bezużyteczną. Nie mam na myśli sportowca, który nie pracuje zarobkowo. Dla niego jest miejsce na świecie. Ale człowiek, który zgoła nic nie robi, do niczego nie dąży, zabija tylko czas jak się zdarzy, jest dla mnie poprostu wstrętny.
— Ja chyba nie podchodzę pod ten typ.
— Leonku, powiedz mi szczerze, czego chcesz?
Zamiast odpowiedzieć na to pytanie, rzekł patrząc na nią swoimi ciemnemi, niespokojnemi oczyma:
— Gdy byłem w szkole, błąkałem się, po kolana brodząc we wrzosach, widziałem często przed sobą palmy. A gdy patrzyłem na szare zamczysko Marciola na górze, ukazywał mi się biały domek z kopułkami.
Odwrócił od niej oczy i zapatrzył się w zieloną dal lasu.
— Kiedy tam byłem, wśród błota, rzekł po chwili — ogarniała mnie chęć rzucić to wszystko, skończyć z tem wszystkiem, i zacząć na nowo.
Chęć ta rosła we mnie, gdy nadszedł twój list — .
— Żałuję, żem go nie napisała wcześniej — rzekła — Powinnam go była napisać wcześniej.

Nie zaprzeczył ani nie przytaknął, tylko patrzył znowu w głąb lasu jak gdyby go tam coś widział, co go pociąga, daleko wśród drzew.

Zaraz spostrzegła to jego dziwne roztargnienie i zaniepokoiła się.

— Nic nie jest dobrze — rzekła z pewną stanowczością w swym szczerym, dziewczęcym głosie — że nie powinieneś był jechać do Szkocji pod przybranem nazwiskiem. Był to fałszywy krok z twojej strony. Czułam to zawsze, ale, najdroższy mój, nie chciałam ci tego powiedzieć. Wycierpiałeś tyle. Ale to był błąd, Lionelu. Nie widzisz tego teraz? Było w tem coś słabego, tchórzliwego. A skoro tylko coś podobnego uczynimy, usuwamy się zaraz w dół. Przyzwyczaiłeś się teraz do maskowania się — ściągnął brwi.

— Nie lubię tego słowa — rzekł.

— A ja nie lubię rzeczy, którą ono oznacza — rzekła stanowczo — Nienawidziłam adresować moje listy do Klaudjusza Ormeley i wrzucałam je sama do skrzynki pocztowej, żeby kto nie domyślił się prawdy. Ukłuło mnie aż w serce, gdy usłyszałam, jak ta dziewczynka nazywa cię panem Ormeley.

— To drobnostka — rzekł z jakimś tęsknym uporem — Przyzwyczaiłem się do tego w Szkocji.

— W tem właśnie leży niebezpieczeństwo — rzekła z goryczą.

Zerwał kilka źdźbeł trawy i wyprostował się.

— Większem niebezpieczeństwem dla mnie byłoby, gdybym był pojechał pod własnem nazwiskiem.

— Dlaczego?

— Bo siły moje były zupełnie na wyczerpaniu. Trzymałem się tylko do końca — nawet po końcu, gdyśmy byli ze sobą na Knightsbridge. Gdyby mnie byli skazali na śmierć, jestem pewny, że byłbym pozostał spokojny, opanowany. Ale tylko wytrzymałość ma swoje granice. Ja ją przesadziłem. Ale nikt nie powinien był tego widzieć.

Nic, nawet ty.
Umilkł na chwilę, i ponownie mówił dalej:
– Każdy człowiek ma swoją dumę. Duma podtrzymywała tysiące ludzi idących do okopów. Duma, nic innego.
– Tak. Rozumiem.
– Duma jest często tym ~~tworem~~ bodźcem, który podnosi odwagę w człowieku. Nie zapominaj o tem. Duma pomaga często człowiekowi ~~wydźwignąć~~ dostać się na sam szczyt, a gdy na nim stanie, ludzie nazywają go „szczęśliwcem". Ja takiego szczęścia ~~dosta~~ dosięgnąłem w sali sądowej. Ale gdy już było po wszystkiem wszystkiem musiałem zejść na dół i odpocząć. Gdybym nie był odpoczął nie byłbym tutaj w tej chwili. Możesz być tego pewną, Vi. A tego odpoczynku nie byłbym znalazł, gdybym nie zmienił nazwiska. Potępiaj mnie, jeśli zechcesz. Ale tak było.
– Jabym cię miała potępić! szepnęła.
– Zbyt wiele zwaliło się na mnie – mruknął, jakby do siebie i z pod zmarszczonych brwi rzucił na nią szczególne spojrzenie.
– Nim mnie zaaresztowano, nim się proces zaczął, pamiętaj, nim to wszystko się stało, przeszedłem przez piekło!
Vivian pomyślała o pani Sabine. Wydało jej się, że odgaduje coś z tego, co miał na myśli. Był może – była tego prawie pewną – ofiarą nielitościwej kobiety. Czyżby teraz miał się stać jej ofiarą?
– Czy myślisz ~~miała~~ masz na myśli wojnę? zapytała, jakby bezwiednie.
– Wojnę! wykrzyknął z odcieniem pogardy.
Uśmiechnął się.
– Nie; nie mam na myśli wojny – i po chwili milczenia, dodał:
– Wiesz, że wszystko co przeszedłem podczas wojny wydaje mi się teraz taką błahostką! Gdy słyszę ludzi mówiących o wojnie ogarnia mnie często pusty śmiech. Na wojnie, gdy ktoś cierpiał, cierpiał z tysiącami na tysiącach innych.

Vivian zrozumiała, jak nigdy dotąd, że Lionel odczuwa boleśnie swoje osamotnienie w cierpieniu. A przecież ona cierpiała wraz z nim. Cierpi teraz.
— Lionelu — rzekła nagle — bądźmy ze sobą zupełnie szczerzy. To jedyna droga do szczęścia. Musiałeś zastanawiać się nad wyjazdem będąc w Szkocji. Miałeś po temu dosyć czasu. Co zamierzasz uczynić, co zamierzasz przedsięwziąć?
— Nie, nie wiem.
— Wypowiedzieliśmy sobie przecież wszystko, wtedy u Mamy —
Przerwał jej.
— Widziałaś w tych czasach moją Matkę?
— Widziałam ją dzisiaj.
— Dzisiaj?
— Jadąc na kolej wstąpiłam do niej.
— Jakże wygląda?
— Nie bardzo dobrze.
— Biedne mateczysko! — wymówił — ale na to niema już teraz rady.
Zamyślił się.
— Mów dalej, Vi! rzekł naraz, jakgdyby się ocknąwszy.
— Ja już wypowiedziałam ci wszystko, wtedy wieczorem. Teraz kolej na ciebie.
Zerwał się, wsunął ręce w kieszenie marynarki i przeszedł się kilka kroków po polance. Naraz przystanął i spojrzał na nią, dziwnie rozszerzonemi oczyma.
— Słuchaj Vi. A gdybyśmy tak oboje zerwali z prawowiernem życiem!
— Jak to rozumiesz?
— Prawowiernem życiem dla nas byłoby teraz powrócić do mego kawalerskiego mieszkania na Queen Anne's Mansions i do moich dawnych zajęć w City, chodzić do klubów. A potem byłby nasz ślub w jakimś londyńskim kościele, tłumy gapiów, cisnących się by zobaczyć kaznodzieję i tę, która ma dostateczną odwagę, by zostać jego

żoną. A potem pojechalibyśmy w podróż poślubną i gdziekolwiek byśmy się zwrócili towarzyszyłaby nam zawsze czepiająca się ciekawość ludzka i zatruwała by nam nasz biedny miodowy miesiąc. A potem wrócilibyśmy do Londynu i zaraz urządzilibyśmy się albo w wynajętem mieszkaniu, albo we własnym domu. Jabym ~~wrócił~~ zajmował się interesami, pracował bym w firmie, ty odwiedzałabyś twoich rodziców, wspólnych przyjaciół, zajmowałabyś się gospodarstwem, brałabyś udział w tennisowych turniejach--

Umilkł, twarz mu się zasępiła, jakgdyby te ostatnie słowa nasunęły mu jakąś przykrą, drażniącą myśl. Potem rzekł, rzuciwszy głowę w górę.

– To by było prawowierne życie.

– Bardzo ładne – rzekła spokojnie – Nazwijmy to tak, choć zdaje mi się że opuściłeś z niego wiele. Moglibyśmy żyć takiem życiem. A... a inne życie?

– Moglibyśmy zerwać z tamtem zupełnie. Ja mógłbym wycofać się z interesów, tracąc przez to dużo materjalnie i stać się człowiekiem bardzo umiarkowanych środków. Moglibyśmy wziąć cichy, cywilny ślub, bez żadnych ceremonji, żadnej parady, a potem moglibyśmy przepłynąć Rubikon, Vivian i dalej – w świat!

Oczy mu błysnęły. Zdawać się mogło, że sam ten wyraz działa na niego upajająco.

– Jakiż by to był świat? zapytała.

– Byłby to świat, w którym żylibyśmy dla samych siebie, a nigdy dla tego, co ludzie o nas powiedzą. I nie było by to w Anglji. Nie! Kocham Anglję! Biłem się za nią. Ale tak jak rzeczy stoją, nie moglibyśmy żyć tem naszem, nowem życiem w Anglji. Musielibyśmy przeciąć sznury wiążące naszą łódź do angielskiego życia brzegu i jak mówiłem, dalej w świat!

Uczynił taki ruch, jak gdyby chciał wyciągnąć ramiona w przestrzeń

ale się powściągnął.

– Mielibyśmy swobodę wyboru. Nic by nas nie zmuszało, tu czy tam. Moglibyśmy powiedzieć sobie: „Tu będziemy żyć." Albo moglibyśmy podróżować. Nie ~~mogli~~ mielibyśmy na zbytki, bo jak ci powiedziałem nie będę wcale bogatym. Ale ~~mogliby~~ starczyłoby nam na skromne, swobodne życie, choćby naprzykład w takim domku, o jakim ci wspominałem.

– Wiem! rzekła, uświadamiając sobie, że ten domek nad morzem, musiał wciąż oblegać jego myśli:

– Spokój, piękno, słońce, wspaniały klimat, wycieczki. I nie wiódłbym wcale próżniaczego życia. Nienawidzisz próżniaków. I ja również. Znalazłbym więc sobie jakieś zajęcie. Mężczyzna zawsze znajdzie sobie odpowiednie zajęcie, odpowiednią pracę, ~~na~~ wyjść silniejszego określenia. Ale żylibyśmy dla siebie, co się prawie że nie zdarza ludziom w ~~tak zw.~~ we wszechmocnie ucywilizowanem życiu. I mielibyśmy czas na miłość. A któż ma na nią czas w miastach. My mielibyśmy czas.

Umilkł, jakgdyby czekając, żeby ona coś powiedziała. W tej ciszy usłyszeli gruchanie dzikich gołębi, monotonne, rozmarzone. Głosy ich zdawały się przyznawać słuszność Lionelowi. Ich łagodny, rozkoszny egoizm miał w sobie coś przekonującego. One, niewątpliwie mały czas na miłość. w tej leśnej ustroni. I na swój sposób musiały być szczęśliwe. Ponieważ Vivian milczała, Lionel zaczął znowu mówić.

– Odbyłem raz wycieczkę do Afryki z Johnem Campbellem, wiesz, tym moim przyjacielem, który zginął na wojnie.

– Wiem.

– Wtedy to zobaczyłem ten domek, o którym ci mówiłem. Ale przedtem, zanim jeszcze zawitaliśmy do Sidi-Barka, powędrowaliśmy dalej na południe. Było to w końcu Maja, kiedy już niema turystów, bo ich gorąco odstrasza. Polowaliśmy na barbaryjskie owce i gazelle. Po-

wnego dnia czułem się wyjątkowo zmęczonym. Zmieniliśmy obozowisko i Campbell chciał odbyć dalszą wycieczkę w góry, otaczające przestrzeń nagiotną płaszczyzną gazeli. Nie byłem usposobiony do włóczenia się po górach, więc Campbell pojechał sam z naszemi dwoma strzelcami. Zostałem sam w obozie i podczas gdy nasi Arabowie krzątali się koło swoich wyjściowych namiotów, błąkałem się pośród skał, wśród których szemrał strumień i rosły dzikie oleandry, kartaczate palmy, mirty i inne krzaki. Poraz pierwszy uczułem powiew szczere swobodnego życia, życia bez planu, bez wszelkich zapędów formułek, życia zdrowego, wesołego, zdala od cywilizowanego Babilonu. Napełniło mnie to głęboką, pierwotną radością. I po raz pierwszy przekonałem się, jak bardzo pierwotną jest moja natura. Stanąłem, rozciągałem w płuca wspaniałe powietrze i krzyczałem na głos: „Precz z cywilizacją! Precz z cywilizacją!” Wieczorem, gdy Campbell nie wrócił jeszcze, wdałem się w gawędę z jednym z naszych Arabów, Mahmudem. Zapytałem go, czy obozował tu kiedy, on zaś opowiedział mi, że poprzedniego lata spędził tu parę miesięcy. Była to romantyczna historja. Jakiś bogaty Anglik za pośrednictwem swojego faktora, zgodził całą gromadę Arabów, a pomiędzy niemi Mahmuda, by wraz z nim polowali tutaj na gazele. „I przyjechał, avec une dame.” Przybyły wraz z niemi wspaniałe namioty, wszelkie możliwe zapasy obozowe i zamieszkali tu, wśród dzikich oleandrów i kartaczatych palm. O świcie i wieczorami chodzili na polowanie. Według Mahmuda „la dame” była piękna, odważna, zawsze wesoła, zawsze w dobrym humorze. Widocznie wystarczali sobie wzajemnie. „Toujours gais. Toujours contents” powiada Mahmud. A gdy nareszcie przyszedł czas do odjazdu, gdy zwinięto namioty i karawana wolno ruszyła zstępować z górskiej strony, tych dwoje zostali jeszcze chwilę właśnie sami, aby się pożeg-

gnać ostatecznie z owem „endroit des bonheur" jak nazwali tę miejscowość. „La dame pleurait; Monsieur, il avait les larmes dans les yeux" opowiadał Mahmud. Od tego czasu często myślałem o owem ~~[illegible]~~ „endroit du bonheur" w Afrykańskiej puszczy. I wyobrażałem sobie że przybędę tu kiedy „avec une dame", idealną kobietą, której jeszcze nie znałem. ~~[illegible]~~ Gdym cię spotkał i gdym zrozumiał, że to by jedyna „la dame" mojego życia, jedna jedyna — na zawsze, marzyłem, by tam się znaleźć kiedy z tobą. Ale dopiero ~~[illegible]~~ wtedy, gdy moje życie stało się wojną tragedją pojąłem w pełni, czem także „endroit du bonheur" mogłoby być dla mnie.

Umilkł. Gruchanie gołębi dochodziły wciąż monotonną zwrotką z głębi lasu. A słowa Lionela, a bardziej jeszcze wyraz jego twarzy i sposób mówienia unosiły Vivian, gdzieś daleko o tego, co ją otaczało. Zapomniała ~~o Anglji~~, o Sussex, o lesie, zapomniała nawet o Anglji. Dotychczas bardzo mało bywała na stałym lądzie. Rok pobytu w Paryżu nauczył ją dobrej francuszczyzny. Wojnę przeżyła w Anglji i przeżyła ją przykładnie stosownie do woli ojca. A po wojnie była raz na Rivierze, grając w tennisa w Cannes i paru innych miejscowościach. Poza Francją i Szwajcarją nie wyjeżdżała nigdy. I aż do tej pory nie miała wielkiej ochoty podróżowania. Życie wydawało jej się ~~zupełnie~~ całkowicie wypełnionem i pięknem w jej drogiej ojczyźnie.

I naraz Lionel otworzył przed nią jakieś drzwi. Wyjrzała przez nie i ujrzała sposób życia, otoczenie, rozkosze może, o ~~[illegible]~~ jakich nie miała ~~dotąd~~ pojęcia. Romantyczność była dla niej dotychczas bardzo osobistą rzeczą. Teraz zaczęła ją rozpalać z naturą, z dalekiemi widnokręgami, z pierwotnem pięknem. Coś się w niej zbudziło, coś nią wstrząsnęło. A jednocześnie odczuła instynktownie, że była blisko jakiegoś niebezpieczeństwa. Ale trwało to krótką chwilę.

—Czy nie moglibyśmy znaleźć naszego „endroit du bonheur", Vi? rzekł wreszcie Lionel, widząc, że ona milczy. — Życie bywa często krótkie. Za każdym razie nie wiemy nigdy czy nie będzie krótkie. Najczęściej bywa pełnem trosk i kłopotów wszelkiego rodzaju. Więc czemu nie mielibyśmy poszukać naszego szczęścia iść na jego spotkanie, zamiast czekać, żeby samo do nas przyszło. Ty i ja moglibyśmy być ogromnie szczęśliwi, wierzę w to. Ale musielibyśmy być odważni.

— Odważni?

— Tak; dość odważni, by uczynić to, co większość ludzi nazwałaby dziwactwem może nawet czemś złem; dość odważni, by stworzyć sobie życie na własną modłę, a nie dozwolić, by nam je ułożyła ludzka opinja, jak to się najczęściej zdarza.

— To znaczy, że chcesz zerwać tu z wszystkiem, porzucić Anglję i rozpocząć nowe życie — może w Afryce?

Mówiła spokojnie, prawie z rozwagą, ale czuła że była podniecona i że się trzyma na wodzy, jak jej się to zdarzało czasem w wielkim tenisowym meczu. Ale to go nie zwiodło. Wiedział, że ją podniecił i że nie chce mu tego okazać, nie chce, żeby to wiedział.

— Tak! — rzekł otwarcie.

— Pomimo wszystkiego, com ci powiedziała — pamiętasz, wtedy na tem Knightsbridge?

— Tak.

— Rozważyłeś to wszystko i doszedłeś do przekonania, że nie możesz się zgodzić z tem co powiedziałam?

— Ależ powiedziałaś sama: „Czy nie możemy żyć dla siebie i w sobie samych?"

— Tak. Ale nie myślałam tylko o życiu cielesnem. Jest coś więcej poza nami i jest to coś niezależny od miejsca. Ale, przedewszystkiem, musiałbyś zrzec się własnego nazwiska! Chciałbyś w dalszym ciągu pozostać Klaudjanem Ormeley!

– Czy sądzisz, że bylibyśmy szczęśliwsi, swobodniejsi, gdybym tego nie uczynił.
Kirian milczała ~~chwilę~~ długą chwilę, stawiając jakieś [illegible] na [illegible], wreszcie rzekła:
– Leonku, wierzysz, że cię kocham?
– Jakże bym mógł nie wierzyć. Dowiodłaś tego dostatecznie. Ale i bez dowodów wiedziałem o tem.
– Czy pomyślałeś kiedy o tem, czem by to było dla mnie, wyrzec się rodziny, przyjaciół, wszystkiego, co mnie z krajem wiąże? Bo musiałabym wyrzec się tego wszystkiego, gdybyś twoje plany doprowadził do skutku.
Uczuł, że ogarnia go nagły, wewnętrzny chłód.
– Zapewne – rzekł – oboje musielibyśmy się wyrzec niejednego. Szczęścia nie można osiągnąć bez pewnych ofiar.
– To byłoby już ostatecznem zerwaniem.
– Ty... ty mogłabyś przyjeżdżać czasem do kraju – rzekł wahając się.
– Pod jakiem nazwiskiem?
– Nie pomyślałem o tem. Trzeba być prawnikiem, żeby móc wszystko obmyśleć odrazu.
– Zapewne. Jednakże, gdy chodzi o życie, o życie dwojga osób potrzeba się trochę nad tem zastanowić.
– Masz słuszność.
– Kocham mocno rodziców i Stacha. Nie chciałabym im sprawiać zbyt wielkiego bólu.
– Nie wymagałbym też tego od ciebie.
– Leonku, muszę ci coś powiedzieć! Przyrzekłam coś mojej matce i obecnie muszę tej obietnicy dotrzymać.
Spojrzał na nią z nagłym niepokojem, z trwogą niemal.
– Obietnicy? Jakiej obietnicy?
– Obiecałam, że weźmiemy ślub kościelny. Nie masz pojęcia jak bardzo mojej matce na tem zależy. Czy jesteś temu przeciwny?

E. Phillips Oppenheim.

Przypadkowe Powołanie.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

~~Wielmożny~~ Pan Algernon Knox wyszedł z domu swojego stryja na Grosvenor Square i udał się na Piccadilly, gdzie wszedł do swego klubu w bardzo niedobrem usposobieniu.
Wszedł jednak, że zdążył przyjaciel, by siadł z nim przy stoliku, który sobie wybrał i usiąść ~~to~~ [illegible] porywczym.
— No, Algy — zawołał przyjaciel, siadając — Co ci się stało? Spostrzegam chmurę na twojem serafickiem obliczu.
Wielmożny Algernon potarł [illegible] z [illegible].
— Wszystko jest jak najgorzej — odpowiedział [illegible] — Przypatrz mi się.
Przyjaciel zastosował się ściśle do żądania. Wyraz łagodnego współczucia oblókł jego rysy.
— Czynię to — rzekł — Powiedz mi, kiedy będę mógł przestać. Czego się chcesz dowiedzieć?
— Czy ja wyglądam, czy nie wyglądam na głupca? — zapytał ~~[illegible]~~ Algernon ponuro.
Przyjaciel westchnął.
— Nie zapędzając się zbyt daleko w stanowcze określenia — rzekł — gotów jestem przysiąc, że nie jesteś takim głupcem, na jakiego wyglądasz.
Algernon Knox wstał nagle z krzesła, i podszedł do ~~[illegible]~~ zwierciadła umieszczonego w drugim rogu pokoju, i stał przed niem chwilę, jak gdyby celem jego było poprawienie węzła krawata.
Był to młodzieniec ~~[illegible]~~ pospolitej powierzchowności. Wysoki, bladawy o wąskich, błękitnych oczach, [illegible] [illegible], [illegible] [illegible], z czołem, lekko ku tyłowi cofniętem, które to [illegible] uwydatniały starannie odczesane w tył włosy. Rysy miał ładne, ale mało wyraziste. Nie [illegible], co ani jakiejś wyższej inteligencji. Milcząc powrócił na swoje miejsce.
— Sammy — odpowiedział — już mi się to wszystko przyjadło.

Przyjaciel, który był głodny i miał usta pełne, skinął głową ze współczuciem.
— Wszystkim nam się to zdarza — zauważył, kiedy okoliczności na to pozwoliły.
— Każdy z moich dyplomatycznych kolegów — ciągnął dalej Algernon Knox — ma coś do zarzucenia. Po prostu zaczęło się nadciągać. Zaczynam przypuszczać, że to jest wina mojej niezręcznej powierzchowności. Wiem, że próbowałem dostać się do Parlamentu. Gra tam. Przegrałem ci klapę, od pewnego obwodu itd. Klapa na całej linii.
— Coś czytałem o tem w dzienniku — wyrwał Tommy Forde — krótko czytając dzienniki, ale jakoś natrafiłem na to.
— Naturalnie — przerwał Algernon Knox z podkowaniem — nie starczyło mi, abym przemawiał do gromady mieszczuchów i handlarzy. Nie ~~dała mi~~ oddawało mi sprawy do blamowania ani racji, których sam nie rozumiem ani żaden inny na świecie. Oczywiście wkopałem się. Ale co mnie wygryzło, to, że dzienniki pewnego stronnictwa, zamiast czepiać się mojej polityki ~~wziąć mnie do~~ drwiły sobie ze mnie. Opisywały mój ubiór, dowodząc, że przemawiałem do tego bydła ze wszelkimi możliwymi obrazami oprócz pyjamy i fraka. Oświadczyły moje nazwy, choć nie było ani jednego słowa przed tego, czego by mój agent nie był napisał. Gdy wróciłem ze Staffordshire, gdzie się nieco obszedłem o mandat, nasz urzędowy stryjaszek czepił się mnie. Właśnie od niego wracam. „To wielki ciężar — powiedział z pompą — głupcy w rodzinie obierali karierę dyplomatyczną. Dziś nie możemy ich wtrącić nawet do Parlamentu."
— O! to było bardzo brzydko z jego strony — zauważył przyjaciel, wstrząsając głową — Żadnej nie masz z tego twego stryjaszka.
— Postanowiłem — oświadczył Algernon Knox stanowczo — odwrócić się do mojej rodziny — przynajmniej w tej chwili — zupełnie. Do żadnego z nich po radę się nie zwrócę. Nie wejdę do Parlamentu, nie chwycę się również służby dyplomatycznej, a jeśli jestem głupcem, to przynajmniej nie do takiego stopnia, abym się porozkoszował kiedy szalbierzy na Towarowej Giełdzie. Nie będę przedawał ani wina ani papierosów, i nie przyjmę obowiązku nauczyciela—dżentelmena.
Tommy Forde skinął głową z uznaniem.
— Masz zupełną słuszność, Algy. Trzymaj się ostro — rzekł — Ale jakie tam są rzeczy mają z twojemi dodatkami osobistemi. Wszak dopóki nie skończysz dwudziestu pięciu lat, są one w rękach twego stryja."

140

— Otóż to — przytaknął Algernon Knox — Niestety nie tylko; ten stary osioł oświadczył mi dziś rano, że zamierza zmniejszyć mi wypłatę o połowę.
— Więc co zrobisz? — zapytał Sammy Forde.
— Gdybyśmy się spotkali dziś wieczorem — odparł Algernon Knox — to może ci powiem. Chcę przejechać trochę za miasto i zastanowić się nad tem.
Sammy Forde grzecznie zagwizdał cicho.
— Umówimy się na kolację w restauracji Medyolańskiej — co?
— Nie — odparł po chwili namysłu Algernon Knox — Jaś mi to też. Każdą rzecz wszystko stanęło. Wolałbym w Savoyu.
Przyjaciel popatrzył się w niego z zdumieniem.
— Cóż to takiego, Algy — zauważył — Jakbyś zamyślał na serjo o jakimś nowym trybie życia. Co?
— Zobaczysz — Doskonała zmiana charakteru!
W pół godziny potem w maleńkim, jednoosobowym samochodzie, mającym kształt popielatej torpedy Algernon Knox pędził za miasto. Maszyna zdawała się połykać przestrzeń, a on z ręką na kole sterowem siedział i myślał.
— Niech to djabli porwą — mówił raz po raz — oświadczenie do żadnego innego dotąd zajęcia dłużej się nie mogę, dlatego, że mam stryja, który jest kanclerzem i ministrem Gabinetu i ojca, który przewodniczy Izbie Lordów. A ja nie cierpię polityki.
Dalsze rozmyślania przerwał mu wypadek, którego sam nie był winien, ~~wraca do Lon~~ W powrotnej drodze kiedy był jakie o jakieś trzydzieści mil od Londynu i zmrok już zaczynał się Sac, wpadł raptem na samochód wyjeżdżający z bocznego gościńca ze złej strony.
Gdy odzyskał przytomność, obaczył, że znajduje się w ślicznie urządzonym saloniku i że jakaś młoda kobieta o cudownie niezwykłej powierzchowności pochyla się nad nim.
— Lepiej panu? — zapytała z niepokojem, mówiąc bardzo wolno z wyraźnie cudzoziemskim akcentem.
Algernon Knox usiadł i rozejrzał się dokoła jak oszołomiony.
— Wpadł pan na mój samochód — ciągnęła dalej młoda kobieta — Mój szofer przysięga, że jechał właściwą stroną. Niech się pan o to nie trapi. Poleży pan tu czas jakiś spokojnie. Gdyby pan chciał zawiadomić kogoś z swoich bliskich jest telefon.

Algernon Knox skrzywił się zupełnie z niechęcią na jakiś czas.
— Pani jest bardzo dobra — rzekł. — Ale, doprawdy, mnie nic nie jest.
— Trzeba się tak zdawać — przytaknęła. — Tobie... jak pan myśli, czy będzie
pan mógł odjechać za jakieś pół godziny. Pański samochód jest nieuszkodzony.
Zastanowiło go nie tylko jej zdanie, ale wyraźny niepokój malujący się
na jej twarzy. Spojrzał na nią uważniej.
Była nadzwyczaj blada z oczami, które w pierwszej chwili wydały mu się czar-
nemi; teraz jednak zobaczył, że były błękitne. Włosy miała nadzwyczajnej złoto-
brązowe, jedwabiste. Włosy jej były ułożone w jakiś niezwykły sposób. Ubrana
była w ~~modnej~~ skromną, gładką, ciemną suknię, amazonkę przypominającą.
Na pierwszy rzut oka wydała się Algernonowi chudą. Teraz, gdy pochyliła się
nad nim, lekko ~~[illegible]~~ ujrzał, że ~~[illegible]~~ wygląd doskonale ~~[illegible]~~ była jej
kobiecą. Ale twarz jej zastanawiała go. Odgadnął wreszcie, że ją gnębi już zi-
dził.
— Ogromnie mi przykro, że pani sprawiam tyle ambarasu — wybełkotał. — Jestem
pewny, że za pół godziny będę już w stanie opuścić dom pani.
Zmieszała się trochę.
— To nie dla tego, abym się pana chciała pozbyć — szepnęła miękko. — Chodzi mi
tylko o pana. Wkrótce oczekuję gości. Będzie dużo ~~osób~~; naokoło wrzawy.
A panu potrzeba spokoju.
— Zrobię, pani tylko słowo, a odjadę — rzekł Algernon. — Ale dziwna rzecz,
jak mi szumi w głowie. Czy mógłbym się napić koniaku z wodą sodową?
Wskazała na stół w pobliżu.
— Widzi pan, że naszykowano przynieść tu mnóstwo rzeczy. Przygotuję panu
co potrzeba.
Patrzył na nią, gdy się krzątała przy stole. Palce jej były smukłe, i białe
ale ~~z wyjątkiem~~ jak dla jego gustu, przemanikiurowane i przeciążone
pierścionkami. Gdy mu podawała szklankę, doszedł nagle do przekonania, że
jest słaba. Ręce jej może nieco za często były niespokojne i krzątliwe.
W każdym razie było w niej coś niepospolitego. Była albo bardzo okrutną,
albo —
Spostrzegła, że patrzył na nią i uśmiechnęła się. Pomyślał sobie, że wcale
nie była okrutną i przestał.
— Chciałby pan zatelefonować? — spytała wskazując na aparat

Wstrząsnął głową.
— Nie ma nikogo, coby się o mnie zaniepokoił — rzekł pospiesznie — Mój dzisiejszy przygo[illegible] mi mecz na wodzie, a jeśli nie zjawię się do dziesiątej, pójdzie sobie. Nikogo więcej nie mam.
— Pan mieszka sam? — zapytała.
— Sam — odpowiedział — Mam kawalerskie mieszkanie przy Baker Street. Dawniej mieszkałem u mego stryja na Grosvenor Square, ale w ostatnich czasach poróżniliśmy się trochę. Czy mogę zapytać o pani nazwisko?
Zawahała się.
— Niech mi pan pierw powie swoje — rzekła.
— Knox — Algernon Knox. Ale, ale — dodał nagle — Jak pani sądzi, czy ja wyglądam na głupca?
Zmieszało ją to trochę. Potem parsknęła śmiechem. Gdy się śmiała, była rozbrajająca.
— Czemu mi pan zadaje takie niemądre pytanie?
— Widzi pani, to jest tak — powiedział siadając. — Mój stryj ma kilku mądrych synów i jest z nich okropnie dumny: jeden prawnik, drugi w wojsku, trzeci [illegible] dostał się do Parlamentu. Wszystkim się doskonale powodzi. Ja sam próbowałem dostać się do Parlamentu, ale mi się nie udało. Powiedzieli mi, że nie umiem przemawiać. Chciałem wstąpić do służby dyplomatycznej: to samo i że mi brak inteligencji. [illegible] stoi mi na przeszkodzie. Ta sama historya. Powiedzieli, że moja [illegible] Dość mówić o tem, ile się mi nie udaje; zdaje mi się, że do niczego na tym świecie [illegible] zamyślonej twarzy i przenikliwych oczu.
Zaśmiała się zupełnie serdecznie.
— Gdybyś pan miał tylko bystry umysł — zauważyła — mógłbyś pan z powodzeniem zrobić karyerę jako dyplomata. Te piękne, błękitne oczy pana i ten lekko pytający wyraz — —
— Więc pani uważa, że wyglądam na głupca? — przerwał.
— Mówiąc szczerze — odpowiedziała — nie wyglądasz pan, jakgdybyś był przesadnie inteligentnym. Wygląda pan na takiego, który dobrze jeździ konno, dobrze strzela i umizga się do aktorek jak wielu innych młodych angielskich dżentelmenów.
— Ale —
— Dziękuję pani, to mi wystarczy — przerwał trochę szorstko. — Ale, ale. Powiedziałem pani moje nazwisko. A jakie jest pani?
Cofnęła się trochę. Podniosła nagle ręce nad głową i stała tak, wdzięcznie przegięta z wzniesionemi rękami. Ta poza wydała mu się znajomą: ona zaś spoglądała —

na niego wyczekująco.
— Vera Kusnecjewa! — wykrzyknął nagle.
— Księżna Vera Kusnecjew — poprawiła go
Skłonił się z galanterią.
— Pani — rzekł — nie zobaczyłem pani już zdaleka przez długi czas. Składam pani moje hołdy. Każdy bywalec operowy w Londynie ~~[illegible]~~ jest pani niewolnikiem.
Uśmiechnęła się
— Jak na nieznajomego młodzieńca — zauważyła — wyraża się pan wcale dobrze. Lecz
Palce jej ścisnęły ramię Algernona. Po za oknami dał się słyszeć turkot samochodu. Coś bardzo podobnego do trwogi przeleciało jasnem ostrzem wzdłuż jej twarzy.
— To jest mój mąż, baron Ernstaro! — wykrzyknęła — Przywiózł z sobą gości.
— Chce pani, żebym się oddalił? zapytał Algernon, już podnosząc się z posłania tradycyjnie.
— Zrobiłby pan to? rzekła prosząco — Mój mąż jest bardzo przeciwny mojej teatralnej karjerze. Odwróciła mnie nadzwyczajnej naiwko. Byłby wielce niezadowolonym, gdyby go tu widziano.
— Powie mi pani wyraźnie co mam uczynić, a ja zdaję pani spełnię — upewnił ją Algernon.
W tej samej chwili rozległo się głośno do drzwi wchodowych. Palce Very jeszcze silniej ścisnęły ramię Algernona. Pomięszanie jej było widoczne.
— Proszę pan tutaj — rzekła — poczekaj, aż usłyszy pan wszystkich w jadalni. Wtedy opuść pan dom frontowemi drzwiami. Znajdzie pan mój samochód na najbliższym skwerze. Żegnam pana.
— Nie wolno mi zatem pozostać tu więcej? zapytał z pewnym żalem.
Wstrząsnęła głową.
— Nie przyjmuję gości, łaskawy panie.
Rzuciła mu pożegnalne spojrzenie od drzwi; potem wyszła do hallu. Młodzieniec oparł się na chwilę o jakiś sprzęt. Nagle owładnął go ciężar w głowie.
Usłyszał jakiś basowy głos witający Verę w nieznanym mu języku; potem kilka słów odnoszących się widocznie do jakiegoś pana Smitha, który także był obecnym.
Zresztą nie podsłuchiwał. Po prostu stojąc tak i czekając na sposobność do odzyskania chwili swobody, jednak zwracał uwagę na dochodzące go z hallu głosy.
Nagle drgnął, zdjęty niewysłowionem zdumieniem.
Pan Smith przemówił, a głos jego był głosem rodzonego Tamworth - przeto

szego ministra, który wśród innych społecznych i religijnych zaszczytów posiadał również przywilej bycia Stryjem i opiekunem Wielmożnego Algernona Knoxa!
Ten na chwilę osłupiał. Nie rozumiał prawie sensu słów, które słyszał.
Wtem o parę kroków od niego zaczął dzwonić telefon.
Algernon machinalnie wziął słuchawkę. Ale zaledwie przyłożył ją do ucha — drzwi otworzyły się szybko i weszła Vera Kustenejew. Jednym skokiem dopadła Algernona i wyrwała mu słuchawkę.
— Co to znaczy? zawołała z nieopanowanym oburzeniem — Jak pan śmiesz?
Knox przyłożył obie ręce do czoła. Czuł jeszcze wciąż zamęt w głowie.
— Najmocniej panią przepraszam — rzekł ze skruchą — jeżelim zawinił. Ten przeklęty aparat dzwonił i miałem właśnie odpowiedzieć, jakbyśmy byli sobie... że pójdę po panią, czy coś w tym rodzaju.
Popatrzyła na niego badawczo i widocznie ją zadowolił. Uśmiechnęła się. Wyglądał taki niewinny jak przestraszony chłopczyk.
— Zamknij pan drzwi — rozkazała — Idiotka ze mnie.
Knox usłuchał z pośpiechem. Mimowoli musiał wysłuchać rozmowy. Po pierwszych słowach zaczęła mówić po francusku, a choć zakres wiadomości Algernona był dość ograniczony, francuski język należał do dziedziny warunków jego egzystencyi:
„Ach!.. tak.... Zatem w Dover.. Tak. Rozumiem... Nie, nie przyjeżdżaj, to niemożliwe.... Dzisiaj?... Ależ mój drogi, jakże bym ja mogła!...
Milczała przez chwilę. Brwi jej ściągały się ze skupienia. Zdawało się słuchać słów, które ją w szczególny sposób niepokoiły.
„Ależ mój drogi — mówiła to nie łatwe: Kogo bym mogła o to prosić!
Nawet zaufanym, gdy chodzi o taką przysługę.. Nie mam nikogo —
urwała w połowie zdania. Oczy jej utkwiły w młodzieńcu, który napróżno starał się udawać obojętnego. Wpatrywała się w niego i nagle jej źrenice zwężyły się; oczy zabłysły. W porównaniu z temi wszystkiemi, o których myślała w tej chwili wyglądał na takie niewiniątko... Ależ, istotnie nieba go jej zesłały.
— Przypuśćmy, że mi się uda — ciągnęła dalej — przypuśćmy, że to będzie możliwe, jakże się dostanę do Paryża?... Tak?.. Ach!..
Skinęła kilkakrotnie głową. I znowu popatrzyła na Knoxa, jakgdyby oceniała zmiany w wyrazie jego twarzy.

— Bardzo dobrze — rzekła wreszcie — Zrobię co tylko będę mogła... Tak, rozumiem. — Bardzo dobrze, jeśli się tylko da zrobić, będzie zrobione.
Położyła słuchawkę. Potem zwróciła się do Knoxa.
— Rozumie pan po francusku? — zapytała.
Westchnął.
— Bardzo słabo. W szkołach nie przykładałem się nigdy do języków, a potem, stają się nam niepotrzebne. Ze starymi ludźmi mówi się zawsze po angielsku.
Zasępiła się lekko. Potem stała przez chwilę, nadsłuchując. Podeszła do drzwi i wyjrzała za nie. Z drugiej strony hallu dochodziły dźwięki fortepianu.
— Poddam idź do salonu — rzekła — Panie Knox, chcę panu przypomnieć o pewnej wielkiej przysłudze. Czy mogę?
Spojrzała na niego dziwnie. Knox zauważył, że obejście się jej z nim uległo zmianie. Patrzyła się nieco na niego z uśmiechem. Teraz miał przed sobą przedziwną i złotą Verę Hastencio, podobną tancerkę wielkiego baletu.
Knox szybko przystosował się do nowego diapasonu.
— Boga pani — wymówił — może takiej nory — stwierdzając — mienia takiej nory w sercu. Którą bym nie zrobił dla pani. Jestem pani wdzięczny od chwili, gdy panią po raz pierwszy ujrzałem.
— Tak, tak — przerwała — Ale posłuchaj pan. Czy jesteś pan tylko jednym z tych młodych przystojnych, którzy uwielbiają kobietę dlatego, że jest udekorowana, dlatego, że jest piękna, dlatego, że w swoim rodzaju jest znakomitością? Lub, czy masz więcej charakteru? Czy byłbyś zdolny zrobić coś, co nie było by ani łatwe, ani przyjemne, dla mnie samej?
— Niech mnie pani wystawi na próbę — rzekł z powagą w głosie.
Znowu obejrzała drzwi i nadsłuchiwała przez chwilę. Muzykę wciąż było ~~tt~~ słychać.
— Mam przyjaciela w Dover — ciągnęła dalej szybko — przyjaciela, który z politycznych ~~tt~~ przyczyn musi się ukrywać. Chcę mu posłać pewną paczkę... Chcę żeby ją dostał jeszcze tej nocy. Potrzebuję posłańca.
— Jestem do rozporządzenia pani.
— Ale czy ma pan dość siły? Potrzebuję kogoś, kto by pojechał zupełnie sam.
— Jeśli mój samochód jest w porządku — odpowiedział — pojadę.
Wyciągnęła do niego obie ręce.

się ze słabości jego serca. Doszedł wreszcie do przekonania, że musi wrócić tam z powrotem. Ale nigdy na dawnych warunkach. Wiemy już za to, czem była w rzeczywistości: zwyczajną fille de joie i wiedział, że po tam powróci chętnie. Bez czegoś, bez kogoś, bez jakiejś kobiety nie wytrzymałby w tym przeklętym kraju.

A co się tyczy Godfryda, tego przyjaciela, który go zdradził?... Ale, nie mógł patrzeć na niego z tego tragicznego stanowiska. Gniewał się na niego, ale się nie obawiał. Gniewał się, że był takim niezdarą, takim słabym, że tak łatwo dał się wciągnąć za namową intrygi Lady Cynthii, a dlatego, że był ~~tak~~ dobrodusznym, tępym i prostolinijnym. Gdyby Godfryd był zepsutym uwodzicielem, rozważnym don Juanem, byłby go usprawiedliwił i ~~nawet~~ byłby mu bardziej współczuł. Byłby chętnie wdał się z nim w rozmowę o psychologji tam. Ale co takiego niedołęga jak Godfryd mógł się porwać na takim wdzięku, nowości i instynktów zwyczajnie przeciętnym, a po części ortodoksyjnym, pochodzącym z nienormalnego skrzyżowania Wschodu z Zachodem i skazanym od poczęcia na wykolejone życie pomiędzy światłem a ciemnością? Reggie, rozczarował się do dawnego przyjaciela i nie życzył sobie nigdy go już więcej nie zobaczyć.

— ~~Co to za~~ Jakie to oszukańcze są te wrodzone szlachetne natury! — mówił do siebie i ci uczeni ludzie, te czyste dusze! Jako usprawiedliwienie powiada mi: „Nic się w gruncie rzeczy nie stało." Obrzydliwe!

„Umizgać się pod bramą,
Całować, pieścić i wstrzymać się w porę."

Cnota dzisiejsza to przeważnie impotencja! Lubieżność i namiętność, miłość i małżeństwo! Kiedyż tępe umysły wyzwolą tang ze sobą te cztery zupełnie odmienne pojęcia? I jak potrafią z chyżością kozy przeskakiwać z jednego końca pojęć do drugiego, nie spostrzegłszy nawet zmiany krajobrazu.

Reggie, usiadł przy pianinie by myśli te przelać w tony.

Lady Cynthia postanowiła, że byłoby szkodliwem dla niego pozostać dłużej w Chinji. Widoki górskie były demoralizujące dla tak bajronicznej na-

tury. Miał więc być wysłany do Tokjo jako przedstawiciel Ambasady na żałobnem nabożeństwie za dusze Austrjackiego Arcyksięcia i jego żony, których zamordowanych ręką jakiegoś serbskiego fanatyka gdzieś na Bośni. Reggie był wściekły, że mu powierzono tę misję. Bo gdy chodziły na niego leżało i nie był jeszcze usposobionym do spotykania się z ludźmi. Przyjechał więc do Tokjo w jak najgorszym humorze.

\+ \+

Asako dowiedziała się od Tanaki o spodziewanym powrocie Forsytha do Ambasady. Pan Fujinami polecił temu wszystkowiedzącemu wszędobylskiemu dzieły czatować przed Ambasadą i donosić o wszystkiem co się tam wydarzy tego dnia. Spiskowcy bowiem nie byli całkowicie pewni legalności odbierania żony angielskiemu obywatelowi i przetrzymywania jej u siebie wbrew żądaniom męża.

Asako odebrała tego dnia rozrywający list, od w którym Godfryd opisywał jej jak najszczegółowiej wszystko co zaszło pomiędzy nim a Yae Smith i błagał ją by zrozumiała, uwierzyła i przebaczyła mu zbrodnię, której nigdy nie popełnił.

Ta błagalna odezwa, pomimo całego sceptycyzmu Kuzynki wstrząsnęła postanowieniem Asaki. Teraz dopiero, kiedy straciła męża, zaczęła uświadamiać sobie jak bardzo go kochała. Reggie Forsyth będzie mniej lub więcej bezstronnym świadkiem.

Krytym wózkiem w zakapturzonem riksio odbyła krótką przestrzeń dzielącą ją od Ambasady. Pan Forsyth tylko co przyjechał.

Pan Forsyth był bardzo niezadowolony, gdy mu oznajmiono panią Barrington. Tego właśnie spotkania byłby chciał za wszelką cenę uniknąć.

Sama jej powierzchowność mówiła przeciwko niej. Miała na sobie japońskie kimono, nieprzyjemnie przypominające mu Yae. Włosy miała poprostu uczesane. Oczy czerwone od płaczu.

— Przedewszystkiem powód sobie pani oświadczyć — rzekł Reggie, podając jej krzesło — że nie jestem w najmniejszym stopniu odpowiedzialnym za uczynka-mi mego pana: Mam dosyć swoich własnych.

Asako nie mogła nigdy zrozumieć Reggie'go, gdy mówił tym sarkastycznym tonem.

— Chcę wiedzieć, co się naprawdę stało — zaczęła błagalnie. — Nie mam nikogo, kto by mi to powiedział.

— Mąż pani powiada, że się nic naprawdę nie stało — odparł Reggie brutalnie.

Biedna Asako zrozumiała, że twierdzenie to było bardzo dalekiem od uniewinnienia Godfryda, jak się już zaczęła spodziewać.

— Ale co pan naprawdę widział? — zapytała.

— Widziałem pannę Smith w Tokio z mężem pani. Ponieważ to było w mojem domu, mogli mnie byli poprosić o pozwolenie.

Asako zadrżała.

— Ale czy pan sądzi, że Godfryd — zaleca się do panny Smith?

— Nie wiem — odpowiedział Reggie ze zmieszaniem — Z tego co słyszałem zdaje się, że panna Smith głównie się zalecała do Godfryda, ale że on się temu nie sprzeciwiał.

Nadzieja Asako zdobycia dowodu niewinności męża zgasła.

— Cóż ja mam zrobić? rzekła błagalnie.

— Tego to ja doprawdy nie wiem — odparł Reggie, dla którego ta scena okazała się poprostu niedorzeczną — Zabierz go pani jak najprędzej do z powrotem do Anglji; to będzie chyba najlepiej.

— Ale czy on się tam zakocha w jakiejś Angielce?

— Możliwe.

— Więc co mam robić.

— Uśmiechaj się pani i pogódź się z losem. Tak zresztą jak to my wszyscy czynimy.

— Och! panie Forsyth — wymówiła Asako błagalnie — Pan tak dobrze zna mego męża. Czy pan go uważa za bardzo złego człowieka?

— Nie, nie za gorszego niż wszyscy inni — odparł Reggie, którego ta rozmowa doprowadzała do wariacji — Jest trochę nierozgarnięty i mocno niedora-

mowy.
– Nie pan sądzi, że to się stało z jego winy?
– Powiedziałem już pani, droga pani Barrington, że mogę pani zapewnić, że
się nic niezwykłego nie stało. Jestem zupełnie pewny, że to prawda, bo mąż
pani jest bardzo honorowym człowiekiem – w szczególe.
– Pan chce przez to powiedzieć – rzekła Asako, jąkając się – że panna Smith nie
była istotnie kochanką Godfryda, że... że... nie zgrzeszyli razem.
Asako nie wiedziała, jak bliskie stosunki łączyły Reggie'go z Gae. Nie ro-
zumiała więc, jak bardzo raniły go jej słowa. Ale bardziej niż wspomnienia
działała mu na nerwy cała idjotyczność tej sceny.
– Właśnie – odpowiedział – Mówiąc słowami Biblji leżała z nim, ale on jej nie
znał.
– Więc pan sądzi, że powinnam przebaczyć Godfrydowi?
Tego już było za wiele. Reggie zerwał się na równe nogi.
– Droga pani, na to pytanie tylko pani jedna może odpowiedzieć. Osobiście
nie czuję się w danej chwili w przebaczającym nastroju. A najmniej ze
wszystkich mogę przebaczyć głupcom. Godfryd jest głupcem. Zrobił głupstwo,
że się ożenił, głupstwo, że się ożenił z panią, i głupstwo, że przyjechał do Ja-
ponji, kiedy mu to wszyscy odradzali, głupstwo że się zadawał z Gae, którą
go wszyscy ostrzegali, że jest niebezpieczną kobietą. Nie, osobiście nie mogę
teraz przebaczyć Godfrydowi Barringtonowi. Ale już jest bardzo późno i
ja jestem bardzo zmęczony, jak i pani zapewne. Radziłbym pani, żeby
wracała do domu, do swego błądzącego męża, a jutro rano, wszyscy będziemy
się trzeźwiej zapatrywali na rzeczy. Jak powiadają Francuzi: L'oreiller racom-
mode tout.

X dotąd

Asako nie ruszała się z miejsca.
– Proszę pani, jeżeli pani zamierza czekać dalej, pozwoli pani, że zamiast
pleść niedorzeczności zagram coś pani. To lepiej uspokaja nerwy.
Usiadł do fortepjanu i zagrał chór z Wesołej Wdówki.

[illegible]

Pójdę do Maxima, skończyłem z manewrami
Zakochanych;
Dziewczęta powitają mnie ze śmiechem
Ale mnie nie będą oszukiwać;
Lolo, Dodo, Joujou,
~~Clo~~ Clodo, Margot, Frou-frou,
Idę do Maxima a ty możesz iść do — —"

Grający obrócił się na taburecie; gościa już nie było.
— Dzięki Bogu — ~~rzekł głośno~~ westchnął, i w kwadrans potem już spał.
Obudził się bardzo wcześnie z wrażeniem, że mu jakiś ciężar padł na piersi.
— Wielki Boże — rzekł głośno — jakiż ze mnie dureń.
Uświadomił sobie, że uważała i [illegible] dała mu dowód najwyższego uznania, przychodząc do niego po radę w chwili ostatecznej udręki ducha. A on zbył ją mizernemi żarcikami i tanim cynizmem.
Przy śniadaniu dowiedział się, że rzeczy przybrały o wiele poważniejszy obrót niż sobie wyobrażał; że Asako stanowczo opuściła męża i przeniosła się do swojej Japońskiej krewnej. Po co ma się wydawać niepowściągliwym kochankiem [illegible] okazało się rzeczą dość [illegible] [illegible], przecież łatwo mógł był zapobiec tej klęsce.
Pojechał wprost do siedziby Fujinamich, nie zważając, że się może spóźnić na żałobną mszę. Przy wejściu zastał dwóch rosłych potężnych chuliganów, którzy zatrzymali jego rikszę i powiadomili go, że nikogo z Fujinamich nie było w domu. Przybrali taką postawę, jak gdyby byli gotowi siłą bronić wstępu.
Podczas przyjęcia w ambasadzie Austrjackiej zaraz po Mszy żałobnej zaszedł wypadek, który zmienił całkowicie bieg myśli młodego dyplomaty, i sprawił, że Reggie pośpieszył natychmiast do Hotelu Imperial by zobaczyć się z Godfrydem Barringtonem, jak ktoś, kto znalazł skarb i chce się nim podzielić z przyjacielem.

Zastał go w hotelowym hallu, ~~wpatrzonego~~ zadumanego nad szklanką whisky z ~~wodą~~ sodową. Nie była to, nawiasem mówiąc, pierwsza szklanka. Godfryd popatrzył tępo na Reggiego.
— Myślałem, że jesteś w Chorwacji — rzekł ochrypłym głosem.
— Musiałem przyjechać specjalnie na nabożeństwo za Arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. — odparł Reggie z podnieceniem. — ~~Sprawili~~ Co to di nam stypę co się nazywa, szampana w bród. Cały Dakłony ówczesnego ciała dyplomatycznego wpadł w natchnienie. Zaczęli wygłaszać proroctwa i podlegać wizjom. Von Falkenstein, niemiecki wojskowy attaché wrzeszczał: „Musimy się bić! Będziemy się bić! Musimy za obo złem. Z Rosją, z Francją, z Anglją! Tak, ze wszystkiemi!" Był oczywiście pijany, ale wiadomo: in vino veritas. Inni go jakoś uspokoili, ale powiadam ci, Godfrydzie, to już nareszcie przychodzi: nieuniknione przychodzi.
— Co przychodzi?
— No, wielka wojna, oczywiście. Dzięki Bogu.
— Dlaczego Dzięki Bogu?
— Dosyć już wszyscy zbyt stęchliśmy i zwyrodnieli. Potrzebujemy porządnego wstrząśnienia. Uciekniemy nareszcie od kobiet, salonów, głupich plotek. Zahartujemy się, wytrzeźwiejemy. Będziemy mieli co robić i o czem myśleć!
— Tak — przytaknął Godfryd — Chciałbym mieć coś do roboty.
— Będziesz miał, nie obawiaj się. Żałuję, że nie jestem wojskowym. Czy zostaniesz jeszcze w Japonji?
— Nie; wyjeżdżam w przyszłym tygodniu. Wyjeżdżam do Anglji.
— Poczekaj; podam się niezwłocznie do dymisji i pojadę z tobą.
— Nie, dziękuję ci — rzekł Godfryd — nie życzę sobie tego.
Reggie w gorączkowem podnieceniu, nie zauważył chłodnego zachowania się przyjaciela. Ale ta bezpośrednia odmowa, przywróciła mu na pamięć

146

całych takich wypadków, o których Reggie chwilowo zapomniał, albo które były jeszcze zbyt świeże, żeby się stać zupełną przeszłością.
— Bardzo żałuję, Godfrydzie — rzekł wstając.
— Nie ma czego — odpowiedział Barrington, udając, że nie widzi wyciągniętej ręki przyjaciela i odwracając się, by rozkazać podać sobie nową szklankę.
Godfryd miał w kieszeni list otrzymany rano od żony. Treść tego listu była następująca:

„Drogi Godfrydzie, Bardzo mi przykro, ale nie mogę wrócić. To nie tylko dla tego co się stało. Jestem Japonką. Ty jesteś Anglikiem. Nie możesz nigdy kochać mnie prawdziwie. Nasze małżeństwo było pomyłką. Wszyscy to mówią, nawet Reggie Forsyth. Przyrzekłam ci serdecznie nie powrócić. Pojechałam wczoraj wieczorem do Reggiego, i zapytałam go, co się właściwie stało. Powiada że nasze małżeństwo było pomyłką i że nie powinniśmy byli przyjeżdżać do Japonii. I ja tak myślę. Może bylibyśmy szczęśliwi w Anglii. Chcę, żebyś się ze mną rozwiódł. Podobno to bardzo łatwo w Japonii. Potrzebujesz tylko napisać list, który ci da pan Ito. Wtedy mogę się stać znów zupełną Japonką i pan Fujinami będzie mógł przyjąć mnie do naszej rodziny. Ty także odzyskasz wolność i będziesz mógł ożenić się z Angielką. Ale nie zadawaj się z panną Smith. To bardzo niedobra osoba. Ja nigdy za nikogo innego zamąż nie pójdę. Moi krewni są dla mnie bardzo dobrzy. Dlatego lepiej będzie, jeżeli zostanę w Japonii. Titina powiada, że źle zrobiłam przyjeżdżając tutaj. Proszę, daj jej pięćdziesiąt funtów ode mnie i odeślij ją do Francji zanim będzie sobie tego życzyła. Nie sądzę, abyś to było dobre dla nas, żebyśmy się mieli jeszcze zobaczyć! Unieszczęśliwiamy się tylko wzajemnie. Żegnaj! Żegnaj!"
Tanaka jest tutaj. Nie lubię go teraz.

Kochająca cię "
" Asako."

Z tego listu Godfryd wywnioskował, że Reggie Forsyth jest także przeciwko niemu. Żądanie rozwodu ~~zmartwiło~~ zaskoczyło go zupełnie. Jakże mógł

rozwieść się z żoną, skoro nic nie miał przeciwko niej? W odpowiedzi napisał zaraz błagalny list, zaklinając, żeby powróciła. Ale Asako nie odpisała mu nic.
Wtedy wyjechał z Tokjo do Yokohamy - odległej tylko o osiemnaście mil - by tam czekać na odejście statku.
A Ito go tu dopędził.
- Bardzo mi pana żal.
Pan wstrętny człowiek, zaczem teraz zaczynał rozmowę tem wzbudzającem do oskarżania Godfryda zdaniem.
- Panie Wodrington - ciągnął dalej - bardzo sobie życzy rozwodu. Chciałaby bowiem mieć swoje nazwisko wypisane na tablicy domu Kajinami. Jeżeli nie dostanie rozwodu to jest niemożliwe.
- Ależ - zawołał Godfryd - to nie tak łatwo rozwieść się, jak się pobrać, na szczęście.
- W Japonji - odparł prawnik - to jest łatwiej, ponieważ małżeńskie zwyczaje.
- W takim razie musi tu być dużo rozwodów - zauważył Godfryd ponuro.
- Bardzo dużo - rzekł Japończyk - więcej niż w jakim innym kraju. W rozwodach Japonja przoduje światu. Nawet Stany Zjednoczone zajmują pod tym względem drugie miejsce. W niższych klasach w Japonji są kobiety które wychodzą zamąż po trzydzieści kilka razy i to zupełnie uczciwie, porządnie. W najwyższych sferach są również liczne rozwody, ale rzadziej, bo rodziny tego nie lubią.
- Nadzwyczajne - rzekł Godfryd. - Jakże się to odbywa?
- Sąd ~~wydaje~~ orzeka rozwód, jak w pańskim kraju - rzekł Ito - Strona skrzywdzona może pozwać drugą stronę i sąd wydaje wyrok. Ale Japończycy rzadko udają się do sądów o rozwód. To nie przyzwoicie, jak się mówi u was, prać brudną bieliznę publicznie. Więc dostaje się rozwód drogą starego zwyczaju.
- Jakiego to? zapytał Anglik.
- Jak panu wiadomo, małżeństwa u nas zawierają się także zwyczajowo. Nie ma żadnej ceremonji religijnej, trzeba, że obie strony tego życzą -

Nigdy może świadomość pełni zdrowego ludzkiego szczęścia, szczęścia zbiorowego, które przenika z ogółu w jednostki i z jednostek w ogół nie uprzytomniła mi się tak wyraźnie, tak nieomal dotykalnie jak na tej kanaryjskiej werendzie.

Szczęście ma swoją własną atmosferę, tak jak róża ma swoją własną woń. Można go nie widzieć, a czuje się je w powietrzu, jak się czuje gorączkę zysku i żądzę natychmiastowego użycia w wielkich handlowych portach Europy, jak się czuje nędzę i moralny upadek i zbrodnię w zaułkach Paryża i Londynu, a lenistwo i apatię na rynkach galicyjskich miasteczek.

Ta dolina ~~ubielona księżycem~~, przyzłocista taka biała, taka pachnąca oddychała samem szczęściem, a oddychała niem tak równo, tak czysto, tak głęboko, jak oddycha prawdziwie rozkwitnięta młodzieńcza pierś, której jeszcze żadna nie przeszyła namiętność.

Cichoż błogosławiona dolina! Obce jej śniegi i ~~upały~~ skwary, obce gwałtowne burze i przelotne słoty; nie wstrząsają nią huragany politycznych przewrotów, nie trawi ~~żądza przodownictwa~~ ambicya, nie wysysa pijawką mrówczem pracowania współzawodnictwo. Natura dała jej wszystko co tylko dać mogła, wychowując w swym hiszpańskim pochodzie zapomniała o niej ale ją dostrzegła; przyrzuciła jej najpiękniejsze swoje dary nie obawiając jej nigdy za odrzucenie swych walk, nadziei i rozczarowań.

A ci ludzie, co w tym uprzywilejowanym zakątku świata rodzą się, od jakiejże dobrej gwiazdy otrzymywać zaczynają nie swoich przeznaczeń!.. Jak dzieci ta [illegible] wszystko robić co porą: co porą się kochać, co porą pracować, co porą umierać.... Jak pełną i zmiennych musi być ich niedoli jak pogodną i zadowoloną dojrzałość jak spokojną i zrezygnowaną starość.

Szczęśliwi! Szczęśliwi! —

Musiało coś z tych wszystkich myśli odbić się na mojej twarzy, bo nagle zbudził mnie z nich lekko ironiczny głos mego towarzysza:

— Co panią tak raptem w niebo wzięło? Bo przecież na tej rzędnej ziemi niema nic, do czego było by warto tak się uśmiechać, jak to pani już od kwadransa czyni?

Spojrzałam na niego zdziwiona.

— Pan to mówi? Mieszkaniec tego raju!

— Skąd pani wie, czy mnie z niego nie wypędzono na zawsze?

Znowu spojrzałam na niego tym razem uważniej. ~~Jakże~~ Jego sympatyczna, niewesoła twarz z głęboko zarysowanemi bruzdami koło ust i oczu miała wyraz wielkiej goryczy. — ~~Jak~~ Jakieś mgliste wspomnienie przemknęło mi przez głowę. — Przed paru laty, w Paryżu, kiedy jeszcze nie przypuszczałam, że kiedykolwiek ujrzę wyspy Kanaryjskie i pana de Kretinière co jego własnej osoby, ~~ody~~ mówiono mi o nim w Paryżu. — Miał on tam znacznie młodszego brata (i ten adwokatem) — napomknął mi coś z dawniejszem pobłażaniem jak przystało na bulwarowca w dobrym stylu, że jakaś romantyczna historya złamała mu życie de son vieux arcadien de frère. — Pomimo znacznego majątku pozostał on starym kawalerem, nie zdziczał jednak i nie odsunął się od ludzi; owszem, ~~znany~~ słynął w całem Las Palmas z uprzejmości i towarzyskich przymiotów; bystrzejsze jednak oko mogło w nim dostrzec to coś bezgranicznie smutnego, co mają w sobie ludzie, którzy zawiedzeni w swych najdroższych nadziejach mieli dość hartu i siły woli, aby zostać się na zawsze i myśląc o osobistem szczęściu i żyć dalej. Ludzie tacy mogą być nawet z czasem bardzo pogodni i zadowoleni; ale ta pogoda i zadowolenie są zawsze matowe, jakby odarte od wewnętrznych promieni, przyćmione wewnętrzną żałobą jaką tych dusz ~~zagasłych~~ zgaszonych.

Pan de Bu[illegible] odtąd zrobił na mnie takie wrażenie; przez parę następnych dni naszej znajomości, zatarło się ono pod wpływem innych wrażeń z pobytem naszym ~~na Las~~ na Gran Canarii związanych; ale teraz, gdy przy porównaniu z tą przedziwną atmosferą szczęścia zbiorowego szczęścia, płynącą ku mnie z oddali, ta pojedyncza dola ludzka tuż w pobliżu, wydała mi się tem przykrzejszą i tem bardziej samotną. — A kto wie, czy i na niego ta noc nie podziałała dziwnie, czy nie tkwiło w nim jakieś okrutne zestawienie z inną podobną, a tak zapewne odmienną! — Prawdopodobnie odwykł już był od zapatrywania się w księżyc, a ~~dost~~ teraz do[illegible] przy obecności towarzystwa w tem nadzwyczajnem zajęciu zrażał się nagle w zda[illegible]

dzikiej sieci wspomnień i może to go tak rozgoryczyło?
Umilkłam się mimowoli winna względem tego zacnego i sympatycznego człowieka, który mi
tu tyle życzliwości okazał i zwróciłam się plecami do ocean Kanoczpskiej i jej uroków.
— Żal mi stąd odjeżdżać — rzekłam siadając i pobudzi dziwiąc się wystygłą kawę.
— Z tego raju? podjął pan de Brébinière z tą samą co poprzednio goryczą — Może tego nie pani zmogła
zostawić to wyobrażenie o naszej wyspie na pamiątkę? Pani ono niepotrzebne; znajdzie je pani
i w Zatoce Gwinejskiej. W pewnych epokach i warunkach życia raj staje się bardzo wygodną krainą.
Wszędzie go jakno.. Tymczasem mnie mogło by się to przydać.... Ale mniejsza... Cóż panią najbardziej tutaj
zachwyca? Tylko, proszę pamiętać, że jako człowiek praktyczny i realny pytam o rzeczy uchwytne
a nie o bezpośrednie wrażenia.... Więc cóż?
— Kobiety — odpowiedziałam bez namysłu — Nigdzie przez w Sewilli i Kadyksie nie zdarzyło mi się
widzieć tak pięknych kobiet.. A zwłaszcza kobiety mają jakieś bez porównania więcej słodyczy w spojrzeniu
i miękkości w ruchach. Po wszystko co słyszałam o specyalnym uroku Kreolek nie dowierzyłam rzeczywistości.
Dziś spotkałam dzieci takie, że wyglądały po prostu jak zjawiska w tych swoich białych kapturach na głowach.
Zgodzi się pan chyba ze mną, że niema nic cudowniejszego na świecie nad doskonale piękną kobietę?
— Byle nie była za piękną — odparł rzekł pan de Brébinière, bo chyba naprawdę zgodzi się pani ze mną, że
niema nic potworniejszego na świecie nad za piękną kobietę.
— Za piękną? powtórzyłam — czy wogóle taki zarzut jest możliwym? To zupełnie jak gdyby powiedzieć o obrazie lub
poezji: Jest zanadto natchnionym. Tak, ale niech swoje arcydzieła będą mniej genialne —
— Jeżeli by ta genialność była szkodliwą lub wprost zgubną, to dlaczegóżby nie? odparł pan de Brébinière ze
spokojem.
— Ale gdzie te znaleźć granice w danym wypadku — zawołałam śmiejąc się — Kiedy kobieta według pana
staje jest za piękna?
— Właśnie wtedy, kiedy dosięgła tego szczytu piękności, który ją czyni niezdrowie szkodliwą.
— Hm... Historya pokazuje nas, że te kobiety, które najwięcej w świecie dokonały tego rzeczy były przeważnie
brzydkie. Ich wpływ demoniczny i destrukcyjny tkwił raczej w ich temperamencie, w ich sprycie, to ich
osobliwszym a mniejszym powabie niż w klasyczności rysów i blasku cery.
— To był wpływ samoświadomy, a ja mówię o tym fatalistycznym, mimowolnym, jaki kobieta zbyt
piękna wywiera wszędzie, gdzie się zjawi, o tym, jaki czyni ją żyjącą klęską, żyjącem nieszczęściem....
— Zadziwia mnie pan — rzekłam — po raz pierwszy słyszę podobne zdanie.
— Doprawdy! rzekł pan de Brébinière — to tylko dowodzi, że nigdy nie spotkała pani takiej kobiety, bo na-
tychmiast odkryłaby pani sama prawdę słów moich. Zresztą nie jestem znowu tak bardzo oryginalnym
w mem poglądzie, jak to pani raczy uważać. Nie pamiętam już jak się nazywała ta zbyt piękna ko-
bieta w wiekach średnich — poza tem bardzo dobre stworzenie — którą biskup jej rodzinnego miasta
zmuszał zamknąć w samotnej celi, a to z przyczyny zgubnego wpływu, jaki wywierała na swoich
współmieszkańców. Ludzie spotykając ją na ulicy szaleli... istne procesye chodziły za nią — mężowie
opuszczali swoje żony, narzeczeni odchodzili, niektóre odstawiona; rycerze, artyści, uczeni wszyscy
zapominali o swoich obowiązkach, bo gubili swą przyszłość dla jednego jej spojrzenia; kobiety
rozpaczały i biły się z zazdrości.... słowem ~~kobieta~~ stworzyła istne piekło... — mówiąc...
— Och, to fantazya z mgły romantycznych czasów wysnuta — odparłam nieprzekonana — Nie sądzę,
aby w rzeczywistości istnieć mogła taka kobieta.
— Ja znałem taką — rzekł pan de Brébinière krótko.
Wymawiając te słowa odchylił nieco głowę w tył i przeniósł tak mimochodem z twarzą zwróconą ku ubie-
lonej księżycem dolinie. Pobladł jakoś więcej, a pod ściągniętemi brwiami oczy jego miały wyraz
dziwnego, niemal przerażonego zapatrzenia się, jak gdyby nagle ukazało mu się widmo tej „zbyt pię-
knej”, która, jak to nie trudno zresztą było ze słów jego odgadnąć, i ~~[illegible]~~ taki dziś złego wyrządziła mu
siła.
Milczałam. Po długiej chwili, pan de Brébinière nie zmieniając postawy, nie patrząc na mnie,
zaczął mówić powoli, ale bardzo wyraźnie, jakgdyby ważył każde słowo:
— Niewiem, zkąd mi się to bierze... czy dla tego, że pani przybywa z tak daleka, czy że tak daleko
jedzie, czy że może już nigdy w życiu nie spotkamy się, czy że pani ma dla mnie coś w swoim
głosie i spojrzeniu co sprawia, że mi się zdaje, jakgdybym panią znał zawsze, niewiem... niewiem

ale czyż jakiej potrzeby powiedzieć pani to wszystko, skoro sam się przyznałem się jeszcze przed chwilą... powiedzieć pani, że byłem bardzo nieszczęśliwym... że jestem nim jeszcze dzisiaj, że nim nie przestanę być nigdy.... Przed dwudziestu laty wiedziano to o tem powszechnie, zresztą! nieszczęście moje było nadto jawnem... mogłem co najwyżej milczeniem ból mój osłaniać... ale dziś... dziś wielu się zdawało się nawet, że mogę cierpieć jeszcze... Powiedzą mi się tak [illegible]... jestem zdrów, niezależny zupełnie niezależny... Wiem, że są tacy, co mi zazdroszczą... sami na świecie nie chcieliby być, aby nie nadmiernie litowano... a jednak — czy pani pojmie? tak dziwaczną jest ta biedna natura ludzka, że czasem ogarnia mnie nieprzeparta chęć otworzyć aż do dna duszę — gdyby to było możliwe — przed tem czcigodnem, które mnie tak pieszczotliwie szata i zawołać: „Patrzcie! jak tu głęboko, jak tu czarno, jak tu pusto!... nic... nic — nic, tylko ta jedna, stara rana i sącząca się z niej od czasu do czasu krople krwi tak świeżej, jak gdyby dzisiaj wytoczonej... I oto teraz, na tej werendzie, przy tym księżycu chciałaby mnie tako chwila... i pa[illegible] ta jeszcze... i — Czy zechcesz mnie pani posłuchać? To nie potrwa długo... A może to naprawdę ulgę przyniesie? Może słowa mają naprawdę własność zabijania z naszej duszy cząstki tego, co ją gnębi!... Może dlatego ~~mowa ludzka jest tak uboga~~ szczęście zwykle mówi o sobie krótko, a boleść gdy się rozgada to końca temu niema?...

— Mów pan, proszę! słucham wzruszona.

Ale pan de Brélimière nie spieszył się. Siedział wciąż patrząc przed siebie, tylko postać jego chyliła się zwolna ku przodowi, jakgdyby szła na spotkanie tych wspomnień, co z taką nieprzepartą siłą wyciągnęły ty[...] ku niemu zamknięte w srebrzystościach nieba i zapachach ziemi ukryte. Wyraz goryczy i bólu znikł z jego twarzy, a natomiast zastąpił na nim, rzewny, rozmarzony smutek, który go wygładził i odmłodził. Nie poznawałam go; a z pewnością nie poznaliby go klienci i urzędnicy firmy Brélimière & Co z którymi ten człowiek tak w tej chwili zakopiony cały w najniepraktyczniejszem na świecie zajęciu: w rozpamiętywaniu przeszłości w wydobywaniu obrazów przeszłości, samemu niemal cyframi zwykł był przemawiać.

Nagle obrócił się do mnie swą twarz przeobrażoną i pochylił się ku balustradzie podany wyciągnął rękę, niedbałym takim samym rozmarzeniem i melancholii jednym gestem wskazując dolinę, która stawała się coraz bielszą i coraz silniej pachnącą:

— Widzi pani tam, u stóp tego wzgórka, co wygląda jak kopuła białym muślinem obciągnięta, tę podłużną plamę drzew i te tony migocące pośród niej światła? Na lewo od niej ku nam ta skośna ciemna linja to droga wysadzana akacyami wiodąca do miasta. ~~Wstępuje~~ Wchodzi się na nią prosto z alei, i pamiętam, że można jest ulica, ale tego bruku i na niej wcale, jakgdyby się stąpało po dywanie, pod niemi grunt, tak dziwnie elastyczny. Kiedy te akacye zakwitną, a na prawo i na lewo ~~[illegible]~~ pachnące [illegible] ogrodów sąsiednich okryją się ~~różami~~ pnączami i kiście tak świecą jak dzisiaj, to iść tą drogą, z myślą o czemś u jej kresu, z młodością w duszy —

Urwał, przeciągnął ręką po czole i mówił dalej:

— Teraz nigdy już tamtędy nie chodzę, ale przed ~~[illegible]~~ dwudziestu laty chodziłem codzień i pamiętam każdy kamyk, każdy niemal ryś na pniach aż do miejsca, które pani wskazałem. To jest willa Mo[...]zęsa. W owe czasy należała do bardzo niegdyś bogatego plantatora indyga i właściciela wówczas dru[illegible] Elma Nieves. Kiedy ja tu z Francyi przybyłem, objąć po moim stryju firmę, nawiasem mówiąc bardzo w interesach zaplątaną, don Manuel mógł być już nietylko bogatym, ale nawet zamożnym. Krach indygowy, który tyle rodzinnych fortun na wyspie pochłonął a największemu zachwiał i jego posiadłości, gdyby nie wówczas, i nie ta willa byłaby została sprzedaną. — A przytem musiał zaciągać pożyczki. Wdowiec, miał dwie dorosłe córki, z których młodsza Carmen była już zaręczoną, i obecnie mieszka tam, w Mariposa, z mężem, z dziećmi i starym ojcem, a te dwa światła na piętrze, które pani widzi, to okna ich jadalni, gdzie w tej chwili zapewne wszyscy siedzą przy wieczerzy. Widuję ich czasem... z daleka.

Starsza, Rosa — to była ona... Nie zacznę nie będę próbował opisać pani jej piękności, bo nie znajdę takiego przymiotnika, który by choć w przybliżeniu określił ten czar niezwykły a fatalny, jaki roztaczała. Zdaje mi się, że źródło jego tkwiło w jakiejś nieprzepartej, uderzającej w oczy harmonii w całej jej istocie. Lśniące oczy jakby bezdenne, spojrzenie... Właściwie było tak nowe dla mnie jej widok. Raz ją ujrzawszy, już się chciało na nią patrzeć bez końca. Wydawała się tak piękna i tak pogodna i tak wytężona, że dusza czepiała się jej naturalnie, jak by w najbardziej tylko przecudownej rzeczy, o której nie śmie się przypuszczać, aby ją kiedy rzeczywistość ziścić mogła.

1

Wszyscy mężczyźni z całego Las Palmas szaleli za nią. Byli tacy, którzy umyślnie przyjeżdżali z głębi wyspy, a nawet z Teneryfy, aby ją tylko zobaczyć, a przecież, choć miała już lat dwadzieścia, co tutaj ~~[illegible]~~ jest już wiekiem, z którym panny ~~[illegible]~~ kryć się zaczynają, żaden poważny pretendent do jej ręki nie zjawiał się dotąd. — Po prostu była za piękna dla naszych filistrów, bano się tej nadzwyczajnej, zawrotnej wprost urody na domowy użytek. — Kreolska krew tutejszych obywateli ma ~~w sobie~~ dużo trzeźwości; to skutek ~~[illegible]~~ indygo i wanilii; i każdy z wielbicieli Rosy Nieves zdawał sobie jasno sprawę z tego, że podziwiać nieustannie własną żonę, może się stać po niejakim czasie nader znakomicie męczące, zaś świadomość, że i inni cieszyć to będą — to chociażby wolnego — mi przedstawia się w tym wypadku jako okoliczność łagodząca.

A wreszcie mi pani — mówię bez żadnej przesady — że widzieć Rosę Nieves i nie podziwiać jej było takiem samem nieprawdopodobieństwem jak wybiec jej za brzeg przepaści i nie runąć w nią. — Ta fatalna piękność miała w sobie coś rozbudzającego wszystkie władze uczuciowe w piersi i podkreślającego je aż do wyczerpania.

Nie wiem jak inni, ale ja byłem w stanie patrzeć na nią aż do bólu, aż do jakiegoś nieopisanego a narkotycznego wstrętu ku wszystkiemu co nie było hebanem i zapachem jej włosów, przepaścistością i blaskiem jej oka, wilgotnym rubinem jej ust, miękkiem ciepłem jej ciała, marmurową poezją jej kształtów, co nie było nią, ją jedną, jedyną na świecie... O! Roso! Roso! Roso!....

Pan de Brétonière ukrył twarz w dłoniach i oparł się na wysrebrzonej balustradzie werandy pokrytej gęsto opadającą plątaniną japońskiego bzu, który trząsł nad nim swemi oszołomiającemi gałązkami, zupełnie, jakgdyby przeszło coś nie to mnie tkanej szczęśliwego wspomnienia, co pieści jego samotność.

Nagle zerwał się, odszedł prędko i widziałam go, jak stanąwszy w drugim rogu werandy zapalił papierosa gasząc jedną zapałkę po drugiej swym urwanym oddechem i drgającemi ręce.

Po pewnej chwili wrócił na swoje miejsce.

— Przepraszam panią — wyrzekł nie patrząc na mnie — bardzo przepraszam. To się już nie powtórzy.

Dopił swoją kawę i mówił dalej:

— Powiedziałem, że ~~Rosa Nieves powinna była wielbicieli~~ wśród tylu wielbicieli Rosa Nieves nie miała takiego, ktoryby sięgnął po jej rękę — muszę to sprostować. Na krótko przed mojem przybyciem na wyspę syn jednego z najbogatszych plantatorów, młodzieniec wielkich zdolności, poeta nawet, zapowiadający podobno nieprzeciętny talent, zakochał się w Rosie bez pamięci i pomimo oporu swojej rodziny oświadczył się o nią. Czy zyskał wzajemność, czy dziewczyna ~~[illegible]~~ w ogóle zdolną była kochać — nie wiem, ale został przyjęty —

Nazajutrz po zaręczynach młodzieniec ten — zastrzelił się. Mówiono powszechnie, że nadmiar szczęścia pomieszał mu zmysły, co było tem prawdopodobniejsze, że zawsze uchodził za dziwaka i melancholika; ale później dopiero zrozumiałem jak ~~[illegible]~~ głęboko przytomnym, jak szczególnie jasnowidzącym musiał być ten nieszczęśliwy, gdy u progu spełnienia najśmielszych marzeń samobójczą broń przeciwko sobie skierował... On widział, on czuł, że ta kobieta nie mogła, nie powinna była kochać innego niż [illegible]. Ona była — napiętnowana swoją pięknością i gdyby nawet cała jej wewnętrzna istota zapragnęła była bezwiednie zbuntować

2 się przeciw okrucieństwu takiego przeznaczenia, gdyby ożywiona najlepszemi chęciami wstąpiła w czyjś dom, aby w nim na zawsze jak anioł cichego szczęścia pozostać, to przeznaczenie straszliwe i nieubłagane było by ją dosięgło i tam, byłoby wszędzie możliwe koło obowiązków żony i matki i było by ją wciągało na ołtarze czci niebezpiecznych żądz, gorących upojeń namiętności, aby ~~gorzała~~ ~~[illegible]~~ jako bóstwo święciła na nim tryumf zła i dopóki [illegible] Kopciuszka nie rozpłynęła by jej w otchłani nędzy i pogardy, która była podwaliną takiego ołtarza...

Tak — wszystko to zrozumiałem kiedyś, po latach.... ale wtedy — wtedy, miałem w żyłach młodość, co daje wiarę, a w sercu pierwszą miłość. Z takiemi trzema skarbami któż rozważa, kto wątpi, kto się cofa? Chyba bardzo pospolity filister, albo bardzo wyjątkowy ~~filister~~ mędrzec. Pierwszy — ~~[illegible]~~ się macha ręką i żeni się z inną; drugi żegna rozwiewający się ideał i strzela sobie w łeb.

Ja nie byłem ani jednym ani drugim, i dlatego niemal od pierwszego wejrzenia na Rosę Nieves przyrzekłem sobie uroczyście, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, nie zrażając się żadną trudnością, żadną przeszkodą aby zdobyć tę kobietę na zawsze i wyłącznie, bo bez niej ~~życie~~ przestawałem już rozumieć życie, a żyć pragnąłem.

W pewnej mierze okoliczności składały się dla mnie pomyślnie. —

IMPROMPTU.

Wszystko dobre na początek,
Skromne wtedy gusta—
Lada pieniadz to majątek,
Kiedy kieszeń pusta.

Każde wino nektar—skoro
Mocniejsze od wody,
Każdy buziak jest Aurorą
Byle tylko młody!

Lecz się z czasem wszystko zmienia,
Człek wybrednym stawa,
Tem trudniejsze ma życzenia,
Im mniej do nich prawa.

Przeszastawszy ojcowiznę,
Z przekonaniem szczerem,
Ma każdego za goliznę,
Kto nie miljonerem.

Kiedy w walce na kieliszki
Ze zwycięztw zasłynie,
Ceni tylko wonne „myszki"
W stuletnim węgrzynie.

Tracąc w służbie Kupidona
Młodości ostatek,
Chciałby uszczknąć z dziewic grona
Najpiękniejszy kwiatek.

Hajota.

gotowem ubraniu i w sztukach.

W sklepie, oprócz pustych pułek, nic nie znaleziono...

Bankrut również się ulotnił bez wieści!

= Na drogę!

Donosiliśmy już o ucieczce pewnej osobistości, dobrze znanej w świecie handlowym...

Pan S. posiadał szeroki kredyt i cieszył się szacunkiem osób bardzo poważnych.

Otóż w przeddzień ucieczki obszedł liczne koło swoich znajomych i pożyczył co się dało na krótkie terminny...

Ogółem, o ile dotychczas wiadomo, pożyczył od 11-tu osób 7,000 rs.

Widocznie chciał on zebrać przyzwoity fundusik na drogę.

= Stłumiony pożar.

Nocy dzisiejszej w domu nr 62 przy ulicy Czerniakowskiej, gdzie znajduje się fabryka krochmalu, zaczęło się tlić w suszarni

---

Niech *Dniewnik Warszawski* zechce zdanie swoje na odwrót wypowiedzieć, a będzie słusznem.

Zwyczajem jest powszechnie przyjętym, że urządzający wystawę czasową w jakiembądź mieście przybywają odwiedzić redakcje dzienników miejscowych i przysyłają im zaproszenia.

Jest to konieczna grzeczność, do której

150

Poetka Hajota, która, jak już wspomnieliśmy, bawi od dni paru w naszem mieście, zwiedzała onegdaj w gronie swych znajomych pracownie młodych naszych malarzy. Przyczem obecny w tym czasie w Szkole Sztuk Pięknych mistrz Matejko, okazał tyle uprzejmości, że otworzył gościnnie dla całego towarzystwa drzwi swojej pracowni i nietylko pozwolił oglądać nowy swój obraz *Sobieski pod Wiedniem*, lecz sam osobiście udzielał dotyczących objaśnień. Pod wpływem wrażeń, odniesionych z oglądania jednego z największych arcydzieł Matejki, młoda poetka, natchniona wielką treścią obrazu, w parę godzin potem, napisała następujący wierszyk:

Janowi Matejce.

Daleką rozpacz od tych, w których godzą
Teraźniejszości najsroższe cierpienia,
Jeżeli żal ich skrzydły swemi chłodzą
Anioł nadziei i Anioł wspomnienia.

I nam te duchy osładzają mękę:
Pierwszy — przyszłości rozjaśnia nam mroki,
A drugi — Ciebie, Mistrzu, wziął za rękę
I w przeszłość naszą wiedzie Twoje kroki...

Błogosławiona podróż, która daje
Nam arcydzieła — nieśmiertelność Tobie!
Polska w nich żyje, a nie zmartwychwstaje,
Bo ona nigdy nie spoczęła w grobie!..

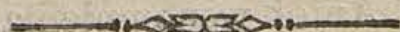
Ty, Mistrzu, tylko stanąłeś na straży
Ogniska naszej narodowej chwały
I wzorem wielkich, zgasłych już pieśniarzy,
Piastujesz nasze święte ideały.

A gdy zwątpienie czoło nam zamroczy,
Kiedy jęk z piersi wydrze się rozdartej, —
Geniusz twój wtedy stawia nam przed oczy
Historyi naszej najwspanialsze karty.

I mówi: „Spojrzyj! Jeszcześ Ty bogaty,
„O mój narodzie, nędzarzem dziś zwany:
„Zostały tobie przodków świetne szaty,
„Byś nimi okrył Łazarzowe rany!

„W tych szatach dumny idź drogą krzyżową!..
„Krwi w tobie więcej, niż jej wytoczyłeś!..
„Starczy jej, pokąd błyśnie nad twą głową
„Dzień wyzwolenia — byś był tem, czem byłeś!"

Anielskie słowa i głos to niebieski!..
One — w proroków stawiają Cię rzędzie!..
Niemi przemówił do mnie Twój „Sobieski," —
A więc, o Mistrzu, cześć niech Tobie będzie!...



Osobne odbicie z „CZASU" Nr 165 z dnia 24 Lipca 1883 r.
Nakładem Redakcyi.

MARITANA.

(POD MUZYKĘ).

Na modrej fali
Już się pali
W sennej dali
Kłąb opali.
W zachodu błyskach,
Jak w uściskach
Szkarłatnych, tonie świat.

Hej! bracia młodzi,
Czas do łodzi!
W snów powodzi
Niech nas wodzi
Miłość szczęśliwa,
Niechaj zrywa
Upojeń boski kwiat!

Daj, luba, dłonie,
Na mem łonie,
Co tak płonie,
Wesprzyj skronie.

W twych oczach czystych,
Promienistych
Pozwól zatopić wzrok.

Wieczór zapada.
Wód tych blada
Ku nam skrada
Się Najada.

Słyszysz — za nami,
W takt z wiosłami
Pluszczę jej wodny krok.

Już blask miesiąca
Fale trąca...
Cała drżąca
I marząca,
Uczuć nektary
Z ust twych czary
Daj pić, dzieweczko, daj!

Purpurą szata
Twa pomiata,
Nad tron świata
Tyś bogata;
Bo w twojej mocy
Jest tej nocy
Przemienić życie w raj!

Hajota.

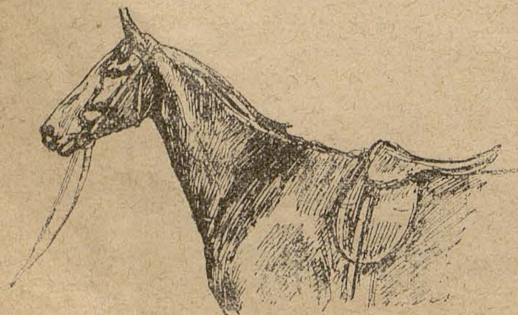


Jak zawsze, tak i tym razem publiczność odpustowa dzieli się na dwie gruppy: aktorów i widzów. Pierwsi mieli śmiech na ustach, policzki rumiane i wzrok pełen ognia; drudzy, stosując się do zwyczajów i wymagań światowych, ubierali twarze w maskę lekceważącej obojętności.

Jak chętnie wszakże niejeden z widzów zamieniłby się był na role, na miny i na uczucia z aktorem!...

Kalendarz, zapowiadający w tym roku krótkie zapusty, skłamał. Zapusty tegoroczne trwają dotąd i kończyć się ani myślą. Słońce, które południowym prawie kolorytem zabarwiło odpust bielański, przenosi teraz paletę swą i farby na pola Mokotowskie, gdzie odzywać się już poczyna rżenie trenowanych rumaków, i gdzie lada dzień rozpoczną się już czworonożne pląsy karnawału letniego.

Po handelkach najczęściej jest dziś żądany porter angielski, a po księgarniach angielskie rozmówki. Dzienniki, spełniające obowiązki korepetytorów publiczności, zarzucane są pytaniami: „Co znaczy *handicap*, *starter* i *totalizator?*“ „Jak się wymawia *finish* i *treanning?*“ „Kto *wynalazł* wyścigi konne, i czy znane one już były starożytnym Grekom?“ i t. p.



...piękne

a pamiętasz jak dawniej rady moje lekceważyłeś? Cierpże sobie, kiedyś lekkomyślny i uparty; ja ręce od wszystkiego umywam.

Lekarz czwarty. Zresztą, na co się to wszystko zdało? Opukałem ja cię, rybo, na wszystkie strony i wiem, że ratunku dla ciebie niema. Musisz klapnąć, nic nie pomoże — a im prędzej się to stanie, tem lepiej...

Prawdopodobnie wszyscy ci lekarze mają wiele słuszności, i sądy ich świadczą o głębokim rozumie, daremnie jednak chciałby kto przekonywać mię, że sądy te płyną z serca, i że tym uczonym panom naprawdę zależy na tem, aby pacyent do zdrowia powrócił...

Gdy się dziecko skaleczy wyciągnionym z kredensu nożem, dobra matka najpierw jak najtroskliwiej opatruje mu ranę, a potem dopiero daje klapsa za nieposłuszeństwo. Nasi zaś publiczni konsultanci przedewszystkiem zabierają się do bicia.

Ale prawda, miałem mówić o wiośnie.

Jeżeli słońce majowe nie wszystkim przypada do smaku, za to majowe kwiaty cieszą się powszechną miłością. Miłość ta przybiera, jak zwykle, formy dwojakie. Jedni kochają kwiaty platonicznie, poprzestając na przechadzce po ogrodach, kędy „zrywać kwiaty zabrania się pod karą policyjną;“ inni nadają uczuciu swemu formy realne i kupują kwiaty już zerwane za gotówkę albo też je sami, gdzie się uda, zrywają.

Miłośnicy tego drugiego rodzaju dostarczają szkodników ogrodom, ale zarazem kupujących sklepom ogrodniczym i członków Towarzystwu ogrodniczemu. Oni też są głównymi projektodawcami i wykonawcami przeróżnych zabaw kwiatowych, w których od pewnego czasu tak zasmakowali Warszawianie.

I bieżące lato bez zabaw takich nie upłynie.

Przedewszystkiem zjawić się ma druga, znacznie powiększona, przejrzana i poprawiona edycya zeszłorocznego *corsa.* To nowe *corso* pragnie szczerze naprawić sławę poprzedniemu, a zarazem utorować drogę następnym. Podobno znajdą się na niem i nie-...odzianki, — rzecz, za którą ludek warszawski, a i ...y, najbardziej przepada.

...rzają zasypać ... kwieciem swó...

strzem nad mistrze w kuglarstwie rymu i rytmu, one świetniej jeszcze od niego potrafią manewrować parasolką, wachlarzem, lornetką i... sercami męskiemi.

Bismarck wiedział co robi, gdy rodakom swym kazał wystrzegać się Wielkopolanek. Cóż dopiero gdyby był w Warszawie i poznał syrenie ponęty córek Mazowsza! Warszawianki zdolne są zawojować świat — zwłaszcza na wiosnę i zwłaszcza w zbrojach z arsenału Hersego. Alboż nas wszystkich oddawna już nie zawojowały?

Jest to zresztą podbój zupełnie pokojowy, w którym jeńcy błogosławią tyranów i bawiąc się wesoło kajdanami, mówią *à la* Morozowicz w „Zemście nietoperza:“

— Ach, co za pyszne więzienie!...

Warszawianki godzą hipochondrynów nawet ze światem, a co ważniejsza i z „kwestyą kobiecą.“ Bo kwestya ta zmartwychwstała w dziennikach i w powieściopisarstwie i przybiera (ze strony niewiast) formy tak wojownicze, że na mężczyznach skóra cierpnie ze strachu...

Właśnie, gdym z kolei mówić miał o kobietach, cisnął mi się pod pióro pewien „naśladowany z francuskiego“ wykrzyknik, który zresztą w oryginale nie do kobiet się stosuje. Za drugiego Cesarstwa, gdy na scenie i w literaturze królował upijający się szampanem i znudzony doczesną egzystencyą Fanfan, synek Benoiton'ów, pisarz pewien, mówiąc o dzieciach, przerwał rzecz swą zapytaniem:

— Alboż są dziś jeszcze dzieci!?...

Okrzyk ten nabrał rozgłosu i stał się przysłowiowym.

Otóż i kronikarz, objawy życia śledzący, miał pokusę zawołać:

— Alboż są dziś jeszcze kobiety!?...

O „kobiecie jako takiej“ czyta się już dziś tylko w poezyi. Wszędzie zresztą występują jedynie: lekarki, urzędniczki, inżynierki, adwokatki, chemiczki, fizyczki, delegatki, wyborczynie, majstrzynie, radczynie i t. p.

Z narodem tym, któremu nic już nie przeszkadza, aby i strój męski przywdział (jakoż w Ameryce przychodzi już do tego), mogą spędzać bardzo... mądre ... lekarz, urzędnik, inżynier, adwokat, ch...

152

Dwutygodnik dla Kobiet.

PISMO

BELLETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok I. Poznań, 5 marca 1881. Nr. 12.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Długa ulica 8. Opłata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mrk., roczna 12 mrk. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całem państwie pruskiem i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcya; kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 złr., półrocznie 4 złr., ćwierćrocznie 2 złr., za co się przesełą franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiéj we Lwowie.
Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwułamowego.

NAD STRUMIENIEM.



Jak tu cicho w tej dolinie!
Ten sam strumień zawsze płynie
Wśród tych samych drzew;
Gęstsza tylko ich korona
I kaliny większe grona,
Czerwone by krew.
Ot! taż sama niby trawa
Chłodem wody się napawa —
I zieloną skroń
Pod ciężarem rosy z rana
Chyli, patrząc zadumana
W przezroczystą toń.
I ja spojrzę — w tym krysztale
Widywałem niegdyś stale
Obraz cudnych lic;
Oczy modre jak bławaty,
Włosy złote, a w nich kwiaty,
Dziś — nie widzę nic.
Trawko! trawko! tyś szczęśliwa!
Wkoło ciebie nic nie zbywa,
Wszystko jest jak wprzód;
Widzisz zawsze te błękity,
Wieniec z liści w górze zwity
I zwierciadło wód.
A choć ostry wiatr jesieni
Twą zieloną barwę zmieni,
Choć cię śnieżny puch
Pod całunem swym zagrzebie,
To gdy słonko błyśnie, w ciebie
Nowy wstąpi duch.
I powstaniesz odrodzona,
Wiosna weźmie cię w ramiona,
Nowy da ci strój,
Wionie ciepłem na wsze strony
I z lodowej kry zwolniony
Znów popłynie zdrój.
Czemuż cudnych mar obrazy
Los powtórzyć choć dwa razy
Nie pozwala nam?
Czemuż niegdyś w to ustronie
Mnie kochanki wiodły dłonie,
A dziś — wracam sam!
Ot, ten kamień teraz pusty!
Dotknę się go memi usty
I pozdrowię rad:
Powiedz, starcze, tej doliny,
Czyś zachował mej dziewczywy
Drobnych stopek ślad?
Często ona dla zabawy,
Lub się mokrej chroniąc trawy
Wstępowała nań;
A jam klęczał — i w zachwycie
Zpoza rzęs rzuconą skrycie
Brałem spojrzeń dań.
Ach! bo była taka skryta,
A przeze mnie tak spowita
W ideału czar;
Żem pieszczone słów jej tony
Brał za serca głos — Szalony!
Brałem lód za żar.
Dziś wiem prawdę, lecz cóż z tego?
Ona serca złamanego
Nie naprawi, nie!
I nie wskrzesi iskry złotej
I nie stłumi mej tęschnoty
Po tym cudnym śnie.
O! zaprawdę, skoro w duszy
Ideały czas pokruszy,
Starga marzeń nić,
Czystych uczuć szatę zbrudzi
I z zapału pierś ostudzi,
Wtedy — trudno żyć.
Wtedy lepiej, stokroć lepiej,
Gdy się serce tak zasklepi,
Że mu można rzec:
„Stań się głazem“ lub samemu
Módz się oddać snu wiecznemu
I pod głazem ledz.

Hajota.

Niccolo Macchiavelli.

Szkic historyczny.

Napisał

WOJCIECH JAROCHOWSKI.

Kordyan w podziemiach katedry św. Jana przeklinając niewolę, wyrzekł: „a iluż z nas przedzierzgniono w zdrajców i skalano“. — Najstraszliwszy to skutek niewoli, długiego męczeństwa, czy przeciągłych cierpień narodu, że ciągła walka łamie niejednych, pogrąża ich w rozpacz i apatyą, popycha — i to właśnie ludzi z największem sercem i z najświetniejszym umysłem — do myśli i czynów, które wieczna, bezwzględna moralność potępić musi, „iż chcą iskier z czarta kuźni, by przepalić czarta moc.“ — Trwożliwe chylenie głowy przed dokonanym faktem z jednej strony, chęć wyratowania materyalnego bytu zpośród narodowego pogromu, choćby nawet kosztem godności własnej — rozpaczliwa, ślepa chęć zemsty nad wrogiem bez jasno wytkniętego celu z drugiej, która się musi skończyć złamaniem i pogrążeniem narodu w tem większą otchłań sromoty i nieszczęścia, oto przeciwne krańce drgań konwulsyjnych zgnębionego ludu, prawdziwa Scylla i Charybdis, wśród których przejście ciężkie zaiste i trudne.

Droga pośrednia! — Cóż nią jest? Dla szeregowców łatwiéj ją oznaczyć: pełnienie codziennych obowiązków, rozniecanie w sercu nadziei przyszłości, ukochanie tej przyszłości, gotowość poświęcenia dla niej wszystkiego, czem człowiek rozporządza; ale to dopiero materyał, z którego gmach zbudować można. Ale jaka droga dla tych, którzy poczują w sobie siłę być drogoskazami, poprowadzić ten materyał na drogę szerszych czynów? Halban powiada młodemu Konradowi: „wolnym rycerzom wolno wybierać oręże i na polu otwartem bić się równemi siłami“, dla nas jest inny sposób, „lecz stokroć przeklęta godzina, kiedy od wrogów zmuszony schwycisz się tego sposobu.“ Nieszczęście, pogrom narodu, jest zaiste strasznym doradzcą. Nie jest to rozkosz dla człowieka z lepszym pierwiastkiem brnąć w złe, lub je doradzać, z samowiedzą hańby, którą się człowiek okrywa, z pogardą wreszcie samego siebie. — Przystępujemy do ocenienia człowieka tego rodzaju, spotwarzonego, zbezczeszczonego, którego imię przez długie czasy synonimem było bezczelnego cynizmu, który przez trzy przeszło wieki stał pod pręgierzem historyi, niezawsze sprawiedliwej nauczycielki ludów. Tym człowiekiem: Niccolo Macchiavelli. Uprzytomnijmy sobie czasy świetności, czasy pogromu i męczeństwa pięknej ojczyzny tego człowieka, zobaczmy, jakie to ideały kołysały się w gorącej jego duszy, a jak je w błoto wdeptali i skalali właśni jego ziomkowie, nie mniej jak obcy najezdzcy, jak to straszliwy dopiero realizm wypadków zrobił go owym spotwarzonym Macchiavellim, od którego szczerze, czy nieszczerze, świat przez długie wieki twarz odwracał, który kochał swe Włochy więcej, niż strupieszałe i znikczemnione otoczenie swoje, który głośno wyrzekł zdanie: „gdy chodzi o zbawienie ojczyzny, nie trzeba się liczyć ani z sprawiedliwością, ani z bezprawiem, litością ani też okrucieństwem, pochwałami, ani też naganą, lecz nie zważając na żadne przesądy, żadne względy, ojczyznę trzeba zbawić sławą czy też zbezczeszczeniem się.“

Wielka była świetność Włoch 15-go wieku. — Wolność zakwitła, a z nią przemysł, handel i ogólne bogactwo. Na niewielkiej przestrzeni w Lombardyi i Toskanii powstało miast kilkanaście, z których zamożnością, polorem, nauką, żadne inne miasto europejskie równać się nie mogło. — Medyolan, Padwa, Verona, Wenecya, Piza, Florencya, stanowiło każde w swych murach ważniejszą całość, niż obszerne państwa poza Alpami. — Położenie geograficzne, wyższość wykształcenia, dozwalały miastom włoskim równe ciągnąć zyski z barbarzyństwa ówczesnego zachodu, jak z starzejącej się cywilizacyi wschodnich krajów. — Cały handel dwóch światów obrócił się na Włochy. Kantory włoskie mnożyły się po wszystkich wybrzeżach. Włosi byli zarazem rękodzielnikami, przewoźnikami i bankierami. A nad wszystkiemi miastami królowała Florencya z niesłychanemi bogactwy, które były źródłem politycznego ich wpływu w Europie.

Państwa europejskie, zubożałe ciągłemi wojnami, posiadające szczupłe i niepewne dochody, chętnie przyjmowały Florentczyków za swych bankierów i agentów, chętnie oddawały im pod zarząd swój skarb i swoje mennice. Medyceuszowie, owi najsłynniejsi bankierowie świata, utrzymywali szesnaście kantorów bankowych po rozmaitych miastach Europy. Sama Florencya posiadała 170,000 mieszkańców; wznosiło się w niéj 100 klasztorów, 1200 uczniów odbywało kurs wyższy naukowy, a 600 młodzieńców przechodziło przez wszystkie stopnie wykształcenia. — Jakie z tego wynikły rezultaty, dostatecznie dowodzi okoliczność, że przy wstąpieniu Bonifacego VIII na stolicę apostolską, znalazło się w Rzymie 12 Florentczyków, jako ambasadorów do obcych mocarstw. — „Ziemia, powietrze, ogień, woda i Florentczykowie są wszędzie“, rzekł Bonifacy. Dodajmy do tego świetny stan literatury i sztuki, która promieniami z Florencyi rozchodziła się na całe Włochy, stąd na świat cały. — Cześć dla nauki i sztuki posuwano do bałwochwalstwa. Poeci, artyści, uczeni, byli udzielnymi panami, przemawiali jakby z wyniosłości tronu do rzeczywistych mocarzów świata. — Zakładanie katedr po uniwersytetach, opieka nad artystami, poetami, zbiory książek, starożytności, stały się modą, namiętnością zamożniejszych rodzin. Słowem rozkoszowano się życiem, bo też piękne było. Bóg, człowiek, natura i sztuka podały sobie ręce, by rozmarzyć szczęściem tych ludzi. Nad nimi ciemne niebo, oświecone gwiazdami, z dziwną potęgą rzucającemi swe światło na ziemię; u stóp ich natura z uśmiechem, zdająca się mówić człowiekowi: życie to żart, to marzenie, błogo tu, ale gdzieś tam za górami, za sinemi falami uroczych jezior, w oddali, w przyszłości jest jakaś większa piękność, większa rozkosz, do której płyń i dąż! — Zrozumieli ten szept natury artyści. Odtwarzali ją w jej uroczej prostocie, ale drugą ręką wskazywali na niebieskie wyższe ideały, tworząc nieśmiertelne swoje Madony. — Lecz za dobrze było tym ludziom. Długi spokój sprowadził miękkość i rozpieszczenie, stąd wypłynęła rozwiozłość obyczajów, niesnaski, swawola i szybki nader rozkład. Miasta zbyt były świetne i blizkie siebie, by mogły przy rozbudzonem współzawodnictwie żyć w przyjaźni, a zbyt słabe, by jedno drugie zawojować i w poddaństwie utrzymać mogło. — Florencya nigdy stanowczo nie mogła zawojować Sienny i Luki; Piza z rozmaitem szczęściem walczyła przeciw Florencyi. W ogóle duch odrębności był tak silny, że lada miasto chętniej znosiło rządy najkrwawszego tyrana, jak bratni związek z sąsiednią rzecząpospolitą. — Pod koniec 15 wieku wszędzie wolność uległa pod zdradą i okrucieństwem tyranów. Żaden z nich jednak nie był dość silny, żaden nie miał dość wzniosłego znaczenia i imienia, by w danej potrzebie mógł połączyć swą powagą całe Włochy przeciw cudzoziemskiej napaści.

Rozdarte więc Włochy na pojedyńcze państewka, miasta ciągłą ze sobą prowadzące wojnę, nad niemi tyrani, do najwyższego stopnia znienawidzeni przez swoich poddanych, dodajmy do tego partye w każdem mieście, nienawidzące i prześladujące się wzajemnie, szlachta zniewieściała, gardząca wojennem rzemiosłem, niezdolna do groźnych zapasów, lud zdemoralizowany, niewiedzący za kim iść, kraj napełniony prawdziwą plagą, owymi kondotierami, prześladującymi równo swoich, jak nieprzyjaciół; — otóż obraz naprężenia, w jakiem znajdowały się Włochy, gdy przyszedł na nie napad ościennych zaborców. — Nikt nie przewidywał prawdziwego niebezpieczeństwa. — Niezachwiana pomyślność materyalna i wyższość umysłowa ustaliła w nich przekonanie, iż przodując Europie, trzymają w ręku jej losy. — Każdy radował się z przybycia cudzoziemców, zapraszał ich jako gości, bo przypuszczał, że używszy ich do swoich osobistych celów, łatwo się ich potem pozbędzie. Karola VIII, który 31 grudnia 1494 wchodził

nicach zupełnej swobody publicznej, nie może już być nazwany zasadzką i niespodzianką. Źródło i przyczyny jego spoczywają o wiele głębiej, a mianowicie w błędach, jakich się dopuścili liberalni, w ich nadużyciach zdobytej pozycji, w walkach przeciwko wierzeniom i ustępstwach na korzyść radykałów wtenczas, kiedy na pozór niby to usiłowali od nich się odsunąć. Liberalni więc sami sobie zgotowali upadek, radykaliści przyśpieszyli go tylko i powiększyli jego rozmiary przez agitacje prowadzone od lat dwóch i przez wybryki anarchiczne, wreszcie przez swoją propagandę. Nie ulega wątpliwości, że ostatnie zaburzenia przyczyniły się do obudzenia i zaakcentowania instynktu zachowawczego w Belgji. Fakt ten jest zupełnie widocznym.

Jest wszakże jeszcze jedna nader doniosła okoliczność: oto utrzymujące się od dwóch lat ministerjum pod wodzą p. Beernaerta umiało rządzić się takiem umiarkowaniem, iż z jednej strony nie drażniło instynktów liberalnych, a z drugiej nie dało się porwać krańcowej redakcji. Zachowawcy są dotąd u steru rządów i pozostaną przy nim co najmniej do przyszłych wyborów, t. j. do roku 1888-go, i jak wszystkie partje zwycięskie, mają przez ten czas możność wyzyskać korzystne swoje położenie. Jeżeli nadal będą równie, jak dotąd przezornymi, to zrozumieją, że hasłem ich polityki powinno być: „nie utracić przez niepowściągliwość tego, co zyskali i umocnili przez umiarkowanie".

Br. Z.

Echa kąpielowe.

IV.

Do poezji dobrze widać uspasabia **Nałęczów**, bo p. H., skreśloną w dniu onegdajszym relację swoją z tej miejscowości rozpoczyna półpieśnią i półszaradą:

W nałęczowskim, ślicznym parku
Śpiesz obchodzić, bracie młody,
Przy dorocznym pszczół jarmarku
Lip doroczne, wonne gody.

Ale strzeż się, gdyś wesoły,
W melancholję wpaść błękitną,
Bo gdzie stąpniesz brzęczą pszczoły,
Bo gdzie stąpniesz lipy kwitną.

Tak to *drugie* się rozmarzy,
Oszołomi tak to *pierwsze*,
Że rozsądek zwolni straży
I pisywać zaczniesz... wiersze...

Tak, tak, kto chce czy nie chce musi tutaj zaimprowizować cokolwiek i to koniecznie na temat lip i pszczół. Te dwie potęgi opanowały park całkowicie i wypraw iają w jego cienistych, wspaniałych alejach istne orgje woni i brzęku. Nie można powiedzieć, że tu lipy pachną; one poprostu buchają zapachem, a co się tycze pszczół!... Ktoś kiedyś zrobił obliczenie, że gdyby człowiek w stosunku do swoich rozmiarów posiadał głos tak silny jak konik polny, to słychaćby go było w Warszawie, gdyby się odezwał naprzykład na Gibraltarze.

Ciekawa rzecz, gdyby nałęczowskie pszczoły poprzedzierzgały się w ludzi i zaczęły drzeć się odpowiednio, gdzieby się taki chór rozległ? Prawdopodobnie umarli na Jowiszu pobudziliby się w swoich interesujących grobach.

W obecnym stanie rzeczy ten nieustający brzęk, unoszący się w powietrzu tak przesiąkłem słodką, narkotyczną wonią, że się zdaje jakby ta woń kapała na nas miodowemi kroplami, sprawia w połączeniu wrażenie denerwujące. Chciałoby się zdrzemnąć na każdej ławce, koło której się przechodzi, jakaś dziwna, obezwładniająca senność krąży pośród tych drzew olbrzymich, rzucających o południu głębokie, błękitnawe cienie.

Przyczynia się do tego wielce zupełny brak ruchu, powiedziećby można pustka, wyglądająca z każdego kąta, pomimo, że mieszkania, zwłaszcza po willach, wszystkie już zajęte. Gdzie się ludzie kryją? niewiadomo.

Od 9-ej zrana z ostatnim dźwiękiem przygrywającej na wysepce muzyki nieliczni kuracjusze snują się z takiemi minami, jak gdyby dopiero co wyszli z mokrych prześcieradeł, znikają, aby się znowu na krótko o 6-ej ponad stawem pojawić. Co przez cały ten czas robią, niepodobna mi było pomimo ścisłych poszukiwań dotąd wyśledzić. Na werendzie restauracji pałacowej pusto, koło hydropatji prawie pusto, w czytelni niemal że pusto, w kumysarni nawskróś pusto. Gdyby nie pszczoły byłoby zupełnie głucho.

Podobno w porze obiadowej ma być bardzo gwarno przy hydropatycznym *table d'hocie*, mówię podobno, gdyż po dyletancku przebywając w Nałęczowie i nie podlegając klauzurze zakładowej, pożywiam grzeszne ciało w restauracji kurhauzowej, gdzie w porze wydawania obiadów można przecież jakie sześć osób na raz zobaczyć. I to dobre.

Nałęczowscy eksperci utrzymują, iż obecnie jest to chwila zawieszenia pomiędzy pierwszym sezonem, który się już skończył, i drugim, który się jeszcze nie zaczął. Może więc za jaki tydzień ożywi się tu trochę. W każdym razie zjazd jest bardzo mały, co tem dziwniejsza, iż tego roku wody krajowe bardziej niż kiedykolwiek powinny być uczęszczane. Bal niedzielny zgromadził zaledwie kilkanaście osób. Nie opłaciło się nawet zapalać tych gustownych, zielenią przystrojonych żyrandoli. A jednakże, powtarzam, o mieszkania nadzwyczaj trudno, szczególniej o tak zwane podwójne pokoje.

Tych podwójnych pokoi, w które każda inna kąpielowa miejscowość obfituje, w Nałęczowie jest nadzwyczaj mało i stanowi to wielką jego niedogodność. Kto z tych lub owych przyczyn nie chce lub nie może mieszkać w zakładzie, a przyjeżdżie w towarzystwie drugiej jeszcze osoby, tego tylko tutejsze urocze wille jak tantalowe owoce kusić będą swoim ponętnym wyglądem, bo siedziby w nich dla siebie nie znajdzie.

Mieszkania po willach składają się albo z dwóch, trzech, nawet czterech nierozdzielnych pokoi z kuchniami i gospodarskiemi wygodami, co dla dwóch osób, zamierzających stołować się w restauracji, jest zupełnie zbyteczne, lub też z małego pokoiczku, w którym o postawieniu dwóch łóżek mowy być nie może.

Dobrzeby to było, gdyby właściciele tych wdzięcznych letnich ustroni pomyśleli o czemś pośredniem.

Stali nałęczowscy goście, jak Sienkiewicz, Prus, Henkiel, ociągają się jakoś z przyjazdem, ale są, jeżeli nie spodziewani, to przynajmniej oczekiwani z utęsknieniem, należącem im się za sympatję, jaką żywią dla tej pięknej, zdrowej miejscowości.

Pogoda od kilku dni prześliczna.

PIEŚŃ,

podsłuchana od dudarza ukraińskiego.

Krajów cudzych znam niemało,
Wiem, gdzie Dunaj w morzu ginie,
Siła ludzi się widziało...
Lecz raj, życie—w Ukrainie!

U nas—wróg to nawet powie—
Duch w człowieku nie gra wilczy,
Co ma w sercu, to i w mowie!
Zdrad nie knuje kiedy milczy...

Mołodyca taka gładka
Gdzież, jak ziemię zejdziesz całą?...
Toż-to żona! Toż-to matka!
Każdą cmoknąćby się chciało!

A dziewczęta?... Śliczne, hoże,
Z oczu Bóg im świeci jasno—
Białe, jako słonko boże...
Przy ich liczku róże gasną!

A mołojcy?... Ej, sokoły!
Czy to w tańcu, czy w pogoni,
Każdy gracki i wesoły!
Żaden czci swej nie uronił...

Dumką wieszczą—gdzieś, za chmury,
Hen, nad ziemię żwawą, szybko
Pędzi orlik lekkopióry...
W Dnieprze z srebrną szepce rybką...

Nr. 188b. Dnia 10 lipca. Sobota. Dnia 28 czerwca (10 lipca) 1886 r

PRENUMERATA

Kurjera warszawskiego (wraz z codziennem bezpłatnem wydaniem porannem):

Rocznie rs. 9, półr. rs. 4 k. 50, wart. rs. 2 k. 25, mies. k. 75.

Za odnoszenie do domu w Warszawie dopłaca się miesięcz. k. 5.

Opłata za przesyłkę i koszta ekspedycji bezpłatnego wydania porannego na prowincję i do Ces. wynoszą: rocznie rs. 3, półr. rs. 1 k. 50, kwart. k. 75, mies. k. 25.

Za granicą (z przesyłką jednorazową) miesięcz. rs. 1 k. 50.

Oddzielna przedpłata na jedno tylko wydanie *Kurjera* przyjmowana być nie może.

KURJER WARSZAWSKI.

Wychodzi i rozsyła się dwa razy dziennie na Warszawę i na prowincję. W niedziele i święta uroczyste wychodzi tylko rano, w poniedziałki i dni poświąteczne tylko wieczorem.

ROK SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY.

Ogłoszenia i prenumeratę przyjmuje kantor *Kurjera Warszawskiego* codziennie od godziny 8-ej rano do 8-ej wieczorem; w niedziele i święta od godziny 10-ej rano do 1-ej w południe.

OGŁOSZENIA.

Reklamy: za jeden wiersz garmontowy albo jego miejsce pierwszy raz 25 kop., za każdy następny raz 20 kop.

Nekrologja: za jeden wiersz 15 kop.

Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz 10 kop. każdy następny raz 8 kop.

Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* pierwszy raz 2 kop., za każdy następny raz 1½ kop.

Ogłoszenia do *Kurjera warszawskiego* przyjmuje także Biuro ogłoszeń Rajchmana i Frendlera ulica Senatorska nr 18.

Redakcja, Administracja i Drukarnia: plac Teatralny nr 9.— Telefon Redakcji nr 126.— Telefon Administr. 141.

— W dniu jutrzejszym kościół święty obchodzi uroczystość błogosławionego Jana z Dukli. Św. Jan urodził się w roku 1414-ym w Dukli, w Galicji, nauki zaś kończył w akademji krakowskiej, poczem wstąpił do zakonu franciszkanów we Lwowie, a następnie bernardyńskiego w Krakowie, gdzie pędząc życie pokutnicze, z pracy nadmiernej wzrok utracił i zmarł w roku 1484 ym.

— Jutro w kościele św. Ducha (po-paulińskim) rozpoczyna się tygodniowe nabożeństwo odpustowe ku czci Opatrzności boskiej. Nabożeństwo to jutro i w następną (18-go b. m.) niedzielę odbywać się będzie z wystawieniem N. Sakramentu, kazaniami i procesjami, w pozostałe zaś dni oktawy odprawiane tylko będą przed ołtarzem Opatrzności boskiej o godzinie 9-ej zrana solenne wotywy.

— W dniu jutrzejszym o godzinie 7-ej zrana w kościele św. Krzyża, przed ołtarzem św. Wincentego à Paulo, odprawioną będzie druga nowenna do uroczystości tegoż świętego, w dniu 19-ym b. m. przypadającej.

Przegląd polityczny.

Polityka gospodarcza ks. Bismarka poniosła ciężką klęskę. Pośrednio kraj ją potępił, oświadczając się przez usta ogromnej większości przemysłowców swoich przeciw projektowi urządzenia w roku 1888-ym w Berlinie narodowej wystawy niemieckiej. Zgromiona w r. 1870-ym Francja po raz drugi już od czasu klęski porywa się na wielką entrepryzę popisania się przed światem pracą twórczą swego genjuszu narodowego i na r. 1889-ty zaprasza nas do stolicy swojej na wystawę międzynarodową. Zwycięskie Niemcy w lat szesnaście po swym niesłychanym tryumfie militarnym nie mają odwagi przedstawić innym narodom dowodu tego, co ważą w zakresie produkcji przemysłowej i artystycznej. Rada związkowa odmówiła, jak wiadomo, zasiłku trzech miljonów marek na organizację wystawy, motywując tę upokarzającą uchwałę ogólną niechęcią sfer przemysłowych do projektu. Wszystkie izby handlowe królestwa saskiego oświadczyły się jednomyślnie przeciw wystawie; z liczby 191 wielkich przemysłowców W. Ks. badeńskiego, zapytanych przez rząd o zdanie, tylko 26 oświadczyło się za projektem, 30 przyrzekło swój ewentualny współudział wszakże bez przekonania w powodzenie dzieła, 91 potępiło, projekt bezwarunkowo, ze względu na zły stan ekonomiczny państwa i upadek przemysłu narodowego.

A zatem ani połknięcie pięciu miljardów francuskich, ani olbrzymie cła protekcyjne, ani polityka opieki nad krajową produkcją rolną i przemysłową, nie podniosły, lecz osłabiły raczej cesarstwo niemieckie. Polityka gospodarcza kanclerza zachwiała kredytem moralnym zjednoczonych Niemiec wobec Europy i wywarła nawet pewien wpływ pośredni na atmosferę polityczną. Znaleźli się bowiem pesymiści, którzy twierdzą, że gdyby ks. Bismark ufał bezwzględnie w utrzymanie się pokoju europejskiego, byłby całą potęgą swej wszechwładzy w Niemczech poparł projekt wystawy i uratował honor państwa—ekonomiczny...

Wybory w stolicy angielskiej wypadły przeważnie na niekorzyść Gladstona. Ostatnie szczegółowe biuletyny sięgają co prawda dopiero d. 6-go b. m. Londyn, podzielony na 31 okręgów wyborczych, wysyła do parlamentu 62-ch posłów. Z tej liczby do wtorku wybrano 25-iu zachowawców, jednego unjonistę i 8-iu zwolenników polityki irlandzkiej gabinetu. Tylko wschodnie okręgi stolicy, zamieszkałe przeważnie przez ludność ubogą i robotniczą, a zatem z musu demokratyczną, wybrały deputowanych liberalnych. Natomiast na południu i południowym zachodzie olbrzymiej metropolji p. Gladstone poniósł szereg klęsk dotkliwych, zyskując jeden tylko okręg stołeczny Finsbury.

Stronnictwo liberalne w Belgji zostało, jak wiadomo, stanowczo pokonanem na ostatnich częściowych wyborach do Izby, co dopomogło do utrwalenia się gabinetu konserwatywnego. O przyczynach tego objawu w kraju, rządzonym długo przez frakcje liberalne, pisze znany publicysta francuski C. de Mazade w *Revue des deux mondes*. Uwagi jego powtarzamy za *Gaz. lwowską:*

„Nie po raz to pierwszy polityka wybryków i agitacji wywołuje reakcję. Wszystko, co wstrząsa i niweczy pokój kraju, obudza instynkta zachowawcze. Najoczywiściej stwierdzają tę prawdę ostatnie wybory częściowe w Belgji. Dwa lata już upłynęło, jak liberalni, którzy dotąd stali u rządów, ujrzeli się pobitymi przez zachowawców i zmuszonymi oddać w ich ręce ster spraw publicznych. Zwyciężeni tłumaczyli się, iż zaskoczono ich znienacka, pocieszali się nadzieją, że kraj nie da się bałamucić, że katolicy nie omieszkają niebawem skompromitować swoich rządów i tym sposobem zniweczyć efemeryczne zwycięstwo.

Dwa lata ministerjum katolickie utrzymało ster władzy, obecnie rozpisano wybory częściowe do izby i dziwna rzecz, klęska liberałów jest dzisiaj jeszcze większą, niż dwa lata temu. Liberalni mieli w ostatniej izbie 52-ch reprezentantów, obecnie zaś liczyć ich będą zaledwie 40-tu lub nawet 39-ciu. Katolicy stają w izbie w pokaźnej liczbie 100 krzeseł, czyli rozporządzają większością, jakiej dotąd od r. 1830-go nigdy nie posiadali.

Ruch zachowawczy istnieje i coraz wyraźniej zagraża liberalizmowi. Ten rezultat, osiągnięty w gra-

Wieczór nad Morskiem Okiem.

154

―――

. . . . . Po za mną, z naszego schroniska
Szmery słychać i płomień rubinowy błyska.
Ale ja go nie widzę i szmerów nie słyszę
Zapatrzona w tę ciemność, wsłuchana w tę
[ciszę,
Co mnie takim bezmiarem przestrzeni otacza,
Że o żadną skończoność wzrok mój nie zahacza.
Wiem tylko, że tam, kędyś, horyzontu stuła
Niebo z ziemią obrączką wiecznych ślubów
[skuła,
Ale mnie tej obrączki nie dojrzeć oczyma,
W górze... w dole... przedemną... nic, nic zgoła
[nie ma—
Tylko noc czarna, jakby światów tajemnica!.
Taką w wieczornej porze bywa ta źrenica
Którą Tatry, jak owe mytyczne cyklopy,
Patrzą od wieków w niebios lazurowe stropy.
Taką bywa, gdy księżyc nowiem osłonięty,
Nie zanurzy swej srebrnej głowy w jej odmęty,
Gdy gwiazd gromada burzę przeczuwszy ucieka,
Gdy się nad nią chmur ciężka opuści powieka
A mrok nadbrzeżne skały płaszczem swym o-
[dzieje
I niebo, wodę, góry w jedną masę zleje....
O! kto w podobnej chwili stał nad Morskiem
[Okiem,
Kto się tym niewidzialnym upoił widokiem,
Ten zrozumiał zetknięcie dwóch ostateczności,
Pojął rozkosz nieczucia i wielkość nicości.
Pojął.. ale nie każdy... bo na to potrzeba,
By ten ktoś był już syty ziemskichwrażeń chleba;
By kusząc się o kruchą szczęścia odrobinę
Zdobył ją krwią serdeczną, odcierpiał jak winę
I utracił... a w krwawym unużony boju,
Nic już nie chciał od świata...nic, oprócz spokoju.
. . . .
Niech myśl, której nadzieja użyczyła skrzydeł,
Rwie się w przyszłość, zawodów nieświadoma
[sideł—
Niech szuka pierś gorąca i żądna wesela
W świętojańską noc marzeń cudownego ziela,
Niech poeta się wspina po wawrzynu wianki,
Niech mędrzec pragnie prawdy, kochanek ko-
[chanki,
Lecz ty biedny wędrowcze—co z pragnień odarty
Obojętnie przebywasz życia szlak utarty—
Pójdź tutaj!.. tutaj znajdziesz zagłębiony w cienie
Kwiat paproci dla smutnych, zwany: zapomnienie!
Kwiecie dziwny! tyś groszem niebieskiej jał-
[mużny
Rzuconej litościwą Opatrzności dłonią
Tym, którym świat na zawsze ma pozostać
[dłużny
Za skarby uczuć, jakie w pośród niego trwonią.
Tobą stroi pustelnik wnętrze swojej celi,
Z ciebie wieńce pogrobne splatają anieli
I czystym duchom kładą na promienne głowy,
Aby łatwiej rozpocząć mogły żywot nowy.
Ja teraz zrywam ciebie! Jak mi dobrze, błogo!
Gruntu ziemskiego, zda się, nie czuję pod nogą—
Ujęta w przepaściste ciemności ramiona,
Takam w nich strasznie drobna, taka znice-
[stwiona—
Tak mnie życie nie drażni swych wrażeń sze-
[lestem,
Że gotowabym prawie zapytać: czy jestem?
. . . .

Hajota.

W Tatrach 29 sierpnia 1880 r.

...čim dokonce ...

Zdaž při pohledu a pohroužení se v to moře

(Pokračování.)

155

Z BÁSNÍ HAJOTY.*

Přeložil Jan Nečas.

IMPROMPTU.

Zjasni čelo, smutná děvo,
ručku dej mi sem;
pojďme tam, kde uvidíme
květy s motýlem.

Pojďme spolu jak dva milí —
vůle-li to tvá —
tys mně lásku neslíbila,
ani tobě já.

Přece však se dobře známe
ode dávných let,
když nám ještě nepadával
v cestu zvadlý květ.

Když z nás nikdo neměl zdání,
že v svém srdci má

strunu tklivou, vzpomínkovou,
která tiše lká!

POSLEDNÍ PÍSEŇ.

Z přátel, kterým blíže stojím,
nejeden se ptává,
či to leží v srdci mojím
ocel, led neb láva?

Dosti dlouho jsem to kryla,
teď to řeknu směle,
že jsem dávno pohřešila
svého srdce v těle.

Měla jsem je . . . již jen drobka
od zkázy se chrání,
hruď má jest jak temná kobka
s lampou vzpomínání.

Taký oheň bledým bývá,
jiných nezahřeje:

zůstavený bez paliva,
zbylý bez naděje.

* Básně tyto vyňaty jsou ze sbírky vyšlé letos u Lesmana i Swiszczowského ve Varšavě. – Ctěná básnířka polská poctila překladatele zasláním krásného svazku tklivých svých básní, připojivši k tomu vlastnoruční věnování: »Bratru Čechovi sestra Polka.«



(108.)

»Vydáš-li mi svého Jana,
bude zejtra doma chrt. –
Co s ním počnu? — Černokněžku
zmladí jinochova smrt.

Mám-li – tak jest v hvězdách psáno —
děvče zas se usmívat,
v jinošské se krvi musím
častěj' umývat!« –

Na ta hrozná slova zbledl
švarný jinoch co stěna,
mezi nadějí a strachem
vrhl se na kolena;

litostivým hlasem prosí
statečného rytíře,
život věrného by sluhy
nedal za zvíře!

JAN ZA CHRTA DÁN. Ballada od K. S. ŠNAJDRA. Illustruje K. KREJČÍK.

siadał swą kartę. Czy praktyka jednak ziści te korzyści, jakie sobie obiecują z tego względu niektórzy optymiści, trudno się obronić wątpliwościom. Trzebaby, ażeby przedtem zamieniły się w czyn pragnienia, wyrażone przez p. Burlamiego, wiceprezesa londyńskiego Stowarzyszenia dziennikarzy zagranicznych, ażeby korespondenci zagraniczni wszędzie korzystali z tych samych praw i ułatwień, jakie mają dziennikarze miejscowe.

Prawdopodobnie atoli dużo wody upłynie, zanim spełnią się te życzenia. Ta prasa posiada zawsze najwięcej praw, która wywiera największy wpływ. Ztąd Paryż, Londyn lub Berlin liczy się najsilniej z dziennikarstwem miejscowem. W drugim już rzędzie stoją przedstawiciele potężnych czasopism światowych. Lecz któż w Paryżu lub Londynie będzie się liczył na serjo z korespondentem dziennika wychodzącego w Pradze czeskiej lub Kopenhadze? Mimo wszystkie usiłowania, nie będzie on posiadał tych praw, jakie są udziałem wpływowych miejscowych przedstawicieli prasy.

Słusznie zauważył Taunay, że rozwiązanie tej sprawy może nastąpić jedynie wskutek wzmożonego poczucia solidarności. Jeśli dziennikarze paryscy, londyńscy lub berlińscy będą okazywali koleżeńską pomoc miejscowym reprezentantom pism zagranicznych, przez to samo zniknie wiele trudności. Tylko przy ich solidarnej pomocy korespondenci zagraniczni mogą uzyskać potrzebne ułatwienia.

Dziś jeszcze nie jest wiadomem, gdzie się odbędzie kongres następny. Dziennikarze belgijscy proponują Liege; włoscy—jedno z miast północno-włoskich. Znamienny jest fakt, że o Berlinie niema wcale mowy. Na poprzednich zjazdach dziennikarze berlińscy kilkakrotnie wysuwali na pierwszy plan stolicę pruską. Teraz milczą. Widocznie przekonali się, że Berlin dla zbyt wielu narodowości byłby niemiłem miejscem spotkania.

Wczoraj wieczorem hr. Gołuchowski podejmował członków zjazdu w pięknych apartamentach swoich przy Ballplatz.

Przyjęcie u hr. Gołuchowskiego nie było nacechowane tym sumptem, z jakim wystąpił poprzedniego dnia p. Koerber. Powszechne zajęcie budzili członkowie ambasad japońskiej i chińskiej. Dziś członkowie kongresu podejmowani będą przez p. Luegera w ratuszu.

—skrz.—

KORESPONDENCJE

„Kurjera warszawskiego".

Bellagio, 8-go września.

Jak potworny łeb zielonej żmii, tak wsuwa się daleko w błękitną toń jeziora Como czubaty przylądek, w którego najwęższem wgłębieniu usadowiło się cudne siedlisko ludzkie, zwane Bellagio.

Miał zupełną słuszność zacny „major" Olendzki (ta tak bardzo charakterystyczna postać z dawnego dziennikarstwa), gdy wszystkim, świeżo upieczonym parom doradzał na podróż poślubną Bellagio.

— Jedźcie tam,—mawiał—a gdy będziecie mieć po siedemdziesiąt lat z okładem, gdy jedno oślepnie, a drugie ogłuchnie, a oboje artretyzmy pokręcą, jeszcze wtedy rozbiegną wam się wszystkie zmarszczki na twarzach i oczy się zaśmieją, skoro które z was z nienacka zapyta: „A pamiętasz ty Bellagio?"

W istocie jakiś urok niepojęty, dziwny, naznaczył ten skrawek włoskiego wybrzeża przed innemi. Boć niby one wszystkie takie piękne te jeziora! I Lago Maggiore ze swojem wpół błękitnem, wpół zielonem obliczem i tem cichutkiem Locarno, co zda się marzyć nad niem o minionej sławie Viscontich — nie mówiąc już o Isola Bella — i Lugano, pyszne mnogością miast i miasteczek, w krąg go opasujących i bogactwem swych urodzajnych skłonów, oba takie piękne, że Como nie sprawia po nich większego wrażenia.

Chciałoby się zaśpiewać:

W górach włoskich trzy jeziora
Spór zacięty wiodły wraz:
Każde z nas — błękitna mora,
Któreż najpiękniejsze z nas?

I Parys-wędrowiec waha się zakłopotany; ale oto wysiadł w Bellagio i tu składa jabłko swojego zachwytu...

Nie zaraz jednak. Pierwszy rzut oka — nic osobliwego. Marny placyk debarkaderu, wzdłuż niego dość marne hotele; u brzegu szeregi łódek o białych i różowych daszkach, a na cembrowinie rząd młodych i starych kobiet, piorących bardzo brudną i bardzo podartą bieliznę.

Ale wystarczy tylko skręcić w bok i po jednej z wązkich, jak kurytarze, poszachtowanych w granitowe szczeble, jak drabina, uliczek miasteczka, wspiąć się w górę, minąć prędko, nie patrząc, żeby sobie nie psuć oczu, sklepy okropnych wyrobów i rzekomych mozaik z oliwnego drzewa i powiewające kołdrami i szalikami wystawy tutejszych fabryk jedwabiu i — pójść gdziekolwiek przed siebie.

Pójść, dać się wciągnąć w labirynt dróg i dróżek, białych, jak kreda, brzeżonych wysokiemi parkanami ogrodów i winnic, a można być pewnym, że na każdym niemal skręcie nowy, niespodziany obraz zaczaruje wzrok, że stałoby się i patrzało bez końca, gdyby nie myśl, iż dalej jeszcze coś piękniejszego czeka.

Nigdzie, nigdzie nie zdarzyło mi się widzieć takiej oszołomiającej wprost rozmaitości widoków, gry barw i światłocieni, jak tutaj. Spotyka się to w zatoce Neapolitańskiej, ale zatoka Neapolitańska nie ma śniegów na swoich wyżynach a Como je ma, mając zarazem błękit Mediteranji. I przytem ta wegetacja przebujna, przepłodna, od której aż w głowie się kręci. W południe, naprzykład, gdy się idzie zaczarowanym parkiem takiej willi Serbelloni, zapach rozprażonych igieł świerkowych wlewa w żyły nieopisaną rzeźwość, jaką dają nasze chłodne lasy. A jednocześnie ma się nad sobą wspaniałe palmy południa i cyprysy, i agawy, zstępujące z kamiennych tarasów, i deszczem różowym kapiące z nich kapryfolja, i olbrzymie, białym i ponsowym kwieciem pokryte, oleandry; a w dole, po skłonach ku jezioru rozpięte winnice i winnice bez końca, ciężkie teraz od ametystowych gron, i sino-zielone figi i bursztynowe brzoskwinie i złociste kolby kukurydzy, istny kosz Latony do słońca otwarty.

I idzie się tak w górę, ciągle w górę, mając pod sobą coraz więcej roztoczy wodnej, po której, jak czerwone i białe ptaki, mkną łódki Bellagia i suną parowce, ciągnąc za sobą szeroki gościniec srebra. Chwilami ma się uczucie, że jest się na wyspie, tak zewsząd ogarną cię ramiona widnych ztąd obu odnóg jeziora. Głąb' wodna podwaja wrażenie wysokości, z jakiej się w nią patrzy, coś lotnego, bratającego duszę z przestworem, idzie ku tobie i przypina skrzydła wszystkiemu, co z daru Prometeusza na dnie twojego *ja* leży...

I blizkiemi ci te śniegi het nad tobą, i te szafiry nad niemi, i blizką także ta toń, utkana w stubarwne centki, jakgdyby jaki bajeczny paw' pogubił te pióra w przelocie.

A jak dalekiemi marne troski codziennego życia, jego trywjalne trudy, płaskie zadowolenia i nudne zwyczaje!

Ale—zwolna!... to dla ciebie, przeciętny turysto, który za każdego swojego franka chciałbyś wszystko zobaczyć, wszystkiego zaznać, wszystko w siebie wchłonąć. Są szczęśliwcy, którzy sobie na więcej pozwolić mogą.

Oto, w tymże parku willi Serbelloni, na kamiennej ławce, z której najczarowniejszy odsłania się widok, spostrzegam elegancką damę... Siedzi odwrócona plecami do jeziora, do gór, do śniegów, do słońca, do wszystkiego; spuściła głowę i uważnie ceruje... tak! ceruje białą, jedwabną pończochę.

Wyznaję, że zazdrość ukłuła mnie w serce... Jakiemiż różami usłane być musi życie tej wybranki, wśród jakiego nadmiaru piękna stąpa, jeśli taki włoski dzień, takie szafiry, takie cuda dokoła, są dla niej tylko dość dobrem tłem do oddania się przykładnemu zajęciu gospodarskiemu, które, gdyby chciała, mogłaby powierzyć swojej pannie służącej.

O zakład, że ma pannę służącą i że mieszka w Grand-Hotelu, którego goście rozporządzają się w parku willi Serbelloni jak u siebie!

Bo gdyby mieszkała np. w Hotel-Florence, jak nieprzymierzając niżej podpisana, i gdyby musiała zapłacić franka za wstęp do willi, i gdyby przezorność nakazywała się obliczyć co wieczór skrzętnie, ile tych franków już poszło, a ile ich jeszcze zostało... ach! wtedy z pewnością nie przyniosłaby tu białej, jedwabnej pończochy do cerowania.

Ale to mi przypomina, że, prócz idealnych zachwytów, zdać się może garść praktycznych wskazówek tym, którzyby tu przyjechać chcieli. Teraz właśnie sezon najlepszy.

Otóż Bellagio jest drogie. Niżej 12-tu franków na osobę nie można opędzić dnia, nie licząc żadnych ekstra, a tych się dosyć nazbiera, bo tu nawet piękne widoki bywają opodatkowane. To też na dłuższy pobyt miejscowość to tylko dla dobrze zahartowanych kieszeni. Ktoby jednak chciał zabawić jakichś pięć dni, niech już pozostanie cały tydzień, jeżeli mu na czasie nie zależy, bo wtedy płaci ceny pensjonatowe, które będą o tyle niższe, że mu te dwa dni dodane wypadną prawie darmo.

I na zakończenie idę dalej niż ś. p. Olendzki. Nietylko świeżo zaślubionym parom, ale takim, które już srebrne wesela święciły, i wdowom, i wdowcom, wszystkim, którzy mogą, radzę: „Jedźcie do Bellagio!"

Hajota.

Czerwiec. Kojanowo.

Pożółkłe kartki, jak stary kwiat zasuszony, a na tych kartkach krew serca mojego, gdy ja byłam sobą, dla siebie żyłam, sobą świat wypełniałam i... cierpiałam bez miary. Słowa tego nie wyraziły, bo nie mogły.

Dziewięć lat minęło.

Staś rośnie i rośnie, a myśl papy zasnęła, jak to przeczuwała Maggie, nie można go obudzić.

Staś rośnie, taki do niego podobny i taki zupełnie różny. Rasowy: dwie rasy ojca i matki tak się w nim zlały, sharmonizowały; bujne życie Kenetów wre w nim i kipi.

Nie zaznał sieroctwa. Wychowałam go przy sercu swojem i sercem całem, ale trwoga mnie ogarnia, czy hart w nim dostateczny, czy wola stalowa?

„Bez przywilejów", to główna zasada mego wychowania, on to już dziś rozumie; reszty Karol dokończy,—on potrafi lepiej ode mnie. Za kilka lat, podług woli Maggie, oddam go Karolowi, a może... może Lulu sobie zabiorę i razem nasze ciche, choć tak czynne, życie kończyć będziemy.

Tyle mam zajęcia! Nowe Kojanowo też wre i kipi życiem Kenetów; wciągnięto mnie w ten wir; moje marne „ja" ginie w niem.

Ach! gdybyż zaginąć chciało bezpowrotnie, bo teraz rozumiem, że to „ja" nie było i nie jest najsilniejszem rozwinięciem się indywidualizmu, że dusza ludzka poza określonością swojego „ja" może rozprzestrzeniać się w bezmiar, w nieokreśloność doskonałości.

Doskonalić się—to znaczy zatracać w sobie swoje „ja", czyli rozszerzać ducha swego.

Nie o sobie chcę pisać, bo ja już się nie liczę.

Wszystko inaczej dziś przedstawia się oczom moim. Z innego patrzę punktu i, gdy dawniej, z niższego wierzchołka spoglądając, widziałam tylko ostre kontury kilku najbliższych mnie szczegółów życia, a poza niemi świat dla mnie nie istniał; teraz z serdecznym bolem w duszy swojej wdarłam się o kilka szczytów wyżej, widzę więcej, jaśniej, widzę moc rzeczy zlewających się bardzo harmonijnie w jedną całość, dopełniających się wzajem.

To, co dawniej zdało mi się gorzką, piołunową ironją życia, co mi się zdało uciskiem strasznym, czego pojąć nie mogłam, pytając: dlaczego Maggie umarła? dlaczego Karol mnie odepchnął? dlaczego Lulu nie mogła pokochać Zdzisia? dlaczego Dickowi ja, nie chcąc, prawie bezwiednie, nie przypuszczając konsekwencji, życie złamałam? To wszystko przestało być ironją, bo tak Bóg chciał, bo On rządzi nami, gdy pozwolimy mu sobą powodować. Ironja jest tylko pozorna.

Wiem, że duch Maggie promienieje szczęściem nie z tego świata, wiem, że i nasze duchy cierpieniem rozświetliły się, jaśniej patrzą.

Dawniej zupełnie nie pojmowałam tego, a moja modlitwa formą była, bezduszną formą.

Dziś czuję pomoc Dicka, a przestrzeń olbrzymia, która nas dzieli, jest niczem. Błogosławieństwo modlitwy jego czuję nad nami wszystkimi.

Gdy słońce wstaje, a we mnie, zanim mnie życie czynne pochłonie, powstają dawne burze, dawne bunty, dawne pragnienia egoistyczne, czuję, jakoby z dala płynący Krzyż pokoju, Krzyż ukojenia, i wiem, czyja świętobliwa ręka Krzyż ten zakreśla nade mną.

Twoja to dłoń, Dicku, błogosławi nam Krzyżem miłości i zaparcia. Tyś najlepszą obrał cząstkę, która ci odjęta nie będzie.

A ten, który się przesuwa między nami i jest osią wszystkiego, wszystkiego, czy to Karol? czy cień jego postarzały, zgarbiony, z głową białego starca? Usta jego uśmiechają się do Lulu, do Stasia, ale oczy nigdy.

I moje nie; na to jedno zdobyć się nie mogę; reszta ujarzmiona.

KONIEC.

Wiadomości bieżące.

= Zjazd Pancera.

Przyczółek murowany przy pierwszej arkadzie od strony ulicy Bugaj, osłaniający skrzydło skarpy ziemnej zjazdu, jest obecnie rozbierany, cegłę bowiem strawiła wilgoć. W roku przyszłym będzie dokonana naprawa frontów wszystkich pięciu arkad, po obu stronach zjazdu.

Jak świetnie zjazd był budowany, dowodzi to, że dotąd trzyma się dobrze, chociaż do murów użyto cementu sztucznego, t. j. starego wapna, mieszanego z proszkiem ceglanym. Cegła była doskonała, chociaż nie znano wówczas pieców hofmanowskich.

Najciekawszym atoli jest bardzo nizki kosztorys materjałów i robót, za które płacono: cegła—1,207,704 sztuki po rb. 10 i 907,734 sztuki po rb. 9 (za 1,000); wapno—9,170 korcy po kop. 90 korzec, razem rb. 38,402 kop. 15; roboty mularskie—rb. 20,056 kop. 29; buksztele rb. 2,605 kop. 74; roboty kamieniarskie z materjałem rb. 3,578 kop. 58; poręcze żelazne nad sklepieniem zjazdu rb. 3,205; roboty ziemne (16,394 sążni) rb. 34,365 kop. 29; zabezpieczenie brzegu Wisły rb. 1,023 kop. 19; roboty brukarskie rb. 8,436 kop. 63; poręcze drewniane rb. 451 kop. 20; uporządkowanie otworów pod sklepieniem rb. 1,279 kop. 20; kanały w zjeździe rb. 2,358 kop. 86; nadzwyczajne wydatki rb. 13,128 kop. 53; wynagrodzenie za prywatne grunta, zajęte pod zjazd, rb. 17,755 kop. 74. Razem koszta całkowitej budowy zjazdu z pięciu arkadami wyniosły sumę rb. 146,646 kop. 49.

Budowę rozpoczęto w kwietniu 1844 roku, a ukończono w październiku 1845 roku. W roku 1846 d. 16-go sierpnia, podpisano protokół z odbioru robót budowy zjazdu. Protokół podpisali inspektorowie okręgu komunikacji: Przyrębel i Klementowski; inżenier miasta Swiątkowski; członek ogólnej rady budowlanej Górecki; przedsiębiorca budowy Wojciech Łapiński; inżenier Swieszewski; rachmistrz Muszyński i Feliks Pancer, jako główny kierownik robót. Protokół sporządzał inżenier p. Juljan Majewski, jedyny pozostały dziś przy życiu, z pośród 8 wyżej wymienionych osób.

= Dzieci żebraków.

Ze wszystkich form wyzysku pod pozorem żebractwa, który ostatniemi czasy zwłaszcza z racji wielkiego braku pracy tak się rozpowszechnił w Warszawie, najwstrętniejszą może jest żebranina, używająca dla swych celów dzieci.

A to coraz częściej daje się obecnie spotykać. Coraz częściej na schodach i w kruchtach kościelnych widzi się na rękach żebraków małe dzieci, przeważnie niemowlęta.

Nie trzeba się łudzić. W dziewięćdziesięciu pięciu wypadkach na sto, są one wynajmowane w celu wzbudzenia większej litości przechodniów. Każdy oczywiście, widząc małe dziecko, łatwiej się wzruszy i chętniej sięgnie do kieszeni po pieniądze.

Zarobek płynie.

Ale za to dola tych dzieciaków, używanych „na przynętę", wcale niewesoła. Widzieliśmy w tych dniach, jak jakaś żebraczka ułożyła roku może jeszcze niemające niemowlę na kamiennej posadzce kruchty i pozostawiła je tak przez cały dzień.

Wstrętny ten przemysł powinien być jaknajenergiczniej zwalczany.

Przedewszystkiem jest to obowiązkiem władz kościelnych, które powinny rozciągnąć ścisłą kontrolę nad żebrakami, znajdującymi przytułek w kruchtach, i stanowczo zabronić przebywania tam z dziećmi, a tem bardziej wynajmowania dzieci, a następnie może się do wykorzenienia tego zła przyczynić i publiczność, nie udzielając jałmużny oszustom, którzy, kosztem zdrowia dzieci, torują sobie drogę do litościwych, a łatwowiernych serc i kieszeni.

= Kościół w Tobolsku.

Otrzymaliśmy drukowaną odezwę ks. Wincentego Przesmyckiego, proboszcza tobolskiego, w sprawie składek na ukończenie tamtejszego kościoła rzymsko-katolickiego.

Kościół ten pod wezwaniem św. Trójcy, wznoszony według planów p. K. Wojciechowskiego, architekta z Warszawy, doprowadzony został w r. 1903-im pod dach, a w bieżącym ukończono zewnętrzną jego budowę. Z braku jednak funduszów urządzenie wewnętrzne musiało być zaniechane.

Parafjanie tobolscy, z małym wyjątkiem, są to ludzie niezamożni, a przytem rozrzuceni na znacznej przestrzeni i własnemi siłami trudnemu zadaniu nie sprostają.

Wobec tego proboszcz, po uzyskaniu odpowiedniego pozwolenia na zbieranie składek w całem państwie, zwraca się do ludzi dobrej woli z prośbą o pomoc wedle możności.

„Najmniejszą ofiarę—powiada odezwa w zakończeniu—przyjmiemy z największą wdzięcznością, błagać będziemy Boga, aby wszystkim dobrodziejom w tem jeszcze życiu hojnością swej łaski i swem błogosławieństwem nagrodzić to raczył."

Ofiary nadsyłać można za pośrednictwem miejszowych kapłanów lub redakcji pism krajowych albo wprost za przekazem pod adresem: Tobolsk, proboszczowi kościoła rzymsko-katolickiego, ks. Wincentemu Przesmyckiemu.

= Wycieczka pomologiczna do Jankowa.

Tegoroczne wycieczki ogrodnicze są liczne i ożywione, żadna jednak z dotychczasowych nie budziła takiego zainteresowania, jak ostatnia, w tych dniach odbyta do Jankowa.

Między licznymi uczestnikami widzieliśmy kilka pań, uczęszczających na kursa ogrodnicze przy Towarzystwie pszczelniczo-ogrodniczem, wielu ukształconych ogrodników oraz amatorów, pragnących zobaczyć zastosowaną praktycznie wiedzę, rozpowszechnianą pracami literackiemi p. Edm. Jankowskiego. To, co dzięki uprzejmości jego widziano, przeszło wszelkie oczekiwania.

Janków powstał w zaraniu działalności p. E. Jankowskiego i przechodząc z biegiem czasu różne fazy produkcji ogrodniczej i szkółkowej, stał się wreszcie pięknym i bogatym sadem, z małą przestrzenią, poświęconą hodowli nasion, prowadzonym z zamiłowaniem i znajomością rzeczy przez syna, p. Mieczysława Jankowskiego, aż do dnia, w którym został powołany do armji na Dalekim Wschodzie. Sad łączy w sobie charakter handlowego i doświadczalnego, oraz obejmuje śliczny ogródek francuski, formowany ze szpalerów i karłów. Pan Jankowski umie godzić względy naukowe z praktycznemi, co również jest jego zasługą.

Przestrzeń Jankowa, cała okolona parkami i osłonami z drzew dzikich, wynosi 31 morgów ziemi równej i silnej z natury, pokryta, prócz mnóstwa podkrzewów, czterema tysiącami drzew owocowych wszelkich gatunków i odmian. Drzewa zasilane bywają również sztucznemi nawozami w miarę silnego owocowania, a traktowane według wszelkich zasad nauki, przedstawiają obraz zdrowia i dobrobytu prawdziwego. Wywdzięczyły się też tego roku swemu opiekunowi urodzajem tak dorodnych i obfitych owoców, jak to sobie w gub. podolskiej lub w Stanach Zjednoczonych wyobrazić można, a z jakim u nas tylko w wyjątkowych latach i rzadkich miejscowościach spotkać się można.

Ogólnie biorąc, rok bieżący dla urodzaju owoców nie jest pomyślny; skutkiem suszy owoce nie porosły lub pospadały, jeżeli zdołały zawiązać się, uniknąwszy szczęśliwie późnych wiosennych przymrozków. Drzewa w Jankowie zażartowały sobie ze wszystkiego i dźwigają ciężar tysięcy pudów owoców dorodnych, jako daninę za opiekę.

Starań nie szczędzą w Jankowie.

Od samej wczesnej wiosny nie ograniczają się na troskliwem zbieraniu zalążków robactwa, używają na wszystkie drzewa szprycowania cieczą bordoską (2 funty sinego kamienia i 2 do 3 funtów wapna na 100 litrów wody) a następnie, po rozwinięciu się liści, stosują doń roztwór zieleni paryskiej (4 do 5 łutów na 100 litrów wody). Dokładną uprawę ziemi pod drzewami dopełniają nawozy sztuczne, które, sposobem próby, tej wiosny stosowano na wielu drzewach nowym systemem p. Mokrzeckiego (naszego rodaka, kierownika stacji doświadczalnej w Symferopolu), polegającym na zadawaniu saletry chilijskiej i soli różnych w otwory, robione dłutem w pniach drzewnych aż do miąszu. Pokazując nam drzewa, do prób tych użyte, p. Jankowski wstrzymał się od wydania sądu swego o doniosłości wynalazku, z powodu zauważenia u różnych osobników odmiennych zupełnie wyników tego bezpośredniego żywienia drzew bez udziału korzeni.

Oprowadzając nas między szeregami obarczonych owocem drzew sadu, niestrudzony gospodarz żywem słowem dzielił się ze słuchaczami swojemi cennemi spostrzeżeniami nad każdą poszczególną odmianą, charakteryzując jej wymagania, odporność na wpływy atmosferyczne, zachowanie się jej przy użyciu różnych podkładek do szczepienia, łatwość podlegania chorobom i szkodnikom—słowem, otwierał przed nami prawdziwą skarbnicę wiedzy.

O zmierzchu opuściliśmy Janków, szczerze wdzięczni i za poczciwą gościnę, i za sposobność zwiedzenia jednego z tych dzieł doskonałych, które głęboka wiedza i miłość do zawodu ku pożytkowi ogólnemu stworzyć potrafiła.

= Także szyk!..

Jest u nas zwyczaj, godny uznania, że mężczyźni, uczęszczający do teatru Letniego w ogrodzie Saskim, zdejmują kapelusze w sali. Zwyczaj ten praktykuje się oddawna i wszyscy się do niego stosują.

Czy wszyscy?

Od pewnego czasu, zauważyć się daje w tej mierze zwrot niepożądany na galerjach teatru. Część widzów, uczęszczających na te miejsca—dla szyku—nie zdejmuje... czapek nietylko w antraktach, ale i podczas przedstawienia. Całe szeregi tych czapek, spoczywających na głowach, wywierają niemiłe wrażenie, zwłaszcza w obecności wielu kobiet, dla których młodzież była dawniej uprzejmą i pełną szacunku.

Niechże zaniecha podejrzanej wartości „szyku" i powróci do tradycyjnego zwyczaju: kto ma szacunek dla innych, budzi go dla siebie...

Z LITERATURY.

* Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa ukazała się, w wydaniu ozdobnem, drukowana w roku zeszłym w *Bibljotece warszawskiej*, powieść p. t. „*Ad astra*".

Znamienny ten utwór, z wysokim, poetycznym nastrojem, wyszedł z pod pióra Elizy Orzeszkowej i Juljusza Romskiego.

Pod tym pseudonimem ukrywa się młody uczony, wybitny przyrodnik, profesor jednego z uniwersytetów polskich, który pod egidą znakomitej autorki po raz pierwszy spróbował sił swoich na polu literackiem.

* Nakładem księgarni naukowej wyszła z pod pras drukarskich praca Stanisława Koszutskiego, p. t. „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatniem trzydziestoleciu" (1870—1900).

Praca ta była nagrodzona na konkursie.

Z TEATRU I MUZYKI.

* Trzecie przedstawienie nowej opery Statkowskiego: „Filenis", zapowiedziano na jutro.

* Pierwszego kontrabasistę orkiestry teatru Wielkiego, p. Volanka, powołano na stanowisko profesora klasy kontrabasu w konserwatorjum warszawskiem.

* Świeżo zaangażowany do opery warszawskiej tenor bohaterski, p. Orzeszkiewicz, wystąpi po raz pierwszy w przyszłą środę, w „Eugenjuszu Oneginie" Czajkowskiego.

* W sztuce Kisielewskiego „W sieci", która, po dłuższej przerwie, dana będzie w niedzielę w teatrze Letnim, rolę „szalonej" Julki odtworzy p. Siemaszkowa. Resztę obsady stanowią pp. Niewiarowska, Przybyłko-Potocka, Borkowska, Rolandowa, Kochówna, Pichorówna, Majchrzycka, Roland, Żelazowski, Śliwicki i Wojdałowicz.

* Premjery: „Zawieruchy", „Przy telefonie" i „Złodzieja", zapowiedziane w teatrze Letnim na jutro, a odwołane z powodu dalszych występów na tej scenie p. Kamińskiego, ukażą się tam w sobotę, d. 24-go b. m.

* Próba jeneralna krotochwili Wolffa „Ach, ten Leon!" odbędzie się jutro; premjera w teatrze Nowym w niedzielę.

Obsadę tworzą: pp. Gasiński (rola tytułowa), Winkler, Jarszewski, Fertner, Knapczyński, oraz pp. Leszczyńska, Pawłowska, Palińska, Ćwiklińska, Junosza i Bauman.

Wystawia krotochwilę p. Winkler.

* Dyrektor Ludwik Heller nie wyjeżdża z trupą operetkową do Kalisza, ale udaje się do Lwowa.

ROPOZRZĄDZENIA I ZAWIADOMIENIA.

= Inspektor pociągów Cesarskich, ochmistrz Najwyższego Dworu, Kopytkin, przyjechał z Petersburga.

= W tutejszej—radzie wojskowej odbędzie się d. 28-go września licytacja na dostawę 6,445 łóżek żelaznych składanych dla szpitali wojskowych. Cała dostawa będzie podzielona na 12 części po 500 łóżek i jedna część na 445. Można się ubiegać o jedną, kilka lub wszystkie części dostawy. Kaucja wymagana w stosunku 10% wartości dostawy.

= Wczoraj, o godz. 1½ po południu, odbył się akt uroczysty otwarcia roku akademickiego w politechnice warszawskiej.

= Według *Now. wr.*, w sferach rządowych podniesiona została sprawa wprowadzenia do składu komitetów giełdowych przedstawicieli rolnictwa, którzy broniliby interesów rolnictwa, w wielu razach sprzecznych z interesami przemysłu i handlu.

= Wydział przemysłu wiejskiego przy ministerjum rolnictwa zamierza wysłać ajentów, którzy

odpowiedzialności przywódców i faktycznych | postawione do rządu w ...

1)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

Jeden z obecnych wstał i — pożegnawszy się — wyszedł.

W ożywionej rozmowie nastąpiła przerwa i oczy wszystkich mimowoli przeprowadziły go ku drzwiom.

Drzwi się zamknęły, a oni patrzali wciąż i widocznem było, że ten nieobecny gość będzie jeszcze chwilę w myślach towarzystwa, które opuścił.

Było ono nieliczne: jakieś kilkanaście osób, ale różne stany i wieki miały w niem swoich przedstawicieli.

Więc były dwie młodziutkie panienki, córki gospodarza domu, wdowca w średnich latach; było paru równych mu wiekiem mężczyzn, kolegów i przyjaciół zapewne; był siwiuteńki staruszek, siedzący na honorowem miejscu w głębokim fotelu, koło kominka — bo znajdował się tu i kominek w ładnym i wygodnym salonie — była śliczna, młoda mężateczka; była siostra pana domu, starsza od niego; był młodzieniec wyglądający na epuzera i drugi, który na nic nie wyglądał; wreszcie odsunięty od reszty towarzystwa, w najciemniejszym kącie mężczyzna pod sześćdziesiątkę mający.

Nikt go nie znał; a wprowadziła go tutaj dziś po raz pierwszy młoda mężatka, jako swego wuja z dalekiej i długiej podróży przybyłego.

Rozmowa prowadzona przy stole, zastawionym przyborami do herbaty, na którym niezależnie od ognia kominkowego paliła się wielka, jasna lampa, była — jak się to najczęściej w mniejszych kółkach praktykuje — ogólną, i milczenie, jakie po wyjściu pierwszego gościa nastąpiło, stało się także ogólnem.

Morderczość podobnego milczenia powszechnie jest znaną.

To zazwyczaj wstęp do wielkiej symfonii obmowy, a im dłużej trwa taka fermata, tem szybsze bywa tempo wybuchających po niej akordów. Bo jeśli wogóle biada nieobecnym, to podwójna biada tym, którzy dopiero co obecnymi być przestali.

Rzekłbyś, iż pozostaje po nich w powietrzu coś, co specyalnie podrażnia języki bliźnich.

Ale to było widocznie jakieś wyjątkowo niemuzykalne na tym punkcie towarzystwo, bo zamiast chóru uwag wrzekomo życzliwych sam tylko gospodarz zauważył tonem szczerego uznania:

— Co to za świetny dyalektyk z naszego kochanego doktora. Ten człowiek rozminął się ze swojem przeznaczeniem. On się urodził na adwokata.

— Przepraszam — ale taka nieścisłość wyrażenia razi moje matematyczne uszy — rzekł żartobliwie, jeden ze starszych panów. A jeżeli powiadam nieścisłość, to zważ, kochany Ludwiku, że ze względu na naszą długoletnią przyjaźń, wyrażam się z wielką pobłażliwością.

— Proszę?

— A oczywiście. Trudno chyba o jaskrawsze *contradictio in adjecto*. Jakim sposobem, pytam, ktoś może się rozminąć ze swojem przeznaczeniem? Wszak przeznaczeniem jest właśnie to, co nas nigdy ominąć nie może.

— Zgoda — odparł, śmiejąc się gospodarz. — A więc: rozminął się ze swojem powołaniem. — Czy tak będzie dobrze?

— Bezwątpienia.

— Ach! — zawołała z roztargnieniem młoda mężatka. — Przeznaczenie! powołanie! czy to właściwie nie wszystko jedno?... A raczej, chciałam powiedzieć, że to prawie zawsze razem chodzi.

— Pani Zofia bierze przykład z siebie — przemówił młodzieniec wyglądający na epuzera, a którego specyalnością po za tym wyglądem były obserwacye pełniące obowiązki dowcipnych.

— Jakto z siebie?

— Tak, że pani miała powołanie do stanu małżeńskiego, a pani przeznaczeniem był — jej szczęśliwy małżonek.

— O! to się pan myli!

— Mylę się? czy nazywając go szczęśliwym?...

— Och! — zawołała starsza z panienek, mocno zgorszona i zaczerwieniła się. — Reszta towarzystwa parsknęła śmiechem; pani Zofia najgłośniej.

— Nie — nie w tem; tylko co do powołania, bo ja marzyłam zawsze, żeby wstąpić na scenę.

— A przeznaczenie — chciałem ... dzieć mąż — przeszkodziło pani?

— Właśnie. Widzisz więc pan, że n... brałam przykładu z siebie.

W tem miejscu korzystając z ogólnego zajęcia się towarzystwa sprzeczającą się parą, młodzieniec na nic nie wyglądający,— pochylił się do młodszej z panienek.

— Czy pani wierzy w przeznaczenie, panno Wando? — zapytał uroczystym szeptem.

— Wierzę — odszepnęła panienka z przejęciem.

— I zaczerwienili się oboje.

— Bądź co bądź — podniósł znów gospodarz — poruszyliśmy przedmiot bardzo zajmujący. Mój przyjaciel, pan Ignacy, będący zarazem przyjacielem ścisłości, dowiódł nam, że z przeznaczeniem rozminąć się nie można.

— A ja powiadam, że można — wyrzekła nagle, jakby mimowoli siostra pana domu i zmięszana bardzo — umilkła.

— Oho! — zawołał oponent jej brata. — *Et tu Brute contra me?* Panno Joanno, najspokojniejsza na świecie istota wytacza przeciwko mnie działa swych argumentów. Tego się nie spodziewałem.... Ale ze mną, pani wie, nie łatwa sprawa. Zaczepiony nie ustąpię. Proszę mi udowodnić swoje twierdzenie.

— Mogłabym, ale...

— Prosimy!

Blada twarz starej panny wyrażała wielkie zakłopotanie pod skierowanemi na nią spojrzeniami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

157

»Gazeta Lwowska« z dnia 21 czerwca 1903.

program prócz „Chłopów arystokratów“, …zą tańce, gry towarzyskie i wiele innych …odzianek.

— **Z Izby sądowej.** Rozprawa karna przeciw znanemu artyście malarzowi Stanisławowi Witkiewiczowi o obrazę czci zakończyła się dziś po północy. Na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych, którzy postawione im pytania jednogłośnie zaprzeczyli, wydał trybunał wyrok uwalniający.

— **W lokalu** Izby rękodzielniczej odbędzie się w poniedziałek, d. 22 b. m., o godzinie 4 po południu ciąg dalszy walnego zgromadzenia członków Stowarzyszenia przemysłowego perukarzy, fryzyerów i golarzy.

— **Złoty jubileusz.** W dniu 9 lipca b. r. odbędzie się we Lwowie zjazd koleżeński abituryentów lwowskiego gimnazyum dominikańskiego z roku 1853. Powitanie wzajemne uczestników zjazdu nastąpi dzień przedtem o godzinie 8 wieczorem w sali restauracyjnej hotelu Francuskiego, którą przybywającym wskaże portyer.

Wszystkich żyjących i gdziekolwiek przebywających kolegów, zapraszają do najliczniejszego udziału podpisani, pragnąc ich dłoń koleżeńską uściskać może po raz ostatni.

Teodor Biliński, Jan Czarnecki, Leszek Dąbczański, ks. Antoni Gojdan, Mateusz Kurowski.

— **Egzamin dojrzałości** kobiet odbył się w gimnazyum św. Anny w Krakowie pod przewodnictwem inspektora krajowego szkół dr. L. Germana w dniach od 10—16 b. m.

Świadectwo dojrzałości uzyskały: Prywatystka gimnazyum św. Anny Głębocka Janina (z odzn.); z prywatnej średniej szkoły żeńskiej z programem gimnazyalnym w Krakowie: Biegańska Helena (z odzn.), Epsteinówna Irena, Goldwasserówna Flora, Gruszecka Aniela (z odzn.),

(Abgar Sołtana) przeciw skarbowi kolejowemu o zapłacenie odszkodowania z powodu znanego wypadku kolejowego na stacyi w Korościatynie. odbyła się przedwczoraj 18 b. m. o godzinie 9 rano w sądzie krajowym we Lwowie I. audyencya. Zastępca prokuratoryi skarbu uzyskał t. zw. kres do wniesienia odpowiedzi na skargę do dnia 11 lipca b. r. Skarga domaga się zapłaty nawiązki za ucierpiany ból, tudzież zwrotu kosztów leczenia w łącznej kwocie 153.000 koron, nadto płacenia renty dożywotniej w rocznej kwocie 13.500 koron tytułem ubytku zarobku w charakterze literata i gospodarza. Pozew wniósł zastępca prawny p. Abgara, adwokat dr. Ostermann ze Stanisławowa. Na I. audyencyi zastępował p. Abgara, p. dr. Loewenstein ze Lwowa.

— **Straszne morderstwo.** Z Serajewa donoszą: Dwóch żandarmów, komendant posterunku Guścior i żandarm Bojanowicz z Gradacacu przyszli do złodzieja Mujo Omicza w Zelenii, aby przedsięwziąć rewizyę domową. — Znaleźli też w piwnicy worek z cukrem i kawą, oraz inne skradzione przedmioty. Komendant polecił żandarmowi, aby czuwał nad złodziejem i skradzionemi rzeczami, a tymczasem z wójtem i bratem Omicza udał się do sąsiedniego budynku, aby i tam przedsięwziąć rewizyę. Pozostały z Omiczem żandarm Bojanowicz pochylił się, aby obejrzeć przedmioty, zawarte w worku; a w tej chwili Omicz uderzył go dwa razy siekierą w kark i odłączył mu prawie głowę od tułowia, poczem wybiegł z domu.

Komendant usłyszawszy krzyk, przybiegł z karabinem, gotowym do strzału; strzelił do uciekającego mordercy, ale chybił. Omicz zniknął za węgłem domu, komendant ścigał go dalej. Gdy stanął koło węgła, wyskoczył z za niego Omicz i uderzył go silnie siekierą w głowę. Mimo śmiertelnej rany, miał żandarm jeszcze na tyle siły, że strzelił i napastnika zra-

ki, od których najlepiej trzymać się zdaleka. Przewidywania p. Romera okazały się zupełnie uzasadnione i ochroniły instytucyę przed poważną stratą wypłacenia ubezpieczonego kapitału spadkobiercom zamordowanego króla.

— **Straszny wypadek.** W drugi dzień Zielonych świąt o godzinie 6 wieczorem karuzel, ustawiony w Tervueren (pod Brukselą), na którym znajdowało się kilkadziesiąt dzieci i 2 osoby starsze, zaczął się nagle z niewiadomej przyczyny z niebywałym rozmachem i siłą tak szybko obracać, że wszystkie dzieci i obie starsze osoby siłą odśrodkową rzucone, upadły na otaczający asfalt.

Mężczyzna wyrzucony rozbił sobie czaszkę i umierający odniesiony został do szpitala, gdzie w 2 godziny życie zakończył. Kobieta, której włosy zahaczyły się o wystający zawias, ciężkie odniosła rany na głowie. Wszystkie dzieci doznały ciężkich skaleczeń.

Przyczyna wypadku dotychczas niewytłómaczona. Niezawodnie nastąpiło jakieś uszkodzenie maszyny wewnętrznej, co dało jej taki rozpęd, iż kiedy nareszcie wstrzymano ją, pokazało się, iż całe urządzenie zostało zupełnie zniszczone.

— **Telefon Anglia-Belgia.** W tych dniach otwarta została komunikacya telefoniczna między Anglią a Belgią. Najpierw połączono Londyn z Antwerpią i Brukselą. Opłata za rozmowę trzyminutową wynosi 10 fr.

— **Sanatorya dla chorych piersiowych.** Książę Franciszek Karol Hohenlohe wniósł do ministerstwa portugalskiego podanie o wyłączną koncesyę urządzania sanatoryów dla chorych piersiowych na Maderze. W zamian oflarowuje książę państwu lub jakiejkolwiek instytucyi dobroczynnej w Portugalii trzecią część czystego zysku, oraz tytułem poręki 400.000 m. Książę zobowiązał się utworzyć Towarzystwo z kapitałem 40 milionów i wybudować w ciągu lat dwóch dwa wielkie sanatorya dla osób za-

otwór …

bardzo lekki prąd powietrza dostrojony do stopnia zrostu kostek usznych. Ten dwojaki masaż daje rezultaty niespodziewanie dobre. Chorzy leczeni według dawnych metod bez żadnego skutku uzyskują poprawę w szybkim czasie. Przyrządy są tak zbudowane, że można je połączyć i z prądem elektrycznym. Można więc za ich pomocą także elektryzować środkowe ucho.

Metoda ta zwróciła już na siebie uwagę zawodowców paryskich i zagranicznych. Uniwersytet kazański zwłaszcza zainteresował się nią żywo. Dr. Walewski zresztą nie robi z niej monopolu. Przyrządy jego można nabyć u paryskiego fabrykanta chirurgicznego Collina, a wyniki szczegółowe leczenia opisuje dr. Walewski właśnie obecnie w pracy, która ma być przedstawiona paryskiej Akademii medycznej.

— **Hotele dla robotników.** Dobroczyńca amerykański Mills obdarzył świeżo Nowy Jork dwoma hotelami prawie zbytkownie urządzonymi i bardzo wielkimi. Pierwszy o 600 pokojach, drugi mający 14 piętr, posiada ich 1.500. Wszystkie pokoje są obszerne, z wielką ilością światła i powietrza, każdy oddzielny dla siebie, pięknie i wygodnie umeblowany.

W końcu każdego korytarza znajduje się sala do kąpieli, a na każdem piętrze telefon dla komunikasyi wewnętrznej i z miastem. Wszystko obsługiwane siłą elektryczności, zatem kuchnie, windy, przewietrzanie, a do oświetlenia użyto lamp Edisona.

— **Dżuma w Indyach.** Pismo medyczne angielskie, *Lancet*, podaje statystykę dżumy w Indyach za ostatnie lat sześć. Według tych cyfr zaraza wzrasta ciągle. W roku 1900 było 56.000 wypadków śmierci, a w roku 1901 274.000, w roku 1902 zaś 577.000. W roku bieżącym cyfry są jeszcze bardziej zatrważające, przez trzy pierwsze miesiące zaraza pochłonęła 334.000 ofiar, z których na marzec przypada 136.000. Najbardziej szerzy się dżu-

stał u steru spraw węgierskich. ... jednak | do Wiednia, aby zdać sprawę Cesarzowi. ...

158

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Była to twarz bardzo łagodna, bardzo jeszcze ujmująca w obramowaniu bujnych, siwizną przetykanych kasztanowatych włosów, i z cichą melancholią w pięknych, błękitnych, spłowiałych nieco oczach.

— Mogłabym — powtórzyła — ale.... musiałabym mówić o sobie....

— Och cjociu! zawołała starsza z panienek, składając ręce z zachwytem.

Była święcie przekonaną, że każda stara panna musi mieć swoją „historyę“ bardzo romantyczną i bardzo tajemniczą, a ciocia Joasia zawsze jej tak wyglądała, jak gdyby jej „historya“ należała do najromantyczniejszych i najbardziej tajemniczych.

— Słuchamy! słuchamy! zawołano chórem, gospodarz zaś dorzucił:

— Może przy tej sposobności dowiemy się dlaczego za mąż nie poszłaś, bo to, słowo honoru daję, jest dla mnie niepojętą do dziś dnia zagadką. Jesteśmy w swojem kółku, więc chociaż brat, mogę to śmiało powiedzieć: Panna nie biedna, taka ładna — pan Karol tu obecny może potwierdzić.

— O! jak jeszcze! wyrzekł z rodzajem westchnienia pan Karol, przesuwając dłonią po łysinie.

— Ależ, Ludwiku — przerwała z widoczną przykrością siostra. — Gdybym mogła przypuścić, że w ten sposób tę rzecz zatraktujesz, nie byłabym się odzywała.

— No już milczę! milczę! tylko mów.

Lecz panna Joanna nie spieszyła się.

Odsunęła się trochę z krzesłem od stołu i siedziała po za jasnym kręgiem lampy wyprostowana, z rękoma złożonemi na ciemnej sukni, z głową nieco na bok przechyloną.

W tem półświetle, ze swą wiotką postawą i z łuną krwi, która jej się na policzki rzuciła, gdy brat o jej urodzie wspominał, a pan Karol ze znaczącem westchnieniem wzmiance tej przytaknął, wydawała się dziwnie odmłodzoną i pełną szczerze dziewiczego, latami niezwarzonego wdzięku.

Wszyscy wciąż na nią patrzyli, nawet ów w kącie siedzący niemłody mężczyzna, który żadnego udziału w rozmowie nie brał, podniósł głowę okrytą bujną, zupełnie białą czupryną, od której rażąco odrzynały się czarne, prosto zarysowane brwi, długie spojrzenie, ciemnych, przenikliwych oczu na szczupłej sylwetce kobiety zatrzymał, kilkakrotnie palcami czoło potarł i znów je powoli z wyrazem jakiegoś zniechęcenia czy znużenia na dłoń opuścił.

— Panno Joanno! słuchamy! Niech pani się nie daje prosić.

— Cjociu! Cjoteczko najdroższa.

— Joasiu — wołały nalegające głosy.

Ona jeszcze dalej z krzesłem w cień się usunęła i nie zmieniając postawy z pewną uroczystością przemówiła:

— Niechże i tak będzie. Nie jest to ani zajmujące, ani ciekawe i zapewne, jak teraz po zastanowieniu się widzę, nie uda mi się nawet przekonać pana Ignacego, bo inaczej nam się przedstawia to, co na dnie duszy naszej leży, i w co sami tylko oczami wspomnień patrzymy, a inaczej, gdy się to na jaw z siebie w niedołężnych słowach wydobędzie. Jeszcze jakieś kilka lat wstecz nie byłabym nawet uwierzyła, że w ogóle kiedykolwiek będę w stanie opowiadać o tem... Ale wszystko mija... blednie... gaśnie... i dziś zdaje mi się to... jakby cudze. Tylko nie potrafiłabym nigdy śmiać się z tego, jak wiele ludzi śmieje się z mrzonek swojej przeszłości, a i państwa proszę, jeżeli, co bardzo możliwe — wyda wam się to śmiesznem, abyście mi tego nie okazali.

— Cóż znowu! Gdzież zaś! Co też pani mówi! — zaprotestowano dokoła i uciszono się wnet, bo panna Joanna ponownie zaczęła:

— Nikt tu z państwa, wyjąwszy szanownego pana radcy — odnosiło się to do staruszka w fotelu — i pana Karola nie znał naszej kochanej ciotki Teofili. Była to osoba wielkich zalet umysłu i serca, nadzwyczaj czynna, energiczna, a przytem taka łagodna...

— Tylko trochę zbzikowana na pewnym punkcie, co zresztą jej pamięci nie uwłacza — wtrącił półgłosem pan Ludwik.

Panna Joanna znowu z wyrzutem na brata spojrzała:

— Nie powinieneś wyrażać się w ten sposób o naszej ciotce. Każdy ma swoje właściwości, swoje słabostki i ona miała swoją, jeżeli to zresztą tak nazwać należy. Właśnie miałam o tem wspomnieć, bo się to ściśle z moją opowieścią łączy. Ciotka Teofila głęboko, niezachwianie wierzyła w sny.

Rzecz dziwna! na te słowa jakby świeży prąd zaciekawienia powiał po obecnych. Ten i ów poprawił się na krześle przybierając lepiej nasłuchującą postawę; starsza z panienek aż zacisnęła różowe piąstki z wielkiego ukontentowania, a druga szepnęła młodzieńcowi, który na nic nie wyglądał:

— Wie pan! mnie aż czegoś straszno!

On zaś z rodzajem współczującej wyższości głową skinął i bliżej się z krzesłem nieznacznie przysunął, zapewne, żeby raźniej było dziewczynie.

Panna Joanna mówiła dalej:

— Ta wiara taka ślepa i niemal naiwna mogła się wydawać zastanawiającą, bo ciotka Teofila była kobietą na swoje czasy bardzo wykształconą, a przytem skąd inąd nader trzeźwo i praktycznie zapatrującą się na życie. Dużo też na poparcie swych wierzeń czerpała z książek, bo co tylko mogło być dla niej dostępne z tej dziedziny, to czytywała chciwie i nieraz zdarzało mi się słyszeć padające z jej ust nazwiska ludzi uczonych i cytaty z ich dzieł, na które powoływała się w obec tych, co snom wszelkiego znaczenia i doniosłości zaprzeczali.

— Nie mam nic wspólnego z uczonością, nie mogę więc sądzić, czy ciotka umiejętnie posługiwała się tą bronią. Czy też zupełnie fałszywy użytek z niej czyniła — bo i takie zarzuty jej stawiano, to tylko wiem, że ani one nikogo, ani nikt jej nie przekonał.

Ale bywały okoliczności... fakty...

(Ciąg dalszy nastąpi).

»Gazeta Lwowska« z dnia 23 czerwca 1903

... węgierski ambasador br. Calice był u sułtana, który czuje się zupełnie uspokojony stanowiskiem Rossyi i Austro-Węgier względem Serbii.

Francuskie pisma wychodzące tutaj, poraz pierwszy zamieściły wczoraj wiadomość o zamordowaniu serbskich królestwa. Dotychczas nie wolno było prasie w Turcyi wspominać o zamachach na panujących. Ogłoszenie to nastąpiło na polecenie z Ildiz-Kiosku.

Konstantynopol, 22 czerwca. W kaplicy rossyjskiej ambasady odbyło się wczoraj żałobne nabożeństwo za króla Aleksandra i królowę Dragę, w którem wziął udział prócz personalu ambasady rossyjskiej, serbski poseł w Konstantynopolu, Gruicz.

KRONIKA

Lwów, 22 czerwca.

— **Uroczystość Bożego Ciała** wedle obrz. gr. kat. odbyła się wczoraj przed południem w cerkwi Wołoskiej.

W nabożeństwie, które odprawił w otoczeniu kapituły i licznego duchowieństwa ks. mitrat Bielecki, wzięli udział: JE. P. Namiestnik Andrzej hr. Potocki, reprezentanci władz rządowych i autonomicznych, oraz tłumy publiczności.

Służbę honorową pełniła jedna kompania 80 p. p., która w czasie uroczystości oddała przepisane salwy.

— **JEm. Kardynał** książę-biskup krakowski Puzyna, wyjechał w sobotę po południu na wizytacyę kanoniczną dekanatu bolechowickiego, do Mogiły, Pleszowa, Ruszczy, Górki kościelnickiej i Czulic.

— **„Wianki“** w Janowie zostały z powodu niepogody odłożone na poniedziałek, 29 b. m. Uroczystość ta odbędzie się z niezmienionym programem. Karty uczestnictwa oraz bilety kolejowe ważne są na 29 b. m.

— **Popis** publiczny uczenic i uczniów I. koncesyonowanej szkoły muzycznej p. Heleny Ottawowej odbędzie się we czwartek, 25 b. m., o godzinie 5 po południu w sali Domu narodnego.

Programy (po 20 h.), które służą zarazem za bilety wstępu, nabywać można wcześniej w składzie nut p. Zadurowicza, ul. Akademicka 8, lub przy wejściu na salę w dzień popisu.

Dochód z nich przeznaczono na budowę pomnika Chopina.

— **Slub** panny Maryi Południewskiej z p. Władysławem Szenderowiczem, współpracownikiem *Słowa Polskiego*, odbędzie się w sobotę, dnia 27 b. m., o godzinie 12 w południe w kościele OO. Bernardynów.

— **Stróże lwowscy** na odbytem wczoraj po południu na placu Gosiewskiego zgromadzeniu uchwalili cały szereg rezolucyj, zmierzających do poprawy ich bytu.

△ **Morderstwo dwóch kobiet przy ul. Kościuszki.** Dziś przed południem przesłuchiwał starszy komisarz policyi p. Kreiner w dalszym ciągu krewnych ofiar mordu.

Wierzchołek i Radziewiczowie pozostają nadal w aresztach policyjnych i prawdopodobnie dziś wieczorem odstawieni zostaną do więzienia śledczego sądu krajowego karnego.

△ **Kronika policyjna.** Z zamkniętego strychu realności przy ul. Żołkiewskiej 117, skradziono w nocy z soboty na niedzielę p. G. R. 2 zimowe paltoty koloru migdałowego i kawowego, mantylę damską, oraz kilkadziesiąt sztuk bielizny, wartości przeszło 300 K.

Znaleziony zegarek srebrny tulski z łańcuszkiem, może odebrać właściciel w policyi.

... wody na ratunek ... gimnazyalistom. Ale umiał wybornie pływać i obdarzony był nadzwyczajną siłą, udało mu się też studentów wyrzucić na brzeg i ocalić ich od niechybnej śmierci, jego zaś samego porwał wir z taką siłą w głąb, że nie mógł wypłynąć na powierzchnię.

Notatki literacko-artystyczne.

O. Norbert Golichowski, b. prowincyał zakonu Braci Mniejszych i misyonarz w Ziemi św., wydał następujące prace:

„Rok bogomyślny, czyli rozmyślania na święta i wszystkie dni w roku“. Rozmyślania te w dwóch tomach zawarte, mogą przynieść wielką duchowną korzyść wszystkim wiernym, zastąpić poniekąd słuchanie kazań, zwłaszcza tym, którzy na kazaniach bywać nie mogą. Spowiednicy, kaznodzieje znajdą w tej pracy materyał do zawodowych zajęć swoich. Cena tej książki 7 K.

„Ziemia święta, czyli opis miejsc świętych w Palestynie się znajdujących“. Książka ta może być przypomnieniem dla tych, którzy już Ziemi świętej pamiątki zwiedzili, oraz posłuży jako dokładny przewodnik dla tych, którzy zamierzają zwiedzić Palestynę. Książka ta zawiera 7 widoków i kartę geograficzną Palestyny. Cena książki 7 K.

„Nabożeństwo ku czci św. Antoniego z Padwy“. Książka ta zawiera nie tylko żywot, ale wszystkie inne szczegóły, odnoszące się do czci i nabożeństwa św. Antoniego. Cena w miejscu 60 h., z przesyłką pocztową poleconą 1 K. 10 h., oprawne po 1 K., oprócz przesyłki pocztowej.

„Nabożeństwo ku czci Jana z Dukli“ wydanie drugie, ilustrowane. Cena 40 h., oprócz przesyłki pocztowej.

rem „Przedstawienie składane na cześć Sokołów“.

Repertuar letniego teatru ludowego (ul. Kochanowskiego 23).

We wtorek, 23 czerwca, po raz pierwszy „Zagroda Sobkowa“, sztuka ludowa ze śpiewami w 5 aktach Błotnickiego, muzyka Wrońskiego.

We czwartek, 25 czerwca, po raz pierwszy „Don Juan“ czyli „Kamienny Gość“, fantastyczna komedya w 3 aktach ze śpiewami Moliera.

GOSPODARSTWO I HANDEL

Koncesya kolejowa. Ministerstwo kolei żelaznych udzieliło inżynierowi Hugonowi Rzeppie w Lobnicy (na Szląsku) zezwolenia na przedsięwzięcie na przeciąg jednego roku technicznych prac przedwstępnych, celem wybudowania kolei lokalnej o normalnym torze ze Schodnicy w kierunku Turki z nawiązaniem jej w odpowiednim punkcie z budującą się linią państwową Sambor-węgierska granica.

Targ zbożowy.

Lwów, 22 czerwca. Waluta koronowa. Cena za 50 kg. *loco* Lwów. Pszenica gotowa 7·75 do 7·90, pszenica na termina 7·— do 7·25, żyto gotowe 6·10 do 6·20, żyto na termina 5·— do 5·25, owies obroczny gotowy 5·70 do 6·10, owies obroczny na termina 4·50 do 4·75, jęczmień pastewny 4·50 do 4·75, jęczmień browarniczy 5·— do 5·50, rzepak

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

W domu ciotki mąż, dzieci, służba wszyscy musieli jej co rano zdawać sprawę z tego co się komu śniło i tak to już weszło w zwyczaj, że nikt się temu nie opierał, nawet wuj, który był znakomitym niedowiarkiem, pierwszy śmiejąc się „pacierz Morfeusza“, jak to nazywał, rozpoczynał.

Ona słuchała uważnie, nie zawsze przecież znalazła coś do powiedzenia. Bo nie każdy sen do tego się nadawał.

Ciotka dzieliła je na trzy kategorye: pustych, będących bezładną plątaniną rojeń bez żadnego znaczenia: znamiennych, które się tłómaczyły według pewnych stałych zasad; i wreszcie proroczych!

Te ostatnie oczywiście nie mogły być chlebem powszednim, chociaż ciotka twierdziła, że częstsze one są niż ludzie przypuszczają.

Według niej każdy człowiek po jednym takim śnie, czasem po dwa a nawet więcej ma w życiu, tylko nie każdy zdaje sobie sprawę; nie każdy pamięta; nie każdy umie się z tem obejść. A już co się tyczy tych, którym sądzono nienaturalną śmiercią zejść ze świata, to ci bez wyjątku mają to sobie proroczym snem zapowiedziane: Jedni jeszcze w dzieciństwie, inni dopiero ostatniej nocy przed zgonem.... różnie. Ale wielu snu tekiego nie rozumie, lub lekceważy i puszcza w niepamięć....

— No, to chyba całe ich szczęście — przerwał pan Ignacy. — Mnie samemu śniło się kiedyś, że mi kat miał głowę uciąć. Widziałem szafot, jak tu państwa widzę i gilotynę, która pamiętam podobna była kubek w kubek do magla.... Pięknie bym wyglądał gdybym sobie takiego snu nie lekceważył.

Panna Joanna uśmiechnęła się.

— Ów sen! mógł zupełnie co innego znaczyć — odrzekła — a przepowiednia nienaturalnej śmierci może się ukrywać w śnie, który na pozór nic wspólnego ze śmiercią nie ma.... Gdyby ciotka Teofila żyła, wytłómaczyłaby to panu lepiej.... Ja się nigdy dobrze na tych rzeczach nie rozumiałam, a ciotka była trochę zazdrosną o swoją wiedzę.

Chciała, by jej wierzono, gdy tym co jej swoje sny opowiadali cośkolwiek na tej podstawie o ich przyszłości wróżyła, ale co z czego wynikło, w to nie wtajemniczała nikogo.

Muszę też dodać, że w przepowiedniach swoich bardzo oględną była i niczyjego spokoju złemi nie mąciła; chyba że jej się to koniecznem dla przestrogi lub zapobieżenia jeszcze gorszym następstwom wydawało. Najczęściej jednak w takich razach nic zupełnie po sobie nie dając poznać mówiła, że sen jest pusty, a czasem dla własnej wiadomości notowała sobie jego znaczenie na kartce, kładła ją w kopertę, pieczętowała, nazwisko osoby, do której się to odnosiło na niej wypisywała i w skrytkę toalety chowała....

Po śmierci ciotki pełno takich popieczętowanych kopert znalazło się w owej skrytce; ale wuj pomny na ostatnią wolę nieboszczki, kazał je spalić nie otwierając.

My z Ludwikiem wcześnie straciliśmy matkę; ojciec pochłonięty interesami gościem prawie w domu bywał; a wychowaniem naszem i gospodarstwem zajmowała się wdowa po jednym z jego kolegów, która po śmierci męża w niedostatku zostawszy, chętnie się tych obowiązków podjęła i bardzo sumiennie je wypełniała.

Na niczem nam nie zbywało; chyba na cieple rodzinnem i pieszczotach, bo nasza opiekunka, chłodna z natury i przebytemi nieszczęściami do reszty wyziębiona, serdecznego łącznika pomiędzy sobą a nami wytworzyć nie potrafiła, a może nawet i nie chciała....

Smutnem by więc mimo wszystkiego było dzieciństwo nasze, gdyby nie droga, zacna ciotka Teofila. Choć własnych dzieci miała kilkoro, znalazła jednak w swem macierzyńskiem sercu dość miejsca i dla dwojga sierót; a że mieszkaliśmy w jednym domu, więc nie minął dzień, żeby po parę razy nie zajrzała przekonać się naocznie, czy nam czego nie trzeba, rozpytać o nasze małe troski, pocieszyć, uściskać, zabrać z sobą na przechadzkę, to jakąś drobną niespodzianką uradować. Mnie szczególniej kochała; i doprawdy mogę powiedzieć, że nie czyniła żadnej różnicy pomiędzy mną a swemi córkami. Nawet, gdyśmy dojrzały i razem na balach bywały, moje powodzenie jednakowo ją obchodziło i radowało. Nie było chyba nigdy lepszej ciotki na świecie; to też niepodobna mi mówić o niej bez uczucia głębokiej wdzięczności i rozrzewnienia.

Głos panny Joanny zadrżał nieco i umilkła na chwilę, a starsza z panienek niby do siebie, ale tak, że wszyscy słyszeli, szepnęła:

— Już tam z pewnością taką dobrą jak ciocia Joasia, nie była!

Młodsza chciała także coś dodać, lecz panna Joanna, jak gdyby dla przerwania tych uwag, szybko podjęła:

— Rzecz prosta, że i nasze sny podlegały kontroli ciotki. Ale niewielką miała z nas pod tym względem pociechę. Ludwik, który był chłopcem roztrzepanym i swawolnym....

— No, no; wypraszam sobie mój rysopis — przerwał gospodarz ze śmiechem.

....Najczęściej zapomniał, co mu się śniło lub ratując sytuacyę, opowiadał niestworzone dziwy, po których łatwo było poznać, że są wytworem jego bujnej fantazyi na jawie; ja znowu, choć szczerze pragnęłam bodaj ową daniną snów wywdzięczyć się ciotce za jej dla nas dobroć, sypiałam jak kamień bez żadnych rojeń, a jeżeli mi się tam od czasu do czasu coś przypomniało, to było takie poplątane, niewyraźne, że ciotka, machając ręką, mówiła:

— Z tego, to jak Salomon z pustego nic nie naleje.

Prawdę powiedziawszy, pomimo całego przywiązania, jakie miałam dla ciotki, to jej wiara w sny nie bardzo się mnie imała, a wpływał na to i nasz ojciec, dla rozumu którego żywiłam cześć najgłębszą, a który otwarcie ją wyśmiewał i po trosze nasza opiekunka, która z najwyższem lekceważeniem ramionami na to wzruszała i twierdziła, że gdybyśmy byli jej dziećmi, nie pozwoliłaby nigdy obałamucać nam umysłów podobnemi bredniami.

Miałam już lat szesnaście, gdy ciotka Teofila zachorowała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

———

»Gazeta Lwowska« z dnia 24 czerwca 1903.

— **Wpisy**, egzamina wstępne i prywatne w liceum żeńskiem p. W. Niedziałkowskiej, odbywać się będą dnia 27 i 30 b. m. przed południem.

— **Dla biednej szwaczki** A. W., która z siedmiu zł. miesięcznie utrzymuje całą rodzinę, złożyli w redakcyi *Gazety Lwowskiej*: Mania, Lola i Muszka R. z Żywca kwotę 5 K.; razem z poprzednio zebranemi 199 K. 20 h.

— **Na kurs** wakacyjny w Buczaczu, przysposabiający do egzaminu kwalifikacyjnego dla szkół ludowych pospolitych, przyjęte zostały następujące nauczycielki pomocnicze bez kwalifikacyi:

Barówna Eleonora z Hruszowic (w okręgu jaworowskim), Beryczówna Wanda z Horodyszcza królewskiego, Beulnitzówna Olga z Podjarkowa (w bobreckim), Bieńkowska Marya z Janowa (w trembowelskim), Brozynówna Eugenia z Pobużan (w kamioneckim), Cegielska Aniela z Trościańca wielkiego (w brodzkim), Czyżewska Helena z Wierzbicy (w rawskim), Dorykowa Włodzimiera z Milatycz (w lwowskim zamiejskim), Freindorfowa Aniela z Łoszniowa (w trembowelskim), Ganszerówna Marya z Postółówki (w husiatyńskim), Hryniewiecka Emilia z Nowosiółki koropieckiej (w buczackim), Kasyanowa Elżbieta z Rydodub (w czortkowskim), Kochanowska Teofila ze Sinkowa (w zaleszczyckim), Kościelniakówna Anna z Romanówki (w trembowelskim), Łozińska Filipina z Kolędzian (w czortkowskim), Mossoczowa Stanisława z Załoziec starych (w rodzkim), Pawlikowska Aniela z Cewkowa (w ieszanowskim), Pietrowiczówna Anna ze Skwa-wy (w złoczowskim), Preidlówna Laura z olicy Komarowej (w sokalskim), Prociowa Anna Wierchomli wielkiej (w nowosądeckim), Ro-nowówna Bronisława ze Słobódki dżuryńskiej czortkowskim), Stecówna Helena z Mołodyń- (w bobreckim), Szmielewska Marya ze Su-czyna (w tarnopolskim), Tomaszewska Augusta Uhryńkowiec (w zaleszczyckim), Witulska Ka-a ze Siółka (w podhajeckim).

się w szynkowniach, tracąc pieniądze. Przy rewizyi przedsięwziętej przez policyę tarnopolską u brata Czerwonego, znaleziono złotą obrączkę ślubną, skradzioną po dokonanym mordzie z kufra Spinnerówny.

Policya lwowska śledzi obecnie już tylko obecne miejsce pobytu Czerwonego.

△ **Pożar.** Wczoraj około godziny 11 w nocy wybuchł groźny pożar w gminie Skniłowie pode Lwowem. Ofiarą płomieni, mimo energicznej akcyi ratunkowej padły trzy zagrody włościańskie. Szkoda była ubezpieczona. Przyczyna pożaru niewiadoma.

△ **Znikł bez śladu.** Trzynastoletni Rudolf Kula, praktykant w cukierni p. Podhalicza, wyszedłszy przed 3 tygodniami z domu swej matki, znikł bez śladu.

Kula jest wzrostu średniego, brunet o pociągłej twarzy.

— **Zmarli** w ostatnich dniach: we Lwowie, Konrad Ludwik Dekański, b. naczelnik oddziału asekuracyjnego w Banku włościańskim, urzędnik Kasy chorych m. Lwowa i weteran z r. 1863, w 71 roku życia; — Emilia Hermann, w 72 roku życia; — Józefa z Gackiewiczów Paduchowa, wdowa po kupcu i b. radnym miasta Lwowa, w 69 roku życia.

W Tłumaczu, Teodor Kowalski, sekretarz starostwa.

W Złoczowie, Antoni Sulima Popiel, em. starszy zarządca cłowy, w 76 roku życia. Zmarły był ojcem artystów: malarza Tadeusza Popiela i rzeźbiarza Antoniego Popiela.

— **Egzamin dojrzałości** w gimnazyum rzeszowskiem odbył się w dniach od 2—12 b. m., pod przewodnictwem delegata Rady szkolnej krajowej radcy p. Walentego Kozioła.

Świadectwo dojrzałości uzyskali: Bauman Teofil, Burgelewicz Antoni, Chłanda Józef, Chmiel Szymon, Dubaj Władysław, Fertig Jakób, Gałek Tomasz, Gosztyła Jan, Kamyk Józef, Kaplita Tadeusz, Kaznowski Stanisław, Koch Wiktor, Kry-

scu. Identyczności osoby dotychczas nie stwierdzono.

— **Tarnopol.** (*Ofiara kąpieli*). W rzece Serecie utonął onegdaj w czasie kąpieli uczeń tutejszego seminaryum nauczycielskiego Aleksander Piwowar.

Notatki literacko-artystyczne.

O Hoene-Wrońskim. W ostatnim zeszycie wydawanego w Wiedniu dwutygodnika *Die Gnosis* (nr. 11 z dnia 10 b. m.) znajdujemy początek pracy dr. Ottona Bryka p. t.: „Die Geschichtsphilosophie Hoene-Wrońskis“. Autor powołuje się w przypisku na polskie prace, przedewszystkiem zaś na monografię S. Dicksteina, redakcya zaś w przypisku zwraca uwagę czytelników na tę rozprawę, ogłoszoną „z okazyi zbliżającej się 50 rocznicy śmierci Hoene-Wrońskiego“ (um. 1853) i zastrzega sobie „ogólną syntezę jego matematyczno-kabbalistycznych prac“.

Przypisek redakcyi okkultystycznego pisma tak brzmi: „Dla nas, na co tutaj chcemy położyć nacisk, Hoene-Wroński ma wybitne znaczenie, albowiem on po raz pierwszy zwrócił uwagę Europy na egzystencyę Mahatma i o tyle może być uważanym za jednego z poprzedników pani Blavatsky“. (*J. F.*)

Kalendarzyka tatrzańskiego ukazał się już rocznik trzeci. — Złożyły się nań: Krótki przewodnik po Zakopanem i innych miejscowościach podtatrzańskich i Tatrach; dalej plan Zakopanego i szkic mapy środkowego pasa północnej strony Tatr. Dla licznych bardzo turystów, nawiedzających corocznie uroczy ten zakątek naszego kraju, towarzysz to niezbędny, informujący ich o wszelkich na pozór dro-

moda angielska podobno nakazuje: *Mon cher, venez demain matin à dix heures au Salon.*

— Do czyjego salonu? przecież *je ne pense pas venir chez vous à l'heure si matinale!*

— Cóż znowu! ależ do salonu sztuk pięknych, do salonu okrężnego na placu powystawowym. *Vous vous souvenez quels moments delicieux nous y passâmes* podczas wystawy Styki Quo vadis?“.

— Ba! wtedy to było co innego, były te tajemnicze zupełnie ciemne kurytarze, ale teraz *en plein jour? Vous n'y pensez pas?*

— Rano nikogo tam nie ma. Salon pusty. Dopiero nad wieczorem przychodzą zwiedzać wystawę...

— Jaką wystawę? wpada w rozmowę druga dama, która nieznacznie się zbliżyła do krzaków jaśminu, lecz spostrzeżona przez pana, musi wyjść z roli podsłuchującej.

— Naturalnie mówimy o obrazach w Salonie okrężnym, właśnie pan Jerzy opowiada mi cuda o Malczewskim i Ruszczycu.

— A ja wolę obrazy Tetmajera, Augustynowicza i Reyznera, ciągle pieją takie hymny pochwalne dla Malczewskiego i Ruszczyca, że mi się to już znudziło!

. . . .

Na drugim końcu ogrodu stoi grupa pań w prześlicznych toaletach przeważnie białych, bo to najmodniejszy obecnie kolor. Nie brak też i barwnych, a nawet pstrych, w których przeważa kolor płomienisto-czerwony.

Młoda osoba w bardzo wykwintnej czarnej sukni:

— Tak się cieszę, że jesteśmy w żałobie, bo mi jest najlepiej w czarnym kolorze, a mama nigdy mi pozwolić nie chciała na czarną suknię!

Obok stojąca dama do sąsiadki po cichu niby to poprawiając jej żabot u szyi:

przekonanie, że także Prusacy polskie; na- | wanie i sprzedaż strzelb i przybo...

4)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Choroba była długa i niebezpieczna. Parę razy lekarze wyczerpawszy wszelkie środki wątpili zgoła o jej życiu; ona tylko ani na chwilę nie straciła otuchy.

Gdy było tak źle, że już i mówić nie mogła, uśmiechała się do nas, a jej zapadłe, mgłą śmierci zachodzące oczy poglądały na nas z jakąś nieopisaną nadzieją, jak gdyby chciały rzec: „Nie martwcie się! Ja z pewnością wyzdrowieję“.

I wyzdrowiała; a doktorzy jednozgodnie twierdzili, że ta pogoda ducha, jaką w najgorszych chwilach zachowywała, wielce się do tego przyczyniła.

Była już rekonwalescentką, tylko jeszcze z łóżka nie wstawała, gdy raz, kiedy prócz mnie nikogo przy niej nie było, rzekła mi:

— Otwórz, Joasiu toaletę; tam jest z prawej strony skrytka. Znajdziesz w niej na wierzchu kopertę podznaczoną mojemi cyframi i datę 10-go kwietnia zeszłego roku. Podaj mi ją.

Uczyniłam jak mi kazała; a wówczas ciotka rozłamawszy pieczątkę, wyjęła z koperty zapisaną kartkę i podając mi ją z kolei, rzekła z wielką uroczystością w głosie:

— Przeczytaj!

Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj treść tej kartki i mogę ją powtórzyć dosłownie, tak silne wywarła na mnie wrażenie:

Zresztą zawierała tylko kilkanaście wyrazów:

„W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

„W nocy, z dnia 9 na 10 kwietnia miałam proroczy sen, przez który wiadomem mi się stało, że mnie czeka choroba i że z niej za łaską Najwyższego szczęśliwie wyjdę. Podziękowawszy przeto Stwórcy za ostrzeżenie i pociechę, zapisuję to jako dowód, aby, gdy rzecz się stanie, tym co cudownej mocy snów zaprzeczają, czarno na białem ich małoduszność wykazać, sama zaś wszystko od tej chwili czynić będę, aby jeżeli czas jeszcze, odpowiednio się do tego, co mi sądzone, przygotować. Amen.“

Teraz dopiero wyjaśniły mi się różne niezrozumiałe rzeczy w postępowaniu ciotki. Nie tylko ja, ale wszyscy zauważyli, że mniej więcej od roku zaszła w niej była jakaś zmiana.

Posmutniała; zamyślała się często: przytem zrobiła się bardziej jeszcze oszczędną i zapobiegliwą, a gdy wuj podżartowywał z niej, że na stare lata skąpieje, lub namawiał, żeby sobie coś do ubrania kupiła, odpowiadała:

— Niepotrzeba, niepotrzeba; przyda się na nieprzewidziane wydatki.

Jakoż prócz koperty z kartką znalazło się teraz w toalecie ciotki pudełeczko z napisem: „Na moją chorobę“ a w niem dość okrągła sumka, owoc tych wszystkich oszczędności, którą z dziecinnym prawie, coś rozrzewniającego mającym w sobie tryumfem, wujowi oddała, ciesząc się, że mu w ten sposób poniesione na nią koszta zwraca.

Wuj kupił jej za to piękną broszkę, lecz ciotka byłaby wolała zamiast tego prezentu pozyskać w nim wyznawcę swoich teoryi; tymczasem i wuj i mój ojciec pomimo tak napozór przekonywującego faktu niedowiarkami w dalszym ciągu pozostali, przypisując spełnienie snu ciotki prostemu zbiegowi okoliczności.

Mną za to przypadek ten wstrząsnął do głębi.

Ta wieczna pokusa człowieka: pragnienie uchylenia w jaki bądź sposób zasłony przyszłości, opanowała mnie, odkąd przekonałam się, że rzecz taka jest możliwą. Bo w proroczość snu ciotki uwierzyłam bezwzględnie.

Co wieczór, kładąc się do łóżka, mówiłam sobie: „Gdybym tak i ja.... gdybym tak i ja zobaczyła we śnie, co mnie czeka“.

Oczywiście nie miałam na myśli ani choroby, ani rodzaju śmierci; jaką mam kiedyś umrzeć; chodziło mi o zupełnie co innego.... o to przeznaczenie zakryte, o jakiem każda młoda dziewczyna marzy potajemnie, choć się nawet sama przed sobą przyznać do tego nie chce. Ale miesiące mijały za miesiącami, a sny moje były wciąż bezbarwne i nic nie znaczące.

Opowiadałam je najskrupulatniej ciotce, która od czasu tego mego „nawrócenia“ jeszcze się serdeczniejszą dla mnie stała, lecz i ona nic z nich wywnioskować nie mogła.

Aż po paru latach....

Panna Joanna umilkła znowu; po raz trzeci odsunęła się z krzesłem od stołu i już zupełnie w cieniu pogrążona, przemówiła ztamtąd jakimś niemal proszącym, wzruszonym głosem:

— Nie; to doprawdy takie śmieszne i tak mi to jakoś więźnie w gardle.... Może państwo mnie zwolnią?... Ja z umysłu tak wolno opowiadam, bo się wciąż spodziewam, że państwo dostatecznie znudzeni, sami mi przerwiecie....

Przerwano jej, lecz inaczej, niż sobie życzyła, bo ogólnym protestem:

— O! — nic z tego! Nie wywinie się nam pani!

— To pięknie, w najciekawszem miejscu urywać!

Siostrzenice rzuciły się całować jej ręce, więc panna Joanna, widząc, że niema rady westchnęła i ze spuszczoną głową, jak winowajczyni spowiedź grzechów swych odbywająca, mówiła dalej:

— Śniło mi się, że stoję na jakiejś wielkiej, otwartej przestrzeni.... Nie był to ani plac, ani ulica, ani pole, ani droga, ale jakgdyby wszystko razem. A wszędzie jak okiem sięgnąć: kałuże, wyboje, zaspy śnieżne, rowy, kamienie, pnie powywracane, gruzy, jednem słowem rumowisko nie do przebycia.

Ja zaś koniecznie musiałam przejść na drugą stronę....

Widziałam, że muszę, lecz stałam ciągle, nie mogąc się zdobyć na odwagę i czując się bardzo opuszczoną i nieszczęśliwą.

Wtem — patrzę — zbliża się do mnie jakiś wysoki młody człowiek w futrzanej czapeczce, z pod której wymykają się bardzo gęste, jasne włosy. Idzie pewnym, śmiałym krokiem; zręczny, silny i.... taki piękny na tle tego pustkowia i ruiny.... W rękach niesie duży bochenek chleba i nic nie mówiąc kładzie go na ziemi tuż przy moich nogach.... Potem przynosi drugi bochenek, następnie trzeci i tak układa te chleby jeden za drugim, aż utworzyła się z nich jakby dróżka, całą tę błotną, wyboistą przestrzeń przerzynająca. A ja wciąż stoję i patrzę co dalej będzie i oczu od tego młodego człowieka oderwać nie mogę, tak w nim było coś pociągającego i budzącego ufność.... I widziałam go tak wyraźnie; jakgdyby to nie była mara senna lecz żywy człowiek.... Ilekroć pochylał się ku ziemi ze swoim ciężarem — bo te bochenki były bardzo wielkie — jasne włosy opadały mu na twarz i przysłaniały jego energiczny, szlachetny profil. A ilekroć podnosił się, spoglądał ku mnie z uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć: „To dla ciebie się tak trudzę....“ Mnie wtedy serce zaczynało bić i napełniała je dziwna słodycz i ukojenie. Aż, gdy już wszystkie chleby były ułożone, przystąpił do mnie i znowu słowa nie rzekłszy, wyciągnął rękę na ów pierwszy bochenek wskazując. Nie zawahałam się ani na chwilę. Z dziwną jakąś błogością i wiarą złożyłam dłoń w jego dłoni i zaczęliśmy iść razem; ja po tych chlebach, a on obok, po wyrwach, gruzach, roztopach, ale tak równo i sprężyście, jak gdyby to najgładsza droga była.

(Ciąg dalszy nastąpi).

160

»Gazeta Lwowska« z dnia 27. czerwca 1903.

widendę.

W końcu dokonano wyborów. Na miejsce kończących kadencyę w radzie nadzorczej i zmarłego ś. p. Sobierańskiego wybrano pp.: prof. dr. Antoniego Kalinę, prof. dr. Stanisława Bądzyńskiego i dr. Ernesta Adama ponownie, nadto pp. J. L. Popławskiego i Zygmunta Medyckiego.

Na członków komisyi rewizyjnej powołano ponownie pp.: Narcyza Ulmera, Wacława Żmudzkiego i Stanisława Bala.

Do dyrekcyi weszli pp.: Ignacy Domagalski, dr. Wilhelm Rolny i Wacław Naake-Nakęski, których zastępcami wybrano pp.: Tadeusza Rakowskiego, Adama Skałkowskiego i Karola Chomickiego.

— **Kraj. Szkoła gospodarstwa lasowego we Lwowie.** Szkoła kształci na samoistnych gospodarzy leśnych teoretycznie i praktycznie. Słuchacze ukończeni mają przywilej do jednorocznej służby wojskowej i zdawania egzaminu państwowego w Namiestnictwie na samoistnych gospodarzy leśnych. Nauka trwa 3 lata. Kurs zaczyna się 1 października, a kończy 31 lipca. Bardzo bogate zbiory, ogród botaniczny własny, las szkolny, ciągłe wycieczki naukowe i ćwiczenia, zapoznają słuchaczy gruntownie także z praktyczną stroną wszystkich czynności zawodowych.

Wpisowe wynosi 4 K., opłata szkolna półrocznie 10 K. Średnio kosztuje utrzymanie ucznia 60 K. miesięcznie. Liczne stypendya i zasiłki, udzielane słuchaczom niezamożnym a pilnym już po pierwszym kursie nauki do wysokości 400 K. rocznie, ułatwiają pobyt we Lwowie.

Warunki przyjęcia: ukończony 17 rok życia, świadectwo zdrowia, rok praktyki leśnej, ukończona z dobrym postępem co najmniej IV klasa gimnazyalna lub realna, złożenie egzaminu wstępnego. Przy egzaminie wstępnym wystarczają zasadnicze wiadomości z matematyki, fizyki, zoologii, botaniki, mineralogii, geografii i stylistyki polskiej w zakresie niższych szkół średnich.

Kandydaci z ukończoną VI klasą szkół średnich nie zdają egzaminu wstępnego. Egzamin dojrzałości złożony w gimnazyum lub Szkole realnej, upoważnia do wstąpienia wprost na II rok.

Podania o przyjęcie należy wnosić do dyrekcyi najpóźniej do 20 września. Małoletni muszą dołączyć do podania także uwierzytelnione przyzwolenie ojca lub opiekuna.

... na suknie, wzorzyste i barwne makaty, malowidła na morze (piękne kwiaty róż, rzuconych na mieniące się tło) i na drzewie, ekrany, dywaniki i t. d.

Całość wystawy daje najlepsze i najwymowniejsze świadectwo dobrym rezultatom nauki zakładu p. Zagórskiej.

— **Walne zgromadzenie** członków polskiego Towarzystwa gorzelniczego odbędzie się w dniach 29 i 30 b. m. w sali Towarzystwa politechnicznego.

— **Zjazd koleżeński** byłych uczniów klasy VIII A) gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie z r. 1888, odbył się w dniu 21 b. m. we Lwowie.

Rano tegoż dnia zebrali się byli uczniowie w dawnej swej klasie, celem powitania swych profesorów. Radca Rządu Franciszek Próchnicki, obecnie dyrektor gimnazyum V we Lwowie, a były gospodarz klasy przez lat 8, przemówił w serdecznych słowach do zebranych i odczytał katalog klasy. Wielu śmierć zabrała; ci, którzy wskutek przeszkód rozmaitych jawić się nie mogli, dali bądź listownie bądź telegraficznie wyraz uczuciom koleżeńskiej solidarności.

Obecnych było 14, a mianowicie: dr. Mieczysław Andruszewski, lekarz pułkowy w Sądowej Wiszni; Franciszek Borth, sekretarz sądowy w Chodorowie; dr. Ignacy Karol Czemeryński, adwokat krajowy we Lwowie; Stanisław Jaroszyński, sekretarz Banku krajowego we Lwowie; dr. med. Stanisław Kaczurba w Medyce; dr. Edward Kikinger we Lwowie; Eugeniusz Kurmanowicz, adjunkt sądowy w Zborowie; ks. Józef Lehmann, katecheta Szkoły realnej w Tarnopolu; Stefan Malinowski, porucznik ułanów w Żółkwi; dr. med. Kazimierz Mańkowski w Ciężkowicach; Andrzej Moraczewski, inżynier w Spas koło Starego Sambora; Józef Prokopowicz, zastępca prokuratoryi Państwa we Lwowie; dr. med. Julian Sroczyński w Białej; dr. Jan Waygart, sekretarz prokuratoryi skarbu we Lwowie.

Imieniem zebranych kolegów wyraził dr. Waygart hołd i wdzięczność profesorom. Następnie udali się zebrani wraz ze swymi profesorami, między którymi prócz radcy Próchnickiego byli: ks. kanonik Onufry Łepki, dr. Ludwik Kubala, Edward Fiderer i Józef Czernecki, na dziękczynne nabożeństwo, które odprawił w auli gimnazyalnej były uczeń ks. Józef Lehmann.

... i prywatysta, świadectwo dojrzałości otrzymało 25 uczniów publicznych i 4 eksternistów; pozwolono poprawić egzamin z jednego przedmiotu po feryach 5 uczniom publicznym, reprobowano 1 ucznia publicznego i 4 eksternistów, 1 eksternista odstąpił od ustnego egzaminu.

— **Sztuczna wylęgarnia jaj.** Pan Emil Preyer, elektro-mechanik ze Lwowa, dokonał w ostatnich czasach wynalazku, który ma dla gospodarstwa wiejskiego wielkie znaczenie. Wynalazkiem tym jest sztuczna wylęgarnia jaj. Aparat jej główny składa się z obszernego pudła drewnianego, opartego na wysokiej podstawie. W połowie tego pudła znajduje się szereg wałków, na których układa się jaja, przeznaczone do wylęgania; poniżej wałków umieszczona delikatna siatka, do której wpadają kurczęta po przekłuciu skorupki, pod siatką wreszcie znajduje się t. zw. potnik, który wytwarza parę i w ten sposób dostarcza jajom potrzebnej wilgoci. Ponad wałeczkami znajduje się wężownica, metalowa rura, do której doprowadza gorącą wodę skonstruowany odpowiednio z boku umieszczony aparat; wodę ogrzewa lampka naftowa. Wężownica ta ogrzewa powietrze, znajdujące się w pudle, do właściwej temperatury, pod wpływem tego ogrzanego powietrza jajo się rozwija i po 18 do 20 dniach opuszcza skorupkę kurczę, zupełnie prawidłowo rozwinięte. Po wykłuciu przechodzi kurczę do drugiego aparatu, również sztucznie ogrzewanego, gdzie spędza około 4 tygodni. W tym drugim aparacie, zwanym „matką“, zastępują opiekuńcze skrzydła kwoki, frędzelki, sporządzone z miękkiej wełny. W jednej z przegródek znajduje się powietrze i woda; ostatnia przegródka — to „bawialnia“, gdzie starsze kurczęta spędzają czas, bawiąc się w piasku.

—**Burmistrzem** m. Rzeszowa wybrany został dr. Stanisław Jabłoński a wiceburmistrzem dr. Roman Krogulski.

△ **Straszny wypadek** zdarzył się dziś przed południem na targowicy bydlęcej. Włościanka z Grzybowic, Marya Pokła, kupując od jednego z handlarzy krowę, została przez nią tak silnie uderzoną rogiem w brzuch, że brocząc w krwi padła na ziemię. Ciężko ranną Pokłową odwiozło wezwane pogotowie Towarzystwa ratunkowego do szpitala powszechnego.

△ **Kronika policyjna.** Dyrekcya tramwayu elektrycznego doniosła policyi, że ubiegłej

strza Schindlera pod zarzutem zbrodni ... moralności.

— **Mrozy w Szkocyi.** W Anglii panują od tygodnia nadzwyczajne chłody i ulewy, a w Szkocyi ubiegłej niedzieli o świcie termometr wskazywał w niektórych miejscowościach 4° C. Wszystkie drzewa owocowe wymarzły. Podobnego zjawiska o tej porze roku nie pamiętają nawet najstarsi ludzie w Szkocyi.

— **Cenna moneta.** W Londynie odbyła się w tych dniach licytacya zbioru monet p. Murdocha u pp. Sotheby. Za jedną złotą koronę, bitą przez Simona w r. 1663, a podarowaną przez Karola II ówczesnemu wielkiemu kanclerzowi, zapłacono 420 fnt. szt. Jest to najdroższa moneta angielska; spadła ona jednak w cenie, gdyż p. Murdoch zapłacił za nią swego czasu o 80 fnt. szt. więcej.

Kronika prowincyonalna.

— **Truskawiec.** *(Lista gości).* W czasie od 15 maja do 16 czerwca przybyło tutaj ogółem rodzin 295, osób 432.

Notatki literacko-artystyczne.

(z. s.) **Nowe książki.** Upały letnie nie wpływają w roku bieżącym wcale na zmniejszenie ruchu wydawniczego, tak u nas, jak w Krakowie i Warszawie. Komitet jubileuszu Zygmunta Miłkowskiego (T. T. Jeża) wydał w tych dniach jedną z najpiękniejszych jego powieści „O byt“. Cały dochód z rozsprzedaży zupełnie wyczerpanego w pierwszem wydaniu dzieła, przeznaczony jest na dar dla jubilata. Cena trzech tomów wynosi zaledwie sześć koron, wątpić zatem nie należy, że wartościowy utwór wzbogaci nawet najskromniejsze biblioteki, zajmując w nich zaszczytne miejsce. Księgarnia nakładowa Gebethnera i Wolffa, która w ostatnim tygodniu ubiegłego miesiąca wydała najnowszą powieść Elizy Orzeszkowej „Anastazyę“, oraz prześliczne jej drobne „impresye“ i „fantazye“, tworzące tom zatytułowany „Przędze“, puściła również w obieg powtórne edycye dwóch dawniejszych utworów

5)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Chwilami jednak, choć to on mnie wiódł, zdawało mi się, że i ja go bezwiednie podtrzymuję; że raźniej mu tak ze mną iść, i dusza rosła mi tkliwą, serdeczną dumą. To znów, gdy jemu kamień pod nogi się potoczył, gdy po grząskich jamach pracowicie brodził, widziałam oczy jego zwracające się do mnie z wyrazem nieopisanej troskliwości i dobroci, jakgdyby się lękał, czy ja w skutek tego czego złego nie doznaję. Wtedy uśmiechałam się do niego; a jemu twarz rozpromieniała się szczęściem i na to całe ponure, straszne pustkowie padały złote blaski i jakieś nadzwyczajne kwiaty zakwitły dokoła nas i było nam tak dobrze.... tak dobrze....

Wtem wszystko znikło i obudziłam się cała jeszcze drżąca i rozkołysana czarem tych szczerych wrażeń.

Pamiętam, że gdy sobie dokładnie uprzytomniłam, że to był tylko sen, spadła na mnie taka tęsknota, jakgdyby po stracie czegoś rzeczywistego i bardzo drogiego i i przez kilka dni otrząsnąć się z tego uczucia nie mogłam.

Naturalnie opowiedziałam to wszystko ciotce, jak najszczegółowiej, a ona wysłuchawszy z wielką uwagą, pocałowała mnie w czoło i sama wzruszona rzekła:

— Moja Joasiu; podziękuj Bogu, bo spotkało cię rzadkie szczęście. Widziałaś i poznałaś we śnie naprzód twoje przeznaczenie. Ten młody człowiek, to twój przyszły mąż, który cię na własny chleb wyprowadzi. — Wcześniej lub później spotkacie się; wierzaj mi; nie może być inaczej. A skoro powiadasz, że zapamiętałaś dobrze jego powierzchowność (ach! mój Boże: byłabym go poznała wśród tysiąców!) więc teraz tylko patrz i uważaj, abyś lekkomyślnie koło swego przeznaczenia nie przeszła.

— A czy to może być, ciociu? zapytałam....

— Bywa tak, bywa, moje dziecko — odpowiedziała ciotka. — Mamy przeznaczenie, ale mamy i wolną wolę i możemy je sobie popsuć, albo zgoła zniszczyć....

Odtąd zaczęło się dla mnie dziwne życie. Byłam do takiego stopnia opanowana tym snem i słowami ciotki, że myśl ta towarzyszyła mi wszędzie i odbierała dawniejszą swobodę.

Ile razy naprzykład wchodziłam na bal publiczny, serce trzepotało mi się w piersiach, jak ptak spłoszony; spuszczałam mimowoli oczy, lękając się spojrzeć w zbity pośrodku sali tłum mężczyzn, bo mi głos jakiś szeptał, że może tam stoi.... on! i zobaczę go!...

Czułam instynktownie, że ta chwila, jeżeli nastąpi, będzie dla mnie czemś niewypowiedzianie wstrząsającem i prawie strasznem; pragnęłam jej, szukałam, a zarazem trwożyłam się jej możliwą bliskością....

Czasem znów na ulicy spostrzegałam z daleka kogoś.... czyj chód, ruchy, postawa przywodziły mi raptem na pamięć ujrzaną we śnie postać....

Wszystka krew zbiegała mi do serca.... zwalniałam kroku.... nie wiedząc sama, czy iść dalej na spotkanie swego przeznaczenia, czy uciekać....

Ale zawsze pokazywało się, że obawy moje i nadzieje były płonne, i ów ktoś za zbliżeniem okazywał się zupełnie do tamtego nie podobnym.

Wówczas oddychałam lżej, a jednocześnie przenikało mnie uczucie żalu i rozczarowania.

Nie umiem państwu wypowiedzieć, jakie to było męczące i przykre. Stopniowo jednak, ponieważ czas płynął, a sen się nie sprawdzał, wrażliwość moja w tym kierunku tępiała i byłabym może zupełnie przestała o tem myśleć, gdyby nie ciotka, która krzepiła moją słabnącą wiarę, często rozmowę na ten temat wszczynając.

Była to zresztą tajemnica pilnie pomiędzy mną a nią strzeżona i nikt z blizkich nawet się nie domyślał w czem tkwiła pośrednia przyczyna mojej pozornej do zamążpójścia niechęci.

Zapewne, gdybym się była w kim zakochała!... ach! — mój Boże! — cała ważność snu była by prysła jak bańka mydlana — ale wszyscy ci, którzy się do mnie zbliżali, pozostawiali mnie obojętną; żaden nie budził nic podobnego do tych uczuć, jakie przepełniały mi duszę, gdym w owem widzeniu szła ręka w rękę z nieznanym młodzieńcem uczuć tak słodkich, że na samo ich wspomnienie rwało się ku nim stęsknione serce i marząca wyobraźnia.

W ten sposób minęło lat cztery. Byłam już od roku pełnoletnią i ojciec mój napomykał nieraz, że należało by o ustaleniu mego losu pomyśleć.... Pewnego dnia — było to ku końcowi stycznia — wyszłyśmy z ciotką na miasto za sprawunkami.

Miałam być na dużym balu i okazała się potrzeba nowej, lekkiej sukni. Pamiętam, jak gdyby to było wczoraj, ten dzień słoneczny, a przecież bladawy i ten jakby już daleki oddech wiosny przeciągający wskroś ocieplonego powietrza, ten karnawałowy ruch na ulicach i to straszliwe, kopne i zarazem ślizgie błoto.

Po obfitych śniegach przez kilka dni trzymały mrozy, sanna była ustaloną, wtem nastąpiła raptowna odwilż i Warszawa zamieniła się w jedno, ohydne bagno.

Bo Warszawa przed laty trzydziestu nie była tem, czem dzisiaj i kto jej z tych czasów nie pamięta, nie może mieć pojęcia, co się w takich razach na ulicach działo.

Z dachów lała się woda i spadały tające bryły śniegu; trotuary były pozastawiane, co chwila musiało się schodzić na bruk, przeskakiwać wezbrane roztopami i lodem rynsztoki, i brnąć w szarym, do wilgotnego piasku podobnym śniegu.

Dorożki i niedobitki sanek przekopywały się z trudem, krzycząc na przechodniów, którzy w wyszukiwaniu możliwych do przebrnięcia miejsc prawie wpadali pod konie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

»Gazeta Lwowska« z dnia 28 czerwca 1903.

b. r. zaprowadz... przy urzędzie pocztowym w Grębowie tygodniowo trzyrazową służbę listonosza wiejskiego dla przysiołków Grębowa, Jazwinie Miętne, Wydrza, Klonów i Zapolednik (I tura), tudzież Zabrnie dolne i Zabrnie górne (II tura).

— **Popis.** Dnia 25 b. m. odbył się w zakładzie p. Maryi Bielskiej doroczny popis, w którym brała udział także dziatwa z ogródka froeblowskiego, deklamując i śpiewając, również jak ich starsi towarzysze z 4-klasowej szkoły dla chłopców, polskie, francuskie i niemieckie pieśni. Na życzenie matek przepytywano dzieci z przedmiotów szkolnych, a ten egzamin przekonał rodziców o sumiennej pracy kierowniczki zakładu.

— **Dobry przykład.** Maturzyści gimnazyum Franciszka Józefa we Lwowie z roku 1883, chcąc uczcić pamięć 20-rocznicy matury aktem czynnej miłości bliźniego, złożyli podczas zjazdu dnia 7 b. m. na ręce prof. Czerneckiego kwotę 464 K. na rzecz jednego lub kilku uczniów tegoż gimnazyum i wybrali komitet wykonawczy, który obmyśli sposób wykonania uchwały. Nadto zobowiązali się składać pewną dobrowolnie na siebie nałożoną kwotę na ten sam cel, przez następnych 5 lat. Do komitetu weszli: prof. Czernecki, prof. Kłak, dr. Legeżyński, dr. Gorecki i radca Chlamtacz.

— **W lwowskim zakładzie głuchoniemych** odbyło się wczoraj po południu uroczyste zakończenie roku szkolnego połączone z rozdaniem nagród i pochwalnych listów dla najpilniejszych uczniów i uczenic zakładu. Nagrody stanowiły książki, medaliki i obrazki.

Po rozdaniu nagród, licznie zebrana publiczność oglądała wystawę robót uczniów i uczenic.

W roku szkolnym 1902/3 było w Zakładzie chłopców 61, dziewcząt 44; z tej liczby było dochodzących na naukę: chłopców 5, dziew-

... policyjnych stwierdzono, że mieszkaniec, który onegdaj w parku Kilińskiego usiłował odebrać sobie życie zażywszy znaczniejszą dozę siarkanu cynku, nie nazywa się Stanisław Pichowicz, lecz Stanisław Grądziela.

△ **Strach ma wielkie oczy.** P. Władysław S., magister farmacyi, zajmujący mieszkanie parterowe w realności przy ul. Piekarskiej 9, usłyszał nagle dzisiejszej nocy w pokoju jakiś brzęk tłuczonego szkła. Sądząc, że to złodzieje dobywają się przez okno, chwycił za wiszący nad łóżkiem rewolwer i wystrzelił z niego dwa razy w kierunku okna.

Strzały o tak późnej godzinie zaalarmowały niebawem mieszkańców i stójkowego, przechodzącego właśnie obok tej realności, który zawiadomił o wypadku policyę, zwłaszcza, iż zbyt pochopne do tworzenia sensacyjnych baśni kumoszki twierdziły uporczywie, że w mieszkaniu tem musiała rozegrać się jakaś krwawa scena.

Przybyli jednak na miejsce dwaj agenci policyjni, uspokoili wkrótce pod tym względem mieszkańców.

Oto stwierdzono bowiem, że karnisz, który słabo był umocowany nad oknem, upadł na zastawiony szkłem stolik, wywołując w zdenerwowanym ostatnimi krwawymi wypadkami p. S., w pierwszej chwili wrażenie, że złodzieje dobywali się do okna.

△ **Kronika policyjna.** Do policyi tutejszej doniesiono, że w nocy z czwartku na piątek skradziono ze stajni A. Ganga w Kołohurach koło Bóbrki gniadego łysego 7-letniego konia z białemi tylnemi kopytami i gniado-czerwoną 9-letnią klacz wraz z wózkiem węgierskim, łącznej wartości 400 K.

Aresztowano wczoraj Salomona Wanga, który sprzedawał włościanom na targu metalowe obrączki za złote. Wang już był kilkakrotnie karany sądownie za ten oszukańczy proceder.

łamkiem szkła przeciął sobie żyły na rękach, dozorca więzienia spostrzegł jednakże jeszcze w czas ten zamach i wezwał pomocy lekarskiej. Niedoszły samobójca oświadczył, że chciał sobie odebrać życie, ponieważ cierpi niewinnie.

— **Wieża z porcelany.** Słynna francuska fabryka porcelany w Sèvres przedstawiła rządowi francuskiemu plan wystawienia w parku St. Cloud wieży z porcelany, która ma się składać z 30.000 kawałków. Budowa tej wieży miałaby potrwać 5 lat.

— **Spalony żywcem.** W mieście Wilmington, w stanie Delaware, tłum, liczący przeszło 2.000 osób, napadł na więzienie i pomimo oporu straży więziennej, strzelającej z karabinów, rozbił bramę, wdarł się do więzienia i uprowadził murzyna, uwięzionego za uwiedzenie córki miejscowego pastora. Zbrodniarza zaprowadzono na miejsce, gdzie zbrodnię popełnił, i spalono żywcem na przygotowanym stosie. — Gdy ciało murzyna wiło się wśród płomieni, tłum wystrzałami z rewolwerów skrócił jego męczarnie.

Notatki literacko-artystyczne.

Pierwszy salon okrężny artystów polskich o którego otwarciu w Pawilonie sztuki na placu powystawowym donosiliśmy przed kilkoma dniami, obejmuje przeszło sto trzydzieści wybitnych dzieł sztuki. Dział malarstwa reprezentują artyści:

Pp.: Augustynowicz, Axentowicz, Berg, Boznańska, Bryll, Cieślewski, Czajkowski Józef, Czajkowski Stanisław, Czynciel, Dąbrowa, Dymitrowicz, Fabjański, Galimski, Gałek, Gawiński, Gottlieb, Gramatyka, Harasimowicz, Hendel,

I. Kantata Sokoła, przez Mieczysława Sołtysa, odśpiewa Chór Sokołów. — II. Baczność, wiersz na cześć Sokołów, przez L. G. Dziubińskiego, wygłosi druh Fr. Wysocki. — III. Apoteoza Sokoła, obraz z żywych osób, układu St. Jasieńskiego. IV. „Kościuszko pod Racławicami", akt II. „Przysięga".

W poniedziałek o g. pół do 4 po południu „Wesele", dramat w 3 aktach Stan. Wyspiańskiego.

W poniedziałek o g. 8 wieczorem po raz 24 „Słodka dziewczyna", operetka w 3 aktach Henryka Reinhardta.

We wtorek po raz pierwszy „Wesoły inwalida", operetka w 3 aktach M. Westa i J. Schnitzera; przekład A. Kitschmana, muzyka Edm. Eyslera. W przedstawieniu biorą udział panie: Kliszewska, Kasprowiczowa, Miłowska, Malawska; pp.: Malawski, Lelewicz, Paszkowski, Kliszewski, Kratochwil i inni. Nowa wystawa.

We środę po raz drugi „Syn nienaturalny", krotochwila w 3 aktach Grenet-Dancourt i Maurycego Vaucaire; przekład Jarosława Pieniążka.

We czwartek po raz drugi „Wesoły inwalida", operetka w 3 aktach M. Wista i J. Schnitzera, muzyka Edm. Eyslera.

W piątek po raz pierwszy „Doktor na raty", wzór obyczajowy z życia żydowskiego w 3 aktach, napisany przez Ruklina i Erskiego. W przedstawieniu biorą udział panie: Gostyńska, Bednarzewska, Solska, Wojnorowska, Węgrzynowa, Rotterowa, Jankowska, Rybicka; pp.: Solski, Nowacki, Roman, Wysocki, Węgrzyn, Rasiński, Hierowski i Kwiatkiewicz.

— Mary...
banowa, wdowa po ...
skarbu, matka Wincentego, adwokata i syndyka Dyrekcyi funduszu propinacyjnego, oraz Stanisława, naczelnika stacyi telegraficznej i poczto-

ludowym. Pierwszy jej występ odbędzie się we czwartek, dnia 2 lipca. W program wieczoru wchodzą śpiewy i kuplety, które wykona p. Adol-

czka Jakubowskich, ... podobnie zapałkami, zapaliła siennik. W skutek dymu, napełniającego mieszkanie, przebudził się pierw-

i uzyskać potrz... dobrej, łagodnej ale nieco skąpej żony, Zofii, zmyśla przed nią, że z czasów bujnej młodości

162

6)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Przejście koło pałacu Kronenberga na plac Saski było jednem z najgorszych, a właśnie nam tamtędy wypadała droga. Ciotka nie lubiła chodzić pod rękę, więc puściła mnie trochę naprzód; wtem rozdzieliły nas nadjeżdżające z dwóch stron dorożki; ciotka cofnęła się, a ja szybko pobiegłam dalej unosząc wysoko suknię i przeskakując zaspy. Dopadałam już przeciwległego chodnika, gdy olbrzymi zwał śniegu spadł z dachu i rozprysnął się tuż prawie u moich nóg.

Przestraszona skoczyłam w bok, w tym skoku pośliznęłam się i była bym upadła, lecz jakaś wyciągająca się z chodnika ręka podtrzymała mnie.

Instynktownym ruchem uczepiłam się mocno tej ręki, a jednocześnie podniosłam oczy i — kolana ugięły się podemną.

Na wysokim chodniku, nieco ku mnie przechylony stał on! — moje wyśnione przeznaczenie!

Poznałam go natychmiast, choć wcale o nim dnia tego nie myślałam. Ta sama postawa; te same jasne gęste włosy, przyciśnięte tak samo futrzaną czapeczką, te same szlachetne rysy, te same głebokie siwe oczy, w oprawie długich czarnych rzęs, z pod czarnych, prostych brwi patrzące.

Tylko twarz była bledsza i jakby smutna trochę czy zamyślona, a spojrzenie zamiast owej słodkiej tkliwości, z jaką we śnie we mnie tonęło, wyrażało obojętność zwykłego przechodnia.

Stałam jak przygwożdżona do miejsca, nie puszczając jego ręki, zapominając o całym świecie. Musiałam dziwnie wyglądać, bo spostrzegłam, że wyraz jego oczu zmienia się nagle i pojawia się w nich ciekawość, zdumienie, czy inne jakieś uczucie.

I staliśmy tak naprzeciwko siebie, dłoń w dłoni, nieruchomi, zapatrzeni....

Jak długo to trwało, — nie wiem. Nigdy przedtem i nigdy potem, nie zaznałam już takiej chwili.

Było mi tak, jak gdyby cała moja duchowa istota tą kilkoletnią, nieujętą tęsknotą i bezwiednem wyczekiwaniem udręczona, wychodziła ze mnie na pierś tego nieznanego mężczyzny, ptakiem zmęczonym nagle gałęź — ostoję spostrzegającym, zlatywała.

Dziwna słodycz, ta słodycz we śnie doświadczona, napłynęła mi do serca i rozlała mi się po członkach jakiemś rozkosznem omdleniem.

W tem, o parę kroków od nas podjechała dorożka i o moje uszy obił się głos ciotki, wołający:

— Joasiu! Joasiu!

Drgnęłam — jak gdyby to był powtórny sen, z którego mnie zbudzono. Sama nie wiedząc co czynię, cofnęłam szybko rękę i nie spojrzawszy już na nieznajomego, nie zważając, że on coś do mnie mówić zaczynał, w pół przytomna podbiegłam do dorożki, w której siedząca ciotka, dawała mi niecierpliwe znaki.

— Siadaj, Joasiu, siadaj — mówiła z niezadowoleniem. — Musimy wracać do domu. Zle stąpnęłam, bo gdzie tu teraz dobrze można stąpnąć i widocznie skręciłam sobie nogę... Ani sposób iść... Także się złożyło. Ale może mi się lepiej w domu zrobi, to po obiedzie...

— Co ci jest? — przerwała sobie nagle. — Jak ty wyglądasz? Kto był ten młody człowiek, z którym stałaś?

Nie mogłam dobyć głosu z piersi. Dorożka ujechała już sporą część drogi, gdy wreszcie, kryjąc twarz na ramieniu ciotki, wybełkotałam.

— To był — on!

Nie zrozumiała w pierwszej chwili, a zrozumiawszy, aż w ręce splasnęła.

Droga ciotka Teofila! Dotąd widzę jej dobrą, zmartwioną twarz.

— Ach! Boże mój! — zawołała. — Potrzebnie musiałyśmy do tej dorożki wsiadać... Teraz gotów nasz ślad stracić... A może wziął drugą... Obejrz-no się Joasiu, nieznacznie. Nie chcesz! No, to ja się obejrzę. Nie; nikt za nami nie jedzie... A mój Boże! Czemu my nie idziemy piechotą... Byłby z pewnością poszedł za nami, dowiedział się, gdzie mieszkasz, jak się nazywasz...

— Ależ moja ciociu — rzekłam ochłonąwszy już nieco... Przecież on chyba snu takiego nie miał... Cóż ja go więc obchodzić mogę?... Już pewnie w tej chwili zapomniał, jak wyglądam...

Lecz ciotka zaprzeczyła żywo.

— Nie! nie! Tam, gdzie jest takie przeznaczenie to już zobopólne. I on to musiał w jakiś sposób zrozumieć...

— Nie wyjdziesz mu już z pamięci, możesz być pewna... Będzie cię szukał... a Warszawa nie las. A i to grunt, żeście się już raz nakoniec spotkali... Co się odwlecze, to nie uciecze... Teraz już chyba nie wątpisz?...

Ach! jak nie wątpiłam! jak nie wątpiłam!...

I ten zmieniony wyraz jego oczu, z jakim ponownie na mnie spojrzał, zapadł mi w duszę i już tam na zawsze pozostał!!

Nie spotkałam go już nigdy więcej... nigdy!

Przez szeregi lat żyłam naprzód pewnością tego spotkania; potem nadzieją, potem czemś wbrew zwątpieniu do nadziei podobnem.

Czy ja kochałam tego człowieka raz we śnie, drugi raz na jawie przelotem ujrzanego, z którym nawet dwóch słów nie zamieniłam — albož ja wiem? Ale, jeżeli to nie była miłość, to było coś, co pomiędzy mną a miłością stanęło i poznać mi jej nie dało.

I nie mogło już być mowy dla mnie o żadnem zamążpójściu. Uważano mnie ogólnie za istotę bardzo spokojną, niezdolną do silnych namiętności i czynów gwałtownych, a przecież, na samą myśl, że związawszy się z kim innym, mogłabym znów spotkać tamtego na mojej drodze... Boże mój! co się we mnie na samą tę myśl działo!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

»Gazeta Lwowska« z dnia 1. lipca 1903.

Powitanie Sokołów na dworcu.

Zjazd Sokołów do Lwowa rozpoczął się już w sobotę rano, a jeden z pierwszych większych oddziałów przybył około południa oddział konnych Sokołów z Rohatyna. Główny jednak zlot nastąpił po południu nadzwyczajnymi pociągami, które począwszy od godziny 3 do późnego wieczora przybywały co kilkanaście minut na główny dworzec kolejowy.

Na powitanie przybywających gości pospieszyły tłumy lwowskiej publiczności, które częścią zapełniły peron, częścią zaś wielki plac dojazdowy przed dworcem. Tu stanęła też honorowa kompania lwowskiego „Sokoła ze sztandarem i orkiestrą; druga orkiestra ustawiona była na peronie. Szpaler wśród zgromadzonej przed dworcem publiczności utrzymywała młodzież szkół średnich.

Pierwszy po godzinie 4 po południu przybył pociąg z Rzeszowa, wiozący Sokołów od Tarnobrzega, Strzyżowa, Niska, Ropczyc, Jasła, Krosna, Gorlic i Dębicy. Przywitano ich serdecznie i odprowadzono na kwatery, przygotowane w szkole im. Elżbiety przy ul. Zielonej.

Następnie zwykłymi pociągami poczęli zjeżdżać Sokoli z Janowa, Sokala, Rawy i Żółkwi.

Drugi nadzwyczajny pociąg, wiozący Sokołów z okolic tarnopolskich, stanął na dworcu Podzamcze o godzinie 6·6 wieczorem. Powitał ich tutaj oddział Sokoła lwowskiego żółkiewskiej dzielnicy i odprowadził następnie do kwater w szkole św. Anny i w „Skale“.

Trzecie z rzędu stanęły we Lwowie na głównym dworcu gniazda sokole z kresów wschodnich, od Czerniowiec, Buczacza, Kołomyi, Kossowa, Zaleszczyk, Monasterzysk, Tłumacza, Nadwórnej i Śniatyna. Po powitaniu pokaźny zastęp ten z orkiestrą na czele od-

[illegible] zący, odprowadzeni przez orkiestrę narodową na ulicę Łyczakowską, gdzie udzielił im gościny w swym domu obywatel tutejszy, p. Bratkowski.

Przybywających w progi domowe gości powitali pp. Bratkowscy staropolskim zwyczajem, podając im chleb i sól.

Chorwaci.

Ostatni przybyli do Lwowa Chorwaci z dr. Bučarem na czele. Przybyli zaś tak późno, że wprost z dworca kolejowego udali się do sali Filharmonii. Przywitani okrzykami „Živio!“, Chorwaci zabawili w Filharmonii tylko chwilę, poczem udali się do swych kwater w domu p. Bratkowskiego.

Powitanie gości w Filharmonii.

Powitanie przybyłych na Zlot gości, naznaczone na godzinę 8, rozpoczęło się dopiero o godzinie 10·30, czekano bowiem na Czechów, Wielkopolan, Chorwatów i Sokołów z Tarnowa, którzy przybyli ostatnimi pociągami.

Cały parter zajęło sokolstwo polskie, loże zaś i wszystkie górne miejsca publiczność. Na estradzie ustawiły się kapela i chór sokoli, przed estradą zaś utworzył zastęp Sokolic wielki krąg, przeznaczony dla gości czeskich, chorwackich i wielkopolskich.

Każdego Sokoła czeskiego i chorwackiego witano entuzyastycznie oklaskami, gdy zaś weszli Wielkopolanie powitano ich jednogłośnym i długotrwałym okrzykiem: „Niech żyją!“, przyczem orkiestra zagrała fanfarę.

Właściwa uroczystość powitalna rozpoczęła się kantatą „Gaude mater Polonia“ Gorczyckiego odśpiewaną przez chór sokoli, poczem zabrał głos prezydent miasta Lwowa dr. Małachowski i powitał w krótkiem, pełnem zapału przemówieniu przybyłych na Zlot Sokołów.

Po odśpiewaniu przez ustawiony na estradzie chór chorwacki hymnu ludowego „Liepa nasa domovina“ przemawiał (po francusku) piąty z rzędu dr. Balck (Szwed), dyrektor instytutu gimnastycznego w Sztokholmie, zapalony krzewiciel idei sokolskiej. Imieniem swych rodaków dał mowca wyraz najlepszym dla Polaków uczuciom, a składając pozdrowienia ze Szwecyi, wyraził nadzieję, że gorliwa i potężna już dziś w owoce praca sokolstwa polskiego coraz świetniej będzie postępowała. Zakończył wreszcie życzeniem powodzenia dla prac patryotycznych sokolstwa polskiego.

W końcu wśród ogólnego naprężenia, witany entuzyastycznymi oklaskami i okrzykami zabrał głos imieniem Wielkopolan prezes tamtejszego „Związku sokolego“ poseł dr. Bernard Chrzanowski.

Na wstępie swego przemówienia zaznaczył, że sokolstwo W. Księstwa Poznańskiego liczyło przed dziesięciu laty zaledwie dziesięć gniazd i przepełnione było obawami, bo zbliżała się wichura szalona, która miała zmieść każdą cegiełkę pracy narodowej.

„Dziś — mówił — przychodzimy w imieniu przeszło 70 gniazd powstałych pośród rozszalałej burzy na naszej ziemi. Dziś już niema u nas nuty żalu, trwogi, lecz jest spokój, męskość a nawet może i duma.

Dziś od was nie żądamy słów otuchy, lecz przeciwnie wam niesiemy słowa otuchy, nadziei. I jak się to stało? W ogniu hartuje się żelazo, w ucisku hartuje się duch. Odlatywały od nas wprawdzie ptaki o barwach lśniących, ale lękliwe, słabe; skupiliśmy natomiast ptaki szare ale dzielne; Sokół wszedł w rzesze rzemieślnicze i ludowe. W imieniu prastarej ziemi Piastowskiej a dziś można nawet powiedzieć, że i w imieniu Szląska przynosimy wiarę, z której duch wasz niechaj czerpie otuchę na przyszłość“.

Przemówienie dr. Chrzanowskiego nagrodzili zgromadzeni frenetycznymi oklaskami.

[illegible] organizacyi sokolich żeńskich, przedstawiając przepisy regulaminu tych oddziałów. Nad sprawą tą wywiązała się obszerna i nader żywa dyskusya. Ostatecznie w głosowaniu regulamin ten uchwalono, poczem wybrano delegacyę, która ma udać się do prezydyum związku, z prośbą o zwołanie Zjazdu delegatów, celem rozstrzygnięcia sprawy odznak, względnie mundurów kobiecych.

Ćwiczenia na boisku.

W niedzielę o godzinie 5 po południu odbyły się na boisku sokolem pierwsze ćwiczenia zlotowe.

Letnie boisko sokole, położone na Cetnerówce, u stóp Łyczakowskiego parku, o obszarze 4 morgów, przedstawia znaczną trawą porosłą płaszczyznę, od wschodu, północy i południa otoczoną amfiteatralnym nasypem, podobnym do olimpijskiego. Od zachodu, od ulicy Pijarów, tworzy czwarty bok ujeżdżalnia z budynkami oddziału konnego, po których wzdłuż ściany zachodniej prowadzi ulica Cetnerowska. Od północy i wschodu rozciąga się po za nasypem park Łyczakowski, a od strony południowej corso parku oddziela boisko od prywatnych ogrodów. Boisko pomieścić może 2430 ćwiczących.

U wchodu do boiska ustawiono olbrzymią bramę wchodową, na której widnieją hasła sokole i hasła rzucane przez poetów polskich. W górze widać napis olbrzymiemi literami: „W zdrowem ciele zdrowy duch“, a dalej: „W jedności siła!“ — „Mierzy sił na zamiary!“ — „Hej ramię do ramienia!“ — „Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!“ — „Wszystko dla Ojczyzny!“ — Krzepmy się!“ — „Czołem Ojczyźnie!“ i inne.

Mimo deszczu już przed godziną 4 po południu poczęły zdążać ulicą Łyczakowską i Pijarów tłumy publiczności a w niespełna pół godziny później, wszystkie trybuny, loże i miejsca do stania dokoła baryery boiska wypełniła po brzegi publiczność z rozmaitych sfer naszego miasta i prowincyi. Między przy-

7)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Ciąg dalszy).

Taka burza buntu! i taki strach!... taki niewypowiedziany strach przed tem, co by się wtedy stać mogło....

Bo czułam, całem mojem jestestwem czułam, że gdyby mi te usta powiedziały: „pójdź“, szłabym za niemi na koniec świata, przez ogień i wodę.... i nie było by dla mnie zapory żadnej....

Ach! to było bardzo niemądre, bardzo śmieszne, bardzo może złe nawet.... ale — cóż ja na to poradzić mogłam?

W tem widocznie tkwiło przeznaczenie moje....

Ileż to razy w ciszy nocy bezsennych staczałam walkę wewnętrzną z tą marą, próbowałam odpędzić ją.... zapomnieć....

Napróżno!...

Gdyby jeszcze ten ów sen snem tylko był pozostał.... Ale on przecież zaczął się sprawdzać, w tak dziwny, w tak cudowny prawie sposób, że nie mogłam, nie mogłam nie wierzyć, żeby wszystko na tem skończyć się miało.... Więc czekałam....

A życie szło i młodość mijała i zmarszczki osnuwały oczy tęsknie w dal zapatrzone, i siwe włosy srebrzyły skroń po dziecinnemu marzącą, i wreszcie opatrzyłam się, że już — koniec!

I oto, bezwiednie, przeznaczeniowo, nieznany ten człowiek pokierował moimi losami. Gdyby, ukazawszy mi się nie był wnet zniknął na zawsze — bylibyśmy, wierzę w to mocno, — poszli razem przez życie, jak we śnie, a że się tak nie stało, to dla tego tylko, żeśmy się przez jakieś pogmatwanie losu — rozminęli....

Panna Joanna przestała mówić, ale nikt się z przerwaniem milczenia nie kwapił.... nawet pana Ignacego odpadła chęć podejmowania dysputy o przeznaczeniu.

Był w prostem, naiwnem niemal opowiadaniu tej zwiędłej, słodkiej kobiety, którą wszyscy kochali i cenili, cichy tragizm zwichniętej przez dziwaczną mrzonkę doli; i powiał na nich uczuciem wielkiego smutku i politowania.

Lecz ona, jak gdyby domyślając się tego, podniosła pochyloną wciąż dotąd głowę i z jakąś łagodną dumą dodała:

— Jeżeli powiedziałam, że ten nieznajomy pokierował moimi losami, nie znaczy to, żeby mnie unieszczęśliwił. Bynajmniej. Ludwik wcześnie owdowiał i znalazłam sobie bardzo drogi sercu memu cel, zastępując, o ile potrafiłam, matkę jego dzieciom. Miałam i mam zapełnione życie. Wszyscy są dla mnie dobrzy; na nikim się nigdy nie zawiodłam. Nie skarżę się.

— Moja droga Joasiu! — wyrzekł jej brat, bardzo wzruszony.

Zbliżył się i pocałował jej rękę. Siostrzenice przytulały się do niej w milczeniu, a ona całowała je serdecznie i z uśmiechem; choć młodsza z panienek uczuła gorącą kroplę na swojem czole.

Rozmowa nie kleiła się w dalszym ciągu, a że pora już była nieco spóźniona pomyślano o odwrocie.

Pierwszy wymknął się pan Karol, który opowiadania panny ze szczególnie zasępioną twarzą słuchał. Biedak! miał do tego powody. Tak gorąco i poczciwie kochał niegdyś tę kobietę, byłby, w krwawym pocie czoła, gdyby tego zaszła potrzeba, owe chleby życia dla niej układał i jeszcze czuł by się szczęśliwym, a ona — odepchnęła go — i dla kogo?... dla spotkanego na ulicy przechodnia, który mógł być ostatnim łotrem....

Nie! stanowczo byłby wolał o tem nie wiedzieć!

— No, wujaszku — zabierajmy się! — rzekła młoda mężatka, podchodząc do obcego gościa, który przez cały ten czas z czołem na dłoni nieruchomo siedział i zapewne drzemał, bo na dźwięk tych słów do siebie zwróconych, wstrząsnął się, jak człowiek, którego budzą i odsłaniając bardzo bladą twarz na stojącą przed nim młodą kobietę, jakimś zamglonym, jakby w odległe jakieś światy zapatrzonym wzrokiem spojrzał.

Wnet się jednak opamiętał, kilka słów do niej półgłosem wyrzekł i znów, do dawnej postawy wracając, usiadł.

Młoda pani wstrząsnęła z lekka ładną główką.

— Wujaszek jeszcze zostaje — rzekła do pana domu. — Domyślam się, co to znaczy. Będzie chciał pozyskać pana dla swego filantropijnego przedsiębiorstwa: budowy tanich domów dla robotników na wielką skalę. On sam jest przecież znakomitym architektą i zagranicą zrobił na swojej architekturze majątek. A odkąd powrócił z Ameryki te domy dla robotników są jego *idée fixe!* Najzacniejszy w świecie człowiek z tego wujaszka; tylko wielki dziwak!

I uśmiechając się dyskretnie, wyszła z resztą towarzystwa, przeprowadzona przez pana Ludwika i jego córki.

W salonie zostali tylko: milczący gość i panna Joanna, która zresztą zdawała się nie spostrzegać jego obecności.

Stanęła przy stole i machinalnie porządkowała coś na tacy; lecz myśli jej były daleko, ach! jak daleko od tych pustych filiżanek i niedojedzonych ciastek.

Teraz, gdy jak sądziła, nikt na nią nie patrzał, twarz jej w pełnem świetle lampy, nie wydawała się ani tak pogodną, ani tak spokojną, jak kiedy zapewniała, że do losu żalu niema i za wydziedziczoną przez życie się nie uważa.

Głęboka bruzda zarysowała się pomiędzy jej delikatnemi brwiami, usta drżały lekko, a z pod spuszczonych powiek jedna po drugiej płynęły zwolna ciche łzy.

Postać jej wiotka i bardzo jeszcze zgrabna przechyliła się nieco w tył, ręce opadły wzdłuż ciała i stała tak chwilę jakąś rozmarzona, tem żałosnem rozmarzeniem jesieni życia, które ma w sobie smutną, cmentarną woń i w którem nie to co będzie, gra tęczowymi blaski, lecz to co było, rozwłóczy się po duszy z melancholijnym szelestem usychających liści.

Nagle, gdzieś blisko nad jej pochyloną głową zabrzmiał głos obcy:

— Przepraszam panią!

Odwróciła się szybko, zmieszana.

Przed nią stał wysoki, niemłody mężczyzna, o postawie szlachetnej, której nie przygniotły lata, z bujnymi białymi włosami, od których rażąco odbijały proste, czarne brwi i czarna oprawa głębokich, siwych oczu.

— Przepraszam panią — powtórzył. — Czy pani tam.... na tym chodniku nie zgubiła czego?... Maleńkiej batystowej chusteczki z cyfrą J? Nie pamięta pani?

Panna Joanna cofnęła się i patrzyła na nieznajomego szeroko otwartemi źrenicami, w których malowało się zdumienie graniczące z przestrachem.

(Dokończenie nastąpi).

»Gazeta Lwowska« z dnia 2. lipca 1903.

163

c. k. ...
W Wilnie, Tadeusz Maryan Gdyniec, synowiec poety Antoniego Edwarda, znany kupiec wileński, w 44 roku życia.

△ **Samobójstwo.** Ubiegłej nocy w piwnicy realności przy ul. Bartosza Głowackiego l. 12 odebrał sobie życie przez powieszenie się na grubym postronku tamtejszy dozorca Filip Szkambara. Zwłoki, po skonstatowaniu przez lekarza miejskiego śmierci samobójczej, odstawił komisaryat II dzielnicy do kostnicy Zakładu medycyny sądowej. Powodem samobójstwa było wypowiedzenie mu przez gospodarza tej realności służby.

— **Z Krakowa** donoszą nam: JEm. Kardynał książę biskup krakowski Puzyna dopełnił wczoraj poświęcenia kamienia węgielnego pod nowy kościół i duży klasztor Karmelitanek bosych przy ul. Łobzowskiej.

Królem kurkowym tutejszego Towarzystwa strzeleckiego obwołany został p. Eugeniusz Śmidowicz, I marszałkiem p. Leon Zieleniewski, II marszałkiem p. Rudolf Petersein.

— **IX Międzynarodowy** kongres geologiczny, który co cztery lata zjeżdża się w jednej ze stolic Europy lub Ameryki, odbędzie się w roku bieżącym w Wiedniu w drugiej połowie sierpnia (od 20—27), pod protektoratem Jego Ces. Wysokości Arcyksięcia Rainera i pod prezydyum honorowem P. Ministra wyznań i oświaty dr. Hartla.

Przed otwarciem posiedzeń kongresu przygotowano cały szereg dalszych i dłuższych wycieczek w różne strony Austryi, z których jedna przybywa dnia 8 sierpnia do Krakowa i po dwóch dniach pobytu (d. 9 i 10) rozdziela się później na wycieczkę tatrzańską pod kierunkiem głośnego badacza Tatr, profesora wiedeńskiego Uniwersytetu dr. Wiktora Uhliga, i na wycieczkę karpacko-podolską pod kierunkiem profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego dr. Władysława Szajnochy.

Ta grupa wschodnio-galicyjska — w liczbie około 20 prawdopodobnie osób — przybędzie d. 11 sierpnia rano do Borysławia, zwiedzi tamtejsze kopalnie wosku i oleju skalnego, dnia 12 oglądnie Schodnicę i okolicę, a 13 sierpnia rano

komedya.

Muzyka Eyslera jest — rozmaitą. Większość numerów jest zupełnie w nowszym wiedeńskim guście, banalna, pospolita i podsłuchana, natomiast jest i kilka świeższych i ładniejszych, jak tercet pierwszego aktu, w drugim akcie duet miłosny (książę i Oculi) i drugi jeszcze duet (Oculi i Straubinger). Wszystkie finały odznaczają się pewną bogatszą budową, przypominającą z daleka (przynajmniej co do rozmiarów) architekturę komicznej opery.

Dzięki doskonałym kreacyom p. Kliszewskiej (Oculi) i p. Lelewicza (Straubinger), podtrzymywanych należycie przez panie: Kasprowiczową, Miłowską i Malawską, oraz pp.: Malawskiego, Kratochwila i Paszkowskiego, powinnaby nowa operetka zdobyć sobie powodzenie i na lwowskiej scenie.

Z popisów muzycznych. Rok temu powstała we Lwowie nowa szkoła muzyczna, założona przez pp. Niementowską i Wełeszczukową pod firmą I. koncesyonowany instytut muzyczny. Pierwszy publiczny popis tej szkoły, odbyty przed kilkoma dniami w sali Domu narodnego, nie tylko dowiódł w zupełności, że instytut muzyczny dzięki energii założycielek pięknie się rozwinął, ale popis ten stwierdził, że szkoła ma warunki dalszego rozwoju. Tak fortepianowe kursy elementarne (p. Jaworowska) i średni (p. Duboska), jak kurs skrzypcowy (p. Deman), wiolonczelowy (p. A. Wolfsthal), wreszcie kurs wyższy fortepianowy (prof. Wełeszczukowa), wykazały w grze uczniów i uczenic sumienną pracę nauczycieli i nauczycielek, poważny wybór utworów, tudzież piękne postępy zapisanych do instytutu około 70 uczniów i uczenic. To samo można powiedzieć o uczenicach fortepianowego kursu najwyższego (prof. Skrzydlewski). Wyszczególniły się także uczenice z wyższego kursu gry fortepianowej p. Niementowskiej. Wszystkie utwory w jej klasie odegrane były z pamięci, a mimo to czysto, bez omyłek, z artystycznem zacięciem.

Medale srebrne: H. Kulaszkiewiczowej za róże i za rośliny kwitnące wazonowe, Janinie Dydyńskiej we Lwowie za róże, Wojciechowi Rutkowskiemu we Lwowie za róże. Karolowi Ullmanowi we Lwowie za jarzyny. Stan. Obtułowiczowej we Lwowie za róże do smażenia i przeroby owocowe. Kazimierzowi Lewickiemu we Lwowie za wyroby ceramiczne.

Listy pochwalne: Maciejowi Stelmachowi z Wieczorków za cięte maki i róże. Franciszkowi Josefkowi we Lwowie za róże. Wincencie Rawskiej we Lwowie za truskawki. Emilii Kiselkowej we Lwowie za kwitnące Yucca pendula. Janowi Schumanowi we Lwowie za przyrządy ogrodnicze. Aleksandrowi Koniewiczowi we Lwowie za meble ogrodowe.

Za współpracownictwo: Annie Iraszek (firma M. Wolińskiego), Franc. Wehoferowi i Janowi Baranowi (firma F. W. Starcka Synowie) i Jędrz. Dmytrukowi (firma J. Tychowskiego) listy pochwalne.

Wyścigi konne.

Lwów, dnia 1 lipca.

(Pierwszy dzień.)

Na torze Cetnera, położonym za parkiem Kilińskiego, rozpoczęły się wczoraj po południu, przy pięknej pogodzie wyścigi konne, urządzane przez narodowe Towarzystwo chowu koni. Publiczności w stosunku do lat poprzednich zebrało się bardzo mało.

Biegów odbyło się ogółem, sześć.

I. Bieg, Nagroda Pań. Panowie jeżdżą. Nagroda honorowa, ofiarowana przez Eksc. hr. Maryę Potocką, jeźdźcowi zwycięzcy, 800 kor. zwycięzcy, 200 kor. drugiemu, 150 kor. trzeciemu, 100 kor. czwartemu koniowi. Bieg płaski. Meta około 1.600 metr. Dla 3-letnich i starszych koni wszystkich krajów, które w

quin" ogier gniady hr. Oskara Potockiego. Drugą była „Camellotte" kl. kaszt. p. Kaz. Ostaszewskiego.

Totalizator 10 : 18.

V. Nagroda rządowa 1000 koron zwycięzcy, 200 koron drugiemu, 150 koron trzeciemu, 100 koron czwartemu koniowi. Bieg płaski. Meta około 2.000 metrów. Dla 3-let. i st. w Galicyi lub na Bukowinie wychowanych ogierów i klaczy, które w latach 1902 i 1903 żadnego biegu o wartości 1.800 kor. lub powyżej nie wygrały.

Do startu stanęło 4 koni. Zwyciężyła półtora długością „Klekotka" 4-let. kl. gn. hr. Oskara Potockiego, drugim był „Waćpan" 6-let. og. gn. hr. Stanisława Siemieńskiego, trzecią „Dido" 3-let. kl. gn. st. weter. wojskowego Franciszka Bartoscha.

Totalizator 10: 20.

VI. Oficerski bieg z przeszkodami. Nagroda Jockey-Clubu dla Austryi 800 koron zwycięzcy, 200 koron drugiemu, 150 koron trzeciemu, 100 koron czwartemu koniowi. Meta ok. 3.200 met. Dla 4-let. i st. koni wszystkich krajów, w posiadaniu i jeżdżonych przez czynnych oficerów, oficerskiej randze równych, kadetów lub jednorocznych ochotników.

Startowało 7 koni. Zwyciężył siedmiu długościami „Biegunek" 6-let. wał. podpor. Władysława Hoffmanna, drugą była „Kartal huga" 4-let. kaszt. por. H. Hagelina, ośm długości z tyłu trzecim „Perkal" 4-let. w. gn. st. weter. wojsk. Franciszka Bartoscha, czwartym, ośm długości za trzecim „Lassuk" st. w. kaszt. podpor. Joly'ego.

Totalizator 10: 33.

W czasie brania przeszkody spadł w drugiem okrążeniu dosiadający "Princess" podpor. Osadziński. Upadek ten nie pociągnął za sobą żadnych następstw.

Drugi dzień wyścigów jutro, we czwartek, o godzinie 3 po południu.

8)

HAJOTA.

SEN PANNY JOANNY.

NOWELA.

(Dokończenie).

Skąd on mógł o tem wiedzieć?

I nagle zasłona spadła jej z oczu. Podniosła obie ręce i wyciągnęła je przed siebie, jak gdyby broniąc się przed zjawiającem jej się widmem.

— To pan — wyszeptała ledwo dosłyszanym głosem. — To pan!

On uśmiechnął się smutnie.

— Tak; to ja! Przypuszczając tyle, nie przypuszczała pani jednego, że możemy spotkać się wtedy, kiedy mnie pani już — nie pozna! I ja nie poznałem pani.... Trzydzieści lat przepłynęło pomiędzy nami.... To bardzo szeroka rzeka czasu.... Z jednego jej brzegu na drugi dojrzeć trudno.... Tak; to ja!

Milczała; on mówił dalej.

— Tę chusteczkę, podniosłem wtedy i chciałem ją oddać, ale dorożka już ruszyła.... Zguba była tak drobną; więc pomyślałem, że może pozostać przy mnie, jako pamiątka uroczego zjawiska i tych błękitnych oczu, które spojrzały na mnie tak, jak nikt przed tem i nikt potem na mnie nie patrzał.... Teraz już wiem dlaczego.... Ale wtedy!... A! pani.... Jaki czar rzuciły na mnie te oczy twoje!

Usta panny Joanny drgały bolesnym uśmiechem.

Więc nie omyliła się.... I dla niego to przypadkowe spotkanie było czemś.... Bezwiednie odczuł przeznaczenie swoje.... I nie poszedł za niem.... nie poszedł.... Pozwolił mu przejść mimo.... A przecież był mężczyzną. — Jego rzeczą było szukać.... walczyć.... zdobywać....

Ogromny żal i gorycz zaczęły podnosić się w jej sercu ku temu człowiekowi, który tak bezradnie obszedł się z jej szczęściem, a może i swojem własnem....

A on, jakby to odgadując, dodał:

— Czar ten pozostał nademną, ale ja, ani pójść za nim, ani szukać go nie mogłem.... Gdyśmy się wtedy spotkali, byłem zaręczony i ślub mój miał się odbyć za tydzień....

Panna Joanna mimowoli położyła rękę na sercu. Coś ją tam dziwnie zakłuło. On mówił znowu:

— Byłem zaręczony z kuzynką moją, z którą chowaliśmy się od dzieci. Miałem dla niej braterskie przywiązanie; ale ona kochała mnie ślepą, namiętną, bezgraniczną miłością, do jakiej czasem bywają zdolne skąd inąd bierne, wątłe, słabowite istoty. Więc postanowiłem ożenić się z nią.... Nie było to ofiarą z mojej strony; kobiety w ogóle nie sprawiały na mnie silniejszego wrażenia.... Sądziłem, że tak będzie zawsze....

Wtedy spotkałem panią.... Ach! Cóż o tem mówić.... Czy mogłem, czy miałem prawo poświęcać tamtą, która życiem przypłaciłaby opuszczenie dla nieznanej, która była by mnie może odepchnęła? — Więc przetarłem oczy i poszedłem w swoją drogę.... Ożeniłem się. Moja żona ciągle prawie chorowała — i dla jej zdrowia mieszkaliśmy przeważnie na południu. Zawód mój był tego rodzaju, że wszędzie pracować mogłem.... Gdy przed dziesięcioma laty owdowiałem, coś mi szeptało, żeby wracać do kraju.... szukać.... moich błękitnych oczu.

Ale odpędziłem tę myśl szaloną.... Po co?... Moje błękitne oczy miały już niewątpliwie dokoła siebie cały światek najbliższych istot, gdzie im było patrzeć na intruza?... Gdybym był mógł przewidzieć....

I tułałem się tak sam po szerokim świecie.... Jedyną towarzyszką moją była praca i.... ta chusteczka przez panią zgubiona.... Gdybym był wiedział.... A dziś!...

Umilkł i nastąpiła pomiędzy nimi cisza głęboka.

Z przedpokoju dochodziły głosy i śmiechy pożegnalne, którym nie było końca.

On wreszcie znów mówić zaczął:

— Panno Joanno! Dwukrotnie już ręka twoja spoczęła przelotem w mojej dłoni. Raz we śnie.... a potem.... tak jakby we śnie. Czy podasz mi ją po raz trzeci na jawie.... świadomie i — na zawsze?

Stał przed nią, nieco ku niej pochylony, z siwemi oczyma patrzącemi na nią serdecznie i głęboko, z wyciągniętą ręką, jak wtedy.... przed laty trzydziestu.

A jej wydało się, że ta rzeka czasu szeroko pomiędzy nimi rozlana, zwęża się nagle, wysycha i.... ginie.

Ta sama słodycz, tylko jakby jeszcze ukojeniem po tej długiej męce wyczekiwania, tęsknoty i beznadziejności spotęgowana, wezbrała w jej sercu, w tem sercu, którego nie przepalił ogień życia i które w dziewiczą swą samotność jak w liść aloesu owinięte, pozostało po dawnemu świeżem i czystem.

I uczuła znowu, jak dusza jej, na pierś tego obcego jeszcze przed chwilą mężczyzny zlata ptakiem radosnym, który gałąź — ostoję ujrzał w momencie kiedy już pewnem się zdawało, że strudzonemi skrzydły w pustkę bić będzie — do końca.

Bez jednego słowa, ale i bez zawahania się odjęła rękę od serca i złożyła ją na wyciągniętej ku sobie dłoni....

Przeznaczenie zapaliło spóźnioną gwiazdę szczęścia na jesiennem niebie tych dwojga.

»Gazeta Lwowska« z dnia 3. lipca 1903.

stracya chorej); dr. Kuczera: Bakteryologiczne rozpoznanie gruźlicy (z demonstracyą).

— **Popieranie przemysłu krajowego**. Na prośbę właściciela fabryki „kawy zdrowia“ w Podgórzu, polecił Wydział krajowy dyrekcyom szpitali, ażeby ten artykuł spożywczy z fabryki tej sprowadzali i robili doświadczenia, o ile zastąpić może i z jakim skutkiem kawę sprowadzaną z zagranicy.

— **Stypendyum fryburskie im. ks. Czartoryskich.** Na rok szkolny 1903/4 nadane będzie stypendyum fryburskie im. ks. Czartoryskich w kwocie 1200 fr. Stypendyum to przeznaczone jest dla ucznia Uniwersytetu, Polaka, religii rz. kat., który poświęca się naukom humanistycznym a pragnie dla uzupełnienia studyów udać się na Uniwersytet we Fryburgu szwajcarskim.

Podania wraz z odpowiednimi dokumentami (świadectwami colloquiów), wystosowane do zarządu Muzeum ks. Czartoryskich, nadsyłać należy na ręce prof. St. Dobrzyckiego (Fribourg, hôtel Suisse) do 31 b. m.

— **Zjazd lekarzy.** Pod przewodnictwem prof. dr. Ziembickiego obradował w ubiegłą niedzielę we Lwowie, w sali Domu narodnego, zjazd lekarzy, zwołany celem utworzenia jednolitej organizacyi zawodowej lekarzy pod nazwą Towarzystwa „Samopomocy“. W obradach uczestniczyło około 150 lekarzy, między innymi także kilku profesorów Uniwersytetów: lwowskiego i krakowskiego. Sprawę organizacyi lekarzy referował prof. dr. Ziembicki. Organizacya ta obejmować ma pracowników zawodu lekarskiego z Galicyi, Bukowiny i Szląska, a składać się z

— **Festyn.** W parku Zakładu sier[illegible] ubogich fundacyi Stanisława hr. Skarbka w Drohowyżu odbędzie się w niedzielę, dnia 5 b. m., na dochód budowy kościoła dla Zakładu i okolicy festyn, połączony z zabawami i losowaniem kilkuset fantów.

— **Na kurs wakacyjny w Jaśle**, przysposabiający do egzaminu kwalifikacyjnego do szkół ludowych pospolitych, przeznaczone zostały następujące nauczycielki pomocnicze:

Baczyńska Michalina w Skrzynce (okręg szkolny Wieliczka); Dobrowolska Teofila w Olszynach (Gorlice); Dominówna Marya w Brzyskach (Jasło); Döllingerówna Adela w Rychwałdzie (Gorlice); Fydowa Tekla w Krużlowej (Grybów); Grabikowska Marya w Tylmanowej (Nowy Targ); Hołujówna Marya w Sietnicy (Gorlice); Jodłowska Helena w Jeżowem (Nisko); Kamienobrodzka Irena w Chrości (Bochnia); Kolankowska Olga w Laszkach (Jarosław); Kosmanówna Zofia w Jasieniu (Brzesko); Lenartowiczówna Stefania w Kobylance (Gorlice); Lipińska Olga w Luszowicach (Dąbrowa); Modelska Kazimiera w Cięcinie (Żywiec); Neubarówna Stanisława w Długiem (Sanok); Russyniakówna Marya w Wołowcu (Gorlice); Rybianka Helena w Cmolasie (Kolbuszowa); Sękowska Józefa w Starym Wiśniczu (Bochnia); Skoczyńska Helena w Sośnicy (Jarosław); Solecka Helena w Gręboszowie (Dąbrowa); Stankiewiczówna Stanisława w Łodzinie (Sanok); Studnicka Stanisława w Brzezówce (Ropczyce); Szołdrówna Józefa w Rakowej (Sanok); Tarczyńska Marya w Kańczudze (Przeworsk); Weissowa Wanda w Uszwi (Brzesko).

przez męża, wskutek [illegible]

△ **Zamach samobójczy.** W restauracyi Ardel Scheindla przy ulicy Kazimierzowskiej l. 32 usiłował wczoraj po godzinie 9 wieczorem odebrać sobie życie dwoma wystrzałami z rewolweru, skierowanymi w usta i okolicę serca, kapral drugiej bateryi 11 pułku artyleryi korpuśnej, Andrzej Spodaryk. Broczącego krwią przewiozła stacya ratunkowa do szpitala wojskowego. Życiu jego grozi poważne niebezpieczeństwo. — Powód zamachu samobójczego niewiadomy.

△ **Znaczna kradzież.** Ubiegłej nocy skradli niewyśledzeni dotąd złoczyńcy dr. Ferdynandowi K. ze strychu realności przy ulicy Zielonej l. 43 znaczniejszą ilość bielizny wartości 1000 koron.

△ **Nieszczęśliwy wypadek.** Dziś przed południem spadł zajęty przy budowie nowego dworca robotnik, nieznany z nazwiska, z kilkumetrowej wysokości na ziemię i odniósł kilka poważniejszych obrażeń cielesnych. Nieprzytomnego odwiozła stacya ratunkowa do szpitala powszechnego.

— **Umysłowo chory** Izaak Reich, który dnia 12 z. m. rzucił się z laską na powóz Najj. Pana, ma być osadzony w Zakładzie dla obłąkanych w Kulparkowie.

— **Muzeum narodowe w Krakowie.** Wydział krajowy postanowił przedłożyć Sejmowi wniosek na udzielenie Muzeum narodowemu w Krakowie jednorazowo subwencyi w wysokości 30.000 K. na reorganizacyę i rozsze-

Cena za 50 kg. *loco* Lwów. Pszenica gotowa 7·75 do 7·90, pszenica na termina 7·— do 7·25, żyto gotowe 6·10 do 6·20, żyto na termina 5·— do 5·25, owies obroczny gotowy 5·70 do 6·10, owies obroczny na termina 4·50 do 4·75, jęczmień pastewny 4·50 do 4·75, jęczmień browarniczy 5·— do 5·50, rzepak 9·50 do 10·—, lnianka —·— do —·—, groch pastewny 5·75 do 6·25, groch do gotowania 7·50 do 9·—, wyka 4·50 do 4·75, nasienie lniane —·— do —·—, nasienie konopne —·— do —·—, bób —·— do —·—, bobik 5·— do 5·25, hreczka 6·50 do 6·75, kukurudza nowa —·— do —·—, kukurudza stara —·— do —·—, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 50.— do 65·—, koniczyna biała 45·— do 75·—, koniczyna szwedzka 55·— do 70·—, tymotka —·— do —·—.

Spirytus *loco* za 50 litr. gotowy *paritas* Tarnopol 17·75 do 18·10 za 50 litr. *paritas* Tarnopol na termin —·— do —·—, wyranty —·— do —·—, ekskontyngentowy 10·75 do 10·90.

OSTATNIA POCZTA

Najj. Pan odebrał dnia 28 czerwca od zamianowanego tajnym radcą węgierskiego ministra obrony krajowej generał-majora

165

HAJOTA.

Spełnione Marzenie.

Bardzo dużo dałoby się powiedzieć o tem, dlaczego Władek Stonicki w dwudziestym roku życia żadnego fachu w ręku nie miał i coraz to innego zajęcia się chwytając nigdzie długo miejsca nie zagrzał. Wina leżała po części w nim samym, w braku woli i wytrwałości, ale przeważnie w nieprzyjaznych okolicznościach, jakie towarzyszyły jego życiu.

Ojciec Władka był za czasów rosyjskich niskim urzędnikiem w magistracie, a że miał słabowitą żonę, troje dzieci, a jako uczciwy człowiek łapówek nie brał, przeto bieda aż piszczała w jego domu.

Dziwnem to się może wydawać na pozór, że kiedy funt chleba kosztował 3 kopiejki, kwarta mlega 8, a dwa serdelki 5. ludzie mogli cierpieć głód, niczem jak obecnie przy takich szalonych cenach.

Ale trzeba sobie przypomnieć jakie to pensye wtedy bywały.

Ojciec Władko pobierał 20 rb. miesięcznie, jakże się było za to z rodziną utrzymać; A przytem miał ambicyę. Chodziło mu koniecznie o to, by Władek szkoły skończył, a może i na uniwersytet poszedł. Nie spełniły się marzenia biedaka. Umarł w drugim roku wojny, przed samem wejściem Niemców do Warszawy. Żona wkrótce za nim poszła. Władek na czwartej klasie poprzestać musiał. I odtąd zaczęła się jego wędrówka za „posadą." Do terminu był już za duży i rzemiosło mu się żadne nie uśmiechało. Po rodzicach wziął zdrowie dość wątłe i do pracy fizycznej nie był zdolny. A więc pozostawały zajęcia głową, a tym znów brak potrzebnego wykształcenia przeszkadzał.

Tymczasem warunki życia stawały się coraz cięższe i drożyzna rosła jak na drożdżach. Biedował więc Władek okrutnie, mało się o to, co się w świecie działo troszcząc, tem tylko zajęty, żeby z głodu nie umrzeć. Gdy Niemców wygnano i Polska sama o sobie stanowić zaczęła, uradował się tem niby, gorliwie we wszystkich pochodach uczestniczył, ale oswoił się z tą „radosną nowiną" prędko, jak gdyby to była rzecz najzwyklejsza pod słońcem i jak gdyby stąd żadne nowe obowiązki na każdego Polaka nie spadły.

Niestety, takich, jak on było aż nadto wielu. Warszawa balowała i zbytkowała, a co nie balowali i nie zbytkowali to się pomiędzy sobą żarli. To też kara Boża szła, a z nią chwile opamiętania się narodu.

Ale tymczasem karnawał 1920 roku huczny był jak nigdy. Władek w owej porze miejsce subjekta w jakimś kolonialnym sklepie stracił, które mu się zresztą tylko czasowo, jako zastępstwo ciężko chorego pracownika dostało i na razie był bez zajęcia.

Za radą jednego z dawnych kolegów zaczął wynajmować się w bogatych domach za lokaja na balach. Pierwszy raz, gdy tak w wynajętym fraku z tacą przez salon szedł, myślał, że go krew zaleje i oczu podnieść nie śmiał, ale zarobek był niezły, więc się przemógł i co noc prawie gdzieindziej zdejmował paniom i panom futra i kalosze i podawał półmiski.

Aż jewnego razu w przerwie pomiędzy tańcami obnosił chłodniki. Podchodzi do jednej panienki, co rozmawiała z jakimś eleganckim młodzieńcem. Ta bierze szklaneczkę lemoniady i pijąc powoli patrzy na Władka, ale w taki sposób, jak gdyby to nie człowiek przed nią stał, tylko słup.

A Władkowi omal co taca z rąk nie wypadła. Takich oczu nigdy jeszcze nie widział. Wydało mu się, że mu na dno oczy zapadły i że już tam na zawsze zostaną. Przez resztę balu był jak nieprzytomny, ręce latały mu jak w febrze i tylko jakiemś osobliwszem szczęściem po za stłuczeniem kilku kieliszków i wylaniem sosu na suknię jednej z pań przy kolacyi, większej szkody nie uczynił.

Ale od tej pory coś się w nim przeobraziło. Lokajostwo mu tak zbrzydło, że się niem poprostu dławił, wynajmował się jednak po dawnemu, bo tym sposobem mógł ową panienkę widywać, a pieniądze uzbierane ciułał — on, co nigdy grosza utrzymać nie potrafił, bo p[illegible]ie, że skoro tylko [illegible]cznie weźmie się do n[illegible]cze na człowieka wyjdzie [illegible]e był tak głupi, żeby na tem [illegible]kieś nadzieje wzajemności bu[illegible]wać. Widział doskonale, że pomiędzy nim a tą panną z uczciwego domu (dowiedział się kto są jej rodzice i gdzie mieszka) przepaść nieprzebyta leży, że ona nawet nie domyśli się nigdy, czem się dla niego stała, lecz go to nie zniechęcało. Bo w najsilniejszych marzeniach swoich tego tylko pragnął, by kiedyś, któryś mógł stanąć przed nią, już nie jako lokaj z tacą, lecz jako ten, co wytrwałością i pracą zdobył sobie u ludzi poważanie i by ona mu jak równemu sobie rękę podała. Choć raz, choć raz jedyny tę cudną, drobną rączkę w swojej dłoni czuć!....

Odnalazł Władek dawnego znajomego rodziców bardzo zacnego i rozumnego księdza i ten widząc szczere chęci chłopca i niezłomne postanowienie kształcenia się, wynalazł mu jakieś przyzwoite zajęcie i dopomagał w naukach książkami i kierunkiem.

Jeszcze nic strasznego, kochanku — mawiał dobrotliwie — młody jesteś, przyszłość przed tobą stoi otworem, czas zmarnowany odzyskasz, maturę zdasz, wyjdziesz na ludzi.

Władek ani się spostrzegł, jak jego chwiejna, łatwo zrażająca się wola nabrała hartu i jak coraz ufniej patrzył w ową przyszłość, w upragniony cel „wyjścia na ludzi" i wywymarzoną za to nagrodę. Panienkę swoją widywał czasem na ulicy, a co niedziela w kościele, gdzie zawsze z wielką pobożnością mszy świętej klęcząc słuchała.

I tak to trwało, aż nad całym krajem zerwał się jeden okrzyk: Do broni!

Władek jeden z pierwszych wszystko rzucił i na ochotnika poszedł. Owa błogosławiona chwila stania się człowiekiem, przyszła dla niego wcześniej, niż śmiał zamarzyć! Obrońca Ojczyzny! Jakiż szczytniejszy zawód mógł być ponadto? Wszystko co nie było tą świętą sprawą znikło w myśli Władka. Zapomniał nawet o swojej panience. Ćwiczył się niezmordowanie, pełnił służbę dniem i nocą, aż sam się dziwił, skąd mu tych sił przybywało, na brak których zawsze narzekał. Gdy go wyprawiono na front, szedł z twarzą promienną i szczęściem w duszy, jak na wesele. Bolszewicy już byli niedaleko Warszawy. W cudną sierpniową noc, jasną jak dzień, pułk w którym służył Władek otrzymał rozkaz do ataku! Władek biegł w pierwszym szeregu. Doznawał takiego uczucia jak gdyby mu skrzydła przypięto. Dusza wyszła z niego i, niby ptak niewidzialny, usiadła na końcu jego nastawionego bagnetu, rwąc go naprzó! naprzód!

Wnet zakotłowało się przed nim... mignęły przed oczyma dzikie, rozpalone twarze... owiały go smrodliwe oddechy... nieludzki wrzask napełnił uszy. Władek parł z furyą przed siebie, Raz po raz bagnet jego pogrążał się w coś miękkiego... coś niklo mu z przed oczu... coś innego wyrastało... On darł się dalej. W tem uczuł ból przeszywający w piersiach... w głowie trzask... biaława mogła przesłoniła mu oczy... padł!

....

Co się z nim później działo, nie miał się nigdy dowiedzieć. Przedśmiertelna przytomność wróciła mu w czystej, widnej, szpitalnej sali.

Leżał na łóżku tak słaby i wyczerpany, że gdy otwierał oczy, to było mu tak, jak gdyby nie powieki podnosił, ale jakieś ciężkie, żelazne wrota. Podniósł je jednak i w pierwszej chwili wydało mu się, że już jest na tamtym świecie i że podwoje raju otwarły się przed nim.

Nad jego rozbitą, obandażowaną głową pochylała się anielska twarzyczka w obramowaniu białego czepeczka, cudne, słodkie oczy, te oczy, po raz pierwszy ujrzane na sali balowej, patrzyły na niego, ale, och! z jakże innym wyrazem, niż wtedy z ponad szklaneczki lemoniady.

— Jak się czujesz, bracie? — wyszeptał tkliwy głos.

Władek z niesłychanym trudem odwrócił dłonią do góry rękę, spoczywającą na kołdrze. Było coś błagalnego w tym ruchu. Piękna sanitaryuszka zrozumiała go widocznie, bo jej malutka, miękka rączka spoczęła na tej otwartej dłoni. Palce Władka ostatnim wysiłkiem objęły ją zlekka.

Niewysłowiona błogość odmalowała się na jego trupio bladem obliczu.

A ona, wciąż pochylona nad nim, pytała:

— Potrzeba ci czego? Mów, bracie.

— Niczego. — wyszeptały bezkrwiste usta. — Niczego... Jestem szczęśliwy!...

I to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Gdy Gwiazda Betleemska jawi się na nieboskłonie.

...A gdy gwiazda Betleemska jawi się dziś na nieboskłonie, gdy tęcza promienna zabłyśnie na seledynowem tle firmamentu, poraz pierwszy z rzędu, na naszej ziemi w ten wigilijny wieczór, uroczysty i świąteczny, w który biały Anioł pokoju zwykł był zsyłać nastrój ciąży i modlitewnego skupienia w Polsce u stołów ubogich, skromnie zasłanych białym obrusem, w niejednych oczach łza żalu błyśnie z cierpienia, niejedne usta zacisną się boleśnie, byle nie poddać się wzruszeniu, nie uledz nieprzepartej chęci bezradnego, nerwowego szlochu.

Siódmy rok wschodzi gwiazda betleemska nad Polską w chmurze powojennego dopustu. Wciąż nad ziemią polską przelatują krwawe widma zagłady, Thanatos wśród ziemi mogił i krzyżów płynie na swej upornej łodzi w dal wśród głodu i zarazy.

A gdy na ziemiach Europy, tam na zachodzie, już zakwitły błogosławieństwa pokoju, u nas wojna trwała do wczora, my jak ostatni gladiatorzy u bram cywilizacyi zachodu, stoimy z mieczem w dłoni na szańcach Europy.

Gasną już wokół nas zgliszcza i pogorzeliska wojenne. Sąsiedzi nasi już miecze włożyli do pochwy. Tylko żołnierz polski stanął zwartym szeregiem na dalekich rubieżach kochanej ojczyzny, a w tę noc, gdy Bóg się rodzi, moc truchleje, w rowach gliniastych, błotem i zgniłą słomą wysłanych, w ziemniankach wilgotnych, na pryczach z desek zbitych żołnierz polski ze smutkiem myśli o wigilijnym wieczorze, o wypoczynku, a chwili wytchnienia.

*

Smutno dziś w Polsce w tę noc wigilijną. A sporo goryczy doleją do tego kielicha naszych smutków i trosk ta samowiedza, że w Polsce, w tej ojczyźnie, w której śniliśmy sny tęczowe od lat stu niewoli, dużo kąkolu zeszło na ugorach ziem naszych. Mieliśmy przejść przez męki niewoli, jak naród, który uległ nieszczęściu i błędy swe, a wady w ogniku cierpień pokoleń całych, niby metal z rdzy oczyszczony, przekuć ślubuje na stal czynu ofiarnego, na szlachetność uczuć, na energię pracy społem, na wyzbycie się sobkostwa, grzechów chciwości i dłoni zbrukanych.

A jednak, gdy rzeczywistość rozwiała obłoki pierwszego entuzyazmu wielkiej ery narodowej, ujrzeliśmy, że w organiźmie naszym pozostały stare wady i stare błędy. Nie zdobyliśmy się jeszcze na pracę i współdziałanie całego narodu, pogłębiła się przepaść pomiędzy ludźmi szlachetnego i gorącego serca bijącego dla odrodzonego kraju, a pasorzytami narodu, które na młodym organiźmie państwa poczęły dokonywać starych, doświadczonych eksperymentów nadużyć, łotrostwa, ciągnącego osobisty zysk z krzywdy bliźniego.

I jak najstraszliwsza groźba staje znów nad Rzeczypospolitą grzech atawizmu, dawne, uśpione widmo klęski narodu, kryjące się w owej dewizie „Polska nierządem stoi!" wałęsać się już poczyna znów u węzłów naszego domu iż prawo staje się martwą literą, a partya i jej warcholstwo — politykę narodu toczy i trawi.

*

Więc w tę porę, gdy nad Polską jawią się jasne duchy z zaświatów, gdy chóry serafinów zanucą swój chorał niebiański: **„Pokój ludziom dobrej woli na ziemi"** — Polska musi zwartym szeregiem prawych obywateli ślubować, iż zdobędzie się na czyn ofiarny pracy społem całego narodu i wszystkich jego synów, iż zapomni uraz i waśni stronniczych, a najlepszych swych obywateli powoła do pracy od podstaw, do uleczenia tych wad, które na młodym organiźmie państwa poczęły bezkarnie grasować.

Cały naród musi się zdobyć na ten pokój wewnętrzny i z dobrą, niezłomną wolą rozpocząć trud dzieła, utrwalenia naszych dóbr narodowych, wyplenienia zła i zbudowania Polski murowanej i stalowej, niezarażonej próchnem i zgnilizną nierządu i bezwładu.

Wtedy dopiero jasną błyskawicą chrobrego miecza powalimy wroga zewnętrznego i wewnętrznego, wtedy nad zwycięską, silną Polską załomocą sztandary i chorągwie hufców bohaterskich, powracających po ciężkim, wojennym trudzie do ziemi ojczystej, a na niebio...

FRANCISZEK PESKA

Współpracownicy ...ego "Poradnika Dobrego Zdrowia".

DR. MICHAŁ C. GOY.
866 Milwaukee ave. cor. Racine.

Jeden z pierwszych i najczynniejszych współpracowników naszego „Poradnika Dobrego Zdrowia", lekarz młody, lecz wielką już praktyką cieszący się, specyalista w chorobach wewnętrznych, nerwowych, oraz w dyetetyce.

DR. JÓZEF J. ZAK.
3192 Milwaukee ave., blisko Belmont.

Wybitny lekarz, znany dobrze w Avondale i w dalekim promieniu sąsiednich dzielnic; specyalista w chorobach dzieci, wewnętrznych, oraz położnik; współpracownik naszego „Poradnika Dobrego Zdrowia."

DR. HELENA GORECKA.
Noble ul., róg Milwaukee ave.

Nasza przedstawicielka kobiet w medycynie, specyalistka w chorobach kobiet i dzieci; w ciągu lat kilku pobytu w Filadelfii — asystentka jednego z najlepszych szpitali, zajmujących się daną specyalnością; współpracowniczka naszego „Poradnika Dobrego Zdrowia."

DR. JAN J. LISS.
Ashland ave., róg Blackhawk.

Znany i popularny w kołach młodzieży naszej dentysta, również przygodny współpracownik naszego „Poradnika Dobrego Zdrowia."

ŁOTWA.

(Z „Gaz. Porannej").

Od czasów przedhistorycznych osiedli na wybrzeżu Bałtyku, zamieszkują Łotysze obecnie całą Kurlandyę, 4 południowe powiaty Liwlandyi (b. gub. Ryskiej) i Letgalię (3 powiaty zachodnie gub. Witebskiej, dawniejsze Inflanty polskie). Łotwa obecnie dzieli się administracyjnie na 17 powiatów o powierzchni 64.196 klm. kw., jest znacznie większa od Danii i Niderlandów, do których jest zbliżona przez położenie geograficzne, warunki klimatyczne i organizacye życia gospodarczego. Położona nad morzem Bałtyckiem (głównie — zatoką ryską), Łotwa graniczy z Estonią, Wielkorosyą, Białorusią i Litwą. Granice administracyjne Łotwy niewszędzie się zgadzają z granicami etnograficznemi, są poszczególne gminy jak w powiatach estońskich tak i na Litwie i nawet w Prusach zamieszkałe przez Łotyszów na ziemiach rdzennie łotewskich natomiast są miejscowości gdzie duży procent ludności stanowią Eestończycy i Litwini. Z Estończykami porozumienia co do tych terenów spornych już osiągnięto, z Litwinami nieporozumienia trwają i dochodzą do walk orężnych. Ze względó... [illegible] ...

Mitawie, Windawie i Libawie są teatry łotewskie, lecz nawet na wsi istnieją liczne trupy dramatyczne. Muzyka łotewska wykazuje przeszło 2,000 melodyi i piosenek ludowych, jest ona uprawiana w kilku szkołach muzycznych i operze łotewskiej ryskiej.

Wystawy malarstwa łotewskiego cieszyły się w Rydze, Piotrogrodzie i Moskwie wielkiem powodzeniem. W miarę rozwoju działalności ekonomicznej i kulturalnej zbliżonej do zachodnio-europejskiej, Łotwie coraz bardziej ciążyły rządy obce, (rząd rosyjski w 1914 roku wstrzymał nawet wydawnictwo książek łotewskich), ekonomicznie Łotwa też cierpiała. Łotysze płacili ciężkie podatki, nic w zamian nie otrzymując, pieniądze te szły na utrzymywanie krajów barbarzyńskich. Pod panowaniem Zakonu Teutońskiego, Polski i Szwecyi, zachowali Łotysze swą narodowość, zachowali ją też pod uciskiem rosyjskim, — zbliżeni co do religii, tradycyi, historyi i cywilizacyi do Europy zachodniej.

Położenie geograficzne Łotwy było przyczyną, że kraj ten był teatrem walk nieustannych. Więcej niż 150 lat opierała się Łotwa Zakonowi Krzyżackiemu, czasem nawet zwycięsko, (bitwa pod Durbe 1260) Niemcy, silniejsi [illegible] jenna, zdobyli Łotwę ostatecznie.

Państwo stworzone przez Zakon Teutoński przetrwało do 1560 roku, poczem Estonia przeszło do Szwecyi, Letgalia i Inflanty do Litwy połączonej z Polską, jedna Kurlandya zachowała swą niezależność w farmie Wielkiego Księstwa. Wojna Północna zmieniła tę sytuacyę. Wojska Piotra I-go zdobyły Inflanty i Estonię, Łotwa podzielona na trzy odłamki stopniow przeszła pod

szkół średnich, rząd rusyfikuje nawet szkoły początkowe. Łotysze żądają rozstrzygnięcia sprawy agrarnej, rząd kolonizuje ziemie łotewskie przybyszami z Rosyi Centralnej łotysze żądają sądu łotewskiego — rząd zakazuje mówić po łotewsku nawet sędziom znającym język łotewski. Rząd z pieniędzy łotewskich utrzymuje na Łotwie urzędników tylko rosyjskich.

Gdy wojna wybuchła, naród łotewski zwrócił się przeciwko Niemcom. Około 182,000 Łotyszy walczyło w szeregach armii rosyjskiej, Łotysze żądają utworzenia armii ochotniczej, po drugiej ofensywie na Kurlandyę pozwolenie to im zostaje udzielone. Łotysze mają zasługę zatrzymania Niemców pod Rygą w r. 1917. Porzucone przez armię Kiereńskiego, legie łotewskie walczą beznadziejnie już tylko dla chwały imienia łotewskiego. Następuje okupacya niemiecka. Rząd niemiecki chce otrzymać oświadczenie ludności łotewskiej za aneksyą niemiecką, stwarza „Rady Krajowe" złożone ze szlachty niemieckiej, zmuszając do udziału w nich włościan łotewskich. Żaden polityk łotewski nie bierze udziału w tej komedyi. „Rady Krajowe" ofiarowują Cesarzowi Wilhelmowi II koronę Bałtycką! Ale kiedy 3 września 1918 r. Niemcy obchodzą uroczyście rocznicę wzięcia Rygi, ani jedno stowarzyszenie łotewskie nie bierze w tem udziału.

U CHIROMANTKI.

Paryż 2-go października.

„Chiromancja stanie się kiedyś gramatyką organizmu ludzkiego”, powiedział Dumas syn po przeczytaniu „*Tajemnic ręki*”, dzieła napisanego przez jego przyjaciela Desbarollesa, który stał się wskrzesicielem chiromancji na francuskim gruncie.

Tak — wskrzesicielem; gdyż nauka ta, stara jak świat, mędrcom wschodnim dobrze znana, przez magów w Kabale wyłożona, cieszyła się pewnem uznaniem i rozgłosem we Francji już w XVI-ym wieku, o czem świadczą liczne o niej wzmianki w *Zarysach* Montaigne'a, który wielkie w niej pokładał zaufanie. Niemniejszą, a może i większą wagę przywiązywał do tej na pozór fantastycznej, tak zbliska o szarlatanizm ocierającej się wiedzy umysł nadzwyczaj ścisły i pozytywny, ojciec dzisiejszego realizmu w literaturze — Balzac.

Jeżeli jednak z jednej strony tak niepospolite autorytety, których zresztą możnaby więcej naliczyć, oceniały a nawet przeceniały znaczenie chiromancji, jako systematu naukowego, ogół inteligentny odnosił się i odnosi do niej z lekceważeniem większem niż naprzykład do frenologji, która w gruncie jest jej rodzoną siostrą, z tą tylko różnicą, iż hieroglify natury ludzkiej odczytuje z czaszki, nie zaś z dłoni. Nawet grafologja, metoda odgadywania charakterów z pisma, traktowaną była z bardziej poważnego stanowiska, jak świadczy o tem choćby olbrzymia przed kilkunastu laty sława w Niemczech niejakiego Adolfa Heuse, który w *Leipziger illustrirte Zeitung* dawał odpowiedzi na nadsyłane mu ze wszech stron okazy pisma.

To lekceważenie to wina cyganów, którzy zawlókłszy chiromancję pod swe wędrowne namioty, upstrzyli ją tam w czarnoksięskie dodatki i zredukowali do stereotypowych, naiwnych przepowiedni, szafujących na prawo i na lewo długiem, szczęśliwem życiem, bogatem małżeństwem, nadzieją dwóch blondynów i jednego bruneta, albo dwóch brunetek i jednej blondynki, stosownie do okoliczności, wygraną na loterji i tem podobnie.

Znalazł się przecież we Francji człowiek, nawpół artysta, wpół podróżnik, obdarzony awanturniczą żyłką, i lubującą się w rozwiklywaniu zagadkowych plątanin przenikliwością, który w pieszych swych wędrówkach po Hiszpanji, spotykając co chwila wróżki-cyganki, powziął myśl oddania się poważnym, naukowym, na fizjologji opartym studjom nad linjami ręki. Poznanie kapitana d'Arpentigny, wynalazcy nauki nazwanej przez niego chironomonją czyli odczytywania charakterów nie z linji na dłoni lecz z zewnętrznych kształtów ręki, dokonało reszty.

Desbarolles postanowił koniecznie zostać nowym Champollionem dla tajemniczego pisma natury. Przez trzydzieści lat pracował niezmordowanie, zbierając źródła i dowody, badając ręce wielkich ludzi i wielkich zbrodniarzy, schodząc z cesarskich pokojów i literacko-artystycznych salonów do więzień i celek skazanych na śmierć przestępców i owoce tych swoich spostrzeżeń ujął w ramy systematu.

Chiromancja Desbarollesa jest nauką eklektyczną. Przyjąwszy za podstawę wierzenia kabalistów o oddziaływaniu planet na ludzi, posługuje się metodą Lavatera i Galla, gdy chodzi o potwierdzenie jej wniosków, odrzucając stanowczo współudział wszelkich nadprzyrodzonych zjawisk jasnowidzenia i ekstazy.

Ale sam Desbarolles przyznaje, że pewien specjalny dar w tym kierunku jest równie potrzebnym dla chiromanty jak czułe na proporcje i koloryt oko dla malarza, a wrażliwe na harmonję ucho dla muzyka i że praca jego była mu znakomicie ułatwioną przez kobietę wyjątkową intuicją obdarzoną, która dzięki temu w jednej chwili odsłaniała mu prawdy w linjach rąk ukryte, jakie on dopiero na drodze dedukcji stwierdzał.

Popularność Desbarolles'a stała się wielką. Napoleon III-ci i Eugenja zasięgali jego rady, a tej ostatniej przepowiedział on nawet straszną katastrofę, mającą ją spotkać pomiędzy 45-ym a 47 ym rokiem życia, co się dziwnym zbiegiem okoliczności przez wojnę r. 1870-go i upadek cesarstwa sprawdziło.

Obecnie znajduje się w Paryżu moc jego uczniów, uczennic i naśladowców, praktykujących na szeroką skalę metodę swego mistrza, a do najwybitniejszych należy panna Weronika, przy ulicy du Bac mieszkająca.

Jak większość osób, które sobie z tej nauki rzemiosło zrobiły, jest ona zarazem kabalarką i jasnowidzącą i bezwątpienia trzy czwarte rozgłosu łatwowierności swej kljenteli zawdzięcza; zdarzyło mu się jednak słyszeć o niej od ludzi naukowej powagi, że wymienię J. Ochorowicza, którzy jej niepospolitą intuicją, zwłaszcza w odgadywaniu chorób z włosów osoby chorej, przyznawali.

Do tej panny Weroniki zawiodła mnie nietyle ciekawość przyszłości, ile chęć przekonania się, czy też choć jeden rys charakteru, jaki wróżka w moich rękach wyczyta, będzie zgodny z prawdą.

Numer domu nie był mi wiadomy, ale cała ulica de Bac zna swoją sławę. Pierwsza osoba, którą zagadnęłam, wskazała mi bramę, gdzie wszedłszy i przebywszy dwa piętra ciemnawych, tajemniczo na-

166

strajających schodów, znalazłam się przed drzwiami z napisem:

M-elle Véronique.

Nic więcej. Napis ten, oświetlony słabo maleńką w górze zawieszoną lampką, wymowną swą krótkością i metalicznym połyskiem liter w panujących dokoła cieniach, potęgował jeszcze wrażenie schodów.

Atmosfera tajemniczego wnętrza zdawała się przeciskać przez drzwi i natężać nerwy, jakby przygotowując je do niezwykłych sytuacyj.

Niech co chcą mówią najbardziej sceptyczni, potęga „niewiadomego" jest tak wielką, że nawet ten kto żartem rąbek jego zasłony chce uchylić, kto go uchyla, mówiąc sobie naprzód że nic nie zobaczy, czuje w danej chwili jakąś zabobonną, mimowolną trwogę, a przyśpieszone bicie jego serca zadaje kłam swobodzie drwiącego uśmiechu na ustach.

Otworzyła mi sama panna Weronika i widok jej podziałał ochładzająco na podniecone już moją wyobraźnię.

Nie! stanowczo ta nie wygląda ani na Pytję, ani nawet na nią pozuje, co jej się chwali. To nie panna Lenormand, która przyjmowała swoich gości w turbanie na głowie, w fantastycznym stroju wróżki, z laseczką czarnoksiężnicy w ręku.

Panna Weronika jest osobą czterdziestoletnią może, bardzo dobrej tuszy, w szafirowej, jedwabnej sukni, napełniającej maleńki przedpokoik chrzęstem modnych draperyj.

Wprowadziła mnie do saloniku, prosząc, abym poczekała trochę, aż osoba, którą obecnie „konsultuje", odejdzie.

— *Trés-bien, madame!*

Salonik uderzył mnie tym samym pospolitym wyglądem, co jego właścicielka. Stół na środku, na nim, o! dziwo, zamiast denerwujących ilustracyj czarnej magji, numer *Journal amusant*, bukiet zasuszonych kwiatów, szkatułka do roboty i parę innych prozaicznych drobiazgów. Na ścianie duże lustro, pod niem kanapa, naprzeciwko fortepian, a w jednem oknie, wśród doniczek zakurzonej zieleni, klatka z kanarkiem, drącym się z całych sił swego żółtego gardziołka.

Całość robiła wrażenie mieszkania spokojnej, starej panny. Ten bukiet bezwonnych, martwych kwiatów, ten kanarek, ten fortepianik staroświecki, otwarty, o żółtych klawiszach, po których zdają się błąkać jakieś sentymentalne, przebrzmiałe dziś melodje, te kanwowe poduszki na kanapie—wszystko to naprowadzało myśli o pamiątkach, wspomnieniach i echach przeżytej młodości. Każdy sprzęt skarżył się sobie właściwą samotnością, a głęboka cisza napełniająca pokój uwydatniała jeszcze bardziej jego melancholijną powierzchowność. Z po za bocznych drzwi w tapecie, prowadzących, jak się domyśliłam, do właściwego sanktuarjum wróżki, nie dolatywał najlżejszy szmer. A jednak, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mówiły się tam w tej chwili dziwne rzeczy.

Stopniowo zapomniałam po co tu przyszłam. Chiromantka, kabalarka, jasnowidząca, znikła mi z oczu, została tylko panna Weronika, samotna stara panna i zamiast dumać nad mojem własnem przeznaczeniem, jakie mi za chwilę miała odsłonić, zaczęłam budować w myśli romantyczny gmach jej przeszłości, jak mi się to zawsze zdarza, ilekroć spotkam kobietę niemłodą, niebrzydką i niezamężną. Ta potrójna kombinacja przedstawia mi się jak blady, wypłowiały tryptyk, zamykający w sobie relikwje jakiejś miłości—męczennicy, jakichś niezziszczonych pragnień, którym długie cierpienie dało melancholiczną aureolę.

Mogę się w tem mylić i często, ale mnie to z mego nawyknienia nie leczy.

Po niejakim czasie panna Weronika ukazała się znowu i poprosiła mnie do drugiego pokoju, zamykając starannie drzwi za sobą. Ma ona osobne wejście i wyjście dla swojej klijenteli tak, żeby o ile możności uniknąć spotykań się konsultantów.

Wróżbiarska atmosfera zaczęła znów na mnie działać, dzięki oczom panny Weroniki, oczom czarnym, dużym, podkrążonym, których wyraz miał w sobie coś dziwnego.

Wskazała mi miejsce na fotelu wprost okna, sama zaś usiadłszy plecami do światła, zapytała, czy chcę aby mi wróżyła z rąk, z kart, czy przez sen.

Wybrałam dwa pierwsze sposoby, uznawszy trzeci za zbyt ryzykowny.

Przedzielał nas maleńki stoliczek, na którym chiromantka poleciła mi położyć obie ręce.

Długą chwilę, siedząc w cieniu, wpatrywała się we mnie bystro swemi wielkiemi, czarnemi oczyma, poczem spuściła je na moje dłonie, badając linje.

— Rzecz dziwna—odezwała się wreszcie—widzę jakby dwa nazwiska, własne i przybrane, a jednocześnie widzę, że pani nie jesteś zamężną. To mi każe wnosić, iż pani masz jakieś *nom de guerre*, nabyte przez siebie samą, pod którem bardziej jesteś znaną, niż pod tem, jakie masz po rodzicach.

Taki początek zmieszał mnie trochę. Musiałam przyznać, że się nie myli co do podwójności nazwiska i prosiłam ją, żeby mi powiedziała na jakiem polu służy mi pseudonim.

Tutaj przenikliwość, a raczej frenologiczna wiedza (bo zaczęła opatrywać mi czoło) zawiodła wróżkę, wymieniła bowiem tę karjerę artystyczną, do której jako żywo żadnych nigdy zdolności nie miałam, mianowicie śpiew.

167

Uczułam się w obowiązku zaprzeczyć, co ją mocno zdziwiło.

— Czeka panią... — ponowiła, biorąc mnie znów za ręce.

— Zechciej pani nie mówić mi co mnie czeka, lecz co mnie już spotkało—przerwałam.—Słyszałam o osobie, której pani przepowiedziałaś śmierć kogoś bliskiego i nie mam ochoty dowiedzieć się o czemś podobnem. To zawsze wywiera wpływ ujemny na wyobraźnię.

— Pani wierzysz w chiromancję?—zapytała.

— Chciałabym się przekonać, czy w nią wierzyć można. Proszę mi coś powiedzieć o moim charakterze.

Rzecz prosta, że w tem miejscu zapuszczam zasłonę na posiedzenie. Jeżeli przytoczyłam ów pierwszy szczegół o nazwiskach, to dlatego, iż wydaje mi się istotnie zdumiewający swoją trafnością tam, gdzie wprost niepodobieństwem było przypuścić, aby cośkolwiek mogło wróżkę na ten domysł naprowadzić.

Byłże to poprostu przypadek, czy też objaw tej szczególnej intuicji, jaką ma ta kobieta posiadać? We wszystkiem co mi następnie powiedziała była taka mieszanina prawdy i fałszu, tyle spostrzeżeń trafnych obok tylu bezpodstawnych, że w ostateczności nie wiedziałam, czego się trzymać. Niechby już były same brednie, albo same przekonywające fakta. Ale nie! Jakby z umysłu, ledwo powiedziała mi rzecz budzącą do pewnego stopnia zaufanie, wnet następowało po niej coś, co rodziło lekceważącą niewiarę. Słuchałam więc panny Weroniki w milczeniu, podnosząc naprzemiany brwi lub wzruszając nieznacznie ramionami, co pierwsze znaczyło: „To ciekawe!" a drugie „To niedorzeczne!"...

Jedna przecież okoliczność zastanowiła mnie najbardziej, to jest podobieństwo moralnych sylwetek osób tak lub owak z memi losami związanych, które mi naszkicowała. To już chyba przekraczało granice chiromancji.

— Jakim sposobem — zapytałam — możesz pani widzieć czyjść charakter lub czyjeś powołanie na mojej ręce?

Sybilla podniosła na mnie oczy i odrzekła z przyciskiem:

— *Ça y est.*

— Wszak pani posługujesz się metodą Desbarollesa?—badałam dalej.

— Tak; ale sam pan Desbarolles przyznał mi większą niż u niego łatwość w odgadywaniu linij. Naturalnie wypływa to z mego daru jasnowidzenia, którego on nie posiadał. Teraz naprzykład widzę na ręku pani coś odnoszącego się do jej przyszłości, a ponieważ jest to rzecz pomyślna, więc ją powiem.

— Niech i tak będzie — odrzekłam — ale uprzedzam panią, że się tem nie ucieszę, gdyż we wróżby szczęśliwe stanowczo nie wierzę. Co innego przepowiednia nieszczęścia. Ta mogłaby pozostawić po sobie jakiś mimowolny niepokój w usposobieniu, skłonnem, jak to pani sama zauważyłaś, do pesymizmu. Nie odpowiedni to więc grunt do szczepienia na nim różowych prognostyków. Nie przyjmą się bezwarunkowo.

— To nic nie szkodzi. *Je tiens à vous le dire.*

I powiedziała; poczem, sięgając do szufladki, rzekła:

— A teraz zobaczymy o ile karty potwierdzą to, co mówi ręka.

Karty panny Weroniki były jakieś osobliwsze: bardzo duże, bardzo grube i nadzwyczaj śliskie.

Kazała mi zebrać lewą ręką i kładła kilka razy kabałę, tłumacząc mi ją głosem przytłumionym i powolnym.

Wyglądało to tak, jak gdyby miała większy szacunek dla tego klucza do tajemnic życia niż dla chiromancji. Widocznem było także, iż ją to męczy, ale z pewnym tryumfem obwieściła mi, że karty zgodne są zupełnie z wyczytaną na dłoni przepowiednią. Prawdę rzekłszy, mogły być i w sprzeczności, a nie byłabym się na tem poznała.

Nadmienić jednak muszę, chcąc być ścisłą, że traf chciał znowu, aby drobny, szczegółowo określony fakcik, nie należący w dodatku do kategorji tych, które się codzień zdarzyć mogą, a jaki mi między innemi z kart wywróżyła, sprawdził się w parę dni potem; co mnie wszelako gorętszą wiarą w dalsze przepowiednie nie natchnęło.

Pożegnałam pannę Weronikę z przekonaniem, że chiromancja o ile w pokiereszowanych zygzakami dłoniach naszych doszukuje się cech naszego temperamentu, skłonności, a zwłaszcza tego wszystkiego, co się do fizycznej organizacji odnosi, o tyle pozostaje we właściwych sobie granicach i jako z taką liczyć się z nią można.

Z chwilą, gdy zasiada na trójnogu wieszczki, potrzeba bardzo dużo dobrych chęci, żeby ją na serjo traktować.

Nb. Nie dziw się, sz. redaktorze, że pod wpływem wizyty u panny Weroniki i ja mam maleńki atak jasnowidzenia, dzięki któremu zdaje mi się, iż widzę gdzieś daleko, daleko jednego z twoich współpracowników, jak rzuciwszy okiem na ten feljeton woła oburzony:

— Ależ i ja ongi, *anno domini*, coś o jakiejś wróżce pisałem. Sam już dobrze nie wiem, co to było, ale czytelnicy powinni umieć cały artykuł jak pacierz, a piszący wiedzieć, że przedmiotu, o którym ja wzmiankę uczyniłem, poruszać więcej nie wolno. Czy podobna, aby kto miał tak krótką pamięć!

Co do mnie, jestem mniej wymagającą, nie mam naprzykład żadnej pretensji do p. Chłędowskiego, który w *Gazecie lwowskiej* pisał teraz o armji zbawienia i nie zdziwię się zgoła, jeżeli za lat kilka, co mówię, nawet za kilka tygodni, spotkam się na szpaltach *Kurjera* z artykułem o... chiromancji.

H. J. B.

Brodów w Galicji.

W liście tym znajdowały się cztery weksle oraz dwa rewersy, brakowało zaś jednego dokumentu.

List pisał dobry znajomy, a nawet imiennik Czymera, właściciel sklepu w Brodach.

Zawiadomił on poszkodowanego, że owe dokumenta zostały mu w dziwnie tajemniczy sposób podrzucone w sklepie.

Jakim sposobem złodziej z Warszawy zawędrował do Brodów i tamtejszemu Czymerowi weksle podrzucił?—to już pozostaje zagadką trudną do rozwiązania.

— Olbrzymia kradzież.

Po sprawdzeniu okazało się, iż portfel, skradziony tak zuchwale Weltowi na Nalewkach, zawierał walory na sumę około *100,000* rs..

Kradzież ta dziś została wykryta, dzięki energicznemu, osobistemu śledztwu naczelnika p. Wojciecka, który przytrzymał całą szajkę złodziei.

Pieniądze i weksle odebrano.

Bliższe szczegóły podamy jutro, gdyż wiadomość niniejszą otrzymujemy w ostatniej chwili.

— Zamiar kradzieży.

Dziś rano po otwarciu sklepu Straussa, na Długiej pod nrem 29-ym, zauważono ogromny nieład, twierdzący o gospodarce złodziei.

O towar wcale się nie kusili, był tylko zamiar rozbicia kasy ogniotrwałej.

Świadczą o tem pogięte ściany, zepsuty zamek, lecz usiłowania łotrów okazały się daremne.

Celem wyśledzenia zuchwałych złodziei zarządzono poszukiwania.

— Znaczne kradzieże.

Wczoraj wieczorem p. E. Plebiński, adwokat przysięgły, mieszkający na Długiej pod nrem 4-ym, powróciwszy do domu z przerażeniem spostrzegł brak portfelu położonego na stole.

W portfelu tym znajdowały się weksle i dokumenty pieniężne różnych osób na sumę 12,000 rs.

Złodziej, jak można sądzić, dostał się do mieszkania przez lufcik.

Oprócz portfelu zabrał on palto.

Z ratujących zabił się na miejscu strażak Adam Szubicki, który drapiąc się na dach, spadł na bruk.

Kilku innych strażaków poniosło silne skaleczenia i obrażenia.

Z ruchomości nic prawie nie uratowano, z inwentarza żywego spaliły się trzy krowy i koń; straty w ogóle bardzo znaczne.

— Wypadki kolejowe.

W dniu 13-ym b. m., w pobliżu stacji Chełm, pociąg towarowy kolei nadwiślańskiej, idący w stronę Warszawy, przejechał na śmierć Karola Henika, okolicznego mieszkańca, który prawdopodobnie przechodząc plantem kolejowym, przypadkowo dostał się pod koła pociągu.

W dniu 14-ym b. m. na stacji Strzemieszyce kolei wiedeńskiej, przy ustawianiu wagonów pod pociąg towarowy, znaleziono na plancie potłuczonego, z obciętemi palcami u ręki, stróża nocnego Jana Jenisza, którego po udzieleniu pierwszej pomocy odwieziono do szpitala.

W obu wypadkach w celu wyjaśnienia przyczyn prowadzi się śledztwo.

ZE STATYSTYKI.

* **W szpitalu starozakonnych,** według sprawozdania za lata 1881 — 84 włącznie wydanego staraniem obecnego kuratora szpitala p. S. Lewentala, leczyło się ogółem w tym przeciągu czasu chorych 18,268, z tych wyzdrowiało 16,343, zmarło 1,623, pozostało przeto na r. 1885 chorych 302. Dni instytutowych chorzy przebyli 428,872, z których na chrześcijan wypada dni 13,029. Śmiertelność przedstawia się w stosunku jednego wypadku na 11·8. Utrzymanie chorego wynosiło dziennie kop. 42·8. Dochody uczyniły rs. 196,472 kop. 38, wydatki zaś rs. 205,731 kop. 16½, a zatem wydatki przewyższyły dochody o rs. 9,258 kop. 98½. Niedobór powstał z powodu cofnięcia przez rząd zasiłku rs. 9,000, udzielanego szpitalowi rokrocznie aż do roku 1884. Majątek szpitala składa się z gmachu szpitalnego wraz z placem, utensylij, oraz kapitałów lokowanych w banku państwa lub na hypotekach, a wynoszących rs. 156,607 kop. 97. Procent od tychże kapitałów objęty jest budżetem dochodów i obracany na utrzymanie szpitala oraz na inne cele specjalne, przez legatarjuszów wskazane. Majątek szpitala w okresie sprawozdawczym zwiększył się w kapitałach o rs. 30,505 kop. 6 oraz w ruchomościach o rs. 4,414 kop. 61½. W ambulatorjum szpitala starozakonnych

× Modniarki paryskie wróciły na sezon bieżący cześć pluszowi. Jako futra ozdobne udzieliły pierwszeństwa niebieskiemu lisowi.

× **Cesarz marokański** lubi jazdę welocypedową, lecz nie lubi trudzić własnych nóg przy obracaniu korby. Aby sobie tej pracy oszczędzić, kazał sobie zbudować wysoki i szeroki welocyped, zaopatrzony w rodzaj lektyki. Cesarz leży na posłaniu, a niewolnicy wprawiają welocyped w ruch.

— Złożono w redakcji *Kurjera warszawskiego:*

Na wpisy dla niezamożnych uczniów.

Bezimiennie rs. 4, w kółku u pp. Przedp. rs. 1, Alicja i Marja D. rs. 3, F. Flam adwokat rs. 10, redakcja *Gazety świątecznej* od czytelników z prowincji rs. 3 kop. 85.

— Gdyby kto posiadał filarki pod kandelabry marmurowe, stiukowe, a wreszcie i drewniane i zechciał z takowych zrobić ofiarę dla kościoła św. Piotra i Pawła na Koszykach, to zarząd kościoła przyjąłby ten dar z wdzięcznością.

⚭ W dniu 13-ym b. m. odbył się w Warszawie w kościele Przemienienia Pańskiego ślub p. **Jana Galasiewicza**, autora i artysty dramatycznego, z panną Aleksandrą **Jarocką**, córką obywatela z Podlasia.

Nekrologja.

† Ś. p. Zygmunt **Kowalski**, kupiec z Petersburga, po krótkiej chorobie, zmarł dnia 13-go października r. b., przeżywszy lat 37. W smutku pozostała żona wraz z dziećmi i rodziną zaprasza krewnych i znajomych na wyprowadzenie zwłok z kościoła Przemien. Pańskiego przy ulicy Miodowej, dnia 17-go października r. b., to jest w niedzielę, o godzinie **2-ej i pół** po południu, na cmentarz powązkowski odbyć się mające, a w dniu następnym, tj. w poniedziałek nażałobne nabożeństwo w tymże kościele o godzinie **9-ej** zrana.

—3557—

† Dnia 18-go października r. b., jako w pierwszą rocznicę śmierci ś. p. Józefa **Zaleskiego**, byłego właściciela dóbr Mochowo, odbędzie się nabożeństwo za duszę zmarłe-

rzeczywista podstawa polityki wschodniej Austro-Węgier. Wiedzieć też mogą, czego monarchja habs-

drzew nie widać lasu.

teres, musi Francja rozwinąć energiczną akcję, a

168

W PARYSKICH TAWERNACH.

Paryż 22-go września.

— *Garçon! un bock!*

Kto chce aby mu na to wołanie pośpieszył z kieliehem piwa nie stereotypowy garson w białym po pięty fartuchu i czarnym do pasa *vestonie,* lecz akademik, mnich, lekarz z epoki Moliera, średniowieczny służalec albo, jak do niedawnego czasu, galernik, niech rzuca stoliki bulwarowych i wykwintnych *cafés* i wędruje w okolice Batignollów, *quartier Latin,* a nawet i słynnego z sąsiedztwa złodziejskich okropnych zaułków Belleville, zwiedzić tamtejsze tawerny, brasserje czyli poprostu piwiarnie.

Każda taka tawerna to szopka, przywabiająca ciekawość ludzką swoją osobliwszą dekoracją. Im na oryginalniejszy, a raczej dziwaczniejszy pomysł w tym kierunku zdobędzie się właściciel, tem większą kljentelą cieszyć się nie omieszka. Co to za szczęśliwą naprzykład chwilę miał dla swojej kieszeni ten zacny obywatel Belleville'u, kiedy twórcza jego fantazja kazała mu poprzyczepiać galerniane kule do rąk swojej służby, odziać ją w strój skazańców do ciężkich robót, zatoczyć przed drzwi wchodowe złowrogie *pilori* i najzwyklejszą knajpę owiać ponurą atmosferą więziennych wrażeń.

Przez pewien czas niepodobna się było dotłoczyć do owej *taverne du Bagne.*

Co to za rozkosz była dla znudzonego *flaneur'a* zasiąść przy prostym, brudnym, kwadratowym stoliczku, na równieź brudnym prostym stołku, mieć sobie podany spokojny kufelek piwa z rozpaczliwym brzękiem kajdan, i popijać ten filisterski trunek przypatrując się „ostatnim męczarniom skazańca" czyli żywemu obrazowi przedstawiającemu na małej estradce w drugiej izbie piętnowanie lub gilotynowanie złoczyńców.

Dziś gwiazda tawerny *Du Bagne* już zbladła. Pąsowa jej latarnia zatacza zawsze równie krwawy krąg na ciemnym trotuarze wspinającej się bystro pod górę ulicy, ale wewnątrz galernicza fizjognomja zakładu uległa znacznym modyfikacjom. Przedewszystkiem znikły te kule, te łańcuchy, ta cała liberja zbrodni przedzierzgająca prozaicznych roznosicieli *bock'ów* w interesujących Janów Valjean; podobno policja sprzeciwiła się dalszemu profanowaniu tego bądźcobądź państwowego munduru i garsoni musieli jak niepyszni pozawieszać na kołkach swoje niewesołe kostjumy.

Straciwszy w ten sposób *le clou* swojej reputacji, straciła piękna owa tawerna i napływowy kontyngens gości i obecnie poprzestawać musi na miejscowej kljenteli, pośród której zresztą trafiają się typy zdające się przeznaczonemi na rzeczywistych nie zaś udanych galerników. Dawniejszy charakter miejsca podtrzymują tylko porozwieszane gęsto na ścianach portrety Ludwiki Michel, przeświadczające widza, że „wielka obywatelka" gdyby nawet nie była sławną z rewolucyjnego animuszu, musiałaby stać się głośną z kolosalnej brzydoty: a dalej celka więzienna na podniesieniu, smutna i melancholijna nawet tutaj na tle niesmacznej teatralności.

Nas, którzyśmy pewnego wieczora przyszli do *Bagne* obejrzyć ślady minionych tryumfów spekulacyjnego sprytu nad zdenerwowaną głupotą tłumu, nie spotkał żaden zawód, widzieliśmy bowiem, że galerników już nie ma.

Inaczej się rzecz miała z jakimś długim synem Albjonu, który kościste swoje kształty trudził aż tak daleko w poszukiwaniu silnych wrażeń.

Wszedł on razem z nami, zażądał *bock'a* i umocnił binokle na nosie, wyciągniętym daleko poza przeciętną granicę profilu, jakby gotując się do sumiennego obejrzenia od stóp do głów tego, co mu pieniący się kufel przyniesie.

Ujrzawszy zwykłą kurtkę i nieozdobione bransoletkami kodeksu karnego ręce garsona, aż podskoczył na stołku.

— *Plou des galériens?*—zawołał żałośnie.

— *Non, monsieur!*

Anglik podniósł oczy w górę z niemą protestacją przeciw takim gorzkim niespodziankom losu i utkwił je w portrecie miłośniczki wspólności dóbr i kotów. Dumał czas jakiś, może nad tem czyby się dla ekscentryczności w Ludwice Michel nie zakochać, lecz zdaje się, iż uznał ten czyn za przewyższający nawet siły zdeterminowanego na wszystko brytańczyka, bo jednym haustem wypił piwo i zapytał ponuro: „*Combyang?*"—poczem wyniósł się tak przygnębiony, iż mieliśmy ochotę poradzić mu, aby dla rozweselenia poszedł do *Chat Noir.*

Bo *Chat Noir* to znowu bardzo wesoła artystyczna knajpka przy ulicy de Laval, pod wezwaniem Czarnego Kota istniejąca.

Nawet uroczyste miny ugalonowanych szwajcarów witających u drzwi każdego przybysza stuknięciem złocistych lasek o podłogę, nawet akademickie fraki i czarne pończochy kręcących się we-

stję i skarbiec. Ściany murowane są z kamienia, któ- cy, kupcy—niemcy, nawet kelnerzy także niemcy. Do- cja, gdyż kiedyś ruleta już tu istniała, a następnie zo-

wnątrz garsonów nie są w stanie nastroić tamtejszych gości na poważniejszą nutę.

Gwar rozmów, śmiechów, śpiewów pomieszanych z dźwiękami fortepianu i brzękiem szkła bucha aż na ulicę przez malowane szyby, na których czerwonem i żółtem tle czernią się sylwetki kotów.

A gdy wejdziesz, gdzie spojrzysz wszędzie kot czarny; żywy lub malowany, na podłodze, na stołku, na ścianie, na papierze nawet, bo tawerna ta posiada swoje własne ilustrowane pismo *Le Chat noir*, wychodzące co sobota i zawierające oprócz czarnych kotów różne mniej lub więcej sensowne nowelki, wiersze i artykuły.

Redaktorem tego tygodnika jest pan Rudolf Salis, sekretarzem redakcji ..... jenerał Boulanger *(Homme de lettre)*, jak opiewa tytułowa karta... czytelnikami podobno aż 17,000 mieszkańców Francji. Przypuśćmy, iż jest to słodkie złudzenie redakcyjnego grona i że imponująca ta, jak na taki świstek, liczba redukuje się do jakiejś setki uczęszczających tam co wieczór malarzy, rzeźbiarzy i literatów. A i ci mają co innego do roboty, niż uprawiać miejscową literaturę.

Naprzód każdy ma swego faworyta kota, którego żywi i pieści i który siedzi przy nim z jednej strony, podczas gdy z drugiej znajdzie się zawsze jakaś Fornarina i tworzy się z takich grup zajmujący obraz, w ramy obrazów ujęty, bo ścian tam prawie nie widać z pod rozwieszonych na nich rysunków i malowideł.

Po większej części są to utwory „Niezależnych", a więc krzyczące dziwactwem kolorytu, pomysłu i wykonania, ale pełno też rzeczy prawdziwego, zdrowego talentu, zwłaszcza w szkicach. Zdarza się, że artysta gdy mu *jury* do salonu obrazu nie przyjmie, mszcząc się posyła go do *Chat Noir*, gdzie naturalnie może liczyć na widzów, którzy będą wieszali nieszczęśliwych sędziów na suchych gałęziach, wynosząc odrzucone płótno pod niebiosa.

Pomijając koty, jako rodzaj pieczęci przykładanej do wszystkiego co się tam znajduje, spotyka się w tej osobliwszej galerji doskonałe wizerunki różnych innych zwierząt.

Utkwiła mi szczególniej w pamięci z pobieżnego przeglądu walka kogutów, śmiało piórkiem w kilku dorywczych szkicach na duży arkusz brystolu rzucona. Ile werwy, ile prawdy w tych pochwytanych na uczynku objawach pierzatej zapalczywości!

Tawerna *Chat Noir* składa się z dwóch salek z ogrodem i altanką na parterze, gdzie mieści się zarazem bufet i właściwy przybytek Gambrynusa i dwóch pokoi na pierwszem piętrze oraz dwóch innych w suterenach; wszystko przepełnione artystycznemi pamiątkami artystycznych gości. Garson akademik w skopjowanym z całą ścisłością galowym stroju 40-tu nieśmiertelnych, tylko bez akademickich palm na fraku z pewną dumą pokazuje nam szkic olejny Bastien Lepage'a, (był to jeden z *habitués* tawerny) rysunki Robidy, Caran d'Ache'a, Gervexa i innych.

— *Tout cela des habitués, vous savez.*

Powiadają, że paryżanie umieją zawzięcie pracować. Być może—nie danem mi było na to patrzeć, lecz że umieją się bawić zawzięcie, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Ot, rzućmy choćby okiem na biesiadników w *Chat Noir*. Wszystko to ludzie pracy, przeważnie talenta, w znacznej części zasługi. Niejeden ciężko musi borykać się lub boryka z losem, niejeden przed przyjściem tutaj rzucił w kąt ze zniechęceniem oporny pędzel lub nieposłuszne dłuto: niejednemu w mózgu wierci, dolega myśl twórcza nie mogąca się jeszcze wyłonić, a ktoby się tego domyślił po tych twarzach rozpromienionych, po tych ruchach swobodnych, po tej fantazji w postawie! Jeden w drugiego dzieci szczęścia, pieszczochy fortuny.

Ktoś tam usiadł do pianina i młóci modną aryjkę; koty mruczą i mrugają zielonemi oczyma, Fornariny wdzięczą się i pośpiewują a ich towarzysze rozparłszy się wygodnie ciągną *boczka*, śmieją się i — tacy kontenci. To nie nasza dziatwa Appolina! zgryźliwa, chmurna, stroniąca wzajem od siebie, patentowana na grę w samotnika i lękająca się ubliżyć swej godności najlżejszym wybrykiem pustoty.

Jakżeby ją zgorszył widok takiego naprzykład szpakowatego artysty-malarza (którego głośne w sztuce nazwisko szepcze mi do ucha mój sąsiad), gdyby go widziała jak z *Sandwich'em* w jednej ręce a kuflem w drugiej podryguje sobie ucieszenie w takt nuconej piosenki, gotów skoczyć do sufitu, gdyby tego koledzy zażądali. A to mu wcale nie przeszkadza tworzyć w dzień poważnych, głęboką myślą nacechowanych obrazów.

Ale w *Chat Noir* atmosfera wesołości jest zaraźliwą. Smutki, wspomnienia, rozczarowania, troski codziennego życia zostają za progiem, zupełnie jakby należały do psiego rodu i jak gdyby im królujące wewnątrz koty wypowiedziały zwycięską wojnę. A przytem jaka to satysfakcja, dla cygańskiego ducha artysty *indépendenta*, że mu usługuje członek klasycznej akademji i kłania mu się za dwa *sou*, jakie od niego dostanie. Ciekawa rzecz, gdyby tak r

wozdanie, dodają...
stykę p. Blowitza. Dla niego umyślnie cienka włoska
połączoną była telegrafem i pocztą na czas letni, gdyż

skich 5420 rs. i na utrzymanie personelu w tych ta-
kichże szkołach żeńskich 4605 rs. Pozostała suma

...wypłacania się dłużników, zaprosił członków pp.

nas otworzono podobną artystyczną tawernę pod egidą dajmy na to Białego Pudla, za co by się tam także dla antytezy poprzebierali garsoni?

Ale dajmy pokój zagłębianiu się w przyszłość, choćby nawet o tak ciasnych jak tawerniane horyzontach i cofnąwszy się w przeszłość, pójdziemy na literacki obiadek do *Auberge des Adrèts* na bulwarze St. Martin, urządzonej w stylu średniowiecznym. Właściciel jej, dawny aktor, wyzyskał ten archaiczny efekt z prawdziwie komedjanckim sprytem.

Izby niskie, pułapy czarne, stoły, ławy pod ścianami, zydle; małe wgłębione okienka, lamusy, do których się wchodzi po schodkach, talerze malowane, na ścianach, stare, zapylone sztychy w wąskich ramkach, wysokie progi, posługacze w otwartych kamizelach bez rękawów na białych haftowanych koszulach, *tout y est.*

W tej to oberży członkowie stowarzyszenia literackiego, pozostającego pod prezydencją Ludwika Ulbacha, zgromadzili się temi dniami na miesięczną koleżeńską ucztę, ostatnią przed kongresem genewskim.

Około sześćdziesięciu osób zasiadło do długiego stołu, nakrytego samodziałowym, grubym obrusem o pąsowych wrąbkach i takiemiż ręcznikami zamiast serwet przy każdym talerzu.

Zastawa naturalnie także z epoki feodalnych apetytów.

Gliniane, żółte, jaskrawo malowane miski i talerze, cynowe łyżki, w kość oprawne noże i widelce, dzbanki z winem i piwem obudziły niejakie zaniepokojenie wśród rycerzy stalówki, aby i *menu* nie odznaczało się równie stylową przestarzałością.

Zgoda jeszcze na wino, ale drób średniowiecznie twardy, ale ciasto średniowiecznie czerstwe!

Voyons! voyons!

Pierwszy to raz bowiem brać literacka obiadowała w tak demokratycznem miejscu. Zazwyczaj podobne uczty urządzały się u Brébanta.

Służba oberży zdawała się też do pewnego stopnia wystraszoną splendorem, jaki spadł na nią: przenoszenia półmisków od Ulbacha, tego pontyfikowane go we Francji Ulbacha, do Fleury'ego, od Fleury'ego do Nordau'a itd.

Jules Lermina, gospodarz uczty a sekretarz stowarzyszenia, na szarym końcu siedzący, zrywał się co chwila, żeby wydać jakieś rozporządzenie, a potrawy podawano z takiemi przerwami, iż Ulbach porównał nasz obiad do dramatu w teatrze Porte Saint Martin, gdzie międzyakty bywają dłuższe od samych aktów.

Nie znaczy to, żebyśmy się nudzili przy stole. Atmosfera inteligencji ma swoje prawa; czuć ją nawet przez zapachy sosów, a z szczękiem widelców miesza się co chwila jakieś dowcipne spostrzeżenie, jakiś charakterystyczny wykrzyknik lub anegdotka, z rodzaju tych, jakie francuzi gdy są w werwie po temu opowiadać umieją.

Naprzeciwko mnie siedzący J. Nordau, piękna, śmiała głowa, o wybitnym madziarsko-semickim typie, czarnych, skrzących ruchliwą myślą oczach i bujnym siwiejącym zaroście, prowadzi ożywioną rozmowę z jakimś głośnym egiptologiem, którego nazwiska zapomniałam, lub przez stół zaczepia mego sąsiada Ulbacha żartobliwem słówkiem.

— Pana nazwisko—odzywa się między innemi—było twardym orzechem do zgryzienia dla dwóch pokoleń poetów. Połamali sobie na nim zęby i nie znaleźli doń lepszego rymu oprócz ulicy *du Bac*, a i to jeszcze rym ciągniony za włosy.

Ulbach śmieje się. Jest on zresztą prawie zawsze uśmiechnięty i raz po raz puszcza jakiś koncept, głównie na temat średniowiecznej *mise en scène*, towarzyszącej naszej nowoczesnej biesiadzie.

Strój garsonów bardzo mu się podoba.

— Jaką wyższość mają ci ludzie nad nami — odzywa się śledząc ich swem bystrem, okularami przysłoniętem spojrzeniem. — Elegancja fraka nie opuszcza ich nawet w tem przebraniu. Ktoby z nas naprzykład kręcił się tak swobodnie *en manches de chemise* w obecności dam.

(Bo w obiedzie po raz pierwszy brało udział kilka kobiet, za co przy deserze Ulbach podziękował im wzniesionym na ich cześć toastem.)

Przemawiają jeszcze ci i owi—najdowcipniej Jules Lermina; średniowieczne belki u sufitu dziwią się tym wykwintnym frazesom, co się o nie obijają, za ich czasów inaczej przemawiano, belki gotoweby twierdzić, że mniej tam było pustych dźwięków, a więcej treści, ale ktoby zważał na sąd zacofanych belek.

A teraz po obiedzie, na którym się dużo piło i dużo jadło, gdzież najstosowniej iść, jeżeli nie do tawerny... aptekarzy?

Sam widok lekarskich tog i żabotów, z których sobie tak nielitościwie Molière podrwiwał, znakomicie ułatwi trawienie. A jeżeli zażąda się bock'a, to go tam tak... hygienicznie, ale o! jakże nieestetycznie nazwą, że po podobnym traktamencie można być zupełnie o stan swoich spraw wewnętrznych spokojnym.

H. J. B.

iż wiele jeszcze wystawców przybędzie w ostatniej chwili, w zupełności się sprawdziły.

W ciągu ubiegłych dwóch dni zapisali się pp. Sulimierski z powiatu nieszawskiego, Jan Górski z powiatu błońskiego, dr. Narkiewicz-Jodko z gubernji mińskiej, Grocholski, pierwszy i ostatni zapewne wystawca z Galicji, Gutman i inni.

W szeregach maruderów stanęli też i reprezentanci domów handlowych, które teraz dopiero zgłaszają się bardzo licznie.

Oprócz bowiem dawniej zadeklarowanych Vilmorina i Braune'go, będziemy oglądali wystawy Mette'go z Kwedlinburga i jednego z największych domów wiedeńskich.

Nadto p. Zygmunt Fudakowski przedstawi nasiona pierwszorzędnych specjalistów zagranicznych, jako to: jęczmień węgierski z Mezö Keszi, jęczmień browarny niemiecki z Gänsefürth p. Trotha, owies z Klostergut-Anderbech p. Beselewa i banatkę węgierską z dóbr br. Hunyadyi.

Dom znowu pp. Wasilewskiego i Pilaskiego składa kolekcję pszenic angielskich i amerykańskich.

W ogóle liczba wystawców znacznie się powiększyła i prawdopodobnie jeszcze pójdzie w górę.

Zadeklarowane nasiona wciąż już nadchodzą, bądź koleją, bądź pocztą, w dalszym ciągu mianowicie nadesłali okazy pp. Ostrowski z Grochowa, hr. Jezierski z Równego, Mazurkiewicz z Niedźwicy kościelnej, Egert ze Ślężan, Grocholski z g. wołyńskiej, cukrownia Mironówka w g. kijowskiej, dr. Jodko z Bobowni, Paprocki z Pocierzyna, Rymarenko z Kijowa, Solman z lubelskiego, Stankiewicz z Bobrujska, Gleser z Poniatowa, hr. Potocka z dóbr wilanowskich, hr. Potocka Marja z Wysokiego Litewskiego i Oraczewski z Morawicy.

Miejsca dla wystawców zostały już wyznaczone, **a zaproszenia na sędziów rozesłane.**

Zakup ma być dokonany przez rosyjskiego ajenta, który przybędzie do Warszawy.

= Modne parasole.

Oglądaliśmy najświeższe parasole, przeznaczone wyłącznie dla pań.

Parasole te posiadają laskę długą na parę łokci, zakończoną zwyczajną skówką.

Nowość posiada tę ważną dogodność, iż noszona wysoko ponad głową, zmniejsza niebezpieczeństwo wybicia oczu przechodniom.

= Nowa reklama.

Na mieście ukazała się wielkich rozmiarów bułka, wożona przez chłopca przybranego w liberję.

Jest to reklama jednego z pomysłowych piekarzy, który tym sposobem stara się o rozgłos.

= Z dwuznacznych operacyj.

Ograniczenia nadużyć przy sprzedaży pożyczek premjowych na raty w drodze prawodawczej okazały się koniecznemi, wobec mnóstwa faktów dwuznacznych operacyj.

Oto jeden z tysiąca dowodów.

Pan K., urzędnik kolejowy, w maju r. b. zawarł w jednym z kantorów tutejszych umowę o nabycie pożyczki premjowej i wniósłszy 50 rs. zaliczenia, zobowiązał się następnie płacić po 5 rs. miesięcznie.

Kwit nader ponętnie wyglądający, ze względu na litografowane winiety, otrzymał z wyrażeniem, iż został nabywcą serji 3,364, którą otrzyma po uzupełnieniu brakującej należności.

Na tę właśnie serję w ostatniem ciągnieniu z dnia 13-go września padła wygrana 1,000 rs.

Uradowany ze skromnego lecz pożądanego daru ślepej fortuny, udał się na trzeci dzień do kantoru z pożyczonemi od kolegów pieniędzmi, aby spłacić od razu wszystkie raty i premjówkę odebrać.

W dniu wczorajszym Michał Jasiński, zamieszkały na Łuckiej pod nrem 5-ym, wyszedłszy z domu na ulicę zachorował.

Odwieziony do szpitala św. Ducha, nie odzyskawszy przytomności, życie zakończył.

Zwłoki zabezpieczono, celem wyprowadzenia śledztwa sądowego.

= Ogień.

Nocy dzisiejszej z niewiadomej przyczyny na Gęsiej pod nrem 25-ym wynikł pożar.

Zapaliła się ściana i sprzęty kuchenne.

Ogień ugasili mieszkańcy.

ZE ŚWIATA.

✕ **Księżna Wittgensteinowa** z domu Iwanowska, wykonawczyni testamentu Liszta, jeszcze w tym roku przystąpi do wydania oratorjum „św. Stanisława", podług ostatniego tekstu, pozostawionego w rękopisie.

✕ **W służbie holenderskiej** w armji kolonjalnej, jak donosi dziennik *Javasche Courant*, zmarli w pierwszem półroczu r. b. dwaj polacy: Jan Ruderski i Franciszek Krantz. Ten ostatni rodem z Włocławka, zostawił 8,000 guldenów holenderskich.

✕ **Odgermanizowywanie Czech** postępuje bardzo szybko z łaski „wlastenców", którzy nie przebierają w środkach, gdy idzie o ukaranie obojętnych. Ostatnio wynaleziono nowy sposób szykanowania tych czechów, którzy posługują się publicznie językiem niemieckim. Wymyślono dla nich oryginalne karty wizytowe z napisem: „mluwte czesky, bo kto się własnego wstydzi języka, jest godzien pogardy ludzi." Karty takie posyłają „wlasteńcy" w kopertach wszystkim obojętnym.

✕ **Botho von Hülsen**, jeneralny intendent teatrów berlińskich, umarł d. 30 go z. m. w stolicy nadsprejskiej. Hülsen był znakomitym administratorem i rygorystą. Wprowadził on do spraw teatralnych karność

Hr. Banffy w mowie, która głęboko sprawiła wra-
żenie na ludności, podniósł również poważne wątpliwości przeciw kierunkowi polityki austrjackiej, o-

istotnym ...
„*Ave Caesar, morituri te salutant!*" Taki toast wzniósł d. 7-go b. m. burmistrz Namuru na cześć

ugruntowane na trwałej podstawie. W przeszłym roku finanse Egiptu po raz pierwszy oddawna wy-

Wieczór jakich mało.

Paryż 16-go września.

— Czy chcesz się pani dziś bardzo uśmiać? uśmiać do łez?

— Któżby nie chciał... tylko na sucho. W podróży lubię oszczędzać chustki do nosa.

— Ostrzegam, że na dzisiejszy wieczór jedna nie wystarczy. Pójdziemy zobaczyć najkolosalniejszą farsę.

— Może „*Le fiacre Nr. 117*". Dziękuję. Mam go już dosyć! Wolę paryską dorożkę na bruku niż na afiszu, a dorożkarza na koźle niż na scenie.

— Bynajmniej. To coś poważniejszego, chociaż...

— Wiem już. „*Le bonheur conjugal*". Bardzo dobra komedja to „Szczęście małżeńskie", ale nie do tyla, żeby się nią dzień po dniu zachwycać. Czemuż mi pan tego wczoraj nie zaproponowałeś?

— Czemuż mi pani nie pozwalasz dziś skończyć? Pojedziemy na quai de Valmy.

— Gdzie?

— Na quai de Valmy nr 187. Ten adres nic pani nie mówi?

— Zgoła nic. Cóż się pod nim dzieje?

— Co się dzieje? To jedna z czterech głównych europejskich filij wielkiej fabryki nawracania dusz pod firmą Booth et Comp.

— Armja zbawienia?

— *Vous y êtes*. Cóż, jedziemy?

— Bez straty czasu.

W pół godziny po tej rozmowie ja i mój towarzysz wysiadaliśmy przed domem, do którego zaryglowanej bramy dobijało się już z hałasem kilkunastu *voyous*, wyglądających na wszystko inne raczej niż na szukające „spokoju w Jezusie" dusze.

Dawniej siedlisko walecznego sztabu salutystów otwierało na oścież swoje podwoje już na godzinę przed rozpoczęciem posiedzenia, ale gromadząca się na nie publiczność nie zawsze odpowiadała w zupełności okazywanemu jej zaufaniu.

Zdarzało się, iż gdy na estradzie członkowie armji intonowali pobożne hymny, chór w sali rozpoczynał jakąś piosenkę z *café chantant* i zamiast ogólnego „*Alleluia! Alleluia! Gloire à Dieu! Alleluia!*" usłyszeć było można: „*Te voilà Nicolas! Ah! Ah! Ah! Te voilà*"... Naturalnie, podobne dysonanse psuły wysoce uroczysty nastrój zgromadzenia i obcinały skrzydła niejednej wrażliwej duszy, zrywającej się już do lotu w błękitne sfery „odkupionych"; aby więc zapobiedz dalszemu zgorszeniu, zaczęto pilniej zważać kto wchodzi i wpuszczać tylko takich, co nie zdawali się skłonni do przypomnienia sobie w najniestosowniejszej chwili jakiegoś *refrain cocasse*.

Podobną rękojmię bezpieczeństwa musiały przedstawiać i nasze fizjognomje oczom salutysty, który po niejakim czasie uchylił szturmowaną bramę i wpuścił nas do wnętrza, witając pojednawczem: *Gloire à Dieu*.

W przedsionku wiodącym do sali posiedzeń uderzyliśmy głowami o trapez, na którym, w chwili gdy nam otwierano, jakaś postać w czerwonym kubraku (oficer armji, jakeśmy się później przekonali) wywijała koziołki, fizycznem tem ćwiczeniem przygotowując się do ćwiczeń duchowych.

Brakowało jeszcze kilkunastu minut do ósmej i sala świeciła pustemi ławkami, co nie znaczy, żeby w niej było widno. Jedna, kopcąca się w kącie lampa, świadczyła chwalebnie o duchu oszczędności panującym w wojowniczych zastępach. Dopiero przed samem rozpoczęciem posiedzenia zapalono gaz.

Usiedliśmy w pierwszym rzędzie ławek przed estradą, a raczej sceną, gdyż widocznie sala ta służyła dawniej za azylum jakiejś wędrownej Melpomenie.

Niewielką przestrzeń widowni zapełniały amfiteatralnie ustawione ławki; z lewej strony na przedzie stał melodykon, obok leżała wiolonczela, na ławkach tamburina z dzwoneczkami.

Tymczasem zaczęto się schodzić. Ławki w sali zapełniały się publicznością przeważnie robotniczo-rzemieślniczą. Bluzy, wytarte surduty, kilka podejrzanych kapeluszy, tu i owdzie kaftanik *d'une bonne bourgeoise du quartier*, kilka nieodzownych wszędzie angielskich kratek, złożyło się na fizjognomję ciekawego audytorjum.

Ale otóż i same wojsko. Kobiety w czarnych, gładkich sukniach, w obcisłych jersey'ach z napisem na piersiach *Sauvée* (zbawiona) i w zwierzchnich kaftanikach, z pąsową wypustką u rękawów, z cyframi A. S. na kołnierzach, spiętych srebrną broszką, w kształcie dwóch skrzyżowanych mieczy, krzyża i litery S. Na głowach budziaste, czarne, okropne kapelusze, pod któremi kryje się parę wcale nieszpetnych twarzyczek.

Mężczyźni (oficerowie) opinają swe pobożne, nawrócone torsy pąsowym trykotem z napisem złotemi literami: *Armée du Salut* na piersiach i *Rendu à Jésus* lub coś podobnego na plecach.

Całe zgromadzenie zasiada na ławkach — osobno „one", osobno „oni". Czekamy.

Nagle rozlega się okrzyk przypominający beknięcie czterdziestu naraz owiec. To wierny sztab wita w ten sposób swoją... niestety — nie marszałkową, nie słynną pannę Katarzynę Booth, która rzadko kiedy uświetnia posiedzenia swoją obecnością, lecz kapitankę, mającą przewodniczyć dzisiejszemu zebraniu...

Kapitanka odznacza się potrójną wypustką u rękawów, zresztą ubrana jak inne.

Staje na wysuniętej przed sceną półokrągłej drewnianej platformie, gdzie niegdyś mieścić się musiała budka suflera i zwrócona twarzą do publiczno-

zaszczytnego wieńca jego neronowej sławy.

Jenerałowi chodziło o dowiedzenie się, gdzie przeby-

= *Peters. wied.* dowiadują się, jakoby istniał projekt wprowadzenia w Cesarstwie i Królestwie mono-

= Departament lekarski zażądał od urzędów lekarskich zebrania wiadomości o liczbie znajdują-

---

ści, okropnym szwajcarskim akcentem proponuje odśpiewanie na cześć bożą hymnu nr. 7-y.

Propozycja ta budzi wielką radość. Jakiś młodzieniec z twarzą roztęsknionego poety zasiada przy melodykonie, wiolonczella zaczyna jęczeć, w ławkach migają i szeleszczą przewracane z pośpiechem pąsowe książki. To śpiewniki armji zbawienia. Zaopatrujemy się w nie i następuje najdziwaczniejszy koncert, jaki sobie wyobrazić można.

Przy akompanjamencie bębenków, dzwonków, klaskania w ręce i arcy komicznych giestów, chór salutystów, do którego dołączają się głosy z sali, śpiewa na jakąś skoczną nutę:

Je serai là! Je serai là!
Oh! oui! Gloire à Dieu, je serai là,
Mes pechés sont pardonnés,
Je suis un des rachetés,
Alleluia! Alleluia!

Jak brzmi to alleluja, zespolone w naszych pojęciach z poważną i podniosłą uroczystością Zmartwychwstania, a powtarzające się tutaj, niby kawiarniana zwrotka razem z tą całą muzyczno-mimiczną arlekinadą, trudno opisać.

Doznaje się tak dziwnego wrażenia, jak gdyby się zobaczyło mszę w cyrku z księdzem kankanującym przy ewangelji i z dwoma klownami na stopniach ołtarza.

Mimowoli patrząc na te twarze rozpromienione głupkowatem uweseleniem nasuwa się pytanie: Kto są ci ludzie? wielcy szarlatani, czy nieszkodliwi a zabawni warjaci?

Trzeba dodać, iż kapitanka stojąc wciąż na platformie, dyryguje tym chórem, jak kapelmistrz orkiestrą, posługując się nietylko rękami, ale całym swym korpusem zamiast batuty.

Kończy się przecież ten jedyny w swoim rodzaju śpiew. Kapitanka zaczyna długą przemowę. Jest to młoda jeszcze dosyć, szczupła blondynka, o delikatnych, sympatycznych rysach i uśmiechu, któryby się nazwało inteligentnym, gdyby nie okraszał ust wypowiadających tyle bredni.

Nie zbywa przytem na energji pani kapitance. Gdy w sali ktoś poważy się głośniej odezwać do swego sąsiada, wyciąga rękę i woła rozkazująco:

— *Taisez-vous, par là, Monsieur! Chacun à son tour. C'est moi qui parle. Gloire à Dieu!* (Cicho tam pan bądź! Każdy po kolei. Teraz ja mówię. Niech będzie Bóg pochwalony.)

Zresztą opowiada sama o swojej nieustraszoności. Oto niedalej jak dzisiaj, *telle qu'on la voit*, ją samą we własnej osobie zaprowadzono na policję. *Gloire à Dieu!* ponieważ zbyt głośno sprzedawała na bulwarach swój dziennik *En avant!* (Naprzód!) Ajent prowadzi ją do biura a ona krzyczy przez drugę ile jej sił starczy: Kupujcie dziennik: *achetez le journal En avant au sou!* Zniecierpliwiony stróż publicznego porządku kupuje od niej numer, byle była cicho, lecz i to jej nie uspakaja, będzie krzyczała dopóki ostatniego egzemplarza nie sprzeda. *Gloire à Dieu!* (Wielka radość *vel* beczenie owiec wśród zgromadzenia.) Wypuszczono ją na wolność, gdyż pokazała pozwolenie na sprzedaż szacownej gazety i wróciła znowu na bulwary, po bezskutecznych usiłowaniach nawrócenia swego prześladowcy. Nieszczęśliwy! ślepy na własne dobro! Niechby posłuchał jednej z sióstr niedawno zbawionych, a dowiedziałby się czem pogardził!

Tu kapitanka ustępuje miejsca i głosu prozelitce, obejmując ją wpół, po macierzyńsku.

Słuchamy spowiedzi „pięknej" (według jej własnego zapewnienia) dziewczyny, która wczoraj jeszcze miała wszystko co świat szczęściem nazywa: wdzięki, dowcip, talenta, światowe tryumfy (zawsze wedle własnego zapewnienia, które patrzącemu na tę wrzekomo tak hojnie udarowaną istotę, mocno podejrzanem wydawać się musi), a jednak nie miała spokoju. *Dziś* oddała to wszystko Jezusowi i ma spokój i nie wróciłaby już do dawnego trybu życia za żadne skarby, bo ma spokój — *la paix en Jésus.* (*Jésus* wymawia się akcentem salutystów *Zeziuss.*)

Powtórzywszy to jeszcze kilkakrotnie z różnemi warjantami, wraca na swoje miejsce, na którem do końca tak wierci się, stęka i przewraca oczy, że sceptyczny widz nabiera o tym „spokoju" dziwnie dwuznacznego wyobrażenia.

Teraz kapitanka zwiastuje wiernym rozkoszną nowinę. Jest nowy hymn! hymn cudny na zupełnie nową nutę wydrukowany w dzisiejszym numerze *En avant*, który tylko ona i jedna siostra zbawiona umieją śpiewać. Usłyszą go zaraz (wielkie, radosne beczenie).

Czemuż duetu tego nie słuchały uszy czulsze niż moje na boskie czary harmonji! Podobna biesiada artystyczna dwa razy w życiu się nie trafia. Najpiskliwsze z naszych podwórzowych arfiarek wydadzą mi się teraz przez porównanie dźwięcznemi kontralcistkami.

W szarym końcu sali, mniej widocznie podlegającym religijnej ekstazie, wokalna ta nowalijka przyjęta w łonie armji szmerem zadowolenia, budzi wprost przeciwne uczucia. Odzywają się głosy naśladujące pianie kogutów, kwakanie kaczek i z przeproszeniem... kwik prosiątek.

Oburzona kapitanka i jej towarzyszka drą się coraz głośniej, żeby niesforną zgraję przekrzyczeć i ostatecznie zostają paniami placu.

Sang et Feu! Sang et Feu voilà notre devise;
Au combat, au combat, que partout elle nous conduise.

temi wojowniczemi słowy dającemi się przełożyć naprędce:

Krew i ogień to nasze godło,
Ono do walki będzie nas wiodło,

kończy się wreszcie hymn, ku wielkiej uldze naszych nieszczęśliwych uszu.

Teraz przychodzi kolej na spowiedź salutystów.

Jeden po drugim, interesujący ci kubrakowi młodzieńcy, zwierzają nam się z wszelkich wykroczeń, należących do kategorji siedmiu grzechów głównych, jakich się w ciągu uprzedniego swego życia dopuścili; upewniają nas, że teraz są czyści, szczęśliwi i spokojni i kończą zachętą do wstąpienia w ich ślady.

Zgromadzenie wtóruje tym wywnętrzeniom oznakami najgłębszego współczucia, uznania i radości. Ciągłe okrzyki *Alleluia* i *Gloire à Dieu* przerywają im mowę.

I znowu przychodzi kolej na bębny, dzwonki, melodykon, wiolonczelę, klaskania i chór. W sali gorąco nieznośne, powietrze duszne, gaz pali się coraz ciemniej, publiczność coraz hałaśliwsza.

Wśród tak niepomyślnych warunków kapitanka zaprasza wiernych do chwilowej medytacji. Wszyscy klękają a raczej rzucają się na ziemię, wzdychając na różne tony. Owa „wielbiona jeszcze wczoraj piękność", która taki spokój znalazła, nie może sobie znaleźć miejsca, w końcu po wielu próbach usadawia się na czworakach. Ktoby przypuścił, że taka pozycja jest najdogodniejszą do skupienia ducha! Ale nie zapominajmy, że trzeba być zbawionym, aby wiele rzeczy zrozumieć.

Medytacja stanowi przygotowanie do kazania. Jest ono o tyle długiem, o ile bezsensownem. Salutyści mają zwyczaj powtarzać po dwa razy jakieś słowo lub całe zdanie w rodzaju retorycznej ozdoby, ale posługują się tym efektem tak często, że po pewnym czasie staje się on nad wszelki wyraz denerwującym. Oto próbka tego stylu którego osobliwszy koloryt ginie naturalnie w tłomaczeniu i w niemożności oddania tego kluskowatego angielsko-szwajcarskiego akcentu, jaki charakteryzuje francuszczyznę Armji Zbawienia.

„Moi drodzy przyjaciele (peroruje kapitanka). Zbawca umie rozweselać serca swoich dzieci. Swoich dzieci. Zbawca to umie. O! umie! Jeżeli walki bywają ciężkie, są też w służbie bożej chwile radości czystej i świętej, które są bardzo cenne, bardzo cenne. Jeżeli chcecie znaleść spokój, pójdźcie do Jezusa. Tak, pójdźcie do Jezusa dzisiejszego wieczora, a znajdziecie spokój. Widzę pomiędzy wami takich, którzyby znaleźli spokój dzisiejszego wieczora, gdyby chcieli przyjść do Jezusa. Pójdźcie zatem do Jezusa, dzisiejszego wieczora. Ja i moje siostry i bracia, których tu widzicie, wszyscy znaleźliśmy spokój, gdyśmy przyszli do Jezusa (chór *Oh! oui! Gloire à Dieu! Alleluia!*) Są między wami tacy, którzy są już zranieni, ale jeszcze nieuleczeni przez naszego boskiego Lekarza. Przez naszego boskiego Lekarza. Czy chcecie żeby was uleczył dzisiejszego wieczora? Naszem hasłem jest zwycięstwo. Chcemy zwycięstwa, dążyć będziemy do zwycięstwa, dopóki sił starczy. Dopóki nam sił starczy dążyć będziemy do zwycięstwa. (Chór z zapałem: *Oh oui! Gloire à Dieu! Alleluia!*) Kochani przyjaciele, kto z was chce być zbawionym?"

Kochani przyjaciele milczą. Mówczyni trafiła „dzisiejszego wieczora" (ulubione wyrażenie) na chłodnych słuchaczy. Nie zniechęca jej to przecież. Prowadzi w tym sensie rzecz jeszcze z dobre pół godziny, aż widząc, że się ci i owi wynoszą, schodzi z platformy pomiędzy ławki i rozglądając się na wszystkie strony powtarza:

— Kto chce być zbawionym dzisiejszego wieczora? Kto chce znaleźć spokój w Jezusie?

Niestety — stanowczo nikt nie chce.

Apostołka trochę skonfundowana wdrapuje się znów na scenę i żegna zatwardziałe serca pobłażliwemi słowy:

— Niech was Bóg błogosławi. Chwała Bogu!

— Chwała Bogu! — powtarza chór wstając.

Posiedzenie skończone.

Niezależnie od hurtownego nawracania audytorjum przez kapłankę, znalazł się w jej szeregach jeden „Zbawiony", który zapragnął przeprowadzić propagandę na własną rękę. Celem jego pobożnych zapędów stał się mój towarzysz.

Dlaczego właśnie on? trudno odgadnąć, bo o ile uważałam raz tylko zamanifestował się z niejakiem wzruszeniem, a było to na widok gabinetowej fotografji marszałkowej panny Karoliny Booth, ładnej ale to wcale ładnej angielki, której podobizny roznoszone są pomiędzy publicznością i sprzedawane po franku wraz z dziennikami, śpiewnikami i suplementami.

Bądźcobądź wprawne i przenikliwe oko salutysty dopatrzyło się w nim snać odpowiedniego przygotowanego gruntu pod ziarno zbawienia, gdyż zbliżywszy się zapytał przejmującym głosem:

— *Mon frère, êtes-vous sauvé!?* Czy jesteś zbawiony, mój bracie?

— *Je le saurai après ma mort*, będę wiedział po śmierci, brzmiała odpowiedź.

Nie wystarczyło jednak salutyście, który to wyrażał słowami:

— *Mon frère, votre réponse est ambigue!*

Dalszego ciągu rozmowy trudno mi było dosłyszeć, gdyż zagłuszyły ją bębenki — nie musiała jednak skończyć się pomyślnie dla misjonarskich nadziei gorliwego salutysty; przy wejściu bowiem dopędził nas raz jeszcze, powtarzając:

— *Eh bien, mon frère? voulez-vous être sauvé?*

Natarczywość ta zirytowała mego towarzysza.

— *Mais! je me sauve!* — wykrzyknął, korzystając z dwuznaczności słowa „zbawiać", które znaczy także „uciekać", i łącząc czyn ze słowem podał mi szybko ramię.

Nous nous sommes sauvés tedy, uciekliśmy co prędzej wśród śmiechu rozweselonej tym epizodem gawiedzi, a za nami pogoniła złowroga przepowiednia zawiedzionego salutysty, iż znajdujemy się *sur la voie la plus large, conduisant à l'enfer*, to jest na najszerszej drodze do piekła.

Miejmy nadzieję, iż tak źle nie jest.

H. J. Ż.

nych przez publiczność życzeń ma być zupełnie zaniechanym.

═ Otwarcie testamentu.

W dniu wczorajszym u jednego z obrońców tutejszych zebrało się pięciu sukcesorów zmarłego przed 10-iu laty B. P., właściciela dwóch znacznych nieruchomości, które dotychczas były administrowane przez brata nieboszczyka, pobierającego połowę dochodów, drugą zaś połowę, w myśl ostatniej woli zmarłego, składał on do depozytu b. Banku polskiego.

Nieboszczyk złożył kodycyl testamentu z poleceniem otwarcia po upływie 10-iu lat od daty śmierci, a termin ten właśnie wczoraj upłynął.

Pięć osób zainteresowanych spadkiem z niecierpliwością oczekiwało otwarcia kodycylu, w nadziei, iż nastąpi przecież podział majątku.

Tymczasem spotkał ich zawód.

Według brzmienia ostatniej woli, nieruchomości po dawnemu mają stanowić dożywocie brata, a dopiero po jego śmierci przejdą na cele użyteczności publicznej, o czem opiewa drugi kodycyl, złożony w kancelarji jednego z rejentów.

Tylko suma, znajdująca się obecnie w Banku, ma być teraz rozdzieloną między pięciu spadkobierców, a siostrzeńców i synowców nieboszczyka.

═ O potwarz.

Przed kilku tygodniami rozeszła się sensacyjna wiadomość w pewnem kółku towarzyskiem, iż p. Ł., b. obywatel ziemski, człowiek powszechnie szanowany, miał jakieś zajście w cukierni i został czynnie znieważony.

Słowem w całej tej wieści były rzeczy uwłaczające honorowi p. Ł.

Dotknięty pogłoską, w której się ani cienia prawdy nie zawierało, p. Ł. wykrył, iż autorem plotki był niejaki K., niegdyś jego sąsiad, z którym się w ostatnich czasach wcale nie komunikował.

Zapytywany przez dwóch przyjaciół p. Ł., potwarca, odmówił wszelkich wyjaśnień, nastąpiła więc skarga sądowa, poparta zeznaniem trzech świad-

ZE ŚWIATA.

✕ **Z Krakowa** donoszą nam d. 24-go b. m.: Delegat Kazimierz hr. Badeni opuszcza jutro Kraków, a zarazem porzuca stanowczo dotychczasową służbę rządową. Hr. Badeni osiędzie obecnie w swoich dobrach w Busku pod Lwowem i ma podobno zamiar rozpocząć karjerę parlamentarną, do której wykształcenie prawnicze i świetna praktyka administracyjna najzupełniej go uzdalniają. Delegatem w Krakowie zostanie mianowany, jak powszechnie utrzymują, p. Fedorowicz, dotychczasowy starosta w Rzeszowie.— W Rudzikach zmarł dziś Włodzimierz hr. Borkowski, prezes banku hypotecznego, prezes rady nadzorczej kolei Karola Ludwika i członek wielu innych instytucyj. Eksportacja zwłok do Borynicz, fideikomisu przez zmarłego ustanowionego, odbędzie się w niedzielę.— W pierwszych dniach października wybiera się już prof. Smolka do Rzymu z kilku wychowańcami tutejszego uniwersytetu na wyprawę naukową, której głównym celem jest zbadanie archiwum watykańskiego, a mianowicie zawartych w niem materjałów, mających związek z historją polską. W najbliższym czasie ograniczono właściwy zakres studjów do drugiej połowy XV-go i XVI go wieku. Z archiwów watykańskich korzystali już w roku ubiegłym dwaj młodzi uczeni polscy: dr. Władysław Abraham i dr. Bronisław Dembiński, którzy są obecnie docentami uniwersytetu krakowskiego, pierwszy dla prawa kanonicznego, a drugi dla historji powszechnej. W wyprawie naukowej, zorganizowanej przez prof. Smolkę, biorą udział: dr. Józef Kallenbach, który jako stypendysta wydziału krajowego kształcił się przez dwa lata w Niemczech i we Francji, Józef Korzeniowski, wnuk powieściopisarza, Stanisław Krzyżanowski, Witold Rabczyński i Stanisław Windakiewicz. Wszyscy uczestnicy tej wyprawy odznaczyli się już na polu historycznem kilku sumiennemi rozprawami naukowemi. Ta naukowa wyprawa weszła w związek z istniejącym w Rzymie już od r. 1883-go *instituto austriaco di studii storici*, zostającym pod dyrekcją prof. uniwersytetu wiedeńskiego i znakomitego paleografa dra Pickla, którego zastępcą na

apteka, kasyno miejskie i inne. Kasę i książki Towarzystwa zaliczkowego, którego budynek spłonął do szczętu, zdołano uratować. O ogromnych stratach nie można mieć dotychczas wyobrażenia dokładnego, wystarczy powiedzieć, że 2,000 ludzi jest bez dachu.— Większy pożar nawiedził także w tych dniach wieś Dzwinogród koło Lwowa, gdzie spaliło się 220 budynków. Jedna kobieta w pożarze tym śmierć poniosła.

✕ **Znany tchórz** z wojny francusko-niemieckiej z r. 1870-go, bar. Oskar Waldenfels, oficer armji bawarskiej, umarł w Waldmünchen. Zaniemógłszy podczas wojny na „febrę armatnią”, uciekł bar. Waldenfels z szeregów i przebrał się za młynarczyka. Schwytany, został skazany na śmierć za tchórzostwo, lecz ułaskawiony na dożywotnie więzienie, dokonał niesławnych swoich dni w domu karnym.

✕ **Akademję dla aktorów** postanowiono założyć w Berlinie. Zamiar ten popierają głównie aktorowie teatrów rządowych.

✕ **W domu obłąkanych w Belgji**, w miejscowości Courtrai, mieszczącym 600 pacjentów, pod opieką zakonnic, wybuchnął w zeszłym tygodniu pożar. Katastrofa wytworzyła mnóstwo scen tragicznych, gdyż chorych, których ogarniał płomień, trzeba było przemocą ratować. Wrzeszczeli oni, śpiewali, wyli i śmiali się, nie chcąc opuścić swoich cel. Straży udało się jednak ocalić wszystkich.

✕ **Olbrzymi pomnik wolności**, wykonany dla Nowego Jorku przez rzeźbiarza francuskiego Bartholdi, odsłonią amerykanie d. 28-go października r. b.

✕ **Pochwała dziennikarska** nie bywa zawsze przyjemną. Amerykański *New-York Herald* nazwał kiedyś jakąś panią Harkott „bogatą i dobroczynną damą”. Wskutek tej „reklamy” otrzymała pani Harkott w przeciągu jednego roku 6,000 listów i 14,000 wizyt osób, proszących o wsparcie. Żądane od niej sumy pieniężne wynosiły 30 milj. dolarów. Zmęczona taką sławą zaskarżyła pani Harkott wydawcę czasopisma za „niedyskrecję”, pisząc w swojej skardze, że „brakowało tylko złodziei, którzyby ją w nocy napadli i zabrali jej majątek”.

połączoną była telegrafem i pocztą na czas letni, gdyż | kicaże szkołach żeńskich 4605 rs. Pozostała suma | wypłacania się dłużników, zaprosił członków pp.

172

nas otworzono podobną artystyczną tawernę pod egidą dajmy na to Białego Pudla, za co by się tam także dla antytezy poprzebierali garsoni?

Ale dajmy pokój zagłębianiu się w przyszłość, choćby nawet o tak ciasnych jak tawerniane horyzontach i cofnąwszy się w przeszłość, pójdziemy na literacki obiadek do *Auberge des Adrèts* na bulwarze St. Martin, urządzonej w stylu średniowiecznym. Właściciel jej, dawny aktor, wyzyskał ten archaiczny efekt z prawdziwie komedjanckim sprytem.

Izby niskie, pułapy czarne, stoły, ławy pod ścianami, zydle; małe wgłębione okienka, lamusy, do których się wchodzi po schodkach, talerze malowane, na ścianach, stare, zapylone sztychy w wąskich ramkach, wysokie progi, posługacze w otwartych kamizelach bez rękawów na białych haftowanych koszulach, *tout y est.*

W tej to oberży członkowie stowarzyszenia literackiego, pozostającego pod prezydencją Ludwika Ulbacha, zgromadzili się temi dniami na miesięczną koleżeńską ucztę, ostatnią przed kongresem genewskim.

Około sześćdziesięciu osób zasiadło do długiego stołu, nakrytego samodziałowym, grubym obrusem o pąsowych wrąbkach i takiemiż ręcznikami zamiast serwet przy każdym talerzu.

Zastawa naturalnie także z epoki feodalnych apetytów.

Gliniane, żółte, jaskrawo malowane miski i talerze, cynowe łyżki, w kość oprawne noże i widelce, dzbanki z winem i piwem obudziły niejakie zaniepokojenie wśród rycerzy stalówki, aby i *menu* nie odznaczało się równie stylową przestarzałością.

Zgoda jeszcze na wino, ale drób średniowiecznie twardy, ale ciasto średniowiecznie czerstwe!

Voyons! voyons!

Pierwszy to raz bowiem brać literacka obiadowała w tak demokratycznem miejscu. Zazwyczaj podobne uczty urządzały się u Brébanta.

Służba oberży zdawała się też do pewnego stopnia wystraszoną splendorem, jaki spadł na nią: przenoszenia półmisków od Ulbacha, tego pontyfikowane go we Francji Ulbacha, do Fleury'ego, od Fleury'ego do Nordau'a itd.

Jules Lermina, gospodarz uczty a sekretarz stowarzyszenia, na szarym końcu siedzący, zrywał się co chwila, żeby wydać jakieś rozporządzenie, a potrawy podawano z takiemi przerwami, iż Ulbach porównał nasz obiad do dramatu w teatrze Porte Saint Martin, gdzie międzyakty bywają dłuższe od samych aktów.

Nie znaczy to, żebyśmy się nudzili przy stole. Atmosfera inteligencji ma swoje prawa; czuć ją nawet przez zapachy sosów, a z szczękiem widelców miesza się co chwila jakieś dowcipne spostrzeżenie, jakiś charakterystyczny wykrzyknik lub anegdotka, z rodzaju tych, jakie francuzi gdy są w werwie po temu opowiadać umieją.

Naprzeciwko mnie siedzący J. Nordau, piękna, śmiała głowa, o wybitnym madziarsko-semickim typie, czarnych, skrzących ruchliwą myślą oczach i bujnym siwiejącym zaroście, prowadzi ożywioną rozmowę z jakimś głośnym egiptologiem, którego nazwiska zapomniałam, lub przez stół zaczepia mego sąsiada Ulbacha żartobliwem słówkiem.

— Pana nazwisko—odzywa się między innemi— było twardym orzechem do zgryzienia dla dwóch pokoleń poetów. Połamali sobie na nim zęby i nie znaleźli doń lepszego rymu oprócz ulicy *du Bac*, a i to jeszcze rym ciągniony za włosy.

Ulbach śmieje się. Jest on zresztą prawie zawsze uśmiechnięty i raz po raz puszcza jakiś koncept, głównie na temat średniowiecznej *mise en scène*, towarzyszącej naszej nowoczesnej biesiadzie.

Strój garsonów bardzo mu się podoba.

— Jaką wyższość mają ci ludzie nad nami — odzywa się śledząc ich swem bystrem, okularami przysłoniętem spojrzeniem. — Elegancja fraka nie opuszcza ich nawet w tem przebraniu. Ktoby z nas naprzykład kręcił się tak swobodnie *en manches de chemise* w obecności dam.

(Bo w obiedzie po raz pierwszy brało udział kilka kobiet, za co przy deserze Ulbach podziękował im wzniesionym na ich cześć toastem.)

Przemawiają jeszcze ci i owi—najdowcipniej Jules Lermina; średniowieczne belki u sufitu dziwią się tym wykwintnym frazesom, co się o nie obijają, za ich czasów inaczej przemawiano, belki gotoweby twierdzić, że mniej tam było pustych dźwięków, a więcej treści, ale ktoby zważał na sąd zacofanych belek.

A teraz po obiedzie, na którym się dużo piło i dużo jadło, gdzież najstosowniej iść, jeżeli nie do tawerny... aptekarzy?

Sam widok lekarskich tog i żabotów, z których sobie tak nielitościwie Molière podrwiwał, znakomicie ułatwi trawienie. A jeżeli zażąda się bock'a, to go tam tak... hygienicznie, ale o! jakże nieestetycznie nazwą, że po podobnym traktamencie można być zupełnie o stan swoich spraw wewnętrznych spokojnym.

H. J. B.

chwili, w zupełności się sprawdziły.

W ciągu ubiegłych dwóch dni zapisali się pp. Sulimierski z powiatu nieszawskiego, Jan Górski z powiatu błońskiego, dr. Narkiewicz-Jodko z gubernji mińskiej, Grocholski, pierwszy i ostatni zapewne wystawca z Galicji, Gutman i inni.

W szeregach maruderów stanęli też i reprezentanci domów handlowych, które teraz dopiero zgłaszają się bardzo licznie.

Oprócz bowiem dawniej zadeklarowanych Vilmorina i Braune'go, będziemy oglądali wystawy Mette'go z Kwedlinburga i jednego z największych domów wiedeńskich.

Nadto p. Zygmunt Fudakowski przedstawi nasiona pierwszorzędnych specjalistów zagranicznych, jako to: jęczmień węgierski z Mezö Készi, jęczmień browarny niemiecki z Gänsefürth p. Trotha, owies z Klostergut-Anderbech p. Beselewa i banatkę węgierską z dóbr br. Hunyadyi.

Dom znowu pp. Wasilewskiego i Pilaskiego składa kolekcję pszenic angielskich i amerykańskich.

W ogóle liczba wystawców znacznie się powiększyła i prawdopodobnie jeszcze pójdzie w górę.

Zadeklarowane nasiona wciąż już nadchodzą, bądź koleją, bądź pocztą, w dalszym ciągu mianowicie nadesłali okazy pp. Ostrowski z Grochowa, hr. Jezierski z Równego, Mazurkiewicz z Niedźwicy kościelnej, Egert ze Ślężan, Grocholski z g. wołyńskiej, cukrownia Mironówka w g. kijowskiej, dr. Jodko z Bobowni, Paprocki z Pocierzyna, Rymarenko z Kijowa, Solman z lubelskiego, Stankiewicz z Bobrujska, Gieser z Poniatowa, hr. Potocka z dóbr wilanowskich, hr. Potocka Marja z Wysokiego Litewskiego i Oraczewski z Morawicy.

Miejsca dla wystawców zostały już wyznaczone, a zaproszenia na sędziów rozesłane.

który przybędzie do Warszawy.

= Modne parasole.

Oglądaliśmy najświeższe parasole, przeznaczone wyłącznie dla pań.

Parasole te posiadają laskę długą na parę łokci, zakończoną zwyczajną skówką.

Nowość posiada tę ważną dogodność, iż noszona wysoko ponad głową, zmniejsza niebezpieczeństwo wybicia oczu przechodniom.

= Nowa reklama.

Na mieście ukazała się wielkich rozmiarów bułka, wożona przez chłopca przybranego w liberję.

Jest to reklama jednego z pomysłowych piekarzy, który tym sposobem stara się o rozgłos.

= Z dwuznacznych operacyj.

Ograniczenia nadużyć przy sprzedaży pożyczek premjowych na raty w drodze prawodawczej okazały się koniecznemi, wobec mnóstwa faktów dwuznacznych operacyj.

Oto jeden z tysiąca dowodów.

Pan K., urzędnik kolejowy, w maju r. b. zawarł w jednym z kantorów tutejszych umowę o nabycie pożyczki premjowej i wniósłszy 50 rs. zaliczenia, zobowiązał się następnie płacić po 5 rs. miesięcznie.

Kwit nader ponętnie wyglądający, ze względu na litografowane winiety, otrzymał z wyrażeniem, iż został nabywcą serji 3,364, którą otrzyma po uzupełnieniu brakującej należności.

Na tę właśnie serję w ostatniem ciągnieniu z dnia 13-go września padła wygrana 1,000 rs.

Uradowany ze skromnego lecz pożądanego daru ślepej fortuny, udał się na trzeci dzień do kantoru z pożyczonemi od kolegów pieniędzmi, aby spłacić od razu wszystkie raty i premjówkę odebrać.

W dniu wczorajszym ...

Łuckiej pod nrem 5-ym, wyszedłszy z domu na ulicę zachorował.

Odwieziony do szpitala św. Ducha, nie odzyskawszy przytomności, życie zakończył.

Zwłoki zabezpieczono, celem wyprowadzenia śledztwa sądowego.

= Ogień.

Nocy dzisiejszej z niewiadomej przyczyny na Gęsiej pod nrem 25-ym wynikł pożar.

Zapaliła się ściana i sprzęty kuchenne.

Ogień ugasili mieszkańcy.

ZE ŚWIATA.

× **Księżna Wittgensteinowa** z domu Iwanowska, wykonawczyni testamentu Liszta, jeszcze w tym roku przystąpi do wydania oratorjum „św. Stanisława”, podług ostatniego tekstu, pozostawionego w rękopisie.

× **W służbie holenderskiej** w armji kolonjalnej, jak donosi dziennik *Javasche Courant*, zmarli w pierwszem półroczu r. b. dwaj polacy: Jan Ruderski i Franciszek Krantz. Ten ostatni rodem z Włocławka, zostawił 8,000 guldenów holenderskich.

× **Odgermanizowywanie Czech** postępuje bardzo szybko z łaski „wlastenców”, którzy nie przebierają w środkach, gdy idzie o ukaranie obojętnych. Ostatnio wynaleziono nowy sposób szykanowania tych czechów, którzy posługują się publicznie językiem niemieckim. Wymyślono dla nich oryginalne karty wizytowe z napisem: „mluwte czesky, bo kto się własnego wstydzi języka, jest godzien pogardy ludzi.” Karty takie posyłają „wlastency” w kopertach wszystkim obojętnym.

× **Botho von Hülsen**, jeneralny intendent teatrów berlińskich, umarł d. 30 go z. m. w stolicy nadsprejskiej. Hülsen był znakomitym administratorem i rygorystą. Wprowadził on do spraw teatralnych karność

Sądy takie rzemieślnicze znajdować się będą w Warszawie i w każdym powiecie. Sąd rzemieślniczy składać się ma z najmniej ośmiu członków i tyluż zastępców, z których połowę wybierają zgromadzenia majstrów, a drugą połowę zgromadzenia towarzyszów. W Warszawie każde zgromadzenie wybierać będzie do sądu po dwu majstrów i dwóch towarzyszów. Członkowie sądu przed objęciem swego urzędu składać będą wobec zarządu rzemieślniczego przysięgę na sumienne wykonywanie swych obowiązków. Sąd rzemieślniczy ma mieć dwie instancje; w pierwszej pod przewodnictwem zastępcy zasiadać będzie dwóch członków z pomiędzy majstrów, w drugiej instancji pod prezydencją przewodniczącego lub jednego z zastępców, który w tej samej sprawie nie przewodniczył, będzie czterech członków, także z pomiędzy majstrów. Przytem jednak do rozsądzenia spraw, w których towarzysz, jako powód lub pozwany stawać będzie, w skład kompletu sądu rzemieślniczego obudwu instancyj, wejdą zawsze w równej liczbie towarzysze.

Kompetencja sądu rzemieślniczego rozciągać się będzie do roztrząsania sporów cywilnych ze stosunku pracy, nauki i zapłaty wynikających pomiędzy majstrami a towarzyszami i uczniami, do załatwienia skarg w przedmiocie kar nałożonych przez urząd starszych na członków zgromadzenia, do rozstrzygania sporów wynikłych ze stosunku kas pomocy do członków zgromadzenia, a wreszcie skarg natury cywilnej ze strony publiczności na rzemieślników, wynikających z poruczonej lub wykonanej roboty. Zauważyć tu jednak należy, że orzeczenia sądu rzemieślniczego w sprawach pomiędzy osobami prywatnemi a rzemieślnikami obowiązują obiedwie strony, to też osoby prywatne, wnoszące skargi do sądu rzemieślniczego, mają jednocześnie złożyć odpowiednią deklarację, że na orzeczenie sądu rzemieślniczego zgodzą się bezwarunkowo i poddadzą się egzekucjom z wyroków tego sądu wyniknąć mogącym.

Orzeczenia w pierwszej instancji w sprawach, w których przedmiot sporu nie przenosi 30 rs., są rozstrzygające, w sprawach zaś wyższych nad 30 rs. może być w ciągu dni dziesięciu założoną apelacja od pierwszego wyroku. Przed sądem rzemieślniczym strony osobiście stawać powinny, przyczem wnoszący sprawę powód płaci na koszta utrzymania sądu wpisowe, które nie może być wyższe nad 1% od żądanej do przysądzenia sumy, sądowi zaś służyć będzie prawo włożenia tych kosztów na stronę przegrywającą. Wyroki sądu rzemieślniczego wprowadzane być mają w wykonanie przez władze administracyjne.

Oto są w głównym zarysie przedstawione najważniejsze postanowienia nowej projektowanej przez delegację ustawy. Pod wielu zasadniczemi względami różnią się one od obecnie obowiązujących i jeżeliby uzyskały rzeczywiście moc obowiązującą, radykalnie wpłynęłyby niezawodnie na zmianę ustroju naszych rzemiosł.

Wypada nam tu jeszcze zaznaczyć artykuł dodatkowy przechodni nowego projektu, który przepisuje, w jaki sposób miałaby wejść w życie i zostać przeprowadzoną zmiana ustawy. Mianowicie kiedy nowe przepisy otrzymają moc obowiązującą, wszyscy bez różnicy płci i wyznania, zajmujący się obecnie pracą rzemieślniczą, chociażby nawet nie należący do teraźniejszych zgromadzeń, zostaliby zapisani do nich jako uczniowie, towarzysze lub majstrowie. Przytem zapisujący się na majstrów winni udowodnić, że przynajmniej przez rok jeden byli samoistnymi właścicielami warsztatów, a zapisujący się na towarzyszów, że przynajmniej przez rok jeden pracowali w charakterze czeladnika.

J. Gr.

Z wystawy jubileuszowej.

Berlin 11-go lipca.

Na pierwszy rzut oka zdawałoby się niepodobieństwem, żeby ten, zawsze niezbyt sympatyczny, a dziś wprost wstrętny dla każdego polaka Berlin, mógł mieć w sobie coś właśnie polskim sercom drogiego i wynagradzać im sowicie przykrość oddychania powietrzem, w którem zdają się krążyć miazmaty genjalnych pomysłów żelaznego księcia.

A jednak dość przypomnieć trwającą obecnie jubileuszową wystawę sztuk pięknych, żeby temu uwierzyć.

Dwa ostatnie arcydzieła dwóch naszych tytanów pędzla—oto słowo zagadki.

Czy potrzebuję wam mówić, że zmuszona tędy przejeżdżać, osłodziłam sobie natychmiast tę niesmaczną pigułkę, stanąwszy przed „Joanną d'Arc" i „Chrystusem rozmawiającym z Marją"?

A gdy się coś takiego zobaczyło i podlega się nałogowi pisarskiemu, to w końcach palców czuje się wnet nieznośny niepokój, którego się inaczej jak chwyceniem za pióro pozbyć nie można.

Chwyciłam więc, a co się z tych bezładnych wrażeń sklei, to łaskawie przyjmijcie.

O obrazie Matejki tyle już po wystawieniu go w Krakowie pisano, rozbierając szczegółowo każdą niemal z postaci natłoczonych na tem olbrzymiem płótnie, że przybliżone o nim pojęcie powinno było chyba w wyobraźni każdego czytelnika pozostać.

Moje więc profańskie wrażenia przypomną im tylko dobrych, choć niewidzianych znajomych, a raczej widzianych z bardzo daleka, boć szkic obrazu to niby ten ktoś oddalony, którego rysów nie możemy rozróżnić, ale którego z ruchów i postawy wszędzie już potem poznamy.

„Joanna d'Arc" na wystawie berlińskiej zajmuje całą środkową ścianę pierwszej bocznej sali po prawej stronie od wejścia.

Jest to obraz tak olbrzymi, że chcąc całość ogarnąć okiem, trzeba przejść na drugą stronę przedsionka, gdzie na przeciwległej ścianie, niby pendant, wisi wielkie także płótno Wilhelma Linderschina „Alarik w Rzymie" (nawiasem mówiąc, o dziwnie trupim kolorycie) i dopiero ztamtąd, a więc przez całą szerokość gmachu wystawowego, asystuje się tryumfalnemu wjazdowi bohaterskiej dziewicy do oswobodzonego miasta, wskrzeszonemu czarodziejskim pędzlem naszego mistrza.

Powiedziałam, że obraz jest olbrzymi, a jeszcze zdaje się rozsadzać ramy oszałamiającą obfitością swojej treści. Genjalna gmatwanina „Grünwaldu" blednie wobec tego chaosu, którego pierwsze wrażenie—przygnębia.

Maluczki, przeciętny widz mimowolnie zapytuje siebie, czy ten kolos, który to stworzył, jest takim samym człowiekiem jak ów? i ginie w nagłem, olśniewającem odczuciu ludzkiego genjuszu, jak kropla w morzu. Ten zwrot egoistyczny ustępuje wnet innemu, podobnie drażniącemu wrażeniu: obawie, czy stojąc przed tym obrazem i patrząc na niego, będzie się mogło powiedzieć sobie, że się go istotnie widziało.

Oczy, jakby zawrotu dostawszy, skaczą ze lśniących zbroi na soczyste draperje aksamitów, z herkulesowych muskulatur na delikatne kobiece twarzyczki, z szalonych plątanin po matejkowsku poprzeginanych rąk, nóg i tułowiów na spokojną, surową, wyrzeźbioną jak dłutem architektonikę katedry rheimskiej. Jedynym odpoczynkiem dla omdlewającego z tego nadmiaru wzroku jest ta smukła dziewicza postać, o twarzy ascetycznego młodzieniaszka, a natchnionem ciemnem oku, o rysach nietyle pięknych ile dziwnie oryginalnych, nie spotykających się—Joanna.

Bardzo niepospolite są także twarze małżonki Karola IX-go, Agnieszki Sorel. Ta ostatnia ma nadzwyczaj dowcipny i subtelny uśmiech. Tuż z poza jej błękitnego ramienia wygląda profil bezimiennej jakiejś kobiecej twarzyczki tak po greuzowsku delikatnej i pieszczotliwej, że wita się ją mimowolnem: a! na płótnie naszego Michała Anioła.

A propos Michała Anioła, ale tego, który nie dzierżył nigdy w ręce pędzla ani dłuta, jeno miecz ognisty i który najniepotrzebniej w świecie w towarzystwie dwóch świętych dziewic dostał się do orszaku Joanny. Otóż ten archanioł zawieszony jest tak nieszczęśliwie, tak nisko i—(wybaczcie moją śmiałość, ależ każdemu zdanie swoje wyrazić wolno) i tak ciężko, że noga jego, bardzo ludzka, realna noga znalazła się pomiędzy twarzami dwóch śpiewających księży, co wraz z żółtą obręczą, okalającą głowę Joanny, razi przykro zarówno smak estetyczny, jak zdrowy rozsądek.

Ale genjuszom wszystko wolno i dopóki Matejko takie postacie, jak ta kobieta w ekstazie na pierwszym planie, wyciągająca dziecko do Joanny, lub ten herold z pochodnią w ręku, jakby wystający zza ramy obrazu, na ziemi malować będzie, to niech już sobie na niebie zawiesza co chce.

Gdyby Siemiradzki z Matejką ułożyli się, żeby pokazać światu całą biegunowość swoich twórczości, nie mogliby lepiej celu swojego dosięgnąć niż tem przypadkowem spotkaniem się „Joanny d'Arc" i „Chrystusa w domu Marji Marty" na wystawie berlińskiej.

Słoneczną pogodą i klasycznym spokojem tchnie ostatni utwór mistrza „Świeczników".

Nie spotkałam się dotąd w żadnem z pism z dłuższą wzmianką o tym obrazie, co mi sprawia niewymowną uciechę rozpisania się o nim, jako o rzeczy dla czytelników zupełnie obcej.

Na kamiennej ławce, będącej przedłużeniem omszałej niskiej balustrady, która się spuszcza wzdłuż szerokich, tarasowych schodów, siedzi Chrystus w białej szacie i żółtym, grubym płaszczu, okrywającym mu kolana. U stóp jego, z rękami splecionemi na podwiniętych kolanach, z jedną nóżką, wysuwającą się z pod niebieskiej we wzorzyste pasy sukni, w białym turbanie o karmazynowych szlakach i arabeskach, z cekinami nad śmiałem czołem spoczywa Marja zapatrzona, zasłuchana. Obok leży porzucona lutnia, dalej dzban.

W głębi, po lewej stronie obrazu z wewnątrz domu, przed którym stoi stół zastawiony do uczty, krużgankiem, o kratkowanym z belek, zielenią opiętym suficie, nadchodzi Marta. Biało ubrana, ma na głowie żółtą narzutkę; jedna ręka silna i obnażona dźwiga dzban, druga poprawia osuwający się z ramienia szeroki rękaw. Pod schodami ptactwo, ujrzawszy skrzętną i troskliwą gosposię, trzepocze się radośnie.

Cudne, wyłączną własnością Siemiradzkiego będące efekta światłocienia ożywiają chropowatość szarych kamiennych stopni i ławki. Na białej ścianie domu, oblanej słońcem, zdają się drgać ciemnawe plamy liści, wydłużonych w szpaler drzew, istny perspektywiczny klejnot.

Za ławką, prawie na pierwszym planie, wparł się w ziemię pogiętemi korzeniami pyszny pień wielkiego drzewa, jednego z tych drzew znowu, jakie tylko Siemiradzki malować umie.

W głębi po prawej krajobraz płaski, jednostajny pól, płotów i drzew, tu i owdzie porozrzucanych, zamyka się lekko zamgloną snać z wielkiego upału liljową ramą widnokręgu. Powietrza, przestrzeni, stosunkowo na średnich rozmiarów obrazie tyle, że starczyłoby jej na wszystkie matejkowskie kompozycje.

Marja jest śliczna. Delikatny jej profil, wybitnie semickiego typu, ożywia uśmiech ujmującej słodyczy, zachwytu, rozchylający jej wygięte, pełne, wschodnie usta. Czarne oko patrzy z naiwnem, czystem upojeniem w twarz ukochanego nauczyciela. Ta Marja zdaje się dziwić ogromowi swojego szczęścia, że może w ten piękny letni dzień siedzieć tak na krasnym dywanie bezczynnie, drobne swoje rączki ruchem ekstazy zaplótłszy i chłonąć w siebie słowa, jakiemi nikt do niej dotąd nie przemawiał, jakie może w swoich marzycielskich tęsknotach przeczuwała, jakich pragnęła—a jakie są już teraz jej nieodebraną, na wieki w sercu złożoną własnością.

Cała postać modelowana miękko, aksamitnie, trzymana w tonach łagodnych, jasnych a niejaskrawych, pojętą jest znakomicie. Jest to, że pozwolę sobie na śmiałe porównanie, jakby odaliska Nowego testamentu, zdolna każdej chwili przeobrazić się w bohaterską męczennicę.

Jeżeli chcecie wiedzieć, jak wygląda Chrystus i czy powiększy liczbę owych Chrystusów, o których toczą się żywe polemiki na słowa i pióra, w których twarzach każde oko co innego widzi lub chce widzieć, to powiem wam, że jest piękny, szlachetny, ale gdy po wzniosłej, spokojnej rozmowie z ubóstwiającą go Marją stanie kiedyś wśród rozwścieczonej zgrai oskarżycieli przed niewzruszonem obliczem Piłata, będzie zapewne wyglądał mniej więcej jak Chrystus Munkaczego. Powinowactwo duchowe tych dwóch kreacyj uderzyło mnie od pierwszego wejrzenia.

W ogóle, o ile przy obrazie Matejki dostaje się gorączki, odchodzi prędzej niżby należało, gdyż należałoby się zostać dłużej, niż na to skupienie uwagi i sił fizycznych starczyć może—o tyle Chrystus Siemiradzkiego zniewala wszystkich do naśladowania przykładu Marji.

Trzeba usiąść i patrzeć, i patrzeć, i pogrążać się w atmosferze jakiejś estetycznej błogości, wiejącej z tego dzieła skończenie harmonijnego w pomyśle i wykonaniu.

Wpadłszy tylko przelotem i z wytkniętym celem na wystawę, trudno mi było zwiedzić ją choćby pobieżnie. Najpobieżniejszy przecież przegląd zmusza do oddania jej sprawiedliwości co do smaku, z jakim ją urządzono. Niepodobna mi było również nie odszukać owej „Perle der Ausstellung", o której wszyscy tu mówią i którą się wszyscy zachwycają.

Ta perła to portret panny Katarzyny Grant, ośmnastoletniej córki bogatego londyńczyka, pędzla Huberta Herkomera.

Jest to w istocie coś nad wszelki wyraz oryginalnego i trzeba przyznać uroczego w swojej do szczytu posuniętej prostocie. Zdaleka to tylko jakaś duża kwadratowa biała płachta z czarną pośrodku plamą, rozpięta na gładkich niewykwintnych ramach. Po zbliżeniu się czarna plama przeobraża się w cudnie piękną ciemnowłosą główkę młodziutkiego dziewczęcia o anielskim uśmiechu i uroczych błyszczących, jakby w nich życie drżało, oczach, które w białej muślinowej sukience, przepasanej brudnawo-żółtą szatą (proszę sobie wyobrazić efekt zestawienia tych dwóch barw), w brudnawych również, żółtych za łokieć wciągniętych rękawiczkach, siedzi w najzwyczajniejszej pozie, na najzwyczajniejszem drewnianem krzesełku.

Tło jednostajnie białe, tak jak suknia, której muślinowa przejrzystość łudząco każdą fałdkę suto zmarszczonej bez żadnych ozdób spódniczki uwydatnia.

Malarz ubiegał się o połączenie w tym portrecie wszystkiego co nie efektowne, pospolite, blade, brzydkie nawet (jak te brudne, marszczące się, dobrze już obtańczone rękawiczki, przy białej, pomiętej trochę sukni), aby przekonać, że nie ma takich ubogich środków, jakiemi wielki talent nie mógłby stworzyć arcydzieła.

I dopiął swego. Tłumy stają przed portretem panny Grant—jest to najpopularniejszy obraz na całej wystawie.

Ten wyraz najpopularniejszy przypomiał mi tak tra-

gicznie popularne w ostatnich czasach imię nieszczęsnego króla Ludwika.

Woskowa jego figura, skopjowana z tą nieprawdopodobną dokładnością, jaką się postacie muzeum Castana odznaczają, stoi już jako *wielka nowość!* na środku głównej sali, w panopticum, i ściąga sentymentalne spojrzenia bladolicych niemek. Doprawdy, można się nawet w woskowej figurze tego mizegina zakochać!

H. J. B.

WIADOMOSCI BIEŻĄC[E]

Nr 192b. Dnia 14 lipca. Sroda. Dnia 2 (14) lipca 1886 r.

PRENUMERATA

Kurjera warszawskiego (wraz z codziennem bezpłatnem wydaniem porannem):
Rocznie rs. 9, półr. rs. 4 k. 50, kwart. rs. 2 k. 25, mies. k. 75.
Za odnoszenie do domu w Warszawie dopłaca się miesięcz. k. 5.
Opłata za przesyłkę i koszta ekspedycji bezpłatnego wydania porannego na prowincję i do Ces. wynoszą: rocznie rs. 3, półr. rs. 1 k. 50, kwart. k. 75, mies. k. 25.
Za granicą (z przesyłką jednorazową) miesięcz. rs. 1 k. 50.
Oddzielna przedpłata na jedno tylko wydanie *Kurjera* przyjmowana być nie może.

KURJER WARSZAWSKI.

Wychodzi i rozsyła się dwa razy dziennie na Warszawę i na prowincję. W niedziele i święta uroczyste wychodzi tylko rano, w poniedziałki i dni poświąteczne tylko wieczorem.

ROK SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY.

Ogłoszenia i prenumeratę przyjmuje kantor *Kurjera Warszawskiego* codziennie od godziny 8-ej rano do 8-ej wieczorem; w niedziele i święta od godziny 10-ej rano do 1-ej w południe.

OGŁOSZENIA.

Reklamy: za jeden wiersz garmontowy albo jego miejsce pierwszy raz 25 kop., za każdy następny raz 20 kop.
Nekrologja: za jeden wiersz 15 kop.
Zwyczajne ogłoszenia: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce pierwszy raz 10 kop. każdy następny raz 8 kop.
Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* pierwszy raz 2 kop., za każdy następny raz 1½ kop.
Ogłoszenia do *Kurjera warszawskiego* przyjmuje także Biuro ogłoszeń Rajchmana i Frendlera ulica Senatorska nr 18.

Redakcja, Administracja i Drukarnia: plac Teatralny nr 9.— Telefon Redakcji nr 126.— Telefon Administr. 141.

— W dniu jutrzejszym przypada święto kościelne Rozesłania apostołów. Święto powyższe postanowionem zostało w XI-ym wieku z powodu tradycji, iż dwunastego roku po wniebowstąpieniu. Chrystusa uczniowie Jego czyli apostołowie rozeszli się po świecie dla opowiadania ewangelji świętej.

— Jutro o godzinie 7-ej zrana odprawioną zostanie w kościele św. Krzyża szósta nowenna do uroczystości św. Wincentego à Paulo, przypadającej w dniu 19-tym b. m.

— W kościele św. Ducha (po-paulińskim) odprawioną będzie jutro o godzinie 9-tej rano wotywa ku czci Opatrzności boskiej przed Jej ołtarzem.

— W kościele archikatedralnym św. Jana jutro o godzinie 9-tej rano, odprawioną zostanie solenna wotywa z wystawieniem N. Sakramentu i ku czci takowego.

— Jutro też ku czci N. Sakramentu, w kościele św. Kazimierza (panien sakramentek) odprawioną zostanie o godzinie 9-ej i pół rano suma z wystawieniem N.-Sakramentu, o godzinie zaś 3-ej i pół po południu nieszpory.

— Jutrzejszemi uroczystemi nieszporami z procesją i wystawieniem N. Sakramentu, rozpocznie się ośmiodniowy odpust N. Marji Panny Szkaplerznej w kościele Narodzenia N. Marji Panny, przy ulicy Leszno.

Przegląd polityczny.

Cesarz Wilhelm w niedzielę po kilkotygodniowym pobycie w Ems, ukończywszy kurację, udał się do pobliskiej Koblencji, gdzie bawi cesarzowa Augusta, i tam miał zabawić do dnia wczorajszego rano. Wczoraj monarcha niemiecki miał się udać przez Mannheim, Karlsruhe, Offenburg, Singen i Konstancję, na wyspę Mainau, dokąd przybędzie dziś wieczorem o ósmej. Pobyt monarchy na wyspie, której pasterzem duchownym jest ks. Jan Marcin Schleyer, wynalazca *volapüku*, trwać ma podobno aż do niedzieli, a w tym dniu cesarz uda się do Gasteinu, gdzie zabawi do 8-go lub 9-go sierpnia. Dla ks. Bismarka, jak donosi *Köln. Ztg.*, wynajęto w Gasteinie apartamenta na pierwsze dni sierpnia.

Zdrowie cesarza Wilhelma znajduje się, jak same te przejazdy dowodzą, w stanie najzupełniej zadawalniającym, a po kuracji w Gasteinie cesarz spodziewa się w tym roku, tak jak w poprzednich, najpożądańszych skutków.

Jak było można przewidzieć, lista książąt wydalonych z Francji zaczyna się powiększać szybko. Prawo o wydalaniu zabroniło pobytu tylko pretendentom, ale pozwoliło rządowi rozszerzać zakaz i na innych książąt krwi, którym wzbroniło zarazem piastować w kraju jakiekolwiek godności. W wykonaniu tego prawa ministerjum postanowiło wykreślenie z list armji książąt Aumale i Chartres. Książęta, do żywego tem dotknięci, zanieśli rekurs do rady stanu, a jednocześnie ks. Aumale napisał do prezydenta Grévy list, w którym powiada: „Wykreślając mnie z list wojennych, naruszasz pan prawo zasadnicze armji francuskiej. Ministrowie pańscy, nie licząc się z tytułami zdobytemi na wojnie, uderzają w ludzi nieskazitelnych, którzy zdobyli sobie prawo do szacunku przez oddane krajowi usługi i udowodnioną miłość ojczyzny. Co się mnie tyczy, to jako dziekan sztabu jeneralnego mam zaszczyt panu przypomnieć, iż stopnie wojskowe nie należą do pańskich atrybucyj, pozostaję więc jenerałem."

Na protest książąt ministerjum odpowiedziało rozciągnięciem i na nich także prawa banicji. Rozkaz wyjazdu wydany został księciu Aumale i prawdopodobnie niezadługo telegramy doniosą o jego wykonaniu.

Pogrzeb ks. kardynala Guiberta, arcybiskupa Paryża, ma się odbyć z największą uroczystością. Zmarły w testamencie wyraził wprawdzie życzenie, że pragnie być pochowanym jaknajskromniej i życzeniu temu stanie się o tyle zadość, że użytym będzie skromny karawan, sam pogrzeb jednak ma być urządzony nadzwyczaj świetnie i jak zapewnia *Gaulois*, dorówna wspaniałością pogrzebowi Piusa IX-go w Rzymie. Na 24 godzin przed złożeniem do grobu, które nastąpi dopiero prawdopodobnie w sobotę, ciało zgasłego dostojnika kościoła wystawione będzie w kościele Notre-Dame, dotychczas zaś stoi w pałacu arcybiskupim. Zmarły kardynał pragnął być pochowanym w kościele Serca Jezusowego na Montmartre, którego budowy był inicjatorem i gdzie jedna z ciemnych bocznych kaplic przeznaczoną już była na jego grobowiec, słychać jednakże, iż rząd nie zezwoli na odstąpienie od zwyczaju składania zwłok arcybiskupów paryskich w podziemiach kościoła Notre-Dame, głównie z obawy, ażeby pospólstwo na Montmartre nie zakłóciło obrzędu religijnego jaką demonstracją polityczną.

Pol. Corr. donosi o ostatecznem zakończeniu kwestji, która niegdyś wiele wrzawy narobiła w Europie i stała się powodem zużycia znacznych ilości atramentu i papieru. Według otrzymanych przez ten organ informacyj z Sofji, Bułgarja i Rumunja porozumiały się już stanowczo w sprawie Arab-Tabji. Sporna dotychczas ta miejscowość pozostanie na przyszłość przy Rumunji, zaś królestwo rumuńskie ustępstwo to wynagrodzi księstwu bułgarskiemu przez przyznanie mu odpowiedniego terytorjum na innym punkcie granicy.

Układ ten jest prawdopodobnie rezultatem wizyty, którą ks. Aleksander bułgarski złożył w ostatnich czasach dworowi rumuńskiemu.

S.

Nowa ustawa rzemieślnicza.

IV.

Rozpatrzywszy całą organizację zgromadzeń rzemieślniczych wedle nowej ustawy, wypada nam jeszcze obecnie zająć się dwiema instytucjami, których wprowadzenie projektuje delegacja w swoim elaboracie, a mianowicie są to: kasy pomocy i sądy rzemieślnicze.

Ażeby zabezpieczyć chociaż częściowo los rękodzielników we wszystkich powiatach znajdować się mają *kasy pomocy*, do których należeć obowiązani będą wszyscy rzemieślnicy zapisani do zgromadzeń. Kasa pomocy udzielać będzie zapłatę za koszta leczenia w domu lub w szpitalu, zapomogi w czasie choroby majstra lub towarzysza oraz zasiłki na koszta pogrzebu rzemieślnika lub jego żony. Oprócz tego jeżeli się znajdą na to odpowiednie fundusze, kasy pomocy udzielać także będą wsparcia kalekom i biednym niezdolnym do pracy rzemieślnikom.

Tak więc do kasy pomocy należeć i składkę opłacać będą obowiązani wszyscy majstrowie, towarzysze i uczniowie. Wysokość składki oznaczać będzie co trzy lata ogólne zebranie reprezentantów zgromadzeń rzemieślniczych, przyczem za zasadę przyjęto, że towarzysz płacić ma połowę tego ile płaci majster, a uczeń czwartą część tego co płaci towarzysz. Nadto majstrowie zatrudniający więcej niż 10-ciu towarzyszów i uczniów płacą dwie składki, zatrudniający więcej niż 20-tu pracowników trzy składki itd. w tym stosunku po jednej składce więcej za każdych dziesięciu towarzyszów lub uczniów.

Składkę za uczniów płacą majstrowie, jak również za towarzyszów pracujących u majstrów, fabrykantów lub przedsiębiorców opłacać winni ciż chlebodawcy i to nietylko za czas przez jaki towarzysze u nich pracują, ale i wszelkie zaległości w dowodzie legitymacyjnym zapisane. Te wniesione za towarzyszy składki potrącać sobie mają majstrowie z ich zarobku. Towarzysze nie pracujący u majstrów sami składki wnosić winni.

Składki do kas pomocy wnoszone być mają co miesiąc, a majstrowie, fabrykanci, przedsiębiorcy i i towarzysze, którzy we właściwym terminie tego nie dopełnią, będą zmuszeni do tego przez władze administracyjne.

Towarzysze, którzy wnosili składkę przez 30 lat i mają wieku 50 lat ukończonych, będą zwolnieni od opłacania składek, majstrowie zaś dopiero wedle uznania rady nadzorczej mogą być w tych warunkach od wnoszenia składek zupełnie lub częściowo zwolnionymi.

Majstrowie, uczniowie i towarzysze, chorujący więcej niż trzy dni, będą mieli prawo albo leczyć się w szpitalach wedle taksy najniższej, albo też otrzymać na leczenie się w domu zasiłek równający się taksie szpitalnej. Koszta te bezpłatnego leczenia i zapomogi udzielane być mogą przez trzynaście tygodni i wypłacane będą tygodniowo z dołu. W nadzwyczajnych wypadkach termin ten może być podwojony, ale tylko za oddzielną decyzją rady nadzorczej. W razie śmierci majstra, towarzysza lub ucznia, a także w razie śmierci żony majstra lub towarzysza, kasa pomocy udzielać będzie fundusz na pochowanie zwłok. Oznaczenia zaś wysokości tych zapomóg i zasiłków na pogrzeby dopełniać będzie co trzy lata ogólne zgromadzenie kasy pomocy. Wsparcia kalekom i biednym niezdolnym do pracy będą udzielane tylko w miarę zebranych na ten cel funduszów. Fundusze zaś odnośne powstawać mogą ze składek wyłącznie na udzielanie wsparć przeznaczonych, z procentów od zapisów, z dobrowolnych datków i z kar na rzecz kasy pomocy przeznaczonych. Rzemieślnicy z innych miejsc przybywający korzystać mogą z zasiłku tych wsparć w razie kalectwa i niezdolności do pracy, dopiero po pięciu latach od chwili wstąpienia do zgromadzenia.

Sprawami kasy pomocy zawiadywać będą trzy władze, a mianowicie ogólne zebranie reprezentantów zgromadzeń rzemieślniczych, rada nadzorcza i dyrekcja. Ogólne zebranie składać się będzie z reprezentantów zgromadzeń rzemieślniczych, z których każde wybierać będzie co rok najwyżej 10-iu członków z pomiędzy majstrów i tyluż z pomiędzy towarzyszów. Do atrybucyj ogólnego zebrania należeć będzie wydawanie szczegółowych instrukcyj dla kasy pomocy, oznaczanie wysokości składek od uczestników, zapomóg, kosztów pogrzebowych i wsparć jednorazowych i stałych. Rada nadzorcza składać się będzie z pełnomocników zgromadzeń rzemieślniczych, z których każde wybierać będzie co cztery lata jednego majstra i jednego towarzysza. Rada nadzorcza wybierać będzie dyrekcję i lekarzy kasy, uchwalać przedłużenie wypłaty kosztów leczenia i zapomóg i rozkład zaległych składek, oraz ustanawiać instrukcje szczegółowe dla dyrekcji i lekarzy. Dyrekcja kasy pomocy składać się będzie z trzech lub sześciu majstrów, wybieranych co rok przez radę z członków rady nadzorczej. Dyrekcja reprezentować będzie kasę na zewnątrz, prowadzić cały jej zarząd, ściągać składki za pośrednictwem zgromadzeń, wypłacać zapomogi i wsparcia. Spory, wynikające ze stosunku kasowego pomiędzy rzemieślnikami a władzami kasy, o ile przez te ostatnie załatwionemi nie zostaną, podlegają ostatecznemu rozsądzeniu w sądzie rzemieślniczym.

Drugą wreszcie instytucją nader doniosłego znaczenia, przez nową ustawę projektowaną, są *sądy rzemieślnicze*. Aby ułatwić rozstrzygnięcie wszelkich sporów w kwestjach z zawodu rękodzielniczego wynikających, uczynić wymiar sprawiedliwości tańszym i szybszym, delegacja wprowadziła do nowej ustawy postanowienia, o specjalnych sądach rzemieślniczych. Otóż wedle odnośnych postanowień, przez te sądy rozstrzygane być mają wszelkie spory wynikające ze stosunku pomiędzy majstrami a towarzyszami, a także spory pomiędzy urzędami starszych a członkami zgromadzeń i pomiędzy zarządami kas pomocy a ich członkami. Sprawy zaś pomiędzy majstrami a uczniami i rodzicami lub ich opiekunami, rozstrzygać będą sądy rzemieślnicze tylko w takim razie, gdy rodzice lub opiekunowie wyraźnie tego zażądają i złożą przy sprawie deklarację, że na orzeczenie sądu rzemieślniczego zgadzają się bez możności odwoływania się do zwyczajnych sądów.

niczych otrzymało w ciągu roku zeszłego ofiar w gotowiźnie rs. 1380 kop. 9; w naturze zaś dary następujące: od inżeniera H. Nieciergiewicza projekt odprowadzania wód, zalewających grunta osady w Studzieńcu, plan tejże osady i profile podłużne i poprzeczne projektowanych kanałów

du jour w prasie; liczba turystów w Sarreau zaczęła się zmniejszać, rząd angielski milczał i wbrew przysłowiu, że trzeba kuć żelazo póki gorące, pan Grevin uderzył je kiedy już stygło sumą 5,000 franków i słynna wanna powędrowała do Paryża, gdzie wnet zakrzątnięto się około godnego jej przyjęcia. Dano jej więc pokoik, wierne odbicie łazienki Marata, wymodelowano trzy główne figury: bohaterskiej morderczyni, ofiary i jego służącej, Simony Evrard, według płaskorzeźby p. Breunstamm'a, młodego rosyjskiego artysty, która w tym roku zwracała powszechną uwagę na wystawie rzeźb na polach elizejskich i ugrupowano je w łudzących naturalnością postawach. Spojrzyjmy na ten obraz.

Scena przedstawia chwilę już dokonanego czynu. Z wanny mosiężnej, czarnej prawie, pooranej bruzdami, jakie w niej żelaziste kąpiele wyżłobiły, mającej kształt sabota, wychyla się nagie ciało Marata. Twarz blada już i konwulsyjnie ściągnięta, czoło związane chustką, nóż, wepchnięty w prawą pierś po rękojeść, otworzył w niej ranę, z której krew broczy na prześcieradło i podłogę. Na ziemi wywrócony stołek i dzienniki. W głębi stoi Carlota Corday. Jasne włosy wymykają się w lokach z pod wielkiego białego czepca, biała chusteczka krzyżuje się na piersiach, fałdzista suknia w bronzowe paski wlecze się po mokrej podłodze. Simona Evrard trzyma ją gwałtownym ruchem za ramię, a twarz tej kobiety ciemna, pospolita, napiętnowana wściekłością nawet w tej woskowej reprodukcji, uderza artystycznym kontrastem z idealnemi, dziwnym spokojem tchnącemi rysami Carloty. Przez drzwi otwarte ciśnie się tłum w czapkach frygijskich, zwabiony krzykiem Simony. Za chwilę odważna dziewczyna stanie się pastwą rozjuszonego motłochu.

Widz, obdarzony bujną wyobraźnią, dotwarza sobie w myśli dalsze sceny tego dramatu i nie bez wrażenia spogląda odchodząc na wystawione za szkłem w szafce obok ostatnie listy Carloty, pisane w więzieniu, i list Marata, wystosowany do członków trybunału policji. Te kawałki zżółkłego papieru tchną jakąś rewolucyjną atmosferą, mają ten szczególny zapach pamiątki, który rozprasza się dopiero na episjerskim bruku bulwarów.

H. J. B.

Przestroga hygieniczna

Czwartek.

ER WARSZAW

się dwa razy dziennie na Warszawę i na prowincję. W
hodzi tylko rano, w poniedziałki i dni poświąteczne tylk

ROK SZEŚĆDZIESIĄTY SZÓSTY.

ę przyjmuje kantor *Kurjera Warszawskiego* codziennie od godz
; w niedziele i święta od godziny 10-ej rano do 1-ej w połu

plac Teatralny nr 9.— Telefon Redakc

czność. Kwestji bułgarskiej nie byłoby przecież wcale na widnokręgu politycznym, gdyby interesa Rosji w Bułgarji nie stały w pewnej, czasami nader silnej sprzeczności z interesami tak zwanej „Europy", czyli ściślej mówiąc, Anglji i Austrji. Uwzględnienie interesów rosyjskich na półwyspie bałkańskim odsądza w znacznej części obydwa te mocarstwa od prawa łudzenia się, że ich znowu „specjalne interesa" będą uwzględnione. Kto za wiele dowodzi, ten nie dowodzi niczego, możnaby przeto odpowiedzieć wiedeńskim „wajdelotom".

Rosja nie dała mocarstwom urzędowych zapewnień, że powstrzyma się w każdym wypadku od interwencji w Bułgarji. *Temps* paryski zamieszcza komunikat, pachnący bardzo silnie wonią urzędową, który twierdzi kategorycznie, że pod tym względem Rosja nie przyjęła na siebie żadnych zobowiązań formalnych. Prawda, że dotąd nie ma wyraźnych śladów, aby jakakolwiek okupacja Bułgarji się przygotowywała. I owszem — jedyny fakt, jaki dotąd skrystalizował się z mgławic bułgarskich, pozwalałby przypuszczać, że na razie przynajmniej *status quo* w księstwie będzie utrzymanem. Tym faktem jest uznanie przez mocarstwa dzisiejszej rejencji bułgarskiej. Zaniechano protestów przeciw niej zarówno z łona sofijskiego parlamentu narodowego, jak

FALE.

Siedzimy, milcząc, w cienistej rozpadlinie;
Przed nami morze pieszczotą słońca płonie;
Cisza południa wpół sennym żaglem płynie
Po przez powietrzne, rozbłękitnione tonie.

Piętrzą się brzegu załomy i urwiska;
Oliwne drzewa wieńczą je w zieleń bladą.
Kapią mdłe bluszcze, kredowa skała błyska,
A tam na piasku śpi drobnych łódek stado.

Byt ścichnął... błogą spoczynku zasłonę
Rozwlókł po ziemi, aż pod obłoczne stropy;
A tylko chodzą... wciąż chodzą niestrudzone
Fale — wodnego Ahaswerusa stopy.

Chodzą bez przerwy, początku i bez mety,
A każda niesie tragedję ruchu własną.
Patrz na te fale... patrz, jak zjeżają grzbiety,
Jak kwitną pianą i srebrnym pyłem gasną.

A w ślad za niemi nowe szeregi suną,
Dziwną udręką roznamiętnione... chyże...
Żądza z nich bucha seledynową łuną
I kąsa skałę i czarny piasek liże.

Zda się, że czują swą nieśmiertelność srogą,
Jak klątwę bytu wiszącą ponad niemi;
I zda się czują, że same zostać mogą,
Gdy wszystko zniknie i gdy im zbraknie ziemi.

Patrz na te fale!.. O! patrz na ich katusze;
Patrz, jak piekielnie trwa ich daremna praca;
Tak czasem dusza o drugą bije duszę,
I wnet się cofa i znów — odparta — wraca...

Hajota.

Sorrento. Listopad 1901.

Z dziejów dwóch miasteczek.

W r. 1891 spotkali się w Warszawie dwaj burmistrze: jeden z Mądrowic, drugi z Choròb-Wielkich. Gdy się już nagadali o sprawach domowych i kłopotach urzędu, rozpoczęli rozprawę o gospodarce miejskiej. Burmistrz z Choròb-Wielkich wychwalał świetny stan finansowy miasta swego, które dzięki jemu, burmistrzowi, nie miało długów, a nawet posiadało wielki kapitał zapasowy. Natomiast burmistrz z Mądrowic chwalił się że właśnie zaciągnął ½-miljonową pożyczkę i cały ten kapitał wraz z funduszem zapasowym użyć zamierza na budowę wodociągu, kanałów, rzeźni porządnej i kąpieli publicznych. Rozeszli się po tej rozprawie, a burmistrz z Choròb-Wielkich swego kolegę z Mądrowic uważał od tej chwili za skończonego warjata.

Choroby-Wielkie liczyły 10,000, a Mądrowice 8,000 ludności, śmiertelność zaś w nich wynosiła po 30 rocznie na 1,000 mieszkańców.

W r. 1901 tak się przedstawiał stan rzeczy w obydwóch miastach:

Choroby-Wielkie wykazały znowu świetny stan finansowy: długu ani grosza, administracja wyjątkowo oszczędna, bo na utrzymanie czystości w mieście wydano przez rok zaledwie 17 rubli i 33½ kop. Kapitał zapasowy jeszcze się zwiększył. Ludność jak dawniej 10,000, śmiertelność, jak dawniej 30 na tysiąc.

Ale:

pogrzebów w ciągu roku było	300 =	1,500 rb
chorych (po 30 na 1 zmarłego)	9000	
koszta kuracji i dozoru . .		54,000 „
strata zarobku (22% chorych zarabiało na chleb) dni .	180000 =	39,000 „
strata 60 ludzi dorosłych, licząc, że każdy z nich zarabiałby przez 10 lat po 150 rubli, gdyby nie śmierć przedwczesna	90000 =	90,000 „
		184,500 rb.

Mądrowice, bez kapitału zapasowego, obdłużone, liczą obecnie 10,000 ludności i 15 na tysiąc śmiertelności:

W r. z. umarło tam 150 osób, chorowało 4,500, dni choroby liczono 90,000.

Pogrzeby kosztowały więc . . .	750 rbl.
kuracja	27,000 „
strata zarobku	19,500 „
strata w zmarłych pracujących na chleb	45,000 „
Ogółem	**92,250 rbl.**

do których dodawszy 37,500 rubli na odsetki od długu z amortyzacją, otrzymuje się w porównaniu z Chorobami-Wielkiemi 50,000 zysku.

Burmistrz z Choròb-Wielkich teraz chce użyć części kapitału zapasowego na rozszerzenie cmentarza, a burmistrz z Mądrowic chce zaciągnąć pożyczkę na bruki asfaltowe, a skoro śmiertelność jeszcze się zmniejszy, zbuduje teatr i już ma rozpocząć układy z Kruszelnicką o gościnne występy.

J. Polak.

75-lecie „Dam i huzarów" Fredry.

Dziś w teatrze Rozmaitości jedna z najweselszych komedji Aleksandra hr. Fredry—„Damy i huzary" — święci brylantową na scenie warszawskiej rocznicę. Należy się jej wspomnienie serdeczne i gorące, wiąże się ona bowiem z dobą najwcześniejszą twórczości Fredry. Warszawa odczuła odrazu niepospolity talent, oceniła trafnie komedję i przyjęciem wylanem niewątpliwie oddziałała podniecająco na Fredrę, który odtąd z zapałem wziął się do pióra.

*

Przed 75-ciu laty teatr warszawski rozwijał się bardzo czynnie, otoczony wielkiem zajęciem i powszechną sympatją; miał szereg niepospolitych artystów, którzy odznaczali się wyjątkowem zamiłowaniem sztuki, ubóstwianej przez nich. Teatr Narodowy skupiał uwagę publiczności, dostarczał jej strawy artystycznej i torował drogę dla komedji polskiej zwolna, lecz ustawicznie i wytrwale.

Zanosiło się—mówi Tarnowski—na komedję oddawna i coraz bardziej, aż wreszcie ukazała się ona tam, gdzie jej się nikt nie spodziewał. Któż zgadnie, jakiemi drogami płyną, w których miejscach gromadzą się wody pod ziemią? Nieraz się ich szuka, a dokopać się zdroju nie można.

Otóż oni wszyscy: i Krasicki, i Zabłocki, i Niemcewicz, i Wojciech Bogusławski — i wszyscy pomniejsi, są jak ludzie, którzy kopią studnie; jeden w swojej znajduje wody mniej, drugi więcej—żaden tyle, żeby z jego studni śmiało zaczerpnąć i napoić się można. Źródło wytrysło samo z siebie, na polu innego szczęśliwszego człowieka, który nie kopał. Ale ten silny, obfity promień wody, niewidzialnie pod ziemią zebrał w sobie te wszystkie małe źródełka, które na studnię wystarczyć nie mogły—i niemi wzmocniony, wydobył się na wierzch. Fredro nie był następcą, a tem mniej uczniem ani Zabłockiego, ani Bogusławskiego, ale był wynikiem nieświadomym, ostatnią przypadkową tego dążenia do komedji polskiej, które objawiało się ciągle i coraz silniej od pół wieku z górą.

„Po powrocie resztek wojsk Księstwa Warszawskiego do kraju—pisze sam Fredro—otrzymałem na własną prośbę dymisję zaszczytną d. 17-go grudnia 1815 r. i osiadłem we Lwowie pośród młodzieży, co razem ze mną opuściła zawód wojskowy. Urok bohaterstwa, żywe zajęcie się nowością nadały tej młodzieży pewną udzielność w kołach towarzyskich, tak, że ona jedna ton nadawała zabawom. Ujrzałem się w tym wirze i byłem przezeń porwany... Wkrótce jednak zabrałem się do studjów na serjo."

I napisał kilka komedyjek, które utonęły w zapomnieniu.

„W r. 1819 napisałem „Geldhaba". W interesie familijnym wypadła mi droga do Warszawy; wziąłem z sobą manuskrypt i z wielką nieśmiałością przedstawiłem go jednemu z ówczesnych arystarchów stolicy, który, rzuciwszy okiem na spory zeszyt, zawyrokował, że wszystkim młodym daje jedną radę: skracać; potem po jednej scenie czytał dni kilka, nareszcie zdecydował, że są dobre niektóre kawałki, ale lepiejby było we Lwowie wystawić, bo Warszawa nie zna takich Geldhabów. Potargowawszy się, Ludwik Osiński wziął nakoniec „Geldhaba" i komedja ta była przedstawioną w teatrze warszawskim d. 7-go października 1821 r."

Pan Geldhab" doznał powodzenia, Fredro więc począł nadsyłać Osińskiemu dalsze swe prace, które ukazywały się w teatrze Narodowym, przyjmowane przez publiczność bardzo serdecznie: „Zrzędność i przekorę" wystawiono d. 29-go grudnia 1822 r., „Męża i żonę" w czerwcu 1823 r., „Cudzoziemczyznę" w kwietniu 1824 r.; komedja „Damy i huzary" ujrzała światło kinkietów w 1826 r.

Pewnego poranku afisze doniosły publiczności, co następuje:

TEATR NARODOWY
14 Maja 1826 r.
„DAMY I HUZARY"
Komedja w 3 aktach.
Aleksandra hr. Fredry.
OSOBY:

Major	Kudlicz
Rotmistrz	Dmuszewski
Porucznik	Piasecki (ojciec).
Kapelan	Zdanowicz.
Orgonowa	Jankowska
Dyndalska	Pawłowska
Aniela	Żółkowska.
Zofja	Palczewska
Grzegorz	Damse (ojciec).
Remba	Gorecki.

Po pierwszem przedstawieniu „Dam i huzarów" *Kurjer warszawski* (№ 114 z d. 15-go maja 1826 r.) zamieścił o premjerze krótką, ale gorącą notatkę:

Wczoraj nowa komedja „Damy i huzary", bardzo zabawiła obecnych. Autor jej (Aleksander hr. Fredro), już dowiódłszy niepospolitego talentu w komedjach, ułożonych wierszem, również w mniejszej krotochwili ciągle zajmuje słuchacza przez układ scen i wyborną dykcję. Ta sztuka długo może należeć do rzędu dzieł często przedstawianych.

Nową komedję Fredry dano między „Makbetem" Szekspira a „Edypem" Sofoklesa.

Pora była chłodna i dżdżysta. Dzienniki ówczesne notują, że takiego maja dawno nikt nie pamięta. Ludność spragniona ciepłych promieni słońca, wyglądała z utęsknieniem wiosny, w owym roku spóźnionej i przybywającej niechętnie.

Wycieczki zamiejskie udać się nie mogły, publi- [redacted]

I nie pomylił się w swej przepowiedni.

Sztuka podobała się na pierwszem przedstawieniu, podobała się również i później, ilekroć powracała na repertuar.

Fredro miał szczęście do jednego z wybornych, ówczesnych aktorów, Bonawentury Kudlicza (ur. 1780 † 1848 r.), który pierwszy stworzył postać „Geldhaba" (1821 r.), potem grywał w dalszych komedjach Fredry, aż wykonał świetną kreację Majora w „Damach i huzarach".

Obsada komedji w ciągu lat 75-ciu ulegała różnym zmianom.

„Po wznowieniu tej komedji w 1830 r. w roli Dyndalskiej występowała Włodkowa; w r. 1835 grała tę rolę Kostecka; w r. 1838 rolę Porucznika grał Komorowski. Przy wznowieniu „Dam i huzarów" w 1843 r. Majorem był Skibiński, Rotmistrzem — Stanisław Bogusławski, Porucznikiem — Skomorowski, Kapelanem — Panczykowski, Organową — Kostecka, Dyndalską — Rombecka, Anielą — Żółkowska, Zofją — Zarzycka, Grzegorzem — Buliński, Rembą — Świergocki.

Przy powtórnem wznowieniu w 1850 r. Majora grał Rychter, Rotmistrza Bogusławski, Orgonową Mazurowska, Dyndalską Strzelbicka, Anielę Estella (późniejsza Kurcjuszowa), Zofję Morozówna (późniejsza Zielińska), Grzegorza Chomiński, Rembę Chomanowski. W marcu tegoż roku rolę Majora objął Chomanowski, rolę Remby Chęciński.

W 1862 r. Rotmistrza zaczął grywać Ostrowski, Porucznika Bodurkiewicz, Anielę Figarska. W 1865 r. Dyndalską grała Micińska, Zofję Ostrowska, Rembę Damse. W 1866 r. Majora grał Grzywiński, który postać tę z małemi przerwami odtwarzał przez lat 30, Porucznika Tatarkiewicz. W r. 1868 Anielę grała Borowska, w 1869 r. w roli Rotmistrza występował Surewicz, w roli Majora Rapacki.

Ostatniemi czasy obsadę „Dam i huzarów" tworzyli: Grzywiński (Major), Mikulski (Kapelan), Frenkiel (Rotmistrz), Nowicki (Porucznik), Ostrowska (Orgonowa), Micińska (Dyndalska), Żółkowska (Aniela), Trapszo (Zofja), oraz Szymanowska, Tarnowska, Pichor, Szobert i Żyburski.

Obsadę komedji prawie całkowicie zmienił p. Ludwik Śliwiński, który też postanowił skorzystać z ukończenia 75 lat życia scenicznego „Dam i hu-

żarów" i wznowić sztukę tę na rozpoczęcie Nowego Roku.

I oto czerwone afisze zapowiadają dzisiaj:

TEATR ROZMAITOŚCI

W dniu 1-ym stycznia 1902-go roku

„DAMY I HUZARY"

Komedja w 3-ch aktach

Aleksandra hr. Fredry.

OSOBY:

Major	p. Leszczyński
Rotmistrz	p. Frenkiel
Kapelan	p. Rapacki
Edmund Porucznik	p. Nowicki
Pani Orgonowa	p. Niewiarowska
Pani Dyndalska	p. Ostrowska
Panna Aniela	p. Czaki
Zofja, córka Orgonowej	p. Palińska
Józia	p. Rutkowska
Zuzia	p. Junosza
Fruzia	p. Pichorówna
Grzegorz	p. Wojdałowicz
Rembo	p. Szobert.

Otworzy się tedy przed nami dziś wieczorem w Rozmaitościach „dom Majora na wsi", a w nim zobaczymy szereg postaci z przed lat 90-u, żyjących na scenie, dzięki genjuszowi Fredry. I jak przed 75-u laty publiczność warszawska śmiała się na „Damach i huzarach", tak się będzie śmiała dzisiaj i niewątpliwie opuści teatr pod miłem wrażeniem—co niechaj stanie się dla tej sceny dobrą na przyszłość wróżbą.

Adam Dobrowolski.

Z ZATOKI NEAPOLITAŃSKIEJ.

Capri, d. 27-go listopada.

Słońce! To pierwszy wyraz, który się na usta ciśnie.

Słońce jest panem wszystkiego; słońce rozstrzyga o wszystkiem. U nas np. jest specjalna melancholja dni jesiennych, szarych, bezbarwnych, byle oczywiście nie bardzo wietrznych i nie bardzo dżdżystych, dni omglonych, mających swój własny wdzięk.

W ich szyfrowem oświetleniu dziwnie łagodnieją i jakby idealizują się te wszystkie rzeczy, które w słońcu są brzydkie. Zrudziała łąka, bezlistne drzewa, nagie pola, poschnięte badyle, wszystko co zwiędło, co skończyło swój czas, zyskuje na zmatowaniu konturów.

Gdyby nasz listopadowy krajobraz oświetlić włoskiem słońcem, słońcem neapolitańskiej zatoki, wyglądałby jak pomarszczona, stara twarz w obramowaniu ufarbowanych włosów.

Ale tu tego, co mija, co potrzebuje odpoczynku, aby odżyć, tej ziemi samej, rodzącej, jest właściwie tak mało. Tu jest przedewszystkiem, morze które się nie starzeje nigdy, i są odwieczne i niewzruszone skały i są wężownice twardych, białych dróg, ujęte w oprawę murów i jest pstrocizna nieregularnych jaskrawo malowanych budynków, płaszczyzn amfiteatralnych, jakichś jedynych w swoim rodzaju efektów architektonicznych, będących wpół naturą, wpół sztuką pierwotną.

Oto np. wysoki, prostopadły, w bruzdy poryty zrąb skały, a do niego przyczepiona, jakby dalszy szczegół całości, różowa ściana domu, o płaskim dachu, krzywych okienkach, z których, jeśli ich jest pięć, każde musi być inne, a jedno koniecznie wybite i płachtą suszącej się bielizny wiewające.

Obok drugi podobny budynek, tylko wyższy i ostro żółty, a dalej rząd framug, niewiadomo do czego służących, jakieś kolumenki, które niczego nie podpierają, jakaś zębata arkada, wpół ruina, wpół naturalny odłam skały i wszędzie, wszędzie te dwa niezrównane tła: morza i nieba.

Pogrążyć to w szarość i będzie nic, a raczej będzie coś brzydkiego, ubogiego i poprostu przygnębiającego; tymczasem przyszło słońce i jest odrazu cud! Cud linji przedziwnie czystych, cud kolorytu, cud nastroju!

Marzą ci się zaraz jakieś cyrki rzymskie, jakieś amfiteatry natłoczone dyszącemi tłumami, staje przed tobą kult życia na zewnątrz, pod gołem niebem, z przepajającym każdą fibrę twego jestestwa współudziałem przyrody—rozumiesz potęgę słońca.

A nigdzie tak jak na Capri.

Odczuwa się to zwłaszcza, przyjechawszy tu nie na banalną turystowską wycieczkę, lecz na dłuższy pobyt z drugiej perły neapolitańskiej zatoki, z Sorrenta.

Już choćby dlatego, że Sorrento jest lądem, że się ma tam bezpośrednią, w naszej tylko mocy leżącą możliwość zmiany, pójścia gdzieś dalej... szukania czegoś innego, już to samo czyni nas wyrozumiałymi na jego braki i chwilowe zachmurzenia.

Niech się niebo rozpłacze, wicher rozhula, barwy zgasną, wszystko raptem zbrzydnie, wówczas ma się zawsze pod ręką vetturina, tego najwytrwalszego z woźniców na świecie, który ci wciąż kołami następuje na pięty i wciąż cię zaprasza, a doznawszy odmowy sam się pociesza, że jeśli nie dzisiaj to z pewnością zapotrzebujesz jego usług: *domani!*

Więc tylko ruszyć palcem, a w dwie godziny jest się w Castellamare, a ztamtąd już cały świat otworemi, byle bilet kolejowy kupić.

I sama ta myśl godzi cię z zadeszczonem Sorrentem.

Zamykasz się w pokoju z książką lub piórem i czekasz cierpliwie pogody.

Ale na Capri inaczej.

Statek cię przywiózł, gwizdnął, odpłynął i oto jesteś całkowicie na łasce morza. Ani kroku dalej w żadną stronę, o ile ono nie pozwoli.

Więc w tem dobrowolnem więzieniu musi ci być dobrze, musisz w niem znaleźć wszystko, czego pragnąłeś, bo inaczej po cóżbyś się w niem zamykał?

I mimo woli wzrok biegnie w górę, ku temu cudotwórcy, w którego mocy jest przemienić ten zlepek skał w zaczarowaną krainę barw, a usta szepcą: świeć! świeć!

Bo gdy świeci—to wsz... Starczyłoby już tego, co ono wyprawia z morzem—to słońce. Maluje je, przemalowywa, roziskrza, roztęcza; z każdą godziną czyni innem... zawsze piękniejszem niż było...

Jeśli jest trochę burzy i nieco większa fala, cała powierzchnia zatoki, het ku Neapolowi i Ischii zakwita białemi wypryskami piany, niby stadem goniących się po niej ptaków. Na głębokim granacie toni drga siatka rudo-miedzianych blaszek; bliżej ku brzegowi tworzą się w tem jasno-zielone jeziorka, coraz gęstsze, aż się zleją w jedną obręcz seledynu, zamykającą wyspę...

Podczas ciszy błękit toni zasnuwa się wydłużonemi smugami ciemniejszej barwy, które odcinają się na niem z ostrością konturów jakiegoś stałego gruntu.

I nie można nigdy napatrzeć się dosyć rozmaitości tych plam i zygzaków.

Ale i rozsłoneczniona wyspa woła: spojrz na mnie! Rozkołysany przestrzenią wzrok odrywa się od ciągnących go w dal wodnych głębi i znajduje punkt oparcia na poszczerbionej linji szczytów, czarnem półkolem zamykającej widnokrąg.

Tu już nie ma ruchu, a przecież ile życia!

Na skałach gra tęcza kolorów, a wykute w zrębach białe szlaki, wiodące w górę na Anacapri, na Monte Solaro, na Barbarossę do Mitromanji, Castiglione — i ktoby to wyliczył — nęcą łagodnością swych zakosów i same zdają się podścielać pod stopy przybysza.

A jest ich tyle i tyle, że jak świadomi utrzymują, w każdy dzień roku można mieć inny spacer, inną wycieczkę na tej malutkiej wysepce.

Tylko trzeba się z tem pogodzić, że prosto i równo trzech kroków z rzędu nie ujdziesz. Albo z dołu pod górę, albo z góry na dół... i wciąż wężem zawrotnym, mylącym wszelkie perspektywiczne kombinacje.

Bo Capri to właściwie nic innego, tylko skalny grzebień, wpięty w płynne warkocze Amfitrydy. W górze, po jego łukowatej, fantastycznie rzeźbionej szczytami laweczce biegnie deseń samego miasta, niby inkrustacja różnokolorowych kamyków; w dolnych zębach tuli się port, Marnia Grande i turystowskie hotele.

W jednem miejscu, idąc z portu do miasta, natrafia się na bardzo głębokie, wydłużone wgięcie tego grzebienia i wtedy stoi się jak na moście, rzuconym po przez morskie przestworza.

Z jednej strony wzrok biegnie na północ poza Wezuwjusz, Apeniny, Alpy... aż het ku Warszawie; z drugiej szukać może afrykańskich brzegów...

Tam trzeba iść przed zachodem słońca i czekać aż sorrentyńskie skały rozgorzeją jak żużle, a woda dokoła nich wygładzona i cicha przedzierzgnie się w jakąś bajeczną, czarodziejską łąkę niezapominajek, a Neapol i Posilippo i Torre di Annunciata zamigocą miljonami iskierek, a z głębi, pogrążona już w cieniu, Nisida wystąpi na przeczystem, bladawem tle nieba, jak bazaltowy zamek; a potem przerzucić nagle wzrok na przeciwległy kraniec widnokręgu, gdzie niema nic... nic... prócz morza i gdzie zachodnia łuna wygląda jak olbrzymia tęcza, pod stopy obłokom podesłana, głębokie błękity toni opasająca. Trzeba tak stać i patrzeć i dziękować Bogu, że to stworzył, że się to widzi.

Tak też i czynię z głębi serca.

Patrzmy jeszcze. Samego słońca nie widać, nie widać tego najognistszego punktu, w którym zasuwa się za wodną linję; przesłania je wielka skała, tworząca profil owego wgięcia, na dnie którego stoimy. Ale czuje się je wszędzie; w każdym atomie powietrza, obejmującem nas jak złocisto-różowa pieszczota...

Za parę dni będzie już pełnia i oto na usianych w bukiety róż lazurach tkwi srebrnym, przyciętym krążkiem wczesny księżyc, a niżej pali się, złotą latarenką migoce Wenus. Jedno oświetlenie zdaje się czekać, aby je drugie zluzowało, tak, że mroku prawie jak niema.

Jest za to wielka przedwieczorna cisza, najgłębsza właśnie na tej przełęczy, oddalonej zarówno od miasta jak od portu. Echa obu tych środowisk kapryjskiego życia giną po drodze i tu nie sięgają. Od czasu do czasu tylko zaturkoce głucho wóz o dwóch ogromnych kołach, w trzy muły zaprzężony, lub przemknie szybko maleńka, zgrabna vetturka, wyglądająca jak powozik dla dużych lalek i ozwie się przeciągłe, charakterystyczne aaa! które tak brzmi, jak gdyby woźnica przekomarzał się ze swym zaprzęgiem.

To aaa! to ujęta w dźwięk psychologja tutejszego ludu, jego pogodna, bezwiedna radość życia, jakby ciągłe, instynktowne dziękczynienie Bogu, że się właśnie tu na Capri urodził, że mu tu tak dobrze. To chyba także—wpływ słońca.

Zapewne i tutejsi mieszkańcy muszą mieć swoje [illegible] i niedole, ale zarazem muszą się z niemi jakoś łatwo rozprawiać, bo doprawdy nie widzi się tu wcale chmurnych, zgnębionych twarzy. Nawet stare kobiety dźwigające na głowie ciężkie kosze po stromych ścieżkach, mają dla ciebie wesoły uśmiech i życzliwe słowo, z jakiem nie spotkałbyś się gdzieindziej u takich nawet, które w wygodnej bezczynności wygrzewałyby się przy ciepłych piecach.

A przecież starość — to taki wielki, wielki trud, że gdzie ona jest pogodna, tam ludzie muszą być istotnie szczęśliwi.

Zajdźmy do miasta, aby się temu zblizka przypatrzeć! Jest tu piazzetka, tak właśnie duża jak obszerna sala koncertowa, i ta piazzetka stanowi zarazem jedyną większą płaszczyznę na Capri. Zapomniałam o niej mówiąc, że tu trzech kroków równo postawić się nie da. Ale co znowu! Tu możnaby nawet walca tańczyć.

Kapryjczycy muszą być z tego bardzo dumni. W każdym razie jest to ich resursa pod gołem niebem, a że z powodu wązkości, krętości, spadzistości i innych ości włoskich uliczek, doprowadzonych tu do superlatywu, ruchu kołowego w mieście niema, więc można sobie swobodnie chodzić, stać, siedzieć, a nawet spać na piazzecie.

Powagi dodaje jej minjaturowy ratusz, malowany na różowo, i zielonkowata poesta. U stóp obu tych uroczystych dowodów municypalności siedzą przekupki z koszami pełnemi ciastek, wyglądających jak gliniane zabawki, jakie u nas po jarmarkach dla dzieci sprzedają, jarzyn z przewagą cebuli i czosnku; prócz tego każda ma piecyk, z którego ulatuje woń gorących kasztanów i pistacji. Tym kobietom usta się nie zamykają. Ale się nie kłócą pomiędzy sobą, ani nie wymyślają kupującym, jak to jest szlachetnym obyczajem kapłanek Żelaznej Bramy. Wszystkie są niemłode i brzydkie, jak wogóle starzejące się kobiety południa.

A przecież jest w nich coś bardzo sympatycznego. Ujrzawszy cudzoziemców: pozdrawiają ich zaraz—zupełnie bezinteresownie — a jeśli są im już znani z widzenia to się nie obejdzie bez pogawędki: „Czy *signor* lub *signora* idą na Pragarę? A czy widzieli już Arco Naturale?—Nie? O! to trzeba koniecznie, żeby *signor* lub *signora* zobaczyli Arco Naturale... Idzie się tędy; o — przez via Tiberio..."

Mężczyźni są mniej rozserdecznieni. Za to pomiędzy sobą wydają się być w najprzyjaźniejszych stosunkach. Stoją kupkami na piazzecie, ćmią fajeczki i prowadzą umiarkowanie ożywione rozmo-

wy. Nikt nie klnie, nie widać pijaków, atmosfera bez troski unosi się nad wszystkiem. I przybyszowi z innych, smutniejszych stron miło się w nią zanurzyć...

Tylko nie trzeba dowierzać zbytnio informacjom, jakich ci na prawo i lewo udzielać będą...

Bo może się zdarzyć, że uprzejmy vetturino podwiezie cię przed dom, w którym mieszkał Garibaldi, a gdyś już przez dziesięć minut przyglądał się w należytem skupieniu ścianom, uświęconym pobytem bohatera, twój nieopatrzny automedon przypomni sobie nagle, że się omylił i że dom Garibaldiego jest gdzieindziej. Oczywiście tracisz zaufanie do tamtego drugiego domu i wyekspensowawszy tyle namaszczenia napróżno, nie znajdujesz go w dostatecznej ilości dla autentyku.

Ale to drobnostka. A uczciwość kapryjczyków jest przysłowiowa. Podobno anglicy — zawsze ekscentryczny naród — gubią z umysłu po drogach zegarki i portmonetki, aby mieć tę satysfakcję, że je im nieodmiennie proboszcz miejscowy za zgłoszeniem się zwróci.

Niechby spróbowali na Marszałkowskiej ulicy.

Chociaż niewielka to zasługa być dobrym, gdy wszystko ku temu usposabia. Myślę, że gdyby kapryjczycy nie mieli swojej Lazurowej Groty i gdyby onemi czasy Tyberjusz nie strącał z tutejszych skał spółuczestników swoich orgji i gdyby dzięki tym dwom okolicznościom cudzoziemcy całego świata nie naturalizowali tu swojego złota, to los owych zegarków i portmonetek bywałby inny.

Bez względu jednak na powody, poczucie takiego bezpieczeństwa przyczynia się bardzo do uspokojenia nerwów.

I wobec tego dziwię się, że my, którzy należymy nie bez racji do najbardziej zdenerwowanych w Europie i których tak wszędzie pełno—to drugie z mniejszą o wiele racją—że my prawie nie znamy Capri.

Oczywiście nie mówię o sakramentalnych wycieczkach z Neapolu statkiem na dzień lub dwa najwyżej, lecz polacy, przybywający tu na dłuższy pobyt, należą do wyjątków, a moje spostrzeżenia potwierdza nader mętne pojęcie, jakie kapryjczycy mają o istnieniu takiego narodu na świecie.

Polak jest dla nich zawsze kim innym. I, powtarzam, dziwię się.

Bo naprzód Capri jest ogromnie tanie, tak tanie, że kilkomiesięczny pobyt opłaci w zupełności daleką i kosztowną drogę. W takim naprzykład hotelu Continental, bezpośrednio nad morzem położonym, można mieć ładny pokój z całodziennem utrzymaniem—włączając w to butelkę smacznego wina kapryjskiego—za pięć lirów dziennie, a więc za niecałe dwa ruble.

I w dodatku ma się klimat, przewyższający o całe niebo klimat Riviery, a zwłaszcza tej wietrznej, z upału w chłód przeskakującej Nizzy; ma się urok takiego egzotyzmu, który miejscami przenosi nas aż na daleki Wschód, i ma się spokój prawie domowego zacisza, a przytem tyle właśnie urozmaicenia, ile potrzeba, aby ten spokój nie stał się z czasem nużący.

Pod tym względem Capri ma stanowczą przewagę nad Sorrentem, które, zwłaszcza nie w pełni sezonu, grozi nadmiarem jednostajności.

A tu i pod tym względem harmonja, jak we wszystkiem.

Przed południem statek przywozi zawsze gromadę turystów; od mola dolatuje zgiełk przeciągłych głosów, wykrzykujących nazwy hotelów: „Quisi-sana"! „Bri-sto-ol"! „La-gu-no"! Vetturki zaczynają dudnieć, a na tarasach restauracyjnych służba uwija się z zastawieniem śniadania.

I wnet przy stolikach zasiadają ulornetowani, ubedekierowani goście o specjalnych minach ludzi, mających wnet po zjedzeniu makaronu i *cotoletty a la milanaise* ujrzeć jeden z największych cudów przyrody: Lazurową Grotę!

To im dodaje znaczenia w ich własnych oczach i to się mimowoli odczuwa w sposobie, w jaki niosą do ust widelec.

Dokoła tych przybyszów krążą przekupki z koszami miejscowych, bajecznie tanich, wyrobów z koralów, a pośrodku tarasu staje pięciu muzykusów, którzy rzępolą na skrzypcach i brzdąkają w gitary, a jeden głosem bardziej zniszczonym, niż jego paltot, śpiewa wdzięczne piosenki neapolitańskie:

Io parto, per la Pisa,
Addio, Lisa—te serrvero!
. . . .
Con qualqunqu' mariner me lascia,
Con qualqunqu' con qualqunqu'!...

Śpiewak powtarza tę zwrotkę z jakimś osobliwszym, nie do naśladowania charkotem; wtula głowę w ramiona i kręci nią, przysiadając na zgiętych kolanach. I jest w tej lichej muzyczce, w tych ochrypłych tonach dziwny czar czegoś, nawskroś miejscowego, subtelnie kojarzącego się z całą tą scenerją zatoki, dymiącego na widnokręgu Wezuwjusza, bielących się u jego stóp miast i rozciągniętych nad tem wszystkiem szafirów nieba.

Nie, stanowczo *lunche* na Capri mają swoją własną atmosferę kapryśną...

Tyberjusz musiał dobrze wiedzieć, dlaczego tu, a nie gdzieindziej, najszaleniej używał życia...

Tu życie naprawdę narzuca się człowiekowi ze zdwojoną siłą, tu mniej, niż gdziekolwiek, myśli się o śmierci.

A jednak... nie zawsze!

Bo oto przypomina mi się, że przed kilku dniami, zwiedzając cmentarz, w oddziale—powiedziałabym w kwietniku—cudzoziemców, bo tutejsze groby pogrupowane są jak klomby—natrafiłam na świeżą, datę 13-go marca roku bieżącego noszącą, mogiłę rodaczki.

Przyjechała tu, aby się zabić...

I jej świeciło to samo cudne słońce, i ją otaczało to niezrównane, nie do napatrzenia morze, i ona chodziła po tych drogach, uwieńczonych gajami pomarańcz i nespoli, po tych skałach upiętych w aloesy i patrzyła na to wszystko w samym rozkwicie wiosny, a przecież zabiła się...

Tak, widocznie za człowiekiem chodzi coś, przed czem nigdzie uciec nie można...

Nigdzie...

Hajota.

W chwili zachodu.

Kiedy zachód nadejdzie, nim mrok czarny wstanie,
Słońce w rzewnej zadumie, uściskiem pieszczoty
Tuli świat swoich ramion promiennemi sploty
I krwawem okiem bolu śle nam pożegnanie.

Pieszcząc drzewa, z purpury rzuca szaty na nie,
Oświetla z chmur na niebie złociste namioty
I, gotując sen ciepły dla żywej istoty,
Ogrzewa łono ziemi na nocne posłanie...

A życie, gdy ma zgasnąć, z czem staje przed nami?..
Czy wznosi z ruin bytu promienne świątynie?
Czy grzeje łoże zgonu swych uczuć światłami?

Czy namaszcza pieszczotą swe ostatnie słowo?
Gdy sen śmierci swe skrzydła ponure rozwinie,
Czy staje ze łzą w oku nad stygnącą głową?..

Antoni Pilecki.

Twórca polonezów.

Kompozycję Ogińskiego, którą w dzisiejszym numerze *Kurjera* umieściliśmy, zjawia się po raz pierwszy w druku dzięki uprzejmości p. Michała Jelskiego.

Poloneza tego kompozytor poświęcił „Szanownemu braterstwu, Stanisławowi i Róży z Prozorów Jelskim."

Stosunki Ogińskiego z rodziną Jelskich wpłynęły na rozwój talentu muzycznego w ojcu autora artykułu niniejszego, Karolu Jelskim, chorążym powiatu ihumeńskiego, który w latach swych młodocianych często się grą jego zachwycał. Talent ten później wykształciwszy pod kierownictwem znakomitego nauczyciela, z zamiłowaniem oddawał się przez całe życie grze skrzypcowej i zamiłowanie to rozwijał w synu swoim, Michale, znanym skrzypku wirtuozie i kompozytorze. Zostawił kilkanaście polonezów w rodzaju Ogińskiego, dwie uwertury, koncert skrzypcowy, oraz wiele innych utworów, dotychczas niewydanych.

*

Michał Kazimierz ks. Ogiński, wielki hetman litewski, urodzony r. 1728 w Warszawie, był synem Tadeusza, wojewody trockiego i Heleny z Brzostowskich, która owdowiawszy, wyszła potem za dziada swego, Władysława Jelskiego, wojewodę brzeskiego.

Po siedmioletnim (do r. 1761) w cudzych krajach pobycie, wróciwszy do ojczyzny, pojął za żonę Aleksandrę księżniczkę Czartoryską, został hetmanem wielkim litewskim. Po r. 1771 spędził lat kilka za granicą.

Powróciwszy do kraju, pracował nad podniesieniem dobrobytu tak we własnych swoich majątkach, w których pozakładał fabryki różne, jako i w całym kraju, któremu wielkie dobrodziejstwo wyświadczył, wyłożywszy kilkanaście miljonów na przekopanie kanału spławnego pomiędzy rzekami Szczarą, dopływem Niemna, i Jasiołdą, dopływem Prypeci, przez co morze Bałtyckie połączone zostało z Czarnem.

W miasteczku swojem, Smiłowiczach, ufundował wspaniały kościół murowany w stylu odrodzenia, z pięknemi organami i cennemi pod względem artystycznym obrazami, a z nim razem klasztor księży misjonarzy, których nadał majątkiem ziemskim, Wołmą, wartującym dziś przeszło 100,000 rubli. Słonim wreszcie, którego był starostą, przyozdobił wielu pięknemi gmachami i zaopatrzył w kilka pożytecznych zakładów.

Miłośnik i znawca niepospolity sztuk pięknych, malował i grał na wielu instrumentach, szczególniej zaś był wybornym skrzypkiem. Znał muzykę gruntownie i komponował rozmaite utwory, między innemi zaś pewną część powszechnie znanych polonezów, które wszystkie niesłusznie były przyznawane Michałowi Kleofasowi ks. Ogińskiemu, niewątpliwie bowiem te z nich, które noszą na sobie starszą cechę i odznaczają się najczystszą, prawdziwie polską melodją, są utworami ks. Michała Kazimierza.

Ks. Michał Kleofas, podskarbi litewski, miał także talent tak niepospolity, że gdy mu podczas emigracji urwały się środki pieniężne, to utrzymał się z dawania z koncertów; ale ks. Michał Kazimierz, jako muzyk, wirtuoz i kompozytor, stał od niego nierównie wyżej. Był on uczniem słynnego Viottego, który przez pewien czas był nadwornym solistą Stanisława Augusta i wtedy to hetman litewski z nim się zaprzyjaźnił. Potem, za pobytu swego w Paryżu, ciągle z nim przestawał, przez niego się zapoznał z utalentowanymi uczniami jego: Rodem, Kreutzerem i Baillotem i często grywał z nimi, a szczególnie z Kreutzerem,—nie dziw więc, że w takiej szkole tak się znakomicie wykształcił. Obaj Ogińscy chlubnie są zapisani w Encyklopedji muzycznej J. Schuberta, wydanej w Lipsku r. 1860.

Hetman obok muzyki poświęcał się także literaturze: pisał poezje, satyry i bajki, które wychodziły bądź w Słonimie, z założonej przezeń drukarni, bądź też w Warszawie. Zamek swój w Słonimie uczynił punktem zbornym wszystkich słynnych artystów, literatów i w ogólności ludzi znakomitych. Tam miał własną orkiestrę, w której niemal codziennie sam grywał pierwsze skrzypce, lub solowe utwory i koncerty z jej towarzyszeniem, przy licznem gronie miłośników muzyki.

Intonację miał czystą, smyczek płynny i śpiewny. Solowe koncerty grywał zwykle z pamięci; ulubiony jego repertuar, wiadomy mi z tradycji, stanowiły utwory następujące: 2-gi koncert Rodego D-mol, z pięknym polonezem na końcu; 22, 24 i 28 koncerty Viottego; 2-gi koncert Kreutzera D-dur; Warjacje G-dur Rodego; koncert Lamotego; koncert Hofmeistra. Grywał także z upodobaniem kwartety Haydna, Beethovena i Boceriniego.

Posiadał dwoje skrzypiec drogocennych Stradivariusa; jedne z nich dostały się potem znakomitemu wirtuozowi, Lafontowi, który na nich po całej Europie dawał z powodzeniem koncerty.

Hetman Ogiński, jako brat przyrodni dziada mojego, Stanisława Jelskiego, często odwiedzał go w majętności jego, będącej dzisiaj w mojem posiadaniu, Dudziczach, od których dobra jego rodowe, dwa obszerne klucze, Dukorski i Smiłowicki, tylko o trzy mile były odległe. Raz bawiąc u dziadostwa moich w gościnie, ofiarował im poloneza swego utworu. Polonez ten, jako pamiątka drogocenna, z poszanowaniem przechowuje się w domu naszym; a ponieważ aż dotąd nigdzie nie był wydany, więc w obawie, ażeby z czasem nie zaginął, oddaję go na pożytek ogółu, z dołączeniem niniejszego wspomnienia o jego twórcy.

Hetman, jak mi ś. p. ojciec opowiadał, był niezmiernie w towarzystwie miły i ożywiony; z sympatyczną powierzchownością łączył wyższe zalety umysłowe; z charakteru łagodny, czuły, stworzony był raczej na poetę, artystę, filantropa, niż na hetmana; był też prawdziwym dobrodziejem sług swoich i poddanych.

Podczas sejmu czteroletniego należał do stronnictwa postępowego. W r. 1792 złożył buławę; na kilka lat przed śmiercią sprzedał dobra Dukorskie i Smiłowickie i zamieszkał w Warszawie, gdzie r. 1800 życie zakończył. Zwłoki jego spoczęły na Powązkach.

Michał Jelski,

Przyszłość.

Przyszłość — księga zamknięta. Kto w niej zechce [czytać,
Podchodzi: klamra, zda się, do otwarcia łatwa...
Czytasz, idzie, jak z kłębka: nic się tam nie gmatwa,
Na wszystko jest odpowiedź — trzeba tylko pytać...

Czytam: promienna wizja nagle mi się jawi,
Strojna we wszystkie blaski różnobarwnej tęczy,
Nachyla się nademną i skronie mi wieńczy
W dyjadem i cudownie — rozkoszną baśń prawi...

I, jak to bywa w baśni, me życie się toczy
Pośród blasków i woni... O, śnie mój uroczy!

Ziść mi wszystko, co piękne, co kochania warte...
Prędzej!... Ot już się droga otwiera przedemną...
Co to? to moja droga?.. Jak pusto, jak ciemno!...
Widać, czytając księgę, złą wybrałem kartę...

Henryk Rygier.

„PARWENJUSZE."

Sztuka w 4-ch aktach.

(Fragment.)

AKT II.—SCENA I.

(Duża izba bielona, kanapa staroświecka duży piec, na oknach kwiaty w doniczkach. Umeblowanie proste. **Wrzoskowa** *kładzie przy stole kabałę.* **Burakowa,** *ubrana po chłopsku, stoi przy niej, patrząc na karty. Dwoje drzwi.)*

Burakowa. Cóż paniusiu? Jakże tam ono jest?

Wrzoskowa. Znowu to samo. Przy damie żołędnej król czerwienny, raz na prawo, to znowu na lewo, ale zawsze w pobliżu.

Burakowa. Toć nie mój synek, bo Walek to paniusia mówili, że król dzwonkowy.

Wrzoskowa. W tem właśnie cała bieda! Zawsze koło Helenki król czerwienny! Czy skaranie! Widzicie sami, że kładę już po raz trzeci. Coś w tem jest. I dobrze przetasowałam.

Burakowa. Oj paniusiu, moja paniusiu! Wy tak dobrze znacie się na kartach, powiedzcie co to znaczy? Czy może, nie daj Chryste Panie *(żegna się)* Walek mój umrze, a córka paniusi drugi raz za mąż wyjdzie, niby za tego czerwiennego?

Wrzoskowa. Uchowaj Boże! Tego kabała nie mówi. Karta dobra, widzicie... ani asa, ani dziesiątki winnej, śmierci niema. To tak nie przymierzając, jakby to wam powiedzieć, jak gdyby Burakowski wyjechał, a kto inny przybył tu do domu i... nie nie rozumiem, dziesiątka i walet czerwienny i as w dodatku... to jakby miłość czy co? ale chyba nie. Jakaś niewyraźna karta.

Burakowa. Ja się przyznam paniusi, że w waszą kabałę wierzę. Toście raz w kartach wyczytali, że syn wasz przyjedzie i rychtyk na drugi dzień przyjechał, albo że panna Sabinka za mąż pójdzie i ot zaraz jakoś potem Pytelski się oświadczył.

Wrzoskowa. Karty to tak, albo zgadną, albo nie. Ja tam kładę, bom przywykła, ale znowu nie wszystko się sprawdza. Bywa czasem, że tak, czarno na białem, to można wtedy wierzyć, ale znowu czasem to jak na złość, ni to ni owo, ot jak teraz. Bo widzicie Burakowa, to tak niby wypadło, że Helenka będzie miała jakiegoś kawalera, a to przecież śmieszne, boć ona ma męża.

Burakowa. A czy to proszę paniusi nie bywały już takie rzeczy na świecie. Oho! nieraz ja słyszałam, że kobieta ma męża a... I sama też widziałam już nieraz. Pewnikiem coś złego się przytrafi.

Wrzoskowa. Gadanie jak w gorączce. Cóż znowu! Helenka kocha swego męża i jest uczciwą kobietą. Także! Czyżby ona wyszła była za waszego syna, gdyby mu nie sprzyjała. Karty się zbałamuciły, a wam Bóg wie jakie myśli przychodzą do głowy.

Burakowa. Nie gniewajcie się paniusiu. Ja sobie prosta kobieta, niedaleko widzę, ale znowu na co ta kabała takie rzeczy pokazuje... to nie bez kozery.

Wrzoskowa. Mówię wam: karty się zbałamuciły. Pociągnę jeszcze raz, ostatni, obaczycie że będzie inaczej.

Burakowa. Ciągnijcie serce paniusiu jeszcze raz, niech ja się rzetelnej prawdy dowiem.

Wrzoskowa. *(Tasuje karty i zaczyna je układać, po chwili zbiera je i wstaje.)* Nie, już dzisiaj nie będę.

Burakowa *(która patrzyła uważnie, podpiera głowę na ręku i wzdycha).* Znowu tak samo. Wasza córka i jakiś obcy.

Wrzoskowa. Pójdźcie lepiej Burakowa do kuchni i dowiedzcie się, czy samowar już kipi. Pewnie zaraz wstanie pan Karol, a i Burakowski z miasteczka przyjedzie.

Burakowa *(całuje w rękę Wrzoskową).* Proszę was paniusiu nie gniewajcie się, jeżeli mi jakie niepotrzebne słowo z ust wyszło. Alić widzicie, ja matka, kocham mojego Walusia, to mi tak markotno się zrobiło.

Wrzoskowa. No, no, już dobrze. Zakrzątnijcie się koło samowara, już czas. *(Burakowa wzdychając odchodzi.)* Dziwna kabała! Zawsze jedno i to samo, ten król, ten król, ktoby to był? *(po chwili).* A niechajby sobie przyjechał!...

SCENA II.

Karol *(ubrany z pewną elegancją, wchodzi przeciągając się i ziewając).* Cóż tam mamo? Herbata jest?

Wrzoskowa. Zaraz będzie. No, jakże ci się spało, może kto przeszkodził.

Karol. Spałem, jak zwykle, mocno, bo cóżbym tu robił innego. Tfu! Co za dziura przeklęta. Żebym po całych dniach nie spał, tobym doprawdy umarł chyba z nudów. Do nikogo słowa przemówić po ludzku. Już to mama nie wiem, gdzie miała rozum, żeby Helenkę wepchnąć w taką chamską sferę?

Wrzoskowa. Karolu! Czyż nie widzisz, że teraz mamy przynajmniej dach nad sobą, że mamy co jeść, a cóżbyśmy robiły obie z Helenką, gdyby był się Burakowski nie trafił.

Karol. Znalazłby się kto inny, czemu nie. A pamięta mama, ilu się to koło Helenki kręciło, jak tylko wyszła z pensji.

Wrzoskowa. Kręciło się ich, kręciło, ale cóż z tego, kiedy żaden na serjo nie myślał. Czuli wszyscy biedę. Trafił się uczciwy człowiek, w którym odrazu poznałam szczere zamiary, tom mu córkę oddała, i byłabym go jeszcze w rękę ucałowała. Cóż ty myślisz Karolu, to była dla twojej siostry niespodziewanie dobra partja. Burakowski zamożny człowiek i ciągle się dorabia.

Karol. Ależ mama zawsze zapomina, że to chłop, prosty, nieokrzesany chłop.

Wrzoskowa. Przesadzasz. Czy chłop, czy nie chłop, kto o tem wie, nieprawdaż? Burakowski takież dobre nazwisko, jak i każde inne. Że nie kończył nauk, tak jak ty, to nie jego wina, ale za to zawdzięcza obecne swoje położenie pracy rąk własnych. Może się nikomu nie kłaniać, dostatek jest, czegóż chcesz?

Karol. Nie rozumiem, jak można mieć tak mało ambicji! Mama zupełnie nie ma ambicji, gdy ją tu nie razi. Dosyć starej Burakowej! Śliczny egzemplarz, cha! cha! cha!... Szczęście, że obcy biorą ją za służącą, czy kucharkę. Mama pana Burakowskiego, cha, cha, cha, w chusteczce, boso... cha, cha. Sama jedna starczy za całą genealogję.

Wrzoskowa. Kto ją tu widzi. Siedzi po całych dniach przy piecu w kuchni i pierze drze lub pilnuje dziewek przy mleczywie. *(Wchodzi Burakowa, niosąc z trudnością ciężki samowar.)*

SCENA III.

Burakowa. Niech paniuńcia zaparzą herbaty, to panicz się napije.

Karol *(zakłada ręce pod poły surduta i, przystępując do Burakowej, mówi drwiąco).* Że też wam, moja kobieto, chce się jeszcze dźwigać taki ciężar. Hanka, czy tam która inna mogłaby was wyręczyć.

Burakowa. Mój dobry paniczku, póki mam ździebło sił, to pracuję, nie chcę darmo chleba jeść.

Karol. I zresztą to nie wypada. Jesteście przecież matką pana Burakowskiego, powinniście o tem pamiętać, czcigodna pani Burakowska!

Burakowa. Niech też panicz ze starej nie żartuje Ja żadna pani Burakowska. Nieboszczyk mój, świeć Panie nad jego duszą, był Burak, i ja do śmierci Burakową się ostanę. Wolno Walusiowi, bo on już inny człowiek, niech się tam sobie przezywa jak zechce. To jego rzecz, nie moja. Ja sobie prosta kobieta i wstydu z tego nie mam, żem chłopka i wdowa po chłopie. Co wypada, a co nie, tego nie wiem, bo mnie tego nikt nie uczył, ale to wiem, że syn mnie przygarnął, że mnie karmi, to jak mogę staram się mu być pożyteczną. Do pracy nawykłam.

Karol. Moglibyście choć strój zmienić.

Burakowa. I tego, mój miły paniczku, nie zrobię. Niewiele mi dni pozostało na tym świecie, niech mię przynajmniej zakopią w świętej ziemi w takich sukniach, jakie całe życie nosiłam.

Karol. Możecie kiedy mojemu szwagrowi wstydu narobić. Niechby kto z panów was zobaczył i dowiedział się, żeście matka Walentego.

Burakowa. To rzecz Walusia. Każe mi odejść, to odejdę.

Karol *(wybucha śmiechem).* A to mi się podoba! Słowo daję wspaniałe, kolosalne! Co za zgadzanie się z losem, *(przedrzeźniając)* każe odejść, to odejdę.

Wrzoskowa. Mój Karolu, dziwnie jesteś niewyrozumiały. Rażą cię rzeczy tak proste. Kobiecisko przywykło całe życie do pracy, a przytem matka!

Burakowa. Oj tak, tak, paniuńciu serce, ja matka, toż muszę kochać mojego synka, choć on teraz niby już nie mój, odmienił się, ale to syn zawsze, com go własną piersią wykarmiła.

Wrzoskowa *(stawia przed Karolem szklankę herbaty).* No masz herbatę. Siadaj.

Karol *(siada, smaruje chleb masłem i zaczyna jeść).* W tej dziurze przeklętej przynajmniej odżywię się trochę.

Henryk Piątkowski.

BUSINESS.

— *Business?* Co to jest *business?*

Do niedawna wyraz ten słyszeliśmy bardzo rzadko.

Z mglistych wybrzeży Albionu, od czasu do czasu, w przerwie pomiędzy nazwiskami Tyndallów, Millów, Spencerów, Darwinów, Thakerayów, Dickensów, Jonesów, Rosettich, Ruskinów, Morrisów, dolatywał nas ów wyraz: *business* i brzmiał tak dziko!

Ale zmieniły się czasy.

Dzisiaj *business before all* — *business* przedewszystkiem!

Nie z wybrzeży mglistego Albjonu, z których zwykliśmy byli czerpać okruchy trzeźwości i zastanowienia, dobiegło nas to hasło, lecz z owego dalekiego kraju, co oderwawszy się od macierzy, utworzył państwo dolara, wszechmocnego dolara, jak go nazwał Washington Irving.

Znaliśmy humbug amerykański i dentystów amekańskich. Dzisiaj rozbrzmiewa wszędzie *business* amerykański.

Pojawił się na widowni równocześnie z nazwiskami Gouldów, Vanderbildów, Carnegich, Rockefellerów, Gatesów, Morganów, Astorów.

Echo huku dział z pod Santjago i Manili, które wstrząsnęło atmosferą całego świata, zagrzmiało tym wyrazem.

Zaprzągł się świat do niego.

Nawet dyplomacja, owa ugrzeczniona, wyfrakowana, ślizgająca się po lustrzanych taflach posadzek, zawsze uśmiechnięta, dobrze wychowana dyplomacja, co uważała za szczyt artyzmu pisać groźby pod postacią wonnych bilecików miłosnych, zmieniła system pod wpływem *businessu.*

Elegancja ustąpiła miejsca kupieckiej trzeźwości. Język francuski, w którym *je* pisze się przez małą literę, a *Vous* przez wielką; język tak giętki, wyrafinowany, gadatliwy, że można w nim wiele mówić, nic nie powiedziawszy—cofa się dziś przed językiem sportu, marynarki i dumy narodowej; językiem, co nakazuje pisać I (ja) zawsze przez wielką literę, a *you* (pan, wy) przez małą, co daje pierwszeństwo treści przed formą.

Oględnie, grzecznie, ale zwięźle, stanowczo, bez osłonek stylowych pisze się dziś noty dyplomatyczne.

Dziś nota dyplomatyczna, to tranzakcja handlowa.

Tak *business* każe.

New York Herald nazwał *exposé* ministra skarbu Wittego w sprawie niemieckiej taryfy celnej wymownym dowodem zastosowania metod amerykańskich na gruncie europejskim. Bo na dokument taki niema odpowiedzi innej, chyba wykonanie tego, czego żąda, lub zgodzenie się na skutki odmowy.

To się nazywa *business.*

Wchodzimy do baru amerykańskiego.

— Dziękuję, nie piję!—odzywa się jeden z grona, nieznający jeszcze etykiety i etyki amerykańskiej.

— To weź cygaro, napij się wody sodowej; odmówić nie wypada.

— Dlaczego?

— Bo psujesz *business* właścicielowi baru.

I choćby dziesięć kolejek było, żaden z grona nie odmówi. Jeżeli nie używa trunków alkoholicznych, to wyładuje kieszeń cygarami, lub napełni żołądek wodą sodową, bo—nie godzi się pozbawiać zarobku bliźniego, co piwo toczy, psuć mu *businessu.* Wszak on z tego żyje.

Nadchodzą wybory. Agitatorowie stronnictw nie szczędzą trudu i kosztów, by pozyskać jaknajwiększą liczbę głosów. Na estradach sal publicznych przemawiają mówcy polityczni.

Oto jeden.

Ochrypł już, ale jeszcze krzyczy. Wymachuje rękoma, rzuca się, drwi z przeciwników, wymyśla im od łotrów i anarchistów, zalewa się niemal łzami na samą myśl, że mogliby dojść kiedykolwiek do władzy. W swojem stronnictwie widzi doskonałość absolutną. Krwiożerczy jest i groźny.

Znam go, jako człowieka zwykle spokojnego, filistra, lubiącego dobre cygaro, szklankę piwa i ognisko domowe.

— Zkąd ci się wzięła ta wściekłość, ta energja?—pytam.

177

Jeszcze w r. 1880 ukazały się dwie osobno wydane nowelle, na tytule których znajdował się pseudonim autorski: Hajota. Jedna miała napis „Dla sławy,“ druga—„Pięciolistny bez.“ W roku bieżącym sześć nowel, tymże pseudonimem zaopatrzonych, wyszło razem

Nie jest to już żadną tajemnicą, że wyszły one z pod pióra nie autora, lecz autorki. Trudno jednakże utrzymywać, ażeby wiadomość ta dała się zdobyć z rozpatrywania utworów Hajoty, bo gdybyśmy panującą we wszystkich niemal jéj nowellach uczuciowość chcieli użyć za dowód kobiecego ich pochodzenia, toby nam natychmiast przytoczono dobrze znane nazwiska nowellistów—mężczyzn, którzy w daleko wyższym stopniu uczuciowość w swych kreacyach uwydatniają. A gdybyśmy styl trochę rozwlekły, trochę za gadatliwy zechcieli poczytywać za znak niewątpliwéj kobiecości, to znów powołanoby się na nazwiska innych powieściopisarzy, zwięzłością i jędrnością stylu nie grzeszących. Opisywanie zaś nieudatne i nie odznaczające się prawdą hulanek kawalerskich może dowodzić zarówno, że autor nie obserwował tego co opisuje, jak nie mniéj, że swoich obserwacyj nie umie artystycznie spożytkować. Szczególnéj i wyjątkowéj znajomości serca kobiecego także nie widać w nowellach Hajoty; to co ona mówi o uczuciowych tajemnicach niewieścich, nie raz i nie dwa powiedzieli już powieściopisarze mężczyzni.

I podobno cechą-to jest najważniejszą talentu Hajoty, że, jak dotychczas nie ma on cech sobie właściwych, że nader łatwo ulega wpływowi silniejszych od siebie a spółczesnych uzdolnień, że z wirtuozyą niemałą przybiera ton i nastrój obcy. Opowiadania z życia biednych ludzi pisane przez Bolesława Prusa zrobiły wrażenie na czytelnikach wogóle; nic więc dziwnego, że się na czułéj i delikatnéj wyobraźni nowellistki odbiły silniéj i wyraźniéj, a zarazem pobudziły ją do czynności w tym samym kierunku. Autorka nie znała wprawdzie, a co większa nie odczuwała tak silnie smutków życia wyrobniczego jak Prus, ale artystycznie zrozumiała wartość takiego tematu i... napisała dwie nowelle: „Dzień zaduszny Adamka“ i „Dzwonek.“ Sposób przedstawienia w nich takiż, jak u Prusa; pewien przedmiotowy niby spokój, unikanie wszelkiéj patetyczności, pozostawienie swobody wylewania łez czytelnikowi bez ich wyciskania gwałtem. Forma tedy zachowana na pozór w zupełności. Nie brak téż i treści smutnéj. Dziecko-sierota spragnione uśmiechu, pocałunku, możności wymawiania imienia matki; stróż mieszkający w bramie, którego żona schorowana potrzebuje spokoju i ciepłego powietrza, gdy tymczasem goście z hałasem na bal do gospodarza się zjeżdżają: to są temata, mogące istotnie wywołać głębsze wzruszenie. A jednak w nowellach Hajoty one go nie wywołują. Dla czego? Może dla tego najprzód, że jest w nich pewien fałsz psychologiczny, a jeżeli nie fałsz, to brak uzasadnienia obserwacyi faktu prawdziwego. Zarówno ów sierota Adamek, jak stróż i jego żona to istoty ze zbyt wydelikaconemi nerwami, istoty, które nie tak często w warstwie przez

Atheneum. Chmielowski

autorkę opisywanéj znajdujemy. Ciężkie warunki życia, hartowanie nerwów wśród różnorodnych upokorzeń i prywacyj zabezpiecza po większéj części ludzi tych od katastrof, będących częstszemi tam, gdzie życie wygodniejsze, a swoboda dogadzania swym chęciom czy kaprysom łatwiejsza i częstsza. Lecz owe osoby mogły być wyjątkami. Nie myślę utrzymywać, żeby wyjątki nie miały prawa istnienia w powieści lub nowelli, i żeby nie mogły wywołać równie silnego wzruszenia jak osoby w normalnych występujące warunkach. Czytelnik jednak musi znać przyczyny téj wyjątkowości, musi wiedzieć, że to nie kaprys autorski zrobił je tak nerwowemi, lecz że one innemi być nie mogły w rzeczywistości. Hajota takiego umotywowania nie podała, nie zagłębiła się w dusze swych bohaterów: stąd uczucia ich wydają się wyszukanemi, egzaltowanemi. A obok tego błędu psychologicznego jest w tych nowellach błąd artystyczny. U Prusa pod pozornym spokojem i chłodem kryje się drżące od wzruszenia spółczucie dla biednych i nieszczęśliwych. U Hajoty spółczucie jest także i to uwidocznione bardziéj aniżeli u Prusa, ale uwidocznione tak jak się wypowiadają słowa politowania nad strasznym losem nieznanych nam ludzi o sto mil od nas; — spółczucie to chłodne, jakby wymuszone obowiązkiem... nowelistycznym.

Obrazki Orzeszkowéj „*Z różnych sfer*“ mogły dać Hajocie powód do napisania nie nowelli, ale obrazków p. n. „W porę,“ „Nasza lampa.“ W pierwszym widzimy starego kawalera i starą pannę, znających się już od lat niepamiętnych, którzy do siebie tak przywykli, iż przepędzenie wieczoru bez gawędki, herbatki i gry w szachy uważali niemal za niemożliwe. Choroba starego kawalera, podczas któréj stara panna wycierpiała męki straszliwe, nie mogąc go mieć u siebie i nie mogąc pójść do niego, nasunęła im myśl, że łączność ich przywyknień tyloletnią znajomością ugruntowana usposabiała ich na małżonków, że żyjąc pod jednym dachem, nie byliby już nigdy narażeni na niewidywanie się w skutek choroby. Marzyli słodko przez chwilę, ale opatrzyli się w porę. Dotychczasowe ich stosunki ograniczały się zazwyczaj do pory wieczornéj, kiedy pili herbatę, grali w szachy i gawędzili. Gdy mieli zamieszkać pod wspólnym dachem wystąpiły na jaw różne drobne kwestye. Stary kawaler lubił dalekie przechadzki, stara panna nigdyby nie zaszła piechotą do ogrodu Botanicznego, p. Teodozy wolał mieszkać od frontu i na dole, panna Róża—w oficynie i na piętrze. Najważniejszą atoli okazała się kwestya godziny obiadowéj. P. Teodozy jako urzędnik jadał obiad o 3-éj, panna Róża, nie mająca żadnych zajęć obowiązkowych, obiadowała punkt o 1-éj, a gdyby o téj godzinie nie zjadła, nie miałaby już najmniejszego apetytu. Chciał tę trudność ułatwić p.

Teodozy przez roszowanie jak w szachach: kawę przenieść na miejsce obiadu, obiad na miejsce kawy, ale okazało się, że panna Róża, gdy zje co przed obiadem, również traci apetyt i obiadu już jeść nie może. Powstała sprzeczka, z początku spokojna, potem coraz żywsza, aż nareszcie p. Teodozy powiedział, że panna Róża jest samolubna, a panna Róża panu Teodozemu, że wyrządza jéj impertynencyę we własnym jéj domu. „A to to tak—zawołał Teodozy zrywając się z krzesła,—to to tak!—powtórzył i chwycił za kapelusz. W moim własnym domu!—ciągnął daléj, szukając gorączkowo rękawiczek, które mu się gdzieś jak na złość zapodziały. Panna Róża mi swoim domem zaczyna oczy wykłuwać! To znaczy, że ja tu za często przychodzę, to znaczy, że moja obecność jest natrętną! O! poprawię się! poprawię! może być panna Róża pewną. Nauka nie pójdzie w las. Jestem impertynent, bardzo pięknie, bardzo pięknie, a ponieważ nerwowe damy nie powinny mieć do czynienia z impertynentami, więc upadam do nóg, moje uszanowanie! I z temi słowy pan Teodozy wyszedł z pokoju, zamknąwszy drzwi głośniéj, niż tego obluzowana klamka wymagała.“ Rozstali się—ale nie na długo. Długoletnie przywyknienie silniejszém było od chwilowego rozdrażnienia, zatęsknili do wspólnéj herbatki, gawędki i gry w szachy, zeszli się znowu, tylko myśl o zamieszkaniu pod wspólnym dachem zarzucili na zawsze. Obrazek ten jest rzeczywiście bardzo udatny; uczucie głębsze było tu zbyteczném, autorka chłodno patrząc na swoje figury i odtwarzając ich zewnętrzne kontury, spełniła w zupełności artystyczne zadanie. Drugi obrazek „Nasza lampa,“ w któréj uczucie odgrywa rolę ważniejszą, o wiele mniéj zadawalnia. Młode małżeństwo żyje w schludném ubóstwie, przez czas jakiś kocha się gorąco, bo się pobrało z miłości; z czasem jednak żona zapragnęła bogactw i uciekła z tym, co je mógł przed nią roztoczyć; mąż odchorował ten cios, w czasie choroby jego sprzęty gdzieś poznikały, a wraz z niemi jedyny bogatszy i ozdobniejszy: lampa. Po wielu latach ujrzał jak ją sprzedawano na licytacyi, kupił i zatrzymał jako pamiątkę chwil szczęśliwych.

Nowella „Wachlarz“, mająca swe pierwowzory we francuskiéj głównie powieści, ma charakter bardziéj kosmopolityczny; ze zmianą nazw miejscowości równie dobrze we Francyi jak w Anglii możnaby treść w niéj zawartą pomieścić. Postać kokietki, mszczącéj się za zawód w pierwszém swém uczuciu doznany, postać młodzieńca o rozwiniętym umyśle a miękkiéj woli nie przedstawiają nic nowego w belletrystyce. A jednakże opowiadanie czyta się z zajęciem. Forma dobrze odpowiadająca treści, skupiająca w szczupłych stosunkowo rozmiarach wiele przejść i zmian wewnętrznych sprawia, że czy-

telnik nie uczuwa znużenia. Młodzieniec, co był mamiony miłością kokietki, opowiada swoję historyą temu, który się obecnie z nią żenić zamierza, a który wszelkie doskonałości w niéj widzi. Przez ciąg opowiadania ani jeden ani drugi nie domyślają się, że losy ich około téj samej zeszły się kobiety; dopiero wachlarz pamiątkowy odkrywa narzeczonemu słowo zagadki. Śmierć nieszczęśliwego kochanka, zerwanie z narzeczoną, która w dwa lata potém wyszła za milionowego przemysłowca, stanowią finał nowelli. Autoepicznemu sposobowi opowiadania téż same można zrobić zarzuty co i u Hodiego, ale zresztą przeciw zewnętrznemu prawdopodobieństwu autorka nie wykracza.

„Szkice kąpielowe“ wreszcie są utworem pisanym według staréj przed-trzydziestoletniéj co najmniéj metody. Częste mieszanie się autorki do spraw osób, o których opowiada, przemowy do czytelnika, tworzenie figur maryonetkowych, umyślnie na to, ażeby śmieszyły, styl brawurowy: oto cechy najważniejsze. Pomysłowości, świeżości spostrzeżeń nie ma prawie wcale; wszystko się rozwija według już oddawna używanego szablonu. Sadzenie się na dowcip, który jakoś na zawołanie przyjść nie chce, sprawia czasami nader przykre wrażenie.

Atmosfera nowel Hajoty, z wyjątkiem „Szkiców kąpielowych“, przejęta jest smętkiem; nieszczęścia i zawody najczęściéj ją wypełniają. Inaczéj się przedstawia „Cudzoziemiec“ p. Zofii Urbanowskiéj. Tu całość przeniknięta jest dziecięcą, niemal pustą wesołością, nie dlatego żeby w treści opowiadania istniały same tylko zdarzenia szczęśliwe, sama radość i uciecha, lecz dlatego, że autorka umie nadzwyczaj swobodnie prześlizgiwać się po tragicznéj powierzchni, w głąb nie zaglądając i zawsze w rezultacie dojdzie do jakiegoś zakątka, w którym śmiech i radość panuje. Główną postacią, od któréj ta wesołość bije, rozlewając się na cały utwór, jest młoda dziewczyna wychowana na wsi, samowolna, kapryśna, nie zważająca na żadne konwenanse, rozmowna i dowcipna. Bawi ona wraz z babką u wód, zapoznaje się z leczącym się tamże Dawisonem, występuje bardzo otwarcie ze swym niepokonanym wstrętem do Niemców i z tego powodu stacza utarczki i słowne i czynne z młodzieńcem, który naumyślnie dla wypróbowania dziewczyny przedstawił się jéj jako zabity Brandeburczyk. Utarczki te dochodzą np. do tego, że dziewczyna w żartach nie dopuszczając młodzieńca do swego ogródka, wylewa nań konewkę wody, czem się wcale ani jedna ani druga strona nie dekoncertuje. Zamiłowanie zaś swobody i prostoty przyzwyczajeń objawia się między innemi w ten sposób, że dziewczyna przebrana za wieśniaczkę, wpuściwszy kury i gęsi do pilnie strzeżo-

Odcinek „Gaz. Krak.“ z d. 8 stycznia 1883.

NOTATKI LITERACKIE.

II.

[Nowelle Hajoty, Zacharyasiewicza. — Obrazki Kraszewskiego i Wilczyńskiego. — Warszawa. Paprocki. 1883—1884.]

O ile każdy paradoks miewa w sobie trochę realnej prawdy, o tyle możnaby powiedzieć, że żyjemy w erze panowania nowelli. Najbliższa przeszłość sprowadziła formalną powódź t. z. *niby*-powieści, które od pierwowzoru swego są stokroć niebezpieczniejsze dla literatury poważnej. Kształtem, charakterem i treścią bardziej ponętna, w całości pozornie łatwiejsza do wykonania, w rezultacie wymagająca nadzwyczaj — absorbuje dziś nowella coraz więcej piór, wabiąc ku sobie główny korpus czytającego ogółu.

Kiedy po dłuższem już panowaniu w krajach zachodnich, zapragnęła berła w belletrystyce polskiej, pierwsi ochotnicy, którzy się pod jej sztandar zaciągnęli, postępowali w tę służbę z pewnym pietyzmem a wypełniając sumiennie wszelkie przepisy, tworzyli rzeczy mniej lub więcej cenne a zawsze udatne utwory. Z czasem jednak i ta nowość straciła urok świeżości i powagi; na pole nowelli wkroczyła cała armia powołanych i niepowołanych a każdy z nich orać począł bez względu na swoje do tego warunki. To też od chwastów aż ćmi się w oczach, ziarna policzyć nie łatwo. Gdyby się nam jednak tej pracy podjąć przyszło, jednem z pierwszych ziarn, po którebyśmy sięgnęli, byłyby nowelle Hajoty (H. J. Boguskiej).

Treść tych opowiadań można dla ułatwienia obserwacyi różnie podzielić. Świat bowiem i skala sfer społecznych, w które nas autorka wprowadza, są obszerne; tłem głównem, kanwą dla niej jest zawsze serce ludzkie, ale ze wszystkiemi, że tak powiemy, swemi odcieniami, które mu o tyle pokrewne, o ile miłości pokrewnem bywa uczucie przyjaźni, boleści, namiętności, tęsknoty... Ton zasadniczy identyczny, ale odmienną mu barwę nadaje ręka Hajoty, poruszając najbliższe mu struny na nutę, któraby wydzwoniła dzieje jednostki lub kolizye jej z drugą, smutne lub wesołe, piękne lub wstrętne. Izolując zatem wielkie akcessorya epiczne, ograniczymy streszczenie nowell Hajoty do uwydatnienia głównych myśli autorki.

Wita nas jedna z bardzo smutnych na świecie postaci, z tych, które nań wkraczają z piętnem najfatalniejszem, bo niezawinionem a niezmytem. Podrzutek Adaś o tyle szczęśliwszy od wielu innych, że go los powierzył ludziom litościwym. Kobieta, która się nim zaopiekowała, po stracie wszystkich swoich dzieci, pokochała podrzutka serdecznie. Ale bóle z przeszłości każą jej tłumić w sobie to uczucie, nie zdradzić go nigdy przed dzieckiem. Gdy w kilka lat wedle zwyczaju swego w dzień zaduszny udała się na grób najdroższych, zatopiona w modlitwie zgubiła z oczu Adamka. Po długiem szukaniu znalazłszy go wreszcie, po raz pierwszy zaczęła po macierzyńsku tulić i pieścić ale — zapóźno. Tyloletnia duchowa gorączka przy pomocy tego wypadku, przecięła krótkie pasmo dziecięcego życia. Jeszcze tylko uprosił opiekunkę, by wieńcząc corocznie grób czworga własnych dzieci, pamiętała i o „dniu zadusznym Adamka;“ wszak go strawiła tęsknota, pragnienie tego wszystkiego, czego tylu *posiadających* ocenić nie umie, a czego nic zastąpić nie może tym, którzy *niezaznali matki*...

Jakby dla kontrastu barw posępny ten koloryt ze zmianą sceny zupełnie się rozjaśnia. Pan *Gustaw* to typ bohaterów kąpielowych, typ ludzi ubogich duchem, lekkich, bez głębszej wartości, obdarzonych jednak od natury temi warunkami, które im dają zabłysnąć w świecie, stać się słońcem skupiającem w sobie promienie towarzyskiego życia, sympatyi, jeśli nie — uwielbienia. Młodzieniec pełen nadziei, z pełną kieszenią i ze sercem pełnem chęci: dobrego ubawienia się i upolowania jakiejś pięknej, dobrej a posażnej syreny, uszczęśliwia jedno z modnych miejsc kąpielowych swą osobą.

Sypiąc pieniądzmi na wszystkie strony, dzięki kilku figlom z nader sprytną a wykwintną przeprowadzonych intrygą, staje się *heros du jour*, aby ubawiwszy drugich, z niknącym sezonem a pustką w kieszeni, w rodzinne schronić się progi. Resztę „szkiców kąpielowych“ wypełnia obrazek istnych męczarni, na jakie narażoną bywa w naszych zdrojowiskach jakakolwiek znakomitość. Najściślejsze *incognito* męża nauki, pragnącego choć parę tygodni odetchnąć w zaciszu wiejskiem, sam na sam ze swym serdecznym druhem, zostaje zdradzonem a tradycyonalne stereotypowe owacye tak go maltretują, że w kilka dni chyłkiem w ucieczce szuka ocalenia.

Do powyższych postaci należy wreszcie stróż we „Dzwonku“. Człowiek z ludu, któremu obce subtelniejsze uczucia i wrażenia ale tem głębiej odczuwający prawdziwą boleść, znajduje się właśnie w jej rozwiniętem stadyum. Umierającą żonę wedle orzeczenia lekarza, podczas krizys utrzyma przy życiu tylko największy spokój i cisza. Ale o nich właśnie ani marzyć mu wolno, jemu: biednemu stróżowi, zwłaszcza dziś, gdy „państwo bal dają!“ Kobieta o szpitalu słyszeć nie chce, trzeba więc patrzeć na jej powolną agonię wskutek szalonego tumultu, turkotu licznych pojazdów, nieustannych krzyków, nawoływań, dzwonienia pana, służby i balowych gości...

Oto naszem zdaniem w nowellach Hajoty solowe partye. Przechodzimy do duetów. Z reguły niemal bywają one miłosne, więc i tutaj brzmi ten motyw kosmopolityczny, a tak indywidualny, tak ograny a zawsze tak świeży. — „Nasza lampa“ okazuje w małych ramkach wielki dramat małżeński, w jaki każdy prawie dzień brzemienny. Pobrali się z miłości, niepomni, że może nadejść czas, w którym zignorowane prawa bytu dadzą znak życia. Niedostatek domowy tem drastyczniejszy wobec otaczającego drugich przepychu, skłania żonę do kroku niegodziwego. Porzuca ognisko rodzinne w objęciach pięknego a bogatego sąsiada. Opuszczonemu jedyną pamiątką wspólnej przeszłości pozostała: lampa. Bieda wydziera mu w końcu i ten ostatni zbytkowy przedmiot. Kiedy jednak zbieg okoliczności pozwolił mu go odzyskać, z uszczerbkiem swych najpierwszych potrzeb, wykupuje ową lampę, by całe godziny marzyć z tym jedynym świadkiem kilku chwil uśmiechu i radości, długich lat cierpień i łez...

Jeśli powyższa *niedobrana* para najwięcej zawiniła sama względem siebie, to przeciwnie *sobie* tylko zawdzięczać muszą swój spokój i zadowolenie panna Róża i pan Teodozy. „Był sobie dziad i baba“ — był sobie stary kawaler i stara panna. Oboje niemal równię

starzy, równie dobrzy, poczciwi, niewinni, naiwni. O skromnym zasobie umysłowym, nawzajem mało od świata wymagający, przez wieloletnie obcowanie, codzienne systematyczne, jednostajne przepędzanie długich godzin z niezmiennym programem — wytworzyli między sobą ogniwo silniejsze od przyjaźni: ogniwo przyzwyczajenia. Cała jego potęga ujawniła się u pierwszej w wizytach pana Teodozego. On zasłabł obłożnie, ostry język jej „najserdeczniejszych“ nie pozwalał na rewizytowanie, chociażby w tak bezpiecznym wieku, tak ciężko chorego... Dwumiesięczne jednak rozłączenie miało czas stworzyć w głowach obojga jakieś nowe, dotąd zupełnie im obce myśli. Po raz pierwszy w okolicach serca coś nieśmiele zapukało i gdy się znowu zobaczyli przyszło do... wyznania? nie; raczej chyba umowy co do wspólnego odtąd pożycia pod opieką sakramentu. Tu mógłby być koniec ale nienaturalny. Oni chociaż tak starzy, poczciwi, naiwni, musieli po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, po kilkudniowej refleksyi przyjść do przekonania, że konieczne w danym razie ustępstwa, łatwiej przyrzec niż wykonać, że małżeństwo widocznie żadnych reguł nie znosi, bo wbrew znanemu przysłowiu lepiej zrobią nie kojarząc się nigdy, aniżeli nie - „w porę“.

Essencya tego morału niemałą odegrała rolę i w życiu ostatniego Hajoty bohatera.

Młody, utalentowany literat gubi swe serce na widok pięknej Walentyny. Na wyznanie jego odpowiada ubóstwiona jednem słówkiem skreślonem na białej rękojeści wachlarza, słowem w zasadzie przychylnem ale zresztą nic nie mówiącem. Stosunek trwa długo, uszczęśliwiony wielbiciel poi się marzeniami o rajskiej przyszłości, choć trawi go zarazem pragnienie za czemś, czego określić nie umie a czego brak czuje tak głękoko. Z całą swą wiedzą psychologiczną i doświadczeniem stoi bezsilny w obec nierozwiązalnej zagadki, jaką jest dlań jego ideał. Ta kobieta kochająca go a tak zimna, wiążąca go do siebie a tak znów obojętna... Kiedy zaś zmęczony, ostatnich sił dobył na rozcięcie gordyjskiego węzła, przekonuje się, że był niczem innem jak ofiarą wyrafinowanej kokietki, która go sobie obrała za przedmiot do zemsty za swoją krzywdę, swój zawód w miłości. Straszny ten cios zabija go na duchu a ciało robi pastwą długoletniej agonii. — Smutnych tych dziejów pamiątką pozostał dla biednego Eugeniusza ów wachlarz dziwnem zrządzeniem losu w jego ręce oddany. Zainterpelowany raz przez przyjaciela, dla czego nad nim widocznie dumał, po pewnej wewnętrznej walce robi przed nim spowiedź swego życia a umierając przekazuje mu tę ostatnią pamiątkę. Wzruszony przyjaciel udaje się do swej ukochanej narzeczonej, by otrząsnąć się z doznanych wrażeń przy trupie Eugeniusza i dobywa wachlarza, by powtórzyć jego koleje, gdy ta, którą on miał za bóstwo, które jeśli miało jakie wady i dziwić mogło nieraz swem postępowaniem, to zdaniem jego chyba o tyle, o ile anioł przez ułomnego śmiertelnika zrozumianym być nie może; ta kobieta będąca całem jego wymarzonem szczęściem, szczęściem jakim tylokrotnie się poił patrząc na nieszczęścia drugich, ta kobieta ze spokojnem tylko zdziwieniem zapytuje go: Zkąd pan masz *mój* wachlarz?...

T. Z.

(Dokończenie nastąpi).

Józefa“, „Polowanie na kaczki“, Wyczółkowskiego, „Chrystus w grobie“, Guyskiego, „Popiersie mężczyzny“ z marmuru kararyjskiego.

Koncert. Z powodu środowego wieczorku w Kole literacko-artystycznem, koncert państwa Sąchockich odbędzie się w piątek d. 11-go b. m. — a nie jak zapowiedziano — 9-go b, m. Pani Ewelina Sąchocka, dawała tu przed dwoma laty koncert, wówczas jeszcze jako panna Syrwid i pozostawiła jak najlepsze wspomnienia u miłośników muzyki. W przejeździe z mężem swym na występy do Moskwy — zamierza dać tu tylko jeden koncert, z czego niezawodnie publiczność nasza skorzysta. Pan Sąchocki występywał również u nas przed trzema laty; posiada głos barytonowy i dobrą szkołę.

Hrabia Dienheim Sczawiński Brochocki przesłał rodzinie zmarłego Henryka Martin żywe współczucie z powodu tak bolesnej poniesionej straty. To odezwanie się jego dla wielkiego męża patryoty i znakomitego historyka francuskiego uczynił Brochocki nie tylko w imieniu własnem lecz i w imieniu wszystkich emigrantów polskich zamieszkałych we Włoszech.

„Święta sprawa wolności ludów — mówi p. Brochocki straciła w osobie zmarłego najlepszego przyjaciela i najwaleczniejszego obrońcę. Uczucia te są podzielane w całej Polsce, gdzie nazwisko H. Martin jest powszechnie znane i poważane, a kiedy te uczucia nie mogły być objawiane publicznie, nie są mniej szczere i prawdziwe“.

Wystawa artykułów pożywienia otwartą została w Wiedniu w niedzielę dnia 6 b. m. Na wystawie tej reprezentowanem jest wszystko, co wchodzi w zakres gastronomii. Najsilniej jednak — jak nam donoszą — obsadzoną jest wystawa win i likierów, pierników i ciast, mięsiw i ryb. Cesarz i arcyksiążęta, bawiący w Wiedniu, zwiedzili już wystawę w dniu jej otwarcia;

dziawszy rok w śledztwie, odbył następnie karę 10-letniego więzienia. Wyszedłszy z więzienia pisywał wierszyki i realizował rozmaite pomysły, najwymowniej świadczące o umysłowej aberacyi.

W czasie kiedy jeszcze wykonywał adwokaturę, wszedł z kilkoma osobami w spółkę asekuracyjną na przeżycie i miał to szczęście, że przeżył wszystkich wspólników, a przeto zakład ubezpieczeń na życie w Pradze przysyłał mu do ostatniej chwili 2000 złr. rocznie jako dożywotnią rentę.

Z czasów rozkwitu jego talentu do pieniactwa, z r. 1858, można przypomnieć moment, że gdy p. S. zarzucił, iż wydane przez Suchorowskiego komedyjki i gramatyka polska są plagiatami popełnionemi na niejakim drze T., a gdy z drugiej strony Suchorowski zawarł z p. H. przedsiębiorcą czyszczenia kloak, kontrakt o nakład i wydawnictwo wszystkich dzieł swoich, i gdy p. H. wycofał się z kontraktu z plagiatorem, on Suchorowski wytoczył panu S. proces o odszkodowanie w sumie 150.000 złr.

W ostatnich latach Suchorowski, który większą połowę życia przewegetował w murach więziennych (45 lat), stał się figurą brukową, która od czasu do czasu imię swoje przypominała ludziom w druku i na afiszach. Wydawał piosnki, ogłaszał na rogach ulic wiersze na cześć cesarza z rozmaitych okazyj — czasami popisywał się talentem muzycznym swoim, grając w kościele na chórze na skrzypcach — w ogóle był człowiekiem niezwykłym.

Ludwik Kossuth odebrał w dniu swych urodzin od niejakiego pana Szakmarry cztery butelki tokaju w prezencie z r. 1811. Dziękując za ten prezent, pisze temi słowy: „Szanowny Panie! Chcąc mi dać dowód swej przyjacielskiej życzliwości, przysłałeś mi na 81 rocznicę mych urodzin cztery butelki tokaju z r. 1811, podarek to prawdziwie królewski; nazywam go obra-

Odcinek „Gaz. Krak." z d. 9 stycznia 1883.

NOTATKI LITERACKIE.

II.

[Nowelle Hajoty, Zacharyasiewicza. — Obrazki Kraszewskiego i Wilczyńskiego. — Warszawa. Paprocki. 1883—1884.]

2 (Dokończenie).

Z dotychczasowej syntezy utworów Hajoty przejdziemy do analizy. Co trudniejszem: tworzenie czy krytyka? zapewne krytyka. To jednak wiemy, że jeśli Hajota „budowała" myśmy tę budowę rozebrali, by ją niebawem złożyć w miniaturę, a wróciwszy do oryginału, ocenić jego szczegóły i całość; czyli na syntezę autorki odpowiadamy syntezą podwójną i podwójną analizą.

Najpopłatniejszą dziś monetą krytyczną bywa zarzut braku tendencyi — to też nie minął on i Hajoty. Naszem zdaniem obok polityczno-społecznej ma prawo stanąć tendencya etyczna a Hajota rezygnując z pierwszej, tem sowiciej uwydatniła drugą. Dowodem: karykatura wygórowanej w złotej młodzieży ambicyi, nieuleczalnego u „galicyanów" krzykactwa i talentu do wzajemnej adoracyi, napiętnowanie spaczonego życia wskutek chorobliwej namiętności, wreszcie lekkomyślności, słabości charakteru, chwiejności moralnego gruntu. Jeśli tendencya owa co do doniosłości ustępuje Orzeszkowej, Konopnickiej, Morzkowskiej, jeśli nie ściga pierwszorzędnych kwestyi socyalnych — nie traci na znaczeniu w swoim zakresie: dramatów rodzinnych i towarzyskich komedyj.

Hajota nie odwzorowuje typów, bo nie pisze powieści, lecz kreśli nowelle, więzami estetyki słabo skrępowane, rzuca szkice scen choćby wyjątkowo („Dzień zaduszny", "Dzwonek") naturze podpatrzonych, niemniej prawdziwych. Naturalizm Hajocie rzeczywiście obcy ale nie jasność, konkretność wyrażeń, nie siła plastycznego obrazowania („W porę") nie realizm w szlachetnym stylu.

Rozbierane przez nas nowelle, to czwarta Hajoty praca*). Między niemi widoczna jest różnica, widoczny ciągły postęp ale widoczne zarazem pewne jeszcze braki, których zniknięcie zadaniem czasu, innemi słowy: bogatszego doświadczenia. Mogłyż bowiem one dotyczyć formy? Wykwintność jej nawet dziś jest już tylko obowiązkiem. Budowy? Ta prawdziwie misterną bywa *(Wachlarz - Szkice)*. Pozostaje: psychologiczna perspektywa, konsekwencya akcyi i charakterów i tu — skoro chodzi o achillesową część naszych nowell — ją odnajdujemy. Odnajdujemy ją w rażącej dysharmonii, jaką się dostrzega przy głębszej rozwadze między Klarą autorki a Klarą-Walentyną Eugeniusza; w bardzo niekonsekwentnem przedstawieniu wdowca po kilkunastu latach *(Nasza lampa)* a niemniej nieprawdopodobnem stróża w „Dzwonku", wreszcie w zbyt pessymistycznem skarykaturowaniu młodego pokolenia *(Szkice)*.

Zapuściwszy głębiej skalpel skrupulatnej analizy w niejednem jeszcze miejscu natrafilibyśmy na przesadę, nienaturalność, szablony — lecz to wszystko nie zepsułoby ogólnego wrażenia, które z nowell Hajoty odnosimy nader miłem, korzystnem.

To ogólne wrażenie nie wskazałoby nam na miejsce, jakie się Hajocie należy między współczesnemi nowelistkami ale wskazałoby nam na kierunek, w jakim podążyć winna, by takowe kiedyś zająć. Ile głów tyle zwykło być zdań. Nie dziw więc, że i w tym względzie ozwały się różne opinie Zoilów. W każdym razie nie zgadzamy się z tym, który doradzał Hajocie dalszą pracę w stylu „Dzwonka". Obrazek ten wprawdzie najbardziej odpowiada dzisiejszemu kierunkowi w nowelistyce, ale też najbardziej chroma na brak *prawdy*, która jest dziś konieczną nawet dla — belletrysty. Prawdy życiowej zaś w swój utwór nie wleje autor, nie odda sztuką, jeśli się nie czuje w swej sferze myśli, w swoim żywiole. Taką zaś przedstawia się nam Hajota we „Wachlachlarzu" i tego rodzaju obrazy wychodzą z pod jej pióra najlepiej. Bo piękna forma i styl mimo piętna myśli wolny od wszelkich refleksyi, dyalog pełen życia i werwy, uczucia lub humoru; naturalność w rozwijaniu akcyi i utrzymywaniu jej na piedestalu prawdziwego zajęcia, nakoniec wdzięk pióra, który niby tajemnym urokiem otacza nowelle Hajoty — wszystko to sprzyja fotografiom życia „salonowego" ale nie wystarcza na inne. Jak zaś Asnyka nazwano *salonów poetą*, tak mybyśmy Hajotę nazwali *nowellistką salonów*; dwa słowa ale starczą za długą charakterystykę. Konkludujemy: arena salonowa winna pozostać dla Hajoty polem do popisu, jeśli się zgadza że zasadą, że lepiej być pierwszą w swej sferze, niż w cudzej może — ostatnią.

*) Narcyzy Ewuni 1879. Bez pięciolistny 1880. Dla sławy 1880.

Dziełko Hajoty rozpoczęło serya nowell, w której ciągu ukazały się prace Żacharyasiewicza, Wilczyńskiego i Kraszewskiego. Prace to nowe ale autorowie ich zbyt znani, byśmy się nad nimi szczegółowo mieli zastanawiać. Wydanie, o jakiem mowa, tem się odznacza, iż w skład jego weszły same utwory drobniejsze, dotąd rozsypane po różnych współczesnych lub dawnych czasopismach, kalendarzach i dziennikach, które z jasnych powodów nie dla każdego były dostępne, usuwały się z pod krytycznej kontroli i utrudniały tym sposobem objęcie całokształtu działalności danego autora. Dlatego za szczęśliwą myśl uznajemy podobne kollektywne edycye zwłaszcza, jeśli chodzi o rzeczy tak doborowe, jak Obrazki *Zacharyasiewicza*. Mamy ich tu pięć a wszystkie czyta się nader mile, z prawdziwem zajęciem, dzięki niepospolitej naturalności w opowiadaniu, rozlanemu w nich wszędzie ciepłu a przedewszystkiem smętnej wesołości, która jest jakby szczególnym przywilejem pióra Zacharyasiewicza.

Żadne inne, naszem zdaniem, tego daru w takim stopniu nie posiada. Ten dar śmiechu przez łzy lub odwrotnie sprawia, iż wszystkie niemal opowiadania Zacharyasiewicza wypadają szczególnie w sympatycznym półtonie liryczno-humorystycznym. Nakoniec opowiadania te odznaczają się opracowaniem, co nie o każdym autorze można powtórzyć, np. o *Wilczyńskim*. W ostatnich czasach pisano o nim kilkakrotnie i obszerniej; jedni reflektując na prawdziwy humor angielski, zastanawiali się, o ile rzekomy humorysta w „Kłopotach starego komendanta" jest nim w rzeczywistości; drudzy starali się udowodnić w pracach Wilczyńskiego tendencyą ku karykaturze; jedni się nad nim unosili, drudzy dziwili się jego nagłej popularności od lat niewielu — wszyscy jednak zgadzają się w jednem, iż utwory Wilczyńskiego są nader różnej wartości, że są między niemi rzeczy dobre ale i nader słabe, o których więcej na razie trudno rozstrzygnąć. Leżące przed nami „Humoreski" tylko stwierdzają powyższą ostatnią opinię; świadczą, iż ich autor, wpadłszy w wir tworzenia, zapomniał nieraz o obowiązkach skrupulatnego powieściopisarza-estetyka, a ulegając okolicznościom, zmieniał swe dłuto rzeźbiarza-artysty na młot rzemieślnika. Ta ujemna cecha „Humoresek" Wilczyńskiego występuje tem wybitniej, im

więcej się ich bezpośrednio po sobie przeczyta.

Działające w nich żywioły prawie zawsze te same; terenem akcyi prawie zawsze ten sam światek pół-mieszczański, pół-szlachecki; postacie przeważnie szablonowe już dawno i nieraz przez czytelnika gdzieś widziane; obywatel w kłopotach, mąż pod pantoflem, żyd-pijawka, „goły“ kancelista, panna-gąska, Herod-żona — oto zodyak bohaterów Wilczyńskiego. Krótko mówiąc, autor nasz zeszedł od pewnego czasu na pole pospolitych gawęd, które może się dadzą łatwo czytać, ale nie odpowiadają tej skali wymagań, jaką do prac autora „Kłopotów starego komendanta“ i „Na manowcach“ przykładać mamy prawo.

Z omawianego zbioru dziesięciu obrazków przed innymi celują: *Skarb Andrzeja i Kasztaniarka*. W pierwszym trafnie uchwycone są niektóre rysy naszego ludu, w drugim oddany z prawdą fragment z życia żydówki, typu galicyjskich kasztaniarek. Te dwa flamandzkie szkice przewyższają swą wartością całe swe otoczenie.

Zupełnie inny stosunek części do całości zachodzi w „Mozajce“ Kraszewskiego. Sam tytuł mówi, iż książka składa z większej liczby różnorodnych powiastek, ale wszystkie kamyki tej mozajki oszlifowane z tą samą starannością przez tę samą tak pewną siebie a tak ulubioną, mistrzowską rękę.

Ponieważ wszystkie powyższe dzieła wyszły nakładem księgarni Paprockiego, wspomnieć się godzi jeszcze o dwóch peryodycznych publikacyach tejże samej nader czynnej i inteligentnie prowadzonej warszawskiej firmy. Mamy na myśli „Złotą przędzę“ i „Wiadomości bibliograficzne“. — „*Złota przędza*“ jest rodzajem antologii naszych poetów i prozaików, ale zaćmiewa wszystkie dotychczasowe w tym rodzaju publikacye rozmiarami, układem i treścią. Każdemu autorowi towarzyszą starannie notatki bio-bibliograficzne a całe pojedyncze okresy zamyka ogólny pogląd jednego z kompetentnych współczesnych literatów; słowem dzieło to dobrze do końca doprowadzone, może nam stworzyć bardzo pożądany a brakujący dotąd praktyczny kurs polskiej literatury. Chcąc go uczynić ile możności wyczerpującym, wydawca nie ograniczył z góry ram publikacyi, ale co miesiąc wydaje 5-arkuszowe zeszyty w dużej 8-ce, których dwanaście z końcem roku tworzy jeden tom. Powiedzieliśmy, że antologia ta z innemi nie koliduje, bo jedne z nich jak „Lira polska“ mają na oku przedewszystkiem wygodę czytelnika, inne jak lwowskie luksusowe antologie więcej ozdobę salonu; „Złota przędza“ łączy piękne z pożytecznem. O wartości „*Wiadomości bibliograficznych*“ zbytecznem będzie się rozwodzić. Osądzić je ten tylko może, kto się z niemi w praktyce spotyka. Nieocenioną w nich rzeczą jest głównie dział bibliograficzny *treści czasopism;* rzeczowo, nader skrupulatnie i umiejętnie prowadzony. W każdem studyum ułatwia on pracę ogromnie a jak potrzebnem choć żmudnem jest sporządzanie podobnych indeksów, mamy dowód w pracach Estreichera, których kilka jest poświęconych tylko temu kierunkowi. Mnóstwo ciekawych i cennych artykułów ginie niespostrzeżonych w powodzi efemerycznej publicystyki. Dlatego pożądanem byłoby, by „Przewodnik bibliograficzny“ krakowski na wzór warszawskich „Wiadomości“ zaprowadził w swych łamach podobną rubrykę ze względu na czasopisma i dzienniki galicyjskie, które w warszawskiej publikacyi muszą być pominięte.

T. Z.

KONIEC.

---

panów Sobiesława i Szymańskiego, tudzież pana Arwina (tłómacza tej sztuki) i panny Disterlo zyskały uznanie.

† **Leon Heggenberger**, obywatel m. Krakowa przeżywszy lat 70 umarł dnia 8 b. m.

Lampy gazowe nie świeciły się wczoraj a mianowicie lampa Nr. 230 na Małym Rynku o godz. 7$^{3}/_{4}$ wieczór i lampa Nr. 102 w ulicy grodzkiej w nocy. — W ogóle zauważyliśmy oprócz tego, że płomienie gazowe coraz więcej zbliżają się do wielkości płomieni łojówek. Czyżby szanowne tow. Dessauskie miało na względzie, by trochę jaśniejsze światło nie psuło wzroku mieszkańcom Krakowa?

„**Cennik monet i medali**“ Nr 7 (Rocz. III) wydawany przez M. Kurnatowskiego wraz z dwiema tablicami monet nieznanych i medali, ukazał się i zawiera dużo nowych i cennych rzeczy. Znajdujemy w nim także zapowiedź pisma jedynego w Polsce numizmatycznego pod tytułem „Zapiski numizmatyczne, które mają zacząć wychodzić z d. 1 lipca b. r. Numizmatyka polska, znajdująca coraz szersze koło lubowników, nie miała dotychczas swego specyalnego pisma; dawał się też uczuć wielki brak takowego, pomimo że inne kraje mają tak wielką ilość podobnych wydawnictw.

„**Przeglądu literackiego i artystycznego**“ (Nr. 24) zawiera: „Dwie“, wiersz Hajoty — „Dwie wizyty Jego Ekscelencyi“ przez Michała Bałuckiego. (Dokończenie). — „Z jesiennych myśli“, wiersz Edm. Rossowskiego. — Klasycyzm i romantyzm przez S. M. (Dokończenie). — Cesarska biblioteka publiczna w Petersburgu. — Przegląd literacki, Przegląd artystyczny. — Z teatru przez Z. A. — Echa muzyczne z Wiednia przez Maurycego Siebera. (Dokończenie). — Drobne wiadomości literackie i artystyczne. — Odcinek: Kronika przez K. B.

„Echa muzyczne z Wiednia“ p. Maurycego Siebera, jakie się pokazały w ostatnich dwóch numerach „Przeglądu“, zawierają sumienny rozbiór i ocenę wystawionej po raz pierwszy w Wiedniu (w październiku z. r.) opery Wagnera „Trystan w okamgnieniu i w oczach funkcyonaryuszów pocztowych. Wszelkie poszukiwania okazały się nadaremne, a nadzieja, że owa kaseta wysłaną została wypadkowo w innym niewłaściwym kierunku, okazała według ostatnich wiadomości płonną. Władze rozwinęły jak największą energię. Wszyscy urzędnicy przy sobotniej ekspedycyi zostali przesłuchani.

Demonstracya. W Wiedniu zebrało się dnia 7 b. m. około 1.500 robotników koło dworca kolei zachodniej (Elżbiety) w celu powitania jednego z kolegów, który powracał do Wiednia po odbyciu kary więziennej za zbrodnię stanu. Gdy od kilku dni krążyły pogłoski o zamierzonych demonstracyach robotników, a nadto zarządy zakładów przemysłowych otrzymały listy z pogróżkami, więc policya uważała za stosowne zarządzić środki ostrożności na wielką skalę. Cała wolna od służby straż policyjna przybyła na miejsce z prezydentem policyi, a prócz tego batalion piechoty. Kawalerya była skonsygnowaną w koszarach, a fabryk strzegła pilnie policya. Przyszło tylko do utarczki ze strażą policyjną, na którą robotnicy przez chwilę rzucali kamieniami, poczem oddalili się śpiewając pieśni socyalistyczne.

W noc św. Sylwestra siedziało w pewnej restauracyi w Bregencyi już późno kilkanaście osób, gdy nagle nastąpiła straszna detonacya; światła w sali pogasły a obecni przerażeni ujrzeli się pogrążonymi w zupełnej ciemności. Gdy przyniesiono światło, przedstawił się okropny obraz. W pokoju stał szewc Joachim Einsle z rozszarpanemi sukniami, z obdartą skórą na rękach i nogach; mięso oddzieliło się w niektórych miejscach od kości. Posadzka w sali była wskróś przebita, szyby w oknach potłuczone, sufit obleciał częściowo z tynku, a rzeczy wszystkie porozrzucane w nieładzie. Prócz tego nieszczęśliwego, uszkodzeni byli jeszcze 3 parobcy i córka gospodarza. Przyczyną nieszczęścia była lekkomyślność Einslego, który, według panującego w Bregencyi niedorzecznego zwyczaju, no-

117 deputowanych, a unioniści 305, czyli, ry p. Hamille'a. Nie wybrano go, ale uła- budzone apetyty jednych, zatrwożone inte- no na 40,208 hektarach.

PRZEGLĄD LITERACKI.

„Jak cień,“ *przez* **Hajotę.** *Warszawa, u Gebethnera i Wolffa. 1895.*

Nietylko zbrodnia i występek ścigają zaciekle winowajcę, ale często uprzedzenie i przesąd prześladują zawzięcie niewinnego, za winy niepopełnione lub cudze. Jak cień idą one za nim gdziekolwiek się ruszy, wyciskają piętno niedoli na jego życiu, niweczą jego zamiary, paraliżują prace, a wreszcie łamią i druzgoczą życie. I nic nie pomoże walka z przesądami i uprzedzeniami, bo one zagnieździły się tak głęboko w umysłach ludzkich, że ani rozum, ani nawet etyka chrześciańska, wyprzeć ich ztamtąd nie zdoła. Zazwyczaj ich racya bytu opiera się na szeregu smutnych doświadczeń, wywołanych temi samemi okolicznościami, skutkiem czego ogół, nie dopuszczając wyjątków, nabrał przekonania, że następstwa złowrogie są bezwzględnie nieubłaganą ich konsekwencyą.

Jednem z najbardziej zakorzenionych uprzedzeń są tak zw. mezalianse małżeńskie, nietyle rodowe, ile etyczne i społeczne. Pewne zawody, położenia, niezależnie od wewnętrznej wartości spełniających je osobników, wiążą się z uprzedzeniem do nich, a na śmiałków, co im odważnie rzucają rękawicę, ściągają, jeżeli nie potępienie ogółu, to przynajmniej ów cień złowieszczy, który, niby duch Banka, kroczy za nimi wszędzie.

Przed takim cieniem uciekł aż na zachodni brzeg afrykański Nils, Gabryel Oskar Aderskield, syn starej i zamożnej rodziny szwedzkiej, młodzieniec pełen najświetniejszych nadziei. Spotkał on na drodze swego życia przepiękną Karinę, gwiazdę jednego z większych cyrków i zapałał do niej całą potęgą młodzieńczego i szlachetnego uczucia. Karina, w niczem niepodobna do swoich koleżanek, przez niecnych rodziców poświęcona temu zawodowi, była i pozostała dziewczyną czystą. Ni otoczenie, ni najróżnorodniejsze pokusy, ni nawet namowy potwornych rodziców, nie zdołały sprowadzić jej z uczciwej drogi. Taką poznał i pokochał ją Oskar. Wyrwać tę lilię z pośród cyrkowych chwastów, wprowadzić ją we właściwe otoczenie, postawić przy swoim boku, jako kapłankę ogniska rodzinnego, uznał on nietylko za szlachetne zadanie, ale i za powinność swego serca. Urągając przeto wszelkim uprzedzeniom, Oskar poślubił b. ekwilibrystkę. Następstwem tego kroku było zerwanie z rodziną i z dawnemi stosunkami. Początkowo urągał całemu światu, miłość ukochanej starczyła mu za wszystko, a gdy jeszcze zakwilił w kolebce istny aniołek, Hilda, szczęście jego nie miało granic. A jednak robak niedoli zaczął powoli wgryzać się do jego serca. Nie dla siebie potrzebował ludzi, nie jego raniły ich uprzedzenia, ale pragnął żonę widzieć czczoną i uznaną, pragnął z jej alabastrowego czoła spędzić chmurę obawy, ażali owo wykolejenie nie zaciąży w przyszłości na jego życiu. Więc postanowił rzucić ten stary, przesądny świat, usłać gniazdo rodzinne hen, daleko, w nowych warunkach, pracy i szczęściu poświęcić najpiękniejsze lata życia, a gdy kiedyś powróci do dawnych ludzi bogaty i dumny, wówczas rzuci ich do jej stóp, zdruzgocze uprzedzenia i zmusi złożyć hołd prawdziwej cnocie.

I oto dlaczego Oskar znalazł się na Fernando Po. Pracował przez dwa blisko lata. Cudów niemal dokonał. Dla ukochanej wybudował pałacyk. Nieopodal przygotował obszerną plantacyę kakao, która będzie źródłem jego majątku. Przyszła więc chwila, kiedy mógł osadzić ubóstwianą żonę i córkę w tym raju ziemskim. Po dwóch latach rozłąki przybywają one z Europy uśmiechnięte, szczęśliwe, aby odtąd dzielić z nim nieprzerwane pasmo pociech i rozkoszy! Upojeni radością, oboje nie dostrzegają złowrogiego cienia niedoli, który podążył za nimi nawet tutaj, za ocean, w te dzikie ustronie, gdzie wszystko zdawało się im uśmiechać nadzieją.

Do Fernando Po przybywa także w charakterze gubernatora la Rocha, znany rozpustnik madrycki, ktoremu można rodzina wyrobiła to odległe stanowisko, aby go uchylić od odpowiedzialności za różne niecne wybryki. Natura to nawskróś podła i wyuzdana, nie znająca żadnego hamulca, hołdująca wyłącznie najniższym instynktom i chuciom. Niegdyś ujrzał on Karinę w cyrku i postanowił ją posiąść za jakąbądź cenę, ale szlachetna dziewczyna odtrąciła ze wstrętem jego zabiegi. Opór podniecił tylko zawziętość nikczemnika, który poruszał wszystkie sprężyny, aby dopiąć celu. Wtedy to Karina znikła mu nagle z oczu, po to, aby stanąć przed nim oparta na ramieniu Oskara podczas urzędowego przyjęcia w gubernatorskiej siedzibie. Krew zakipiała w żyłach la Rochy. Nawpół przygasła żądza odezwała się w nim znowu, tym razem ze zdwojoną siłą. Co mu się wymknęło niegdyś, otrzyma dzisiaj, on, wszechwładny pan na Fernando Po, mający na swoje usługi różnych zbirów, no, i oną czerń murzyńską, z której ukuje broń do złamania cnoty Kariny. Na Oskara, który o niczem nie wie, poczynają się walić nieszczęścia. Langoszczycy, których wynajął do roboty w plantacyi, buntują mu się w chwili, kiedy ma zbierać pierwszy plon. Zbiór, co mu miał przynieść pierwszy zysk, idzie na marne. Nie dosyć na tem, zbuntowani, uzuchwaleni pobłażliwością gubernatora i jego urzędników, podpalają pałacyk. Oskarowi z trudnością udaje się wyratować żonę i córkę z płomieni. Przerażenie sprowadza na ukochaną dziecinę ciężką chorobę, która powoli niszczy jej wątłe siły. Nie dosyć na tem, la Rocha, widząc, że nie zdoła nagiąć Kariny do swoich potwornych zamiarów, porywa ją gwałtem. Oskar odnajduje ją wprawdzie nawpół żywą, lecz obłąkaną, zachowującą jedynie wspomnienia z dawnego zawodu cyrkowego. Śmierć wreszcie zlitowała się nad Kariną i Hildą. Oskar, ułożywszy obie do wiecznego spoczynku, idzie sam w świat daleki, złamany i skamieniały z bólu, „Nie chcę już—pisze on w pożegnalnym liście do przyjaciela — przywiązywać się do niczego, co umiera, co ginie. Idę szukać, co wieczne: nędzy i cierpień ludzkich, te ukocham, tym służyć będę.“

Oto szkielet, na którym pani Hajota osnuła swoją powieść. Należy przyznać, że pobyt na Fernando Po nie został bez wpływu na talent naszej autorki. Nie mówimy już o tem, że dał jej tło tak barwne, rozmaite i tak dziwnie nadające się do silnych efektów, ale co ważniejsza, że natchnął ją męską siłą i jędrnością. Wszystkie płody pióra Hajoty, od tego czasu, świadczą o ustawicznym rozwoju jej talentu, tak, że obecnie śmiało zaliczyć ją możemy do pierwszorzędnych naszych powieściopisarek. Owionął ją tylko jakiś przygnębiający smutek, który udzielić się musiał i utworom. Zdawałoby się czasami, że autorka sili się na arcy-tragiczne i smętne efekta, ale tak nie jest, tylko jej postacie noszą w sobie zbolałe dusze lub grzęzną w odmęcie okolicznościowej niedoli. Oskar, Karina, Hilda, a nawet Ulla, niańka, mają na sobie to piętno smutku, który w miarę piętrzących się przeciwności i nieszczęść, poprostu szarpie serce czytelnika. A jednak czuć, że to są osoby żywe, psychologicznie prawdziwe, że autorka umiała się wedrzeć do głębi tych nieszczęsnych dusz i podpatrzeć ogrom ich wewnętrznej i zewnętrznej niedoli. Oskar nie jest jakimś sentymentalnym bohaterem, ale naturą podniosłą, szlachetną i dzielną. Walczy do ostatka, broni się nieszczęściu, a gdy wreszcie zwaliło go z nóg, zdobywa się jeszcze na tyle siły, aby resztę skołatanego żywota poświęcić umiłowaniu „nędzy i cierpień ludzkich.“ Karina znowu, to piękny typ niewieści, rozmiłowany w mężu nietylko dlatego, że ją ukochał i wybrał z pomiędzy innych, ale że ją kosztem swego wykolejonego życia odkupić usiłuje. Za nią to kroczy ów cień przeszłości, ona go przeczuwa tuż, tuż przy sobie i dlatego, gdy grom niedoli uderza w ukochanego i nad życie drogą dziecinę, ona woła z głębi na szmaty rwącego się serca: „To przezemnie!... przezemnie!... przezemnie!..“ Jedno słowo skargi nie wydziera się z jej ust, przeciwnie, znosi swoją dolę z rezygnacyą i otuchą, że jej cierpienie okupi niedolę ukochanych.

Jest jeszcze jedna postać, która pani Hajocie udała się doskonale... pies Vero. Psychologia zwierząt przedstawia najwięcej trudności i trzeba rzeczywiście posiadać zupełnie odrębną intuicyę, popartą naturalnie niepospolitym zmysłem spostrzegawczym, aby uduchownić, że się tak wyrazimy, naturę zwierzęcą. Oprócz Wodzickiego, mistrza nad mistrzami, celuje także Dygasiński w sztuce odtwarzania postaci zwierzęcych. Któż całą duszą nie przylgnął do onej poczciwej psiny w „Anielce“ Prusa? Otóż p. Hajota dowiodła nam, że i w tym kierunku posiada talent niezaprzeczony. Jej Vero, chudy, pokryty strupami, jak drugi Cerber, zaciekle strzegący zgliszcz dawnej siedziby Alderskieldów i wreszcie na kupie gruzów ostatnie oddający tchnienie, jest uosobieniem wierności i do łez wzrusza czytelnika.

Zdarzało się nam spotykać ze zdaniem, że podzwrotnikowa przyroda tyle przed pisarzem rozpościera bogactw, iż przenieść mu ją na papier nietrudno. Nie godzimy się zupełnie na to, przeciwnie, ów nadmiar bogactwa stanowi dla autora szkopuł niemały, jeżeli chce czytelnikowi dać obraz rzeczywisty lub przynajmniej zbliżony do rzeczywistości. Potrzeba na to nietylko umiejętnej obserwacyi, odczucia i zrozumienia przyrody, ale i misternej techniki pisarskiej, w przeciwnym razie, w potoku słów, w odmęcie urywanych lub nieszczerych opisów, utonie prawda, a obraz wyjdzie szaro. Pani Hajota jest pejzażystką niepospolitą, umie ona patrzeć na przyrodę i odczuć ją z plastyką wielką, tak, że mimowoli wyobraźnia nasza odtwarza sobie cały majestat rzeczywistości.

Wogóle „Jak cień“ zaliczamy do najlepszych utworów utalentowanej autorki, który we współczesnej literaturze beletrystycznej zapewni jej wybitne stanowisko.

Ch.

sprowadzać przeważnie z zachodnich Niemiec, skąd niełatwo włościanie decydują się pójść do prowincyj wschodnich.

Z początku działalność Banku o tyle była utrudnioną, że Bank musiał pozostawić na hypotekach włościańskich na dłuższe lata (15–20 lat) resztę szacunku, niezapłaconego gotówką przez kupującego. Obecnie udzielają rządowe komisye generalne pożyczki, tak, iż Bank Ziemski niejako tylko pośredniczy, przeprowadzając regulacyę hypoteki i wszelkie formalności parcelacyjne.

Rządowa komisya generalna w dobrych z Bankiem Ziemskim pozostaje stośunkach, ponieważ uznaje w nim tendencyę postawienia nowonabywców włościan materyalnie w jak najkorzystniejszych warunkach, nad czem właśnie komisye generalne czuwać mają.

Dzięki tym okolicznościom, Bank Ziemski z zyskiem parcelacyę przeprowadzić może, a zysk ten mógłby nawet być poważny, gdyby nie miano głównie na względzie interesu nowonabywców.

W ostatnim roku działalność Banku Ziemskiego zmniejszyła się, przeprowadzono bowiem tylko parcelacyę około 660 hektarów, które 41 nabywcom sprzedane zostały za 495,500 marek. Zmniejszenie działalności jest skutkiem braku kapitału. Interesów parcelacyjnych nie braknie, ale Bankowi braknie funduszów na rozwinięcie większej działalności. W przewidywaniu tej potrzeby uchwalono wprawdzie podwyższenie kapitału zakładowego o 800,000 m. z $1\frac{1}{5}$ na 2 miliony, ale subskrypcya idzie bardzo słabo, bo Poznańskie jest ubogie w kapitalistów większych, którzyby w subskrypcyi akcyj po 1,000 marek znaczniejszy mogli wziąść udział. Jest tam wiele drobnych, ale mało większych kapitałów. Gdyby kapitały się nie znalazły, Bank musiałby ograniczyć się w dobroczynnej działalności swojej.

Z dzienników rosyjskich.

× **Śmierć Stambułowa.** Przytaczamy tu głosy dzienników rosyjskich z powodu zbrodni, jaką popełniono na osobie Stambułowa.

„St.-Pet. Wied." piszą: „Z burzliwego horyzontu życia politycznego na półwyspie

jaki tą drogą O. Prokop wywierał, pobieżnie są traktowane. Natomiast spotykamy sumiennie zebrane szczegóły z życia. Więc najpierw stosunki rodzinne Leszczyńskich, młodość Jana, życie w świecie, powołanie zakonne, a wreszcie główną część poświęcił autor pracom w klasztorze. Istotnie, kart tych niepodobna czytać bez głębokiego wzruszenia, na widok tej pokory, uległości, zaparcia się siebie, bezustannych trudów, przechodzącej niemal ludzkie siły pracy, jaką się odznacza cała działalność Ojca Prokopa. W oświetleniu tych szczegółów, widocznie przez samego autora doskonale obserwowanych i bodaj czy nie wspólnie przeżytych, wyrasta ten ubożuchny zakonnik, zazwyczaj w podartym habicie, na tytana służby Bogu i bliźnim. Kto osobiście nie poznał Ojca Prokopa, ten z samych kartek nowej książki pojmie ten urok, jaki roztaczał, ten wpływ głęboki, jaki wywierał, ten czar, jeżeli tak powiedzieć można, za pośrednictwem którego za sobą do doskonałości chrześciańskiej porywał. Autorowi więc należy się słowo podzięki, że nam tę postać czcigodną i powszechnie uwielbianą na stronnicach swojej książki wskrzesił.

Ch.

— **„Zorza"** rozpoczęła druk świeżo zatwierdzonej i ogłoszonej normalnej „Ustawy dla towarzystw kas pożyczkowo-wkładowych." Jak wiadomo, ustawa ta ma na względzie zawieranie podobnych towarzystw po wsiach, gminach i miasteczkach; kasy te mogą zakładać zgromadzenia gminne lub wioskowe, albo nawet spółki prywatne. Zadaniem kas ma być przyjmowanie wkładów, udzielanie pożyczek na weksle i zastawy zboża, narzędzi, oraz wyrobów rzemieślniczych i przemysłu domowego, a także robienie zakupów narzędzi, nasion i t. d. dla ogółu danej miejscowości.

Podając tekst powyższej ustawy, „Zorza" jednocześnie zapowiedziała objaśnienie swych czytelników, jak z tej ustawy należy i można korzystać, jak się starać o zatwierdzenie ustaw dla towarzystw danych miejscowości i jak powinny być organizowane podobne towarzystwa, ażeby oddawały ogółowi te korzyści, jakie podobne instytucye oddają społeczeństwom zagranicznym.

— **Pierwszy medal** na konkursie półrocznym szkoły sztuk pięknych w Paryżu za rysunek podług wzoru gipsowego przyznano p. Landowskiemu.

— **Alchimowicz**, profesor rysunku w kolegium w Perpignan, otrzymał na wystawie w Narbonne medal złoty za trzy umieszczone na niej obrazy.

najściślejszem całej tej tak przykrej sprawy.

Dochodzi nas z boku wiadomość, że jest nadzieja odzyskania pewnej części sprzeniewierzonej sumy.

Jak nas poinformowano, Kosowski (który zbiegł), jest ofiarą uprawianego od dwu lat na giełdzie warszawskiej ażyotażu. Wciągnięty przez spekulantów w grę giełdową, Kosowski stracił na spekulacyi nietylko własne fundusze, ale i sumę sprzeniewierzoną z kasy Towarzystwa. Oby ta katastrofa była przestrogą dla wszystkich, co dali się już złowić w nastawione na nich sidła spekulantów kijowskich i warszawskich.

— **Place nalewkowskie.** Nowy termin publicznej sprzedaży placów, położonych przy zbiegu ulic Długiej i Nalewki, po b. warsztatach artyleryjskich, od ogólnej sumy rs. 330,000, wyznaczony został na dzień 9-go sierpnia roku bieżącego.

— **Loterya.** Wczoraj w warszawskim kantorze Banku państwa ułożono nową listę kolektorów loteryi Królestwa Polskiego. Obecnie będzie 928 kolektorów, t. j. o 63 więcej aniżeli dotąd. Skutkiem tego 23 kolektorom postanowiono dawać do sprzedaży mniejszą ilość losów, aniżeli dotychczas.

— **Próby z reflektorami elektycznemi** dokonane przez inżynieryę wojskową, znowu się rozpoczęły. Reflektory rzucają światło na olbrzymią przestrzeń tak, że promień ich światła, rzucany z okolic dworca kolei nadwiślańskiej pod Cytadelą wśród nocy, prawie blaskiem dziennym oświetla wieże i kopuły kościelne oraz szczyty wyższych domów do placu Teatralnego. W roku przeszłym o tej porze, aż do późnej jesieni próby z reflektorami elektrycznemi odbywały się na wieży ciśnień stacyi filtrów na Koszykach. Wówczas też zmieniano zwykłe światło elektryczne na kolorowe do sygnałów optycznych, widocznych daleko aż po prawej stronie Wisły.

— **Wodociągi warszawskie.** Podług kontroli zarządu wodociągowego, w ciągu r. z. ułożono w mieście nowych rur wodociągowych na przestrzeni 23,209 stóp bieżących. Że zaś w latach poprzednich ułożono głównych rur wodociągowych 88,421 i bocznych 466,373 stóp bież., zatem z początkiem r. b. sieć rur wodociągów warszawskich wynosiła ogółem 554,794 stóp bież., czyli 158 wiorst rur wodociągowych, zaopatrzonych w 913 szybrów i 1,440 hydrantów pożarnych. W ciągu r. 1894 maszyny wodociągowe dostarczyły na potrzeby miasta 296,000,000 stóp kubicznych wody wiślanej, czyli przecięciowo dziennie po 811,000 stóp kub., z czego przypada na górne dzielnice miasta 71,000 stóp kub. i dolne dzielnice 100,000 stóp kub. dziennie. W tymże czasie połączono z siecią wodociągową 243 posesye, co włącznie z poprzednio połączonemi z początkiem r. b. połączonych było z wodociągami nowemi 3,481 posesyj. Podług tychże kontrol w ciągu r. z. dochód ogólny z eksploatacyi wodociągów warszawskich wynosił rs. 657,518 kop. 51 i rozchód 213,954 kop. 18, czyli, że w r. 1894 dochody z eksploatowania wodociągów

— **Ś. p. Zbigniewa Zmorska.** Onegdaj, o godzinie 5-ej popołudniu, w szpitalu na Pradze, zamknęła na zawsze powieki ś. p. Zbigniewa Zmorska, znana i uzdolniona nowelistka, której prace nieraz zwracały uwagę czytelników pism warszawskich.

Córka ś. p. Romana Zmorskiego, poety nieokiełznanej fantazyi a dużego talentu, twórcy „Lesława," który fantastycznością swoją i siłą obrazów zapalał w swoim czasie umysły naszej młodzieży, odziedziczyła po ojcu nietylko zdolności literackie, ale—niestety!—i ciernistą drogę żywota, jakiej los nie poskąpił temu poecie, otwierając przed nim grób wczesny.

Czułego i pełnego fantazyi serca córka poety, dotknięta ciężkiem kalectwem, znosiła los swój z anielskiem poddaniem się woli Bożej, bez najmniejszej skargi, znajdując w opiece ukochanej matki i w serdecznej ku niej miłości całą pociechę w trudnej i mozolnej, a obdartej z wszelkich blasków, pielgrzymce ziemskiej. I trzeba zrządzenia zawistnego losu, iż ś. p. Zbigniewa umiera nie na rękach ukochanej matki, która, sama złożona ciężką niemocą, nie mogła zamknąć oczu ubóstwianej córce.

Ś. p. Zmorska nie pozostawia zbyt obfitego dorobku literackiego, ale wśród jej nowel nie brak istotnie pięknych obrazków, a zapamiętaliśmy szczególniej jeden, drukowany w dawnej „Niwie," w którym przy fantazyi, jakby odziedziczonej po autorze „Lesława," wykazała dużo serca i uczucia. Sama litości potrzebująca, litowała się nad maluczkiemi tego świata, a ta szlachetna tkliwość była główną cechą jej obrazków.

Pisma ś. p. Zmorskiej, oprócz „Niwy," drukowały „Kłosy," „Tygodnik mód i powieści," „Wieczory rodzinne," „Przyjaciel dzieci" i inne tygodniki.

Czysta, anielska dusza, po żywocie pełnym męki, trudu i usłanym cierniami, niech spoczywa w pokoju!

J. Ł.

— **Ś. p. Stanisław Głębocki** zmarł w Opocznie, w gub. radomskiej, w d. 18 b. m., w 76 roku życia. Urodzony w Krakowie, z ojca Teodora i Anny z markizów de Ville, od lat młodocianych poświęcił się rolnictwu. Artykuły z dziedziny rolnictwa, pod pseudonimem „Starego rolnika" z Opola i Józefowa nad Wisłą, zamieszczał w różnych pismach, pomiędzy innemi także i w „Słowie." Człowiek dużych

będące dla miasta ozdobą, ale niezadawalniające dostatecznie rzeczywistej potrzeby mieszkańców. *Skwer paryski jest miejscem ochłody i przechadzki dla publiczności biedniejszej, a głównie dla starców i dzieci.* Taki skwer obsadzony jest drzewami większemi, a także ozdobnemi krzewami; są tam trawniki z kwiatami i bez kwiatów, ale znajdą się na nim ścieżki do przechadzania się i ławki dla wypoczynku. Większe skwery ukształtowane są na wzór maleńkich parków, nieraz z basenem, z pomniczkiem jakiej znakomitości i t. p., inne zaś mniejsze są raczej symetryczne. Takie spacerowe skwery nie dają okazyi do żadnych nieporządków, albowiem w nocy okalająca je dość wysoka krata jest na klucz zamykana; we dnie zaś zajmuje się policyą specyalny dozorca, rekrutujący się pomiędzy inwalidami, ludźmi statecznymi. Obowiązkiem dozorcy, który posiada wygodną budkę dla chwilowego wypoczynku, jest strzeżenie roślin od zniszczenia, przestrzeganie przyzwoitości, niedopuszczanie ludzi nieporządnie ubranych, lub będących w stanie nietrzeźwym, oraz psów, nie trzymanych na sznurku i t. p. W Warszawie dozorcami mogliby być inwalidzi ze straży ogniowej.

Skwery mogłyby mieć nawet pewien dochód z wydzierżawiania miejsca na ozdobne kioski z wodą sodową, z owocami, dziennikami; mogłyby być także do wynajęcia krzesełka dla osób, pragnących usadowić się na osobności dla czytania, dozorowania dzieci przy robótce i t. p. *Skwery są rajem dla uboższej dziatwy i dla emerytów.*

Tego rodzaju skwer bardzo właściwe miejsce znalazłby dla siebie na placu Wareckim, a cóż łatwiejszego, jak urządzić inne podobne na Zielonym placu, na Krakowskiem-Przedmieściu naprzeciwko starej poczty, na placu Grzybowskim i t. d.

Spodziewamy się, że warszawskie pisma nie dadzą upaść tej kwestyi, póki czas i dopomogą tym sposobem do zaprowadzenia u nas bardzo pożytecznej instytucyi.

Eks-paryżanin.

ECHA Z WÓD.

—o—

Krynica, 21 lipca.

Ktoś się niedawno uskarżał w „Słowie" na zanieczyszczenie Krynicy przez tłumy żydostwa niechlujnego. Krynica jednak—dodajmy—

Nasza maskarada.

I my mamy swoją maskaradę.

Gdy zapusty dobiegają do końca, a poprzez mgły jutra coraz wyraźniej zaczynają zarysowywać się kontury śledzia popielcowego, gdy ostatki zużywają resztkę karnawałowej ochoty—bierzmyż maskę na lico i urządźmy sobie „Maskaradę".

Oto długim, nieco bezładnym (jak na maskaradę przystoi) szeregiem ciągną się postaci, całej Warszawie dobrze znane. Wszystkie mają na sobie maseczki, tak przejrzyste, że każdy po chwili namysłu, uderzy wachlarzem po ramieniu postać upatrzoną i rzeknie:

— Znam cię, balamucie!

Gdyby zaś kto nie chciał sobie zadawać nawet tak drobnej pracy, jak rozpoznawanie postaci pod tak przejrzystemi znakami, niech zajrzy do dopisku, a znajdzie według numerów bieżących klucz do rozwiązania zagadek.

Dalej więc, ciągnij się dalej, łańcuchu maskaradowy, ku uciesze ostatnich dni karnawału r. 1900!

1) Z porządku alfabetu Aksela wam wskażem,
Który jest strof kunsztownych natchnionym rzeźbiarzem.

2) Zawarł „Sojusz" z Prusami i nie przegrał sprawy;
To dziwne! Bo niezawsze Prusak nam łaskawy.

3) Hej-że żwawo, sypmy brawo, oklaski, wiwaty—
Skrzypce kręci, grać ma chęci skrzypek zuch za katy!
Gra od ucha, każdy słucha pieśni zadumany...
Klaszczcie chłopcy: to nie obcy!... to nasz Stach kochany!

4) Po nim idzie z „kolei" pan W. Bogusławski,
Nasz krytyk teatralny... iście z Bożej łaski.

5) Bożydar na uboczu brząka w struny lutni —
Utnij-że nam mazura... po swojemu utnij!

6) Dzielny hrabia, znany dobrze śród sportowych kółek,
Gdyby nie on, gdzież wioślarze mieliby przytułek?

7) Redaguje feljeton, rad jeździ na łowy;
Od rana do wieczora suszy bliźnim głowy,
Gdzieby jaki otworzyć nowy a wzorowy
Przytułek noclegowy lub dom zarobkowy?

8) Chmielowski, niby chory, pisze dzieła zdrowe,
Krytyków literackich przerasta o głowę.

9) Uczy malców rysować, pędzlem władać umie,
Głośny ztąd, że mu dobrze w tureckim kostjumie.

10) Patrzcie, jak to Choiński uwieńczył swe skronie:
Naprzemiany w Tjarze chodzi—to w Koronie.

11) To Chrzanowski—najmłodszy z redaktorów grona:
Sprawił, że *Ateneum* już z głodu nie skona.

12) Ani to malarz, ani budowniczy,
Ani pedagog, chociaż Wisłę „ćwiczy".
A że ma zdolną i otwartą głowę,
Buduje domy trzy-cztero-piętrowe.

13) Czy pisze prozą? Znany jest z tego,
Że, prócz poezji, napisał „Nego".

14) Doprawdy, że się wkrótce będą bali
I. Dąbrowskiego, który nieco dalej
Właśnie się w kącie z „Śmiercią" poufali.

15) W gwiazdami haftowanej sybillińskiej szacie
Wieszczka naszej poezji kroczy—Deotyma,
A patrzcie, kogo wiedzie... czyliż go nie znacie?
A toż Jana Trzeciego prowadzi—olbrzyma.

16) Ma tuszę bardzo ładną, wzrok łagodny przytem,
Nie ujrzysz go inaczej, jak tylko z „dzirytem".

17) Ten jest kunsztmistrz prawdziwy, *homo* godzien chwały,
Z gry jego najprzedniejsze sączą się kordjały,
A gdy *faciem* wykrzywi on słynny mistrz cechu,
Trzymaj się waść za boki, bo pękniesz ze śmiechu.

18) Ukochał straż ogniową, śpiewów do-re-fa-sol;
Dziś woła: „bierzcie futro!"—a jutro „parasol!"

19) Gadomski przekonywa swoich czytelników,
Że im właśnie dodatek powiększy bez krzyków,
A za to ktoś mu rzecze: czemużeś po śmierci
Biednego Rzewuskiego pokrajał na ćwierci?...

20) Handel to „Salamandra" według tego pana,
A zaś literatura—to „Fatamorgana".

21) W teatrze wszystkim humor słodzi, a nie kwasi,
W sercach niewiast płomienie zapala, nie *gasi*.

22) Jeździ po wszelakiej sferze
Na Małeckim lub Blüthnerze.

23) Malarz, wielbiący sztukę, a w zasadach stały;
Córce dłuto rzeźbiarskie wdzięczne Muzy dały.

24) Kazimierz Gliński, w książęcą przystrojony mitrę—
W jednej ręce teorban ma, a w drugiej cytrę.

25) Z jednaką pisze werwą, choć mózgu nie suszy,
O węglu w Sosnowicach i o „Burzy" w duszy.

26) Nad losem „Zwyciężonych" Gruszecki boleje
I cichym głosem dziwne opowiada dzieje.

27) To smakosz literacki! Jest krytyki ojcem,
Niejeden talent byłby bez niego... pod kojcem.

28) Żal mi bardzo Hösicka... Chodzi tak, jak struty...
Nie wie, jaki szewc robił Chopinowi buty.

29) Wyszedł z „Zatoki Śmierci", mimo to jest wrzący,
Jak gdyby wciąż przebywał w kąpieli gorącej.

30) Wieszcz—włosów nie obcina śród lata, ni zimy,
Więc świat szepce: „snać w onych muszą siedzieć rymy".

31) Mecenas z kunsztowności swoich rymów znany,
Pewnie ma gdzie w zanadrzu... toast rymowany.

32) Wyzbyłby się elektro-inżenierskich zalet,
Gdyby o to poprosił ukochany... balet.

33) Dzielny „Kowacz" powieści i nestor pisarzy,
Pół wieku już dziełami swojemi nas darzy.

34) Świetny rysownik ten pan Antoni,
Stoi przy sztuki wysokiem haśle,
Idzie robota z pod jego dłoni
Nie jak z *kamienia*, lecz jak po maśle.

35) Nic z *karła* nie ma w sobie, grać nawet potrafi
I świeci w lingwistyce oraz etnografji.

36) Sędzia, drukarz, aptekarz, z teatrem ma spółkę,
Wszystko to jedna: trawi—jak własną pigułkę.

37) Tutaj srebrzysta głowa Keniga się chwieje.
Czołem! Spoczęły na niej prasy polskiej dzieje.

38) Dlaczego to milczenie?... Powiedz nam, Konarze,
Co się znowu z dzieł twoich niebawem ukaże?

39) Czołem, idzie poematu naszego królowa—
Konopnicka: „Tej chyba nigdy nie zwyciężem"—
Odznaczonych poetów gwarzy tłum:— Ach na cóż
Było tobie, o pani, żartować Warężem"?

40) Niejedną się nowelką w swym dorobku szczyci,
Gdy pojedzie do Łodzi, to napisze „Nici".

41) Ot, dziennikarz; wróg on chwastu,
Tęgo pisze, kocha za stu.

42) Nestor humoru daje rzeźkości dowody:
Koncept ma zawsze świeży i ołówek młody

43) W karykaturze mocny, w portrecie nie ciasny,
Złączywszy dwa rodzaje, stworzy „Portret własny".

44) Z werwą i życiem wkracza na sztuk nowych tory,
Nie dziw więc, że publiczność czyni jej *honory*.

45) Trzej jaśnie oświeceni, patrzeć na nich *lubo*:
Mir mają pośród wszystkich, są *high-life'u* chlubą.

46) Bez dąsu i zawiści żółtej bliźnich mierzy,
Radby znaleźć „aniołów", widzi „nietoperzy".

47) Z subtelnością smak łączy ta artystka rzadka,
Tworząc wytworne typy świata i półświatka.

48) *Ładnie* gra, kocha sztukę—to jego zaleta,
A tęskniąc do Szekspira, ma minę Hamleta.

49) Z sumiastym wąsem, istny brat *Łata*,
Tkwi gdzieś w fabryce na końcu świata,
A kiedy wolną pochwyci chwilę,
W „Dolinie" każdy wita go mile.

50) Bohaterka to znana w zakresie dramatu,
Jeszcze dotąd swych wszystkich nie wygrała atu.

51) Niestrudzona, napisała moc dobrych powieści,
Szkice, studja, artykuły najróżniejszej treści,
Za to też jej się należy pochlebna ocena,
Że tak dzielnie przełożyła cały tom Ibsena.

52) Filozof walny, krytyk zapalny,
Strach dramaturga, gdy go poszurga.

53) Pieśń krzewi, aby ludzie nie mogli być kwaśni,
Wielkie serce. a wzrost zaś—jak olbrzyma z baśni.

54) Dzielny wioślarz-inżenier na uboczu stoi,
Cztek to: „przyłóż do rany"—a rana się zgoi.

55) Przebrał się Matuszewski... Patrz: włoski bandyta,
„Rinaldo, dokąd pędzisz?"—ktoś z boku go pyta.
„A za „Djabłem w poezji"—odpowie—„i kwita!"

56) Aleksander mu na imię, ten wyborny grajek,
Tak Chopina grą czaruje, jak czarodziej z bajek.

57) Która gwiazda sceniczna dziś mu świeci jaśnie?
Wiek pytaj, nikt nie powie—bo to jest *Sęk* właśnie.

58) Pytają: Czemuż tyś się nie przebrał, Mirjamie?
A ten im odpowiada: „I tak każdy zna mię."
Idzie i Jaroszyński z zacną kompaniją:
— Nie dziw, gdy razem piszą... niech-że... razem piją

59) Wytrwale pałką macha, w sztuce ma swe cele,
Każdą trudność orkiestry jako *młynarz* zmiele.

60) Kiedy w Małym w farsie jakiej zobaczysz tych obu,
Choćbyś pragnął być poważnym, lecz niema sposobu;
Wszyscy z góry, patrząc na nich, śmieją się, chichoczą—
Wiwat dwa Ajaksy śmiechu! Niechże ich ozłocą!

61) Stary „Łucznik", co dźwięków obdarzał nas czarem,
Teraz pewnie w „Mazepie" napoi nektarem.

62) Wdzięki królowych balu wielki w madrygale,
Osiem nocy na tydzień nie śpi w karnawale.

63) To znakomita dawna artystka,
Warta prawdziwych laurów listka;
Kiedy ją widzisz, jak grać się stara,
Nie wkrada ci się w sztukę niewiara.

64) „Liwję Quintillę" spłodził przedziwną w harmonji.
(Nie napisze kantaty na cześć... Filharmonji).

65) „Dziennik" ci „psychologa" Ochorowicz poda;
Dzielny z niego psycholog—lecz Mohorta szkoda.

66) Serca przyjaciół zdawna leżą przed nim plackiem,
Chociaż *Sport* redaguje, zowią go wprost Wackiem.

67) Tu Parnasu naszego widzim chwałę młodą:
Oto Lange z Or-Otem pod ręce się wiodą;
Pierwszy z nich obleczony jako „szatan smutny",
Drugi—„Starego Miasta trubadur pokutny".

68) A teraz hołd gościowi: oto jest czcigodna
Pani Eliza... właśnie przyjechała z Grodna,
I miłe nam przeczucie ducha owionęło,
Że znowu nam przywiozła jakie arcydzieło.

69) „Ostro" gra każdą rolę, porusza lud wszystek,
Bo należy do dawnych i świetnych artystek.

70) Malarz i nowelista, ma przyjaciół wielu,
Choć spokojny, a zrobił raz „skandal w hotelu".

71) Kontrapunkt przez lat wiele studjował z harmonją,
Zna na wylot „musicae sacrae" polifonją.

72) Miałbym o nim przymilczeć?—a niechże Bóg broni.
Toć to znawca nastrojów—Potocki Antoni.

73) Dałby pewnie Jabłonnę i to z wielkim gustem,
Gdyby mógł, czarów losu jakimbądź dopustem,
Być Guciem jeszcze długo, a zaś nie Augustem.

74) Tutaj zaś kochanego dostrzegamy Prusa,
Królewska jego delja, bynajmniej nie kusa,
Kronikami podbita. Niech mnie kto przekona,
Że piękniejszą ukrywał skarbiec *Faraona*.

75) Tego hrabiego zaszczytną zaletą,
Że częściej mknie „karetką", niżeli karetą.

76) Pisze „stylem szampańskim"... W całej jest ozdobie,
Gdy zacznie w polemiki szermować sposobie.
Zanotował... Gdy przyjdzie sposobność, skorzysta
W odcinku pisma, dzielny nasz feljetonista.

77) Dwu Muzom wiernie służy, długi sztuki zbiegł tor,
Dobrze, że dziś artyście nie bruździ — inspektor.

78) Iż dzielnie jeżdżąc konno, ma sportsmeńskie godła,
Więc go nikt i w bankierstwie nie wysadzi z siodła.

79) A znów z drugiego wychyla się kąta
Blade, badawcze oblicze Reymonta.
Ach! właśnie Paryż myśli mu zaprząta.

80) Zręczne, zwinne, w oczach pełne ognistego błysku,
Te trzy gracje baletowe i trzy R w nazwisku.

81) Oto łyżwiarz artysta z za mgieł się wyłania,
Zapewne zaraz spyta: „nie było tu Frania?"

82) Napisał „Pajęczyny", „Hopkinsa Testament",
Czemuż dzisiaj w pogardzie ma pióro, atrament?

łego Cesarza I w d. 1 marca. | baczenie na konieczność [illegible]

183

83) Gaduły wszyskie bledną, jakby zdjęte z krzyża,
Bo oto Lucjan Rydel do nich się przybliża;
A dla nikogo chyba rzeczą nie jest tajną,
Że wieszcz ten ma w gadaniu wprawę nadzwyczajną.

84) Kroczy mistrz, który z grobu bohatery wskrzesza,
Baczność! Niechaj się przed nim rozstępuje rzesza.

85) Gdy go „Koler" ogarnie, jako osa utnie,
Antoni Sygietyński, partaczy — bicz boży,
Na prawo i na lewo zacina okrutnie,
Dopóki trwa partactwo—on bicza nie złoży.

86) W poetów i artystów uwija się tłumie
Juljan Adolf Święcicki w hiszpańskim kostjumie.

87) Smutny wzrok zatopiwszy w smętne życia karty
Rodzic *Prawdy* z obliczem kroczy zadumanem,
Znużył go, lecz nie złamał znój walki zażartej...
Zda się mówić: Nie warto walczyć już z... bałwanem.

88) Poświęciliśmy się łyżwie,
Trzech nas—każdy chwat;
Nie powiemy imion, gdyż wie
O nich cały świat.
Dwóch nas praw obojga serję
Zna i przy tem tkwi;
Trzeci bada inżenierję;
Zgadnijcie, kto my?

89) Ma talent szczery, maluje czysto,
Chociaż jest byłym impresjonistą.

90) Maluje i baluje; lecz w żupan odziany,
Z karabelą u boku—sam jak malowany.

91) Reżyser po raz wtóry, rysownik, artysta,
Ma w historji swych przodków patentów ze trzysta.

92) Przyjechawszy z Krakowa, podbił Warszawianki,
Ledwie tylko w sceniczne wstąpił tutaj szranki;
Aspiracje ma piękne, artystyczne cele,
A „Kółko miłośników" zawdzięcza mu wiele.

93) Reżyser niestrudzony, nie ma czasu chwili,
Bo jeździ ciągle szukać nowej krotochwili;
Przywiózł ją i wystawił, zebrał plonów setki
I znowu jedzie—szukać nowej operetki.

94) „Czyś mię czytał?"—tak pyta tu i owdzie *Strumień*,
„Czytałem—nie rozumiem!"
„A więc się zarumień!"

95) Tuż błyska Tetmajera twarz rozochocona,
Ale go ledwo widać z pośród kobiet grona.
Do owej się umizga, do tej „gadu, gadu",
Doprawdy: melancholji nie widzę w nim śladu.

96) Słynny Oczko, persona w medycynie znana,
Nie śmiał się, kiedy ludziom uzdrawiał organa,
Ten ci wyższy nad Oczkę: taką ma ochotę,
Że, i krająć pacjenta, prawi anegdotę.

97) Znane gościom teatralnym te dwie siostry drobne,
Z talentu i z zapału do siebie podobne;
Rzuć pytanie tej treści krytycznej osobie:
„Która lepsza z sióstr drobnych?"—odpowie ci:
„obie".

98) Choć młody, ma już szewron — i nieszablonowy:
Był pilnym sekretarzem pomnika budowy.

99) Mecenas, lecz freblówką zwać go można z racji,
Że ma setki pupilów wśród arystokracji.

100) Dwaj artyści doskonali, zawsze pełni weny,
Znają dawny repertuar i tradycje sceny,
Pomną gwiazdy, które sztuce przyświecały jaśnie,
Wobec młodszych sił ich talent nic a nic nie gaśnie.
Obaj mieli jubileusz i świetny poranek,
Ich imiona wszystkim znane: Edward i Marjanek.

101) W jednej parze: młodzieńczy, rześki, jak królewicz,
Stąpa często w Warszawie gość—Zacharyasiewicz,
Flirtujący z Hajotą; co do niej napewno
Wiemy, że afrykańską była już królewną.

102) I Zagórski wynurza się z owego grona,
Przybrany w pyszny kostjum króla Salomona.

103) Zna gęstość zaludnienia i stopień przyrostu,
Dziś ma dodać Dynasom nowego pokostu.

104) Tego znać muszą kochać na scenicznej niwie,
Bo choć krytyk *od wisku*, zwą go pieszczotliwie.

105) Ma pani Gabrjela naturalizm w cześci;
Nerwy to przeniewieście, talent nienieściesci.

106) To hrabia. Mów do niego w słodkobrzmiącej arji,
Będziesz mógł darmo jechać do Góry Kalwarji.

107) Magnat — a ma wpływ wielki we wszelakiej sferze,
Teatrowi trąb wiele przysporzył w ofierze.

108) Rany cięte, rany kłóte mają tylko w głowie;
Jeden czarny, drugi biały; obaj—Pogotowie.

109) Codzień świat polityczny niby rózgą ćwiczy,
Bismarck pewnie za grobem „Br!" na niego krzyczy.

110) O to mi artysta!... klasnę mu z ochotą.
Żelazo w nazwisku, a w talencie—złoto.

111) Muzyk pełen talentu, a i człowiek chwacki,
Dobrze, że mu natchnienia dodaje Słowacki.

112) Powieścią swą poruszył świat krytyczny cały,
Więc kruszą oń krytycy kopje dziś w kawały.

113) Artysta, co przez żonę jest teatru bliski,
Maluje sny, fantazje oraz odaliski;
Że się moda u niego nie cieszy powagą,
Bohaterki obrazów robi zwykle nago.

---

1) Aksel, 2) Sz. Askenazy, 3) Barcewicz, 4) W. Bogusławski, 5) Bożydar, 6) Ks. hr. Branicki, 7) Z. ks. Chełmicki, 8) P. Chmielowski, 9) F. Cichocki, 10) T. J.-Choiński, 11) Chrzanowski, 12) St. Ćwikiel, 13) G. Daniłowski, 14) I. Dąbrowski, 15) Deotyma, 16) A. Dobrowolski, 17) M. Frenkiel, 18) F. Fryze, 19) Gadomski, 20) Gamaston, 21) Gasiński, 22) K. Gebethner, 23) W. Gerson, 24) K. Gliński, 25) I. Grabowski, 26) Gruszecki, 27) D. Henkel, 28) F. Hösick, 29) W. Jabłonowski, 30) J. Jankowski, 31) J. K. Jasiński, 32) J. Jasiński, 33) T. T. Jeż, 34) Kamiński, 35) J. Karłowicz, 36) F. Karpiński, 37) J. Kenig, 38) Konar, 39) M. Konopnicka, 40) W. Kosiakiewicz, 41) B. Koskowski, 42) F. Kostrzewski, 43) S. Leno, 44) H. Leszczyńska, 45) ks. Lubomirscy, 46) E. Lubowski, 47) Br. Lüde, 48) B. Ładnowski, 49) inż. Łatkiewicz, 50) H. Marczello, 51) W. Marréne-Morzkowska, 52) M. Massonius, 53) P. Maszyński, 54) K. Matecki, 55) I. Matuszewski, 56) A. Michałowski, 57) A. Mieszkowski, 58) Miriam, 59) E. Młynarski, 60) Morozowicz i Sikorski, 61) A. Münchheimer, 62) Z. J. Naimski, 63) Niewiarowska, 64) Z. Noskowski, 65) J. Ochorowicz, 66) W. Orłowski, 67) Or-ot, 68) Orzeszkowa, 69) Ostrowska, 70) H. Piątkowski, 71) A. Poliński, 72) Ant. Potocki, 73) A. hr. Potocki, 74) B. Prus, 75) G. hr. Przeździecki, 76) W. Rabski, 77) Rapacki (senior), 78) J. Rawicz, 79) W. Reymont, 80) Rogińska, Rutkowska, Rządcówna, 81) Roland, 82) J. Rutkowski, 83) L. Rydel, 84) H. Sienkiewicz, 85) A. Sygietyński, 86) J. A. Święcicki, 87) A. Świętochowski, 88) E. Szönfeld, S. Patek i F. Zaręba, 89) Szpądrowski, 90) R. Szwojnicki, 91) Wł. Szymanowski, 92) J. Śliwicki, 93) L. Śliwiński, 94) „Strumień", 95) W. Tetmajer, 96) dr. T. Trzciński, 97) I. i T. Trapszówny, 98) Z. Wasilewski, 99) L. Wrotnowski, 100) Wolski i Prażmowski, 101) I. Zacharjasiewicz, 102) W. Zagórski, 103) A. Zakrzewski, 104) K. Zalewski, 105) G. Zapolska, 106) T. hr. Zamoyski, 107) M. hr. Zamoyski, 108) J. i A. Zawadzey, 109) Br. Zawadzki, 110) Żelazowski, 111) W. Żeleński, 112) S. Żeromski, 113) F. Żmurko.

odbędą się dwie pogadanki o godz. 7½ i 8½ wieczorem. Na pierwszej p. E. Geisler mówić będzie „O początkowych wiadomościach z geometrji”, na drugiej p. W. Kronenberg „O dendrologji”. Ostatnie pogadanki w sezonie bieżącym odbędą się d. 2-go p. m.

= Pomocnik naczelnika powiatu będzińskiego, r. dw. Bohdanów, mianowany naczelnikiem pow. łaskiego gub. piotrkowskiej.

= W ogłoszonem świeżo sprawozdaniu warsz. szpitala dla dzieci za 1899 my r. pominięto zaproszonego do pomocy zarządu szpitala p. Jana Skrzyńskiego.

= W dniu 24-ym b. m. zmarli w mieście naszem: ś. p. Antoni Dejbel, b. kasjer lombardu miejskiego, przeżywszy lat 81; ś. p. Paulin Dąbrowski, b. główny kasjer teatrów rządowych warszawskich, w wieku lat 76; oraz ś. p. Aleksander Krauze, b. kurator szpitala ewangelickiego i członek kolegjum tegoż zboru, przeżywszy lat 84.

= D. 23-go b. m. zmarła w Petersburgu ś. p. Anna ze Swieczynów Arseniew, małżonka prezesa dyrekcji głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Pogrzeb odbędzie się do grobów rodzinnych w gub. tulskiej.

= Dr. Jan Karłowicz wyjechał wczoraj za granicę dla poratowania zdrowia.

= Naczelnik okręgu pocztowo-telegraficznego warszawskiego, rz. r. st. Bogucki, powrócił do Warszawy z objazdu. Zarządzający dobrami państwowemi w gubernjach: warszawskiej, piotrkowskiej, kaliskiej i płockiej, rz. r. st. Siergiejew, wyjechał do Włocławka.

= **Z literatury.**

* „Historja nowożytna w zarysie”, opracowana przez prof. Wincentego Zakrzewskiego, doczekała się ponownego wydania nakładem K. Grendyszyńskiego w Petersburgu.

* Wydawanej nakładem księgarni T. Paprockiego i Sp. „Historji powszechnej”, opowiedzianej dla mło-

Na nagrody przeznaczono ... dla kompozytorów i tyleż dla pianistów. W razie nieprzyznania pierwszych nagród mogą być utworzone po dwie drugie w wysokości 2,000 fr.

W konkursie mogą uczestniczyć mężczyźni, liczący lat 25 do 26, bez różnicy narodowości i wyznania.

Sąd konkursowy składać się będzie z delegatów konserwatorjów i towarzystw muzycznych, zaproszonych przez dyrektora konserwatorjum paryskiego.

Program konkursu następujący:

a) kompozytorowie winni złożyć: 1) koncert na fortepian z orkiestrą; 2) sonatę na fortepian, albo na fortepian i jeden lub kilka instrumentów smyczkowych; 3) kilka drobnych utworów na fortepian. Wszystkie utwory winny być złożone w dwóch egzemplarzach, nawet partycje, przyczem partję fortepianową ma wykonać sam kompozytor;

b) pianiści winni wykonać: 1) A. Rubinsteina koncert na fortepian z akompanjamentem orkiestry, 2) I. I. Bacha preludjum z fugą czterogłosową; 3) Haydna albo Mozarta andante albo adagio; 4) Beethovena jedną z sonat op. 78, 81, 90, 101, 106, 109, 110 i 111; 5) Chopina mazurka, nokturn albo balladę, 6) Schumanna jeden albo dwa numery z „Fantasie-Stücke” albo „Kreisleriana”, 7) etudę Liszta.

Kto pragnie wziąć udział w konkursie, winien do dnia 7-go sierpnia r. b. wnieść prośbę pisemną do biura konserwatorjum w Petersburgu i dołączyć do niej dokumenty o wieku albo kopję dokumentów.

Przypominamy, że na poprzednim konkursie takim w Berlinie w r. 1895 nagrodę na konkursie fortepianowym zdobył p. Henryk Melcer, na kompozytorskim p. Emil Młynarski.

* W gazetach *Il Cittadino* i *Caffaro* znajdujemy bardzo pochlebne wzmianki o występach we Włoszech śpiewaczki naszej, p. Pauliny Bruszewskiej (żony znanego warszawiakom tenora), która największy sukces święciła w operze „Rigoletto”.

Włoscy sprawozdawcy muzyczni wróżą rodaczce naszej świetną przyszłość artystyczną.

= Wystawa inwentarza.

Komisja budowlana wystawy inwentarza, złożona z pp. Dzierzbickiego, Jórskiego, Jeziorańskiego, St. ks. Lubomirskiego i W. Reszkego, odbyła pierwsze

twór solowy i weźmie udział w śpiewie zbiorowym.

Z kolei usłyszymy wytworne produkcje Miry Heller, Janiny Korolewiczówny, Adama Didura, Oktawjusza Nouvelli'ego, Józefa Russitana i innych. Prof. Krassa odegra na wiolonczeli nowe utwory Goens'a.

Pani Wanda Siemaszkowa i Irena Trapszo-Chodowiecka wypowiedzą cenniejsze rzeczy ze swego repertuaru.

Wreszcie estrada ratuszowa zamieni się na wytworną scenę, zdobną w stylowe meble i akcesorja z czasów Ludwika XV. W tak upiększonych ramach przypomni się młodszym słuchaczom perełka niestarzejącego się repertuaru dramatycznego: wytworny wodewil „Fortepian Berty”. Odegrają go: pani Lüdowa, pamiętna jako jedna z najwykwintniejszych Bert, znanych na scenie naszej; p. Nowicki, umyślnie przyswajający sobie rolę Francha, oraz jedna z artystek, która podjęła się roli Julji. Część muzyczną tej bluety przygotuje p. Wład. Miller.

Żądania biletów są bardzo znaczne. Zarząd zmuszony jest, nauczony doświadczeniem zeszłorocznem, ograniczyć ich liczbę, zwłaszcza wobec zamiaru zajęcia części sali na krzesła, ustawione koncertowo.

Bilety sprzedają gospodynie rautu oraz skład nut *Echa muzycznego* w gmachu teatrów.

Oto lista gospodyń i gospodarzy rautu niedzielnego:

panie: z hr. Potockich Brzozowska, Michałowa Boniecka, Feliksowa hr. Czacka, Tadeuszowa hr. Czacka, hr. Czosnowska, hr. Chodkiewiczowa, księżna Czetwertyńska, Dembińska, Dernałowiczowa, doktorowa Duninowa, Juljanowa Fragetowa, Tadeuszowa Hantkowa, A. Gruszecka, Julja Górska, Janowa Górska, baronowa Lesserowa, Julja Konstantowa Górska, Tadeuszowa ks. Lubomirska, Konstantowa ks. Lubomirska, hr. Lubieniecka, hr. Ledóchowska, Laska, Łabęcka, Rogierowa Łubieńska, Michałowa Karnicka, Kessellowa, hr. Kaszowska, hr. Kossakowska, Helena hr. Krasińska, Marta hr. Krasińska, Magdalena hr. Krasińska, Wiktorowa Kronenbergowa, Kuszellowa, Kiślańska, Komierowska, księżna Mirska, Marconiowa, Mierzejewska, Jakóbowa hr. Potocka, Popławska, hr. Przezdziecka, Aleksandrowa Melanja Rajchmanowa, Jadwiga Rulikowska, A. Rzyszczewska, Marja hr. Starzeńska, Józefowa Szteynerowa, Ludwikowa Spiessowa, J. Sianożęcka, Sobańska, Siewrukowa, hr. Tyszkiewiczowa, Michałowa ks. Woroniecka, Mieczysławowa ks. Woroniecka, Władysł. hr. Wielopolska, Wołłowiczowa, Walewska, Weyssenhoffowa, Pelagja hr. Wielhorska, Zygmuntowa hr. Wielopolska, Zdzisławowa hr. Zamoyska, Włady-

184

Szkoda, że już koniec tej ślicznej powieści,
W której się i tendencya i poezya mieści...
Lecz co stworzy w przyszłości Twa genial-
(na głowa,
Zechciej Pani łaskawie przeznaczyć dla...
(„Słowa.“

Zecer.

Wydanie Narodowe Dzieł
Adama Mickiewicza

Listy Redakcji

T. I: Prze – Ut

